

James Martin Conroyd

Pod purpurowym niebem
(Against a Crimson Sky)

Przełożyła Anna Pajek

Prolog

U śmierci w jednej cenie i młody, i stary.
(przysłowie polskie)

Polska 1794

2 listopada, Dzień Zaduszny

Wody wzburzonej, wezbranej po ostatnich deszczach rzeki szybko oddalały się od Warszawy, beztrosko unosząc ze sobą porywane ciała i szczątki mostu.

Półnaga kobieta kurczowo trzymała się czegoś, co prąd niosł wraz z nią. Może to była jakaś kłoda? Albo belka z zawalonego mostu? Tonąca, oszołomiona upadkiem z wysokości, myślała, że umiera... albo już umarła. Według jej wyznania – lub raczej mglistych okruchów dziecięcej wiary, w tej chwili wyłaniającej się z pamięci – mogła wznieść się na skrzydłach do nieba albo spaść do piekła, o którym rzadko myślała.

Tymczasem fale niosły ją – jak leciutką gałązkę – między wirami i bystrymi prądami. Oślepiający blask popołudniowego słońca na powierzchni wody jedynie mamił wrażeniem ciepła, bo woda w rzece była przejmująco zimna.

Nie wiadomo czemu myśli kobiety poszybowały w stronę mitycznej rzeki, która w przekonaniu starożytnych Greków wpływała do podziemnego świata. Kuzynka kiedyś jej mówiła, jak nazywa się ta rzeka. Acheront? Tonąca nie miała odwagi otworzyć oczu.

Czego powinna się spodziewać w podziemiach? Że będzie musiała zapłacić przewoźnikowi, który łódką przeprowia dusze na drugą stronę rzeki. Czy ma jakieś pieniądze? Doszła do wniosku, że nie, a bez wymaganej monety z pewnością nie dostanie się na drugi brzeg. Wszyscy o tym wiedzieli. Może spróbuje uwieść przewoźnika? Tylko czy to, co może mu zaoferować, jest w podziemnym świecie traktowane jako środek płatniczy? Szczerze wątpiła.

Czuła, jak na sercu zaciskają się lodowate palce rzeki. Czy

będzie musiała zdać rachunek ze swojego życia? Z tego, co zrobiła?

Lodowata woda płynęła teraz szybciej i z większą prędkością popychała kobietę ku jej przeznaczeniu.

Dawni Polacy wierzyli, że ludzie, którzy się utopili, stają się duchami wodnymi i na zawsze pozostają tam, gdzie ponieśli śmierć. Przypomniała sobie Marzannę, boginię śmierci* [Marzanna w rzeczywistości nigdy nie była słowiańską boginią. Wymyślił ją Długosz na podstawie śląskich i wielkopolskich pieśni wielkopostnych śpiewanych podczas topienia kukły symbolizującej zimę i śmierć (przyp. tłum.)], która ubrana na białe czeka na nią u ujścia rzeki z kosą w ręce.

Kobieta odsunęła od siebie myśl o polskiej bogini. Miała dwadzieścia jeden lat i jej życie dobiegało kresu. Co z tego? Często powtarzała, że młode lata to złote dukaty, które należy odpowiednio wydać. W obecnej sytuacji nic już nie mogła zmienić, nic nie dałoby również rozważanie o bardziej owocnym wykorzystaniu minionych lat. Nie, nigdy się nie wycofywała ani nie przepraszała. Nigdy niczego nie żałowała.

Była przemarznięta do szpiku kości. Przypadkowo nabrała w usta wody i zakaszła, nie mogła jednak dotknąć ręką twarzy. Gdyby to zrobiła, rozluźniłaby uchwyt, a wtedy prawdopodobnie poszłaby na dno. Zziębniętymi rękoma nadal obejmowała coś, czego przez cały czas się trzymała... i trzymała...

Zastanawiała się, co będzie, gdy Bóg okaże się chrześcijańskim Bogiem, w którego wierzyli jej rodzice. Czy jej wybaczy?

Chwilami wraz z przenikliwym zimnem ogarniała ją ciemność... i ponura świadomość, że śmierć jest nieunikniona, pewna jak nadejście nocy... Psiakrew! Jak to się stało, że czeka ją tak sromotny koniec?

Wieśniacy przybiegli nad brzeg rzeki i z przerażeniem patrzyli na kłębiące się fale Wisły. Przeważnie były to kobiety, bo mężczyźni w odpowiedzi na apel Kościuszki poszli walczyć z wrogiem. Jakiś starzec, podobnie jak reszta oniemiały ze zdumienia, wpatrywał się w gromadę ludzkich ciał niesionych przez wzburzone wody. Niektóre zwłoki zaczepiały się o wodorosty i rośliny rosnące przy brzegach, ale wtedy inne, pchane wartkim nurtem, porywały maruderów ze sobą... albo znikwały wciągane przez wir.

Staruszek z niedowierzaniem odwrócił się w stronę Warszawy; stolica była daleko stąd, ponad trzydzieści kilometrów w górę rzeki, mimo to widział niesamowity, pomarańczowy blask i gęsty, czarny dym unoszący się w niebo. Czyżby stolica wpadła w ręce Rosjan? „Boże, dopomóż” – modlił się cicho. Potem głośno dodał: „Niech Bóg ma nas w swojej opiece. Niech nas ochrania Matka Boska Częstochowska!”.

Wnuk starca był odważniejszy i podszedł aż na skraj wody.

Starzec zawołał, żeby wrócił. To nie był widok dla szesnastolatka, nawet jeśli wcześniej zdążył już odnieść rany w jednym z patriotycznych zrywów. Chłopiec najwyraźniej nie usłyszał.

– Jerzy! Wracaj! – ponownie zawołał dziadek.

Chłopiec się odwrócił i z dziwnym wyrazem twarzy kiwnął ręką, przywołując dziadka.

Staruszek wykonał polecenie nastolatka bez zadawania pytań.

Zbliżył się do wnuka i ze zdumieniem zobaczył kobietę o kruczoczarnych włosach kurczowo trzymającą się czegoś, co przypominało deskę, która ugrzęzła wśród gęstych wodorostów i korzeni tuż przy brzegu rzeki. Topielica miała na sobie tylko czerwoną spódnicę; od pasa w górę nic nie

osłaniało jej ciało. Była młoda i piękna... Coś w jej wyglądzie wskazywało na to, że jest szlachcianką.

Po chwili staruszek zauważył to, co przedtem dostrzegł Jurek: małe bąbelki, które wydobywały się z ust kobiety. Cholera! Ona oddycha. Żyje!

Dziadek zorientował się, co wnuk ma zamiar zrobić, i podszedł bliżej, by mu pomóc.

Jerzy wszedł do wody, jedną ręką sięgnął w stronę kobiety, a drugą trzymał się dziadka stojącego na brzegu rzeki.

Chłopak pociągnął kobietę za rękę, licząc, że wypuści to, dzięki czemu dotychczas unosiła się na powierzchni wody. Jej skóra była szaroniebieska.

– Puść to! Puść to! – krzyczał.

Nie posłuchała go, jedynie wykrzywiła się i zacisnęła usta. Palcami niczym szponami kurczowo wbiła się w coś, co ocaliło jej życie.

Prąd ją obrócił, a po chwili zaczął ciągnąć nogi i dolną część ciała w kierunku środka rzeki, jakby woda, zamknąwszy ofiarę w potężnych ramionach, nie pozwalała na uratowanie się kobiety.

Mocno trzymając nieznajomą, Jurek po kolei rozluźnił jej palce, po czym powoli przyciągnął ją ku sobie. Druga ręka kobiety sama wypuściła coś, co umożliwiło jej przepłynięcie długiej drogi z Warszawy. Kiedy starzec pomógł wnukowi wyciągnąć nieszczęśnicę na brzeg, zobaczył, że rolę pływaka odegrały zwłoki w czerwonym mundurze rosyjskiego żołnierza. Jego sina, ozdobiona wąsikiem twarz zniknęła pod wodą.

Część pierwsza

Cnota i pokora nie ma miejsca u dwora.
(przysłowie polskie)

Warszawa 1794

Zachodnie roгатki miasta, 13 grudnia

Anna z przerażeniem patrzyła w jasnoniebieskie oczy rosyjskiego żołnierza, który stał w otwartych drzwiczkach karety. W tym momencie doszła do wniosku, że byłaby w stanie popełnić morderstwo.

Ten oto człowiek miał nad nią władzę: mógł zatrzymać ją z dala od domu, którego nie widziała od trzech lat; od dziecka, ze względów bezpieczeństwa odesłanego tam pięć miesięcy temu; i od mężczyzny, który zostałby jej mężem w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, gdyby nie zrządzenie losu i ingerencja osób trzecich...

Paciorkowate wilcze oczy żołnierza zmierzyły ją od stóp do głów. Anna poczuła, że ciarki przechodzą jej wzdłuż kręgosłupa... z trudem opanowała drżenie rąk. Nie da się zastraszyć. Wyprostowała plecy i ukryła zdenerwowanie.

– Gdzie pani jechać? – spytał po raz drugi łamaną polszczyzną.

– Do Sochaczewa – odparła po polsku, zachowując całkowity spokój. – Do mojego majątku.

Nie zdradzi, że zna jego język.

– Papiery!

Anny nie zaskoczyło szorstkie zachowanie żołnierza, Odkąd Warszawa dostała się w ręce Rosjan, już nic jej nie dziwiło.

– Proszę – powiedziała, wręczając mu dokumenty, które otrzymała od Pawła.

Starła się nie patrzeć, jak Moskal z przesadną uwagą przegląda papiery. Zagryzła dolną wargę, w duchu

przeklinając wroga... i zrzącenie losu, który sprawił, że tysiące podobnych mu intruzów czuło się w Polsce jak u siebie w domu.

Na skutek otwartych drzwi w powozie zrobiło się zimno jak w piwnicy, ale Anna miała większe powody do zmartwień. Dręczył ją ogromny niepokój: Co będzie, jeśli nie pozwolą jej wyjechać z miasta? Jeśli żołnierz uzna, że może ją aresztować? Jeśli...?

– Po co jechać do Sochaczew? – warknął, nawet nie starając się odpowiednio do niej zwracać.

Był bezczelny. Jeśli umie czytać, powinien wiedzieć, jaki Anna nosi tytuł.

– Moja matka umiera.

Przymrużył oczy, jakby się zastanawiał, czy młoda kobieta mówi prawdę.

– Przykro.

Oczywiście skłamała, ale żołnierz nie mógł wiedzieć, że jej rodzice zmarli w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Nie drgnęła ani nie odwróciła wzroku. Czerwony kolor jego twarzy – przynajmniej tej części, której nie ukrywał wspaniały czarny wąs – podkreślał czerwony mundur.

– A kiedy pani wracać do Warszawy?

– Nie wiem. W takiej sytuacji trudno powiedzieć.

– Rozumieć – odparł bez cienia współczucia. – A to?

Kiwnięciem głowy wskazał na współpasażerkę siedzącą naprzeciwko Anny, jakby była paczką.

– Lutisza, moja służąca.

Przeniósł wzrok z jednej kobiety na drugą.

– Wy mieć broń?

– Nie.

– Na pewna? Czy będą szukać?

– Na pewno, panie kapitanie.

Anna obdarzyła żołnierza promiennym uśmiechem.

Doskonale wiedziała, że Rosjanin ma na sobie mundur porucznika, ale na pewno nie zaszkodzi go awansować.

Nie poprawił jej.

– Wszystko być dobrze.

Bez dalszych pytań oddał Annie dokumenty i strzelił drzwiczkami.

– Jechać! – krzyknął do woźnicy.

Powóz się zakołysał, ruszył i po chwili minął zachodnie roгатki miasta. Anna wsunęła palce prawej ręki między fałdy sukni i dotknęła pistoletu ukrytego w wewnętrznej kieszeni.

Uśmiechnęła się do zaszokowanej Lutiszy z nadzieją, że doda służącej otuchy, chociaż sama wciąż czuła przyspieszone bicie serca. Świnia! Wstrętna świnia! Co prawda wygrała drobną potyczkę z rosyjskim żołnierzem, ale to nie przeszkodziło jej przekląć go w duchu. Był święcie przekonany, że ma nad nią władzę, co więcej – nieźle ją przestraszył, a Anna była śmiertelnie zmęczona życiem w ciągłym strachu.

Kiedy powóz oddalił się od miasta, hrabina nieco się uspokoiła. Na początku podróży ze strachu zaciągnęła skórzaną zasłonę na okno. Po opuszczeniu domu Pawła przy Piwnej przejechały przez plac Zamkowy i minęły Zamek Królewski, ale Anna nawet nie chciała spojrzeć na siedzibę króla. Była niemal pewna, że polska monarchia dobiega końca. Jeszcze mniejszą ochotę miała na widok rozciągający się po drugiej stronie Wisły – na Pragę, która jeszcze nie tak dawno tętniła życiem, a teraz spalona leżała w gruzach, zwłaszcza na straszące na nadwiślańskiej skarpie osmalone resztki białej niegdyś kamienicy jej ciotki. Uśmiechnęła się niepewnie, widząc zdumienie Lutiszy, i bez wyjaśnienia zasłoniła okno.

Brukowana ulica się skończyła, karetka wjechała na zamarzniętą, bitą drogę i w miarowym tempie toczyła się

przez pola i wsie.

Strach Anny ustąpił. Podróż – jeśli nie wydarzy się coś nieoczekiwanego – potrwa niecały dzień. Na kolację powinny dotrzeć na miejsce. Do domu. Hrabina uważała, że miała szczęście, bo jej rodzinna siedziba została nietknięta, podczas gdy Jan stracił majątek w Uściu Zielonym i kamienicę w Krakowie, a kuzynka Zofia – posiadłość w Haliczu i rezydencję na Pradze. Wszystko z powodu najazdu Rosjan.

Anna i Lutisza przez pół godziny siedziały bez słowa w półmroku.

– Mogę odsłonić okno, madame? – spytała w końcu Lutisza.

– Co takiego? O tak, tak, oczywiście.

Wystarczyło jedno krótkie, porozumiewawcze spojrzenie Lutiszy, by Anna zdała sobie sprawę, że nie doceniła służącej, która doskonale знаła powód zaciągnięcia zasłon.

Hrabina również odsłoniła okno po swojej stronie. Jak na mroźny, grudniowy dzień świeciło wyjątkowo jasne słońce. Młoda kobieta przesuwała wzrokiem po zasypanych śniegiem, ciągnących się jak okiem sięgnąć polach oraz ciemniejszych łąkach lasów iglastych i brzozowych zagajników. Gdzieś widać było jakiś dworek... lub typowe wiejskie zabudowania, w których ludzie krzątali się koło gospodarstwa; wiedli żywot taki sam jak ich przodkowie. Po każdym zmrużeniu oka pojawiał się nowy żywy obraz. Anna była zdziwiona, że za oknami trudno dopatrzeć się choćby śladu tego, co spotkało Polskę – nieszczęścia, jakie spadło na kraj. W sercu młodej kobiety obudziło się dziwne uczucie przygnębienia, bo zdawała sobie sprawę, że to tylko pozory – przecież chłopcy ponieśli takie same straty jak wszyscy patrioci. Uważniej przyjrząwszy się mijanym wioskom i osadom, stwierdziła, że przy pracy widać więcej kobiet niż mężczyzn. Na wezwanie Tadeusza Kościuszki wielu wieśniaków

chwyciło za kosy Wielu z nich zginęło w starciach z wojskami Prus i Rosji; nigdy już nie wrócą do swoich domostw.

Lutisza siedziała naprzeciwko Anny z niewzruszoną miną i przebierała paciorki zniszczonego różańca, ale szare oczy zaawansowanej wiekiem, pulchnej służącej nie ukrywały smutku. Z rzadka mrugała powiekami jak sokół wypatrujący zdobyczy. „Ależ ona jest wierna – pomyślała Anna – wierna, odważna i silna!” Gdy Moskale zajęli Warszawę, postanowiła zostać z Anną i Zofią, choć mogła wyjechać do córki na wieś i skorzystać z bezpiecznego schronienia.

– W porze kolacji zobaczysz Martę i jej rodzinę, Lutiszo. Bezzębny uśmiech starej służącej podniósł Annę na duchu.

Ku swojemu zaskoczeniu zauważyła, że wieśniaczka jest bardzo podobna do cioci Stelli, hrabiny, u której Lutisza przez całe życie służyła. Jedna z kobiet była szlachcianką, druga wieśniaczką... ale obie miały polskie serca i dusze. Ciocia Stella... Anna poczuła, że brakuje jej tchu. Jak to dobrze, że hrabina Stella Grońska nie dożyła obecnej chwili, zniszczenia swojej kamienicy na Pradze ani nieuchronnie zbliżającego się rozpadu ojczyzny! Anna znów spojrzała na mijany krajobraz. Mimo woli zaczęła się zastanawiać, czy gdy jej syn dorośnie, będzie mógł jeszcze nazywać tę krainę Polską.

Nie chcąc o tym myśleć, wróciła do minionych wydarzeń. Miały dużo szczęścia, że udało im się opuścić Warszawę. Jakim cudem Pawłowi udało się załatwić jej wyjazd? Na początku listopada, kiedy Rosjanie zajęli stolicę, zaczęli stosować wobec mieszkańców wszelkie możliwe represje, z czasem coraz bardziej je zaostrzając. Jak udało mu się sfabrykować dokumenty? Czy musiał kogoś przekupić?

– Aniu – powiedział tego dnia wczesnym rankiem, kiedy pomagał jej wsiąść do powozu i podawał papiery podrózne. – Według tych dokumentów jesteś hrabiną Berezowską-Grawlińską. Nie wspomniano w nich, że ostatnio otrzymałaś

tytuł księżnej. Lepiej, żebyś tego nie ujawniała.

Czego się obawiał? Przypuszczała, że jako zwykła szlachcianka była mniej podejrzana niż jako arystokratka... czy osoba pochodząca z magnackiej rodziny. Niestety, nie miała czasu, by spytać o to Pawła.

Król Stanisław August Poniatowski mianował Annę księżną w nagrodę za jej patriotyzm, ale ponieważ całkowicie zignorował jej ostrzeżenia, że powstanie przeciwko Rosjanom jest przedwcześnie, nie przywiązywała do całego wydarzenia wielkiej wagi. Nowy tytuł nie miał dla Anny większego znaczenia, ponieważ od dziesięcioleci Polacy byli w ten sposób honorowani jedynie w imieniu obcych mocarstw. Stanisław też to zrobił, działając z ramienia carycy Katarzyny. Na tę myśl Anna napięła wszystkie mięśnie.

Wyjrzała przez okno. Przymglony krajobraz odsunął na bok wspomnienia i refleksje.

Kiedy w końcu skupiła uwagę, zdała sobie sprawę, że coraz lepiej rozpoznaje mijane okolice. Zbliżała się do domu, do Sochaczewa. Pomyślała o swoim życiu, o tym, jak bardzo się zmieniło od czasu, kiedy trzy lata temu opuściła rodzinny dworek. Zmieniła się również i ona, i ojczyzna. Wielu rzeczy żałowała, o wielu wolałaby zapomnieć.

Powóz jechał drogą przez las, ściemniło się, jakby zapadał mrok. Ku swojemu zaskoczeniu Anna dostrzegła niemal niewidoczną ścieżkę, która prowadziła do gęstego sosnowego zagajnika. Wzięła głęboki wdech, po czym powoli wypuściła powietrze z płuc. Kiedy zamknęła oczy, ożyło stare wspomnienie, niechciane jak zimne, ciemne, spienione wody jeziora, które znajdowało się o kilka kilometrów stąd, w samym sercu gęstego, mrocznego lasu. Tym razem nie zdołała się obronić przed przeszłością.

Przez chwilę znów była sama w tym ponurym lesie na brzegu jeziora. Zapadła bezksiężycowa, pochmurna noc.

Wszystko wokół pograżyło się w ciemności i całkowitym bezruchu. Anna od dziecka wierzyła, że w lesie mieszka diabeł. Skręciła nogę w kostce i od kilku godzin niczym ranny ptak leżała wśród szorstkich, opadłych liści, czekając na pomoc. Starła się pokonać przenikliwy chłód i coraz większy strach.

Nie miała pojęcia, dlaczego Zofia nie sprowadziła jeszcze pomocy. Raptem Annę ogarnął lęk, złe przeczucie, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Przez długą chwilę słyszała tylko łomotanie swojego serca.

Nagle z gęstych krzaków wyłoniła się groźna postać i ciężkim krokiem ruszyła w stronę rannej dziewczyny. Pomimo skręconej kostki Anna wstała i zaczęła uciekać, bieć przed siebie, nie zważając na ból. Jej stopy uderzały o podmokły grunt nad brzegiem jeziora.

Pień drzewa przez chwilę stanowił dobrą kryjówkę, ale wkrótce bestia znalazła swoją ofiarę. Anna zdołała wepchnąć napastnika do jeziora, lecz on mocno ją trzymał i pociągnął za sobą w zimną, ciemną głębinę. Uwolniła się i zaczęła płynąć w stronę brzegu... wiedząc, że potwór jest tuż-tuż za nią.

Potem poczuła na plecach coś, co przypominało szpony... owionął ją smród alkoholu, ziemia osunęła się spod nóg, a dziewczyna zobaczyła wszystkie gwiazdy, gdy uderzyła głową o kamieniste podłoże. Mężczyzna przygniótł ją swoim ciałem, zmiażdżył, rozdarł ubranie... potem zadał trudny do opisanie ból.

Zapadła w nicość.

Anna zepchnęła wspomnienie w głąb duszy, w miejsce, do którego starała się nigdy nie zaglądać. Musiała jednak przyznać, że skutkiem owej okropnej, przerażającej nocy był ukochany synek, Jan Michał. Komu mogła to wyjaśnić? Dziecko przebywało w dworku pod Sochaczewem, dokąd ze

względów bezpieczeństwa odesłała je przed najazdem Rosjan.

Był tam również hrabia Jan Stelnicki, który też na nią czekał. Na myśl o nim do oczu Anny napłynęły gorące łzy. Obawy pierzchły. W liście, który trzymała blisko serca, Jan prosił ją o rękę i przyrzekał dozgonną miłość. Obiecał, że adoptuje Jana Michała. Anna zastanawiała się, czy Stelnicki będzie mógł zachować tytuł szlachecki, mimo że walczył po stronie Kościuszki przeciwko najeźdźcom. Może nawet ona straci swoje tytuły? Tylko jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że będą razem. W końcu szczęście znajdowało się w zasięgu ręki. Nie chciała myśleć o tym, że przed laty również było blisko.

Wróciła wspomnieniami do ciepłego wrześnieowego popołudnia dziewięćdziesiątego pierwszego roku, nim rozegrał się dramat i spędziła okropną noc w lesie. Spotkali się w południe na łące. Jan miał jasne włosy, kobaltowe oczy i dołek w brodzie; był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek widziała. W ciągu kilku tygodni przekonała się, że za jego obrazoburczymi poglądami, odważnym spojrzeniem, zuchwałymi i bezczelnymi słowami kryje się upór, patriotyzm, namiętność i delikatność. Miłość zapuściła głębokie korzenie i rosła w miarę mijających miesięcy i lat, chociaż w tym czasie prawie się nie widywali. Teraz zaniepokoiła ją myśl, czy może żyć u boku ukochanego i zaznać szczęścia. Czy na nie zasługiwała? Czy w ogóle jest to możliwe? Ostrożność nakazywała zbudować barierę wokół serca.

Przypomniała sobie powiedzenie, że to, co w życiu najważniejsze, zdarza się tylko raz. Takim ważnym dla niej momentem było spotkanie z Janem Stelnickim przed laty, nim wydarzyło się tyle zła.

Mimo to jakoś dożyła tego dnia. Dnia ponownego spotkania. To znaczy, że jednak Bóg istnieje. Naprawdę!

Zaledwie sześć tygodni temu cudem przeżyła ucieczkę przed Moskalami przez płonący most praski, który chwilę potem, gdy go opuściła, runął do Wisły. Zofia nie miała tyle szczęścia. Anna się przeżegnała. Na wspomnienie o kuzynce odezwało się poczucie winy, starała się jednak nie pogrążyć w rozpacz... Jeszcze dziś spotka się z synkiem i Janem. To nieodpowiednia pora na rozmyślanie o przeszłości i śmierci... Nie dzisiaj! Powóz toczył się do przodu.

Wkrótce dojechały do Sochaczewa. Rynek był dziwnie wyludniony. Za chwilę miną cmentarz. Anna poczuła przyspieszone bicie serca. „Jesteśmy już tak blisko! Jeszcze tylko kilkanaście kilometrów”. Jej rodzinna posiadłość, Topolowo, zawdzięczała nazwę krętej topolowej alei, która prowadziła do dworku.

Anna nagle sobie przypomniała, że Lutisza nigdy nie była w Sochaczewie.

– Och, nie oczekuj zbyt wiele, Lutiszo! Topolowo nie jest tak ogromną posiadłością, jaką ciocia Stella miała pod Haliczem, a mój dworek znacznie ustępuje eleganckiej kamienicy na Pradze.

Urwała, widząc w oczach Lutiszy wyraźny ból. Natychmiast zaczęła żałować, że wspomniała obydwie domy, w których stara służąca spędziła większość życia. Lutisza opanowała francuski sposób zajmowania się domem; nabyte umiejętności i obowiązująca etykietę przekazała potem swojej córce oraz wnuczkom. Z obu rezydencji była taka dumna, jakby do niej należały. Kamienica w Warszawie leżała w gruzach jak niemal cała Praga; rezydencja Grońskich – pałac, jak ją nazywali służący – spłonęła, gdy Rosjanie zaatakowali Polskę przy wsparciu targowiczów, czyli części polskich magnatów, którzy poprosili carycę Katarzynę, by obaliła Konstytucję 3 maja.

Anna nie wiedziała, jakimi słowami zapewnić Lutiszę, że jej nowy dom będzie bezpieczny i że będzie w nim mile widziana. Nagle usłyszała jakiś krzyk i powóz gwałtownie się zatrzymał. Radość hrabiny, że jest w Sochaczewie, natychmiast prysnęła, a jej miejsce zajęły złe przeczucia.

– Co się dzieje?! – zawołała do woźnicy.

Jej głos utonął w gwarze. Krzyknęła jeszcze raz.

– To Rosjanie, pani hrabino – odparł woźnica z wyraźnym zaniepokojeniem. – W mieście jest garnizon. Chcą panią przesłuchać.

Przesłuchanie. Anna zerknęła na Lutiszę, ujrzała oczy służącej błyszczące jak dwa księżycy i z trudem zdobyła się na uśmiech. Chciała w ten sposób uspokoić zaawansowaną wiekiem służącą i ukryć przerażenie, które powodowało przyspieszone bicie serca.

Kobieta leżała w całkowitej ciemności. Prześladowały ją wspomnienia wzburzonej rzeki, ale nie była w stanie na dłużej zatrzymać na czymkolwiek myśli. Pomimo ciężkiej narzuty i futra bez przerwy trzęsa się z zimna. Nie otwierała oczu. Przy każdym, nawet najlżejszym ruchu odczuwała potworny ból, jakby ktoś wbijał w jej ciało sto noży. Czuła miły zapach świeżej słomy. Wiedziała, że wcześniej kilka razy na krótko odzyskiwała przytomność i słyszała dziwne szepty. Czasami skądś dochodziły również odgłosy zwierząt. Nawet nie próbowała się zastanawiać, jakich. Potem znów zapadała w nicość, która przytępiała wszystkie zmysły.

Tym razem przed ucieczką w pustkę powstrzymała ją cisza, niczym niezmacona grobowa cisza. Z trudem uniosła ciężkie powieki i bezmyślnie spojrzała na otaczający ją świat. Przez kwadratowe, podzielone na cztery części okno zaczęło się przesączać światło, padając na nogi łóżka. Nieśmiałe promienie przebijały się przez papierowe wycinanki, które

pełniły funkcję zasłonek. Delikatne wzorki tworzyły na klepisku zdumiewające kwiaty. Kobieta przeniosła wzrok na ścianę naprzeciwko łóżka. Na małym stoliku był domowy ołtarzyk: figury świętych i świece. Wyżej na ścianie wisiały oprawione święte obrazy. Na prawo od stolika znajdowały się drzwi, które prowadziły do ciemnego pomieszczenia ze skąpanym w blasku piecem chlebowym.

Nieco dalej wisiała suto marszczona czerwona spódnica. Kobieta skądś ją знаła. Niżej, na podłodze, stały niegdyś eleganckie wysokie botki. Również one wydawały się dziwnie znajome. Chora długo przyglądała im się z wyraźnym otepieniem, dopiero gdy usłyszała, że drzwi się najpierw otwierają, a potem zamykają, przez jej głowę po raz pierwszy przemknęła w pełni uformowana myśl. Ktoś wszedł. Słyszała odgłos kroków. Ocknęła się, potwornie przerażona. Gdzie ja jestem?

Była pewna, że nie zna ciasnej, chłopskiej izby, która zupełnie nie przypadła jej do gustu. Zamknęła oczy. Słyszała strzępki prowadzonej w sąsiednim pomieszczeniu rozmowy między mężczyzną a kobietą. Mówili cicho wiejską gwarą. Kim są ci ludzie?

Kiedy szepty ustały, rozległy się odgłosy świadczące o przygotowywaniu posiłku. Małeńki pokoik lub raczej alkowa, w której leżała kobieta, powoli zaczęła się ogrzewać, gdy dorzucano drewno do pieca. Kobieta podciągnęła narzutę pod brodę i, ukołysana zapachem kawy zbożowej oraz pieczonego chleba, zasnęła.

Obudziła się po jakimś czasie. Instynktownie wyczuła, że ktoś na nią patrzy. Natychmiast otworzyła oczy. Najwyraźniej minęła godzina lub dwie; światło dzienne wypełniało pomieszczenie. Kilka kroków od łóżka stały dwie osoby i bacznie przyglądały się chorej.

– Mówiłam ci, że się ruszyła – powiedziała wieśniaczka.

– Ano, mówiłaś – przyznał stary, zniszczony, stojący obok niej mężczyzna. – Cieszę się, że pani żyje, pani hrabino. – Uśmiechnął się.

Miał tylko kilka zębów.

Kobieta chciała, żeby jej nie przeszkadzali, marzyła, by z powrotem zanurzyć się w słomianym łożu. Niestety, to nie było jej łóżko zrobione z... z czego? Z czegoś bardziej miękkiego? Z gęsiego puchu? Nie pamiętała. Jak się tu znalazła? Wiedziała, że ludzie, którzy nad nią stoją, nie są jej krewnymi, ale nie mogła sobie przypomnieć ani twarzy, ani imion swoich bliskich. Nagle poczuła przypływ paniki.

W milczeniu spoglądała na dwójkę wieśniaków i powolutku zaczęły odzywać w niej fragmenty wspomnień. Przypomniła sobie, że już widziała tych ludzi: bacznie jej się przyglądali, coś do niej mówili, zmuszali, żeby coś zjadła i wypła. Od jak dawna jest tutaj?

Jasnowłosa kobieta uśmiechnęła się, zacisnęła palce ogromnej dłoni na fałdach spranej, workowatej sukienki i niezdarnie dygnęła.

– Czy pani hrabina jest głodna?

– Nie – westchnęła.

Kiedy uniosła się nieco na łokciu, poczuła potworny ból i zabrakło jej sił. Zakaszłała; coś uciskało ją w klatce piersiowej.

– Jest pani blada... musi pani odpocząć, pani hrabino – powiedział starzec, podchodząc bliżej. – Zje pani później, gdy wszystko będzie gotowe. Szykuje się dla pani tłuściutki królik! Teraz zostawię panią z moją córką.

Wieśniaczka skinęła głową.

– Pewnie zechce pani skorzystać z nocnika.

Chora nie mogła zaprzeczyć. Zdała sobie sprawę, że wie, jak to jest, kiedy ktoś człowiekowi służy i zaspokaja wszelkie jego potrzeby. Ci ludzie to chłopci... a ona wcale nie jest jedną

z nich.

Wieśniaczka pomogła chorej usiąść na łóżku i ostrożnie zsunąć się na zimny nocnik. Nie obeszło się bez bólu.

Kiedy córka starca wróciła, by zabrać prymitywny i pozbawiony przykrywki pojemniczek, powiedziała, że ma na imię Danuta.

– Dziękuję, Danuto – wymamrotała kobieta, drżąc. Usiadła na skraju łóżka kompletnie wyczerpana.

– A pani... jak mamy się do pani zwracać, pani hrabino? Dopiero w tej chwili kobieta przypomniała sobie, jak się nazywa. Wpatrywała się w Danutę z niemym przerażeniem, bo nagle wróciło do niej wszystko, przez co ostatnio przeszła. Ożyły obrazy płonącej Pragi, Rosjan na koniach, unoszonych i opuszczanych zakrwawionych szabli; słyszała krzyki kobiet i dzieci pozostawionych w kłębach gryzącego, gęstego dymu. Poczowała, że lada chwila zemdleje.

Danuta stała przed nią, obejmując nocnik jak wazę, i czekała.

– Jak się tu znalazłam?

– Syn wyłowił panią z rzeki.

– Twój syn?

– Tak, pani hrabino. Jerzy. – Kiwnięciem głowy wskazała sąsiedni pokój. – Mój ojciec mu pomógł.

– Rozumiem. – Próbowała pokonać coraz większą słabość.

– Kiedy to było?

Danuta wzruszyła ramionami.

– Kilka tygodni temu.

Kilka tygodni?! Czy to możliwe?

– Dziękuję – usłyszała własne słowa.

Nie zawsze traktowała służących z szacunkiem, ale ci ludzie uratowali jej życie, co więcej, nadal jest zdana na ich łaskę. Dlatego musi się odpowiednio zachowywać. Uśmiechnęła się.

– Zimno mi, Danuto.

– Przygotuję pani miszkę kaszy. Kasza rozgrzeje pani kości, pani...

Danuta zawiesiła głos, koniecznie chcąc poznać nazwisko swojej podopiecznej.

– Hrabina Grońska – powiedziała kobieta, kaszląc i opadając na słomiany materac. – Jestem hrabina Zofia Grońska.

Hrabia Jan Stelnicki wygładził tynk i cofnął się, by ocenić swoje dzieło. Była to ostatnia szczelina, którą należało zamurować w ogromnym salonie w dworku Anny. Ponieważ właścicielki nieruchomości nie było od trzech lat, nikt nie dokonywał niezbędnych napraw. Jan westchnął, niezbyt zadowolony z efektu. Niewątpliwie lepiej się spisywał w rzemiośle wojennym, ale cieszył się, że może zrobić coś, co wymaga wysiłku fizycznego. Dzięki temu miał mniej czasu na myślenie i martwienie się. Poprzedniego dnia Paweł przysłał wiadomość o przyjeździe Anny, ale Jan doskonale zdawał sobie sprawę, jak niebezpieczna jest podróż przez terytorium okupowane przez Rosjan. Na pewno nikomu by się do tego nie przyznał, ale bardzo się denerwował na myśl, że znów ujrzy Annę.

Za kilka godzin miał zobaczyć kobietę, którą od dawna kochał. Nieważne, że wrogie armie skonfiskowały jego rodzinną posiadłość w Uściu Zielonym i kamienicę w Krakowie. Nieważne, że czekał w dworku Anny. Gotów był odłożyć na bok tradycję i dumę. Liczyło się tylko to, że Anna wkrótce przyjedzie.

– Coraz lepiej to panu wychodzi, panie hrabio – pochwalił Jacob Szraber, wchodząc od tyłu domu przez pokój z fortepianem.

Obejrzał naprawioną ścianę.

– Tak myślisz?

Gdyby miał więcej czasu do przyjazdu Anny! Tyle rzeczy było jeszcze do zrobienia na terenie posiadłości.

– Naprawdę. Skończyłem dach.

– Mówiłem ci, żebyś zostawił to zajęcie jakiemuś młodszemu mężczyźnie.

Jacob wzruszył ramionami.

– W okolicy nie ma młodych mężczyzn. Walek ma tyle samo lat co ja, chyba że chodziło panu o jego syna, Tomka.

– Przecież mogłem sam...

– O nie – przerwał mu Jacob – to byłoby niestosowne. Wymieniłem kilka gontów i gotowe.

– Nie będzie przeciekać?

– Zobaczymy, gdy nadejdzie wiosna. Wybuchnął śmiechem, Jan też.

– Proszę się nie martwić, nie uszkodziłem bocianiego gniazda. Gdy ptaki wrócą na wiosnę, na pewno je znajdą.

– Bardzo mi pomagasz, Jacobie, ale... – Janowi zabrakło słów.

– Dworek nie wygląda tak ładnie jak wtedy, gdy opuszczała go hrabina Anna, o to chodzi?

Jan przytaknął.

– Tak jak wszystko inne w Polsce.

– No cóż, biorąc pod uwagę niespokojne czasy, najważniejsze, że hrabina wraca do domu, do syna i... – Jacob urwał i odwrócił wzrok. Czy nie posunął się za daleko?

Jan uśmiechnął się, wiedząc, co Jacob chciał powiedzieć: „I do pana, panie hrabio”. Stelnicki pomyślał o synku Anny. Do niego również wracała.

– Gdzie jest Jan Michał? – spytał.

– Z moją żoną. Dobrze, że Emma ma się kim zająć, bo... W głosie Jacoba górę wzięły emocje. Nie był w stanie dokończyć.

Jan kiwnął głową ze współczuciem i zrozumieniem. W myślach podziękował Bogu za Emmę i Jacoba Szraberów. Bez ich pomocy posiadłość byłaby w znacznie gorszym stanie. Na początku konfliktu Jacob walczył jako polski patriota w kontyngencie pułkownika Berka Joselewicza, pierwszym żydowskim regimencie od czasów Biblii. Brał udział w ciężkich walkach, przeżył i wrócił do domu, by podjąć obowiązki zarządcy włości. Jan serdecznie współczuł Szraberom, bo stracili córkę Judith i jej maleńkiego synka. Tę wieść potwierdzono zaledwie trzy dni temu: oboje wraz z dwunastoma tysiącami ludzi znaleźli się w ogniu walki, kiedy Rosjanie zdobywali Pragę.

Powstanie w Warszawie tak rozsierdziło carycę Katarzynę, że wysłała Aleksandra Suworowa – generała znanego z brutalności – by zrównał stolicę Polski z ziemią. Jego wojsko spadło od wschodu niczym szarańcza, zniszczyło Pragę i rozniosło na szablach tysiące jej mieszkańców: mężczyzn, kobiet i dzieci. Tylko płonący most i wezbrana Wisła zatrzymały wroga pod murami stolicy wystarczająco długo, by żądza krwi osłabła i zgodzono się na kapitulację.

Owego pamiętnego dnia tragiczną śmierć poniosła ogromna liczba Żydów, których wycięto do nogi przy moście, na ulicach, w domach. Krew krzepła Janowi w żyłach na myśl, że taki sam los mógł spotkać Annę, gdyby nie udało jej się przedostać przez płonący most i ukryć bezpiecznie za murami miasta. Tego samego dnia zginęli nie tylko córka i wnuk Szraberów. Śmierć w pogromie poniósł również ich ukochany zięć, który bronił Warszawy przed Rosjanami. Nie było już szans na kontynuację dobrej i dumnej żydowskiej rodziny.

Jan też brał udział w walkach, odniósł dwie rany, dostał się nawet do niewoli, jednak dzięki traktatowi pokojowemu odzyskał wolność.

Weszła Marta i zapowiedziała podwieczorek. Na jej

dobrodusznej twarzy pojawił się smutny uśmiech. Jan wiedział, że służąca martwi się o matkę, Lutiszę, która została w Warszawie, żeby troszczyć się o Annę. „Za kilka godzin obie będą w Sochaczewie – pomyślał – i wszyscy odetchną z ulgą”.

Jan i Jacob przeszli do jadalni. Emma i Jan Michał siedzieli już przy stole. Jan przyglądał się, jak córki Marty: Marcelina i Katarzyna, podają zupę grzybową. Tuż przed najazdem Rosjan mąż Marty, Walek – również patriota – zdołał niepostrzeżenie wyjechać ze swoją niewielką rodziną z Pragi, od początku skazanej na niepowodzenie. Zabrał także Jana Michała, podając go za swoje dziecko. Jan bardzo żałował, że Walek nie wywiózł również Anny, ale jako szlachcianka z pewnością zostałaby zatrzymana, a to naraziłoby pozostałych na ogromne niebezpieczeństwo. Na niewielką grupkę wieśniaków nikt nie zwracał zbytnej uwagi.

– Mam nadzieję – powiedziała Emma – że pani hrabina będzie w domu na kolacji.

Jan na chwilę zastygł w bezruchu z łyżką o kilka centymetrów od ust. Czyżby czytała w jego myślach tak jak wcześniej Jacob? Samo imię Anny – nadzieja, że nim dzień dobiegnie końca, znów zobaczy jej bursztynem nakrapiane zielone oczy – powodowało przyspieszone bicie serca i kierowało uczucia w jej stronę.

Kiedy hrabia zdał sobie sprawę, że wpatruje się w łyżkę, poczuł się śmiesznie. Uważał, że mężczyzna, który widział niejedną masakrę i który musiał zabijać, nie powinien tak łatwo ulegać emocjom. Powstrzymując łzy, odłożył łyżkę. Spojrzał na płowowłosego, ciemnookiego chłopca, którego obiecał adoptować.

– Jak ci smakuje chleb, Janie Michale?

Przeżuwając z ogromną przyjemnością pieczywo z tegorocznego żyta, chłopiec spojrzał na Jana z uwielbieniem.

– Jest pyszny!

Malec wymówił to słowo z takim entuzjazmem, że dookoła rozprysnęły się okruchy.

Wszyscy wybuchnęli gromkim śmiechem.

Na kilka minut zapanowała całkowita cisza. Przerwał ją Jacob.

– To bardzo miłe, panie hrabio, że możemy jadać posiłki w pańskim towarzystwie, ale gdy pani hrabina wróci do domu, będziemy zasiadać do stołu w swojej chacie.

– Dlaczego? To bzdura, Jacobie!

– Och, tak musi być, panie hrabio – zapewniła Emma. – Zarządca majątku i guwernantka nie powinni spożywać posiłków w jadalni Berezowskich. Zwłaszcza że gdy pani hrabina przyjedzie, będziecie mieli sporo zaległości do nadrobienia. Tyle przygotowań...

Kobieta urwała w połowie zdania i oblała się pąsem.

Jan się do niej uśmiechnął i wrócił do jedzenia zupy. Robił wszystko, by się nie zarumienić. Najwyraźniej wszyscy wiedzieli, że on i Anna zamierzają wziąć ślub.

Wkrótce Katarzyna zabrała miski, a Marcelina przyniosła ogromną wazę bigosu. Mały Jan Michał szeroko otworzył oczy, po czym uśmiechnął się promiennie na widok aromatycznej potrawy. Jan bacznie przyglądał się synkowi Anny. Prawdę mówiąc, trudno mu było uwierzyć, że malec tak szybko go polubił. Chociaż, z drugiej strony, skąd tyle wątpliwości? Przecież zawsze był opiekuńczy. Nie mógł sam sobie wytłumaczyć własnych uczuć. Czyżby górę brał strach przed dodatkowymi obowiązkami? A może dręczyło go wspomnienie ojca chłopca? Nie żałował, że na świat przyszła niewinna istotka, ale czuł się odpowiedzialny za okoliczności, które doprowadziły do narodzin malca. Jan do końca życia będzie sobie wyrzucał swoje zachowanie tamtego dnia nad jeziorem. Nawet teraz, po latach, codziennie wracała myśl:

„Gdyby tylko...”

Minęła długa chwila milczenia.

– Prawie nic pan nie zjadł, panie hrabio – zauważyła Emma.

– Po prostu jem powoli, żeby rozkoszować się bigosem, Emmo – wyjaśnił. – Jest pyszny.

Jan nie mógł się nacieszyć skromnym posiłkiem. Po wojnie w całym kraju panowała bieda. Magazyny dworów i zamków świeciły pustkami, ale Marta i jej córki jakimś cudem zdołały wyczarować niezwykle aromatyczny bigos, jakiego nie jadł od wielu lat. Powiedział to Marcie, kiedy na chwilę wyłoniła się z kuchni.

Zwyczajowo w jadalni rzadko chwaliło się kucharkę, więc jego uwaga wywołała rumieńce na policzkach służącej. Zażenowana Marta zmieniła temat.

– Och, panie hrabio, tak się cieszę, że już wkrótce pani hrabina będzie z nami, cała i zdrowa!

– Zgadzam się z tobą, Marto – wtrąciła Emma. – Nie wspominając już, że wraz z nią wróci twoja matka, Lutisza!

Jan poczuł ogromną radość, nie mógł się jednak odezwać, jeśli nie chciał zdradzić swoich uczuć. Jak on tęsknił za Anną! Tęsknił za nią od spotkania w dziewięćdziesiątym pierwszym roku, a teraz mieli zacząć wspólne życie.

Gdy Marta znów zniknęła w kuchni, Jan umoczył chleb razowy w bigosie i zaczął jeść, rozkoszując się dobrze znanym smakiem.

– . Panie hrabio – odezwała się Emma, pomagając Janowi Michałowi w jedzeniu. – Czy pani hrabina... wie coś na temat swojej kuzynki?

– Nie, Emmo. – Jan nie odrywał wzroku od talerza. – Obawiam się, że Zofia wraz z innymi mieszkańcami Pragi zginęła w falach Wisły.

– Niech spoczywa w pokoju – powiedziała Emma.

„Zofia...” – pomyślał Jan. Nigdy nikomu nie życzył śmierci, ale samo jej imię wywoływało ponure uczucia.

Zofia obudziła się nagle, rozpalona i zlana potem. Masakra na Pradze – z wszystkimi okropieństwami – odżyła w koszmarным śnie. Chora czuła gryzący dym płonących domostw, słyszała krzyki kobiet i dzieci ciągniętych ulicą jak snopy zboża, widziała błysk zakrwawionych kordów i migające w powietrzu klingi szabel. Kiedy most praski runął do Wisły, rosyjskie oddziały – z kawalerzystami na czele – nadal nacierały na tłum, spychając ludzi w kipiące fale rzeki.

Moskał, który wciągnął ją na grzbiet konia, ukradł całą biżuterię, którą miała na sobie – wszystko oprócz jednego pierścionka. Siedząc na koniu, Zofia walczyła z żołnierzem o brylantowy pierścionek, który koniecznie chciała zatrzymać, bo niegdyś należał do jej matki. W chwili kiedy wsunęła go do ukrytej kieszeni w spódnicy, krzyki ludzi wokół zamieniły się w przeraźliwe piski.

Wtedy oboje: ona i rosyjski żołnierz, zdali sobie sprawę, że utknęli w tłumie, który wojska rosyjskie spychają w stronę resztek zawalonego mostu sterczących nad spienioną wodą. Rosjanin zbladł i usiłował uciekać na swoim koniu. Zofia kurczowo do niego przywarła. Ogarnął ją strach, jakiego nigdy wcześniej nie знаła. Tłum napierał coraz bardziej; koń spłoszył się i stanął dęba.

Całą wieczność tkwili przy krawędzi zawalonego mostu. Poniżej w spienionych falach Wisły widać było tysiące ludzi. Co chwila z kipieli to tu, to tam wylaniały się jakieś głowy lub kończyny mieszkańców Pragi, którzy zdołali uciec przed szablami i kulami Moskali, ale niestety, trafili prosto w wezbraną rzekę.

W pewnej chwili zrobił się jeszcze większy tłok i koń zepchnięty z urwiska zaczął spadać, spadać, spadać...

Zofia potrząsnęła głową, chcąc uwolnić się od wspomnień. Usiadła na skraju łóżka, otumaniona przypiływem emocji. Była noc; w chacie panowała grobowa cisza. Niewielki ogień w głównej izbie rzucał nikłe, migotliwe światło, które docierało do alkowy. Hrabina spojrzała na zniszczoną spódnicę, która wisiała przy drzwiach. Zebrała resztki sił, wstała z łóżka i bosy podeszła po klepisku do swojego ubrania.

Zdjęła spódnicę i wsunęła dłoń do ukrytej kieszeni. Wyczuła pierścionek między palcami. Odetchnęła z ulgą. Prawdopodobnie będzie potrzebowała czegoś wartościowego, by opłacić powrót do Warszawy. Wyjęła brylantowe cacko i uniosła je: w nikłym świetle fasety niewielkiego kamienia zamigotały jak gwiazdy na niebie.

Anna czekała ponad dwie godziny w zimnym pokoju. Na zewnątrz zapadł zmierzch, a potem zrobiła się ciemna noc. Kiedy wprowadzono ją do biura, jakiś Moskal zadał jej po rosyjsku kilka pytań, więc odplaciła mu pięknym za nadobne. Powiedziała, że przyjechała do umierającej matki, i pokazała papiery. Spytał, czyjej podpis znajduje się pod aktem konfederacji targowickiej. Słyszając to pytanie, przestraszyła się i zarumieniła. Tak, odparła, ale natychmiast ogarnęły ją wyrzuty sumienia.

– To dobrze, pani hrabino. Sprawiał wrażenie zadowolonego.

Myślała, że rozmowa dobiegła końca. Wstała i skierowała się w stronę wyjścia.

– To jeszcze nie koniec, hrabino Berezowska-Grawlińska – powiedział. – Proszę usiąść i poczekać.

Więc czekała. Minęła następna godzina.

Wyposażenie biura, w którym została zamknięta – nalepki na teczkach, flaga, szeroki męski pas wiszący na haku – wskazywało, że zajmuje je jakiś Polak. Ktoś, kto kolekcjonuje zegary mechaniczne i słoneczne, tak przynajmniej można było sądzić, bo znajdowały się dosłownie wszędzie – stały na biurku i na stołach, wisiały na ścianach. Miarowe tykanie i kuranty powoli zaczynały działać jej na nerwy. Zegary odmierzały minuty, które jej ukradziono.

Jak mogła posłużyć się kłamstwem? Dlaczego naraziła pamięć zmarłej matki, by umożliwić sobie powrót do Sochaczewa? Czowała się podle. Och, jej nazwisko naprawdę znalazło się na liście konfederatów, ale to Zofia – bez uzgodnienia z nią – dopisała ich imiona i nazwiska do listy zachłannych i oszukanych przedstawicieli rodów szlacheckich, ludzi, którzy powinni wiedzieć, że pod żadnym

pozorem nie wolno prosić Katarzyny o interwencję i obalenie Konstytucji 3 maja. Nawet ciocia Stella przewidziała, że caryca nie poprzestanie na stłumieniu rodzącej się w Polsce demokracji i będzie chciała zagarnąć cały kraj.

W głębi duszy Anna musiała jednak przyznać, że kłamstwa czasami mogą być pożyteczne nawet w świecie, w którym obowiązuje prawda, bo kłamstwo dotyczące matki pozwoli jej powrócić do domu i rozpocząć nowe życie u boku Jana Stelnickiego. Tak samo jak podstępne umieszczenie jej nazwiska pod aktem konfederackim przyniosło większy pożytek niż prawda. Czy słusznie postąpiła? Czy takie metody można usprawiedliwić?

Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich rosyjski żołnierz, a za nim jakiś mężczyzna w staropolskim stroju z obcymi akcentami – w kontuszu, obcisłych spodniach, z kolorowym pasem na sporym brzuchu i kryzą wokół grubej szyi. Najwyraźniej został oderwany od posiłku, bo jeszcze coś przeżuwał i wycierał szpakowate wąsy. Anna uznała, że może mieć koło pięćdziesięciu pięciu lat. Wydawało jej się, że skądś go zna.

– To hrabina Berezowska-Grawlińska – przedstawił Rosjanin, pomijając milczeniem nazwisko Polaka. – Skończyłem z nią rozmawiać. Proszę ją przesłuchać i napisać raport. Jeśli nie będzie skłonna do współpracy, proszę ją zatrzymać.

– Zrozumiałem – odparł Polak.

– To dobrze! – Moskał wyszedł, głośno stukając obcasami wysokich butów o drewnianą podłogę.

Zostawił otwarte drzwi, za którymi znajdowały się inne biura.

– A teraz, mości pani, utniemy sobie miłą pogawędkę w naszym ojczystym języku, dobrze?

Polak podszedł do krzesła za biurkiem i wziął do ręki gęsie

pióro.

Nie używał jej tytułu. Podobnie jak większość szlachty podczas rozmowy pomijał wszelkie formalności. Anna poczuła przyływ nadziei, mając świadomość, że oboje są Polakami, a na dodatek przedstawicielami tej samej klasy. Liczyła, że mężczyzna okaże wyrozumiałość i szybko puści ją do domu. Jednak niepokoiło ją coś w jego oczach i niskim, chropawym głosie. O co chodzi? Czy to nie dziwne, że Polak cieszy się tak dużym szacunkiem w mieście, w którym stacjonuje rosyjski garnizon?

– Dość długo waćpani nie było – powiedział.

– Tak, to prawda... ale mam nadzieję, że już wkrótce przekroczę próg swojego dworku.

– W Topolowie... tak. Oczywiście, rozumiem. To nie powinno potrwać długo.

– Miło mi to słyszeć – odparła Anna.

Prawdę mówiąc, trochę zaniepokoił ją fakt, że mężczyzna znał nazwę jej posiadłości.

– Kiedy wyjechała pani z Sochaczewa?

– Latem tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku.

– Dawno temu.

– Mieszkałam u cioci w Haliczu, a ostatnio na Pradze. Wszystkie odpowiedzi mężczyzna zapisywał na kartce.

– Co skłoniło waćpanią do powrotu?

Anna poczuła ucisk w klatce piersiowej. Tym razem kłamstwo nie przyszło jej łatwo... jednak nie mogła zmienić wersji.

– Przyjechałam, żeby... żeby być przy matce... Jest chora. Polak uniósł jedną z krzaczastych brwi, a jego gęsie pióro zawisło w powietrzu.

– Umierająca, czyż nie tak powiedziała waćpani porucznikowi?

Anna przełknęła ślinę.

– Tak... To wystarczający powód, prawda?

– Tak. Problem w tym, że Rosjanie są podejrzliwi, czyż nie tak? – Uśmiechnął się przebiegle.

Anna poczuła się niezręcznie. Nie powinna dopuszczać, by wkładał jej w usta niebezpieczne słowa. Błado się uśmiechnęła, tak jak jej matka, gdy chciała ukryć niezadowolenie. Marzyła, by móc się znaleźć pod opiekuńczymi skrzydłami nieżyjącego od dawna ojca.

Urzędnik zmęczył się długim czekaniem na odpowiedź.

– A my, Polacy, jesteśmy pomysłowi.

– Nie życzę sobie, żeby waćpan mnie dłużej trzymał. Moja służąca chyba zamarzyła w powozie na śmierć. Jest stareńka, dlatego chciałabym zabrać ją do domu.

– Strata rodziców to ciężkie przeżycie. Ja straciłem oboje.

– Przykro mi. W takim razie rozumie pan...

– Powiem waćpani, czego nie rozumiem – przerwał jej, nie odrywając od niej maleńkich, wyblakłych oczu. – Dlaczego pani kłamie.

– Kłamię?

Serce Anny zaczęło bić szybciej.

– Nie musi się waćpani wysilać – powiedział szorstko. – Oboje wiemy, że kiedy wyjeżdżała pani przed trzema laty, rodzice leżeli w grobie!

Anna nie była w stanie myśleć; jak otepiała patrzyła na pyszałkowatego polskiego urzędnika, nagle sobie uświadamiając, że ten człowiek jest zdolny do wszystkiego.

Uśmiechał się, jakby właśnie ustrzelił łanię.

– Skąd waćpan...?

– Skąd wiem? Od prawie dwudziestu lat jestem starostą Sochaczewa!

– Starostą?

– Och, nasi rosyjscy gospodarze nie zawsze mają dobre

manieri. Porucznik mnie nie przedstawił. Hrabia Grzegorz Doliński do usług.

Anna poczuła, że dreszcze przebiegają jej po plecach, mimo to starała się zachować zimną krew. Chociaż spotkała się z nim tylko raz, wiele lat temu, od razu skojarzyła jego nazwisko. Rzeczywiście miała do czynienia z obdarzonym chropawym głosem starostą Sochaczewa. To on zajmował się sprawą morderstwa jej ojca i aresztował chłopca, który go zabił. I to on jakimś cudem pozwolił potem mordercy uciec. Otworzyła się stara rana, a do krwi Anny przedostała się gorzka trucizna, gdy sobie przypomniła, że matka na łożu śmierci przeklinała Dolińskiego.

Anna nie mogła uwierzyć, że stoi przed tym samym człowiekiem i jest zdana na jego łaskę.

Doliński wybuchnął gromkim śmiechem.

– Zastanawia się waćpani, co tu robię!? Przy swoim starym biurku, wśród swoich zegarów... i kontyngentu czerwonych diabłów!

Kiedy Anna na niego zerknęła, uśmiechnął się.

– Odczytałem pani myśli, prawda?

Anna przełknęła kluczę, która uwięzła jej w gardle; milczała.

– My, Polacy, jesteśmy pomysłowi, zawsze umiemy przetrwać, prawda? Mówiąc szczerze, Rosjanie też są mądrzy. Kiedy przejmują jakieś miasto albo kraj, nie zastępują starych urzędników swoimi ludźmi. Nie, są wystarczająco sprytni i potrafią utrzymać dawny stan, gdzie tylko i kiedy tylko mogą, więc życie toczy się dalej tak samo – albo przynajmniej z pozoru tak samo – jak przed ich najazdem na Polskę. Dzięki temu ich inwazja nie wygląda tak groźnie, jeśli dobrze mnie waćpani rozumie. Ludzie dostosowują się i nie są za bardzo skłonni do rebelii. Dlatego jestem tutaj, przy biurku, przy którym usiadłem po raz pierwszy wiele lat temu. – Zmarszczył

czoło. – Oczywiście, odpowiadam przed nimi.

Annie zabrakło słów. Została przyłapana na śmiesznym i bezużytecznym kłamstwie. Co ją skłoniło do podjęcia takiego ryzyka? To był głupi pomysł. Na dodatek przegrała pojedynek z odwiecznym wrogiem rodziny. Była pewna, że starosta ją aresztuje i w najlepszym przypadku odeśle z powrotem do stolicy, a w najgorszym... No cóż, dobrze wiedziała, ilu przedstawiciele szlachty wywieziono kibitkami na Syberię. Nagle wszystkie zegary zaczęły wybijać i wydzwaniać szóstą.

– Niech się pani zbliży. – Doliński wstał, odsunął krzesło i skierował się w stronę przeciwległego rogu pomieszczenia. – Proszę podejść i zobaczyć.

Anna niechętnie wykonała polecenie.

– Jest piękny, prawda?

Doliński mówił o wiszącym na ścianie zegarze z kukułką wyrzeźbioną z lipowego drewna. Wymalowany na żółto ptak odmierzał godzinę.

– To Austriak.

– W każdym języku to kukułka.

Spojrzał na Annę, na chwilę znieruchomiał, po czym wybuchnął gromkim śmiechem.

– Wspaniale, mościa pani. Zapamiętam to sobie. Anna się nie śmiała.

– Och, nie ma się pani czego bać. Być może nie zdąży waćpani wrócić do swojego dworku na kolację, ale myślę, że dotrze tam pani jeszcze dziś wieczorem.

– To znaczy, że nie...

– Nie zdradzę naszym rosyjskim gospodarzom, że pani skłamała?

Mówiąc to, podszedł do okna. Czyżby spoglądał na powóz? Anna najchętniej powiedziałałaby mu coś przykrego, ale wiedziała, że lepiej się nie odzywać. Wrócił do niej.

– Muszę napisać raport. Naraziłbym się na ogromne

niebezpieczeństwo, gdybym nie podał w nim prawdy.

Anna milczała, nie wierząc w jego szczerą intencję.

– My, Polacy, przetrwamy wszystko, prawda, Anno? Mogę tak się do ciebie zwracać? Och, oczywiście, nie wszyscy, ale tym najmądrzejszym na pewno się to uda. Wróćmy... do biurka.

Wziął Annę pod ramię, chcąc ją podprowadzić.

Anna uśmiechnęła się, ale uwolniła rękę. Idąc w stronę krzesła, znów poczuła kluchę w gardle. Wyobraziła sobie, że stąd wybiega. Tylko jak daleko zdołałaby uciec? Co by się potem stało? Zaaresztowano by ją? Zamknięto? Zrobiło jej się niedobrze. Kiedy usiedli, była zadowolona, że znów rozdziela ich biurko.

– Jeśli pozwolę ci odjechać, moja droga, będziesz miała wobec mnie dług.

Anna uznała, że staroście chodzi o łapówkę.

– Nie mam przy sobie wiele pieniędzy, ale mogę poprosić, żeby przysłano mi z Warszawy.

Machnął ręką lekceważąco.

– Słyszałem, że mennicę zamknięto, chociaż Stanisław bardzo prosił swoją byłą kochankę, żeby tego nie robiła. Prawdę mówiąc, mam więcej pieniędzy, niż jestem w stanie wydać, moja droga. – Oparł łokcie na biurku i złączył palce obu rąk. – Doceniam twoje obawy, ale nie chodziło mi o pieniądze, Anno Berezowska-Grawlińska.

Anna spojrzała na nalaną twarz. Jasnoniebieskie oczy Dolińskiego potwierdziły jej podejrzenia. Poczowała, że serce zamiera jej w piersiach. Co ma zrobić?

Uśmiechnął się.

– Tak czy inaczej lubię, gdy ludzie okazują mi wdzięczność.

Anna się wyprostowała.

– Byłabym bardzo wdzięczna, gdyby wyświadczył mi

waćpan przysługę. Jeśli jest pan prawdziwym Polakiem i człowiekiem honoru, taką przysługą mógłby pan zrekompensować swoje dawne przewinienie.

Na twarzy Dolińskiego pojawiło się zaskoczenie.

– Przewinienie? Anna wstała.

– To waćpan trzymał pod kluczem człowieka, który zabił mojego ojca. Feliks Paduch zdołał uciec w czasie, kiedy pan sprawował władzę. Powinien pan być zadowolony, mogąc spłacić dług wobec córki Samuela Berezowskiego.

– No proszę, widzę, że jesteś córką swojego ojca!

– Traktuję to jako komplement.

– Lubię kobiety, które mają w sobie trochę ognia. – Potem nieco twardszym głosem dodał: – Siadaj!

Anna poskromiła złość, obawiając się, że lada chwila zacznie obrzucać Dolińskiego najgorszymi inwektywami. Usiadła. Starosta pochylił się nad biurkiem.

– Masz piękne oczy, Anno... Wiesz, ja też potrafię być wdzięczny.

– Proszę mi powiedzieć, czy kobiety kolekcjonuje waćpan tak samo jak zegary?

Doliński oblał się pąsem i cofnął, jakby go ugryzła. Czy go zdenerwowała? A może miał jeszcze jakieś resztki poczucia przyzwoitości i po prostu się zawstydził? Nim starosta zdążył coś zrobić lub powiedzieć i w jakiś sposób się zdradzić, ponownie w biurze pojawił się Moskał.

– No i? – spytał porucznik.

Doliński zakaszłał, spojrział na kartkę, na której robił notatki, a potem na zaschnięty czubek pióra.

Anna poczuła, że robi jej się słabo. Mężczyzna o niebieskich, paciorkowatych oczach miał nad nią władzę. Co powie?

Rosjanin zerknął wilkiem na Annę, potem na Dolińskiego.

– No – ponaglał starostę. – Nie mogę czekać cały dzień.

– Muszę... muszę dokończyć rozmowę, poruczniku.

– Dobrze, w takim razie niech zaczeka. Mam następną osobę, którą musi pan przesłuchać. Tamta wygląda bardziej obiecująco... chociaż nie jest taka ładna.

Rosjanin puścił do Anny perskie oko. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Anna usłyszała, jak zatrząskuje się zamek.

Zofia nie wiedziała, ile dni i tygodni spędziła w maleńkiej chatce. Gorączka nie ustępowała. Chora wciąż spała kamiennym snem, budząc się tylko wtedy, gdy Danuta wycierała ją gąbką, pomagała zjeść bulion i chleb albo skorzystać z nocnika. Od czasu do czasu ojciec Danuty zmuszał Zofię do wypicia jakiejś obrzydliwej ziołowej mikstury. Syna Danuty – chłopca, który uratował chorej życie – nigdzie nie było widać.

Długo myślała, że nie przeżyje... często się modliła, żeby koniec nastąpił szybko i bezboleśnie. Czasy przyjęć, balów i zamkowych intryg wydawały się tak odległe, jakby przydarzyły się w innym życiu. Gdy gorączka ustąpiła, hrabina Grońska zaczęła powoli dochodzić do zdrowia. Ożyła, tak jak wiosną ożywa zmarznięta, martwa ziemia. Chociaż do wiosny wciąż jeszcze było daleko, Zofia ku własnemu zaskoczeniu uświadomiła sobie, że najgorsze minęło.

W miarę jak nabierała sił, poprawiał się też jej nastrój. Zaczęła myśleć o Annie. Czy udało jej się bezpiecznie dostać na drugą stronę mostu? Czy przeżyła? A Jan? Czy przetrwał rosyjski potop? Najczęściej jednak martwiła się, jak zdoła wrócić do Warszawy... i co tam zastanie.

Pewnego razu siedziała w luźnej bawełnianej sukience na twardym, pozbawionym poduszek krześle, gdy usłyszała, że ktoś wchodzi do domu. Danuta i jej ojciec udali się na wieś, bo mieli tam coś do załatwienia. Zofia zwiększyła czujność.

– Mamo? – spytał łagodny głos.

Zza rogu wyłoniła się czyjaś twarz i natychmiast zniknęła.

– Wejdz, wejdz! – zawołała Zofia.

Po chwili w drzwiach stanął młodzieniec.

– Mama wyszła. Masz na imię Jurek, prawda? Chłopak niepewnie przytaknął.

– To ty wyciągnąłeś mnie z rzeki? – dociekała Zofia, nie mogąc się nadziwić, jak bardzo ten chłopiec kogoś jej przypomina.

Znów przytaknął.

– Wejdz. Jeszcze kilka dni temu nakrzyczałabym na ciebie, że nie pozwoliłeś rzece dokończyć dzieła, ale dzisiaj jestem gotowa ci podziękować.

Zrobił dwa kroki. Był wyraźnie skrepowany.

– Ile masz lat, Jurku? Odchrząknął.

– Szesnaście, pani hrabino.

– Rozumiem. Twoja mama wysłała cię z domu, tak? – Zofia skinieniem głowy wskazała na łóżko. – To twoje?

Gdy lekko się zarumienił, spytała, gdzie sypia i jada.

– W oborze, pani hrabino. – Chłopak przestępował z nogi na nogę. – Nie jest tam tak źle.

– Z kurami i przeklętym kogutem, którego czasami słyszę?

– Tak, pani hrabino.

– I kozami, które ryczą przez cały dzień?

– Beczą. To osioł ryczy. Zofia wybuchnęła śmiechem.

– Macie i osła?

– Nie, pani hrabino.

– A owce?

– Kilka. – Jerzy wzruszył ramionami. – Przeważnie są na świeżym powietrzu, chyba że jest zamieć albo ulewa.

– A co wtedy?

Chłopak spojrzał na sufit.

– Trzymamy je na strychu.

– Tam? Nade mną? Przytaknął.

– Na tyłach domu jest rampa.

– Naprawdę? – spytała Zofia, wyobrażając sobie, że ma nad głową małą arkę Noego. – To już prawie *petit palais* – powiedziała z uśmiechem, pewna, że chłopak nie zrozumie. Wyciągnęła rękę. – Dziękuję ci, Jurku.

Zrobił krok do przodu, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi. Spojrzał na swoje brudne ręce i opuścił je. Zapanowała niezręczna cisza. Zofia z trudem próbowała stłumić chichot – nie udało jej się. Najwyraźniej chłopak nigdy nie całował damy w rękę. Dlaczego o tym nie pomyślała? Jurek się zarumienił.

Opuściła rękę i zaczęła banalną rozmowę, jednocześnie baczniej przyglądając się młodzieńcowi. Miał na sobie typowy wiejski ubiór, brudne łachmany i zniszczone, zabłocone wysokie buty. Był rostry i dobrze zbudowany. Jasne włosy okalały twarz o arystokratycznych, a nie chłopskich rysach. Wszystko wskazywało na to, że ten uroczy chłopiec o niebieskich oczach w przyszłości będzie bardzo przystojnym mężczyzną. Nie wiadomo, jakim cudem wśród prawdziwej biedy i szpetoty znalazł się piękny młodzieniec, ulubieniec bogów.

Zofia wiedziała, że Jerzy czuje się nieswojo w jej obecności – czuła, że niepokoją go jej słowa i oczy. Co dziwne, prawdziwą przyjemność sprawiało jej, że chłopak tak niespokojnie się wierci.

– Muszę iść – powiedział w końcu Jurek, odwracając się w stronę drzwi.

– Jeśli musisz, to idź... ale odwiedź mnie znowu, dobrze?

Młodzieniec jeszcze bardziej się zarumienił i zniknął.

Kiedy Zofia została sama, wybuchnęła gromkim śmiechem. Jak to wspaniale znów się śmiać! Czuła się tak, jakby zaczęła nowe życie. Miło było przebywać w towarzystwie przystojnego mężczyzny. Nawet jeśli był tak młody jak Jurek.

Wróciła do łóżka na słomiany materac, dziwiąc się, ile sił dodała jej ta krótka rozmowa. Położyła się na mocno wypchanej poduszce. Nagły przypływ energii jak się pojawił, tak szybko zniknął. Kiedy poczuła, że znów ogarnia ją słabość, zaczęła się martwić i zastanawiać, ile czasu upłynie, nim będzie mogła opuścić chłopską chatę. Jak długo jeszcze będzie wracać do zdrowia?

Nawet nie chciała myśleć o tym, z czego zdała sobie sprawę, gdy zobaczyła chłopca. Ogarnął ją słodki smutek; cofnęła się myślami o dziesięć lat. Przypomniła sobie liczne wycieczki z domu rodziców w Haliczu do sąsiedniego dworu Stelnickich w Uściu Zielonym. Witała ją tam zawsze arystokratyczna wersja Jurka. Psiakrew! Jerzy był zdumiewająco podobny do Jana Stelnickiego.

Hrabia Jan Stelnicki. Nostalgia szybko ustąpiła, a wspomnienia nabrały smaku gorzkości. Zofia liczyła, że Jan pomoże jej uniknąć małżeństwa z mężczyzną, z którym rodzice postanowili ją połączyć, gdy była jeszcze niemowlęciem. Uknęła nawet w tym celu cały spisek. Wszystko to działo się przed przyjazdem Anny do Halicza. Małej Anny Marii z rudym warkoczem i dużymi, zielonymi oczami! Jak to się stało, że kuzynka Zofii podbiła serce Jana? Jakim cudem Zofia je straciła? Wciąż nie mogła rozwiązać tej zagadki. Prawdę mówiąc, miała pewną satysfakcję, gdy zmusiła Annę do poślubienia Antoniego Grawlińskiego, mężczyzny, z którym sama była zaręczona. Zofia uśmiechnęła się na to wspomnienie. Tak, to była wyjątkowo misterna intryga!

Po chwili uśmiech zniknął z jej twarzy. Skąd mogła wiedzieć, że zaaranżowane przez nią małżeństwo tak tragicznie się skończy?... „No cóż, lepiej, że padło na nią niż na mnie” – pomyślała. Tym razem jednak musiała przyznać to, co zawsze przed sobą głęboko ukrywała – że przed

pojawieniem się Anny traktowała Jana jedynie jako sposób na uniknięcie zaplanowanego przez rodziców małżeństwa. Gdy Anna podbiła serce przystojnego sąsiada, zainteresowanie Zofii Janem wzrosło aż do szaleństwa. Była zazdrosna o kuzynkę.

Mimo to szczerze ją kochała. Sama nie mogła się temu nadziwić. Ciekawe, czy przeżyła atak Rosjan? Zofia zrobiła dosłownie wszystko, żeby Anna przepравиła się na drugą stronę mostu, dotarła bezpiecznie za mury Warszawy, do Pawła, na Piwną. Czyjej się udało? Rosjanie nie mogli wyrządzić Annie krzywdy, bo Zofia umieściła jej imię i nazwisko pod aktem konfederacyjnym.

Co z Janem? Czy przeżył? W tym wypadku prawdopodobieństwo było mniejsze. Należał do głupich bohaterów, gotowych z własnej woli walczyć z kosą w ręce przeciwko zawodowym mordercom. Jeśli jednak Anna i Jan przeżyli, ile czasu będą potrzebować na to, żeby się znów odnaleźć? Ta myśl mocno zaniepokoiła Zofię. Naciągnęła narzutę i odwróciła się do ściany. Kiedy nabierze tyle sił, by wrócić do Warszawy? Jak się tam dostanie? Jak daleko zaniósł ją prąd rzeki?

Co zastanie w stolicy? Leżąc dzień w dzień na łożu boleści, zżymała się na swoje ponure myśli i kompletną bezradność.

Dlaczego życie jest takie skomplikowane? Wróciła do Jerzego. Jak cudownie by było, gdyby miała szesnaście lat i była ładną wiejską dziewczuchą, do której by się zalecał! Długo się nad tym zastanawiała. Zajmowałaby się ogrodem, hodowała rutę i rozmaryn na paniński wianek, a gałązkami lawendy odświeżała pościel i bieliznę w kufrze z wyprawą. W noc poślubną Jerzy zdjąłby z jej głowy czepek i wziął w silne, opalone ramiona...

Żyłaby jak wieśniaczka. Zofia zastanowiła się nad tym jeszcze raz. Rozglądając się po małym i ponurym

pomieszczeniu, pomyślała o Danucie i jej ojcu, którzy odziani w nędzne łachmany wykonują swoje codzienne nużące i wyczerpujące prace. Wyobraziła sobie, że należy do ich rodziny, wyrabia ciasto, godzinami pilnuje, by garnek z bigosem stał na małym ogniu, karmi i zabija kury. Do tego wszystkiego rodzi dzieci, tak jak Lutisza robi kielbasę jedno pęto po drugim. Roześmiała się na głos. „Może w innym wcieleniu” – orzekła. Zamiłowanie do stolicy, eleganckich strojów, biżuterii, pieniędzy, mężczyzn... i władzy wzięło górę; zakiełkowało jak roślina o wyjątkowo silnych korzeniach.

Mimo to na wspomnienie Jerzego ogarniało ją dziwne ciepło. Przestała się śmiać. Z pewnością znajdzie sposób, by podziękować chłopcu.

Jan krążył niespokojnie po salonie. Dręczyły go coraz większe obawy. Ilekroć przechodził koło okna, spoglądał w mrok, na krętą zaśnieżoną aleję, która prowadziła między dwoma rzędami topól i bliźniaczymi stawami.

Zbliżała się północ, a powóz z Warszawy nie przyjeżdżał. Czy po wysłaniu listu przez Pawła data wyjazdu uległa zmianie? A może Rosjanie zatrzymali Annę? Może ją zawrócili? Albo stało się coś gorszego?

Kiedy większość świec w salonie zgasła, Jan usiadł w półmroku, ze zmartwienia napinając wszystkie mięśnie. Ponieważ uroczystość powitalna odsuwała się w czasie, odesłał Szraberów na noc do domu. Z kuchni docierały niespokojne szepty Marty i jej córek. Oczywiście, uwielbiały Annę, ale Lutisza, matka Marty, była ukochaną babcią i głową rodziny, więc bardzo się o nią martwiły.

Jan Michał głośno protestował, gdy o północy kazano mu pójść do łóżka, chociaż nadzieja na przyjazd matki zmalęła. Lepiej by było, gdyby wcześniej nie powiedziano chłopcu, że

Anna wraca do domu, ale kto mógł przewidzieć taki rozwój wydarzeń?

– Nie chcę spać! – kategorycznie oświadczył zaniepokojonej Emmie, która próbowała zaprowadzić go na piętro. – Nie chcę spać!

Nie obeszło się bez interwencji Jana.

– Przecież jesteś małym żołnierzem, prawda? – spytał brązowookiego malca, unosząc go nad głowę.

– Tak! – pisnął Jan Michał, podniecony, że znalazł się tak wysoko.

– Żołnierze muszą spać! – oświadczył Jan, stawiając malca na podłodze. – Muszą być wypoczęci, by wykonywać rozkazy króla. Chyba nie chcesz sprawić królowi zawodu, prawda?

Buźka chłopca spochmurniała.

– Nie chcę!

– W takim razie pozwolisz, żeby Emma zaprowadziła cię do łóżka?

Chłopiec długo się zastanawiał.

– Ty mnie zaprowadź, Janie!

Umowa została zawarta. Stelnicki zaprowadził chłopca na piętro.

– Czy gdy się obudzę, mama już będzie? – spytał Jan Michał, nim jego opiekun zdmuchnął świecę.

Mężczyzna pocałował brzdąca w czoło.

– Mam nadzieję, że tak... Dobranoc.

Tymczasem mamy wciąż nie było. Jan siedział przygnębiony i zdenerwowany. Co ma zrobić? Co może zrobić? Nie mógł wskoczyć na konia i popędzić w stronę Warszawy. Nie miał dokumentów podróжных, a fakt, że służył u Kościuszki, nie przysporzy mu sympatii Rosjan. Spojrzał na butelkę dobrej gdańskiej wódki, którą tego wieczoru miano wznosić toasty. Poprzysiągł sobie, że nie tknie alkoholu, póki Anna nie będzie bezpieczna w domu.

Długo walczył z sennością, ale przygotowania do powrotu ukochanej tak go zmęczyły, że zasnął na krześle.

Zegar wybijał trzecią, gdy Jan nagle się obudził.

Ktoś dotknął jego ramienia. Kiedy otworzył oczy, ujrzał twarz Walka. Ogień w palenisku zgasł, w salonie było zimno i ciemno.

– O co chodzi? – spytał Jan. – Co się stało, Wałku? Masz jakieś wieści?

– Tak, panie hrabio.

Jan uniósł gwałtownie głowę, czując, że strach ściska mu gardło.

– Na litość boską, człowieku, powiedz, o co chodzi!

– Przyjechał powóz pani hrabiny.

Jan w mgnieniu oka poderwał się na nogi.

– Przyjechała? Jest tutaj?

Włożył na siebie surdut i ruszył w stronę drzwi.

– Proszę poczekać, panie hrabio!

– Co takiego? O co chodzi?

– Powóz już został rozładowany. Nie ma w nim ani ludzi, ani bagażu.

– Rozładowany?! W takim razie gdzie jest...?

Wałek uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Pani hrabina i Lutisza są w kuchni z moją żoną i dziećmi. Janowi zakręciło się w głowie. Zrobiło mu się wstyd, że zasnął i nie on pierwszy powitał Annę.

– Co ją zatrzymało?

Wałek wzruszył ramionami.

– Pani hrabina sama powie.

Jan ruszył w stronę kuchni, czując, jak serce niespokojnie wali mu w piersiach. Usłyszał dobiegającą stamtąd ożywioną rozmowę.

Najpierw ujrzał tył głowy Anny, czerwony połysk

kasztanowych warkoczy oświetlonych przez ogromne kuchenne palenisko. Lutisza siedziała naprzeciwko swojej pani i dlatego to ona pierwsza ujrzała wchodzącego. Uniosła głowę i uśmiechnęła się; jej córka i wnuczki zamilkły. Anna odwróciła się na krześle i wstała, by się przywitać. Miała na sobie szarą wymiętą suknię podróżną. Napięcie, które Jan dostrzegł na twarzy Anny, po kilku sekundach zniknęło.

– Witaj, Janie! – zawołała, nie myśląc o etykiecie.

Jan bez słowa podszedł, wziął ją w ramiona i pocałował. Nie widział Anny od dwóch lat, długich dwóch lat, które teraz się ulotniły dzięki jednemu uściskowi. Zapomniał o oficjalnych pocałunkach w oba policzki i namiętnie przywarł do jej warg. Wtuliła się w niego całym ciałem, nie pamiętając o bożym świecie. Jan odsunął się na chwilę, by złapać oddech... po czym znów obsypywał ją pocałunkami.

Kiedy w końcu się od niej oderwał, ujrzał, że jej szmaragdowe oczy są pełne łez. Poczul przyływ miłości. Dopiero wtedy oboje sobie uświadomili, że niestosownie się zachowywali, na dodatek w obecności służby... i że wszyscy zebrani nie odwracają od nich wzroku. Anna oblała się pąsem.

– Najmocniej przepraszamy – powiedział Jan.

Lutisza i Marta również się zarumieniły. Marta, jej córki i syn próbowali stłumić chichot.

Tym razem Lutisza zaskoczyła wszystkich obecnych.

– Bogu niech będą dzięki! – oświadczyła. – Tak każdy Polak powinien witać się ze swoją ukochaną!

Zebrani parsknęli śmiechem, całkowicie zgadzając się z nestorką rodu, dzięki czemu zmieszanie Jana i Anny zniknęło.

– Prosiłam, żeby cię nie budzili – tłumaczyła Anna, patrząc z wyrzutem na Walka.

– Najmocniej przepraszam, madame, ale doszliśmy do wniosku, że pan nie byłby z tego zadowolony.

– To prawda! – zawołał Jan. – Dobrze mówisz!

Nie powiedział nic więcej z obawy, że się rozplacze. Przypuszczał, że Anna chciała przywitać się z nim na osobności.

– Przepraszam, panie hrabio – wtrąciła Marta. – Powinnam obudzić pana, gdy Walek wyszedł wprowadzić powóz do stajni, ale... ale tak bardzo chciałam zobaczyć mamę, że zapomniałam o bożym świecie. Wszyscy wybiegliśmy przed dom.

– Rozumiem, Marto – zapewnił Jan z uśmiechem. Wnieśli krzesła i usiedli razem, jakby należeli do jednej klasy, jednej rodziny. Rzeczywiście, była ku temu wyjątkowa okazja i najwyraźniej nikt nie miał żadnych zastrzeżeń. Anna opowiedziała im o przebiegu podróży do domu.

– Czekanie w biurze starosty było bardzo przykre i uciążliwe, ale w gorszej sytuacji znajdowała się Lutisza, bo przez cały czas musiała siedzieć w zimnym powozie. Dzięki Bogu, że ma tyle sił i cierpliwości!

Kiedy okrągła twarz Lutiszy oblała się rumieńcem, wnuki zaczęły z niej żartować. Wtedy staruszka zarumieniła się jeszcze bardziej.

Jan wysłał Warka do salonu po butelkę wódki, a potem wszyscy wnieśli toasty za zdrowie, za Polskę i za króla.

Dopiero tuż przed wschodem słońca Anna i Jan zostali w salonie sami. Jan rozniecił ogień w wygasłym piecu i zapalił nowe świece. Bacznie przyglądał się Annie w migotliwym świetle.

– Dlaczego, do diabła, powiedziałaś im, żeby mnie nie budzili, Aniu?

– Nie wiem. Chyba się bałam. Dwa lata to tak długo... Co z twoją raną... Tak niewiele o niej pisałeś... Nie wiedziałam, czego się spodziewać.

– Miałem ranę barku... Nic wielkiego. – Wzruszył ramionami. – Kawalerzysta zrzucił mnie z konia.

– Boli?

– Nie, już się zagoiła. Została tylko niewielka blizna. Zapewniam cię, że Moskał drogo zapłacił za swoją niecelność.

– Roześmiał się nerwowo. – Mam nadzieję, że ten drobny defekt nie będzie miał wpływu na naszą umowę.

– Jaką umowę?

Zsunął się z krzesła i przyklęknął przed Anną. Ujął jej rękę.

– Wyjdiesz za mnie za mąż, Anno? Przytaknęła. Czowała, że się rumieni.

– Minęło tyle czasu... Jesteś pewien?

– Oczywiście! – odparł szybko, lecz po chwili zastygł w bezruchu i spojrzał w jej zielone oczy. – A ty?

Opuściła powieki z długimi rzeszami i dwukrotnie nabrała powietrza w płuca, nim zdołała odpowiedzieć:

– Tak... Janie, dwa lata temu... w Haliczu... przyłączyłeś się do Kościuszki, nim zdążyłam ci wyznać... że cię kocham.

Jana coś chwyciło za serce.

– Och, Anno, przecież wiesz, że cię kocham!

– Tak, ale potem tysiąc razy żałowałam, że pozwoliłam ci iść na wojnę, nie wyznawszy ci... Gdyby coś ci się stało...

– Aniu – powiedział Jan, ściskając jej dłoń. – Wiedziałem. Naprawdę wiedziałem. Jak mogłaś przypuszczać, że o tym nie wiem? Wtedy nie były potrzebne słowa. Tak samo jak teraz.

Anna nie spuszczała z niego wzroku. Zamiast się rozplakać wybuchnęła śmiechem.

– W takim razie niepotrzebnie się martwiłam. Przyciągnął ją do siebie i pocałował namiętnie, wsuwając język między wargi. Nie całował jej tak od pamiętnego dnia ponad trzy lata temu. Kiedy lekko uniósł powieki, ujrzał szeroko otwarte, zielone oczy Anny. Odsunął się.

– Całujesz się z otwartymi oczami!

W odpowiedzi obdarzyła go promiennym uśmiechem.

– Musiałam się upewnić, że to naprawdę ty, Janie, a nie sen.

Stelnicki też się uśmiechnął.

– I jak brzmi werdykt?

Tym razem Anna pocałowała go bez zahamowań. Objął ją. Miała ciepłe i słodkie usta.

– Weźmiemy ślub tak szybko, jak tylko to będzie możliwe – szepnął Jan, nieco się od niej odsuwając. – W przyszłym tygodniu...

– Och, Janie, przecież obowiązują pewne zasady. W kościele muszą wyjść zapowiedzi...

Urwała i zbladła jak płótno. Jan roześmiał się w głos.

– Wiem, o czym myślisz. Że jestem arianinem. Chyba cię jednak zaskoczę: zostałem katolikiem.

Zrobiła okrągłe oczy.

– O to się najbardziej martwiłaś, prawda?

– Kiedy... dlaczego?

– W ubiegłym roku, ale decyzję podjąłem znacznie wcześniej... wtedy, gdy prosiłaś, żebym został ojcem chrzestnym twojego synka, a ja nie mogłem, bo nie byłem katolikiem. Nawróciłem się, żeby moje wyznanie nigdy więcej nie stanowiło żadnej przeszkody. A jeśli chodzi o pozostałe zasady, Polska właściwie nie istnieje, więc zasady też diabli wzięli!

– Janie, naprawdę masz zamiar postąpić tak, jak napisałeś, jeśli chodzi o Jana Michała?

– Pytasz, czy uznam go za syna? Oczywiście! Chociaż dwóch Janów w jednym domu może powodować spore zamieszanie. Może powinnaś mówić do mnie „Janku”?

– Nie, wołałabym nie – zaprotestowała Anna nieco zbyt szybko i gwałtownie.

– Nie podoba ci się to zdrobnienie?

– Nie! – odparła zdecydowanie, chcąc zamknąć dyskusję. Jej reakcja nieco go zaskoczyła, ale ponieważ Anna się uśmiechnęła, Jan odsunął od siebie wszelkie wątpliwości i jeszcze raz ją pocałował.

– Jeśli chodzi o imię – powiedziała Anna – znajdziemy jakieś rozwiązanie.

– Myślę, że powinnaś się przespać; muszę iść i pozwolić ci odpocząć.

Jan wstał, chociaż wcale nie chciał wychodzić. Marzył o pocałunku... ale się obawiał, że na jednym nie poprzestanie...

– Iść?

– Tak, mieszkam u Szraberów.

– Przecież w dworku są dwa pokoje gościnne. – Anna wstała. – Nie mieszkałeś tutaj?

– Mieszkałem, ale teraz narażałbym na szwank twoje dobre imię. – Jan poczuł, że się rumieni. – Do naszego ślubu skorzystam z gościny Jacoba, Anno. – Usiłował się roześmiać. – Co powiedziałyby Lutisza?

Anna przez chwilę się zastanawiała.

– Często odnoszę wrażenie, że to wieśniacy ustanawiają zasady moralne dla szlachty.

– Powiadają – dodał Jan – że czasami podszewka jest lepsza niż płaszcz.

Oboje wybuchnęli śmiechem.

– Aniu!

– Tak?

– Czy... czy starosta dobrze cię potraktował? Odwróciła wzrok.

– Podejźmy do okna, Janie. – Trzymając go za rękę, ani na chwilę nie przestawała mówić: – Rzeczywiście, kazał nam długo czekać, ale wszystko dobrze się skończyło... Spójrz, Janie, wkrótce będzie wschód słońca!

Nieco później hrabia Stelnicki, zmierzając do chatki

Szraberów ze wzrokiem utkwionym w zaróżowione niebo, nie wiadomo dlaczego wrócił myślami do Jana Michała. Jego entuzjazm nieco osłabł. Przyrzekł adoptować chłopca i uznać go za syna. Naprawdę miał taki zamiar. Dlaczego więc dana obietnica tak bardzo ciążyła mu na sercu?

Przed pójściem do swojego pokoju Anna zajrzała do syna. Jaśniutkie włoski z okresu niemowlęcego nieco pociemniały, ale twarzyczka nadal przypominała bużkę cherubinka. Anna nie miała odwagi go budzić. Usiadła więc na ławie w oknie wykuszowym i obserwowała, jak rodzi się dzień. W pewnym momencie zając przebiegł po śniegu i zniknął w kępce nagich akacji w pobliżu stawu.

W samotności ożyło wspomnienie twarzy, głosu i dotyku Grzegorza Dolińskiego. Wiele godzin spędziła w jego biurze, słuchając tykania i dzwonienia zegarów. Czekala, nie wiadomo po co i dlaczego. Bo tak chciał starosta. Potem po prostu pozwolił jej wyjść.

– Mam nadzieję, że będzie waćpani zadowolona ze swojej wizyty – powiedział, gdy wychodziła.

Anna się odwróciła.

– To nie wizyta – odparła oschle. – Wróciłam do domu. Doliński tylko się uśmiechnął.

– Tym lepiej.

Jego słowa wypowiedziane chropawym głosem zmroziły jej krew w żyłach, ale postanowiła, że nie pozwoli, by ten człowiek – mężczyzna, który umożliwił ucieczkę mordercy ojca – ją prześladował.

Postanowiła, że posiedzi w oknie wykuszowym jeszcze chwilę. To właśnie z niego w czerwcu tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku ku swojemu przerażeniu ujrzala wieśniaków wiozących do domu zwłoki ojca. Ożyły wspomnienia o uwielbianym tacie i o tamtych okropnych

chwilach. Chłopi pańszczyźniani pracujący na ziemi ojca kochali go i szanowali, wszyscy oprócz jednego drania, Feliksa Paducha, który odebrał mu życie. Ironia polegała na tym, że ojciec bardzo dobrze traktował chłopskie rodziny na terenie swojego majątku i wierzył, że Konstytucja 3 maja zbliży kraj do demokracji.

Śmierć hrabiego Berezowskiego dała początek dalszym tragediom... Anna potrząsnęła głową, chcąc odsunąć od siebie przykre myśli. Pierwsze promienie słońca zaczęły rozjaśniać granatowe niebo. Obserwując pokrytą śniegiem przestrzeń, która właśnie nabierała różowego blasku, Anna zmusiła się, by wrócić do chwili obecnej. Wkrótce weźmie ślub. Jan przeszedł na katolicyzm, więc ostatnia przeszkoda została usunięta. Przypomniała sobie, jak przed laty Stelnicki tłumaczył jej, że nie odrzuca bogów z innych religii, ale on sam wierzy w boga, którego znaleźć można w kwiatach, drzewach i błękiecie nieba. Wówczas ją zaskoczył, ale po pewnym czasie zaczęła go rozumieć. Oczywiście jego nawrócenie wcale nie oznaczało, że porzucił obrazoburcze przekonania. Zrobił to wyłącznie ze względu na nią.

Uśmiechnęła się, wzruszona tą myślą. Nie mógł wiedzieć, że jego wierzenia religijne nie są dla niej żadną przeszkodą. Nic nie stanowiło przeszkody. Zwłaszcza po tym wszystkim, co się wydarzyło. Tylko nigdy nie będzie mówić do niego „Janku”. Tego zdrobnienia użyła niegdyś Zofia, udając, że ona i Jan są sobie bliżsi niż w rzeczywistości. Anna zdawała sobie sprawę, że kuzynka z całą premedytacją chciała wówczas udaremnić jej związek z Janem. „Och, wtedy rzeczywiście go udaremniła, ale już nigdy więcej tego nie robi” – pomyślała Anna.

Przestała się zastanawiać, czy będzie szczęśliwa. Wiedziała, że będzie.

Dostrzegła za oknem jakiś ruch. Gdy spojrzała na poranne

niebo, ujrzała białego orła, który zataczał kręgi na purpurowym niebie.

Piątek, 2 stycznia 1795

– Zofio! Zofio!

Hrabia Paweł Potecki krzyknął przez sen i obudził się, słysząc własny głos. Uniósł głowę i otarł pot z twarzy. Znów mu się śniła. Wydawała się taka rzeczywista i była tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć jej dłoni. Niestety, robiąc krok w jej stronę, wcale się do niej nie przybliżył. Nie pomogły i następne, bo zniknęła w gęstniejącej mgle.

Przyszło mu na myśl, że dokładnie tak samo wyglądał ich związek. Byli sobie bardzo bliscy, a jednak istniał między nimi narzucony przez nią dystans, który dawał Zofii ogromną władzę. Jak to się stało, że tak uległ jej urokowi?

Odrzucił przykrycie i usiadł na brzegu łóżka. Przez chwilę próbował otrząsnąć się ze snu.

Po kilku minutach wstał i podszedł do okna sypialni. Ostatnio robił to każdego ranka, by sprawdzić, co się dzieje w stolicy. Oglądana z pierwszego piętra ulica Piwna była stosunkowo cicha. Jakiś straganiarz pchał wózek w stronę rynku. Tu i tam przechodnie z twarzami zaczerwienionymi od mrozu pochylali głowy, by uchronić się przed podmuchami wiatru wiejącego od Wisły.

Dzwony pobliskiego kościoła Świętego Marcina wybiły ósmą. Paweł doszedł do wniosku, że nikt by się nie domyślił, iż tak niedawno Warszawa przeszła w ręce wroga. Zniszczeniu nie uległ ani jeden budynek. Ucierpiała tylko Praga. To na niej Rosjanie wyładowali całą złość. „Zdewastowali Pragę – pomyślał z goryczą – i złamali serca Polaków”.

Wygląd Warszawy nie odzwierciedlał fatalnej sytuacji politycznej. Ostatnio rozeszła się pogłoska, że król Stanisław

prosił zwycięzcę, by pozwolił zachować monarchię, a w zamian Polska związałaby się traktatem pokojowym z Rosją. Paweł był w stanie sobie wyobrazić, jak z propozycji króla śmiała się caryca Katarzyna. Na pewno w tym momencie porzuciła obowiązujący na rosyjskim dworze język francuski na rzecz barwnych niemieckich przekleństw. Propozycja przypominała ptaka bez skrzydeł – podobnie jak status Polski od wielu lat. Była kochanka króla Stanisława na tym nie poprzestała i, na Boga, wynagrodziła generała Suworowa buławą marszałkowską za masakrę Pragi! Nie, Polska będzie traktowana tak, jak na to zasługuje, czyli jak podbity wrogi kraj.

Polacy, którzy brali udział w insurekcji, zostali aresztowani i wywiezieni na Syberię. Jakimś cudem król Stanisław zdołał przekonać – albo przekupić – Suworowa, by nieco pobłażliwiej potraktował polskich oficerów. Skorzystali na tym i Paweł, i Jan Stelnicki. Paweł modlił się, by szczęście dopisywało im nadal. Aż za dobrze wiedział, że przestało się uśmiechać do burmistrza stolicy, Ignacego Zakrzewskiego. Suworow nie dotrzymał słowa. Zapewnił Polaka, że będzie bezpieczny, gdy wróci do stolicy, bo Warszawa potrzebuje jego zdolności przywódczych. Zakrzewski wrócił. Katarzyna miała jednak wobec niego inne zamiary i zapewniła burmistrzowi polskiej stolicy wyprawę w najzimniejsze okolice Rosji.

Paweł się ubrał – nie nosił już munduru – w buty ze sprzączkami, bryczesy, krótką kamizelkę, krawat i surdut. Zszedł na parter, żeby obudzić służącego i napić się kawy. I służby, i kawy było ostatnio w stolicy jak na lekarstwo. Odkąd Paweł odesłał Annę do Jana, w domu panowała wyjątkowa cisza. Anna i Jan – przynajmniej jeden pozytywny wynik potwornego bałaganu.

Paweł wbił wzrok w kawę, którą przyniósł mu wieloletni

służący, Fryderyk, jakby na cygańską modłę próbował odczytać z fusów przyszłość ojczyzny, ale zobaczył jedynie ciemny jak atrament napój. Co może się stać? Polska znikła z mapy świata i nic, naprawdę nic, nie mogło temu zapobiec. Nikt nie mógł pomóc. Dlaczego więc Paweł czuł się odpowiedzialny za losy Polski?

W ostatnich godzinach przed klęską rozpaczliwie walczył za ojczyznę. Doskonale się spisał, ale późno przyłączył się do patriotów. Powinien stanąć pod sztandarami Kościuszki wcześniej, znacznie wcześniej, tak jak Jan Stelnicki. Zwłaszcza że nie tchórzostwo powstrzymywało go przed podjęciem takiego kroku. Przynajmniej nie to, co powszechnie uważa się za tchórzostwo.

Nie opowiedział się po stronie insurekcji z powodu ślepoty. Przedtem nie zwracał uwagi na ciężki los prostego człowieka, chłopca, w Polsce i na całym kontynencie. Dopiero po przyłączeniu się do patriotów Kościuszki zrozumiał swój błąd. Poznał tysiące odważnych prostych ludzi, którzy porzucili domy i rodziny, by walczyć za Polskę. Owszem, Konstytucja 3 maja obiecywała demokrację i lepsze życie, ale Paweł wątpił, by to dla niej chłopcy chwycili za kosy i inne rolnicze narzędzia, które nie były przeznaczone do zabijania wrogów. Żył wśród nich, walczył u ich boku, z nimi jadł i sypiał na twardej ziemi, z nimi świętował i płakał. Podziwiał Franciszka, który miał trzynaścioro wnucząt; Baltazara o wierze tak ogromnej jak jego obwód w pasie; młodego Kazimierza, idealistę i świeżo upieczoną małżonka. Żaden z nich nie wrócił do domu i do najbliższych. Oni i tysiące im podobnych bardziej myśleli o Polsce i zagrożeniu ze strony wrogich państw niż o czymkolwiek innym. Trwające od stuleci najazdy Szwedów, Turków, Tatarów, Kozaków i innych nacji sprawiły, że chłopcy byli do szpiku kości przesiąknięci patriotyzmem.

Paweł musiał przyznać, że brał jeszcze pod uwagę Zofię. I to głównie dla niej został w domu, z dala od wszelkich niebezpieczeństw. Bardzo długo nie był w stanie jej zostawić, a gdy z szacunkiem zaczął mówić o Kościuszcze, stać ją było tylko na szyderstwa.

Znacznie wcześniej, nie zważając na jego przekonania i zasady, skłoniła go, by przystąpił do targowicy. Robiąc to, stał się współnikiem magnatów, którzy nie chcąc stracić dotychczasowej władzy i wpływów, zaprosili carycę Katarzynę do Polski. Gdy teraz o tym myślał, robiło mu się niedobrze.

Po jakimś czasie próbował się zrehabilitować, zasilając szeregi patriotów Kościuszki. Doskonale pamiętał reakcję Zofii: wybuchnęła gniewem, który trwał niemal pół godziny. Nie przypominał sobie słów, które padły wówczas z obu stron, wciąż jednak miał przed oczami jej piękną twarz oszpeconą złością i ostatnie zdanie rzucone, gdy już wychodził:

– Umrzesz, Pawle Potecki, umrzesz jak ostatni głupiec! Tylko za co? Za mapę i granice, które przesuwają się z roku na rok, niezależnie od starań ludzi takich jak ty!

Tymczasem to Zofia umarła. Paweł czuł, że ogarnia go rozpacz, którą dotychczas starannie ukrywał. Wypił kawę.

Anna przekazała mu dokładne informacje. Opowiedziała, że podczas ataku na Pragę napadł na nią jeden z najbardziej krzepkich żołnierzy rosyjskich. Zofia odwróciła jego uwagę, żeby Anna mogła przejechać na drugą stronę mostu i ukryć się bezpiecznie za murami Warszawy. Paweł wiedział, że Zofia była zbyt przebiegła, by nie zdawać sobie sprawy, iż w ten sposób sama naraża się na niebezpieczeństwo. Rozdygotana Anna, z trudem wymawiając słowa, wyznała, że Zofia spadła ze zniszczonego mostu w zimne, spienione fale Wisły, płacąc najwyższą cenę za swoje poświęcenie.

Wszyscy byli przekonani, że Zofia nie żyje, jednak Paweł

w głębi duszy nie mógł się z tym pogodzić. Czy to przecucie? A może głupia nadzieja? Po prostu nie wierzył, by ktoś tak pełen energii i radości życia mógł zginąć w taki sposób.

Oczywiście zaczął jej szukać; całymi dniami jeździł wzdłuż brzegu i wypytywał o nią mieszkańców wiosek oraz samotnych chat. Niewiele ofiar przeżyło kąpiel w lodowatej rzece. Pewnego razu natknął się na grupkę wieśniaków, którzy kopali zbiorowy grób. Spieszyli się, bo lada chwila mróz mógł skuć ziemię. Podjeżdżając do nich, zastanawiał się, czy Zofia leży pod zwłokami, które chłopci już wrzucali niczym potopione kocięta do wykopanego dołu.

Słyszał, że przeżyło kilka osób – mężczyzn i kobiet – którym wieśniacy przyszli z pomocą, a potem odesłali do Warszawy albo gdzie indziej. Toteż chociaż po trzech tygodniach przerwał poszukiwania i wrócił do stolicy, wcale nie stracił nadziei. Wbrew zdrowemu rozsądkowi wciąż sobie powtarzał, że jego ukochana jeszcze może się pojawić.

Dziesiątki razy proponował jej małżeństwo, a ona dziesiątki razy mu odmawiała. Przyjaciele nie rozumieli jego obsesji na punkcie Zofii. Utrzymywał, że jej nie znają, a przynajmniej nie tak dobrze jak on. Słyszeli tylko plotki, chociaż niektóre oparte były na faktach. Paweł również dostrzegał jej zmienność, egoizm i nieokiełznaną zmysłowość. Niemniej wiedział, że Zofia ma też pozytywne cechy, które pozwalały wierzyć, że się odmieni. Takie właśnie cechy wzięły u niej górę, gdy uratowała kuzynkę. Mimo to Zofia była dla niego nieosiągalna jak postać w snach.

Paweł uniósł porcelanową filiżankę i rzucił ją na podłogę. Rozprysnęła się na setki kawałeczków, tak że nawet optymistycznie usposobiony Fryderyk nie będzie w stanie jej posklejać. Hrabia ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął płaczem.

Godzinę później wyszedł z domu dokładnie wtedy, gdy zegar u Świętego Marcina wybijał dziesiątą. Do Zamku Królewskiego było niedaleko.

Wartę na zamku pełnili teraz Moskale. Od czterech dni usiłował załatwić sobie audiencję u króla i cztery razy mu odmówiono. Powiedziano mu, że król nie przyjmuje. Nie miał powodów, by się spodziewać, że tego dnia będzie inaczej.

Zastanawiał się, co może wyniknąć ze spotkania z królem. Dlaczego tak uparcie do tego dąży? Czy można zmienić coś na lepsze? Nie wiedział, mimo to postanowił jeszcze raz spróbować. Podczas spotkania z Kościuszką i jego armią, składającą się ze szlachty i chłopstwa, Paweł nabrał jakiejś dziwnej wiary i hartu ducha, które teraz popychały go do działania. Nie mógł siedzieć beczynnym i patrzeć, jak Polska upada.

Poprzednio kilka razy mijał wartownika przy Bramie Senatorskiej. Tego dnia strażnik, rozpoznając go, lekko się uśmiechnął i machnął ręką, żeby wszedł. Z parteru Paweł powędrował białymi marmurowymi schodami na pierwsze piętro, kierując się do Sali Tronowej przez Salę Wielką.

– Potecki! – ktoś szepnął, kiedy Paweł przechodził przez Salę Rycerską.

Paweł odwrócił się w prawo i w uchylonych wysokich, ozdobnych drzwiach zobaczył bladą twarz króla.

– Tędy – powiedział król Stanisław, wciągając Pawła do Pokoju Marmurowego. – Szybko!

– Wasza Królewska Mość! – Paweł się skłonił i wykonał polecenie monarchy.

– Siadaj – powiedział król, zamykając drzwi. – Cieszę się, że cię widzę, Pawle. Służący powiedział, że od początku tygodnia codziennie pojawiaasz się na zamku. Dzisiaj stanąłem na czatach, żeby cię złapać. Tylko sobie wyobraź, zachowuję się jak szpieg wśród szpiegów w moim własnym domu!

– Wasza Królewska Mość nie może się z nikim widywać?

– Wpuścili kilku niewydarzonych głupców, aby ludzie myśleli, że wszystko jest jak dawniej, ale nawet gdyby pozwolili ci na normalną audiencję, ktoś siedziałby w pobliżu i robił notatki. Tego możesz być pewien.

Król przypuszczalnie zbliżał się do siedemdziesiątki. Nie włożył na głowę pudrowanej peruki – ostatnio niewiele osób je nosiło – a przerzedzone siwe włosy zaczesał do tyłu i związał. Miał pospolitą twarz i ptasie oczka, które zdradzały smutek pomimo pozornych uśmiechów. Przez chwilę rozmawiali o grudniowej pogodzie, szansach na długą zimę i poruszali inne prozaiczne tematy. Zwykle formalności. Wyglądało na to, że żaden nie jest w stanie zmusić się do dyskusji o rozpaczliwej sytuacji kraju. W końcu po długiej, niezręcznej przerwie król ciężko westchnął i spytał:

– Jak się żyje ludziom? Paweł zacisnął wargi.

– Pod niektórymi względami jest im teraz lepiej. Otwarto spichrze, więc powoli cichną krzyki, że grozi głód. Rosjanie przestali też wyrzucać żołnierzy ze szpitali.

– Hm, czy to możliwe, żeby Suworow okazywał resztki człowieczeństwa? A może to buława marszałkowska sprawiła, że złagodniał?

– To tylko etap przejściowy. Lis może zmienić skórę, ale nie swoje przyzwyczajenia. Znajdą się inne dziedziny, w których zaborcy pokażą, kto tu rządzi.

– Oczywiście, masz rację. Ludzie zmieniają się bardzo wolno albo wcale. A co z narodem, moim narodem? Co moi poddani myślą o swoim królu?

– Poddani zawsze będą stali po stronie swojego króla. Coś takiego z pewnością powiedziałby każdy pochlebca, ale Paweł wiedział, że to prawda. Och, król miał w swojej ojczyźnie wrogów, a większość Polaków znała jego słabostki, mimo to kraj popierał swojego władcę.

- Tylko że ja nie jestem Tadeuszem Kościuszką.
- Wcale tego nie oczekują od Waszej Królewskiej Mości. Paweł uznał, że tym razem chyba jednak było to pochlebstwo.
- Zawiodłem naród. I wciąż go zawodzę. Ludzie, którzy codziennie pojawiają się na stopniach zamku, mają nadzieję, że mnie zobaczą, że będą mogli poprosić o pomoc. Otrzymuję listy, setki listów, Pawle! Chcą po prostu godnie żyć. Albo godnie pochować bliskiego, który zginął na wojnie. Serce mi się kraje. Taka sytuacja mnie upokarza. Powinienem zrobić więcej.
- Tylko co?
- Mogłem posłuchać dziewczyny, która w październiku przyszła do mnie i powiedziała o planach powstańców. Mogłem spróbować namówić ich, żeby poczekali na Kościuszkę. Wtedy rebelia nie byłaby tak krwawa, a Katarzyna nie spuściłaby ze smyczy swojego najgorszego psa. Suworow zapłaci za to w piekle!
- A dlaczego Wasza Królewska Mość tego nie zrobił? To znaczy nie posłuchał jej?
- Byłem pewien, że Kiliński i inni przywódcy powstania nie wezmą pod uwagę moich słów, niemniej powinienem spróbować. Naprawdę. Jak miała ta dziewczyna na imię? Anna?
- Tak, Panie, Anna Berezowska-Grawlińska.
- Bardzo odważna osobka.
- Tak, Panie.
- Potrzeba odwagi, by pomimo tak młodego wieku przyjść do króla i zasugerować mu, co powinien zrobić.
- To prawda – pomyślał Paweł. Wiedział, że po tym spotkaniu uczucia Anny do króla uległy zmianie. Były silne... i ambiwalentne. Uznała Stanisława Poniatowskiego za kwintesencję elegancji i dobrych manier, prawdziwego i żarliwego mecenasa nauki, sztuk pięknych i literatury.

Uważała jednak, że jako przywódca jest słaby i nieudolny.

– Wtedy jeszcze mogłem coś zrobić – powiedział król, jakby w odpowiedzi na myśli Pawła – ale teraz jestem bezsilny. Nawet gdy wysyłano na Syberię burmistrza stolicy, cóż mogłem zdziałać? Nic, jedynie dać mu futro... i to zrobiłem. Futro! Jakie to smutne, Pawle, jakie smutne!

– Co teraz będzie, Wasza Królewska Mość?

– Jestem pewien, że nawet chłopci mieszkający z dala od Warszawy wiedzą, iż zaborcy podzielą między siebie nasz kraj. Krążą pogłoski, że Prusacy mają chrapkę na Warszawę. I chcą mnie usunąć. Twierdzą, że byłbym przeszkodą. Oczywiście, byłym, choć niewielką.

– Czy Wasza Królewska Mość ma jakieś wieści od...?

– Katarzyny? Tak, prawdę mówiąc, wczoraj dostałem od niej list. – Król prychnął. – Chce, żebym wyjechał do Grodna. Na Litwie! Wyobrażasz sobie? Żebym spędził ostatnie lata życia w strzeżonym prowincjonalnym zameczku... jak jakaś wyrzucona królowa angielska!

Jeśli chodzi o carycę Katarzynę, Paweł był w stanie wyobrazić sobie wszystko.

– I co?

– Czy wyjadę? Podałem kilka powodów, które zatrzymują mnie w Warszawie... słabe zdrowie, kiepskie powozy, pogoda, zły stan zaniku w Grodnie. Sporządziłem całą listę. Będę zwlekać, a może w tym czasie Katarzyna i Prusacy z jakiegoś powodu wezmą się za łby i zmienią plany.

Paweł nie rozumiał, dlaczego spór między carycą Katarzyną a Prusami miałby okazać się korzystny dla Polski, ale postanowił nie podejmować tematu.

Obaj usłyszeli jakiś ruch w sąsiedniej Żółtej Sali.

– Chyba szukają mnie, Pawle. Na zbyt długo zniknąłem im z oczu. Wrócisz w poniedziałek? Chciałbym coś z tobą przedyskutować. Coś ważnego.

Służący wprowadził Annę do maleńkiego pokoiku na plebanii. Anna najbardziej bała się formalności związanych z małżeństwem.

Po chwili wszedł łysiejący ksiądz i uśmiechnął się na powitanie.

– Bardzo się cieszę, pani hrabino, że wróciła pani do Sochaczewa.

– Dziękuję, ojcze Łukaszu.

– Nie denerwuj się, dziecko. To tylko formalność. Usiądź.

Anna przytaknęła i wykonała polecenie. Kiedy oboje siedzieli, ksiądz przemówił tonem, którego pewnie używał w konfesjonale.

– To całkiem normalne, że narzeczona denerwuje się podczas rozmowy o swoim ślubie. – Zachichotał.

Anna wiedziała, że kapłan stara się ją uspokoić, więc zdobyła się na uśmiech.

– A teraz, pani hrabino, przejdźmy do sprawy – zaproponował normalnym głosem. – Czy ma pani jakiś dokument potwierdzający śmierć męża?

Najchętniej skłamałaby i powiedziała, że nie ma, ale nie mogła się na to zdobyć. Nie chciała zaczynać nowego życia od kłamstwa. Przekazała dokument podstarzałemu kapłanowi i obserwowała, jak jego oblicze zasnuwa się chmurami.

– Antoni Grawliński zginął w pojedynku? Boże, wielki Boże! Och, przepraszam, pani hrabino, ale to dla mnie ogromne zaskoczenie. Przykro mi.

– Niepotrzebnie, proszę księdza. Antoni nie był dobrym mężem.

– Naprawdę?

Anna wiedziała, że ojciec Łukasz czeka na dalsze wyjaśnienia, ale nie była w stanie nic więcej z siebie wydusić.

– A jak miewa się syn pani i Antoniego?

– Dobrze, proszę księdza... ale Antoni nie był jego ojcem.

Zanim dokończyła zdanie, już pożałowała, że powiedziała prawdę. Miała zamiar unikać wszelkich zbędnych komplikacji.

– W takim razie... kto? Musiała wyjaśnić sprawę.

– Proszę księdza, dziecko było wynikiem gwałtu, który miał miejsce jakiś czas po moim przyjeździe do Halicza... jeszcze przed ślubem.

Kapłan stłumił sapnięcie.

– O mój Boże, rozumiem. Czy ukrywała to pani przed Grawlińskim?

– Nie. Wiedział o wszystkim. Ożenił się ze mną ze względu na mój posag. Dla pieniędzy, ojcze. Chciał zbudować w Sochaczewie, na terenie mojej posiadłości, gorzelnię.

Kapłan otworzył usta.

– Gorzelnię?! Kto zatem... panią zgwałcił?

– Mój kuzyn, Walter.

– Pani kuzyn? Matko Boska Częstochowska, Matko Przenajświętsza!

– Prawdę mówiąc, nie łączy nas żadne pokrewieństwo.

– Choć tyle dobrze. Tak trudno mi w to wszystko uwierzyć!

– Kapłan potrzebował chwili, żeby ochłonąć. – A Jan Stelnicki? Czy będzie dobrym ojcem dla Jana Michała?

– Bez wątplenia, proszę księdza. Przypadli sobie do gustu, jakby naprawdę byli ojcem i synem.

– To wspaniale! Obawiam się jednak, że mężczyzna może żywić urazę do cudzego dziecka, zwłaszcza w takich okolicznościach...

Twarz kapłana poczerwieniała.

Anna próbowała oszczędzić księdzu zażenowania.

– Jan jest... przyzwoitym człowiekiem.

Zabrakło jej słów, którymi mogłaby opisać cnoty swojego przyszłego męża.

– Jestem pewien i sam się o tym przekonam, gdy jutro do

mnie przyjdzie. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, pierwsze zapowiedzi ogłoszę w najbliższą niedzielę. Muszą być odczytywane przez trzy kolejne niedziele.

– Oczywiście, proszę księdza.

Anna wyszła, wdzięczna, że ojciec Łukasz – prosty człowiek zaskoczony wydarzeniami z jej przeszłości – nie zadał pytania, na które najtrudniej byłoby odpowiedzieć, pytania, po którym z pewnością zaczęłyby się zastanawiać, czy udzielić młodej parze błogosławieństwa. Nie spytał, z kim pojedynkował się Antoni. Wyjaśnienie, że z Janem, nie byłoby łatwe, ale jeszcze większy kłopot sprawiłoby jej wytłumaczenie, że Antoniego zabił Walter, który wciąż miał obsesję na punkcie Anny.

Czy taką niepełną odpowiedź można uznać za kłamstwo? W głębi duszy Anna uważała, że tak, ale tym razem usprawiedliwiła się powiedzeniem, że tylko głupcy i dzieci mówią prawdę.

Będzie musiała ostrzec Jana, by podczas jutrzejszej wizyty u księdza jak najmniej mówił.

W kolejne niedziele ogłaszano zapowiedzi. Nadeszły święta Bożego Narodzenia. Na przekór ostatnim wydarzeniom Wigilia była najszcześniejszym dniem, jaki Anna pamiętała. Tradycja nakazywała, by dzień poprzedzający Boże Narodzenie był uroczyściej obchodzony niż pierwszy dzień świąt. Jan, Walek i syn Walka, Tomasz, wyruszyli do lasu po gałązki jodłowe i świerkowe, by udekorować dwór. Zabrali ze sobą Jana Michała. Chłopczyk wrócił na saniach, siedząc na sporej stercie zielonych gałązek; śmiał się od ucha do ucha, ukazując małe ząbki. Malec dostąpił również zaszczytu wypatrywania pierwszej gwiazdki, bo dopiero wtedy, gdy błysnęła na niebie, można było rozpocząć kolację wigilijną.

Chociaż Emma i Jacob Szraberowie byli Żydami, zasiedli

do stołu razem z Anną, Janem i Janem Michałem. Nawet łamali się opłatkiem, który po odmówieniu krótkiej modlitwy podał im Jan. To była pierwsza wigilia Jana Michała, toteż chłopiec ze zdumieniem obserwował dorosłych, którzy dzielili się cieniuchnym wafelkiem, składając sobie nawzajem życzenia. Wspominano przy tej okazji o odrodzonej, niepodległej Polsce, dobrych plonach, pełnych stodołach i spizarniach. Nie pominięto Jana Michała.

– A ja sam sobie życzę – zawołał piskliwym głosem – własnego konia.

Kiedy wybuchnęli śmiechem, Jan Michał rozejrzał się dookoła i szybko dodał:

– Albo psa!

Śmiech przybrał na sile.

Po kolacji zaproszono Lutiszę i jej rodzinę, by przyłączyli się do reszty. Wszyscy zgromadzeni w salonie z ogromną radością śpiewali stare kolędy, a Anna akompaniowała na fortepianie. Jej dawna guwernantka i nauczycielka muzyki, Emma, oznajmiła, że pani hrabina niczego nie zapomniała, ale Anna wiedziała, że będzie musiała więcej poćwiczyć.

Przed północą Anna, Jan, Jan Michał i służący wsiedli do sań, pomachali Szraberom i pojechali na pasterkę. Była piękna, gwiazdzista noc; księżyc w pełni srebrzył śnieg i oświetlał drogę. Anna złapała się na tym, że w czasie jazdy liczyła przydrożne kapliczki z rzeźbionymi figurkami, które stały pod daszkami zbitymi z desek na kształt odwróconej litery V. W dzieciństwie była to jej ulubiona rozrywka.

– Spójrz, mamusiu! – zawołał opatulony grubym szalem Jan Michał, nie odrywając wzroku od nieba. – Ile jest gwiazd!

Anna uniosła głowę. Ujrzała całą masę porozrzucanych po nieboskłonie maleńkich brylancików, które – jak wieść gminna niosła – były ogniskami pasterzy palonymi podczas pierwszego Bożego Narodzenia.

– Masz rację – powiedziała. – Rzeczywiście jest ich bardzo dużo.

– Wiesz, Janie Michale – wtrącił Jan – że ilość gwiazd wróży, jakie będą przyszłoroczne zbiory? Wygląda na to, że naprawdę dobre.

„Dobrych zbiorów i dużo szczęścia” – modliła się Anna.

Anna i Jan postanowili się pobrać czwartego stycznia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku, w niedzielę po trzech zapowiedziach.

W przeddzień ślubu Anna siedziała przy toalecie, a Marta czesała jej włosy. Na parterze Lutisza pouczała Marcelinę i Katarzynę, jak upleść z ruty wianki, które Anna i Jan będą mieli na głowach, a potem wymienią podczas ceremonii zaślubin. Nazajutrz Lutisza będzie musiała wstać przed świtem, by zająć się kołaczem weselnym. Jak twierdziła, wiele ich w życiu upiekła, ale na żadnym nie było popękanej skórki.

Anna miała wątpliwości, czy jest choć odrobina prawdy w przekonaniu, że pęknięta skórka zapowiada złe małżeństwo, mimo to modliła się, by służąca dotrzymała obietnicy. Pieczenie kołacza na pierwszy ślub Anny nadzorowała ciocia Stella i skórka była popękana.

– Ma pani piękne włosy, madame. Ani brązowe, ani rude, tylko najpiękniejsze połączenie obu tych kolorów.

– Dziękuję, Marto. Kiedy byłam dzieckiem, bardzo chciałam mieć jasne włosy, takie jak ty.

Służąca zachichotała.

– Zaczynają już siwieć, ale to chyba normalne, gdy się ma męża i trójkę dzieci... Wepnie pani jutro bursztynowe grzebienie? Bardzo pasują do bursztynowych plamek w zielonych oczach.

– Myślisz, że powinnam to zrobić?... Posłucham zatem twojej rady!

Marta była zadowolona.

– Będzie pani jutro płakać w kościele?

– Płakać?

Anna zastanawiała się przez chwilę.

– Nie wiem.

– Musi pani płakać, madame! Koniecznie!

– Muszę? Dlaczego? – Anna droczyła się ze służącą. Bardzo dobrze знаła stare przesady.

– Och, pani hrabino, jeśli panna młoda nie płacze podczas ślubu, będzie płakała, będąc mężatką.

Anna wybuchnęła śmiechem. Nie płakała podczas ślubu z Grawlińskim, ale zdawała sobie sprawę, że tego małżeństwa nie uratowałyby nawet morze łoż.

– Płakałaś, wychodząc za mąż za Walka? – spytała Anna.

– O mój Boże, i to jak!

– To znaczy, że wierzysz w zabobony?

Marta zastygła w bezruchu ze szczotką w powietrzu i przez chwilę myślała, nie odwracając wzroku od oczu Anny w lustrze, po czym wzruszyła ramionami.

– Kilka łoż nikomu nie zaszkodzi – wyznała. – Chyba nie można ryzykować, prawda, madame?

Anna wybuchnęła perlistym śmiechem, a Marta się do niej przyłączyła.

W uroczystej mszy wzięła udział szlachta z Sochaczewa i okolicy. Około sześćdziesięciu gości obserwowało, jak Anna i Jan wymieniają wieńce z ruty. Ślub był doskonałą okazją do zabaw i szaleństw.

Jan zdobył się na odwagę i włożył błękitno-czerwony mundur ze złotym szamerunkiem. Anna straciła najlepsze suknie w płonącej Pradze, ale Emma pospieszyła z pomocą i uszyła jasnożółtą kreację w stylu francuskim. Panna młoda w żółtych butach na niskich obcasach stanęła twarzą do Jana i

utonąła w jego kobaltowo-błękitnych oczach, wierząc, że nigdy nie będzie szczęśliwsza niż w tej chwili. Przestała się bać szczęścia, postanowiła, że teraz będzie się nim cieszyć.

Była zbyt zadowolona, by płakać, wiedziała jednak, że wszyscy bacznie ją obserwują. Mimo to do końca ceremonii z jej oczu nie popłynęła ani jedna łza. Przez wiele lat starała się płakać jedynie w samotności. Och, wcale nie uważała się za odważniejszą od innych, po prostu wylewała łzy tylko wtedy, gdy nikt tego nie widział. Teraz próbowała pomyśleć o czymś, co ułatwiłoby jej zadanie. Wspomniała gwałt w lesie prawie cztery lata temu; pierwsze małżeństwo, to, jaką było udręką i jak podły okazał się Antoni Grawliński; przywołała w pamięci Zofię i jej zdradę... Jednak łzy wciąż nie napływały.

Trudno. Już jako żona Jana odwróciła się od ołtarza i ruszyła nawą w stronę głównego wejścia, godząc się z faktem, że opuści kościół, nie uroniwszy ani jednej łzy. Nagle jej wzrok padł na brązowookiego, brązowowłosego Jana Michała, który siedział z Emmą i Jacobem. W tym momencie uświadomiła sobie, że gdyby w jej życiu nie zdarzyło się kilka tragedii, nie miałaby cudownego synka, a to wzruszyło ją do łez... Na twarzach wielu osób zebranych w kościele pojawiła się ulga. Na pewno informacja o tym ucieszy Martę, która została w domu; musiała przygotować wszystko, aby goście mogli jeść, pić i tańczyć przez całą noc.

Kolacja i przyjęcie wypadły wspaniale. Chociaż Jan nie miał ziemi, dysponował sporym majątkiem, który postanowił zainwestować w posiadłość. Mimo to Anna poprosiła hrabiego Lubickiego, wieloletniego bankiera rodziny, o znaczną sumę, żeby uroczystość na długo zapadła gościom w pamięci. Ojciec mądrze inwestował za granicą, tak że większość majątku w stanie nietkniętym przetrwała najazd Rosjan.

Polska gościnność nakazywała, by zaproszony został nawet podły starosta, hrabia Doliński. Anna widziała go w kościele –

albo wydawało jej się, że go widzi – w czwartej lub piątej ławce od ołtarza. Poczowała, jak ciarki przebiegają jej po plecach. Nie chcąc jednak, by obecność skorumpowanego szlachetki zepsuła najwspanialszy dzień jej życia, starała się o nim nie myśleć aż do chwili, kiedy oboje z Janem szli w stronę wyjścia. Dyskretnie zerknęła na ławkę – była pusta. Panna młoda ponownie pomyślała o Dolińskim w domu, gdy witała się z kilkoma rodzinami, z którymi przyjaźnili się jej rodzice, i kobietami, które знаła jeszcze z dzieciństwa. Dzięki Bogu starosta się nie pojawił.

Na białych obrusach porozkładano jodłowe i świerkowe gałązki; wszędzie radośnie migotały płomyki świec.

W pewnej chwili powstało spore zamieszanie. Dwaj młodzieńcy pilnowani przez Jacoba wtoczyli do jadalni dwie baryłki wina.

– Co to jest? – spytała Anna. Jacob się roześmiał.

– Ślubne wino, zgodnie z obyczajem kupione na Węgrzech w roku, w którym się pani urodziła, z myślą o pani weselisku.

– Zgodnie z obyczajem – zamruczała.

Patrzyła ze zdumieniem, jak wybito szpunt z beczki i zaczęto napełniać kieliszki ciemnoczerwonym płynem. W głowie Anny aż roiło się od myśli. Pierwsze małżeństwo zawierane w Haliczu, daleko na południu Polski, było przygotowywane w takim pośpiechu, że nikt nie pomyślał o beczkach, które od dawna czekały w piwniczce na tę okazję. Jak to dobrze, że przetrwały i teraz będą mogły gasić pragnienie gości weselnych.

Jan podał jej kieliszek. Uniosła go drżącą ręką i spojrzała na gości. Gdyby rodzice dożyli tego dnia...

Z zadumy wytrąciły ją toasty wznoszone za Polskę, króla i młodą parę. Anna i Jan wspólnie zjedli obowiązkową miszkę kaszy, specjalnie ugotowanej na mleku, żeby była słodka tak jak ich życie małżeńskie. Wszystkim podano pieczone

kurczaki z duszoną kapustą, barszcz i groch – symbol płodności. Potem pojawił się kołacz. Anna poczuła ogromną ulgę, gdy zobaczyła, że skórka jest cała. Ani jednego pęknięcia. Niech Bóg cię błogosławi, Lutiszo!

Znów zaczęto wznosić toasty, tym razem hałaśliwiej niż przed posiłkiem, a po opróżnieniu kieliszków rozbijano je na palenisku. Potem do północy trwały tańce. Pod koniec zabawy pięć młodych mężatek zaprowadziło Annę do sypialni jej rodziców, pokoju – i łoża – które teraz miała dzielić z Janem. Gdyby to było jej pierwsze małżeństwo, towarzyszyłoby mu więcej obrzędów. Druhny zdjęłyby jej wianek, rozplotły warkocz, uroczyście obcięły włosy i nałożyły czepek – nakrycie głowy każdej mężatki. Podczas ślubu z Grawlińskim tego nie zrobiono z powodu wcześniejszego gwałtu.

Teraz Anna miała przywdziać czepek na tak zwane pokładźmy. Jedna z kobiet, Halina, pokazała Annie haftowane nakrycie głowy.

– To dzieło Emmy, Anno.

Panna młoda sapnęła. Nigdy w życiu nie widziała tak pięknego, pastelowego czepka ozdobionego półszlachetnymi kamieniami. Kiedy zdjęto jej z głowy wianek i włożono czepek, kobiety nie kryły podziwu. Anna oceniła swój wygląd w lustrze. Ujrzała nie tylko piękną pannę młodą, lecz również szczęśliwą kobietę. Czepek, który miała na głowie, będzie używany tylko przy specjalnych okazjach... a potem, po jej śmierci.

– Pora na toast! – oznajmiła Sylwia.

Przyniosła do sypialni butelkę i sześć kieliszków. Rozlała wódkę, rozdała kieliszki, a potem z błyskiem w oku zawołała, jak na każdym weselisku:

– Oj, nie będziesz ty już panienką!

Kiedy pozostałe panie umilkły zażenowane, korpulentna dama zdała sobie sprawę, że popełniła gafę, i od razu straciła

dobry humor. Przerazona zakryła dłonią usta.

– Byłam już mężatką, Sylwio. Od dawna nie jestem panienką. – Anna wybuchnęła śmiechem. – Ale nie przejmuj się, nie czuję się urażona. Śmieję się z tego.

Napięcie opadło i druhny zaczęły dawać upust swojej radości. Sylwia wciąż miała w ustach wódkę, więc gdy wybuchnęła śmiechem, alkohol rozprysnął się i zmoczył jej suknię. Wtedy śmiech przerodził się w pisk, który mógłby porozbijać szyby w oknach. Halina uznała, że pora na taniec, i poprowadziła panie w rytm mazurka. Śpiewały:

Zdjęłyśmy Ani wianuszek ruciany,
Teraz ma na głowie czepek haftowany.

Gdy taniec dobiegł końca, kobiety wdrapały się na wysokie łoże z puchową pościelą. Anna wstrzymała oddech, patrząc na to, co się dzieje: pięć mężatek skakało po jej łóżku, śmiały się, wykrzykując sprośne komentarze o jej małżeństwie, i sprawdzały, ile łoże może wytrzymać. Potem po kolei na nie padały. Jakimś cudem wytrzymało.

Halina zaproponowała następny toast. Kiedy zaczęła rozlewać alkohol, rozległo się głośnie pukanie do drzwi. Kobiety zwróciły się w stronę Anny, rozbawione, z oczami błyszczącymi od wódki. Panna młoda doskonale rozumiała ich głupie miny. Sylwia zachichotała.

– Przyszli do ciebie, Anno.

– Otwórzcie! – zawołał ktoś. Drzwi były zamknięte na rygiel.

– To mój mąż! – Halina wybuchnęła śmiechem. – Idźcie sobie!

Zgodnie z obyczajem kobiety nie chciały wpuścić nikogo do sypialni, twierdząc, że ochraniają Annę. Mężczyźni zagrozili, że wyważą drzwi.

– Idźcie sobie! – krzyczały. – Idźcie i spijcie się do nieprzytomności!

Rozbawieni biesiadnicy nie ustępowali.

– Tej nocy zostało jeszcze wiele do zrobienia! – zawołał ktoś.

Anna przyglądała się temu wszystkiemu jak we śnie. Była niezadowolona, że jej połączenie z Janem staje się sprawą publiczną i tematem sprośnych żartów. Z drugiej jednak strony cieszyła się, że nie będzie już musiała kochać go na odległość.

Halina w końcu otworzyła drzwi, a wtedy goście weselni wypełnili pokój aż po brzegi. Wielu przyszło z pełnymi kieliszkami, by wznieść toast za noc poślubną. Dwaj drużbowie chwiejnym krokiem podeszli do łoża i opadli na nie.

– Musimy je rozgrzać dla hrabiego Stelnickiego i hrabiny Stelnickiej! – wybełkotał jeden, po czym stracił świadomość.

– Z drogi! Z drogi! – zawołał ktoś.

Następny drużba przepychał się przez tłum, ciągnąc za sobą Jana w głąb sypialni. Hrabia Stelnicki miał do odegrania ustaloną wcześniej rolę niechętnego pana młodego.

– Droga dla Jana Stelnickiego! – oznajmił drużba. – Gdzie jest pani hrabina? Ach, tutaj! Postanowiliśmy dostarczyć waćpani coś, co do pani należy!

Potem zaczęto śpiewać sprośną piosenkę, podczas której wznoszono toasty i życzone młodym wszystkiego najlepszego. Nie przerywając śpiewania, goście wyszli do przedpokoju. Niektórzy nie znali tekstu poszczególnych zwrotek, ale za każdym razem z ogromnym entuzjazmem powtarzali zuchwały refren, chociaż brzmiał on może nieco za głośno i niezbyt czysto. Nieprzytomnego drużbę tak długo bito po twarzy, aż w końcu odzyskał świadomość i wstał, a wtedy trzech drużbowie życzyli młodej parze wszystkiego najlepszego

i wypchnęli resztę gości z sypialni.

Kiedy biesiadnicy znaleźli się w przedpokoju, Jan zamknął drzwi na rygiel.

Z uśmiechem odwrócił się do Anny.

Poczuła, że serce wali jej w piersiach. Podeszła do Jana, nie odrywając wzroku od kobaltowo-niebieskich oczu, które wiele lat temu urzekły ją, gdy po raz pierwszy ujrzała go na łące. Tysiące razy marzyła o tym dniu, chociaż nigdy do końca nie wierzyła, że kiedyś nastąpi. Jednak nastąpił. Byli mężem i żoną. Niezależnie od tego, jaka czekała ich przyszłość, stanowili jedność.

Wyciągnęła ręce do Jana, a on się pochylił i pocałował ją. Pocałunek dodał Annie skrzydeł; to prawda, że wypła sporo wódki, ale teraz bujała w obłokach z całkiem innego powodu. Jan zbliżył usta do jej ucha.

– Aniu – powiedział takim samym głosem jak owej pamiętnej jesieni dawno, dawno temu.

Kiedy mocno zacisnęła powieki, usłyszała szelest liści, poczuła zapach wilgotnej ziemi i dotyk jego ciała... Za drzwiami hulanki i swawole trwały nadal.

– Do roboty, nie leń się! – zawołał ktoś. Anna wybuchnęła śmiechem.

– Obyście mieli tylu potomków, ile gwiazd na niebie! – dorzucił ktoś inny.

– Wystarczy! – Tym razem zza drzwi dobiegł kobiecy głos, chyba Haliny. – Pokładziny zakończone.

– Jeszcze nie! – zawołał Jan z głośnym śmiechem, a tłum za drzwiami odpowiedział tym samym.

Pochylił się i wziął Annę na ręce, jakby ważyła tyle co koliberek.

– O, przyniosłeś swoje rzeźby! – zawołała Zofia, przenosząc się z łóżka na krzesło. – Usiądź.

Jurek kiwnął głową. Odwiedził ją już kilka razy, zawsze wtedy, gdy matka i dziadek wychodzili do wsi. Położył na krześle obok Zofii całe narzędzie pomalowanych i surowych rzeźb.

Potem usiadł i zaczął je po kolei podawać.

– Są wspaniałe, Jurku – pochwaliła; zauważyła, że tym razem porządnie się uczesał i wyszorował ręce. – Od jak dawna rzeźbisz?

– Zacząłem chyba, gdy miałem pięć lat. Dziadek mnie nauczył. Teraz ma za bardzo powykręcane palce, żeby rzeźbić.

Zofia się uśmiechnęła.

– Więc rzeźbi twoimi rękami?

Dokładnie obejrzała wystruganego z drewna ptaka, krowę, psa i wiatrak, po czym odłożyła figurki na łóżko.

– Jakie to drewno?

– Lipowe. Idealne do rzeźbienia.

Następnie przyszła kolej na drewniane figurki chłopów, grubo ciosanych, ale zdumiewająco pełnych emocji. Coś w ich twarzach, postawach i gestach przemawiało prosto do serca. Byli biedni, ale wyróżniali się bogactwem ducha i charakteru.

– Kto to? – spytała Zofia, wskazując brodatą postać, która w niczym nie przypominała wieśniaków.

– Jan Chrzciciel.

– No tak, teraz widzę nawet aureolę... A to? Następny święty?

– Święta Barbara.

– Podobno po śmierci dusza musi spędzić noc ze świętą Barbarą. Jak sądzisz, Jurku, czy to prawda?

Chłopak oblał się pąsem.

– Tak, to prawda. To znaczy niektórzy rzeczywiście w to wierzą. Chociaż nie brak i takich ludzi, którzy wierzą we wszystko...

– Są naprawdę cudowne! Widzę, że masz jeszcze jedną.

Pokaż ją!

Chłopak się zawahał i cofnął rękę. Zofia sięgnęła po rzeźbę, ale Jurek odsunął ją jeszcze dalej, jakby się bał, że hrabina ją zobaczy.

– Czym się różni od reszty? Nie przyniósłbyś jej, gdybyś chciał ją przede mną ukryć.

Zofia wstała i ze śmiechem wyrwała chłopcu rzeźbę z ręki.

– Jeszcze nie jest skończona.

Kobieta powoli usiadła, obracając figurkę w rękach i przyglądając jej się z prawdziwym zdumieniem. Była to wykonana z surowego drewna postać kobiety, która miała na sobie nie chłopski strój, lecz modną, zachodnią suknię z obszerną spódnicą. Wystarczyłaby jeszcze tylko odrobina czerwonej farby. Dziwnie nieruchome oczy w kształcie migdałów były pozbawione wyrazu, jakby nie żyła.

– Przecież to ja! – zawołała Zofia. – Psiakrew! Czy tak wyglądałam, kiedy mnie znalazłeś?

Jerzy zerknął na nią nieśmiało i oblał się pąsem.

– Tak, pani hrabino.

Zofia nie odrywała oczu od rzeźby.

– Psiakrew! – zaklęła ponownie.

Chłopak uchwycił pustkę, pustkę śmierci. Chociaż była to pustka, którą Zofia odczuwała również w życiu. Jurek wstał, jakby chciał pozbierać swoje rzeźby. Zofia nie wiedziała, co robić. Co mu powiedzieć? Czy dlatego tak trafnie ją uchwycił, że coś do niej czuje? Czy ona czuje coś do niego?

Kiedy wyciągnął rękę po rzeźbę, Zofia odsunęła ją od niego, jakby chciała się z nim trochę podroczyć. Wiedziała, że zachowuje się jak dziecko, ale nie mogła oprzeć się pokusie. Jurek wychylił się i znów wyciągnął rękę po figurkę. Wtedy Zofia dotknęła wolną dłońią jego twarzy i nieco się przysunęła.

Zarumienił się, zaskoczony jej dotykiem; potem, kiedy

głaskała go po gładkim policzku, w jego oczach pojawił się strach.

– Jerzy?

– Tak?

Załamujący się głos chłopca zdradzał inną reakcję: podniecenie.

Zofia uśmiechnęła się do niego, najładniej jak umiała.

– Nauczysz mnie rzeźbić?

Kiedy Anna się obudziła, była sama. Wyjęła ręce spod narzuty i przeciągnęła się jak kotka. Spała długo i głęboko! Delikatne zimowe światło w pokoju pieściło ją i szeptało, że zbliża się południe. Spojrzała na miejsce Jana i musnęła dłonią jego poduszkę. Obudził ją kilka godzin temu ubrany; powiedział, że ma coś do zrobienia na terenie posiadłości, i poradził, żeby jeszcze trochę pospała. Przypomniała sobie mgliście, że mruknęła coś w odpowiedzi, ale pamiętała tylko to, że ją pocałował. Uśmiechnęła się. Pokładziny rzeczywiście były już faktem dokonanym.

Powiedział, że ma coś do zrobienia na terenie posiadłości. Och, jest taki podobny do jej ojca! Chociaż Jacob był doskonałym zarządcą, ojciec Anny osobiście nadzorował spory majątek i pracę chłopów pańszczyźnianych. Matka Anny nie była rada, że mąż zajmuje się takimi sprawami, i nie kryła swego odmiennego zdania. Nigdy nie rozumiała męża. Natomiast hrabia Berezowski starał się wszczepić córce miłość do ziemi; pokazał jej, jak uprawiać rośliny, poczynając od małego ogródka, w którym rosła ogromna ilość tulipanów i innych kwiatów, a na warzywniku kończąc. Ku niezadowoleniu matki Anna nie miała nic przeciwko brudnym rękom i połamanym paznokciom.

„Nie popełnię tego samego błędu co mama – pomyślała Anna. – Postaram się rozumieć swojego męża”. Ojciec byłby zadowolony ze związku, który właśnie zawarła. Przyciągnęła do siebie poduszkę Jana i przytuliła ją do piersi.

Ktoś delikatnie zapukał do drzwi, potem dobiegł zza nich cichy głos.

– Czy mogę wejść, madame?

– Ależ tak, Lutiszo. Już nie śpię.

Służąca weszła i zaniósła tacę na mały stolik obok łóżka;

przez cały czas odwracała wzrok od młodej mężatki. Anna z uśmiechem podziwiała, jak dyskretnie stara się zachować starsza pani.

– Przyniosłam kawę, madame, ze śmietanką, jak pani lubi.

– Dziękuję, Lutiszo. Dobra wiejska śmietanka! Jest pyszna, nigdy takiej nie pijałyśmy w Warszawie.

Usiadła na łóżku i wsunęła za plecy poduszkę Jana, przyglądając się służącej, która ustawiała na tacy kieliszki z poprzedniego dnia. Anna splotła dłonie z tyłu głowy.

– No więc?

Lutisza na moment znieruchomiała, ale nie uniosła wzroku.

– O co chodzi, madame?

– Lutiszo! Codziennie wchodzisz do mojej sypialni i pytasz: „Jak miewa się pani w ten piękny poranek?”, a dzisiaj milczysz jak zakłeta.

Staruszka oblała się pąsem, ale nie zdołała wydusić z siebie ani słowa.

– Lutiszo, spójrz na mnie! O tak. Zapewniam cię, że świetnie się czuję w ten piękny poranek. – Anna wybuchnęła śmiechem.

Rumieńce Lutiszy pociemniały.

– Cie... cieszę się, madame... Czy zejdzie pani na śniadanie?

– Tak, Lutiszo, zejdę na śniadanie.

Anna zrobiła poważną minę. Z przyjemnością droczyła się ze starą służącą, uznała jednak, że pora położyć temu kres.

Ktoś znów zapukał do drzwi. Anna, sądząc, że to Jan, zawołała:

– *Entrée!*

W drzwiach ukazały się dwie jasnowłose głowy w białych czepkach.

– Och, przepraszamy, madame – wydukała Katarzyna. – Obie z Marceliną pomyślałyśmy, że trzeba babci pomóc, ale

nie wiedziałyśmy, że pani jest jeszcze w łóżku.

– Naprawdę?

– Naprawdę – zapewniła Marcelina, lekko wpychając siostrę do pokoju. – Przepraszamy, że przeszkadzamy.

– Nie przeszkadzacie. Możecie pomóc babci, zabierając butelki i podnosząc z podłogi pas pana Stelnickiego. Kasiu, możesz mi podać suknię? Tę błękitną... jest w szafie.

Dziewczyna wykonała polecenie, a podchodząc, ukradkiem zerknęła na Annę. Położyła suknię na łóżku i przez dłuższą chwilę przyglądała się haftowanemu czepkowi, leżącemu na stoliku obok łóżka.

Anna się uśmiechnęła.

– Jest piękny, prawda?

– Och, madame – szepnęła dziewczyna. – Nigdy nie widziałam takiego czepka.

– Ile masz lat, Kasiu?

– Osiemnaście, pani hrabino... to znaczy madame.

– Siedemnaście – poprawiła ją Marcelina.

– Prawie osiemnaście!

– Zostało ci jeszcze kilka miesięcy! – przypomniała siostra.

Anna odwróciła się do Marceliny.

– To znaczy, że ty w tym roku skończysz szesnaście, tak, Marcysiu?

Dziewczyna się skrzywiła.

– Dopiero w październiku, madame.

– Jestem pewna, że wkrótce obie będziecie zamężne.

Powiedzcie mi: czy ktoś stara się o wasze względy?

– Nie, madame! – zapewniła Kasia.

Marcysia przygarbiła się i potrząsnęła przecząco głową.

– W porządku – powiedziała Anna – chociaż wam nie wierzę. Jesteście takie ładne! Katarzyno, możesz sprawdzić. Chodź... spójrz w lustro! A teraz ty, Marcelino!

Siostry z radością przybierały różne pozy przed lustrem

przy toalecie, która należała kiedyś do matki Anny. Lutisza była coraz bardziej niezadowolona z błazeństw wnuczek.

– Madame, żadna z nich dzisiaj nie powinna wchodzić do pani sypialni.

– Ciii... Lutiszo. One chciały tylko sprawdzić, czy się zmieniłam, prawda, dziewczęta?

Nastolatki odwróciły głowy i spojrzały na Annę okrągłymi oczami. Potem popatrzyły na siebie, zaskoczone i zawstydzone, że pani przejrzała ich intencje.

– Może sama też spróbujesz, Lutiszo?

– Och, madame! Co za głupie gadanie!

Lutisza najwyraźniej nie mogła się zdecydować, czy się oburzyć, czy parsknąć śmiechem. W końcu roześmiała się, usiłując zasłonić bezzębne dziąsła. Pozostałe kobiety poszły w jej ślady.

– Niezależnie od tego, co powiecie, Kasiu i Marcysiu – oznajmiła Anna – niedługo i wam będą potrzebne czepki.

Siostry zachichotały i z zażenowaniem przestępowały z nogi na nogę.

– Sprawdź – ciągnęła – czy uda mi się namówić Emmę, żeby uszyła dla was czepki, gdy nadejdzie czas.

Oczy dziewcząt znów zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Poprosi ją pani? – szepnęła Marcelina.

– Tak, poproszę! – obiecała Anna. – A teraz pora, żebyście zostawiły mnie samą, bo inaczej zrobię wszystko, by w wasz poślubny poranek wpakować się wam do sypialni! Idźcie już!

– Słyszałyście, co powiedziała madame. Idźcie już! – krzyknęła Lutisza, wyganiając wnuczki.

Wychodząc z pokoju, odwróciła się do Anny, obdarzyła ją promiennym uśmiechem, po czym zamknęła za sobą drzwi.

Nim Lutisza wraz z rodziną zaczęła służyć w dworcu Berezowskich w Sochaczewie, wszyscy pracowali u ciotki i wuja Anny w znacznie większej posiadłości pod Haliczem.

Anna przypominała sobie, z jakim szacunkiem odnosiły się do niej obie dziewczyny, gdy przyjechała do Grońskich. Wypytywała je wtedy o ogród, którym się zajmowały, rozmawiała nawet o różnych rodzajach cebuli. Odpowiadały niepewnie, co chwila zerkając na siebie, jakby nie mogły uwierzyć, że hrabina interesuje się takimi rzeczami.

Na szczęście Jan rozumiał jej miłość do ziemi. I kochał ją za to.

Czy się zmieniła? Na pewno.

Śnieg chrzęścił pod kopytami ogromnego ogiera. Jan, objeżdżając pola i lasy, wysoko unosił głowę i wdychał mroźne styczniowe powietrze. Wczesnym rankiem chciał pomóc w czymś Wałkowi, ale wszyscy w obejściu wykonywali swoje poniedziałkowe czynności i wyglądało na to, że nie potrzebują dodatkowych rąk do pracy. Kiedy prosił o przydzielenie mu jakiegoś zajęcia, napotykał znaczące spojrzenia, jakby dziwiono się, że nie jest w ślubnej łóżnicy. Wybrał się więc na przejażdżkę. Nie ruszał się z dworku od wielu dni, dlatego był zadowolony, że siedzi na końskim grzbiecie.

Jadąc jak niegdyś, wspominał kampanię u boku Kościuszki; oceniał, co zrobiono dobrze; rozważał, jak można było uniknąć niefortunnych wypadków i porażek. Prawdziwy Polak zawsze szuka chwały. Przynajmniej tak się mówi. Zastanawiał się, czy to prawda. Walczył o demokrację, próbował pokonać wojska wroga. Nie chełpił się swoimi zwycięstwami ani nie pokazywał pamiątki pozostawionej przez rosyjskiego kawalerzystę, zabliznionej rany, której Anna tak delikatnie dotykała ostatniej nocy.

Przyłapał się na tym, że śpiewa na głos piosenkę popularną wśród kawalerii.

Żywo nam serca

porusza ochota,
że się do wojny
otwierają wrota.

Jego szabla – nazywana Jadwigą na cześć pierwszej polskiej królowej z dynastii Jagiellonów, uważanej za świętą, ponieważ tylko dzięki niej doszło do unii Polski z Litwą – wisiała obecnie w salonie, a Jan szczerze żałował, że jej nie nosi u pasa.

Nie mógł zaprzeczyć, że wojna wyzwalała w ludziach radosne podniecenie. Większość żołnierzy w czasie walki odczuwała szczególny dreszczyk emocji, który trudno porównać z czymkolwiek innym. Łączył się on nawet z zabijaniem – może przede wszystkim zabijaniem? Jan próbował policzyć, ilu wrogów wyprawił na tamten świat. Nie wiedział. Widywał wszelkie możliwe sposoby zadawania śmierci. Tylko diabeł mógł wypracować tyle straszliwych metod na pozbawienie kogoś życia. Żołnierze po obu stronach padali jak muchy – od szabli, lancy, kuli karabinu czy działa. Sprzymierzeńcy i wrogowie, chłopci i szlachcice – wszystkich spotykał ten sam los. Każda bitwa niosła ze sobą ogromne ryzyko. Na polu walki Jan doznawał niezwykłego przyływu energii, która pobudzała jego zmysły. Z tego powodu po wszelkich potyczkach miewał podły nastrój; z tego powodu miał również podły nastrój teraz. Skąd bierze się u niego taka żądza krwi? Chociaż z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że to właśnie dzięki niej udało mu się przetrwać. Na tę myśl przeszły go dreszcze.

Jan wjechał do lasu sosnowego. Ziemię pokrywała tu warstwa białego jak mleko śniegu, a drzewa wznosiły się aż do niebios. Dolne odcinki pni, do wysokości mniej więcej dziesięciu, piętnastu metrów były pozbawione gałęzi i przypominały kolumny, dlatego poczuł się jak w

śnieżnobiałej, cichej katedrze. „Las jest domem bożym” – mawiał ojciec; to wspomnienie go uspokoiło. Próbował przypomnieć sobie twarz taty, jego głos. I dumę, z jaką opowiadał o swoich pracach przy powstawaniu Konstytucji 3 maja.

Zsiadł z konia i powoli poprowadził go ścieżką. Przed przyłączeniem się do Kościuszki – rozmyślał – żył cicho i spokojnie w rodzinnej posiadłości pod Haliczem. Teraz zdjął wojskowy mundur, złożył przysięgę małżeńską i skazał się na ciche, spokojne życie typowego szlachcica w posiadłości Berezowskich, dworku należącym do żony. Wiedział, że może zapomnieć o swoim majątku skonfiskowanym przez Austriaków i o ostatnim życzeniu ojca, by bronił demokracji; może przestać myśleć o odważnych mężczyznach, którzy zginęli u jego boku, walcząc o wolność ojczyzny; oddali życie za Polskę, która podobno już nie istnieje. Ogarnęły go trudne do określenia i niepokojące uczucia.

Potem pomyślał o Annie. Pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Czekali całą wieczność – tak przynajmniej mu się wydawało – ale teraz wreszcie są razem. Podczas nocy poślubnej młoda żona go nie zawiodła. Nie ustępowała mu swoim pożądaniami, więc pokochał ją jeszcze mocniej za jej zmysłowość. Żaden mężczyzna nie mógł pragnąć więcej.

Małżeństwo zapowiadało się wspaniale, mimo to Jan był daleki od poczucia wewnętrznej harmonii i samozadowolenia. W chwili zakończenia ślubnej ceremonii został ojcem i mężem. Czy będzie dobrym opiekunem Jana Michała, syna innego mężczyzny? Musiał przyznać, że chłopiec jest rozkoszny. Anna go ubóstwiała. Jednak myśl, że jest dzieckiem jej kuzyna, Waltera, trochę go niepokoiła. Nie może pozwolić, by Anna lub Jan Michał kiedykolwiek dowiedzieli się o jego wątpliwościach. Modlił się, by udało mu się je pokonać i dobrze wychować chłopca.

Nagle sobie uświadomił, że zapuścił się bardzo daleko, w okolice, których zupełnie nie znał. Odwrócił się i zaczął wracać po śladach.

Po godzinie dotarł na skraj lasu. Dosiadł konia i mocno dźgnął go ostrogą, mając nadzieję, że mroźny podmuch zimowego wiatru pomoże mu pozbyć się nieprzyjemnych myśli. Wkrótce ujrzał strzechę ogromnej stajni. Kiedy się zbliżył, Walek pomachał mu ręką i stanął w otwartych drzwiach, by odebrać konia. Jan pamiętał, że mąż Marty służył niegdyś w chłopskiej armii Kościuszki i z kosą szedł na wroga.

Potem Walek wrócił na łono rodziny i do służby we dworze, wykonywał zadania, które od zawsze do niego należały, chociaż w innym majątku. Jan był ciekaw, co myśli Walek. Czy jego też dręczą ponure myśli? Postanowił, że któregoś dnia go o to spyta. Na razie nie był pewien, czy zdoła jeszcze raz przystosować się do tradycyjnego stylu życia szlachty. Może za długo był żołnierzem.

Walek chwycił konia i Jan zsiadł.

– Waleku, słyszałeś coś o owczarkach, które hodują na południu, w pobliżu Zakopanego... Czy w tych okolicach ktoś ma takie psy?

– Nie, panie hrabio.

– W takim razie popytaj w mieście, dobrze? Może uda ci się czegoś dowiedzieć. Dobrze zapłacę. Miałbym prezent dla Jana Michała.

Zdając sobie sprawę, że ranek dobiega końca, Jan szybko ruszył w stronę domu, przebiegł przez kuchnię – dostrzegając zdumienie na twarzach mijanych osób – i wpadł na schody w chwili, kiedy schodziła nimi Lutisza.

Anna była ubrana i gotowa do wyjścia. Dziwnie się do niego uśmiechnęła. Czyżby próbowała ukryć niezadowolenie?

– Ale z ciebie mąż! – powiedziała. – Po nocy poślubnej bladym świtem uciekłeś z sypialni.

Jan teatralnie jej się skłonił.

– Błagam o wybaczenie, pani hrabino Stelnicka!

Nowe nazwisko natychmiast wywołało oczekiwany efekt: od razu zapomniała o swoim niezadowoleniu.

– A może powinienem raczej zwracać się do ciebie per „hrabino Berezowska-Grawlińska – Stelnicka”?

Anna wybuchnęła śmiechem.

– Stelnicka. Tylko Stelnicka!

Jan wziął ją w ramiona. Uprzedzając pocałunek, oznajmiła:

– Właśnie wymyśliłam, co zrobić z dwoma Janami pod jednym dachem.

– Jaki masz pomysł?

– Będę używać drugiego imienia swojego syna i mówić do niego „Michałku”.

Jan uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Naszego syna – poprawił ją. – A więc problem został rozwiązany!

Całując Annę, poczuł, że żona przywarła do niego całym ciałem. Odsunął ją od siebie.

– Muszę cię przeprosić za jeszcze jedno – powiedział.

– Za co? Czyżby nasze życie małżeńskie miało się zacząć od przeprosin?

Przysunął wargi do jej ucha.

– Przepraszam – szepnął – że straciłaś czas na ubieranie się. Powiedziałem Lutiszy, że zejdziemy dopiero na podwieczorek. Chyba nie uwierzysz, ale twarz staruszki zrobiła się tak samo czerwona jak jej fartuszek.

– Słyszałeś? – spytał król Stanisław.

Druga wizyta Pawła u króla odbyła się w poniedziałek, piątego stycznia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku, zaledwie dwa dni po podpisaniu przez Austrię układu, na mocy którego wraz z Rosją i Prusami dokonano trzeciego

rozbioru Polski. Spotkali się w Sali Portretowej, małej komnacie za Salą Tronową, i dołożyli wszelkich starań, by ich rozmowa przebiegała w całkowitej tajemnicy.

– Że Austria podzieliła się łupami z Rosją i Prusami? Tak, Wasza Królewska Mość.

Król westchnął.

– Jest takie powiedzenie, że tam, gdzie pojawi się jedna sowa, wkrótce będą dwie następne. – Zachichotał, ale na jego twarzy widać było rozgoryczenie. – Tutaj jest na odwrót.

– Polska to nie mysz, Panie.

– Co nie zmienia faktu, że jesteśmy w ich szponach. Paweł uznał za ironię, że konferują w komnacie, w której wiszą portrety wszystkich monarchów Europy.

– Dogadali się w sprawie granic?

– Nie. Możesz być pewien, że nie będą się spieszyć. Natomiast ustalili datę mojego wyjazdu, Pawle. Żadne wymówki nie pomogły.

– Kiedy to nastąpi, Panie?

– Pojutrze.

– Przykro mi – mruknął Paweł.

Serdecznie współczuł smutnemu i wyraźnie zrezygnowanemu monarsze. Chociaż nie można wykluczyć, że Stanisław poczuł również ulgę, iż uwolnił się od jarzma, jakim było sprawowanie władzy.

Przychodząc tego dnia, Paweł był ciekaw, o czym król chce z nim rozmawiać. Co w obecnej sytuacji można jeszcze zrobić? Zwłaszcza teraz.

– Nie martw się o mnie – powiedział król Pawłowi. – I nie współczuj mi. Przeżyłem okres świetności. Bóg mi świadkiem, że mogłem go lepiej wykorzystać, ale żal nic nie pomoże. W pewnym sensie byłem kapitanem statku, który wyruszył w rejs podczas największej burzy.

Stanisław Poniatowski wyznał, że chociaż nie liczy na to,

by kiedykolwiek udało mu się wrócić na tron, mocno wierzy, że Polska odrodzi się pod berłem nowego, wybranego podczas elekcji króla. Poprosił Pawła, żeby zasilił szeregi nowego ruchu, którego celem jest odbudowa niezależnej Polski, łączącej zasady demokracji z monarchią.

Paweł cierpliwie czekał, spodziewając się, że padnie nazwisko. I kto miałby stanąć na czele takiego ruchu. Chociaż król nie był żonaty, miał kilkoro dzieci... byli też inni kandydaci... między innymi bratanek króla, książę Józef Poniatowski.

Paweł wiedział, że król zawsze nosił pas z symbolami wolnomularzy – cyrklem i kątownikiem – ale uważał, że to jedynie ozdoba, oryginalny prezent od kogoś. Jednak król Stanisław, opowiadając o grupie, która może ustanowić nowy porządek i nową sukcesję, delikatnie uderzał palcem w rysunki na pasie. Paweł zdał sobie sprawę, że monarcha, obawiając się uszu szpiegów, bezgłośnie przekazuje mu informacje, iż odbudowę monarchii powierza loży masońskiej.

Nagle stało się całkiem jasne, że król Stanisław jest wolnomularzem. Kto by pomyślał? Sugestia, że jedna z tajnych organizacji – a przecież loża masońska z pewnością do nich należała – miałyby jakimś cudem zebrać w całość to, co podzieliły trzy mocarstwa... Paweł uznał, że monarcha chyba zwariował.

– Zastanawiasz się, jak mógłbyś pomóc – odezwał się król. Paweł przytaknął. Być może Stanisław rzeczywiście zwariował, ale z pewnością nadal był niezwykle spostrzegawczy.

– Znajdą dla ciebie odpowiednie zajęcie – szepnął monarcha. – Sam do mnie przyszedłeś, żeby się dowiedzieć, co można zrobić. Pamiętasz?

– Tak.

Król wyjął z ukrytej kieszeni złożoną kartkę papieru.

– Napisałem tu imię i nazwisko osoby, z którą powinieneś się skontaktować, żeby przystąpić do działania. Czy to nie dziwne, że jego nazwisko jest podobne do twojego?

Paweł przytaknął. Dostał znacznie więcej, niż się spodziewał. Ponieważ nie miał zamiaru angażować się w coś idiotycznego, przed wyjściem postanowił spytać o sukcesję.

– Wasza Królewska Mość, a kto...?

– Może mnie zastąpić? Nie chciałbym, żeby to było któreś z moich dzieci. Tron to niewyobrażalny ciężar. Oni – podkreślił – będą wiedzieli, kogo wyznaczyć. Najprawdopodobniej będzie to ktoś z czystym kontem, ktoś, kto nie pochodzi z żadnego z magnackich rodów zaangażowanych obecnie w politykę. Ktoś, kogo nie łączą więzy krwi z Czartoryskimi, Radziwiłłami, Lubomirskimi... ani moją własną rodziną – Poniatowskimi.

– Rozumiem – powiedział Paweł.

W rzeczywistości niczego nie rozumiał.

– Mój czas dobiegł końca – oznajmił monarcha i położył smukłą dłoń na ramieniu Poteckiego. – Nie chcę przejść do historii jako ostatni król Polski. – Z trudem zdobył się na uśmiech. – Pomóż mi, dobrze? – prosił szeptem. – A jeśli chodzi o przyszłość, zaufaj masonerii.

Dwa dni później o dziewiątej rano Paweł Potecki wyszedł ze swojej kamienicy i wtopił się w tłum zmierzający na plac Zamkowy. Był siódmy stycznia tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku. Król Stanisław August Poniatowski żegnał się z ukochaną Warszawą i Polską. Wzdłuż ulic stali rosyjscy żołnierze, którzy pilnowali porządku. Paweł nie mógł się nadziwić, że pomimo siarczystego mrozu tak ogromny tłum mieszkańców miasta – szlachetnie urodzonych i prostych ludzi – wyszedł, by nie kryjąc smutku i żalu, pożegnać swojego króla.

Chcąc pozostać w tym dniu w stolicy, Paweł musiał zrezygnować z udziału w ślubie Jana i Anny. Wysłał im prezent – srebrną zastawę stołową – i serdecznie przeprosił, że nie przyjedzie. Ależ szczęściarz z tego Jana! Paweł przypomniał sobie, że kiedy przyłączył się do żołnierzy Kościuszki, odszukał Stelnickiego i przekazał mu, jak bardzo Anna się o niego martwi. Pragnąłby, żeby kuzynka Anny, Zofia, tak martwiła się o niego.

Paweł zaprzyjaźnił się z Janem na polu bitwy i nie tylko tam. W tej chwili jednak wydarzenia w stolicy rozgrywały się zbyt szybko, by mógł wyjechać nawet na dzień lub dwa.

Paweł skierował się w łukowe przejście, które prowadziło na Wielki Dziedziniec. Ludzie stali ramię przy ramieniu. Dalej nie mógł wejść. Wpatrując się w drzwi, od których nikt nie odrywał wzroku, Potecki cieszył się, że jest słusznego wzrostu.

Po kwadransie król wyszedł na dziedziniec. Miał na sobie brązowe bryczesy i pelerynę podbitą czerwonym aksamitem takim samym jak czapka. Czerwonym! Nawet w takiej chwili z dumą nosił polskie barwy.

Służba Zamku Królewskiego stanęła w rzędzie, by pożegnać się z władcą; po niektórych twarzach spływały łzy. Król Stanisław przechodził wzdłuż szpaleru i podawał pierścień do pocałowania. Od czasu do czasu próbował komuś dodać otuchy, poklepując go po pochylonej głowie.

Pożegnawszy się ze służbą, Stanisław spojrzał na kogoś, kto stał po drugiej stronie dziedzińca. Paweł wyciągnął szyję i po raz pierwszy zobaczył generała Suworowa. Zakipiała w nim krew; ogarnęła go potworna złość. Miał przed oczami czerwonego diabła odpowiedzialnego za masakrę Pragi. Za śmierć dwunastu tysięcy niewinnych cywilów – wśród nich kobiet i dzieci. Odpowiedzialnego za śmierć Zofii.

Suworow przedstawił królowi członków rosyjskiej gwardii

honorowej. Paweł zaklął w głębi duszy. Ulubieniec carycy Katarzyny znał się na wojnie, znał się na manewrach i najnowszych sposobach zabijania, ale najwyraźniej obcy mu był kodeks honorowy. Co za podła kreatura!

Monarcha z milczącą godnością i wysoko uniesioną głową odwrócił się i po raz ostatni dokonał przeglądu swojej gwardii królewskiej. Nawet uśmiechał się z wdzięcznością.

„Oto czym jest honor” – pomyślał Paweł.

Potem Stanisław bez słowa wszedł do powozu. Pozwolono mu zabrać ze sobą adiutanta, generała Gorzeńskiego, oraz kamerdynera i lekarza. Pozostali członkowie świty, a także wozy wypełnione po brzegi jego ukochanymi dobrami miały pojechać do Grodna w przyszłym tygodniu. Karetka natychmiast ruszyła, eskortowana z przodu i z tyłu przez Moskali na koniach. Król ze smutkiem machał mijanym tłumom. Powóz podjechał bardzo blisko do miejsca, w którym stał Paweł. Młody mężczyzna był pewien, że król go dostrzegł, bo w wyblakłych niebieskich oczach na moment pojawił się błysk, powieki drgnęły i lekko pochyliła się głowa.

Potecki wiedział, że będzie pamiętał ten dzień do końca życia. Czuł się tak, jakby w ułamku sekundy monarcha przekazał mu swoją siłę i odpowiedzialność. Przypomniał sobie sytuację sprzed lat: Stał przy łóżku umierającego ojca, który po ciężkim udarze nie mógł mówić. Starszy pan spojrzał na swojego piętnastoletniego wówczas syna, bezgłośnie go błagając, by zaopiekował się matką. Żadne słowa nie były potrzebne.

Tutaj również wydarzyło się coś ulotnego i niezwykle ważnego, coś, co wiązało Pawła z królem i losem Polski. Podświadomie sięgnął do kieszeni, w której miał kartkę od króla. Pora zacząć działać.

Tylko co można zrobić? Czy istnieje sposób, by uratować Polskę i polski tron? A może właśnie jest świadkiem odejścia

ostatniego króla Polski?

Jego myśli przerwały spontaniczne okrzyki tłumów.

– Naród z królem! – wołali zebrani. – Król z narodem!

Było to stare hasło, używane przez lud warszawski podczas manifestacji na cześć króla. „Przeegraliśmy – pomyślał Paweł – ale duch w narodzie nadal żyje”.

– Naród z królem! Król z narodem!

Przy akompaniamencie patriotycznych okrzyków skromna świta jak procesja posuwała się w kierunku bram miasta. Nagle tłum zastąpił karecie drogę: próbowano wyprząc konie i zatrzymać króla. Stanisław wychylił się przez okno i wyraźnym machnięciem ręki starał się zaprotestować.

W tym momencie Paweł zakrył dłonią usta w geście żalu i rozpacz, bo Rosjanie zaatakowali zbuntowany tłum. Padły strzały, a po chwili powóz potoczył się w dół, w stronę rzeki; ślad po nim znaczyły ludzkie ciała. Okrzyki ustały.

Gdy nieco się przeredziło, Paweł wrócił na plac Zamkowy. Spojrzał na kolumnę. Na jej szczycie wyrzeźbiony z brązu król Zygmunt III trzymał w jednej ręce krzyż, a w drugiej miecz, niczym święty rycerz. Tymczasem w kierunku Wisły zmierzał inny król – człowiek z krwi i kości – zmuszony do opuszczenia tronu i ojczyzny. Stanisław August Poniatowski nie był ani rycerzem, ani świętym, ale nie zasłużył na taki los.

Paweł powoli skierował się w stronę murów, które otaczały miasto od strony Wisły. Widział, jak powóz króla przeprawia się promem na drugą stronę rzeki – prace nad odbudową mostu miały się zacząć dopiero na wiosnę. Potem kareta zatrzymała się na nabrzeżu leżącej w gruzach Pragi. Król – w charakterystycznej czerwonej czapce – wysiadł, przycupnął na małym rozkładanym krzeselku, które przyniósł mu kamerdyner, i zaczął oglądać panoramę Warszawy. Paweł często podziwiał ten widok z okna zburzonej teraz kamienicy Zofii.

Monarcha uniósł coś do twarzy. Potecki wyteńczył wzrok i zobaczył, że król Stanisław Poniatowski ogląda swoje ukochane miasto przez lunetę.

Mijał czas, a pełne zniecierpliwienia gesty rosyjskiego generała, który odpowiadał za podróż króla do Grodna na Litwie, świadczyły, że jest bardzo zły i zdenerwowany. Król nie zwracał uwagi na jego ponaglenia. Miał prawo po raz ostatni przyjrzeć się Warszawie.

Zaczął padać śnieg. Warszawiacy zebrani na placu i murach zmarzli, więc zaczęli się rozchodzić. Po godzinie również Paweł opuścił swój posterunek, jeszcze raz spojrzawszy na smutnego, starego człowieka w czerwonej czapce. Nie mógł już tego znieść... poza tym przydzielono mu zadanie do wykonania, chociaż nie wiedział, jakie.

Nieco później się dowie, że król oglądał stolicę przez całe dwie godziny.

Król Stanisław II August wychylił się do przodu na krzeselku, przygarbił plecy i tak mocno zacisnął wargi, że prawie nie było ich widać. Spoglądał na Zamek Królewski, który stał na skarpie po drugiej stronie Wisły.

Trzydzieści lat temu objął tron dzięki machinacjom swojej byłej kochanki, carycy Katarzyny. Jego panowanie rozpoczęło nowy etap historii Polski. Kiedy przyglądał się ukochanej Warszawie – miastu, które miało trzydzieści tysięcy mieszkańców i podczas jego panowania pięciokrotnie się rozrosło – ogarnął go żal, który przez cały ranek ukrywał przed poddanymi. Zaatakował go ze wszystkich stron, jak ostre grudki śniegu i lodu niesione przez wiatr. To prawda, że wprowadził sporo zmian na lepsze, unowocześnił prawo, edukację i doprowadził do rozkwitu sztuk pięknych. Jego marzenie o odbudowie Polski chwilami się spełniało, głównie dzięki Konstytucji 3 maja – pierwszej demokratycznej

konstytucji w Europie. Za jej sprawą Polska miała króla elekcyjnego, a jednocześnie szanowała prawa jednostki. Wprowadzone reformy podziwiano jak świat długi i szeroki. Niestety, Wielka Rewolucja Francuska poważnie zaniepokoiła Austrię, Prusy i Rosję, zatrzęsła wszystkimi tronami i monarchiami. Postanowiono wytepić jak chwasty wszelkie załączki demokracji. Koniec końców sąsiedzi dokonali trzeciego i ostatniego rozbioru Polski, a wszystkie trzy rozbiory miały miejsce za panowania króla Stanisława Augusta Poniatowskiego.

Konstytucja miała krótki żywot i teraz pozostało po niej tylko wspomnienie, ale król modlił się z całego serca, by pamięć o niej nie wygasła. Modlił się też, żeby nie przejść do historii jako ostatni król Polski.

Jakiś ruch przykuł uwagę monarchy. Uniósł głowę. Rosyjski generał podszedł ponownie z twarzą skrzywioną z zimna: lodowaty wiatr wiał od rzeki.

Król Stanisław uśmiechnął się do niego łagodnie jak do każdego petenta. Uznał, że już wystarczająco długo kazał mu czekać.

Wstał, odłożył lunetę i poprawił czerwoną czapkę. Potem jeszcze raz spojrzął na Warszawę, westchnął i skierował się w stronę karety.

Okres jego panowania dobiegł końca.

Koniec marca 1795

Pewnego ranka Annę obudziły dziwne odgłosy na dachu. Pomyślała, że ktoś wymienia drewniane gonty; wtedy usłyszała: kle-kle-kle.

Usiadła na łóżku i uśmiechnęła się promiennie.

– Spóźniliście się trochę, Józefie i Alicjo! – zawołała, śmiejąc się w głos. – Poradziłam sobie bez was, ale zawsze jesteście mile widziani.

Od lat każdej wiosny w Topolowie pojawiała się para bocianów, które wracały z ciepłych krajów – jak mówiono, z Afryki. Regularnie przylatywały do swojego zniszczonego gniazda. Znów je odbudują na sporej, niezgrabnej platformie przymocowanej do komina i pozostaną tu aż do września. Powszechnie wierzono, że przynoszą właścicielom domu szczęście... a czasami dzieci.

Anna na chwilę wróciła do wspomnień z dzieciństwa. Stała kiedyś z ojcem i spoglądała na ptaki, podziwiając ich czarne pióra, biały puch oraz czerwone nogi i dzioby.

– O, biją się, tato! – wołała. – Każ im przestać!

Ojciec spokojnie wyjaśnił, że boćki tak się bawią. Miała wtedy pięć, może sześć lat i nie wiedziała, że właśnie obserwuje taniec godowy.

Kilka minut później rozmyślenia przerwało pojawienie się Lutiszy.

– Zejdzie pani na śniadanie, madame?

– Tak, Lutiszo. Czemu miałabym nie schodzić?

Lutisza zaniósła dzbanek ciepłej wody do umywalki i stanęła plecami do Anny.

– Po prostu ostatnio nie zawsze pani schodzi.

– To prawda. – Anna czuła, że nie może dłużej trzymać w tajemnicy swojego stanu. – Lutiszo, wydaje mi się, że bociany

przyleciały.

– Tylko jeden, madame – przyznała Lutisza, odwracając się. – Chyba samiec. Zawsze tak jest. Naprawia gniazdo i przygotowuje je na przyłot samicy.

– Ciekawe, dlaczego tak się to odbywa – zastanawiała się Anna. – Myślisz, że spędzają zimę osobno?

– Niektórzy uważają, że tak, madame, a sądząc po tym, co wyprawia samiec, gdy pojawi się jego partnerka... hmmm... jestem skłonna w to uwierzyć!

Anna wybuchnęła śmiechem.

– Wydaje mi się, że je uprzedziłam, Lutiszo.

Służąca natychmiast zrozumiała; jej okrągłą twarz rozjaśnił uśmiech. Nie okazała jednak zaskoczenia.

– To znaczy, że przyniosły całemu domowi szczęście.

– Wiedziałaś, prawda?

Kiedy staruszka wydeła wargi, Anna zachichotała.

– Tak przypuszczałam. Lutisza wzruszyła ramionami.

– Jest coś, co nauczyłam się dostrzegać u kobiet.

– Co takiego?

– Inne spojrzenie, madame. Tajemniczy błysk w oku. Anna ponownie się roześmiała.

– Zawsze mówiłam, że służący lepiej wiedzą, co się dzieje w domu, niż ich państwo.

Starsza pani oblała się pąsem.

– Czasami rzeczywiście tak bywa, madame. Naprawdę. Zrobiła kilka kroków w stronę drzwi.

– Zaraz zejść.

Lutisza odwróciła się w drzwiach.

– Chciałaby pani urodzić następnego chłopca?

– Może.

– Dobrze by było, gdyby Michałek miał młodszego brata. Przypuszczam również, że hrabia Stelnicki wolałby syna.

Lutisza z uśmiechem zamknęła za sobą drzwi.

Euforia Anny natychmiast przygasła. Ostatnio miewała zmienne nastroje, a myśl o Janie i dziecku bardzo ją przygnębiała.

Mąż znów wyjechał bladym świtem. W ciągu ostatnich tygodni ani razu nie został rankiem wystarczająco długo, by zauważyć, że Annie dokuczają poranne mdłości. Jak to się dzieje, że zawsze ma tyle roboty? Majątek funkcjonował dobrze pod bacznym okiem Jacoba, więc czym się Jan zajmował? I dlaczego? Czyżby nie wiedział, że jest potrzebny Annie? Oczywiście, spędzał z nią wieczory, a nocami, kiedy się kochali, było cudowniej, niż sobie wyobrażała... ale rano... rano nigdy go nie było...

Anna zaczęła się ubierać. Nagle zdała sobie sprawę, że myśli i zachowuje się jak matka, która wiecznie była niezadowolona, że ojciec wychodzi z domu, by dopilnować majątku i wszystkim osobiście pokierować. Czyżby jakimś cudem los przeznaczył Annie podobne życie? Mieszka w domu rodziców, sypia w ich sypialni, a jej związek – przynajmniej na razie – przypomina związek ojca i matki. Na tę myśl zamarło jej serce.

Niegdyś doskonale rozumiała ojca i jego miłość do ziemi, ale teraz czuła się tak, jakby znalazła się na miejscu matki i lepiej rozumiała właśnie ją.

Nastrój wciąż się nie poprawiał. Lutisza przypadkowo trafiła w najczulszy punkt Anny. Czy Jan będzie chciał – i oczekiwał – chłopca? Czy będzie zadowolony, jeśli urodzi się dziewczynka? Anna modliła się o córkę, ale dopiero teraz zdała sobie sprawę, dlaczego. Bała się, że jeśli urodzi chłopca w chwili, kiedy między Janem a Michałkiem powstaje nowa więź, ucierpi na tym relacja między ojczymem a pasierbem. Jan traktował Michała z ogromną dobrocią i miłością, toteż Anna modliła się o córkę.

Tego wieczoru przekaze mu radosną nowinę. Nie ma

wyboru, bo wkrótce cały dom będzie mówił tylko o tym. Albo już to robi.

Paweł jechał sam; wokół unosiła się poranna mgła. Ze względu na tajemnicę kazano mu unikać dróg, przebijał się więc na koniu przez gęsty las, uważając na powalone drzewa i nisko zwisające konary. Był tak znużony, że nie dostrzegał pączków na dębach ani jasnozielonych pędów sosen. Chyba po raz pierwszy w życiu nie był w stanie zachwycać się drzewami, które rosły wokół niczym kolumny w starożytnej Grecji – jak często o nich mawiał. Po jakimś czasie natknął się na półtorakilometrową wycinkę i wprowadził konia między brzozy, które stały jak strażnicy na skraju polany. Miał przed sobą ogromną przestrzeń, która otaczała wzgórze. Na zboczu stał drewniany domek myśliwski; jego małe kwadratowe okna wyglądały jak nieruchome oczy.

Od tygodnia niewiele spał. Z nadejściem wiosny wrócił do poszukiwań: przepytywał wieśniaków, przeczesywał maleńkie osady wzdłuż brzegów rzeki, starał się odnaleźć jakikolwiek ślad po Zofii. Nadzieja niełatwo umiera. Niestety, dotychczas nie znalazł ani jednej wskazówki. Ukochana zniknęła. Ostatnio często dostrzegał współczucie w oczach przyjaciół, którzy dawno już uznali Zofię za zmarłą. Wszyscy tak sądzili. On jednak nie mógł pogodzić się z myślą, że jego ukochana leży gdzieś wśród ciał, które chłopci i żołnierze powrzucaли do głębokich dołów. Każdy, ale nie ona...

Zsiadł z konia, próbując pokonać zmęczenie. Przywiązał wierzchowca do krzaka i wyjął z sakwy brązową pelerynę. Zarzucił ją na ramiona i zaczął się wlec przez wycinkę, nie odrywając wzroku od domku. W połowie drogi ujrzał, że coś błysnęło w okienku na piętrze i natychmiast zgasło. Czyżby odbicie wschodzącego słońca? A może okulary? Albo lornetka?

Paweł starał się odsunąć wspomnienia o Zofii. Słońce łagodziło poranny chłód. Z ulgą skierował myśli na inne sprawy. Zatrzymał się i założył na głowę kaptur; przez otwory na oczy ocenił swoje położenie i ruszył w stronę chaty. To już czwarte spotkanie, ale w tym przebraniu czuł się tak samo nieswojo jak za pierwszym razem, w Warszawie. Jak to się stało, że król wciągnął go w taką maskaradę? Był zły, że dał się namówić. Zgodnie z sugestią Stanisława Poniatowskiego przyłączył się do grupy, w której obowiązywała ścisła tajemnica i skomplikowany ceremoniał. Paweł nie uważał się za jej prawdziwego członka, wątpił nawet, czy był tam mile widziany. Poza tym dokuczało mu poczucie ciągłego zagrożenia. Mimo to nie rezygnował z uczestniczenia w spotkaniach, powtarzając sobie, że król powierzył mu zadanie, które ma pomóc całemu narodowi.

Domek myśliwski pod Warszawą z pozoru niczym się nie różnił od typowych magnackich chat zbudowanych z myślą o polowaniach. Położony w pobliżu stolicy, stanowił awaryjne miejsce spotkań warszawskich masonów. Częściej zbierali się w swojej głównej siedzibie w mieście; tam podczas uroczystej ceremonii Paweł został przyjęty w szeregi bractwa i złożył przysięgę. Ze sporym wahaniem przyrzekł posłuszeństwo wobec zwierzchników, ale obietnica dana królowi – który należał dokładnie do tej samej loży – odsunęła na bok wszelkie wątpliwości.

W drzwiach powitał go dobrze już znany niski, krępy mężczyzna w pomiętej pelerynie, która z trudem osłaniała potężne brzuszysko. Wprowadzono go do dużej sali, w której z powagą rozmawiało około czterdziestu braci zebranych w grupki po trzech i czterech. Czy mu się wydawało, czy rzeczywiście na jego widok poruszyło się kilka kapturów, a tu i tam ktoś zniżył nieco głos? Kilku stojących w pobliżu kiwnęło głowami i wymamrotało jakieś powitanie, zwracając

się do niego per „Piotrze”, czyli imieniem, które mu nadano.

Paweł zaczynał rozróżniać poszczególnych członków grupy po rozmiarach, sposobie noszenia peleryn i głosach. W większości należeli do szlachty. Oni również mieli przybrane imiona, ale niektórych zdradzał głos. Byli wśród nich jego znajomi i przyjaciele. Jednak nie wolno mu było okazać, że kogoś poznaje.

Podszedł do niego wielki mistrz.

– Trochę się spóźniłeś, bracie Piotrze, ale liczyliśmy, że przyjedziesz.

– Droga zajęła mi więcej czasu, niż przypuszczałem. Przepraszam.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego jego obecność była aż tak ważna.

– Dobrze, że jesteś.

Wielki mistrz miał głęboki i władczy głos; Paweł wiedział, że mistrz doskonale go zna. Zastanawiał się, czy wszyscy znają jego imię i nazwisko. Przypuszczał, że tak. Choć może tylko tak mu się wydawało. Mężczyzna, do którego król wysłał Pawła, zaklinał się, że tak nie jest, niemniej...

Wcześniej sporo słyszał o potędze wolnomularzy. Czasami ją wyczuwał. Tylko czy naprawdę oni są w stanie odbudować państwo polskie? Król odszedł. Nie umarł, ale znalazł się w szponach carycy Katarzyny, a to oznaczało, że przeszedł do historii. Członkowie bractwa wiedzieli – tak samo jak Paweł – że dla Stanisława Poniatowskiego nie ma już powrotu, i wcale tego nie chcieli.

Podczas spotkań dowiedział się – przynajmniej częściowo – jakie są ich plany. Masoni chcieli mieć nowego króla i ujrzeć biało-czerwoną flagę. Polska nie zginęła. Powróci na mapy Europy. Bractwo zamierzało czekać... i układać plany. Paweł mógł podać kilku ewentualnych kandydatów, którzy zdołaliby skupić wokół siebie naród. Mimo to podczas spotkań unikano

wymieniania jakichkolwiek nazwisk; chyba że robiono to szeptem w małych grupkach.

Obszernie natomiast rozprawiano o potrzebie przygotowania kogoś do roli króla: jak go kształcić, jakich języków nauczać, jak wpajać mu zdolności przywódcze. Można było odnieść wrażenie, że nadzieje polskich wolnomularzy wiążą się z jakimś delfinem albo mesjaszem w powijakach. Pawłowi wydało się to bardzo dziwne. Kiedy próbował poznać szczegóły – dopytywał, jaki mężczyzna lub dziecko odpowiadałoby ich potrzebom – prowadzili go krętą ścieżką.

Po jakimś czasie Paweł odważył się spytać wielkiego mistrza.

– Dlaczego spotykamy się z dala od miasta, bracie? Wielki mistrz na chwilę zastygł w bezruchu, nim udzielił odpowiedzi; Paweł żałował, że nie może zobaczyć wyrazu twarzy ukrytej pod kapturem.

– W stolicy jest za dużo uszu i oczu, bracie Piotrze, a my mamy zbyt dużo do powiedzenia i zrobienia.

– Za dużo pruskich uszu i oczu? Wielki mistrz przytaknął.

– Co prawda nasz schemat organizacyjny zawdzięczamy pruskim wpływom, ale skoro nasz kraj został podzielony – a niemąla jego część przypadła Prusakom – w interesie prawdziwych Polaków takich jak ty i ja, bracie Piotrze, leży zwalczanie pruskich interesów.

– Rozumiem.

Paweł miał nadzieję, że uda mu się wyciągnąć od wielkiego mistrza więcej informacji, ale nie dowiedział się nic oprócz tego, do czego sam wcześniej doszedł. Jego wysiłki spełzły na niczym.

– Siadajmy – zaproponował wielki mistrz – żebyśmy mogli wszystko wspólnie przedyskutować; są pewne sprawy do załatwienia.

Gdy Paweł wrócił do Warszawy, było już ciemno. Przeszedł z wozowni do tylnych drzwi kamienicy. Nic, co działo się podczas spotkania w domku myśliwskim, nie umknęło jego uwadze. Na szczęście powrót drogą trwał krócej niż poranna przeprawa przez las, mimo to był wyczerpany jak po bitwie. Na schodach przyspieszył kroku, chcąc jak najszybciej położyć się do łóżka.

– Ma pan gościa – powiedział służący, witając go. – Czeka w salonie.

– Naprawdę? Kto to taki, Fryderyku?

Służący wziął surdut Pawła, ale najwyraźniej bał się mówić. Był dziwnie blady, więc zamiast powtarzać pytanie Potecki poszedł prosto do salonu. Pokój był słabo oświetlony i gdyby służący nie powiedział mu, że ktoś w nim czeka, nie dostrzegłby nieruchomej postaci w przeciwległym rogu.

– Witam – powiedział, wchodząc.

Ogień gasnący na palenisku oświetlał migotliwym światłem sylwetkę gościa. Paweł zauważył, że to kobieta w chłopskim stroju z masą czarnych włosów schowanych pod chustką. Czego ona może od niego chcieć? Jak to się stało, że służący ją wpuścił?

Ku zaskoczeniu Pawła ruszyła w jego stronę z dziwną pewnością siebie, niemal poufałością. Pomimo stroju natychmiast poznał po postawie i sposobie poruszania się, że to szlachcianka. W tym momencie światło z paleniska padło na twarz nieznanym, ukazując piękne rysy. Rozpoznał ją.

Serce załomotało mu w piersiach, zamarło, a potem wolno, bardzo wolno zaczęło wracać do normalnego rytmu.

Zabrakło mu w piersiach tchu, więc tylko sapnął, a potem stał jak kamień, czując, że nogi się pod nim uginają.

– Witaj, Zofio – szepnął w końcu. Na nic więcej nie było go stać.

– Witaj, Pawle – odparła.

Uśmiechnęła się w swój charakterystyczny sposób i w mgnieniu oka znalazła się w jego ramionach. Paweł nie potrafił powiedzieć, które z nich drży... w końcu uznał, że chyba oboje.

Po długiej, bardzo długiej chwili Zofia odsunęła się od Pawła, zmierzyła go od stóp do głów i figlarnie się uśmiechnęła. Oczy zasnuły jej łzy. Paweł nigdy nie widział, by płakała. Sekundy wydłużały się w minuty. Mężczyzna bał się odezwać, by się nie okazało, że to tylko sen, który może prysnąć przy najlżejszym ruchu. Że Zofia rozplynie się we mgle.

– Pawle! – odezwała się wreszcie. – Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha!

Odrzuciła głowę do tyłu. Dopiero gdy wybuchnęła śmiechem – który zawsze przypominał mu podzwanianie monet – uwierzył, że kobieta, która przed nim stoi, jest istotą z krwi i kości.

– Klnę się na orła białego i wszystkie świętości, Zofio, że naprawdę zobaczyłem ducha.

Anna postanowiła w tym roku zorganizować Michałkowi urodziny, a nie imieniny, które przypadały piętnastego maja. Chociaż po dłuższym zastanowieniu doszła do wniosku, że może za kilka dni urządzi następną uroczystość. Wiedziała, że trzeciego wszyscy będą mieli kiepskie nastroje z powodu obalenia Konstytucji 3 maja przez wrogie mocarstwa... przy współudziale kilku krótkowzrocznych i chciwych polskich magnatów. Może drobna uroczystość pozwoli oderwać się od ponurych myśli.

Kiedy po obiedzie ułożono Michałka na popołudniową drzemkę, Jan, Jacob i Emma zebrali się w salonie udekorowanym kolorowymi wycinankami zrobionymi przez Marcelinę i Katarzynę. Anna nie mogła się doczekać dnia, kiedy będzie mogła nauczyć synka robić wycinanki podobne do tych, które wisiały w oknach i zdobiły krokwie, ale na razie był za mały, by poradzić sobie z niebezpiecznie ostrymi nożycami do strzyżenia owiec.

– Dlaczego nadałaś synkowi takie właśnie imiona? – spytała Emma.

– Urodził się w dniu poświęconym w kalendarzu świętemu Antoniemu, ale...

Annie zrobiło się niedobrze. Mogła wyjaśnić, że to właśnie imię nosił mężczyzna, który ożenił się z nią dla pieniędzy i wynajął zbirów, którzy mieli ją zabić... ale Emma to wiedziała. Wszyscy o tym wiedzieli.

– Nigdy nie lubiłam tego imienia – oznajmiła zbyt głośno, czym zwróciła uwagę obecnych. – Na drugie dałam mu Michał, by uczcić swojego dobrego przyjaciela, Michała Kolbiego, który uratował mi życie. Zginął, walcząc w armii Kościuszki.

Teraz trzeba było powiedzieć coś o pierwszym imieniu.

Poczuła, że się rumieni, bo nie było odwrotu, a nie umiała kłamać.

– A jeśli chodzi o Jana, no cóż, jak wiecie, król Jan Sobieski był jednym z naszych przodków ze strony Berezowskich.

– Rozumiem – powiedziała Emma.

Wyjaśnienie zostało przyjęte. Anna zastanawiała się, czy wiedzą, że wybrała imię Jan nie po to, by uhonorować legendarnego króla, lecz człowieka, którego szczerze kochała, Jana Stelnickiego. Jan na pewno zdawał sobie z tego sprawę, chociaż nigdy o tym nie wspomniał.

– Jestem ciekawa – powiedziała Emma – czy po urodzeniu drugiego dziecka znów postąpisz wbrew tradycji.

Anna oblała się pąsem. Spojrzała w stronę paleniska, przy którym Jan rozprawiał o czymś z Jacobem.

– Jeszcze z mężem o tym nie rozmawiałam, ale bardzo chciałabym, żeby to była Barbara.

Słyszając to, Jan odwrócił się i zmierzył żonę nieprzeniknionym spojrzeniem.

– To znaczy, że spodziewasz się dziewczynki? – naciskała Emma.

Hrabina Stelnicka wzruszyła ramionami.

– Będzie, co Bóg da – powiedziała.

– Co Bóg da! – zawołał Jacob. – Wznieśmy za to toast! Rozlał wódkę do czterech małych kryształowych kieliszków. Opróżnili je, życząc maleństwu dużo zdrowia.

– Co ty na to, Janie? – spytał Jacob. – Chciałbyś chłopca, prawda?

Jan podszedł do żony i lekko ją pocałował.

– Będzie, co Bóg da, ale wiem jedno, jeśli urodzi się nam chłopiec, na pewno nie będzie to Jaś – w domu mamy już za dużo Janów!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Wznieśmy jeszcze jeden toast! – zawołał Jacob.

– Beze mnie – powiedziała Anna, wstając. – Muszę zbudzić malca, nim goście wpadną pod stoły.

Znów rozległ się śmiech. Gdy Anna szła po schodach do pokoju Michałka, słyszała, że wzniesiono następny toast. Próbowwała rozszyfrować reakcję męża. Czy naprawdę wolałby chłopca? Nigdy go o to nie spytała, bo bała się odpowiedzi. Zastanawiała się, co będzie, jeśli urodzi syna. Na pewno niepotrzebnie się martwiła, że Jan bardziej będzie kochał własne dziecko niż Jana Michała.

– Już czas? – spytał Michałek, gdy otworzyła drzwi.

– Tak – odparła ze śmiechem. – Już czas. Spałeś?

– Chyba... chyba spałem.

– To dobrze. Teraz umyjemy się i ubierzemy. Uczeszysz się sam?

– Tak, mamusiu. Czy Lutisza upiekła babkę?

– Oczywiście! – zapewniła Anna. – Czeka na ciebie na parterze.

Kiedy pomagała chłopcu ubrać się w bryczesy i kamizelkę, przypomniała sobie swoje dzieciństwo i ciasta pieczone dla niej w tej samej kuchni. Ona również najbardziej lubiła puszystą babkę drożdżową z rodzynekami.

– I co jeszcze?

– Co znaczy: co jeszcze, Michałku? Proszę, uczesz się.

– Co jeszcze na mnie czeka? – spytał, przesuwając grzebieniem po włosach.

Anna zrobiła groźną minę.

– Na mnie? Na mnie? – powtórzyła z naciskiem. – Czy tylko o tym potrafisz myśleć? Babka ci nie wystarczy?

– Tata powiedział, że ma dla mnie jakąś niespodziankę.

– Naprawdę? W takim razie będzie to niespodzianka dla nas obojga.

Anna z uśmiechem obserwowała synka, widząc jego

wysiłki.

– W porządku, jesteś gotowy. Schodzimy.

Na szczycie schodów Michałek wyciągnął rączkę z dłoni matki.

– Pójdę sam!

– Zgoda, Michałku, ale uważaj. Trzymaj się balustrady. Anna patrzyła, jak synek schodzi. Poruszał się z dziecięcą dumą i precyzją. Pomyślała, że niedługo rodzina powiększy się o następne dziecko, dziecko Jana. Położyła rękę na rosnącym powoli brzuchu i poczuła ogromną radość.

U podstawy schodów musiała przyspieszyć, żeby dogonić synka. Kiedy przechodzili przez salon, malec ze zdumieniem przyglądał się dekoracjom. Weszli do jadalni. Na uroczystość została zaproszona cała służba – Walek i Marta oraz ich córki Katarzyna i Marcelina siedzieli przy stole razem z Janem i Szraberami.

– Michałek! Michałek! – wołali zgodnym chórem. – Ile lat ma Michałek? Ile lat ma Michałek?

Chłopiec wyciągnął dwa paluszki.

– O nie! – Marcelina jęknęła i wybuchnęła śmiechem.

Najwyraźniej przygotowywała go na tę chwilę. Spojrzawszy na nią, szybko dołożył jeden paluszek z drugiej ręki. Wtedy wszyscy zaczęli klaskać i wiwatować.

– Michałek ma trzy latka! – wołali. – Michałek ma trzy latka!

Malec też zaklaskał. Podbiegł do Jana i ze zdumieniem spoglądał na ogromną babkę drożdżową stojącą na stole.

– Babka! – krzyknął. – Możemy ją zjeść?

– A gdzie jest Tomek, Michałku? – spytał Jan. – Nie możemy pokroić babki bez twojego przyjaciela, Tomka.

– Tomek? – spytał Michał zdumiony i zaczął się rozglądać.

Anna również zapomniała o dwunastoletnim synku Walka i Marty. W tym momencie zdała sobie sprawę, że rzeczywiście

szykuje się jakaś niespodzianka.

– Tomku! Tomku! – donośnie zawołał Jan.

Drzwi do kuchni otworzyły się i do jadalni wszedł Tomek z tajemniczym uśmiechem na twarzy. W ręce trzymał coś, co przypominało rzemyk albo skórzany pasek. Ci, którzy mieli lepszy widok, sapnęli i zasłonili oczy. Anna musiała zrobić kilka kroków i obejść stół, żeby zobaczyć, co jest na końcu rzemienia.

W pierwszej chwili ujrzała dużą, białą, puszystą kulkę, ale kiedy uważniej się przyjrzała, dostrzegła trójkąciki uszu i nos, który przypominał małą, czarną kulkę.

Zerknęła na synka. Jego oczy lśniły jak dwa złote dukaty, brakowało mu tchu.

– Jak sądzisz, Michałku? – spytał Jan, obejmując chłopca. – Zaprzyjaźnisz się z Borysem?

Chłopczyk nie mógł oderwać oczu od szczeniaczka, który ze strachu schował się za nogami Tomka.

Wszyscy ze zdumieniem, ale i rozbawieniem obserwowali rozgrywającą się scenę. Wszyscy oprócz Anny. Podeszła do Jana.

– Janie, co cię...

– Jest piękny, prawda, Aniu?

Pochylił się i podrapał owczarka za uszami. Pies uniósł łepkę, spojrział na Annę i wysunął długi, czerwony język. Michałek pisnął z radości.

– Jest najpiękniejszy na świecie, Janie, ale to owczarek podhalański!

– Owszem – przyznał, cały czas obserwując synka i psa. – Jest piękny!

– Ale to pies pasterski, Janie. Powinien pilnować owiec a nie mieszkać w domu!

– Nauczy się, Anno. Przyzwyczai się.

– A my? Dorosłe owczarki są bardzo duże. Szybko

przerośnie Michałka. Będzie się plątał po domu, wiele rzeczy potłucze.

Anna nagle zdała sobie sprawę, że chociaż zebrani przy stole patrzą w inną stronę, pilnie przysłuchują się jej dyskusji z Janem.

– To bardzo mądre psy, Aniu, i niezwykle oszczędne w ruchach. Oczywiście, być może któregoś dnia Borys zapędzi nas wszystkich do kredensu!

Anna postanowiła nie przeszkadzać w śmiechu, który wybuchnął po słowach Jana. Porozmawia z nim później i powie, jaką głupotą byłoby zatrzymanie takiego psa w domu. Wtedy będą mogli ponownie przedyskutować sprawę.

Jan pochylił się, wziął szczeniaczka na ręce, wstał, obrócił się i bez ostrzeżenia podał go Annie.

– Proszę – powiedział. – Nie zawsze będzie taki mały, żebyś mogła go potrzymać na rękach, a koło Bożego Narodzenia będziesz nosić inne maleństwo.

Anna zamrugnęła powiekami, gdy czerwony, aksamitny język psiaka przesunął się po jej twarzy. Spojrzała w czarne oczka. Jaki sens miało dyskutowanie tu czy na osobności? Została pokonana i dobrze o tym wiedziała. W takim razie może cieszyć się owczarkiem i nie dawać zebrany powodów do zbędnych komentarzy.

Michał wyciągnął rączki do mamy, prosząc, by oddała mu prezent. Gdy Anna postawiła futrzaną kulkę na podłodze, szczeniaczek stanął obok jednego z wypolerowanych wysokich butów Jana i oblał go jasnożółtym strumyczkiem. Michałek zapiszczał z radości. Wszyscy się do niego przyłączyli. Oprócz Jana.

– Widzisz! – Anna ze śmiechem pogroziła mu palcem. – Nigdy nie warto podejmować pochopnych decyzji.

Jan również się roześmiał. Potem klasnął w dłonie jak sułtan.

– W porządku, Lutiszo. Pora pokroić babkę Michałka!

Anna zaczekała w salonie na Jana, który zaprowadził Michałka do łóżka. Trzymała w ręce zniszczony egzemplarz *Odysei*. Nie pamiętała, ile razy już ją czytała.

Po chwili Jan przyłączył się do niej, siadając w pobliżu paleniska. Był dziwnie poważny.

– Poszedł spokojnie spać? – spytała Anna.

– Tak.

– A Borys?

– Zrobiłem dla niego prowizoryczny kojec.

– W kuchni?

– Nie... w sypialni Michała.

– Och, Janie!

– Będzie dobrze, zobaczysz.

– Nie przejmuj się – zapewniła Anna. – Już się pogodziłam z jego obecnością. Chociaż nie podoba mi się jego imię. Borys... nie mogłeś inaczej go nazwać? – Wybuchnęła śmiechem. – Postawiłeś na swoim. Wkrótce zobaczymy, czy zdoła się przystosować.

– Przepraszam, że nie przedyskutowałem z tobą tej sprawy, Aniu, ale chciałem, żeby to była niespodzianka również dla ciebie.

– I była! Obawiam się, że cię zawiodłam, nieufnie odnosząc się do tej małej bestii.

– Nieprawda, wiedziałem, że ta „mała bestia”, jak go nazwałaś, podbije twoje serce.

– Tak łatwo mnie rozszyfrować?

– W takich sprawach tak. Dlatego cię kocham. Anna potrząsnęła głową, udając poirytowanie.

– Wiesz, jak przypieczętować umowę, Janie!

Nie odpowiedział. Milczeli przez kilka minut. Jan siedział i wpatrywał się w ogień; Anna odczuwała dziwny niepokój.

Nawet nie próbowała wrócić do czytania.

– O co chodzi? – spytała w końcu. – Jesteś taki poważny. Odchrząknął, ale ani na chwilę nie odrywał wzroku od płomieni.

– Dostałem list... od Pawła.

– Tak? Stało się coś złego?... Król? Jan najwyraźniej szukał słów.

– Powiedz, Janie, o co chodzi.

Odwrócił krzesło, a jego kobaltowe oczy zamigotały w świetle płomieni. Wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie:

– Zofia się znalazła, Aniu.

– Zofia? – powtórzyła Anna przytłumionym głosem. Jan przytaknął.

– Znaleziono jej ciało?

Jan potrząsnął przecząco głową.

– Ona żyje, Aniu.

Anna poczuła, że pokój wiruje wokół niej. Tyle myśli przelatywało jej przez głowę, że na żadnej nie mogła się skupić.

Mąż mówił dalej, ale nie rozumiała jego słów. Jakby posługiwał się jakimś obcym językiem. Żyje... żyje! Zofia żyje! Czy to możliwe? Po tylu miesiącach? Jak udało jej się przetrwać kąpiel w lodowatej rzece?

– Psiakrew! – usłyszała własny szept. Użyła przekleństwa Zofii. – Czy to prawda?

– Tak.

– Ale... jak...?

– Najwyraźniej wyłowili ją z rzeki jacyś wieśniacy. Nasunęły się jej logiczne pytania; potem wzięły górę nieuporządkowane emocje.

– Ale przecież Paweł jej szukał! Powiedział, że rozmawiał z wszystkimi mieszkańcami w pobliżu rzeki.

– Jakimś cudem chłopskiej rodzinie, u której się znalazła,

udało się zachować jej obecność w tajemnicy przed mieszkańcami wioski... chyba na wyraźną prośbę Zofii.

– I właśnie wróciła do Warszawy?

– Od dwóch miesięcy jest u Pawła.

– Od dwóch miesięcy!? I nawet do mnie nie napisała? Nie dała znaku życia? Czy dopisała się do listu Pawła?

– Nie, chyba na razie nie chce, żebyśmy wiedzieli, ale Paweł uznał, że powinien nas zawiadomić.

– Dlaczego trzymała to w sekrecie? Co się stało? Jan wzruszył ramionami.

– Znasz Zofię.

– Nie, Janie, i na tym właśnie polega problem. Nie znam Zofii. Nigdy jej nie znałam. Jest zagadką, której nie rozwiązałyby nawet Edyp.

– Masz rację – powiedział Jan, wstając. – Idę do łóżka. Anna zdała sobie sprawę, że mąż na nią czeka.

– Idź. Wkrótce przyjdę.

Jan pocałował ją w policzek i skierował się na piętro.

Anna zapatrzyła się w przestrzeń. Ogień przygasł, a ona rozmyślała o tym, jak niezgłębione są wyroki losu. Zofia uratowała Michałkowi życie, ukrywając go przed jego własnym ojcem, uratowała również życie Annie, wysyłając ją na drugą stronę mostu do bezpiecznej Warszawy, byle z dala od kordów Moskali, którzy zaatakowali Pragę. Jednocześnie jednak ukrywała przed Anną pewne rzeczy, niszczyła jej listy, kłamała i skazała kuzynkę na koszmarne małżeństwo z Antonim Grawlińskim. Gdyby nie intrygi Zofii, Anna już kilka lat temu wyszłaby za mąż za Jana.

Jak powinna zareagować na wiadomość, że Zofia żyje? Oczywiście cieszyć się. Była zaskoczona i zadowolona, że kuzynka uniknęła śmierci. Jednocześnie jednak radości towarzyszyło... co?... jakieś poczucie zagrożenia? Dlaczego odniosła dziwne wrażenie, że coś nad nią wisi? Teraz nie

miała się już czego bać ze strony Zofii. Ona i Jan byli małżeństwem, spodziewali się dziecka. Tego nie mogła zmienić żadna ingerencja kuzynki.

Anna wróciła myślami do Jana. Przypomniała sobie sposób, w jaki przekazał jej nowinę, i zaczęła się zastanawiać nad jego reakcją. Niewiele powiedział. Prawdę mówiąc, dopiero teraz zdała sobie sprawę, że był spokojny, pozbawiony emocji. Co to może oznaczać?

Zofia stała przed lustrem w jednej z nowych sukni i oceniała swój wygląd. Och, nie była to kreacja rodem z Paryża, ale została uszyta zgodnie z francuską modą: była fioletowa i miała głęboki dekolt, który odsłaniał piersi. Moda francuska zmieniła się nieco po rewolucji i obecnie suknie były znacznie prostsze, a ponieważ miały mniej falban, fiszbinów i turniur – również lżejsze. „Jedyny pozytywny skutek buntu motłochu” – pomyślała. Paweł okazał się hojny, bardzo hojny, i skompletował jej garderobę. Niemal wszystko, co miała, spłonęło podczas ataku Rosjan na Pragę. Na szczęście Zofia, dzięki pieniądzom ulokowanym za granicą, miała też własne fundusze, i to niemałe, ale nie chciała ich uszczuplać.

Minęły dwa miesiące od chwili, kiedy odziana w chłopską sukienkę opuściła małą chatkę nad Wisłą. Jurek przywiózł ją na Pragę, gdzie kazała się zostawić. Dopiero wtedy spojrzała na skarpe, na której niegdyś stała biała kamienica. Hrabina Grońska nigdy nie była skora do płaczu, ale wówczas po jej policzkach popłynęły łzy. Opłakiwała nie stratę kamienicy i wykwintnych mebli, lecz śmierć matki, która opuściła ten świat w przeddzień ataku Rosjan. Zofia żałowała, że nie była dobrą córką. Teraz, stojąc przed lustrem, przypomniała sobie niedawne rozstanie z Danutą, jej ojcem... i Jurkiem... Była wzruszona jak nigdy w życiu. Co by się z nią stało, gdyby nie

gościnność wieśniaków?

Co by zrobiła bez niewinnego oddania Jerzego? Błagał ją, żeby została... ale go wyśmiała. Z wdzięczności, gdy się z nim żegnała, próbowała wcisnąć mu do ręki brylantowy pierścionek, zdając sobie sprawę, że dzięki niemu warunki życia wieśniaków mogłyby się zmienić na lepsze. Jednak Jurek spochmurniał, zdecydowanie odmówił i szybko odszedł. Oddalał się z lekko przygarbionymi plecami.

Jurek – chłopski sobowtór Jana! Czy dlatego chłopak tak bardzo przypadł jej do gustu? Hmm, Jan i Anna byli bezpieczni... i wzięli ślub! Warto o tym pomyśleć, nawet jeśli nie jest to zbyt miłe.

Zofia potrząsnęła głową, próbując uwolnić się od przykrych refleksji. Znowu jest w Warszawie! Poszczypała się po policzkach, żeby nabrać rumieńców, i zeszła na kolację. Paweł siedział przy stole. Jego poważna mina zaniepokoiła Zofię.

Po posiłku stanął za jej krzesłem, pocałował ją i zaproponował małżeństwo.

Zofia odwróciła się z uśmiechem. Nie udawała zaskoczenia. Zanim przyłączył się do Kościuszki, wielokrotnie prosił ją o rękę.

– Pawle, dobrze znasz moje zdanie. Lubię cię. Nawet bardzo... ale nie chcę wychodzić za mąż.

– Zofio, sprawy wyglądają teraz inaczej. Nie możesz zachowywać się... tak jak niegdyś.

– To znaczy?

Buntowniczym tonem starała się zniechęcić go do wypominania jej dawnych grzeszków.

Odczekał chwilę, najwyraźniej dochodząc do wniosku, że nie warto wspominać o jej reputacji.

– Czasy się zmieniły – wyjaśnił, po czym odchrząknął i wyprostował plecy. – Uważam, że powinnaś mieć dom. Wiem, twierdzisz, że Praga się odbuduje i że masz środki, by

wznieść nową kamienicę, ale potrzebny ci mężczyzna, który będzie stał u twojego boku i ochraniał cię.

– Naprawdę? – Zofia spojrzała na niego. – Pawle, nie spieszy mi się z budową. I nie spieszy mi się z zamążpójściem. Możemy dalej żyć tak jak teraz.

– Jak długo, Zofio? Jak długo?... Co powiemy ludziom? Jak mają nas przyjmować?

– Ach, a więc o to ci chodzi? Boisz się, co powiedzą inni? Dlaczego? Przecież nastały nowe czasy, Pawle. Nie będziemy w Warszawie jedyną parą żyjącą bez ślubu. Niedobitki polskich wyższych sfer są zbyt zajęte walką o przetrwanie, by zamykać przed nami drzwi.

Paweł opadł na krzesło obok Zofii.

– Nie martwię się, co powiedzą inni! Martwię się o ciebie, Zofio. Kocham cię.

Zofia wypuściła powietrze z płuc.

– Powinieneś wiedzieć, że potrafię przetrwać najgorsze. Nie masz więc powodu do zmartwień. Jestem jak feniks... zawsze taka byłam. – Nie czekając na odpowiedź, dodała: – Pawle, muszę ci coś powiedzieć.

Zaskoczył go jej poważny ton, pozbawiony cienia żartobliwości.

Chwila ciągnęła się w nieskończoność.

Zofia upiła łyk wina, spojrzała znad brzegu kieliszka w oczy Pawła, a potem opuściła wzrok i powiedziała:

– Jestem w ciąży.

Chyba była to ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Na jego twarzy najpierw pojawiło się zaskoczenie, potem zdziwienie... i radość. Zofia natychmiast się zorientowała, że popełniła błąd, przekazując mu tę nowinę w taki sposób. Źle ją zrozumiał.

Roześmiał się jak dziecko, które na przekór niewielkim szansom wygrywa w jakiejś grze. Wstał i klęknął obok niej.

– To jeszcze jeden powód, Zofio! Jeszcze jeden powód, żeby wziąć ślub... i założyć rodzinę!

Siedziała w milczeniu. Coś w jej spojrzeniu ostudziło zapał Pawła. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

– O co chodzi? – spytał. – Nie pojmuję.

– Och, Pawle – westchnęła. – Och, Pawle. Błyskawicznie ją zrozumiał. Zofia wiedziała, że sprawiła mu potworny ból, ale nie powiedziała nic więcej.

Była wdzięczna, że nie spytał, kto jest ojcem dziecka.

Koniec października 1795

Jesienne zebranie w domku myśliwskim było wyjątkowo burzliwe. Paweł w lecie i we wrześniu opuścił kilka spotkań, ale tego nie chciał stracić. Kilka dni temu, prawie rok po masakrze Pragi i upadku Rzeczypospolitej, trzej sąsiedzi Polski podpisali akt rozbiorowy. Prusy zrezygnowały na rzecz Austrii z terytorium na południe od Krakowa w zamian za okupowaną przez Rosjan Warszawę. Sprawa wydawała się ostateczna i rozstrzygnięta: Polska zniknęła z mapy świata. W Warszawie panowało przygnębienie, a to jeszcze nie był koniec złych wieści.

– Katarzyna chce zmusić króla do abdykacji! – oznajmił wielki mistrz.

Bracia zebrani w sali zadrżeli. Wielki mistrz zrobił długą pauzę, pozwalając na chwilę ożywionej rozmowy. Potem wszyscy ucichli i odwrócili głowy w jego stronę, czekając na wyjaśnienia.

Paweł podzielał niepokój braci. Chociaż większość wyrażała przekonanie, że Stanisław już nigdy nie wróci, niewielu brało pod uwagę możliwość abdykacji.

– Czy to ma jakieś znaczenie?! – zawołał brat Dymitr. Zawtórowało mu kilka głosów.

– Tak! – krzyknął wielki mistrz. – I to ogromne!

Mistrz nigdy wcześniej nie okazywał złości. Grupa uciszyła się, a on kontynuował:

– Król Polski nie ma prawa abdykować! Niektórzy moi rówieśnicy obecni na tej sali przed laty podczas elekcji wybrali Stanisława Poniatowskiego. Dodacie pewnie, że stało się to pod naciskiem Katarzyny, niemniej król nie może abdykować. Musi o tym wiedzieć! Tylko jego wyborcy mogą

go uwolnić od przysięgi określonej przez *pacta conventa*.

Wielki mistrz przerwał.

– Och, wasze milczenie sugeruje – podjął po chwili – że dręczy was to samo pytanie co brata Dymitra. Co ta abdykacja oznacza? Otóż w jakiś sposób sankcjonuje... tak, sankcjonuje podział naszego kraju dokonany przez sąsiadów. Da Europie i całemu światu sygnał, że okropny gwałt był uzasadniony! Nie, król musi zostać królem, symbolem tego, co nas spotkało.

Bracia siedzieli jak mnisi, którzy złożyli śluby milczenia. W końcu odezwał się Paweł.

– Wielki mistrzu, czy to możliwe, że Stanisław ustąpi Katarzynie?

Spod kaptura wielkiego mistrza dobiegło długie westchnienie.

– Stanisław to dobry człowiek – powiedział. – Nawet teraz myśli o swoim narodzie, pisze do władców państw sprzymierzonych w imieniu poddanych, którzy ponieśli ogromne straty. Poświęcił uwagę tysiącom próśb. Ma wielkie serce, ale jest słaby. Znasz go, bracie Piotrze, więc chyba sam możesz sobie odpowiedzieć.

Paweł milczał. Rzeczywiście, jego pytanie było retoryczne.

Anna była tak ociążała, że dwa tygodnie przed porodem przestała wychodzić z sypialni. Codziennie zaglądała do kalendarza i sprawdzała, jakie święte patronują najbliższym dniom, zastanawiając się, kiedy dziecko się urodzi i jakie imię powinno dostać. W najbliższym czasie imieniny miały obchodzić Irena, Urszula i Teodora. Z tych trzech Annie najbardziej podobała się Teodora; wolałaby jednak postąpić wbrew tradycji i – tak jak zrobiła w przypadku Michałka – wybrać dla córeczki inne imię, a nie świętej z dnia jej urodzin. Marzyła o Basi, ale ta patronka miała swój dzień dopiero czwartego grudnia.

Anna nigdy nie patrzyła na imiona świętych, tylko na święte. Sprawdzanie męskich imion oznaczałoby, że dopuszcza do siebie myśl o urodzeniu chłopca, tymczasem wcale nie miała na to ochoty.

Mijał dzień za dniem. Wieczorem dwudziestego szóstego października nie mogła zasnąć do północy, toteż rano późno się obudziła; usłyszała jakiś ruch w pokoju. Jan wstał o świcie. Pewna, że to Lutisza albo Marta, nie otwierała oczu i czekała, aż sobie pójdą. W pokoju zapadła cisza, lecz Anna nie mogła już zasnąć. Wyczuwała czyjaś obecność.

Otworzyła oczy. Leżała na plecach, bo ogromny brzuch uniemożliwiał jej przyjęcie innej pozycji. Zasłony wciąż były zaciągnięte, a za oknami najwyraźniej nastął pochmurny dzień, bo w sypialni panował półmrok. Spojrzała na prawo, potem przeniosła wzrok w lewo. Serce zamarło jej w piersi, gdy dostrzegła, że ktoś siedzi na krześle przy łóżku. Postać była cicha i nieruchoma. Przez chwilę Anna myślała, że to duch nieżyjącej cioci Stelli. Usłyszała cichy stłumiony śmiech.

Odwróciła głowę.

– Kto tu jest? – szepnęła.

– Kto tu jest? – powtórzył ktoś jej słowa.

Poczuła, że kręci jej się w głowie. Natychmiast rozpoznała szyderczy głos.

Czyjaś ręka ujęła dłoń Anny przez koc.

– To ja, Zofia! Czy jest tu aż tak ciemno, że mnie nie poznałaś? Odślonię okna.

– Nie! – Anna przytrzymała kurczowo jej rękę. – Po... po prostu nie wierzę. Przez chwilę myślałam, że to twoja matka.

– Czy tak bardzo się postarzałam? Zofia pocałowała dłoń kuzynki.

– Chociaż, prawdę mówiąc, czuję się, jakbym miała sto lat. Mam za sobą długą podróż! Wszystko mnie boli. Chyba tak robi się na starość.

Anna wybuchnęła śmiechem.

– Dobry Boże, Zofio, masz zaledwie dwadzieścia dwa lata... o rok więcej niż ja!

Kuzynka też się roześmiała.

– Ale czuję się, jakbym przeżyła całe życie!

– Nie wątpię, zwłaszcza jeśli masz na myśli ostatni rok! – Anna oparła się na poduszcze, którą podsunęła pod plecy. – Och, Zofio, myślałam, że nie żyjesz.

– Ja też tak myślałam, przynajmniej przez jakiś czas. Anna ścisnęła rękę kuzynki.

– Tyle ci zawdzięczam.

– Nonsens. – Zofia cofnęła dłoń. – Naprawdę nie chcę rozmawiać o tamtym dniu... o przeszłości.

– W takim razie będziemy rozmawiać tylko o przyszłości. Kiedy dowiedzieliśmy się od Pawła, że uratowali cię wieśniacy... co to była za wiadomość!

– Tak... wyłowili mnie z rzeki jak utopione jagnię.

– O mój Boże!

– Na pewno maczał w tym palce jakiś Bóg... opowiem ci o tym następnym razem.

– Kiedy dowiedzieliśmy się, że jesteś w Warszawie, napisałam do ciebie list. Nie dostałaś...?

Hrabina Grońska teatralnie westchnęła.

– Wiesz, że nie lubię pisać. W przeciwieństwie do ciebie. Ty piszesz nawet pamiętnik. Wybacz!

– Oczywiście. Czy Paweł... też przyjechał?

– Nie.

– Och! – Anna nie kryła zdziwienia, zaraz jednak sobie przypomniała, że Zofia zawsze robiła wszystko po swojemu. – Co słychać w Warszawie?

– Z mojego punktu widzenia nudno jak na typowo angielskim podwieczorku. Paweł związał się z jakąś grupą polityczną. Nie chce o tym mówić... czasami wyjeżdża na

jakieś potajemne spotkania, znika na dzień lub dwa.

– W jakiej sprawie?

– Nie wiem, Aniu, i nie bardzo mnie to obchodzi. Wiesz, że nie interesuję się polityką. Za to mogę ci opowiedzieć zabawną historyjkę o hrabim Kubackim!

Jak się okazało, rodzina Kubackiego przyjęła pod swój dach francuskiego księcia, jego żonę i trójkę dzieci – uciekinierów z ogarniętej rewolucją Francji. Arystokratyczna rodzinka dziwnie zaczęła sobie poczynać: wyrzuciła dzieci Kubackiego z ich własnych sypialni, wyjadła wszystko ze spiżarni, obraziła ich przyjaciół, wywołała nawet pogardę służących. Trwało to sześć miesięcy – dopóki jakiś francuski książę nie przyjechał do Warszawy i nie wyjaśnił, że to plebejusze i pasożyty.

Anna jednym uchem słuchała opowieści z wielkiego świata. Wciąż nie mogła pogodzić się z faktem, że Zofia tu jest... i że jej uczucia do kuzynki nadal są tak ambiwalentne jak zawsze. Zawdzięczała jej życie... bo to ona odwróciła uwagę Rosjanina, żeby Anna mogła bezpiecznie przepłynąć się przez most i ukryć za murami Warszawy. Naraziła się na ogromne niebezpieczeństwo, zostając na Pradze, gdzie Moskale wymordowali niewinnych cywilów.

Powinna się cieszyć, że Zofia przeżyła i teraz może opowiadać zabawną anegdotę. I... pomimo wcześniejszych intryg kuzynki Anna naprawdę się cieszyła. Niestety, do tych emocji dołączyło się jeszcze jedno uczucie, z którym nie mogła sobie poradzić. Kiedy się obudziła we własnym domu i zobaczyła Zofię, poczuła... co? Niepokój? Zażenowanie? Strach? Mimo woli zastanawiała się, jak wyglądało spotkanie Zofii z Janem. Jaka była reakcja męża. Anna starała się odeprzeć dziwne wrażenie, że kuzynka jest jej wrogiem. W końcu to ona wygrała rywalizację o Jana Stelnickiego, nie Zofia... to ona spodziewała się jego dziecka, nie kuzynka.

Nim hrabina Grońska dokończyła opowieść, Anna zdołała uporządkować myśli i uczucia, a nawet odzyskać pewność siebie. Nie ma powodu, by bać się Zofii. Co było, minęło.

– Co gorsza – ciągnęła Zofia – to wcale nie jest pojedynczy przypadek. W Warszawie przebywa obecnie ogromna liczba francuskich plebejuszy, którzy twierdzą, że należą do wyższych sfer. Teraz pozwól, że wpuszczę nieco światła. Panują tu egipskie ciemności.

– Nie, nie rób tego! Nie nadaję się, żeby kogokolwiek przyjmować. Mam ogromne brzuszysko i wyglądam jak straszdyło.

Zofia zignorowała prośbę, podeszła do okna i odciągnęła draperie. Kiedy wracała do łóżka, jej sylwetka wyglądała na szarym tle jak wycinanka. Z bliskiej odległości podobieństwo do figurki z papieru zniknęło, a twarz i postać nabrały wyraźnych kształtów. Anna sapnęła i otworzyła usta.

– O mój Boże, Aniu, powinnaś zobaczyć swoją minę! – Zofia parsknęła śmiechem, w charakterystyczny sposób odrzucając do tyłu głowę. – Widzisz, ja też jestem ogromna jak dworek szlachecki.

Anna nie wiedziała, co powiedzieć.

– Tylko pomyśl, Aniu, możemy urodzić tego samego dnia.

– Zofio... czy...

– Wyszłam za męża? Dobry Boże, nie! – Roześmiała się. – Wolalabym cholere niż męża.

– Och!

Hrabina Stelnicka doszła do wniosku, że nie powinna się dziwić.

– Oczywiście, Paweł mi się oświadczył, ale wciąż nie jestem gotowa. Pamiętasz, zawsze mówiłam, że przez trzy lata przed ślubem każdy powinien się porządnie wyszumieć.

– Tak, ale to było ponad trzy lata temu!

– Naprawdę? – Zofia wybuchnęła perlistym śmiechem. –

No cóż, może w ogóle nie jestem stworzona do małżeństwa?

– Co na to Paweł?

– Jakie to ma znaczenie, Aniu? Paweł nie jest ojcem.

– Ach tak!

Anna długo nie mogła ochłonąć z zaskoczenia. Nie wiedziała, co powiedzieć.

– To się stało, gdy wracałam do zdrowia – wyjaśniła Zofia, przerywając milczenie.

– To znaczy... że ktoś cię zgwałcił?

– Nie, ale nic więcej ode mnie nie usłyszysz.

Anna czuła, że kręci jej się w głowie. Kuzynka wkrótce urodzi nieślubne dziecko, mimo to ani trochę się tym nie przejmuje.

– Aniu – powiedziała Zofia. – Przyjechałam do Sochaczewa, żeby tu urodzić dziecko.

– Dla... dlaczego?

Anna nagle się przestraszyła, że hrabina Grońska ma zamiar u niej zostać. Wraz ze strachem przyszło też poczucie winy.

– Chcę cię poprosić, kuzyneczko, o największą przysługę. Hrabina Stelnicka patrzyła na piękną twarz i czekała na dalsze wyjaśnienia. Ciemne oczy w kształcie migdałów były niezwykle poważne.

– Chciałabym, Aniu, żebyś...

– Żebym co, Zofio?

Zofia wzięła głęboki wdech, a potem powiedziała:

– Chciałabym, żebyś wychowała moje dziecko.

– Co takiego?

– Och, Aniu! Kto jak kto, ale ty powinnaś doskonale wiedzieć, że nie będę dobrą matką. To byłoby nie w porządku wobec dziecka.

Minęła chyba minuta, nim Anna w końcu odzyskała mowę.

– Ależ, Zofio, ja też lada chwila urodzę... poza tym mam

już Michałka.

– Wiem, ale zostałam stworzona do wychowywania dzieci. Masz to we krwi. Poza tym możesz korzystać z pomocy odpowiednich ludzi. Niektórzy z nich wcześniej pracowali w moim majątku. Prócz tego na pewno znajdziesz w pobliżu jakąś mamkę.

– Zofio, byłoby mi bardzo miło, gdybyś tutaj urodziła dziecko. Lutisza, Emma i pozostałe kobiety wszystkiego dopilnują, ale nie mogę...

– No i masz Jana. Odnalazłam swoje szczęście. Pomóż mi odnaleźć moje!

– To niemożliwe, Zofio. Po prostu niemożliwe. Przykro mi, że pokonałam taki szmat drogi. Naprawdę powinnaś wcześniej napisać.

– Sądziłam, że mi nie odmówisz.

Anna poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

– Muszę, Zofio. Muszę – powtórzyła z naciskiem. Bacznie przyjrzała się twarzy kuzynki, próbując wyczytać na niej jakieś uczucia, ale jej oblicze było nieodgadnione.

– Posłuchaj mnie, Zofio. Zatrzymaj swoje dziecko. Niemowlęta to nie szczeniaczki, które można oddać innym ludziom. Pewnego dnia podziękujesz mi, że ci odmówiłam.

Słowa Anny zamykały dalszą dyskusję. Zofia zrobiła ponurą minę. Wstała.

– Powinnaś odpocząć. Przepraszam, że cię zdenerwowałam.

Pochyliła się, pocałowała Annę w czoło i uśmiechnęła się nieszczerze.

– Zofio, nie...

– Jesteś szczęśliwa, prawda? – przerwała jej Zofia. Anna przytaknęła.

– Tak.

– To dobrze.

Hrabina Grońska ruszyła w stronę wyjścia. W drzwiach odwróciła się i utkwiała wzrok w kuzynkę.

– A Jan... czy Jan jest szczęśliwy?

Anna oniemiała. Po co Zofia zadała takie pytanie? Wciąż miała nieprzeniknioną twarz. Nie była to niewinna wymiana uprzejmości. Czyżby Jan w jakiś sposób okazał, że coś do niej czuje? Może coś powiedział? Annie zrobiło się niedobrze. Myśl, że mąż nie jest szczęśliwy, złamałaby jej serce.

Po długiej chwili odpowiedziała:

– Jesteśmy szczęśliwi.

Zofia uśmiechnęła się enigmatycznie i wyszła.

– Mogę z tobą porozmawiać, bracie Piotrze? – spytał wielki mistrz. – Może wybrałbyś się ze mną na przechadzkę?

Razem opuścili przyjęcie, które odbywało się po spotkaniu.

Było wyjątkowo ciepło jak na październik. Potecki żałował, że nie może zdjąć kaptura... w końcu wiedział, kto jest wielkim mistrzem, a wielki mistrz doskonale znał jego personalia... ale w domku myśliwskim i w jego pobliżu ściśle przestrzegano reguł.

Wyszli z chaty i ruszyli miedzą.

– Jak wiesz, bracie Piotrze, polscy patrioci zebrani w naszych szeregach z całego serca pragną, żeby pewnego dnia Polska się odrodziła pod przywództwem wysoko urodzonej osoby, która mogłaby objąć tron.

– Ale gdy rozważamy, kto mógłby zostać królem, padają bardzo różne propozycje. Który z rodów...

– O tak, wciąż trwają dyskusje. Chętni są Lubomirscy, Poniatowscy, Czartoryscy. Przytaczane są różne argumenty. Toczą się spory. Trudno dojść do porozumienia. Każdy z magnackich rodów powołuje się na swoją historię. Często mają się czym pochwalić – i to zasłużenie – ale częściej powinni się wstydzić. Istnieje między nimi ogromna

rywalizacja, a próba wybrania jednego rodu kosztem pozostałych wywołuje rozgoryczenie, zazdrość i podziały.

Paweł wzruszył ramionami. Nie była to dla niego rzecz nowa, więc tylko się zastanawiał, do czego jego rozmówca zmierza.

– Być może monarchię uda się nam restytuować za wiele lat – ciągnął wielki mistrz. – Wiesz, że od dawna opowiadam się za wykształceniem jakiegoś dziecka i przygotowaniem go do objęcia tronu.

– Ale nie byłby to potomek żadnego z magnackich rodów.

– Nie.

Paweł znów czekał.

– Bracie Piotrze, jesteś bliskim przyjacielem hrabiego Jana Stelnickiego. Wiesz również, że tuż przed upadkiem Warszawy król Stanisław nadał żonie Jana – wówczas hrabinie Annie Berezowskiej-Grawlińskiej – tytuł księżnej.

Paweł od razu zrozumiał.

– Dzięki temu jej syn spełniałby wszystkie niezbędne warunki, by móc zostać elektem.

– Właśnie tak. Dodatkowym atutem jest to, że linia Berezowskich sięga króla Jana Sobieskiego.

– Niestety, muszę ostrzec, że rodowód jej syna, Jana Michała, jest... jak by to powiedzieć...

– Wątpliwy. Wiemy o tym. Mamy ludzi, którzy wszystko sprawdzają. Zapewniam cię.

– W takim razie nie rozumiem...

– Nie interesuje nas pierwsze dziecko hrabiny Stelnickiej.

– Ach! Chodzi o syna, którego może mieć z Janem?

– Tak – przyznał wielki mistrz, przytakując. – Stelnicki wywodzi się ze szlachty, ale jego rodowód jest pewny. Ojciec Jana pracował nad powstaniem konstytucji.

– Rozumiem.

– Wiemy – ty z pewnością też – że księżna jest w ostatnich

tygodniach ciąży.

– Tak.

– Chcielibyśmy, żebyś nas poinformował, kiedy urodzi. I, oczywiście, dał znać, czy to chłopiec. Zrobisz to?

– Tak.

– To dobrze! Wracajmy na ceremonię zamknięcia.

Paweł chciał spytać, co się stanie, gdy Anna urodzi chłopca, ale wielki mistrz już pokonywał ogromnymi susami odległość, która dzieliła ich od drzwi do głównej sali.

Jadąc cwałem w stronę Warszawy, Paweł rozmyślał o rozmowie z wielkim mistrzem; przestał się już dziwić, że masoneria widzi w roli króla dziecko Jana i Anny. Co więcej, biorąc pod uwagę fakt, że Polska została podzielona między Prusy, Austrię i Rosję, prawdopodobieństwo, iż uda się zrealizować takie plany, było bliskie zera.

Potem jego myśli wróciły do Zofii. To o nią się niepokoił, gdy wielki mistrz wyrwał go z zadumy. Był pewien, że pojechała do Sochaczewa. Po co? Czy wróci? Kiedy? Martwił się nie tylko dlatego, że kobiety nie powinny podróżować w ostatnich miesiącach ciąży, ale także dlatego, że taka wyprawa mogła zaszkodzić zdrowiu matki i dziecka.

Zmusił konia do galopu. Był zły na siebie. Kiedy Zofia nie zgodziła się zostać jego żoną, powinien kazać jej się wyprowadzić. Miała pieniądze. Przeżyłaby... zawsze umiała przetrwać. Tymczasem schował urazę i przystał na jej warunki. Wiedział, że za bardzo ją kocha. Wydawało mu się, że droga pod końskimi kopytami rozmazuje się. Po cichutku liczył, że gdy dotrze do Warszawy, będzie miał od Zofii jakąś wiadomość.

Anna była bardzo niespokojna. Przez cały ranek zbierało jej się na płacz.

Nie dość, że Zofia niespodziewaną wizytą obudziła dawne

emocje i wątpliwości, to jeszcze chciała oddać jej pod opiekę swoje dziecko. Nie do pomyślenia!

Po paru godzinach i wylaniu morza łez hrabina Stelnicka zaczęła na nowo nad wszystkim się zastanawiać. Dziecko kuzynki zasługiwało na dobre życie. Czy Zofia mu je zapewni? Anna wątpiła, by hrabina Grońska była dobrą matką. Nie wykazywała instynktu macierzyńskiego. W południe, kiedy Marta przyniosła do pokoju tacę, Anna zmieniła zdanie i postanowiła wziąć na wychowanie dziecko kuzynki. Jakoś sobie poradzi.

– Może pani coś zje, pani hrabino?

– Nie teraz, Marto. Chcę się zobaczyć z Zofią. Zejdź na parter i poproś ją, żeby do mnie przyszła, dobrze?

– Och, madame – westchnęła Marta, kładąc tacę na stoliku.

– Hrabina Grońska wyjechała dziś rano swoim powozem.

– Na przejażdżkę?

Marta nie kryła niepokoju. Najwyraźniej nie wiedziała, co powiedzieć.

Anna zaczęła się denerwować... i bać.

– Co z jej bagażem?

– Miała ze sobą kufer, madame.

– Gdzie on jest?

– Gdy powóz odjeżdżał, był przymocowany na dachu. Myślę, że wróciła do Warszawy.

Rankiem dwudziestego ósmego października Anna poczuła pierwsze skurcze. Jan stał obok łóżka, trzymał ją za rękę, a kobiety kręciły się wokół niej jak pszczoły, przygotowując wszystko do porodu. Wkrótce wyproszą pana domu z pokoju.

– Chciałabym cię o coś zapytać, Janie – powiedziała Anna.

– O co?

– Czy jesteś szczęśliwy? Był zaskoczony.

– Szczęśliwy?

– Gdyby cokolwiek mi się stało... czy dałam ci szczęście?
Uśmiechnął się.

– Dajesz mi je każdego dnia, kochanie. Dzisiaj też. Nic ci się nie stanie! Wszystko będzie dobrze.

– A nie będziesz miał nic przeciwko temu, jeśli urodzi się córka?

Jan parsknął śmiechem i ścisnął jej dłoń.

– Nie. Nie będę miał nic przeciwko temu, zwłaszcza jeśli będzie tak piękna jak matka.

Anna uśmiechnęła się pomimo bólu.

– Dzisiaj nie jest.

– Pora na pana, panie hrabio – oznajmiła Lutisza.

W tej jednej kwestii pan domu musiał słuchać służącej. Jej niespokojny uśmiech mówił: „Musi pan poczekać na parterze”. Jan pochylił się i pocałował żonę. Anna patrzyła za wychodzącym i modliła się, żeby przeżyć najbliższe godziny, choćby tylko po to, by go znów zobaczyć.

Po chwili przez jej głowę przemknęła druga modlitwa: „Dobry Boże, daj mi córkę”.

Jan żałował, że nie może wybrać się na długi forsowny spacer albo wziąć się do rąbania drewna, by rozładować napięcie, ale nie miał odwagi wyjść z domu. Krążył niespokojnie po pokoju, siadał gdzieś na moment, wstawał i znów zaczynał krążyć. Tam i z powrotem. Tam i z powrotem.

Martwił się o Annę i dziecko. Co więcej, dręczyły go jej słowa. Czy jest szczęśliwy? Zastanawiał się, dlaczego zadała mu to pytanie. Czy miała podstawy, by wątpić? Czy jakimś cudem dostrzegła jego wewnętrzny niepokój?

O trzeciej po południu Lutisza weszła, wyprostowana i roześmiana od ucha do ucha.

– Ma pan syna, panie hrabio, silnego i zdrowego syna! Jan pokonał schody, przeskakując po dwa stopnie naraz, a serce

waliło mu z radości. Kiedy wszedł do sypialni, Anna, wciąż jeszcze bardzo osłabiona, uśmiechnęła się na jego widok. Podszedł do niej szybko, nie odrywając wzroku od jej zaniepokojonej twarzy, ale kątem oka dostrzegł maleńkie zawiniątko, które trzymała w ramionach, i różową twarzączkę śpiącego noworodka.

– O co chodzi, Anno? Co się stało?

– Nie, nic się nie stało, Janie. – Podsunęła się nieco wyżej na poduszkach wypchanych gęsim pierzem. – Ma wszystkie paluszki. Możesz sprawdzić.

– Nie muszę.

Jan pochylił się i pocałował Annę, a potem czółko dziecka, które nawet się nie poruszyło.

– My... myślałam, że będzie dziewczynka – wyznała Anna.

– Och, o to ci chodzi? Chciałaś mieć córeczkę? Na pewno będzie następna!

Anna próbowała się uśmiechnąć.

– Oby Bóg cię usłyszał! Cieszysz się z syna, prawda?

– Oczywiście, Anno! Każdy mężczyzna by się ucieszył. Jak damy mu na imię?

– Nie wiem – powiedziała Anna nieśmiało. – Już mamy w domu dwóch Janów.

– Zgadzam się, to wystarczy. Jakiego dzisiaj świętego?

– Nie wiem, Janie. Patrzyłam tylko na dziewczęce imiona. Byłam pewna... Lutisz, jakiego mamy dzisiaj świętego?

Służąca, która właśnie weszła z dzbankiem i miednicą, odstawiła je.

– Tadeusza – odparła.

– Tadeusz! – krzyknął Jan. – Tadeusz! Idealne imię: świętego i wielkiego przyjaciela, patrioty, Tadeusza Kościuszki! Mamy małego Tadeusza Stelnickiego! – Ponownie pocałował Annę, tym razem w usta. – Idę poszukać Michałka – powiedział, odsuwając się. – Musi poznać małego

Tadka. Będą wielkimi przyjaciółmi.

Skierował się w stronę wyjścia.

– Braćmi – poprawiła go Anna dziwnym głosem. – Będą braćmi.

Jan się odwrócił i spojrzał na żonę. Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi.

– Tak, braćmi, Anno – zapewnił. – I wielkimi przyjaciółmi. Wyszedł, by poszukać Michałka.

Trzy tygodnie później, gdy cała rodzina siedziała przy podwieczorku, przyszedł list od Pawła. Po przeczytaniu Jan oznajmił, że Zofia urodziła córeczkę, Izabelę.

– Twoją wymarzoną dziewczynkę – droczył się z żoną. Anna roześmiała się, myśląc, że rzeczywiście mogło tak być. Nigdy nie powiedziała Janowi o prośbie Zofii ani nie napisała do kuzynki, uważając, że tak będzie lepiej. Po cichutku miała nadzieję, że Zofia się zmieni. Jan zniżył głos.

– Jednak w liście nie ma ani słowa o małżeństwie.

– Naprawdę myślisz, że moja kuzynka zgodziłaby się na ślub?

Jan spojrzał na żonę i wzruszył ramionami.

– Biedna mała Izabela – powiedział. – Jakie będzie jej życie?

Do późnej nocy Anna nie mogła zasnąć. Zastanawiała się nad słowami męża. Bolało ją serce. Zofia nie miała prawa prosić o zaopiekowanie się jej dzieckiem. Naprawdę. Mimo to hrabina Stelnicka żałowała, że nie wyraziła zgody. Czyżby popełniła błąd?

Jaki los czeka małą Izabelę?

Część druga

Na pochyłe drzewo i kozy skaczą.
(prysłowie polskie)

Luty 1797

– Trzymaj mocno łyżkę, Tadziu – powiedziała Anna. – Kasza spada ci na kamizelkę. O, tak, widzisz? Dzięki cynamonowi jest o wiele lepsza, prawda? Grzeczny chłopiec. Jeszcze jedna łyżka i będziesz mógł wstać od stołu.

Anna kończyła posiłek, jednocześnie pomagając Tadeuszowi. Michałek zjadł już swoją porcję i wybiegł przed dom, chcąc sprawdzić, jakiego figla może spletać. Jak zwykle Jan spóźniał się na śniadanie, bo wyszedł rano, by dopilnować jakichś spraw.

Tadeusz wyciągnął rączki do matki, żeby postawiła go na ziemi. Kiedy zdjęła go z krzeselka, małymi kroczkami podreptał pod okno, usiadł na podłodze i wrócił do zabawy drewnianymi żołnierzykami. Anna bacznie mu się przyglądała. Promienie zimowego słońca padały na jasnowłosą główkę, tworząc wokół niej aureolę. Dzięki idealnym rysom twarzy i kobaltowym oczom stanowił replikę ojca. Kiedy dorośnie, będzie przystojny jak Jan. Michałek też był ładnym dzieckiem, ale wyglądem bardzo różnił się od młodszego braciszka. Miał niesforne ciemne włosy i oczy w kształcie migdałów. Rysy twarzy stawały się coraz wyrazistsze, a cera nabierała oliwkowego koloru, co jednoznacznie zdradzało, że w żyłach jego ojca płynęła tatarska krew. Nie było to rzadkie na południu Polski, gdzie ciocia i wujek Anny adoptowali maleńkiego Waltera. Zofia również miała śniadą cerę i czarne oczy w kształcie migdałów, co także wskazywało na tatarskiego przodka.

Kiedy w końcu Jan wszedł przez wahadłowe drzwi kuchenne z twarzą zarumienioną od zimna i wiatru, jak zwykle przeprosił za spóźnienie. Anna uśmiechnęła się do

niego, zapominając o wcześniejszym poirytowaniu. Później powie mu o liście, który czeka na niego w salonie.

Z kuchni wyłoniła się Marta i podeszła do kredensu, by przygotować hrabiemu śniadanie. Jedząc kaszę, jajka sadzone i szynkę, opowiadał o polskiej rasie koni, które niedawno zaczął hodować. Anna dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że już od jakiegoś czasu mąż nic nie mówi o polityce. Nie mogła się oprzeć smutnemu wrażeniu, że dzieje się z nim coś niedobrego – z nim albo z nimi. Powolutku zaczynali się od siebie oddalać. Dlaczego? Och, pracował ciężiej niż którykolwiek ziemianin, często bawił się z chłopcami, a w nocy wprowadzał ją w świat prawdziwej namiętności. Był jednak cichy, zamyślony i najwyraźniej nie chciał otwierać przed nią serca.

Wiedziała, że stracił niemal cały majątek i teraz w dużej mierze był od niej uzależniony. Tylko dzięki małżeństwu nie zasilł szeregów herbowej szlachty pozbawionej ziemi. Co prawda miał jeszcze spore fundusze, ale taka sytuacja narażała na szwank dumę każdego mężczyzny. Anna zdawała sobie również sprawę, że jako prawdziwy patriota bardzo przeżywał rozbiory Polski. Sama też nie mogła się z tym pogodzić.

Była pewna, że często się nad tymi sprawami zastanawiał i złorzeczył losowi, który pozbawił go majątku i ojczyzny, był jednak człowiekiem tak dumnym, że nigdy nie pisnął ani słowem. Anna wyczuwała, iż za milczeniem kryje się uraza.

Dręczyło ją również pytanie, które jakiś czas temu zadała jej Zofia: czy Jan jest szczęśliwy. Sugestia, że małżeństwo nie dało Janowi szczęścia, wisiała nad Anną jak gradowa chmura – ciemniejsza, groźniejsza i bardziej przerażająca niż którakolwiek z wcześniejszych intryg kuzynki.

Z kuchni dobiegł hałas, a chwilę później w drzwiach pojawił się Michał. Wraz z nim wpadł do pomieszczenia olbrzymi już Borys.

Tadzio wstał przerażony. Bał się wielkiego, kudłatego czworonoga. Pies się zatrzymał, strząsnął z siebie śnieg, po czym spojrzał na malca i szczęśliwy skoczył w jego stronę. Malec krzyknął, nie wiedząc, że pies chce się z nim tylko pobawić.

– Borys! – krzyknął Jan. – Do nogi!

Niestety, było za późno. Owczarek zdążył przewrócić brzdąca na podłogę. Tadek z wrzaskiem bronił się przed psem, który koniecznie chciał go polizać po twarzy. Jan w mgnieniu oka oderwał czworonoga od synka i wypchnął psa do kuchni, po czym zwrócił się do Michałka:

– Przecież wiesz, że Tadzio boi się Borysa! Dlaczego go tu wpuściłeś?

W brązowych oczach chłopca pojawił się strach. Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Jan zrobił krok w jego stronę.

– Janie! – krzyknęła Anna.

Odwrócił się do Anny z wściekłością wymalowaną na twarzy. Czyżby miał zamiar uderzyć Michałka? Anna nie wyobrażała sobie, by mąż mógł tak postąpić, ale dostrzegła na jego obliczu potworną złość.

Mężczyzna podszedł do malca i podniósł go.

– Dobrze, już dobrze, Tadziu. Nie płacz.

Nie przestając uspokajać chłopca, wyniósł go do salonu.

Hrabina Stelnicka siedziała nieruchomo, zaskoczona przebiegiem wydarzeń. Spojrzała na pięcioletniego Michałka, który stał jak kołek z coraz bardziej zaczerwienioną twarzą i usiłował powstrzymać cisnące się do oczu łzy.

– Chodź do mnie, Michałku! – wyciągnęła ramiona. – Chodź do mamusi!

Chłopiec stał jeszcze chwilę nieruchomo, a potem nie mogąc dłużej oprzeć się pokusie, podbiegł do matki i ukrył twarz w fałdach jej spódnicy.

W innej sytuacji Anna delikatnie przypomniaby mężowi, że kiedyś uznał psa pasterskiego za doskonałe zwierzę domowe. Często zresztą burczała na niego z tego powodu. Tym razem jednak, widząc rozwój wydarzeń – i fakt, że Jan lepiej potraktował jednego z synków kosztem drugiego – milczała rozgoryczona.

Czy to możliwe, że jej mąż bardziej kocha Tadzia niż Michałka?

Przytuliła syna. W tym momencie przypomniła sobie, że nie powiedziała Janowi o liście od Tadeusza Kościuszki. Przez cały poranek zastanawiała się, w jakiej sprawie Kościuszko napisał do męża i jaki to będzie miało wpływ na ich życie rodzinne. Od dawna obawiała się, że pewnego dnia nadejdzie wiadomość, która skłoni Jana do podjęcia służby i opuszczenia domu.

Wieczorem Anna chciała porozmawiać z mężem o jego stosunku do chłopców. Kiedy jednak po kolacji Jan położył się na podłodze i bawił się z synami drewnianymi żołnierzykami, każdemu z malców poświęcając tyle samo uwagi, doszła do wniosku, że jej obawy nie mają żadnego uzasadnienia, więc nie podjęła tego tematu.

– Jak miewa się chłopiec? – spytał wielki mistrz.

– Dobrze – odparł Paweł. – Ma w tej chwili piętnaście miesięcy.

– Czy wspomniałeś Stelnickim, że interesuje się nim masoneria?

– Nie, wielki mistrzu.

– To dobrze. Lepiej zachować tę sprawę w największej tajemnicy, bracie Piotrze. Biorąc pod uwagę tempo, w jakim obecnie rozgrywają się wydarzenia, jest to tylko jedna z możliwości. Im mniej osób o tym wie, tym lepiej.

Paweł spoglądał za oddalającym się wielkim mistrzem. To

prawda – nie powiedział o niczym Janowi, chociaż zainteresowanie wolnomularzy Tadzkiem bardzo go niepokoiło. Co z tego wyniknie? Czy masoneria naprawdę ma zamiar pewnego dnia wysunąć jego kandydaturę na króla restytuowanej monarchii? Jak by zareagowali Jan i Anna na wieść o takim planie? Czy jest szansa, by kiedykolwiek został zrealizowany?

Paweł podszedł do ławki, na której zawsze siadał. Jeden z braci zapalał właśnie świece na trzech ozdobnych kolumnach reprezentujących trójcę: Piękno, Siłę i Mądrość. Czego dzisiaj się dowie? Ostatnio nie opuszczał żadnego spotkania, bo wszelkie ważne wydarzenia na kontynencie omawiano tutaj znacznie wcześniej niż w gazetach i na warszawskich salonach.

Kiedy pod koniec tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego piątego roku król Stanisław podpisał akt abdykacji, cały naród pograżył się w żałobie, jednak ostatnie wydarzenia dodały nieco otuchy tym, którzy wierzyli, że Polska żyje i ma przed sobą przyszłość. W listopadzie tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego szóstego roku zmarła caryca Katarzyna. Jej śmierć rozpałała iskierkę nadziei w mrokach więzienia, którym stała się Polska. Caryca i jej syn, który przejął tron jako Paweł I, nie darzyli się zbytnią miłością, dlatego nowy władca Rosji niemal natychmiast zaczął unieważniać niektóre posunięcia matki i naprawiać jej błędy. Najważniejsza dla Polaków była decyzja cara o zwolnieniu więźniów wojennych, którzy od dwóch lat przebywali w rosyjskich więzieniach. Wśród nich był także generał Tadeusz Kościuszko.

Krażyły plotki, że car często spotyka się z królem Stanisławem i że istnieje plan restytuowania Rzeczypospolitej. Pytanie tylko, czy ktokolwiek wierzył jeszcze takim pogłoskom.

Niestety, wkrótce pętla na szyi Polski zacisnęła się jeszcze

mocniej, gdyż trzy mocarstwa: Prusy, Austria i Rosja, potwierdziły podział Rzeczypospolitej, podpisując protokół, w którym zobowiązały się, że w żadnych przyszłych dokumentach nie użyją słowa „Polska”. Gdyby tylko od nich zależało, informacja o kraju szczycącym się długą i bogatą historią sprowadzałyby się do przypisu w kronice dziejów.

Po owym wydarzeniu reszta Europy uznała, że Polska jest skazana na zniknięcie z mapy kontynentu. Krew zawrzała w żyłach braci zgromadzonych na spotkaniu. Paweł odczuwał to samo, co inni.

– Nie mamy żadnych sojuszników – skomentował sytuację wielki mistrz. – Teraz możemy już tylko liczyć na nasz trud, naszą krew i naszą wiarę! To wystarczy. Zwycięzimy. Będziemy płynąć pod prąd, dopóki nam ramiona i płuca nie osłabną, a nawet wtedy jeszcze się nie poddamy. – Swoją przemowę zakończył jak zazwyczaj słowem: – Rzekłem.

Odpowiedź członków bractwa była stanowcza i spontaniczna – zaczęli wznosić znane okrzyki:

– Król z narodem! Naród z królem!

Wielki mistrz zacytował wypowiedź Stanisława Staszica:

– Wielki naród może upaść – wykrzyknął – ale tylko godny pogardy da się zniszczyć!

Paweł był pewien, że nigdy nie zapomni tych słów. Myślał o nich również teraz, przyglądając się migoczącym płomieniom świec. Wielki mistrz wszedł na podium. Paweł nie przypuszczał, że to, co usłyszy tego dnia, całkowicie zmieni jego życie.

Zofia przyjrzała się swojemu odbiciu w lustrze i serce zaczęło jej mocniej bić. Szmaragdowy naszyjnik i kolczyki dodawały uroku sukni z delikatnego jak pajęczyna zielonego jedwabiu; kreacja miała podwyższoną talię i ledwo zakrywała piersi. Była warta swojej ceny. Pukle czarnych włosów

wymykały się spod pomarańczowego turbanu ozdobionego piórami. Kobieta nie kryła zadowolenia.

Czuła się tak, jakby stała na początku drogi i wkraczała w nowe życie. Nikt by nie powiedział, że wyrwała się z rąk Rosjan, a potem z objęć gorączki... ani że czternaście miesięcy temu wydała na świat dziecko. Odzyskała kolory i figurę. Czarne oczy błyszczały jak dawniej. Mimo że miała już dwadzieścia cztery lata, spokojnie mogła rywalizować z szesnastoletnią dziewczyną.

Samozadowolenie zniknęło, gdy odwróciła się od lustra i spojrzała na skrzynię, w której trzymała przybory rzeźbiarskie. Podeszła i wzięła do ręki figurkę, nad którą ostatnio pracowała. Chciała wyrzeźbić Jurka, ale widziała, że w ogóle nie udało jej się uchwycić podobieństwa. Palcem delikatnie dotknęła twarzy. Poprzedniej nocy znów śnił jej się Jerzy i mała, biedna chatka, w której Zofia przez wiele miesięcy wracała do życia. Czuła woń pieczonego chleba i podgrzewanego bigosu; słyszała odgłosy rozmów nielicznej, szczęśliwej rodziny. Jurek w jej śnie był rzeczywisty, jakby oglądała go na najlepszym holenderskim portrecie. Co dziwne: kiedy się obudziła i próbowała utrwalić jego rysy w lipowym drewnie, nie mogła sobie przypomnieć pięknej twarzy. Jakby model malarza portrecisty odmówił pozowania i wyszedł. Co to oznaczało?

Rozdrażniona tym faktem Zofia postanowiła odłożyć rzeźbę na kilka dni lub tygodni.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– *Entrée!*

Do pokoju weszła Elza i dygnęła.

– Powóz przyjechał, madame.

– Bardzo dobrze. Księżna może chwilę zaczekać. – Zofia już zapomniała o Jerzym. – Pomóż mi włożyć srebrne pantofelki.

Na parterze karzeł księżnej Charlotte Sic stał na baczność przy drzwiach. Uniósł tren gronostajowej peleryny Zofii, poszedł za nią do powozu i pomógł wsiąść do karety.

– Mój Boże, Zofio, wyglądasz bosko! – krzyknęła Charlotte.

– Ty także, najdroższa.

Zofia usadowiła się naprzeciwko niej. Ponieważ peruki wyszły z mody, Charlotte kazała sobie tylko skrócić i przypudrować znacznie przerzedzone włosy. Zofia doszła do wniosku, że obecnie trudno jej przyjaciółkę uznać za „pulchną”. Była jedną z tych kobiet, które powinny głośno protestować przeciwko odrzuceniu gorsetów, bo biały muślin zdradzał jej tuszę. Jednak podczas pobytu w pałacu w Nieborowie bez wątpienia potrójny brylantowy naszyjnik odwróci uwagę od usterek w figurze francuskiej księżnej. Kolia była naprawdę wspaniała.

Powóz ruszył w kierunku zachodnich rogatek miasta.

– Masz fantastyczną fryzurę, Zofio! – zawołała Charlotte ze śmiechem. – Doskonale podkreśla twoją tatarską krew.

– Doprawdy?

Francuska księżna nie należała do kobiet, które ładnie się starzeją. Zofia nie wiedziała, ile przyjaciółka ma lat, bo słuchając jej słów, można by dojść do wniosku, że jest coraz młodsza, hrabina Grońska była jednak pewna, iż Charlotte przekroczyła czterdziestkę.

– Jak radziłaś sobie w okresie okupacji, Charlotte?

– Całkiem nieźle. Pieniądze są w stanie naoliwić tryby każdej maszyny rządowej. Niestety, od kilku miesięcy zrobiło się bardzo nudno. Tymczasem ty swoją obecność trzymałaś w tajemnicy. Tak się cieszę, że cię widzę. Jestem szczęśliwa, że życie towarzyskie powoli wraca do normy, a ty?

Zofia przytaknęła.

– Sprawdzałam, czy nadaję się do życia rodzinnego,

Charlotte. Znudziło mi się.

– Jak się miewa Paweł?

– Dobrze. Znowy wyjechał na jedno ze swoich spotkań.

– Wolnomularzy?

Zofia otworzyła usta ze zdumienia.

– Wiesz o tym?

– Czy obecnie odbywają się jakieś inne spotkania? –

Charlotte delikatnie uścisnęła dłoń Zofii. – To śmieszne, że mężczyźni uważają się za dyskretniej szych od nas.

Hrabina Grońska wybuchnęła śmiechem.

– Właśnie ostatnio doszłam do tego samego wniosku.

– Jak miewa się Izia?

– W porządku, choć czasem mocno daje się we znaki.

Dzięki Bogu Paweł znalazł dla niej dobrą guwernantkę. Mimo to mała zawsze płacze się pod nogami.

– Pewnie jest piękna. Zofia wzruszyła ramionami.

– To jeszcze maleństwo. Ostatnio mam z nią wieczne utrapienie.

– Och, przypominam sobie, jak przeszkadzały ci dzieci twojej francuskiej pokojówki... nie pamiętam, jak miała na imię.

– Nie zostałam stworzona do macierzyństwa, Charlotte.

– Chyba masz rację – przyznała księżna, nie siląc się na uprzejmość. – Nie rozumiem, dlaczego nie odeślesz jej na wieś. Pomijając wszystko inne, tam jest o wiele zdrowiej. Świeże powietrze i cała reszta. Może Ania by ją wzięła! Z tego, co wiem, wyjechała na wieś.

– Jest pod Sochaczewem. Już ją pytałam.

– I co?

– Odmówiła.

– Naprawdę? Nie pasuje mi to do małej Ani, którą niegdyś poznałam.

– Zmieniła się.

– Urodziła drugie dziecko, praw...

– Charlotte, działasz mi na nerwy! To mój pierwszy samodzielny wyjazd od... od...

– Najazdu Rosjan?

– Tak, więc spróbujmy się naprawdę dobrze bawić. Czy czeka nas długa droga?

– Nie wiem. Chyba kilka godzin na zachód od Warszawy. Obie damy opuściły zasłony, by do powozu nie wpadały płatki śniegu, i zaczęły plotkować. Nie widziały się od wielu miesięcy, toteż miały sobie wiele do powiedzenia.

Po jakimś czasie powóz zwolnił, wjechał na podjazd i ustawił się w rzędzie karet i sań. Zofia i Charlotte uniosły zasłony i zamrugały, oślepienie promieniami słońca odbitymi od śniegu. Kamienny pałac w Nieborowie odcinał się na tle zimowego krajobrazu; imponująco liczne okna połyskiwały niczym fasety brylantu.

– O mój Boże! – zawołała Charlotte. – Jest piękny!

– Daleko mu do Wilanowa, ale może być. W jaki sposób zdobyłaś zaproszenie, Charlotte?

– Odkąd odcięłaś się od wyższych sfer, udało mi się nawiązać kilka znajomości. Nawet bez ciebie i twojej oszałamiającej urody okazało się, że nie jestem całkiem bezradna. Poza tym, biorąc pod uwagę, ile fałszywej francuskiej szlachty jest obecnie w Polsce, żadne porządne przyjęcie nie może się obejść bez kogoś, kto należy do prawdziwej francuskiej arystokracji.

Zofia ugryzła się w język i powiedziała:

– Skoro rozmawiamy o osobach mile lub niemile widzianych, Charlotte, mam zamiar być kimś innym niż dotychczas.

– Nie rozumiem.

– Ponieważ już wiem, że nigdy nie będę domatorką, muszę zacząć poważnie myśleć.

– Och, Zofio, wyruszasz na łowy!

Zofia uśmiechnęła się z pewnym zniecierpliwieniem.

– Nie tak, jak za dawnych czasów, moja droga.

– To znaczy?

Powóz zatrzymał się przy wejściu: karzeł zeskokczył z ławki, by otworzyć drzwiczki i ustawić przy nich stołek.

Zofia uśmiechnęła się do Charlotte i wysiadła z powozu. Po chwili kierowały się w stronę drzwi. Na widok ogromnej liczby karet i kolorowo ubranych ludzi młodsza kobieta zarumieniała się. Jak jej tego brakowało! Słyszała, że Charlotte ciężko sapie, próbując dotrzymać jej kroku.

– Co postanowiłaś zmienić, Zofio?

Hrabina Grońska zwolniła kroku, odwróciła się i w milczeniu krytycznie przyjrzała się kanarkowo-żółtej opończy Charlotte, po czym szepnęła:

– Mam zamiar wyjść za mąż.

– Za kogo?

Zofia ruszyła przed siebie.

– Nie mam bladego pojęcia.

– A co z Pawłem?

Charlotte zabrakło tchu, gdy próbowała dogonić Zofię.

– To nędzarz.

– Nie!

Charlotte chwyciła Zofię za rękę i zatrzymała ją.

– No dobrze, przesadzam, ale jego majątek na południowym wschodzie Polski skonfiskowali Rosjanie.

– Tak jak posiadłość Stelnickiego?

– Tak. Ma kamienicę w Warszawie i jakieś środki do życia, ale to za mało.

– Wciąż cię uwielbia, prawda?

– Niestety, to mi nie wystarcza. – Zofia zacisnęła usta i obdarzyła przyjaciółkę nieszczerym uśmiechem. – Charlotte – powiedziała przez zaciśnięte zęby – przez kilka miesięcy

próbowałam spełniać wszystkie jego oczekiwania, naprawdę! Bezskutecznie.

– Och! – Charlotte dobrze rozumiała przyjaciółkę. – Każdy wie najlepiej, co go boli.

– Dziękuję za pocieszenie! – odparła Zofia ze śmiechem. Zostawiły opończe w szatni i przeszły do salonu, gdzie para książęca, Michał i Helena Radziwiłłowie, witała gości. Rozmowa była krótka, bo kolejka czekających wciąż się wydłużała.

Zofia i Charlotte zaczęły od zwiedzania parteru. Obejrzały kolekcję rzeźb, rzymskie sarkofagi, etruskie wazy i sporo innych dzieł sztuki. Za damami podążał karzeł Charlotte.

– Oto prawdziwa magnacka rodzina – stwierdziła Zofia, oglądając portrety przedstawicieli rodu od kilku wieków uwiecznianych na płótnie. – Powiada się, że Radziwiłłowie są właścicielami połowy Litwy i sporej części Polski.

– Rzeczywiście.

– Tymczasem wywodzą się z drobnej szlachty – dodała Zofia.

– Naprawdę?

– Tak. Widzisz? Zawsze można awansować! I dzięki małżeństwu dostać się między magnatów.

– Gdybyż król Stanisław przyznał tytuł książęcy tobie, a nie Ani!

– To prawda! – powiedziała Zofia ostro, czując pulsowanie w skroniach. – Po co jej ten tytuł? Z nim czy bez niego dla Anny liczy się tylko proste, szczęśliwe małżeństwo z Janem Stelnickim. Gdybym ja była księżną, wiedziałabym, jak to wykorzystać.

– Mogłabyś wyjść za magnata.

– Oczywiście! Ale i tak tego dokonam. – Zofia zauważyła, że Charlotte przymrużyła oczy. – Tylko poczekaj!

Przechadzały się po długim, pięknym korytarzu, który

rozjaśniały świece w bogato zdobionych złotych lichtarzach.

– Tu jest naprawdę pięknie, ale czuję się trochę jak w muzeum – orzekła Zofia. – Wszystko przez urny z prochami. Kto stawia urny w domu?

– To zabytki, moja droga – wyjaśniła Charlotte.

– Powinny spoczywać w ziemi.

Hrabina Grońska udała, że przebiegają delikatny dreszcz. Charlotte wybuchnęła śmiechem.

– Rozumiem twój punkt widzenia.

– A któż to taki? – spytała Zofia.

– Nie wiem.

– Nie chodzi mi o obraz, głuptasie! Mam na myśli tego niesamowicie wysokiego mężczyznę na końcu korytarza. W turkusowym surducie.

– Chodzi ci o niego? Faktycznie jest wysoki, ale to nie Radziwiłł. Natomiast rzeczywiście jest magnatem, a do tego kawalerem. Podejźmy, przedstawię cię.

Zanim Zofia zdążyła cokolwiek powiedzieć, Charlotte dokonała prezentacji. Książę Ryszard Podolski miał szczupłą, miłą twarz. Przyglądał się Zofii z wysoka, gdy we troje wdali się w pogawędkę. Im szerzej się uśmiechał, tym młoda kobieta była pewniejsza, że nie straciła powabu.

Nagle zrobiło się zamieszanie: na korytarzu pojawiło się sporo osób, które próbowały ominąć pogrążone w rozmowie towarzystwo. Nim książę Ryszard rozstał się z Zofią, zamówił u niej taniec.

– Chodźmy na piętro – zaproponowała Charlotte, ciągnąc Zofię przez tłum.

U podnóża schodów na wysokim, smukłym stoliku stała marmurowa głowa Niobe.

– A więc tak wygląda przyczyna całego zamieszania – stwierdziła Zofia. – Cała Warszawa mówi o tym zakupie. Charlotte, kim była Niobe?

– To postać mitologiczna. Sądzę, że Ania umiałaby powiedzieć o niej coś ciekawego.

– Na pewno, na dodatek więcej, niż chciałabym wiedzieć.

Obie, idąc szerokimi schodami, podziwiały niebieskie kafelki, którymi wyłożono ściany od parteru aż po sufit na pierwszym piętrze.

– Ludzie tak bogaci jak Radziwiłłowie niewątpliwie mogliby sobie pozwolić na cały posąg – zażartowała Charlotte, podążając za Zofią.

Młodsza z kobiet wybuchnęła śmiechem. Właśnie miała dorzucić własny komentarz, kiedy uśmiech zniknął z jej twarzy. Naprzeciw nich pojawiła się hrabina Dorota Driedruska.

Niewiele brakowało, by Zofia się potknęła, zaraz jednak odzyskała rezon i z uśmiechem ruszyła dalej, trzymając się prawej strony. Podczas mijania obrąbki sukni obu pań otarły się o siebie.

Charlotte po dojściu na górny podest schodów nie mogła złapać tchu.

– Widziałaś, kto to był?

– Owszem.

– Poznała cię, Zofio. Co za spojrzenie! Zdolne zamienić w sople lodu nawet podczas największych upałów. Gdyby wzrok mógł zabić, stałabym właśnie nad twoimi zwłokami.

– Twoje poczucie humoru zaczyna mnie męczyć, Charlotte.

– Prawdę mówiąc – sapnęła Charlotte – jeśli pamięć mnie nie myli, przed laty odbiłaś jej męża.

– Pamiętasz nie to, co powinnaś. Teraz nastały nowe czasy. Poza tym oświadczył mi się, udając, że jest kawalerem.

Zofia wybuchnęła śmiechem. Driedruscy byli właścicielami zamku w Karpatach. Nim kupili kamienicę w stolicy, hrabia Branko Driedruski od czasu do czasu odwiedzał Warszawę... a przy okazji również Zofię, która udawała, że jest w ciąży, i w

ciągu dwóch lat wyciągnęła od niego niezłą sumkę, póki biedak się nie zorientował, iż dziecko jest jedynie wytworem wyobraźni.

– Driedruski – powiedziała Charlotte, starannie wymawiając wszystkie głoski. – To chyba nie jest polskie nazwisko.

– Bo nie jest. Wielokrotnie zastanawiałam się również nad jego tytułem. Branko zawsze był bardzo grubiański. Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że on i jego żona są oszustami.

Z salonu na pierwszym piętrze obie panie wyjrzały przez okna na spowity śniegiem ogród w stylu angielskim. Z parteru dochodziły dźwięki poloneza i cudowne zapachy przygotowywanych potraw.

– Nieźle sobie tu żyją, nie sądzisz, Charlotte? W idealnym świecie.

Francuska księżna przytaknęła.

– Tak niegdyś żyło się we Francji.

Tym razem Zofia obiecała sobie, że inaczej rozegra pewne sprawy. Zrezygnuje z uganiania się za przyjemnościami życia, jeśli nie będą prowadziły prosto do celu. Miała zamiar wżenić się w magnacką rodzinę; nie brała pod uwagę nowobogackich, lecz jeden z licznych starych rodów, którym zawsze udawało się utrzymać posiadłości i bogactwa, niezależnie od zmiennych wiatrów historii.

– Goście zaczynają siadać do stołu – oznajmiła Zofia. – Chodźmy.

W ogromnej jadalni obie przyjaciółki zajęły miejsca przy jednym z dużych, okrągłych stołów, a Charlotte odesłała swojego karła, żeby poszukał towarzystwa innych służących.

Niebawem przy stole pojawił się książę Podolski, skłonił się i spytał, czy znajdzie się jeszcze jakieś wolne miejsce. Niewielka grupka, składająca się z pięciu czy sześciu osób,

zapewniła, iż będzie zadowolona z jego towarzystwa; panowie wstali, by się przywitać. Księżę usiadł naprzeciwko Zofii i nie odrywał od niej jasnoniebieskich oczu. Hrabina Gronska była zła na tego szlachcica po swojej prawej stronie. Z pewnością księżę zająłby to właśnie miejsce, gdyby było wolne. Nie unikała jego spojrzenia, a po chwili poczuła, że krew szybciej krąży w jej żyłach. Zbyt długo trzymała się z dala od wyższych sfer. Jak to miło wrócić do gry!

Gdy wszyscy goście zasiedli, zajęli się rozmową i popijaniem wina – służba zaczęła podawać pierwsze danie. Na stole postawiono pięknie uformowane galarety, aromatyczne marynaty oraz wazy z barszczem. Ktoś pochwalił bujny, romantyczny ogród księżnej Radziwiłłowej.

– Czy widziała go pani latem, pani hrabino? – spytał księżę, spoglądając na Zofię. – Księżę Radziwiłł nazywa go Arkadią.

– Jestem w Nieborowie po raz pierwszy, księżę.

– Zimowa przechadzka może być równie wspaniała jak letnia pod warunkiem, że nie jest pani podatna na przeziębienia.

Zofia przytaknęła i obdarzyła rozmówcę uśmiechem.

– Jestem odporna na chłód.

Jego roześmiane oczy zaproponowały odroczenie spotkania na później. Poczowała miły dreszczyk podniecenia.

Nagle Charlotte wbiła jej łokieć pod żebra. Zofia spojrzała na przestraszoną przyjaciółkę, po czym podążyła za jej wzrokiem i zobaczyła kobietę, która zajmowała ostatnie wolne krzesło przy stole, dwa miejsca na prawo od księcia Podolskiego. Młoda kobieta poczuła, że krew odpływa jej z twarzy na widok hrabiny Doroty Driedruskiej odzianej w ciemnogrnatową suknię.

Panowie wstali, a szlachcic siedzący obok Zofii przedstawił wszystkich obecnych. Słyszając nazwisko Charlotte, księżna kiwnęła uprzejmie głową, ale gdy jej wzrok padł na Zofię,

powiedziała:

– Owszem, znam tę panią.

Zofia przywołała na usta uprzejmy lodowaty uśmiech. Tymczasem podawano następne dania: pieczone przepiórki, rumsztyk z dzika, zająca w sosie śmietanowym. Uczta przebiegała spokojnie, Zofia zaczęła więc odzyskiwać wewnętrzny spokój. Była pewna, że ma zarezerwowany taniec i zimową przechadzkę po ogrodzie Radziwiłłów z magnatem, który siedział naprzeciw niej. Może cierpliwie czekać na odpowiednią chwilę. Kiedy książe Podolski wstanie od stołu, dopilnuje, żeby trzymali się z dala od hrabiny Driedruskiej.

Zofia rozmawiała z Charlotte, chociaż co jakiś czas obie wtrącały się na chwilę do ogólnej rozmowy. Książe często spoglądał na Zofię, a ona na niego. Nieco później, w trakcie drugiego dania, po kolejnej wymianie porozumiewawczych spojrzeń coś ją skłoniło, by zerknąć na Dorotę Driedruską.

Hrabina nie odwróciła wzroku, jedynie na chwilę przeniosła go na księcia, a potem na Zofię, dając do zrozumienia, że doskonale orientuje się w sytuacji. Psiakrew! Zofia instynktownie wyczuła, iż dała broń do ręki przeciwniczce, która w jakiś sposób będzie chciała przerwać ten flirt. Przy następnych daniach Zofia nie odważyła się spojrzeć na księcia, niemniej jakiś wewnętrzny głos podpowiadał jej, że stało się coś najgorszego.

Kiedy posiłek zbliżał się ku końcowi, rozmowa zaczęła się rwać. Hrabina Driedruską najwyraźniej tylko czekała na taką chwilę i zwróciła się do Zofii:

– Bardzo mi przykro, że dom waćpani na Pradze został zniszczony.

Zofia kiwnęła głową.

– Dziękuję za współczucie.

– Nie pojawiała się pani w towarzystwie od wielu miesięcy, niektórzy sądzili nawet... że znalazła się waćpani wśród

dwunastu tysięcy zaginionych.

Zofia przywołała na usta uśmiech.

– Udało mi się przeżyć. Miło mi, że się waćpani o mnie martwiła.

– Wcale się nie martwiłam. Byłam pewna, że nie stało się pani nic złego. Prawdę mówiąc, przypuszczałam, iż wyjechała pani z królem Stanisławem do Grodna.

Kobieta, która siedziała obok Charlotte, sapnęła, słysząc złośliwą aluzję do romansu Zofii z królem.

Hrabina Grońska poczuła skurcz w żołądku.

– Nie – odparła krótko, zdając sobie sprawę, że jej rozmówczyni oczekuje pytania, skąd taki pomysł przyszedł jej do głowy.

Hrabina Driedruska nie kryła rozczarowania, najwyraźniej jednak nie miała zamiaru zmieniać tematu.

– Podobno bardzo waćpanią lubił. Gdyby Katarzyna się zgodziła, z pewnością cieszyłby się z pani towarzystwa.

Zofia oblała się pąsem z gniewu i zakłopotania.

– Przecenia waćpani mój wpływ na króla.

– Naprawdę? Na pewno nie przeceniam wpływów pani salonu na Pradze. Podczas okupacji wszyscy byli w nim mile widziani, łącznie z Rosjanami.

– Ma waćpani rację, przyjmowałam Rosjan – odparła Zofia, zdobywając się na półprawdę. – Dzięki temu moja kuzynka mogła w tym samym domu bezkarnie organizować spotkania patriotów.

– Muszę przyznać, że to dobrze wyćwiczona odpowiedź.

Przy stoliku na długą chwilę zapadła cisza. Szlachcic, który siedział obok Zofii, postanowił przerwać niezręczne milczenie i zadał księciu jakieś pytanie na temat polityki. Jednak zanim padła odpowiedź, głos ponownie zabrała hrabina Driedruska.

– Z tego, co słyszałam, w pani kamienicy na Pradze drzwi nigdy się nie zamykały.

– Chyba za bardzo waćpani wierzy w informacje przekazywane pocztą pantoflową.

Zofia zaczęła tracić cierpliwość. Zanim hrabina zdążyła odpowiedzieć, do rozmowy wtrąciła się Charlotte.

– Mogę waćpani powiedzieć coś, co z całą pewnością nie jest pogłoską. – Wszyscy skupili uwagę na księżnej. – Na własne oczy widziałam, że pani mąż z ogromną przyjemnością odwiedzał Pragę. Jak on się miewa?

Zofia miała ochotę wyciągnąć Charlotte. Niestety, chwilowe zwycięstwo miało gorzki smak. Hrabina Driedruska odłożyła z brzękiem nóż, a na jej bladej twarzy pojawiły się ciemne rumieńce. Szukała słów, a jej podenerwowanie coraz bardziej rosło. W końcu krzyknęła:

– Mój mąż nie żyje! – Rzuciła serwetkę i wstała. – A ja nie pozwolę, by ktoś mówił o nim w taki sposób! Obydwie jesteście nikczemne!

– Czyżby waćpani wychodziła?

Uwagę zgromadzonych przykuł czyjś niski głos. Jak się okazało, należał on do samego księcia Radziwiłła, który przechodził od stołu do stołu, jak na dobrego gospodarza przystało.

– Zostałam znieważona, Michale.

– Naprawdę? Książę Podolski wstał.

– Właściwie nic takiego się nie stało. Hrabina Driedruska wygłosiła kilka komentarzy na temat króla. Jestem pewien, że miała dobre zamiary, jednak pozostali goście uznali je za oszczerstwa.

W ciemnych oczach hrabiny Driedruskiej widać było zdumienie.

– Na twoim miejscu nie robiłbym tego, Doroto – powiedział książę Radziwiłł, starając się zbagatelizować sprawę. – Polska gościnność nie obejmuje osób, które obrażają króla. Jednak jestem pewien, że nie miałaś na myśli

nic złego.

Przerwał, najwyraźniej oczekując wyjaśnienia, które byłoby odpowiednie do przyjętego przez niego tonu.

Hrabina Driedruska odwróciła zaczerwienioną twarz w stronę księcia Radziwiłła. Chyba miała zamiar zaprotestować, potem jednak uświadomiła sobie, że nie zdoła się obronić, jeśli nie wspomni, iż jej mąż miał krótki romans z Zofią, dlatego też przeprosiła wszystkich obecnych i wyszła.

Księżę Radziwiłł skłonił się gościom siedzącym przy stole.

– Hrabina Driedruska bardzo łatwo ulega emocjom. Mam jednak nadzieję, że mimo wszystko dobrze się bawicie. A oto deser. Z mojej własnej szklarni.

Gospodarz odszedł dopiero wtedy, gdy wszyscy go zapewnili, że przyjęcie jest naprawdę wspaniałe.

Służący wnieśli talerze pełne ananasów, fig i pomarańczy.

Zofia starała się przechwycić spojrzenie księcia Podolskiego i podziękować mu za interwencję, lecz siedzący obok niego mężczyzna przez cały czas zabawiał go rozmową.

Kiedy orkiestra zaczęła grać, kilka osób wstało od stołu, tłumacząc, że idą zatańczyć lub pospacerować po pałacu.

Z krzesła podniósł się również księżę Podolski.

– Bardzo mi przykro, ale muszę opuścić przyjęcie – powiedział, spoglądając po kolei na wszystkich zebranych przy stole i nie zatrzymując na Zofii wzroku dłużej niż na innych.

Koniec marzeń o tańcu i przechadzce. Hrabina Grońska starała się zachować spokój. „Niech go diabli wezmą – pomyślała – i niech diabli wezmą Dorotę Driedruską!” Koniec końców odniosła zwycięstwo i zniweczyła szanse Zofii na romans z księciem Podolskim. Młoda kobieta opanowała nerwy, modląc się, by Charlotte się nie odezwała, niezależnie od tego, czy chciałaby powiedzieć coś mądrego, czy głupiego. Zofia sięgnęła po swój kieliszek z winem, ze złością

obserwując, jak księżę żegna się z Radziwiłłami. Niech go cholera weźmie!

Jeszcze nie tak dawno pobięłyby za nim i odniosła zwycięstwo, albo zdobywając jego serce, albo wyładowując na nim złość. „Nie teraz – pomyślała. – Nie teraz. Nowe czasy wymagają nowych metod”.

Charlotte szturchnęła przyjaciółkę.

– Kochanie, widzę, że nie jesz deseru. Mogę zjeść twoje owoce?

Zofia spojrzała na Francuzkę z pogardą i pchnęła talerz w jej stronę.

Tego popołudnia i wieczoru tańczyła z wieloma mężczyznami, ale pierwszą próbę znalezienia nowego miejsca wśród warszawskich elit udaremniła jej własna przeszłość.

– Nie powinnaś tak się przejmować, Zofio – powiedziała Charlotte, kiedy powóz wyruszył w drogę powrotną do stolicy.

Młoda kobieta odwróciła głowę i wyjrzała przez okno. Ze wszystkich stron otaczała je ciemna noc.

– Wiesz – ciągnęła Charlotte, nie zrażając się milczeniem przyjaciółki – powiadają, że nie powinno się malować domu z cegieł.

Zofia odwróciła się do Charlotte z wyraźnym zdumieniem. Doszła do wniosku, że chyba wino poszło jej do głowy.

– Domu z cegieł? – spytała. Charlotte uśmiechnęła się promiennie.

– Kiedy pomalujesz dom z cegieł, *ma chère*, nie ma już odwrotu. Nigdy nie uda ci się zdrapać całej farby.

Zofia utkwiała wzrok w Charlotte. Miała ogromną ochotę udusić swoją tęgą przyjaciółką.

Anna siedziała w salonie, pogrążona w zadumie. Jan wyszedł, a chłopcy byli pod opieką Emmy. Hrabina Stelnicka żałowała, że po ostatnim incydencie nie porozmawiała z Janem o jego stosunku do Michałka. Nie dalej jak tego ranka ostro skarcił malca, który chciał wyjść z ojcem w pola, by uniknąć lekcji z Emmą. Gdy Michałek ponowił prośbę, wydawało się, że Jan lada chwila obrzuci go gradem przekleństw. Czyżby przyczyną był jego wybuchowy charakter? Mniej więcej tydzień temu przypadkiem podsłuchiwała opowiadanie Marty o tym, jak Jan złajał Walka za coś, czego nie dokończył robić w stodole. Anna przypomniała sobie również ów dzień w Haliczu, kiedy kłamstwa Zofii tak rozsierdziły jej ukochanego, że zostawił je same w lesie. Gdyby nie to, nie doszłoby do gwałtu. Oboje drogo zapłacili za wybuchowy charakter Jana.

Czy właśnie z powodu tamtego wydarzenia Jan inaczej traktuje chłopców? Nie, przekonywała Anna samą siebie, zaraz jednak przyszło jej na myśl, że Stelnicki może nie do końca zdawać sobie sprawę ze swoich uczuć. A jeśli Michałek mimo woli przypomina ojcu przykre wydarzenia? Trudno również wykluczyć, że uczucia Jana do starszego chłopca uległy ochłodzeniu, gdy na świecie pojawił się jego własny syn.

Anna wstała i przeszła do biblioteki. Było tu przytulniej niż w salonie. Zarówno kominek, jak i nowocześniejszy piec kaflowy promieniowały ciepłem. Kiedy była młodą dziewczyną, biblioteka stanowiła jej sanktuarium. Ojciec z niezwykłą pieczołowitością traktował książki, a Anna przeczytała większość ich. Emma, która przed laty była również jej guwernantką, miała prawdziwy dar pedagogiczny, niemniej sporą część wiedzy Anna zdobyła tutaj, z literatury.

Choć wieśniacy przeważnie nie umieli czytać, służba robiła wszystko, co mogła, by jak najlepiej zadbać o bibliotekę, zdając sobie sprawę, że książki to kwintesencja polskiej kultury. Anna czuła obecność ojca w pomieszczeniu, w którym znajdowało się biurko i niezliczone, pachnące świeżym woskiem regały z okazałymi tomami, a nad kominkiem wisiała broń przodków.

Po śmierci rodziców osamotniona Anna pogрузyła się w smutku. Teraz spełniło się jej największe marzenie: miała własny dom i rodzinę. Starła się cieszyć tą myślą. Mimo przeciwności w końcu wyszła za Jana. Ich przeszłość była ciekawsza niż to, co zawierają książki stojące na półkach. Jakiś wewnętrzny głos wyrzucał Annie, że wstrzymuje się od rozmowy z Janem o Michałku w obawie, iż odkryje coś, co zniszczy jej wizję szczęśliwego życia. Nie chciała słuchać tego głosu.

Do biblioteki weszła Marta i dygnęła.

– Zbliża się jakiś jeździec, madame.

– Naprawdę? Dziękuję, Marto.

Nie zważając na zimno panujące na zewnątrz, Anna wyszła na ganek z dwiema kolumnami, które symbolizowały polską gościnność. Jej dworek nie był tak wspaniałą rezydencją jak siedziba Grońskich w Haliczu, niemniej napawał ją dumą. Uniosła dłoń, by osłonić oczy przed promieniami słońca odbitymi od śniegu. Rozpoznała jeźdźca dopiero wtedy, gdy ściągnął lejce i strząsnął śnieg z czapki.

– Witaj, Pawle!

Tomasz wybiegł ze stajni, by zabrać kasztanka gościa.

– Witaj, Aniu!

Jednym susem pokonał trzy stopnie i pocałował ją w oba policzki.

– Dawno cię nie widziałam, Pawle!

– Bardzo dawno! Mój Boże, tak się cieszę, że cię widzę!

Nie stój tutaj. Przeziębisz się.

– Zatem wejdźmy do domu.

Anna wzięła Pawła pod ramię i wprowadziła do salonu. Na widok gościa natychmiast poprawił jej się nastrój. Przypomniała sobie słowa ojca: „Gość w dom, Bóg w dom”.

– Pokonałeś szmat drogi w taką zamieć! Pewnie jesteś przemarznięty do szpiku kości. Napijesz się gorącej kawy? Wina? Wódki? Likieru?

– Jestem bardzo spragniony. Ostatnio tak trudno zdobyć kawę... Wam się udało?

– Tak.

– Chętnie wypiję kieliszek wódki.

Anna wybuchnęła śmiechem. Zawołała Martę i poprosiła o kawę i wódkę. Potem, odwróciwszy się do Pawła, zaproponowała:

– Siadaj, siadaj! Tutaj, bliżej ognia.

– Wyglądasz cudownie, Anno!

– Ty też. – Anna zajęła miejsce naprzeciwko. – Cóż za wspaniały wąs! Przypominasz generała!

– Starzeję się. Po kilku godzinach w siodle, tak jak dzisiaj, jestem wykończony. I przemarznięty do szpiku kości. Nie tak jak za dawnych czasów. Chyba będę musiał się przekwalifikować.

– Nie przejmuj się. Widocznie po prostu nadszedł czas, że tak jak inni mężczyźni powinieneś zacząć czerpać przyjemność z jazdy powozami i saniami, a nie na końskim grzbiecie.

– Nie maluj portretu na mój nagrobek, Aniu. Na litość boską, jest na to jeszcze za wcześnie! – Paweł się przeżegnał.

– Gdzie Jan?

– Przypuszczam, że chodzi gdzieś po polach. Albo poluje. Zawsze znajduje sobie jakieś zajęcie. Będzie zachwycony twoim przyjazdem. Z przyjemnością powspomina lata

wojny... albo przynajmniej wygrane bitwy.

– Nie widziałem go od czasu, kiedy zostaliśmy zwolnieni z wojska. Tęskniłem za nim.

– A Zofia? Jak się miewa Zofia? Pisuję do niej, ale nie dostaję odpowiedzi.

Marta przyniosła kawę, dwa kieliszki i butelkę wódki. Paweł zszedł z odpowiedzią do wyjścia służącej. Anna napełniła jeden kieliszek i podała go Pawłowi.

– Ty tylko kawę? – spytał Paweł, wstając i biorąc kieliszek.

– Tylko kawę.

– Pozwól zatem, że wzniosę toast. – Uniósł kieliszek.

– Świetnie! – wykrzyknęła Anna. – Niech będzie toast.

– Za Polskę!

Anna uniosła filiżankę.

– Za Polskę!

Paweł wstał, podszedł do niej i stuknął kieliszkiem o filiżankę. Anna upiła łyk kawy, tymczasem Paweł – wciąż na stojąco – odchylił głowę do tyłu i po żołniersku jednym haustem opróżnił zawartość kieliszka.

Usiadł, zadowolony i rozgrzany.

– Powiedz mi coś o Zofii, nim wyczerpiez cały zapas naszej najlepszej wódki.

– Potrafisz mnie rozbawić, Aniu. Szkoda, że twoja kuzynka tego nie umie. Nie zmieniła się, a sama dobrze wiesz, że nigdy nie lubiła pisać.

Anna przypomniała sobie dziennik, który niegdyś prowadziła Zofia, odnotowując w nim najdrobniejsze szczegóły swoich licznych romansów, wiedziała więc, że Paweł jest w błędzie, ale ugryzła się w język.

– A jak się miewa jej córeczka Izabela?

– Iza? To piękna, radosna dziewczyneczka. Kocham ją jak własną córkę.

Anna była zaskoczona.

– Naprawdę? – spytała.

– Oczywiście! Zrobiłbym dla niej wszystko. Jest naprawdę cudowna!

Anna podeszła, by uzupełnić kieliszek Pawła.

– Dziękuję. Obiecuję, że ten wypiję powoli.

– Nie! Wychył do dna – roześmiała się. – Przecież to polska tradycja.

– Jak sobie waćpani życzy – odparł Paweł z błyskiem w oku.

– Oczywiście zostaniesz na noc – zasugerowała Anna, kiedy odstawił pusty kieliszek. – Każę przygotować pokój gościnny.

– Nie, dziękuję, nie mogę. W Warszawie mam dużo roboty.

– Rozumiem – powiedziała z nadzieją, że Paweł rozwinie ten wątek.

Nie zrobił tego. Po chwili wstał.

– Myślę, że mój koń zdążył odpocząć po długiej podróży. Ja też już lepiej się czuję. Poszukam Jana.

Anna prosiła, żeby zaczekał w dworku, ale Paweł się nie zgodził. Narzuciła na siebie opończę i zaprowadziła go do stajni. Wałek powiedział mu, gdzie najpewniej znajdzie Jana. Anna pomachała Pawłowi na pożegnanie i wróciła do domu. Nie wiedziała, co sądzić o jego wizycie. Zachowywał się tak, jakby przyjechał z jakąś misją.

Myśląc o wyznaniu Pawła, że kocha Izie jak własne dziecko, zastanawiała się, czy Jan tak samo kocha Michałka.

Jan rąbał drewno na skraju lasu. Nigdy się do tego nie przyznawał, przypuszczał jednak, że i Wałek, i Jacob o tym wiedzą. Rąbanie drewna nie było odpowiednim zajęciem dla dziedzica. Zarówno tę czynność, jak i wszystkie pozostałe powinni wykonywać jego służący. Jan całkiem nieźle się spisywał jako cichy zarządca, odciążający Jacoba, któremu

nigdy nie brakowało roboty, poza tym wiele czasu poświęcał hodowli koni polskich, ale niekiedy ciągnęło go do pracy fizycznej. Musiał coś robić, nie mógł wiecznie bawić się z Michałkiem i Tadziem drewnianymi żołnierzami.

Suerta porąbanego drewna wciąż rosła. Pewnego dnia, gdy była już naprawdę duża, przyłapał jakiegoś chłopca na podkradaniu gotowych szczap. Jan ostro go zrugął, tak ostro, że młodzieniec potwornie zbladł i zaczęły się pod nim ugiąć kolana. Nie chcąc, by nastolatek zsikał się ze strachu – a może nawet umarł ze wstydu – pozwolił wieśniakowi zabierać po pięć kawałków drewna dziennie pod warunkiem, że nie pnie nikomu ani słówka. Dzięki temu nie zranił jego męskiej dumy. Zmiana zdania dziedzica zaskoczyła chłopca, który niepewnie kiwnął głową, że zgadza się na taki układ. Od tej pory czasami spotykali się przy stercie drewna i Jan wymieniał z nim kilka uprzejmych słów.

Rąbanie drewna pozwalało na rozładowanie energii, uwolnienie się od nadmiaru emocji... i myśli. W głowie aż kłębiło mu się od spraw, które należało rozważyć. Czasem wręcz miał wrażenie, że zwariuje od natłoku myśli. Czuł się jak roślina wyrwana z korzeniami na południu Polski i przesadzona do Sochaczewa, gdzie była inna gleba i panowały inne warunki, dlatego nie mógł zapuścić korzeni. Oczywiście, tutaj miał najbliższą rodzinę: chłopców i Annę, którą kochał nad życie, ale musiał zapomnieć o majątku w Uściu Zielonym, kamienicy w Krakowie, przyjaciołach, podróżach, latach spędzonych w kawalerii, wojennych emocjach i walce o Polskę. W tamtych czasach nie obawiał się niczego, nawet tego, że może zginąć z ręki Prusaków czy Rosjan, byłaby to bowiem śmierć na polu chwały, śmierć za innych, śmierć za Polskę.

Pomimo przenikliwego mrozu zdjął barani kozuch. Pracował przy rąbaniu drewna dłużej niż zwykle: unosił

siekierę i opuszczał ją, unosił i opuszczał. Najlepiej rąbało mu się drewno na mrozie, bo wtedy odczuwał największą ulgę.

Nie zauważył zbliżającego się jeźdźca.

– Witaj, Janie!

Uniósł głowę i ze zdumienia otworzył usta.

– To ty, Pawle?

– Tak, to ja. Myślałeś, że kto? – Paweł zeskoczył z konia. – Gdyby to był jakiś Moskał, już pukałbyś do bram niebios.

Jan uniósł groźnie siekierę.

– Nie sądzę, przyjacielu. Najpierw pokroiłbym go na kawałki! Jak się miewasz?

– Doskonale! – Paweł podszedł do niego i uścisnął. – Mój Boże, jesteś cały zlany potem! Czemu rąbiesz drewno na odludziu?

Jan oblał się pąsem.

– Bo lubię to robić.

– Lubisz to robić?

– Tak. – Jan próbował odzyskać panowanie nad sobą. – Nie chcę stać się starym, gderliwym dziedzicem z dużym brzuchem i podagrą.

Paweł parsknął śmiechem.

– Przy takim tempie pracy i temperaturze umrzesz, nie doczekawszy starości.

– Nie mogę uwierzyć, że cię widzę. Co, do diabła, tu robisz?

– Chciałem zobaczyć towarzysza broni, Janie! To wszystko. Poza tym przywiozłem w sakwie trochę dobrej, polskiej wódki.

– Dawaj ją!

Jan oczyścił ze śniegu stertę drewna i ułożył szczapy tak, by mogli usiąść.

Paweł wrócił z butelką w dłoni.

– Przykro mi, ale nie mam kieliszków.

– Więc będziemy pić jak za dawnych czasów. Zaczynaj!
– Ty pierwszy.

Jan pociągnął spory łyk.

– Och! – wtrącił Paweł. – Przywiozłem również wieści.

– Wieści? Tego właśnie się spodziewałem.

– Tak, w Polsce wciąż jeszcze tli się życie. Wiesz, że car uwolnił Kościuszkę i sześćdziesiąt tysięcy Polaków?

Jan przytaknął.

– Tak też myślałem. Jest jednak coś, o czym na pewno nie wiesz... o czym właśnie się dowiedziałem. Dyrektoriat Francji powierzył generałowi Dąbrowskiemu utworzenie we Włoszech legionu, który ma bronić Lombardii.

– Przed kim?

– Głównie przed Austrią. W ubiegłym miesiącu generał wystosował odezwę do Polaków. Pomyśl tylko, Janie. Polski legion!

– Rozumiem.

– Rozumiesz? I nie jesteś podniecony tą myślą?

– Wolałbym polską armię. Dlaczego mamy słuchać rozkazów Dyrektoriatu?

– Do licha! Francja jest jedynym krajem, który chce z nami rozmawiać, odkąd Prusy, Austria i Rosja coraz wygodniej rozsiadają się przy naszych stołach i spijają polską krew! Poza tym Francja ma zamiar wystąpić przeciwko tej trójce, a robiąc to, pomoże nam odzyskać nasz kraj. Janie! Czemu się ze mnie śmiejesz?

Jan spoważniał, ale nie przestał dziwnie się uśmiechać.

– O co chodzi? – dopytywał Paweł. – Wiedziałaś o tym? Oczywiście! To znaczy, że na próżno strzepiłem sobie język.

Jan przytaknął.

– Dostałem wczoraj list od Kościuszki. Paweł spojrzał na niego ze zdumieniem.

– Jak on się miewa? Gdzie teraz jest?

– Wciąż leczy rany. Przebywa w Szwecji.

– W Szwecji?

– Nie może wrócić do ojczyzny. Złożył carowi obietnicę.

– Nie wierzę!

– Naprawdę! Och, nie zrobił tego dla ratowania własnej skóry. Musiał złożyć przysięgę, bo inaczej nie uwolniono by sześćdziesięciu tysięcy polskich jeńców, a sam wiesz, że jest człowiekiem, który zawsze dotrzymuje słowa.

– A więc to tak! Dobry Boże! – zawołał Paweł z przejęciem. – A co z legionem Dąbrowskiego? Czy Kościuszko o nim wie?

– Tak. I popiera generała, chociaż wydaje mi się, że nie bez wahań. Być może uważa, że lepsza niewielka szansa niż żadna.

– Bo tak jest, Janie. Nie widzisz tego? Jan wzruszył ramionami.

– Na pewno widzisz!

– Powiedz mi, po co przyjechałeś tutaj w samym środku zimy.

– Po ciebie. Po ciebie! – Z natchnieniem wpatrywał się w swojego rozmówcę. – Jedź ze mną, Janie! Dostaliśmy drugą szansę.

– Kto nam ją dał? Dyrektoriat? Nie mogę, Pawle.

– To nie Dyrektoriat stoi za Dąbrowskim, Janie, lecz generał Bonaparte.

Jan przytaknął.

– Tak, wiem. Napoleon Bonaparte, mały korsykański prestidigitator.

– No właśnie! Posłuchaj, będzie jak za dawnych czasów. Zdążysz jeszcze posiedzieć na ganku i poobserwować, jak zamarza i rozmarza Wisła.

Obraz odmalowany przez Pawła poruszył coś w sercu Jana. Przez chwilę szukał słów, a potem się odwrócił, czując, że

gorące łzy napływają mu do oczu.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo chciałbym pojechać, ale nie mogę.

– Dlaczego?

Jan wzruszył ramionami i wbił wzrok w zasypane śniegiem pola.

– Z powodu Anny? Jan przytaknął.

– I chłopców – dodał.

– Poradzą sobie, Janie. Jacob świetnie zarządza majątkiem, a ty? Rąbiesz drewno. Po co?

– Jest jeszcze coś. – Jan poczuł, że krew napływa mu do twarzy. – Jak myślisz, w jaki sposób udało nam się utrzymać majątek Anny, gdy Prusacy przejęli kontrolę nad Mazowszem?

– Zawsze mnie to zastanawiało.

– Dzięki łapówkom, Pawle, dzięki łapówkom! – krzyknął Jan. Wstał i odwrócił się twarzą do przyjaciela. Narastała w nim złość. – W mgnieniu oka mogliby nam go zabrać. Daję łapówki w tajemnicy przed Anną. Załamałaby się, gdyby utraciła majątek, który nigdy nie należał do jej rodziców.

Nie wspomniał, że jego spotkał taki właśnie los.

– Kto bierze łapówki?

– Polak, niech go szlag trafi! Przeklęty urzędnik z Sochaczewa, Doliński. Gdyby chodziło tylko o mnie, nie o Annę, zabiłbym go bez zastanowienia i z dumą poszedł na szubienicę. Oczywiście Anna o niczym nie wie.

Paweł wstał i machnął ręką.

– To jeszcze jeden powód, żebyś pojechał ze mną. Dąbrowski obiecuje, że odzyskamy nasz kraj, czyli koniec z łapówkami, koniec z twoją niepewnością. Odzyskasz kamienicę w Krakowie i majątek w Galicji.

Jan odwrócił się w stronę pól zasypanych śniegiem. Sam wpadł już na to wcześniej, mimo to nie mógł podjąć decyzji.

Nie chodziło tylko o obawę, że złamie Annie serce. Bardziej dręczył go strach, że nie będzie go tutaj, gdyby rodzina potrzebowała jego opieki.

– Janie – powiedział Paweł dziwnie cichym głosem, jakby wyjmował asa z rękawa. – Ma powstać regiment ułanów. Wszyscy szlachcice, którzy przyłączą się do legionu, będą mogli wybrać dowolny regiment, niezależnie od tego, czy mają jakieś doświadczenie, czy nie.

Jan spojrzał nań zaskoczony.

– Naprawdę?

– Gość w dom, Bóg w dom – powiedziała Lutisza.

Anna uśmiechnęła się i próbowała odsunąć od siebie niepokój, pomagając Lutiszy, Marcie i Katarzynie przygotować jadalnię na uroczystą kolację, podczas której miały podać gulasz z sarniny. Przy takich okazjach bardzo brakowało jej Marceliny, która wyszła za mąż i zamieszkała w pobliskiej chatce. Kasia nie miała jeszcze konkurentów, ale chyba tego nie żałowała, zwłaszcza że pozwalano jej zajmować się chłopcami.

Wkrótce kolacja była gotowa. Kuszący zapach duszonego mięsa mieszał się z wonią świeżo pieczonego żytniego chleba. Emma i Jacob siedzieli przy stole, Tadzio również. Podano już jedzenie, gdy Anna usłyszała, że Jan wchodzi do domu tylnym wejściem.

– Chodź, Janie! Właśnie siadamy do pysznej kolacji. Jan wszedł do jasnego, ciepłego pomieszczenia.

– Gdzie Paweł? – spytała Anna.

– Ruszył z powrotem do Warszawy.

– Co takiego? – spytała zawiedziona. – Dlaczego?

– Musiał. Mam cię przeprosić w jego imieniu. – Jan podszedł i pocałował Annę w policzek. – To od niego.

– Nic nie zjadł przed drogą.

– Wypił łyczek wódki, by oszukać głód i jakoś dotrzeć na miejsce.

– Sądząc po zapachach, ty chyba wypiełeś trochę więcej niż łyczek.

Jan wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Może, ale jestem głodny jak wilk. – Ponownie ją pocałował. – To już ode mnie. Zawołam Michałka.

Anna siedziała w nocnej koszuli przy toalecie i czesała

włosy. Zawód z powodu zniknięcia Pawła nie dręczył jej długo... ale też nie został zastąpiony żadnym pozytywnym odczuciem. Pomimo wspaniałego jedzenia i towarzystwa Emmy oraz Jacoba nie mogła pozbyć się wrażenia, że wiszą nad nią ciemne chmury.

Jan, wciąż w ubraniu, podszedł od tyłu i położył ręce na jej ramionach. Spojrzała na jego odbicie w lustrze i już wiedziała, że za chwilę dowie się, o co chodzi.

– Masz mi coś do powiedzenia, Janie?

– Tak, Aniu.

– Co takiego? Wziął głęboki wdech.

– Wiesz, że cię kocham.

– To pytanie czy stwierdzenie?

– Chyba przypomnienie.

Milczała. Przez cały czas patrzyła mu w oczy – chociaż tylko za pośrednictwem lustra.

– Wyjeżdżam, Aniu. Do Włoch.

Z bijącym sercem wstała i odwróciła się do niego twarzą.

– Do Włoch!?! – powtórzyła zachrypniętym głosem. – Poco?

– Zostałem powołany do wojska. Powstaje tam polski legion, który ma bronić francuskich interesów.

– Jedziesz do Włoch walczyć za Francję?! Chyba nie mówisz poważnie, Janie. Nie możesz tego zrobić! – zaprotestowała z wypiekami na twarzy.

– Robię to dla Polski, Aniu. Mamy nadzieję, że za jakiś czas Francja pomoże nam w walce przeciwko uzurpatorom.

– Za jakiś czas?! Kto ma taką nadzieję? Paweł? A teraz także ty?

– Generał Dąbrowski, który organizuje legion. Nawet Kościuszko wspiera jego sprawę.

– Ale to nieprawda, że zostałeś powołany do wojska!

– Zostałem.

– Kłamiesz, zgłaszasz się na ochotnika!

– Moje powołanie pochodzi stąd, Aniu.

Ujął rękę żony i położył ją na swoim sercu. Anna się odsunęła.

– A co z moim sercem, panie Stelnicki? Już wypełniłeś swój obowiązek. Jak sądzisz, ile razy można wywinać się śmierci? Są inni mężczyźni, młodszy od ciebie, teraz kolej na nich. Masz rodzinę, Janie!

– Dlatego właśnie muszę jechać: z powodu mojej rodziny i domu.

– Twoja rodzina potrzebuje cię tutaj, a majątek nie jest zagrożony. Prusacy zostawili nas w spokoju.

– Prusacy... – Jan najwyraźniej się rozmyślił i urwał w połowie zdania.

– Co... O co chodzi? Postąpili uczciwie, prawda?

– Będą znacznie uczciwsi, gdy wycofają się za swoje dawne granice.

Spojrzała w jego ciemnoniebieskie oczy.

– Podjąłeś już decyzję, prawda? Przytaknął.

– I mówisz mi o tym dopiero teraz, gdy cały dom pogrążony jest we śnie, żebym nie mogła na ciebie krzyczeć i głośno zaprotestować przeciwko krzywdzie, którą nam wyrządzasz, Janie Stelnicki! – Nagle zacisnęła pięści i uderzyła męża w klatkę piersiową. – Nie możesz tego zrobić, Janie. Nie możesz!

Jan objął ją mocno, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Potem uniósł rękę i oparł głowę Anny na swoim ramieniu.

– Muszę – szepnął. – Po prostu muszę.

Anna czuła, że nie jest w stanie nawet myśleć. Miała wrażenie, że spada w przepaść, a jej duch odłącza się od ciała. Chociaż o tym nie wiedziała, właśnie dobiegał końca jej ostatni szczęśliwy dzień. Na następny długo będzie musiała czekać... i być może nigdy się nie doczeka.

Kiedy po jakimś czasie przypomniała sobie delikatną wilgoć na szyi, doszła do wniosku, że mogły to być tylko łzy Jana.

Gdy świt zaczął zabarwiać niebo na różowo i rozjaśniać spokojne fale Wisły, powóz Zofii toczył się ulicą, która biegła wzdłuż rzeki. Kobieta była wyczerpana.

Kareta skręciła w Piwną, a turkot drewnianych kół na bruku zakłócał ciszę. Kiedy Zofia wysiadała, ludzie zmierzali do Świętego Marcina na codzienną mszę. Kilka głów odwróciło się w jej stronę.

Nie chcąc budzić służby, otworzyła drzwi własnym kluczem i po cichutku weszła do domu. Pokonała całą długość korytarza i właśnie miała ruszyć schodami do swojego pokoju, kiedy wydało jej się, że słyszy głos Pawła. Zatrzymała się, przekonana, że się myli.

– To ty, Zofio?

To naprawdę był głos Pawła. Odwróciła się i weszła do przyległego salonu. W ułamku sekundy przypomniała sobie, jak niegdyś została przyłapana przez ojca w identycznej sytuacji, dlatego przygotowała się na podobną konfrontację. Odsunęła od siebie narastający strach. Przecież jest już dorosła.

– O co chodzi, Pawle? – spytała głosem słodkim jak cukierek.

Potecki wstał z krzesła z wysokim oparciem. Właśnie się obudził, dlatego zerknął za okno, chcąc sprawdzić, która jest godzina.

– Dopiero wróciłaś do domu, Zofio?

– Tak – odparła zuchwale.

– Całą noc spędziłaś poza domem?

– Byłam u przyjaciółki. Charlotte Sic. Mówiłam ci o niej setki razy.

– Tak, przypominam sobie, to ta francuska księżna, ale nie wiedziałem, że odnowiłaś przyjaźń.

– Odnowiłam... w zeszłym tygodniu, kiedy zabrała mnie na przyjęcie do pałacu Radziwiłłów. Byłeś wtedy na jednym ze swoich spotkań. Nie powiedziałam ci, że to ona mnie zaprosiła?

– Może... nie pamiętam.

Podszedł do Zofii, pocałował ją w oba policzki i bacznie jej się przyjrzał.

– Jesteś rozczochrana.

Uśmiechnęła się, modląc się w myślach, by Paweł nie wyrzucił jej z domu.

– Jest ranek, Pawle, a ja jeszcze nie zmrużyłam oka. Przegadałyśmy z Charlotte całą noc.

– Domyślam się – stwierdził Paweł. – Tak wiele było do omówienia?

Zignorowała pytanie.

– Myślałam, że zostaniesz w Sochaczewie na noc.

– Zmieniłem decyzję.

– Dlaczego jechałeś tam i z powrotem w ciągu jednego dnia, na dodatek podczas takiej pogody?

– Nie wiem... czułem się niezręcznie.

– Mogłam się tego spodziewać. Nie sądzę, by Anna zbyt entuzjastycznie zareagowała na twoje próby zwerbowania jej męża. Jeden Don Kichot nie wystarczy?

Zofia miała wrażenie, że krew zaczyna szybciej krążyć w jej żyłach. Zawsze czuła się lepiej, gdy mogła kierować dyskusją tak, by nie wymknęła się spod jej kontroli.

– Jan już o wszystkim wiedział... od samego Kościuszki.

– Naprawdę? Jaka jest jego odpowiedź? Też się wybiera? Czyżby dotychczas zginęło za mało Polaków?

– Nie wiem. Nie był do końca przekonany.

– Rozumiem! Wrzuciłeś ziarno, ale wolałeś nie sprawdzać,

jak Ania zareaguje, gdy zobaczy, co z niego wyrosło.

– To szansa dla Polski, Zofio!

– Polska! Polska! Psiakrew! Robi mi się niedobrze, gdy o tym słyszę. Ile razy widzieliśmy, jak nasze granice się przesuwały? Na litość boską, zawsze tak było! I zawsze byli mężczyźni, którzy porzucali domy, by dać się wyróżnić jak zboże podczas żniw – a wszystko dla chwały!

Paweł westchnął.

– Nie tylko dla chwały, Zofio. Tak każe honor.

– Honor? – warknęła. – Jak brzmi stare powiedzenie? Co po honorze, kiedy pustki w worze?

– W tej kwestii nigdy nie dojdziemy do porozumienia, Zofio.

– Masz rację. Dobranoc, Pawle. Jestem zmęczona. Idę spać.

Paweł złapał ją za rękę.

– Naprawdę spędziłaś noc u Charlotte?

– To boli! Zwolnił uścisk.

– Oczywiście. Gdzie miałabym być?

– Nie... nie wiem.

– Myślę, że gdy wyjedziesz do Włoch, będziesz musiał trochę bardziej mi ufać... chyba że zamierzasz wyrzucić mnie stąd jeszcze przed wyjazdem.

– Ależ skąd!

– Może chciałbyś, żebym została markietanką i podążała za tobą i twoim regimentem.

– Zofio!

Wybuchnęła gromkim śmiechem.

– Naprawdę mam własne pieniądze.

– To jest twój dom... twój i Izy!

– Dobranoc, Pawle. Proszę, nie pozwól do podwieczorku nikomu wchodzić do mojego pokoju.

– Zakaz dotyczy również Izy?

– Zwłaszcza jej.

W sypialni Zofia wyjęła z włosów zdobione brylantami grzebienie, a potem zrzuciła ubranie i zostawiła je na podłodze. Zrobiło jej się zimno – ogień w kominku zgasł cztery godziny temu, a służba spała, więc nie miał kto dorzucić węgla do podgrzewacza w łóżku. Opadła na puchowy materac i naciągnęła kołdrę po uszy.

Starła się zapomnieć o odbytej przed chwilą rozmowie i kłamstwie, którym się posłużyła. Rozgrzewały ją myśli o księciu Ryszardzie Podolskim i o tym, jak jego wysokie, szczupłe ciało przywierało do niej, gdy ją całował.

Kilka dni po przyjęciu w Nieborowie otrzymała od niego list i zaproszenie. Księżę przeproszał, że tak szybko opuścił towarzystwo. Zofia wysłała odpowiedź dopiero po dwóch dniach – nie chciała, by uznał ją za łatwą zdobycz. Spotkanie ustaliła na dzień, w którym Paweł wybierał się do Sochaczewa. Zdawała sobie sprawę, że księżę z niecierpliwością czekał na tę chwilę. W rozmowie w cztery oczy Podolski wyznał, że oskarżenia Doroty Driedruskiej rzucone w Nieborowie wytrąciły go z równowagi, jednak już w momencie, kiedy wsiadał do karety, żałował, że opuścił przyjęcie. Najwyraźniej przez kilka następnych dni bez przerwy myślał o Zofii. Przeprowadził małe śledztwo i dowiedział się, iż po upadku Pragi Zofia zamieszkała u przyjaciela rodziny, hrabiego Pawła Poteckiego. Zdobył adres i natychmiast do niej napisał.

W sypialni było naprawdę zimno. Zofia cicho westchnęła. Księżę miał ogromne wpływy. Był bardzo blisko związany z rosyjskim dworem i sporo czasu spędzał w Petersburgu.

Zasypiając, wyobrażała sobie, iż posiada takie bogactwa i wpływy jak księżę. Jest także mile widziana na dworze cara Pawła i w sali wypełnionej rosyjską szlachtą przedstawiana jako księżna Zofia Podolska.

Wychodząc na spotkanie, postanowiła, że nie pozwoli, by

tego wieczoru sprawy zaszły za daleko. Nie zdołała jednak oprzeć się uroczemu apartamentowi, doskonałemu jedzeniu i winu, małej orkiestrze, którą wynajął, a przede wszystkim spojrzeniom winowajcy rzucanym spod gęstych, niesfornych czarnych włosów. Mimo to udawała, że się broni, głośno protestowała, a jednocześnie obserwowała, jak rośnie jego podniecenie i poczucie, że ma nad nią władzę.

Długo śniła jej się scena uwiedzenia, chociaż w bardziej zmysłowej i ekscytującej wersji niż w rzeczywistości. „Jakie to dziwne – pomyślała Zofia, przeciągając się po przebudzeniu – że czasami sen może dostarczyć większej przyjemności niż życie”.

Paweł przywiązał konia i ruszył w stronę chatki myśliwskiej. Jego myśli przez cały czas krążyły wokół Zofii. Pamiętał, że kiedy przed laty wstawiał się za nią u Anny, powiedział jej, że Zofia jest jak nieoswojony egzotyczny ptak. Anna poprawiła go wtedy, że ten ptak jest nie tyle nieoswojony, co „nie do oswojenia”.

Paweł od kilku miesięcy sądził, że udało mu się oswoić Zofię. Jak mógł aż tak się pomylić? Anna miała rację: Zofii nie da się oswoić.

Wszedł do domku.

– Co z chłopcem?

Był zaskoczony niespodziewanym pytaniem wielkiego mistrza. Od miesięcy nie poruszano tematu syna Stelnickich. Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy zebrani wiedzą o jego ostatniej wyprawie do Sochaczewa. Dreszcz przebiegł mu po plecach.

– Dobrze się miewa. Prawdę mówiąc, nawet go nie widziałem. Wpadłem tam tylko na chwilę, żeby porozmawiać z Janem.

– O swojej wyprawie do Włoch?

– Tak.

– Czy jest szansa, że Jan Stelnicki pojedzie z tobą? – zapytał stojący w pobliżu brat.

Kaptur zarzucony na głowę znacznie zawęził kąt widzenia, dlatego Paweł zaczął się zastanawiać, kto i dlaczego ich podsłuchuje. Jak się okazało, był to brat Fabian, człowiek o niemiłym, chropawym głosie. Kilka miesięcy temu próbował wciągnąć Pawła w rozmowę, ale starał się zdobyć więcej informacji, niż sam miał do przekazania. Potecki czuł się w jego towarzystwie dziwnie nieswojo.

– Nie wiem, czy Jan pojedzie – odparł. Powiedział prawdę.

– Próbowałeś go namówić?

– Tak.

Dlaczego go to interesuje? Paweł chciałby zobaczyć, kto ukrywa się pod kapturem. Odwrócił się do wielkiego mistrza.

– Czy są jakieś plany dotyczące Tadeusza?

– Jest mało prawdopodobne, by coś z nich wyszło, bracie Piotrze. Nie musisz się obawiać. Teraz przypuszczalnie górze wezmą inne rozwiązania, a jeśli Dąbrowski wkroczy do Polski, wtedy... wszystko się zmieni.

– Rozumiem.

– Pamiętaj jednak, że obowiązuje cię tajemnica. Jeśli złamiesz przysięgę – i wyjawisz sekret swojemu towarzyszowi broni – spotka cię najwyższa kara.

Wracając do domu, nie mógł zapomnieć tych słów. Pod groźbą śmierci nie wolno mu było powiedzieć o niczym Janowi. Czuł się jak zdrajca, ale doszedł do wniosku, że być może jest to najlepsze rozwiązanie. Plany masonerii najprawdopodobniej spełzną na niczym. Tylko głupiec mógłby uwierzyć, że coś kiedyś z nich wyniknie. Z drugiej strony, gdyby wolnomularze jakimś cudem dokonali zamachu stanu i wynieśli na tron Tadeusza Stelnickiego – czy byłoby w tym coś złego? Syn Jana po prostu zostałby królem!

Jan wyjął z kufra wojskowe mundury: zwyczajny i galowy. Nie miał pojęcia, czy legioniści będą nosić dawne polskie stroje, czy dostaną nowe. Postanowił, że zabierze ze sobą Lucjana, młodego mężczyznę z Topolowa. To było minimum, którego oczekiwano od przedstawicieli zubożałej szlachty. Jan przypuszczał jednak, że znajdą się tacy, którzy pojawią się samotnie. Do małego orszaku włączył również pięć koni z własnej hodowli – na jednym jechał sam, drugiego dosiadał Lucjan, a trzy pozostałe stanowiły rezerwę. Były to mniejsze i bardziej zwrotne wierzchowce niż te, których Polacy od lat używali do wojaczki – bardziej odpowiadały potrzebom ułanów.

Kiedy Jan patrzył na swój niebiesko-czerwony mundur: kurtkę, spodnie i rogatywkę, nie miał wątpliwości, że to informacja o regimencie ułanów wpłynęła ostatecznie na jego decyzję. Zawsze podziwiał umiejętności i odwagę ułanów. Znał ich z opowieści, legend i historii. Widział ich również w akcji, kiedy walczył w lekkiej kawalerii pod wodzą Kościuszki. W tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku, gdy obrońcy Warszawy starali się powstrzymać Rosjan na obrzeżach Pragi, koń Jana zginął ugodzony rosyjskim kordem, a on sam upadł na ziemię. Odwróciwszy się, zobaczył, że Moskal zawraca, unosi, a potem opuszcza zakrwawione ostrze, by zadać Janowi śmiertelny cios. Stelnicki próbował zasłonić się szablą przed znacznie dłuższą kopią, ale w głębi duszy szykował się na śmierć. W tym momencie Moskala zaatakował polski ułan na małym polskim koniu. Udało mu się przebić pierś wroga i martwego zrzucić z siodła. Wtedy Jan doszedł do wniosku, że jeśli chce się walczyć i odnosić sukcesy, najlepiej być polskim ułanem.

Przygotowania i pakowanie nie wymagały trzech dni, ale nie spieszył się wcale, chcąc być z rodziną jak najdłużej. Miał

nadzieję, że Anna go zrozumie. Czy pożegna go z uśmiechem?

Nadszedł dzień wyjazdu. Wszystko było gotowe; Lucjan wraz z końmi czekał w stajni, podczas gdy Jan starał się wmusić w siebie niewielkie śniadanie. Wcześniej przesłał Pawłowi wiadomość, że przyjedzie tego popołudnia. Anna karmiła Tadzia i co chwila upominała o coś Michała. Przez cały czas unikała wzroku Jana. Czy go rozumiała? Czy jest w stanie pojąć męski punkt widzenia? Decyzję żołnierza?

Jan próbował poruszać różne tematy, i te lżejsze, i te poważniejsze, mimo to coraz bardziej ciążyła im perspektywa bliskiego rozstania. W końcu zamilkł. Gdy nadeszła pora odjazdu, wstał, obszedł stół i pocałował najpierw Tadzia, a potem Michałka.

– Opiekuj się matką, Janie Michale! – polecił. Anna wstała.

– Widzę, że ponownie zapuściłeś wąsy, Janie. Czy wąs czyni z mężczyzny żołnierza?

Wiedział, że jeśli spojrzy teraz na jej słodką twarz, trudniej mu będzie wyjechać. Gdy podniósł wzrok, poczuł pulsowanie w skroniach.

– Nie zastanawiałem się nad tym, sądzę jednak, że jest na odwrót.

W zielonych oczach Anny z bursztynowymi plamkami nie było ani śladu łez. Na jej ustach pojawił się uśmiech, który Jan postanowił zabrać ze sobą. Podziękował Bogu. Pocałował ją, a ona przywarła do niego całym ciałem.

– Wróć do nas, Janie Stelnicki – wyszeptała łamiącym się głosem. – Wróć do nas!

– Wrócę, Aniu. Przyrzekam!

Przyciągnęła jego twarz do swojej i obdarzyła go długim, namiętym pocałunkiem.

Jan cofnął się, przywołał na twarz uśmiech, po czym wyszedł przez kuchnię i tylne wyjście.

Anna schroniła się w swoim pokoju. Dzień włókł się niemiłosiernie, jakby wszystkie zegary zwolniły. Jak mogło do tego dojść? Minęło sporo czasu, nim udało jej się stanąć na ślubnym kobiercu z miłością swojego życia, a teraz po dwóch krótkich latach małżeństwa ponownie musieli się rozstać. Na jak długo? Przez ile miesięcy i lat nie będzie go widziała, nie będzie wiedziała, jak on się miewa? Czy żyje? Od trzech dni Anna wznosiła wokół swojego serca mur, bojąc się wyjazdu Jana. Oczywiście, uśmiechała się, rozmawiała, była zadowolona, gdy brał ją w ramiona, ale czuła się tak, jakby robił to kto inny. Podobne wrażenie miała, gdy jej powóz się rozpadł, a ona próbowała bronić się przed zimnem. Kiedy była o mały włos od zamarznienia, a jej duch oddzielił się od ciała, unióśł w powietrze i z wysoka obserwował jej poczynania.

Jan wyczuwał, że się od niego odsunęła. Był zbyt spostrzegawczy i wrażliwy, by tego nie zauważyć. Anna chciała by móc się wypłakać, ale brakowało jej łez. Niespokojnie krążyła po pokoju, nie biorąc jedzenia, które Lutisza zostawiała pod drzwiami, i nie zauważając, że ogień w kominku dawno wygasł. Co chwila zatrzymywała się przy oknie, zdrapywała szron z szyby i spoglądała na coraz ciemniejszy zimowy krajobraz. Wyobrażała sobie postać jadącą konno w stronę dworku aleją, która prowadziła wśród nagich, ciemnych topól i zamarzniętych stawów. Po każdym mrugnięciu powiek zmieniała się pora roku. Wiosna-lato-jesień. Kiedy Jan wróci? Kiedy?

Stojąc przy oknie i obserwując, jak jej oddech zamienia się w chłodnym powietrzu w obłoczek pary, powoli przesunęła ręką po zaokrąglonym brzuchu. „Nie powiedziałam mu – pomyślała. – O niczym mu nie powiedziałam. Na Boga, powinnam!”

Kiedy zrobiło się ciemno, Anna wyszła z sypialni odziana

w staromodną, grubą, brązową opończę. Energicznie wkroczyła do jadalni, gdzie sprzątano po kolacji. Kazała Wałkowi zaprząć konie do sań.

Michałek podbiegł do matki i uchwycił się rączkami jej ubrania. W ślad za nim z salonu wyłoniła się Emma z Tadziem na rękach.

– Och, Aniu, dzieci dopytywały o ciebie. Dobrze się czujesz?

– Nic mi nie jest, Emmo. Jadę do Warszawy.

– Do Warszawy?

– Nie patrz tak na mnie. To nie Moskwa. Wrócę za dzień lub dwa. Całkowicie ci ufam, jeśli chodzi o malców.

Emma przytaknęła.

– Kasia mi pomoże.

Hrabina Stelnicka zdawała sobie sprawę, że guwernantka chciałaby dowiedzieć się czegoś więcej, ale nie śmie spytać. Do pomieszczenia wszedł Jacob.

– Wałek mi powiedział, że kazałaś zaprząć konie do sań.

– Zgadza się – powiedziała Anna, odwracając się w stronę zarządcy. – Chcę, by on i jego syn zawieźli mnie do Warszawy.

– Aniu – zaprotestował Jacob – z całego serca odradzam ci tę wyprawę. Zapowiada się śnieżycy, już napadało dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów.

– Wytrzymam zimno i śnieg.

– Wiem, ale nie będzie widać drogi. Wyprawa tej nocy będzie bardzo niebezpieczna, nawet dla tak dobrego woźnicy jak Wałek.

Anna podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Powoli zaczynała tracić pewność siebie. Michał kurczowo trzymał się jej nóg i nie odstępował ani na krok. Odwróciła się i spojrzała na zmartwione twarze Jacoba i jego żony.

– Jeśli pojedziesz, narazisz siebie i obu panów na ogromne

niebezpieczeństwo – powiedział Jacob cicho, ale wyraźnie.

Tadzio zaczął wyrywać się do matki. Anna podeszła i wzięła go na ręce. Odwróciła się do Jacoba i spytała:

– A jutro? Przytaknął.

– Jutro nie będzie przeszkód – powiedział z widoczną ulgą.

– Możesz wyjechać o brzasku.

Anna stała na parterze kamienicy Poteckiego i patrzyła na kuzynkę zstępującą po schodach. Miała na sobie szarą suknię, a jej czarne włosy – krótsze niż zazwyczaj i ułożone w loki – wspaniale podkreślały ciemne oczy w kształcie migdałów.

– Co za niespodzianka! – zawołała Zofia. – Myślałam, że pokojówce coś się pomieszało.

Pocałowała Annę w oba policzki, potem cofnęła się i zmierzyła ją od stóp do głów.

– Wyglądasz na bardzo zmęczoną. Na litość boską, co ty tu robisz?

– Przyjechałam, żeby zobaczyć się z Janem i Pawłem, jeszcze nim wyjadą.

– Jesteś blada jak ściana. Wejdz do jadalni. Kiedy po raz ostatni coś jadłaś?

– Wczoraj rano.

Anna pozwoliła się posadzić na krześle. Rzeczywiście czuła się tak, jakby lada chwila miała zemdleć. Co gorsza, zaczynało ją dręczyć okropne przecucie...

– Musisz coś zjeść.

Zofia szybko poszła do kuchni i zapędziła służbę do pracy. Kiedy wróciła, Anna uniosła głowę.

– Jan... gdzie jest Jan?

Hrabina Grońska usiadła naprzeciwko Anny i ujęła jej dłoń.

– Wyjechał, Aniu.

– Wyjechał? – Anna z trudem wypowiedziała to słowo.

– Tak, obaj z Pawłem wyruszyli wczesnym rankiem. Do

tego czasu na pewno pokonali już szmat drogi i są bliżej Lombardii.

Anna czuła się tak, jakby już słyszała te słowa, jakby od początku wiedziała, że tak będzie. Jej własna odpowiedź również pochodziła z tego samego, gotowego scenariusza:

– Wydawało mi się, że mają wyjechać dopiero we czwartek.

Zofia wzruszyła ramionami.

– Pewnie spieszno im do wojaczki.

– Niemożliwe – zaprotestowała Anna, z trudem łapiąc oddech. – To niemożliwe. Po prostu niemożliwe!

Do jadalni weszła służąca i postawiła przed Anną ziemniaki i pieczoną pierś kaczki. Hrabina Stelnicka przez chwilę wpatrywała się w talerz, a potem odepchnęła go.

– Musisz coś zjeść, kochanie.

– Nie teraz.

– Czemu przyjechałaś, Aniu? Anna długo milczała.

– Przed rozstaniem nie powiedzieliśmy sobie pewnych rzeczy – wyznała w końcu.

– Żegnając go, byłaś zła?

Anna potrząsnęła głową, powstrzymując łzy.

– W takim razie o co chodzi?

– Trudno to wyjaśnić. Nie protestowałam. Nie płakałam.

– Milczałaś?

– Nie, popełniłam inny błąd. Nie zrozumiesz tego. Jan i ja jesteśmy sobie tak bliscy, że dostrzegłby moją urazę w każdym ruchu, w niewielkiej zmianie tonu.

– Czy sugerujesz, że ja nigdy z nikim nie byłam tak bardzo związana?

– Nie, ani mi to przez myśl nie przeszło...

– W porządku... W takim razie, Aniu, nie masz powodu do zmartwień. Jan wie, co czujesz... niezależnie od tego, o jakie subtelności chodzi.

Po jakimś czasie Zofii udało się nakłonić kuzynkę do zjedzenia czegoś.

– Proszę, zostań u mnie na noc – zaproponowała. – Na wieczór jestem umówiona z Charlotte, ale jutro mam cały dzień wolny.

Wzmianka o francuskiej księżnej wywołała niemiłe wspomnienia.

– Wciąż się przyjaźnicie?

– Właśnie odnowiliśmy naszą znajomość.

– Zofio, czy mogę cię o coś spytać?

– Oczywiście, kochanie.

– Jak wyglądało twoje pożegnanie z Pawłem? Hrabina Grońska wzruszyła ramionami i skrzywiła się.

– Pocałowaliśmy się, a potem on wyszedł.

– To wszystko?

– Tym razem doszłam do wniosku, że szkoda sobie strzepić język, jak przed laty, gdy przyłączał się do Kościuszki. Wiedział, co o tym sędzę... myślę również, że nasz związek utknął w martwym punkcie. Prawdę mówiąc, właśnie miałam zamiar zacząć odbudowywać swój dom na Pradze... nim to wszystko się stało.

– A teraz?

– W tej chwili nie ma pośpiechu. Może kiedyś.

– Rozumiem.

– Jedz, a ja zawołam Jagodę.

– Jagodę?

– Guwernantkę Izabeli.

Zofia po chwili wróciła, a wraz z nią w drzwiach pojawiła się kobieta w średnim wieku o ostrych rysach. Trzymała za rękę małą dziewczynkę.

Izabela była zdumiewająco pięknym dzieckiem. Po Zofii odziedziczyła czarne włosy i idealne rysy twarzy, tylko oczy miała błękitne jak niebo i nieco jaśniejszą cerę, ale połączenie

ciemnych włosów, jasnej cery i niebieskich oczu dawało naprawdę uroczy efekt.

Zofia przedstawiła Annie dziecko i guwernantkę.

– Przywitaj się z hrabiną Anną, Izabelo. Dziewczynka ukryła się w ciemnych fałdach spódnicy Jagody. Kiedy podobnie zareagowała na powtórny prośbę matki, Anna wstała i podeszła do małej.

– Cześć, Iziu. Masz piękną niebieską sukieneczkę! Anna kucnęła i uśmiechnęła się do dziewczynki.

– Mogę cię pocałować?

Izia niemal niedostrzegalnie przytaknęła, więc Anna ją pocałowała.

– Jesteś śliczna, wiesz o tym?

Na twarzyczce dziewczynki pojawił się blady uśmiech, który zniknął, gdy spojrzała na matkę.

– Uważam, że Izabela powinna się zdrzemnąć – powiedziała Zofia do guwernantki.

Anna wstała, a Jagoda dygnęła, wzięła dziecko za rękę i ruszyła w stronę drzwi.

– Do widzenia, Iziu! – zawołała Anna.

Dziewczynka obejrzała się i wyszła. W tym momencie hrabina Stelnicka zdała sobie sprawę, że dwa lata temu powinna była wziąć Izie na wychowanie. W dworku pod Sochaczewem mała odnalazłaby ciepło, w którym mogłaby rozkwitnąć.

– Jest śliczna, Zofio.

– Widywałam śliczne dzieci, które zbrzydły, dorastając, więc musimy poczekać, nim zaczniemy planować jej przyszłość.

Anna odwróciła się. Zabrakło jej słów. Wmawiała sobie, że kuzynka kocha swoją córeczkę. Zofia nie odrywała wzroku od Anny.

– Po co przyjechałaś do Warszawy?

– Żeby zobaczyć się z Janem.

- To już wiem. Pamiętam, co mi powiedziałaś.
- Powiedziałam prawdę.
- Proszę, proszę... Bałaś się, prawda? Bałaś się, że spędzi noc pod tym samym dachem co ja?
- Nie! – Anna poczuła nagle, że kręci jej się w głowie.
- Przyznaj, że tak.
- Nieprawda!
- W takim razie o co chodzi? Musiał być jakiś dodatkowy powód.
- Spodziewam się dziecka.
- Dobry Boże, Aniu! – Zofia zamrugła długimi, czarnymi rzęsami. – Mam nadzieję, że nie będziesz wydawać na świat dzieci w takim tempie, w jakim Lutisza robi knedle.
- Zofio!
- Wybacz. – Przepraszam towarzyszył perlisty śmiech. – Jan o tym wie?
- Anna potrząsnęła przecząco głową. Zofia podejrzliwie przymrużyła oczy.
- Mogłaś do niego napisać.
- Chciałam osobiście mu o tym powiedzieć.
- Żeby został?
- Co takiego?
- Gdyby udało ci się wywołać u niego poczucie winy, być może odłożyłby szablę na bok i wrócił do spokojnego życia na wsi.
- Nie!
- Och, Aniu! W takim razie dobrze, że się z nim rozminęłaś, nie sądzisz?
- Anna wstała.
- Muszę odrzucić twoje zaproszenie. Chciałabym, żeby przygotowano moje sanie.
- Zofia roześmiała się zadowolona z siebie.
- Jak sobie życzysz, kuzyneczko.

Później, kiedy sanie przecinały pola i lasy, zmierzając w stronę domu, Anna starała się uporządkować uczucia i myśli, które przemykały przez jej głowę niczym tatarskie strzały.

Wyjechała zła na Zofię... mimo to pytania kuzynki nie dawały jej spokoju. Czy naprawdę obawiała się, że Jan spędzi noc pod tym samym dachem co Zofia, kobieta, która przed laty zrobiła wszystko, by ich rozdzielić? Czy liczyła, że wiadomość o oczekiwanym dziecku skłoni męża, by jeszcze raz przemyślał całą sprawę? Czy miała nadzieję, że powodowany troską – i poczuciem winy – zostanie w domu? Przyjrzała się najgłębiej ukrywanym motywom i z przerażeniem zdała sobie sprawę, że w uwagach Zofii było sporo prawdy.

Sanie gładko sunęły do przodu; zasypane śniegiem sosny i jodły migały po obu stronach drogi. Nagle Annę ogarnęło uczucie radości, że nie spotkała Jana.

„Szczęśliwej drogi, Janie!” – pomyślała.

20 września 1797

Anna zaczęła rodzić wcześniej, niż się tego spodziewano, co wywołało poruszenie w całym domu.

Wątek z Jacobem pomogli jej dojść do sypialni, tam zajęła się nią Emma, Lutisza, Marta i Kasia. Chociaż guwernantka chłopców miała już pewną praktykę w przyjmowaniu porodów, całkowicie zdała się na Lutiszę, znacznie bardziej doświadczoną w roli akuszerki.

Anna się modliła, tymczasem ból pojawiał się i znikał, pojawiał się i znikał, przez cały czas przybierając na sile, tak że w końcu wypuściła z ręki różaniec. Modliła się, żeby dziecko przeżyło, nawet gdyby ona miała rozstać się z tym światem. Błagała Boga również o to, by pozwolił jej jeszcze zobaczyć Jana. Wyobrażała sobie, że mąż w nowym mundurze wraca do domu, jedzie aleją wśród topól, wchodzi po schodach, otwiera drzwi...

– Proszę przec, pani hrabino! – krzyknęła Lutisza. Pozostałe kobiety od razu jej zawtórowały. Anna usłyszała tuż przy uchu słowa Emmy:

– Przyj, dziecko, przyj!

Parła i parła, nie zważając, że pot spływa jej po twarzy. Przez cały czas miała przed oczami Jana. Wyobrażała sobie jego powrót do domu. Tylko o tym myślała. Dzięki temu wierzyła, że jej się uda. Musi się udać!

Bóle ciągnęły się w nieskończoność, a potem... po długim, długim czasie Lutisza oznajmiła:

– Jest, madame. Urodziła pani dziecko!

Anna usłyszała pełen zachwyty głos Kasi, która asystowała przy porodzie po raz pierwszy.

– To dziewczynka, pani hrabino, śliczna, mała

dziewczyneczka!

– Wcale nie taka mała – poprawiła ją Marta – ale rzeczywiście bardzo ładna.

Anna usłyszała wysoki, przenikliwy krzyk noworodka. Opadła na poduszki i czekała, aż kobiety wymyją i przyniosą jej dziecko. Kiedy położyła obok siebie pucołowatą dziewczuszkę, zauważyła, że Lutisza zdążyła już zawiązać małej wokół nadgarstka kawałek czerwonej włóczki, która miała chronić niemowlę przed urokami.

Nazajutrz rano Annę obudził tętent końskich kopyt na podjeździe i dochodzące z parteru ludzkie głosy. Była zbyt słaba, by wstać i podejść do okna. Nie liczyła, że jej wizja nabierze realnych kształtów. Jan wróci, ale to może potrwać wiele miesięcy, może nawet rok.

Wkrótce usłyszała, że drzwi się zamykają, a jeździec oddala się od domu.

Nieco później zapytała Emmę, kto to był.

– Natarczywy mężczyzna. Do tego bardzo niegrzeczny.

– Kto?

– Starosta.

Anna poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

– Doliński?

– Tak, hrabia Doliński. Koniecznie chciał się z tobą zobaczyć. Był bardzo zaskoczony, że właśnie urodziłaś dziecko.

– Wyobrażam sobie.

– Dlaczego tak go to zdziwiło? – rozważała Emma. – Nie rozumiem. Co się dzieje, Aniu? Potwornie zbladłaś. Znów krwawisz?

– Nie, nie, nic mi nie jest. Zaraz mi przejdzie, Emma dla pewności postanowiła sprawdzić. Kiedy wyszła z pokoju zadowolona, że położnica odzyskuje siły, Anna przytuliła do siebie córeczkę, która otrzymała imiona Barbara Anna.

– Słodki Jezu, miej nas wszystkich w opiece! – wyszeptała.

Zofia leżała nago na brzuchu na szerokim, miękkim materacu. Delikatnie drżała, ale nie z zimna, bo całe pomieszczenie rozświetlał i ogrzewał płonący kominek. Słodki dreszcz wywoływał dotyk księcia Podolskiego, który niespiesznie wodził palcami wzdłuż jej ramienia, potem między łopatkami w dół aż do krzyża, następnie po jędrnych pośladkach i z powrotem.

– Ryszardzie?

– Słucham? Mam przestać?

– Nie, nie przerywaj. W przyszłym tygodniu wybierasz się do Petersburga, prawda?

– Tak.

– Chciałabym z tobą pojechać. Jego dłoń znieruchomiała.

– Do Petersburga? Po co?

– Żeby zobaczyć wspaniałe rosyjskie miasto! Nigdy nie byłam poza granicami Polski.

– Myślałem, że chcesz pojechać z miłości do mnie... bo nie zniosłabyś ani chwili rozłąki.

– A gdybym tak powiedziała?

Palce znów rozpoczęły swoją wędrówkę.

– Nie uwierzyłbym.

Zofia wybuchnęła śmiechem, unosząc głowę nad poduszkę.

– Naprawdę tęskniłabym za tobą.

– Tak jak tęsknisz za Pawłem?

– Nie bądź złośliwy. Tęskniłabym za tobą. Co nie zmienia faktu, że bardzo chciałabym zobaczyć pałac. I Ermitaż. Kto wie, może zdołałbyś przedstawić mnie carowi?

– I... co jeszcze?

– Co jeszcze?

– Owszem, dlaczego jeszcze chcesz tam jechać?

– Hmm... chciałabym się spotkać z pewnym Polakiem...

Czartoryskim.

– Adamem? Po co?

– Nie z powodów, o których myślisz. Nie bądź zazdrosny. Książę ma duży wpływ na cara. Chodzi o mój skonfiskowany majątek.

– Posiadłość pod Haliczem?

– Tak.

– Obawiam się, że możesz o tym zapomnieć, Zofio. Ten region przypadł Austriakom. Nie odzyskasz swojej posiadłości.

– Kto wie? Może car nakłoni Austriaków. Moja przyjaciółka, Anusia Tyszkiewicz, opowiedziała mi, że wiele lat temu jej ojciec zrobił takie wrażenie na carycy Katarzynie, że zwróciła mu majątek. Chodzą słuchy, że car jest sprawiedliwszy niż matka.

– Nienawidził Katarzyny.

– No widzisz!

– Wystarczy ci to, co masz, Zofio. Nie brakuje ci pieniędzy, masz na Pradze parcelę, na której możesz odbudować kamienicę. Co zrobiłabyś z dworkiem położonym tak daleko na południu Polski? Sama powiedziałaś, że Rosjanie nie zostawili kamienia na kamieniu.

– Odbudowałabym go.

– Po co? Żeby mieszkać na wsi? Nie lubisz wsi i nie masz pojęcia, jak zarządzać majątkiem ziemskim... nawet gdybyś chciała.

– Prawdę mówiąc, miałam na myśli również interesy Ani.

– Ani?

– Tak, Austriacy skonfiskowali majątek jej męża w Uściu Zielonym.

– Stelnickiego, o którym mi tyle opowiadałaś?

– Tak, jego majątek powinien przypaść w udziale ich dzieciom.

– A gdyby odzyskały go dzięki tobie, miałyby wobec ciebie dług wdzięczności.

– Sądzę, że...

– Spójrz na mnie, Zofio.

Zofia spełniła jego prośbę i oparła głowę na dłoni.

– Gdy mówisz o Stelnickim, w twoich oczach pojawia się coś dziwnego. O co chodzi?

– O nic.

– Czy między wami wszystko skończone?

– Tak.

– Na pewno?

– Jan jest mężem Anny, Ryszardzie. – Zofia odwróciła się na plecy i wyciągnęła do niego ręce. – A teraz, mój drogi, ponawiam pytanie. Zabierzesz mnie do Petersburga?

Październik 1797

Anna siedziała z Emmą przed biurkiem starosty. Po wizycie Dolińskiego w Topolowie wiedziała, że znów da o sobie znać, i zamartwiała się tym przez trzy tygodnie, nie spodziewała się jednak, że otrzyma urzędowe wezwanie. Starosta nie kazał długo na siebie czekać. Drzwi się otworzyły i pojawił się w nich Doliński.

– Witam waćpanią – powiedział, lekko się kłaniając. Anna weszła do biura. Skorumpowany szlachetka zamknął za sobą drzwi i kazał jej usiąść. Usiadła. Aż za dobrze pamiętała tykanie ogromnej liczby zegarów i poczucie bezradności, kiedy ją przesłuchiwał niemal trzy lata temu.

– Kim jest osoba, która została na zewnątrz? Czy to przyjaciółka, czy służąca?

– I jedno, i drugie. To Emma Szraber, żona Jacoba.

– Pani zarządcy? Tego Żyda?

Anna przytaknęła.

– Jest guwernantką moich dzieci.

Doliński przez chwilę się zastanawiał, a potem zapytał chropawym niskim głosem:

– W takim razie co ona tu robi?

Anna zeszywniała.

– Poprosiłam ją, żeby mi towarzyszyła.

– Naprawdę? Mam nadzieję, że nie ze strachu przede mną. Proszę, proszę. Ma waćpani trójkę dzieci i w ogóle tego po pani nie widać.

Anna starała się zapanować nad gniewem.

– Jeśli to miał być komplement, najmocniej waćpanu dziękuję.

– Może pani tak to potraktować. – Uśmiechnął się z nieszczerą troską. – Mąż przyłączył się do Dąbrowskiego, prawda?

– Tak, jest we Włoszech.

– Kto wie, jak długo go nie będzie. Mam nadzieję, że zostaniemy przyjaciółmi. Pewnego dnia może waćpani potrzebować opieki starosty.

– Nie sędzę. Mój majątek pracuje na siebie i mam bardzo lojalnych ludzi.

– Tak, tak. Na pewno, ale wszystko się zmienia: Rosjanie przekazują te tereny Prusakom.

– Jakie to ma znaczenie?

– Pod pewnymi względami wszystko zostaje po staremu, pani Aniu... czy mogę się tak do waćpani zwracać? Wciąż jestem starostą, niezależnie od tego, czy rządzą Rosjanie, czy władzę obejmą Prusacy. – Doliński wstał i odsunął krzesło.

Anna patrzyła, jak starosta przechadza się po biurze i udaje, że sprawdza poszczególne zegary.

– Rosjanie potrafią być naprawdę twardzi, zdarza się jednak, że Prusacy bywają jeszcze twardsi – powiedział z udaną obojętnością. – Pod ich panowaniem nikt nie może być

do końca spokojny o swoje bezpieczeństwo.

Długo i rozwlekłe opowiadał o najnowszych okupantach. Anna nie odrywała wzroku od biurka: w pewnym momencie usłyszała, że Doliński stanął tuż za jej plecami.

– Przetrwałem i wciąż tu jestem dzięki swojemu sprytowi, pani Aniu. Waćpani z pewnością też jest sprytna.

Obawiając się, że starosta lada chwila jej dotknie, Anna wstała i odwróciła się twarzą do niego. Był zaledwie o krok.

– Czyżby sugerował waćpan, że mogę stracić majątek?

– Ależ skąd! Uważam jedynie, iż pod nieobecność męża może waćpani czasami potrzebować pomocy starosty.

– Rozumiem. Dziękuję waćpanu. Czy to wszystko?

– Chciałem jeszcze spytać, jak miewają się pani dzieci.

– Dobrze.

– Są zdrowe? Wszystkie?

– Tak.

– To dobrze! Mam do waćpani prośbę: gdy następnym razem zaproszę panią do miasta, przyślę swój powóz. Nie będzie pani potrzebowała żadnego towarzystwa. Niech guwernantka zajmie się tym, za co jej waćpani płaci.

Anna poczuła ucisk w gardle. „Ładne zaproszenie” – pomyślała. Niestety, nic nie mogła zrobić, więc jedynie skinęła głową i wyszła.

Jan siedział w namiocie i któryś już raz czytał list od Anny, przesłany z pocztą z Mediolanu do ich obozu, który obecnie znajdował się na terenie Austrii... chociaż w przeszłości ziemie te stanowiły południową część Polski.

Ma córeczkę! Córeczka – czytając wciąż na nowo wiadomość od żony, odczuwał delikatny dreszcz. Barbara. Kiedy policzył miesiące, uświadomił sobie, że przed jego wyjazdem Anna musiała wiedzieć, że jest w ciąży. Ogarnęły go dwojakie uczucia: z jednej strony był zawiedziony, że mu o

wszystkim nie powiedziała, a z drugiej – wzruszony, że pozwoliła mu odjechać, nie wysuwając jeszcze jednego argumentu przeciw jego wyprawie. Marzył, żeby jak za dotknięciem różdżki czarodziejkiej choćby na chwilę znaleźć się w Sochaczewie.

Mimo to był szczęśliwy, że jest właśnie tutaj. Szczęśliwy i dumny. Wreszcie został ułanem! Kopia była typowo polską bronią, którą wykorzystywano od ponad dwóch wieków. Pradziadek Jana używał ponadsześciometrowej kopii, walcząc w legendarnej husarii, czyli wyposażonej w skrzydła kawalerii, która walcząc w tysiąc sześćset osiemdziesiątym trzecim roku pod Wiedniem, obroniła Europę przed groźnymi Turkami pręcymi na Zachód. Jan uznał za ironię losu fakt, że to właśnie Polska – najslabsze wówczas militarnie państwo Europy – odegrała decydującą rolę w obronie kontynentu, a teraz, po stu kilkunastu latach, została zagrabiona przez sąsiadów. Tak, to była prawdziwa ironia losu.

Z drugiej strony ułani rzeczywiście mogli przydać się Napoleonowi. Świetnie wypadali w walce z piechotą: ich kopie – chociaż nie miały już sześciu metrów – były dłuższe niż bagnety piechurów. Doskonale spisywali się również w niewielkich bitwach i drobnych potyczkach. Cieszyli się opinią niepokonanych, co dodatkowo budziło strach w szeregach wroga. Chociaż nie postępowali tak jak za czasów pradziadka Jana – nie przyczepiali do ramion ani siodeł sporych drewnianych stelaży ozdobionych orlimi piórami – czerwono-białe proporce na polskich kopiach wciąż wywoływały w szeregach wroga panikę, nierzadko tak wielką, że nieprzyjaciel dawał się rozgromić bez walki.

W namiocie pojawił się Paweł. Jan szybko wsunął list do skórzanej sakwy. Spojrzał na przyjaciela, chcąc podzielić się z nim wieścią o narodzinach córeczki, jednak zauważył, że Paweł ma dziwnie ponurą minę i sprawia wrażenie, jakby nie

mógł znaleźć słów.

– Na Boga, co się stało?

– Katastrofa, Janie. Musimy wracać!

– Do Mediolanu?

Przytaknął i opadł na swoją pryczę.

– Dlaczego?

– Kilka dni temu w Campo Formio Francja podpisała traktat z Austrią.

– Cholerni Francuzi! Tchórze i sukinsyny. Wszyscy, co do jednego! Co mówi Denisko?

– Jest zaskoczony, ale otrzymał taką informację od Dąbrowskiego. Twierdzi, że powinniśmy spokojnie wrócić i czekać na właściwy moment. Na pewno znów trafi się jakaś okazja.

– Ale, do licha, już tu jesteśmy. Dotarliśmy tak daleko! Nieco później Jan wyszedł na długi spacer, żeby w promieniach zachodzącego październikowego słońca rozładować złość. Od przyjazdu do Mediolanu wszystko wydawało się zbyt piękne, by mogło być prawdziwe. Naprawdę zbyt piękne. Owszem, nosili włoskie szlify i francuskie kokardy, ale zachowali mundury polskiej kawalerii i maszerowali w rytm pieśni napisanej przez Polaka, Józefa Wybickiego. Dostali silne, tureckie konie, a przemówili do nich zarówno generał Dąbrowski, jak i dowódca Armii Włoskiej, Napoleon Bonaparte. Jan był wzruszony, gdy odkrył znaczenie hasła wypisanego na lombardzkich szlifach: „Wolni ludzie są braćmi”. Uznał wówczas, że dobrze zrobił, opuszczając rodzinę i przyłączając się do legionu.

Jan i Paweł pod wodzą Joachima Deniski wkroczyli do niedawno przyłączonych prowincji austriackich, żeby wesprzeć ruch oporu, który chciał zrzucić jarzmo Austrii.

Stelnicki wspiął się na strome wzniesienie i spojrzał na płynący w dole Dniestr. Był bardzo blisko rodzinnego majątku

w Uściu Zielonym. Zachód słońca i wspaniały zapach skoszonych łąk przypomniawszy mu szczęśliwe dzieciństwo.

Znajdował się niedaleko domu spalonego przez Rosjan, na terenach zagrabionych przez Austrię. Poczulszy ogromne rozgoryczenie. Tylko myśl o Annie i maleńkiej córeczce sprawiła, że nie pękło mu serce. W duchu cieszył się, że nie zobaczy, co zostało z jego domu i majątku – przynajmniej nie tym razem.

Kiedyś jednak ten dzień nadejdzie. Będzie cierpliwie czekał, bo ten dzień na pewno nadejdzie.

Jakże często traktaty przestawały obowiązywać, nim wysechł na nich atrament! Jan zastanawiał się, kto negocjował układ w Campo Formio. Dyrektoriat Francji? Napoleon? Jeśli Napoleon, to traktat nie ma żadnego znaczenia. Chociaż hrabia Stelnicki od niedawna obserwował machinacje małego Korsykanina, zdążył już zauważyć, iż Bonaparte zawsze postępuje według własnej woli: nie bierze pod uwagę granic, interesów innych państw ani rozkazów Dyrektoriatu.

Jan stał na wzgórzu i wdychając zapachy jesieni, rozmyślał o rodzinnym domu, dawno zmarłych rodzicach i życiu, do którego już nigdy nie wróci.

– Napoleon to sukinsyn – mruknął.

Kiedy wrócił do obozu, było już ciemno.

Styczeń 1798

Pomimo srogiej zimy książę wraz z Zofią i swoją świtą dotarli do Petersburga już w połowie stycznia. Miasto zrobiło na hrabinie Grońskiej ogromne wrażenie.

W końcu postawiła na swoim. W październiku poprzedniego roku, kiedy Podolski wyjechał do Petersburga sam, Zofia była wściekła i długo obmyślała zemstę. Gdy po miesiącu wrócił, nie chciała się z nim widzieć ani nie odpowiadała na codzienne liściki. Potem pewnego wieczoru niby przypadkowo natknęła się na niego w teatrze. Owszem, wybaczyła mu, ale dopiero wtedy, gdy z całego serca przeprosił i zapewnił, iż następnym razem zabierze ją do Petersburga.

Następnego dnia po przyjeździe Ryszard zapytał Zofię, co najbardziej podobało jej się w Petersburgu.

– Hmm, na pewno charakterystyczna, wschodnia architektura... ale wielkim zaskoczeniem jest dla mnie fakt, że wszędzie słyszę język polski.

– Bo jest tu wielu Polaków. Przypuszczam, że musiało być ciekawie, gdy król Stanisław przyjechał z Grodna. Zjechali się wtedy wszyscy nasi rodacy z okolicy, żeby go zobaczyć.

– Król przebywa obecnie w Petersburgu? Ryszard przytaknął.

– Udostępniono mu Marmurowy Pałac.

– Jest więźniem?

– Tak, ale obchodzą się z nim po królewsku. Car Paweł osobiście go powitał w oddanej mu do dyspozycji nowej rezydencji. Sądzę, że jest traktowany jak swego rodzaju zdobycz wojenna. Aż nie mogę uwierzyć, że o tym nie wiedziałaś.

– Przecież wiesz, Ryszardzie, że nie interesuję się polityką.

– Jest jeszcze coś. Podobno Paweł uważa, że nasz były monarcha jest jego ojcem.

– Naprawdę?

Wszyscy wiedzieli, że przed wielu, wielu laty Stanisław Poniatowski miał romans z carycą Katarzyną. O tym, że owocem tego związku mógł być Paweł, nie wiedział nikt.

Spełniło się jeszcze jedno życzenie Zofii. Tego wieczoru podczas kolacji na dworze Ryszard przedstawił ją przystojnemu księciu Adamowi Czartoryskiemu, który siedział przy stole naprzeciw niej. Udawała, że pilnie słucha zawiłych rozmów na temat polityki, i uśmiechała się, ilekroć książę spojrzał w jej stronę. Nieco później, kiedy tańczyła z nim poloneza, powiedziała, jak bardzo chciałyby odzyskać rodzinny majątek.

– I uważa waćpani, że jestem blisko cara i mógłbym mu przedłożyć pani prośbę?

– Tak.

– Może to prawda, ale nigdy nie dopuszczę, by przyjaźń między mną a Pawłem zamieniła się w układ: hojny władca – wdzięczny poddany.

Taniec dobiegał końca.

– Nie rozumiem.

– Dawni królowie byli znani z tego, że obdarowywali swoich poddanych. Nie uważam się za przeciętnego poddanego. Czy zechce waćpani ponownie ze mną zatańczyć?

Zofia ciężko myślała, starając się nie pomylić skomplikowanych kroków niemieckiego kotyliona. Jak przekonać księcia? Nie mogła zacząć z nim flirtować, mając na karku Ryszarda, poza tym czuła, że Czartoryski jest na to za mądry. Taniec dobiegł końca, a jej nie udało się niczego wymyślić.

Jednak książę zaproponował rozwiązanie. Odpowiedział,

by spotkała się z polskim królem.

– Ze Stanisławem?

– Tak. Zna go waćpani?

Wzruszyła ramionami.

– Nie bardzo – skłamała.

– Proszę zwrócić się do niego. Co prawda jest rosyjskim więźniem, ale car bardzo go ceni.

– To jest jakieś rozwiązanie.

– Dla waćpani najlepsze, chyba że uda się pani bezpośrednio na dwór austriacki, co z całego serca odradzam. Tak się składa, że za dwa tygodnie będę jadł z królem kolację. Może uda mi się zdobyć zaproszenie dla waćpani i Ryszarda.

Książę Czartoryski ujął Zofię pod brodę i uniósł jej twarz. Uśmiechał się.

– Nie chciałbym całkowicie cię zawieść, Zofio.

Książę Adam Czartoryski dotrzymał obietnicy.

Zofia była zaskoczona luksusem, jaki otaczał króla Stanisława i jego świtę w Marmurowym Pałacu. Przyjechali tu z Grodna trzynastoma powozami. Poniatowski miał przy sobie członków rodziny, między innymi dwóch synów, Michała i Stanisława Grabowskich, których urodziła mu mężatka Elżbieta Grabowska. Ona sama również mieszkała w pobliżu. Do osobistej służby zaliczał się także lekarz i Paolo Tremo, sławny szef kuchni króla.

– Czy mnie wzrok nie myli?! – zawołał król Stanisław, idąc w jej stronę. – Zofia Grońska. Tak się cieszę, że cię widzę!

Zofia kątem oka dostrzegła zaskoczoną minę Ryszarda. Książę Podolski skłonił się, ona dygnęła.

– Wasza Królewska Mość – powiedziała.

– Wstań. Niech ci się przyjrzę, słodka Afrodyto. Jesteś piękna, jak zawsze. Widzę, że pod pruskimi rządami rozkwitłaś jak kwiat w szklarni! Czy towarzyszący ci książę to

twój obecny ukochany? Nie wyszłaś za mąż?

– Nie, Panie. Pod tym względem jesteśmy do siebie podobni.

– Ach, widzę, że nie straciłaś poczucia humoru. Książę, radzę uważać na tę lisicę.

Nie spodziewała się takiego powitania. Kiedy zerknęła na Ryszarda, dostrzegła jego wymuszony uśmiech.

– Jak się miewa twoja kuzynka, Anna Berezowska? Co za piękność... a do tego patriotka *par excellence*!

– Wyszła za mąż.

– To dobrze! Pewnie uważasz, że i tobie powinienem nadać tytuł księżnej.

Zofia tylko wzruszyła ramionami, bo zabrakło jej słów.

– Może naprawdę powinienem. – Roześmiał się wesoło i błysnął szarymi oczkami. – Być może do tego czasu też znalazłabyś męża.

Na ustach Zofii pojawił się blady uśmiech.

– Chodź, dziecinko, przejdźmy się. Opowiesz mi o wszystkim, co wydarzyło się od czasu, kiedy po raz ostatni cię widziałem.

Król wziął Zofię pod ramię i ruszył z nią w stronę sali, w której wystawiono jego kolekcję dzieł sztuki. Młoda kobieta spojrzała bezradnie na skonsternowanego Ryszarda. Z całą pewnością przypominał sobie teraz popołudnie w Nieborowie i uwagi hrabiny Driedruskiej na temat Zofii i króla.

Kolacja była wytworna. Wśród dygnitarzy siedzących przy stole z Zofią i Ryszardem byli: markiz de Riviere, angielski ambasador lord Whitworth i portrecistka Elizabeth-Louise VigeeLebrun. Tuż po wystawnym posiłku hrabina Grońska poprosiła króla o prywatną rozmowę.

Stanisław Poniatowski wprowadził ją do biblioteki, w której znajdowały się książki przywiezione z ojczyzny. Zofia nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Oto miała przed

sobą monarchę, którego zmuszono do abdykacji, a jednocześnie pozwolono mu na zabranie symboli jego ojczyzny do stolicy innego kraju. Z drugiej strony król pozostawał więźniem, chociaż mieszkał we wspaniałym pałacu. Jakie to dziwne!

– Niestety, przyszłam z prośbą – zaczęła.

– Z prośbą? Do mnie? Och, moja droga, jestem królem bez królestwa.

– Ale najwyraźniej mile tutaj widzianym.

– To tylko pozory! Niemniej jeśli będę mógł coś dla ciebie zrobić, na pewno spróbuję.

– Dziękuję, Panie. Chodzi o mój majątek pod Haliczem.

– Pod Haliczem?

– Tak, Panie, od stuleci należał do naszej rodziny. W pobliżu jest również majątek męża Anny, Uście Zielone.

– Szczęściarza, który ożenił się z moją małą księżniczką o zielonych oczach!

Zofia poczuła ukłucie zazdrości.

– Wasza Królewska Mość ma dobrą pamięć.

– Czasami zbyt dobrą. – Król urwał i wbił wzrok w jakiś martwy punkt. – Bardzo chciałbym pomóc tobie i twojej kuzynce, Zofio. Naprawdę.

– Myślałam, że mógłbyś, Panie, szepnąć coś na austriackim dworze.

– Na austriackim dworze?! Och, droga Zofio! Czy wiesz, co w tej chwili się dzieje? Właśnie konfiskowane są moje dobra. Prusacy zaczęli się domagać, żebym im sprzedał swój pałac – łącznie z parkiem – w Ujazdowie. Kiedy odrzuciłem ich żądania, oświadczyli, że dobra te nabyłem, będąc królem, dlatego teraz należą do państwa pruskiego. – Kiedy urwał, drżały mu ręce. – Z drugiej strony trudno powiedzieć, jak długo będę tu mile widziany. Sama myśl o tym, że nie mogę udać się tam, gdzie chcę, że jestem całkowicie zależny od

cara... – Obniżył głos do szeptu. – Cara, który codziennie jest inny.

Zofia nie wiedziała, co powiedzieć.

– Władcy nie powinni być biedni, Zofio, to samo dotyczy tak pięknych istot jak ty. – Ujął jej rękę. Widział, że ją zawiódł. – Mimo wszystko mam jeszcze trochę pieniędzy, a być może jeden czy dwa małe majątki nie będą zbytnio interesować Austriaków. Zobaczą, co uda mi się zdziałać. – Król wstał. – Spróbuję. Zatańczysz ze mną?

Król zatańczył z nią, potem z kilkoma innymi paniami, kończąc na madame Vigee-Lebrun. Znacznie później, kiedy orkiestra skończyła grać, Zofia usiadła z Ryszardem i innymi gośćmi. Cieszyła się, że istnieje jakiś promyk nadziei na odzyskanie utraconych majątków. Jednocześnie serdecznie współczuła królowi. Po raz kolejny przyrzekła sobie, że dołoży wszelkich starań, by na stare lata nie cierpieć ani z powodu braku środków, ani wpływów.

Król Stanisław pożegnał się z zebranymi. Jak wyjaśnił, męczyła go podagra, prosił jednak, żeby nie opuszczali przyjęcia.

– To coś więcej niż podagra – zawyrokowała madame Vigee-Lebrun cicho, gdy gospodarz znalazł się poza zasięgiem głosu.

– O czym pani mówi, madame? – spytał lord Whitworth.

– Przez całe życie malowałam twarze, milordzie – odparła. – Portretowałam ludzi żyjących, ale zdarzało mi się również uwieczniać oblicza zmarłych. – Kiwnięciem głowy wskazała monarchę, który uprzejmie zegnał się z pozostałymi gośćmi. – Stanisław bardziej pasuje do tej drugiej grupy.

– Ależ skąd! – zaprotestował markiz de Riviere.

– Czyżby był chory? – spytał Ryszard. Madame Vigee-Lebrun przytaknęła.

– Twarz króla przypomina maskę pośmiertną.

– Psiakrew! – mruknęła Zofia.

W grupce zapanowała nerwowa atmosfera, rozmowa się nie kleiła, toteż wkrótce wszyscy opuścili Marmurowy Pałac.

Zofia niewiele mówiła podczas powrotu do apartamentu, który udostępniła Ryszardowi rodzina Czartoryskich. Obawiała się przepowiedni madame Vigee-Lebrun.

Następnego dnia przed południem rozeszła się wieść, że król miał atak. Carscy lekarze robili, co mogli, aplikowali monarsze różne mikstury i puszczali mu krew. Po południu udzielono królowi ostatniego namaszczenia. Car Paweł nie odstępował od łóżka chorego. Przez cały dzień i noc Poniatowski kurczowo trzymał się życia. Niektórzy mówili później, że walczył o nie z większą determinacją niż o Polskę. Niestety, z takim samym efektem.

Król Stanisław Poniatowski zmarł nazajutrz wczesnym rankiem. Jego śmierć – która była zaskoczeniem dla wszystkich oprócz Elizabeth-Louise Vigee-Lebrun – wzbudziła pewne podejrzenia, dlatego zarządzono autopsję. Po jakimś czasie lekarze wydali orzeczenie, że król zmarł w wyniku udaru, jednak Zofia była przekonana, iż zabiła go przeprowadzka i utrata własności w Polsce.

Tak oto pomimo wyjazdu do Petersburga Zofii nie udało się odzyskać ani swojego majątku, ani posiadłości Jana.

Marzec 1798

W czasie gdy Emma zajmowała się Michałem i Tadeuszem, Anna siedziała w salonie i karmiąc Basię, czytała w „Monitorze” dokładny opis śmierci i pogrzebu króla Stanisława. Monarcha zmarł dwunastego lutego.

Zabalsamowane zwłoki ubrano w mundur polskiej kawalerii i wystawiono na widok publiczny – najpierw w Marmurowym Pałacu, a potem – dwudziestego drugiego

lutego – w wielkiej, ogólnie dostępnej sali, której dekorację stanowił czarny jedwab, biała krepa, tron i polski biały orzeł. Podczas uroczystej ceremonii car Paweł i dwaj książęta nałożyli na głowę zmarłego koronę. Przez cztery dni obok katafalku przewinęły się tłumy żałobników. Dwudziestego szóstego lutego z wielką pompą i pod nadzorem cara ciało króla Stanisława umieszczono w trumnie. Nadal tłumnie przychodzili zarówno Polacy, jak i Rosjanie. Piątego marca do kościoła Świętej Katarzyny wyruszyła procesja, na czele której szedł car i – zgodnie z polską tradycją jechał rycerz symbolizujący zmarłego. Po długiej i uroczystej mszy żałobnej, która odbyła się ósmego marca, ciało monarchy zostało złożone w krypcie kościoła.

Anna odmówiła modlitwę za pokój duszy zmarłego, a także o to, by jego ciało mogło kiedyś wrócić do ojczyzny. Gdybyż Katarzyna za życia darzyła króla Stanisława takim szacunkiem, jakim cieszył się po śmierci!

Podobnie jak wiele innych osób zastanawiała się, czy Stanisław Poniatowski naprawdę był ojcem cara.

Nagle usłyszała, że pod dom zajechał powóz i zatrzymał się przy tylnym wejściu. Wstała, włożyła dziecko do kołyski i zapięła suknię. Czowała przyspieszone bicie serca. Po chwili z głębi domu wyłonił się Jacob.

– Pani hrabino, starosta przysłał po panią karete. Spodziewała się pani tego?

– Nie, Jacobie – odparła Anna.

– Może pani zabrać ze sobą Emmę. Kasia zaopiekuje się dziećmi.

– Nie, Jacobie, pojedę sama. Tylko muszę się przebrać. Powiedz woźnicy, że zaraz przyjdę.

Hrabia Doliński czekał na Annę na progu gabinetu.

– Witam waćpanią. Mam nadzieję, że droga nie była zbyt błotnista.

Anna kiwnęła głową.

– Nie narzekam na podróż.

– Proszę wejść. Mam nowy zegar; zechce go pani obejrzeć?

Przytaknęła i podeszła do kominka. Honorowe miejsce na gzymsie zajmował najnowszy nabytek starosty wykonany z ciemnego drewna, mosiądzu i szkła. Pod białym cyferblatem z czarnymi rzymskimi cyframi znajdowały się małe drzwiczki, jedno po prawej, drugie po lewej stronie.

– Angielski – wyjaśnił starosta.

Przesunął wskazówkę minutową o pół godziny do przodu, na trzecią. Odezwały się hałaśliwe, niezbyt melodyjne dzwonki i pojawiła się figurka biegnącego wieśniaka z otwartymi ustami i przerażeniem widocznym na twarzy. Kiedy zacinający się mechanizm przesunął rzeźbę nieco dalej, pojawiła się postać wieśniaczki z zagniewaną twarzą i chochlą w uniesionej ręce. Para przesunęła się przed cyferblatem i ukryła za mechanizmem, po czym jeszcze dwukrotnie powtórzyła swój taniec. Doliński ze śmiechem odwrócił się do Anny.

– Czyż to nie cudowne? Cofnął małą wskazówkę zegara.

– Rzeczywiście – przyznała. – Byłoby jeszcze lepiej, gdyby zdołała go dogonić.

– Cha, cha! Widzę, że jest waćpani dziś skora do żartów. Kiedy Anna nie odpowiedziała, wskazał jej krzesło, po czym bacznie na nią popatrzył.

– Pięknie waćpani dzisiaj wygląda, powiedziałbym, że jest pani równie piękna jak dowcipna. Uśmiech dodaje pani niezwykłego uroku.

– Nie mam powodu, by się uśmiechać.

– No tak, mąż daleko, a wokół coraz więcej wdów. Kto mógłby waćpanią za to winić? Jestem jednak pewien, że hrabia Stelnicki bezpiecznie wróci do domu.

– Też tak uważam.

– Oczywiście, jak każda żona nie traci pani nadziei. Do powrotu męża zawsze może waćpani liczyć na mnie.

Anna przyglądała mu się w milczeniu. Widziała na jego twarzy pożądanie i coraz bardziej się bała. Starosta najwyraźniej czytał w jej myślach.

– Nie musi się mnie pani bać, pani Aniu.

– Czego waćpan sobie życzy?

– Otrzymałem polecenie, żeby się waćpanią opiekować... waćpanią i Tadziem.

– Co takiego? Od kogo otrzymał pan takie polecenie?

– Niestety, to tajemnica. Powiem tylko, że istnieje... pewna grupa ludzi, którzy nie chcą, by spotkało waćpanią coś złego.

– A co to ma wspólnego z Tadziem?

– Dojdę do tego. Proszę się przez chwilę zastanowić, pani Aniu. Za pośrednictwem naszego króla otrzymała waćpani od Katarzyny tytuł księżnej.

– Skąd waćpan o tym wie?

– Kiedy spotkaliśmy się w dziewięćdziesiątym czwartym roku, dokładnie w tym samym gabinecie przeglądałem pani dokumenty.

– W tamtych papierach nie było wzmianki o moim tytule.

– Naprawdę? W takim razie musiałem się dowiedzieć z innego źródła. To nie była tajemnica państwowa, prawda?

– Niebyła.

– W takim razie wróć do wyjaśnień, dlaczego tak się waćpanią interesuję. Ponieważ jest pani księżną, pani syn może być kandydatem do polskiego tronu.

– O czym waćpan mówi? Nie ma polskiego tronu. Ostatni król Polski właśnie zmarł, jeśli nie zna pan najnowszych wieści.

Doliński uśmiechnął się promiennie.

– Pewna grupa ludzi pracuje nad restytucją monarchii.

– I ma jakieś plany wobec Tadeusza? – Anna doszła do

wniosku, że Doliński zwariował. – Mojego Tadzia?

– Owszem.

– Przecież to dziecko!

– I o to chodzi, bo dzięki temu łatwiej będzie go odpowiednio ukształtować.

– Przecież król ma synów.

– To bękarty.

– Nie brakuje rodów magnackich, które chętnie skorzystałyby z takiej możliwości: Poniatowscy, Czartoryscy, Potoccy!

– Niestety, każda z tych rodzin ma swoje plany, jest chciwa i skłonna do nadużyć.

– A moja rodzina?

– I waćpani, i hrabia Stelnicki – tak jak ja – należycie do szlachty. Macie mniej wygórowane ambicje.

– Czyli łatwiej nami manipulować. Wzruszył ramionami.

– Jeśli chce pani tak to określić. – Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. – Będę musiał ich ostrzec, że waćpani jest odważną istotą.

– Masoneria! Czy o nich waćpan mówi? To oni, prawda? Doliński zacisnął usta, udając uśmiech.

– Dlaczego ich wybór padł na mojego młodszego syna? – naciskała Anna. – Na litość boską, Tadzio nie ma jeszcze trzech lat.

– Czemu nie zdecydowali się na Jana Michała? Chyba niepotrzebnie pani pyta, pani Aniu. – Mężczyzna teatralnie odchrząknął. – Jan Michał jest synem pani kuzyna, Waltera, czyż nie? Owocem gwałtu, jak waćpani twierdzi. Zresztą, za to właśnie go pani zabiła. Jak więc sama waćpani widzi, Jan Michał nie byłby dobrym kandydatem.

Anna miała wrażenie, że spada w przepaść. Skąd Doliński miał takie informacje? Wychyliła się do przodu.

– A co będzie, jeśli Jan i ja odmówimy?

– To byłoby głupie posunięcie. Poza tym absolutnie nie może waćpani powiadamiać męża, że moja grupa interesuje się waszym synem. Ani pisemnie, ani ustnie, jeśli wróci.

– To oburzające! Dlaczego?

– Ze względów bezpieczeństwa. Jeśli nie swojego, to męża i syna. Pani gadanina mogłaby im bardzo zaszkodzić.

Anna zamilkła, słysząc wyraźną groźbę.

– Jeśli tak, to co dalej?

– Na razie nic. Mniej więcej za rok otrzymacie instrukcje dotyczące jego edukacji. W którymś momencie będziecie musieli oddać go do odpowiedniej szkoły.

Anna wstała.

– Nie! Nigdy na to nie pozwolę!

– Będzie waćpani musiała. – Starosta powoli podniósł się z krzesła i obszedł biurko. – Musi się waćpani z tym pogodzić. Zresztą, czy tak źle by było, gdyby została pani matką króla?

– To wszystko na dziś? – Raczej tak.

Stanął bardzo blisko niej. Anna ani drgnęła, chociaż czuła, że krew odpływa jej z twarzy.

– Podoba mi się twój wewnętrzny ogień, Anno – powiedział, unosząc zaciśniętą dłoń i delikatnie muskając kostkami palców jej policzek.

Anna cofnęła się.

– Proszę się nie obawiać, mam za zadanie panią chronić, pani Aniu.

Anna poczuła, że delikatnie drgnęła jej górna warga. On również to zauważył.

– Proszę, proszę, pod przykrywką wewnętrznego ognia kryje się strach, czyż nie tak? Idę o zakład, że gdy moja karetka podjechała pod pani dom, pobiegła waćpani po różaniec.

– Wcale nie!

Anna bez słowa ruszyła do wyjścia. Kiedy powóz minął rynek, wsunęła dłoń w fałdy sukni. Kilka godzin temu wcale

nie pobiegła po różaniec. Owszem, poszła na piętro, ale po to, by zabrać z zamkniętej szafy pistolet – broń, z której zabiła Waltera. Miała go teraz w ręce, po raz pierwszy od tamtego dnia modląc się o to, by – Boże, wybacz! – znów mogła kogoś zabić.

Czerwiec 1799

W świetle obozowego ogniska Jan oczyszczał i nacierał maścią ranę na ramieniu Pawła. Na lombardzkim niebie nie było księżycy, tylko garstka bladych gwiazd rozświetlała spokojną noc.

– Czy rana jest głęboka? – spytał Paweł.

– Nie, dożyjesz jutra. Paweł skrzywił się z bólu.

– Miałeś rację, Janie.

– W jakiej sprawie?

– Układu pokojowego z Campo Formio. Nie przetrwał długo.

– Dłużej kwitną tulipany Anny w Sochaczewie.

Paweł wybuchnął śmiechem, po czym zamilkł i zamknął oczy.

Jan uświadomił sobie, że chociaż obaj brali udział w walkach – i to poważnych – nie wrócili na dawne tereny Polski. Obecnie pilnowali w Lombardii francuskich interesów. Było to trudne zadanie, bo przeciwko nim sprzymierzyły się Anglia, Austria, Rosja, Turcja i Neapol.

Tego ranka, siedemnastego lipca, polski legion generała Dąbrowskiego, jako jedna z siedmiu dywizji dowodzonych przez generała Macdonalda, ruszył z Apeninów na lombardzkie równiny, by powstrzymać siły rosyjsko-austriackie. Po stronie polsko-francuskiej walczyło trzydzieści dziewięć tysięcy żołnierzy, wojska wroga podzielone na dwie grupy liczyły mniej więcej dwadzieścia pięć tysięcy Austriaków i trzydzieści pięć tysięcy Rosjan. Bitwa z Austriakami rozegrała się na zachodnim brzegu Tidone.

Siły francuskie zaatakowały Austriaków. Po pewnym czasie dwie francuskie dywizje niemal całkowicie wyczerpały

zapasy amunicji i groziło im, że zostaną otoczone. Wtedy trzecia dywizja – pod wodzą Dąbrowskiego – włączyła się do walki, wydłużyła flankę i rozgromiła Austriaków. Dąbrowski skierował kawalerię i ułanów – wśród których ramię w ramię walczyli Jan i Paweł – w kierunku Castel San Giovanni. Zdawało się, że zwycięstwo jest w zasięgu ręki, kiedy natarły niezwykle liczne regimenty rosyjskiej kawalerii. Zaczęły wycinać w pień ogarniętych paniką francuskich dragonów, tymczasem polscy szaserzy ustawieni w kwadrat przegrywali z kozackimi lancami dłuższymi od bagnatów.

Dąbrowski nie był w stanie przyjść im z pomocą, bo austriacki regiment odciął jego batalion od reszty dywizji. Generał zarządził odwrót w stronę gór. Jan i Paweł, *chefs d'escadrons*, niechętnie przekazali ten rozkaz żołnierzom swojego szwadronu. Reszta sił francuskich została zepchnięta za rzekę Tidone, ale nieprzyjaciel z powodu ciemności nie zdecydował się na pościg. Macdonald zebrał swoje siły, wycofał się jeszcze dalej i założył obozowisko na wschodnim brzegu płytkiej Trebbii, pozostawiając przestrzeń między dwiema rzekami jako ziemię niczyją. Śmierć poniosło przynajmniej sześciuset żołnierzy; liczba rannych lub wziętych do niewoli była jeszcze większa.

Jan przewidywał, że poranek przyniesie dalszy rozlew krwi.

– Gdzie się podziewa Napoleon? – spytał Jan, nie zdając sobie sprawy, że wypowiada te słowa na głos.

– Prowadzi kampanię w Egipcie. Wiesz o tym równie dobrze jak ja.

– Chciałeś powiedzieć, że bawi się w Cezara. Już kończę cię bandażować i będziesz mógł się przespać.

Paweł się skrzywił.

– Kiedy dowie się o ostatnich wydarzeniach, na pewno wróci.

– Może tak – zauważył Jan ze śmiechem. – A może nie,

jeśli znalazł swoją Kleopatę.

– Opowiadasz takie herezje, że powinieneś dostać kulkę w łeb... tymczasem nawet cię nie drasnęli! Au!

– Przepraszam. Czasem się zastanawiam, co my tu robimy, Pawle.

– Tęsknisz za Anią.

– Proszę. Napij się koniaku. Szybciej zaśniesz.

Jan zgasił latarkę i położył się na macie. Próbował policzyć, ile lat ma Basia. Córeczka, której jeszcze nie widział. Jesienią skończy dwa latka.

Wkrótce Paweł zaczął spokojniej oddychać; najwyraźniej zasnął. Jan nie mógł uporządkować myśli, które kłębiły mu się w głowie. W obozie krążyła pogłoska, że dowódcą sił rosyjskich, które stoją po drugiej stronie rzeki, jest generał Aleksander Suworow, stary żołnierz carycy Katarzyny. Ta myśl bolała bardziej niż jakakolwiek rana. Aleksander Suworow, czerwony diabeł, który w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku spadł jak sęp na Pragę i wymordował dwanaście tysięcy Polaków, głównie ludności cywilnej. Zadał śmiertelny cios narodowi polskiemu. Jan dałby wszystko, by spotkać się z nim na polu bitwy... i zadać mu śmiertelny cios.

Bardzo, bardzo długo nie mógł zasnąć.

Wbrew radom Jana następnego ranka Paweł wskoczył na konia i ruszył do walki.

O dziewiątej żołnierze Suworowa ustawili się w szyku po drugiej stronie Trebbii. Bitwa trwała trzy dni. W pewnym momencie siły Dąbrowskiego zostały zaatakowane z trzech stron. Po bohaterskiej walce generał zarządził odwrót, w trakcie którego jego żołnierze starli się z austriacko-rosyjską kawalerią. Trzeci batalion został wycięty niemal w pień, nieprzyjaciół przejął sztandar i wziął do niewoli piętnastu oficerów. Chociaż Jan i Paweł przez cały czas trzymali się

blisko generała, nie zdołali uchronić go przed zranieniem w udo. Nie zwracając uwagi na upływ krwi i ból, generał pozostał w siodle i wraz z oficerami, ułanami oraz resztkami piechoty natarł na nieprzyjaciela, robiąc wyłom w liniach wroga. W ostatecznym rozrachunku siły Francji zostały pokonane, a Dąbrowski wycofał swoich żołnierzy i dokonał przegrupowania.

Dwudziestego czerwca po długiej bitwie dywizja Dąbrowskiego została mianowana tylną strażą całej armii, która ruszyła w stronę Castel PARquato. W trakcie przeprawy doszło do kilku potyczek, a Dąbrowski dostałby się do niewoli, gdyby nie ogromna waleczność szwadronu ułanów Jana i Pawła. Obszarpana polska kompania wkroczyła do Castel PARquato pod powiewającymi sztandarami, śpiewając pieśń Józefa Wybickiego:

Jeszcze Polska nie umarła,
Kiedy my żyjemy.
Co nam obca moc wydarła,
Szablą odbijemy.
Marsz, marsz, Dąbrowski,
Do Polski z ziemi włoski,
Za Twoim przewodem,
Złączem się z narodem.

Następne miesiące pełne były drobnych potyczek. Legion stacjonował w Castel PARquato.

Pewnego pochmurnego popołudnia Paweł wbiegł do niewielkiego budynku gospodarczego, który dzielili z Janem. Była tam tylko jedna izba, w której znajdował się mały piecyk, dwie prycze, dwa krzesła i mały stolik. Przez otwarte drzwi wpadł do środka silny podmuch listopadowego powietrza, unosząc i rozrzucając po podłodze kartki porwane ze stołu, przy którym Jan właśnie coś pisał. Niewielki ogień w

piecyku buchnął jaśniejszym płomieniem.

– Przepraszam! – powiedział Paweł. – Przyszła poczta? Dostałeś od Anny list, na który tak bardzo czekasz?

– Nie, ale otrzymałem epistołę od Kościuszki. To prawdziwa rozprawa. Jest obecnie w Paryżu.

Paweł opadł na krzesło naprzeciw Jana.

– Naprawdę? Nie trzymaj mnie w niepewności! Co pisze?

– Nie jestem pewien, czy będziesz chciał tego słuchać. Jego słowa mogą zrzucić Napoleona z piedestału, na którym go stawiasz. Wygląda na to, że Bonaparte złożył mu niezapowiedzianą wizytę.

– Mały generał spotkał się z małym kapralem! – zawołał Paweł.

– Twój mały kapral robił dosłownie wszystko, by zyskać wsparcie małego generała.

– I co?

– Kościuszko odmówił.

– Prawdopodobnie można to jakoś wytłumaczyć – Paweł bronił swojego bohatera. – Przypuszczalnie wokół niego kręci się mnóstwo rosyjskich, austriackich i pruskich szpiegów. Musi się bardzo pilnować.

– Z pewnością, ale powód jest inny. Kościuszko uznał Napoleona za aroganta i oportunistę.

Paweł wzruszył ramionami.

– Dzięki temu tak daleko zaszedł. Może tak właśnie trzeba postępować.

– Przyjrzyj się Kościuszce, Pawle. Czy kiedykolwiek spotkałeś kogoś uczciwszego, bardziej zainteresowanego losem prostych ludzi?

– Masz rację, Janie, ale zauważ, w jakiej znalazł się sytuacji... nie do pozazdroszczenia. Nic nie może zrobić. Nie może wrócić do ojczyzny.

– *Touché*. Jednak nie przekazałem ci jeszcze najświeższej

wiadomości dotyczącej Napoleona. Przywódca, który zapowiedział nowy egalitarny porządek, obejmujący wszystkich ludzi w Europie. Przewiduję, że dzisiaj w całym obozie będzie o tym głośno.

– O czym ty mówisz?

– Tydzień po wizycie u Kościuszki mały Korsykanin dokonał w Paryżu zamachu stanu. Zmusił Dyrektoriat do dymisji i stworzył sympatyczny triumwirat, a sam został pierwszym konsulem Francji.

Paweł potrzebował kilku chwil, by zrozumieć słowa Jana. W końcu westchnął.

– Napoleon to ambitny człowiek.

– „Ambicjo, na imię ci Cezar!”. Czy nie tak to brzmi?

– Mniej więcej. Pozostaje jednak faktem, że pozbawiono nas ojczyzny, Janie, więc jeśli ktoś przychodzi i mówi, że może nam ją zwrócić, czy mamy wybór?

– Rzeczywiście nie mamy wyboru, przyjacielu, ale nigdzie nie jest powiedziane, że taka sytuacja musi mi się podobać.

– Tylko zaczekaj, a sam się przekonasz. Ambitny mały kapral pomoże nam odzyskać Polskę. Nie było dla mnie żadnego listu?

– Nie.

Paweł wstał i podszedł do swojej pryczy.

– Pora na drzemkę – powiedział, kładąc się. Zamknął oczy, ale wyczuł, że Jan mu się przygląda.

– Nie lubisz, Janie... Zofii?

– Nie.

– Tak, to wszystko wyjaśnia. Dlatego nigdy o niej nie mówisz, nigdy o nią nie pytasz.

– Kiedyś, nim ją poznałeś, ogromnie utrudniała życie Ani i mnie.

– W jaki sposób? – Paweł otworzył oczy i usiadł na skraju pryczy. – Bardzo chciałbym wiedzieć.

Jan spojrział na przyjaciela i zrobił ponurą minę. Paweł z kamienną twarzą czekał na odpowiedź.

– Nim Anna zamieszkała u swojej ciotki i wuja pod Haliczem – rozpoczął Jan – Zofia wbiła sobie do głowy, że wychodząc za mnie za mąż, uniknie ślubu z mężczyzną, którego wybrali dla niej rodzice. Kiedy Anna pojawiła się na scenie, a Zofia zauważyła, że wpadliśmy sobie w oko, zaczęła robić dziwne rzeczy.

– To znaczy?

– Starła się nas rozdzielić, Pawle. To przez jej intrygi Anna została zgwałcona... a potem zmuszona do wyjścia za mąż za Grawlińskiego. Dobrze wiesz, jak to się skończyło.

Paweł długo się zastanawiał.

– Ale na Pradze uratowała Ani życie.

– Zgadza się. Minęło kilka minut.

– Uważasz mnie za głupca, Janie?

– Nie, Pawle. Moi przyjaciele nie są głupcami. Paweł westchnął.

– Cóż, zdaję sobie sprawę, że Zofia nie spędza wieczorów w domu, opiekując się Izią, ale sam dobrze wiesz, że latająca ryba nie jest w stanie bez przerwy utrzymać się w powietrzu. – Paweł wyprostował plecy. – Znam ją lepiej, niż przypuszczasz. Wiesz, że ona rzeźbi?

– Rzeźbi? Co?

– Postacie, małe figurki z drewna lipowego.

– Chyba masz gorączkę! Bredzisz.

– Nie, mówię prawdę! Pewnego razu wróciłem do domu z... nie pamiętam skąd, ale na pewno bardzo późno. Zofii nie było w domu. Zajrzałem do jej sypialni i zobaczyłem otwarty kufer obok toaletki. W środku znajdowały się narzędzia i małe figurki. Większość ich niezbyt udana, ale kilka nawet mi się podobało.

– Nigdy bym nie przypuszczał! Paweł zachichotał.

– Ja też.

– Co powiedziała?

– Nie przyznałem się, że je widziałem. Zamknąłem kufer – właściwie była to jej skrzynia na wyprawę – więc się nie zorientowała. Sądzę, że nauczył ją tego jeden z wieśniaków, u których wracała do zdrowia.

Jan uśmiechnął się do przyjaciela.

– Czy wyrzeźbiła twoją podobiznę? Paweł potrząsnął głową.

– Twojej również nie, chyba że był to brzydki chudzielec z haczykowatym nosem.

Jan również wybuchnął śmiechem i rzucił w Pawła rogatywką.

Późną nocą Paweł uświadomił sobie, że niewiele brakowało, a zdradziłby, iż należy do masonerii. Rzeźby Zosi odkrył po powrocie ze spotkania. Gdyby się wygadał, Jan zarzuciłby go pytaniami. O mały włos doszłoby do nieszczęścia. Paweł pod groźbą śmierci zobowiązał się do zachowania tajemnicy, ale nawet gdyby wolnomularze byli w stanie eliminować wszelkich zdrajców, to nie strach powstrzymał go przed rozmową z przyjacielem. Powodem były plany – ewentualne plany, jak mówili – które masoni mieli wobec syna Jana, Tadeusza. Paweł nie wiedział, jak Jan zareagowałby na taką nowinę, jednak instynktownie wyczuwał, że ujawnienie tej informacji mogłoby być niebezpieczne dla wszystkich zainteresowanych.

Styczeń 1800

Zofia schodziła na dół, gdy na progu pojawiła się księżna Sic.

– Tak się cieszę, Charlotte, że chociaż raz jesteś punktualnie. Mój Boże, ubrałaś się w srebrno-niebieską suknię. Nie było takiej potrzeby: dzisiejszy wieczór spędzimy u mnie.

– Twój liścik był wyjątkowo enigmatyczny. Gdzie twoja niespodzianka?

Zofia pocałowała Charlotte w oba policzki.

– Chciałam ciekawie i zabawnie rozpocząć nowy rok.

– Mówią, że to początek wspaniałego stulecia. Zakładam, że książę jest w Petersburgu.

– Tak, ale tym razem nie chciał mnie zabrać.

– A co... nie wiem, czy mogę spytać... z Pawłem?

– Ach, ten Paweł! – Zofia odebrała od Charlotte opończę i podała ją służącemu. – Nie wiem, jakim cudem, będąc na wojnie, ma jeszcze czas, żeby pisywać tyle listów.

– Książę nie wspominał nic o małżeństwie?

– Ryszard unika tego tematu, ale może dziś wieczorem czegoś się dowiem. Zapraszam do jadalni.

– Wspaniale! Umieram z głodu.

– Jeśli będziesz chciała, zjesz później, natomiast w jadalni czeka cię niespodzianka. I moja przyjaciółka, Anusia Tyszkiewicz.

– O rany, siostrzenica króla! Widzę, że obecnie obracasz się w *haute monde*.

– Przynajmniej tyle pożytku przyniósł mój związek z Ryszardem. Ci, którzy znali mnie przed pogromem Pragi, starają się zapomnieć o mojej barwnej przeszłości i ciepłej

mnie traktują.

Stół przesunięto w róg pomieszczenia: hrabina Tyszkiewicz siedziała przy małym stoliku do kart. Wstała, by przywitać się z Charlotte.

Zofia przedstawiła sobie panie, po czym usiadły i prowadziły bląhą rozmowę, póki Anusia Tyszkiewicz nie wspomniała o Napoleonie.

– Właśnie zdradziłam Zofii, madame Sic, że jestem zachwycona pani rodakiem.

– Też mi rodak! – prychnęła Charlotte. – Przecież to Korsykanin... na dodatek karzeł.

– Co wcale nie umniejsza mojego podziwu – oświadczyła hrabina Tyszkiewicz. – Odniósł tyle zwycięstw! Można go uznać za następcę Cezara lub Aleksandra.

Charlotte wzruszyła ramionami.

– Nie interesuję się takimi sprawami.

– Ani ja – przyznała Zofia. – Niemniej chciałabym go spotkać i wyrobić sobie własną opinię na jego temat.

Słyszając te słowa, Charlotte zachichotała, a na twarzy hrabiny Tyszkiewicz pojawiło się zakłopotanie.

– Gdzie twoja niespodzianka, Zofio? – spytała Charlotte.

– No właśnie, powiedz, o co chodzi – ponaglała hrabina Tyszkiewicz.

Zofia parsknęła śmiechem.

– Prawdę mówiąc, Anusiu, to ty podsunęłaś mi ten pomysł.

– Ja?

– Tak, opowiadając o astrologu, który odwiedził rodzinę Poniatowskich w dniu, w którym urodził się Stanisław.

– Tak, to stara historia, ale moja ciocia po prostu dobrze знаła tego pana.

– Nie słyzałam o niej, proszę opowiedzieć – zachęcała Charlotte.

Anusia nie dała się długo prosić.

– Wiele lat temu Poniatowscy zaprosili astrologa, który miał zabawiać gości. Tego wieczoru księżna Poniatowska zaczęła rodzić, a w tym czasie on stawiał horoskopy dzieciom Poniatowskich – wtedy była ich bodaj czwórka. Wszystkim wróżył świetlaną przyszłość – zarówno chłopcom, jak i dziewczynkom. Chociaż zaawansowany już wiekiem książe Poniatowski uważał astrologa za szarlatana, a jego przepowiednie za żarty, starał się nie uwłaczać polskiej gościnności. Z ironicznym uśmiechem wysłuchiwał przepowiedni i za nic w świecie nie dał się przekonać. Staram się skracać całą historię, więc może od razu przejdę do jej zakończenia. Kiedy astrolog miał już wyjść, w pokoju pojawiła się akuszerka z noworodkiem. Wyobraźcie sobie, że wróżbita bez wahania odwrócił się do maleńkiego Stanisława, wciąż jeszcze nieumytego po porodzie, i powiedział: „Pozdrawiam cię, królu Polski!”.

– Mój Boże! – krzyknęła Charlotte. – Aż skóra mi cierpnie. Hrabina Tyszkiewicz przytaknęła.

– Nieufny wówczas Poniatowski przyznał po latach, że przebiegł go wówczas jakiś niesamowity dreszcz.

– To piękna opowieść, pani hrabino. Zofio, a teraz chyba pora na twoją niespodziankę! – zawołała Charlotte. – Co wymyśliłaś? Odnalazłaś tamtego astrologa? Sprowadziłaś go do siebie?

– Musiałby być bardzo stary, zresztą pewnie już nie żyje, moja droga – odparła Zofia. – Chociaż słyszałam, że pobierał nauki we Francji. Może chodziliście razem do szkoły? Wasz wiek by się zgadzał.

– O, ty mała...

Charlotte urwała. Nie podjęła zabawy w obrzucanie się wyzwiskami, bo w towarzystwie hrabiny Tyszkiewicz taki epitet byłby nie na miejscu. Wykrzywiła twarz w sztucznym uśmiechu.

– Znalazłaś jakiegoś astrologa? – naciskała hrabina Tyszkiewicz.

– Nie, najdroższa... wróżkę.

– Naprawdę?! – zawołały obie panie jednocześnie.

– Tak. Jest w kuchni i opycha się, jakby nigdy nie jadła niczego dobrego.

– Może ja też coś bym przekąsiła? – zastanawiała się Charlotte.

– Później – powiedziała Zofia ze śmiechem. – Najpierw się dowiemy, jaką masz przed sobą przyszłość.

Zadzwoiła. Po chwili służąca wprowadziła do jadalni niską Cygankę. Wróżka mogła mieć pięćdziesiąt kilka lat.

– Usiądź, Ziniu.

Kobieta podeszła bez śladu służalczości i usiadła, wycierając okruchy zebrane wokół ust, w których najwyraźniej wciąż jeszcze miała jakiś smakołyk. Jej małe, hebanowe oczy zerkały spod jasnoczerwonej chusty i oceniały trzy klientki.

– Od kogo mam zacząć? – spytała.

Wieczór upływał w miłej atmosferze, a Cyganka omawiała przeszłość, teraźniejszość i przyszłość każdej z kobiet. Charlotte była zachwycona tym, co usłyszała, hrabina Tyszkiewicz również, zwłaszcza że wróżka przepowiedziała jej znakomite małżeństwo z którymś z Potockich. Nastrój uległ zmianie, gdy Zofia nie zgodziła się, by wróżka opowiedziała o jej przeszłości.

Cyganka uparła się, że musi to zrobić.

– Kiedy już zacznę komuś wróżyć – oznajmiła nieco zachrypniętym głosem – muszę skończyć. Tak to już jest, pani hrabino.

Nie zwlekając, wyłożyła siedem kart: damę kier, piątkę trefl, waleta kier, damę pik, dwójkę pik, asa karo i czwórkę kier. Potem nabrała powietrza w płuca i zaczęła:

– Dwie młode kobiety, jedna o śniadej, druga o jasnej cerze, i młody mężczyzna. Typowy trójkąt. Piątka to podróż. Dwójka to kłamstwo, a as karo to list. Czwórka kier to zmiana. – Cyganka westchnęła, jakby coś stało się dla niej oczywiste. – Walczyła pani o coś z kobietą o jaśniejszej cerze, prawda?

Zofia nie udzieliła odpowiedzi, więc Cyganka mówiła dalej:

– Coś wspólnego z tym wszystkim ma jazda na koniu, kłamstwo i list, który nigdy nie został otwarty. Efektem była zmiana... zmiana planów związanych z małżeństwem.

Gdy Cyganka wyszła, Charlotte i hrabina Tyszkiewicz zjadły ze smakiem niewielki posiłek, przy którym przez cały czas wracały do swoich przepowiedni. Zofia siedziała z nimi przy stole, ale nie mogła skupić myśli. Zaprosiła wróżkę, żeby trochę się zabawić, bo nie wierzyła w przepowiednie. Okazało się jednak, że Cyganka z niezwykłą dokładnością opisała jej przeszłość. Pojawienie się Anny w jej życiu; plany Zofii dotyczące Jana Stelnickiego; nieszczęsną wyprawę do lasu, opowiadane przez nią kłamstwa i list, w którym Jan próbował wyjaśnić Annie, dlaczego nie mógł tamtego dnia wrócić nad staw – list, który Zofia zniszczyła. Była również zmiana: żoną Antoniego Grawlińskiego została Anna zamiast Zofii. O tym wszystkim hrabina Grońska od dawna starała się nie myśleć, dlatego teraz aż kipiała z oburzenia, że Cyganka zmusiła ją do wyprawy we własną przeszłość. Po konfrontacji z tym, co wówczas się wydarzyło, Zofię dręczyło... właściwie co?... Poczucie przegranej? Wstydu? Chociaż z drugiej strony zastanawiała się, czy postąpiłaby inaczej, gdyby miała przejść przez to wszystko jeszcze raz.

W nocy Cyganka powróciła, pojawiając się Zofii we śnie. Wetknęła jej do ręki kartę z królem kierowym, który dziwnie przypominał Jana Stelnickiego. Hrabina próbowała ją oddać,

lecz wróżka ostro zaprotestowała. Przez dobrą chwilę kłóciły się, potem nagle Cyganka zniknęła, jak to bywa w snach, Zofia zaś została z kartą w dłoni.

Kiedy ponownie na nią spojrzała, zauważyła, że król wcale nie jest podobny do Jana, lecz do Jerzego, i to tak bardzo, że wydawał się jak żywy.

Luty 1800

Anna myślała, że zwariuje. W domu panował potworny chaos. Dzieciaki dostały wysokiej gorączki. Pierwsze tygodnie nowego wieku były brzydkie i ponure, a teraz na dodatek przyplątała się groźna choroba. Dotychczas zmarło na nią w Sochaczewie i jego okolicach kilka osób, w tym dziecko mamki z posiadłości Anny.

– No i co? – spytała.

Jacob Szraber stał w korytarzu w ośnieżonej kurtce i futrzanej czapce. Miał przywieźć z miasta lekarza.

– Nie udało mi się, pani hrabino – powiedział, zwieszając głowę. – Stary lekarz sam się rozchorował, a młody wyjechał za Dąbrowskim do Włoch.

– Niech to wszystko diabli wezmą! – Anna zezłościła się. – Co Polacy mają we Włoszech do roboty? – To było bardziej stwierdzenie niż pytanie. – Niech ich cholera...

Odwróciła się i wbiegła na piętro. Po cichu weszła do sypialni Basi. Lutisza siedziała przy łóżeczku dwulatki. Mała w końcu zasnęła, ale pod żółtą aureolą włosków widać było zmarszczone czoło jak u staruszki – świadectwo zmagania ciała z gorączką. Anna skierowała się do sypialni chłopców. Michałek, który miał już prawie osiem lat, zachorował pierwszy; wydawało się, że najgorsze ma już za sobą. Kiedy usłyszał kroki matki, delikatnie uniół powieki. Anna przytknęła palec do ust. Obok łóżka Michałka, na stercie futer

rzuconych na podłogę, leżał Borys. Jednym okiem spojrzał na Annę. Podobnie jak dzieci – nie wyłączając Tadzia – w końcu pokochała wiernego psiaka.

Opadła na krzesło między łózkami chłopców. Owczarek zaraz położył się u jej stóp. Spojrzała najpierw na jednego synka, potem na drugiego. W miarę upływu czasu różnica trzech lat zaczęła się zacierać. Teraz już razem się uczyli, bawili, a nawet chorowali. Anna najbardziej martwiła się o Tadeusza. Był ciężko chory. Nawet śpiąc, z trudem łapał powietrze i słycać było rżenie, które dochodziło z jego płuc. Lutisza zrobiła, co mogła, wypróbowała wszystkie swoje zioła.

– Proszę pilnować, by nie zsuwali z siebie pierzyn – uprzedziła Annę. – Gorączka musi sama ustąpić.

Dzień minął bez większych zmian. Nazajutrz ktoś ze służby zawołał Annę na parter. W salonie czekał na nią gość. Gdy weszła, przyjezdny wstał. Był wysokim mężczyzną o przerzedzonych włosach, małych ciemnych oczkach i szerokim nosie. Natychmiast poinformował Annę po niemiecku, że jest lekarzem i przyjechał zająć się jej dziećmi.

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! – zawołała, prowadząc go na piętro.

Lekarz najpierw pobieżnie obejrzał całą trójkę, a potem wrócił do łóżka Tadzia.

– Tamta dwójka ma już kryzys za sobą – oznajmił. – Natomiast jemu wciąż grozi niebezpieczeństwo.

Anna poczuła, że do oczu napływają jej łzy i coś ściska w gardle. Nie była w stanie wydusić z siebie ani słowa. Czy zdołałaby przeżyć śmierć Tadzia? Jak spojrzałaby Janowi w oczy po jego powrocie do domu?

Tadeusza przeniesiono do innej sypialni, by można było nim się opiekować, nie przeszkadzając Michałkowi. Lekarz zajmował się chłopcem całą noc: nieustannie zmieniał mu

gorące okłady i wlewał do gardła jakieś mikstury. Kasia siedziała na krześle na korytarzu, żeby natychmiast przynieść wszystko, o co doktor poprosi. W pewnej chwili w środku nocy Michałek odwrócił głowę w stronę Anny.

– Mamusiu, czy Tadzio umrze?

Anna stłumiła emocje wywołane pytaniem syna. Miała zamiar odpowiedzieć, że nie wie, potem jednak zdała sobie sprawę, że chłopiec pokłada w niej nadzieję i nie może go zawieść.

– Nie, Michałku, nie umrze. Wkrótce wróci do ciebie i do tego pokoju.

Wyjaśnienie go uspokoiło i po chwili zasnął. „Dobry Boże, spraw, by wyzdrowiał – modliła się Anna. – Obiecałam to Michałkowi”. Noc mijała powoli. Hrabina Stelnicka przez cały czas siedziała przy Michałku, nie mogąc zmrużyć oka. Była bezradna i pełna obaw. Do tej pory tylko raz tak się bała – gdy maleńki Jan Michał omal nie umarł z powodu gorączki. Oby i ta próba zakończyła się szczęśliwie. Anna pomyślała, że podczas porodu kobieta przeżywa prawdziwe katusze, ale na tym nie kończą się jej cierpienia. Potem każdy ból, każda choroba i każde zmartwienie któregośkolwiek z dzieci stanowi dla niej nowe wyzwanie.

Michał obudził się o świcie.

– Czy doktor znów do mnie przyjdzie?

– Nie wiem. – Dotknęła czoła chłopca: było chłodne. – Wracasz do zdrowia, Michałku. Teraz Tadek potrzebuje opieki lekarza. Chcesz, żeby wyzdrowiał, prawda?

– Tak.

Po chwili Michałek znów zasnął.

Tuż przed południem Kasia zapukała cichutko do drzwi.

– Pan doktor chce się z panią zobaczyć.

Anna przeszła do sypialni gościnnej. Doktor stał tuż za progiem. Witając się z nim, starała się zerknąć mu przez

ramię, by zobaczyć Tadzia, ale mężczyzna zasłaniał jej pole widzenia.

– Co z Tadziem? – spytała przerażona. Doktor blado się uśmiechnął.

– Przeżył noc. – Mężczyzna odsunął się na bok. – Teraz już mu nic nie grozi.

– Bogu niech będą dzięki! Bogu i panu, panie doktorze! Podbiegła do śpiącego malca i dotknęła jego czoła. Było gładkie, suche i nareszcie chłodne.

Godzinę później doktor zszedł na parter i zaczął szykować się do wyjścia.

– Dostał pan coś do zjedzenia? – spytała Anna, schodząc z góry.

– Tak, bardzo dobrze mnie karmiono. Pora na mnie.

– Jak długa droga czeka pana?

Zarzucając opończę, wymienił nazwę jakiegoś pruskiego miasta, o którym nigdy nie słyszała.

– Skąd dowiedział się pan, że moje dzieci są chore?

Uśmiechnął się enigmatycznie.

– Po prostu się dowiedziałem.

Anna wyczuła, że nic więcej z niego nie wyciągnie.

– He panu płacę, panie doktorze?

Uśmiechnął się nieco promiennie.

– Otrzymałem już wynagrodzenie.

– Kto panu zapłacił?

– Do widzenia, pani hrabino.

Patrząc, jak lekarz zamyka za sobą drzwi, Anna poczuła, że robi jej się niedobrze. W tym momencie domyśliła się, kto posłał po pruskiego lekarza.

Grudzień 1800

W połowie miesiąca do obozu dotarły wieści o bitwie pod Hohenlinden. Jan i Paweł z zainteresowaniem słuchali wszelkich relacji. Należąca do francuskiej armii reńskiej Polska Legia Naddunajska, licząca sto tysięcy żołnierzy, stanęła w pobliżu Hohenlinden oko w oko z Austriakami, którzy dysponowali siłą stu dwudziestu tysięcy ludzi podzielonych na dwie armie.

Do starcia doszło trzeciego grudnia. Z ołowianych chmur padał mokry śnieg. Jeden z pierwszych do ataku ruszył Drugi Batalion pod przywództwem Józefa Drzewieckiego. Szarża z bagnietami na broni okazała się skuteczna, choć przyniosła znaczne straty. Później bitwa ze względu na pogodę i ukształtowanie terenu – sporo lasów i mokradeł – przeobraziła się w szereg drobnych potyczek. Opowiadano o młodym brygadierze, Janie Pawlikowskim, który wypatrzył oddział wroga ukryty w krzakach i z francuskim szaserem uderzył na Austriaków, wykrzykując rozkazy dla nieistniejących współtowarzyszy broni. Lancą zabił dwóch austriackich oficerów, a trzeciego wziął do niewoli... wraz z pięćdziesięcioma siedmioma żołnierzami. Gdy dowództwo zaproponowało Pawlikowskiemu awans na porucznika, odmówił, przyznając się, że nie umie czytać ani pisać, czego wymagano od oficera.

Nim dzień dobiegł końca, Austriacy byli w odwrocie. Stracili przynajmniej dwadzieścia tysięcy żołnierzy, a siły francuskie – tylko około tysiąca dwustu, w tym blisko pięćdziesięciu Polaków. Tego wieczoru w obozie w Lombardii wznoszono toasty za dzielnych żołnierzy Legii Naddunajskiej i Jana Pawlikowskiego.

Dwa miesiące później Francja podpisała w Luneville traktat pokojowy z Austrią i jej sprzymierzeńcami, grzebiąc nadzieje polskich żołnierzy. Legiony z dalekiego kraju stały się dla francuskiego rządu poważnym problemem. Co z nimi zrobić?

Legion Dąbrowskiego miał się przekształcić w armię nowego państwa – Lombardii. Niektóre jednostki rozwiązano. Sześć tysięcy żołnierzy postanowiono wysłać na San Domingo, gdzie mieli stłumić powstanie murzyńskich niewolników.

– Co powiesz na San Domingo? – spytał Paweł.

– Zwariowałeś?

Jan siedział załamany na swojej pryczy. Po raz drugi Napoleon wywiódł ich w pole.

– To nie nasza wojna!

– Nie zostaniesz z Dąbrowskim?

– To również nie nasza wojna. Co zyskaliśmy? Blizny, medale, wielu poległych. Tylko po co to wszystko? Po co, Pawle?

– Przepraszam.

– Przepraszasz? Za co?

– Za to, że namówiłem cię do przyjazdu.

– Myślę, że tak czy inaczej bym się tutaj znalazł. No i tak jak ty, przyjacielu, wciąż żyję. Zapomnij o San Domingo. Zapomnij o Dąbrowskim – niech go Bóg błogosławi! Wracaj do domu. Wróc ze mną do domu!

Paweł długo bez słowa przyglądał się Janowi. Stelnicki wiedział, że Paweł nie wróci. Wiedział też, że lepiej nie nalegać.

Luty 1801

– Ile lat ma teraz chłopiec? – spytał mężczyzna o chropawym głosie. – Cztery?

– Pięć.

Anna po raz kolejny siedziała przy biurku naprzeciwko Dolińskiego.

Starosta uśmiechnął się szeroko.

– Cieszę się, że waćpani przyszła, pani Aniu.

– Miałam możliwość wyboru?

– Pięknie się pani dzisiaj ubrała. Do twarzy pani w zielonym. Proszę wstać, żebym mógł się przyjrzeć sukni.

– Nie przyszłam tutaj, żeby pokazywać suknię. Dawno mnie waćpan nie wzywał. Widać jest jakiś powód.

Starosta nie odrywał wzroku od Anny.

– Niech pani ustąpi.

Kiedy Anna wstała, kazał jej się odwrócić.

– Ależ...

– Niech się pani odwróci. Powoli.

Zagryzła wargę i odwróciła się. Nim zdążyła znów stanąć twarzą do starosty, krzesło skrzypnęło, a Doliński błyskawicznie obszedł biurko. Chwycił ją mocno za ramię i obrócił twarzą do siebie. Wpatrując się w jego bladoniebieskie oczy, czuła przyspieszone bicie serca. Szczerze żałowała, że nie zabrała pistoletu.

– Mogę załatwić wszystko tak, żeby Tadeusz został przy tobie nieco dłużej.

– Co takiego?

Anna poczuła, że kręci jej się w głowie. Nie mogła zrozumieć jego słów.

– Dzięki mnie wolnomularze mogą się trzymać z dala od małego, póki nie skończy sześciu, a może nawet siedmiu lat.

– Jeśli...?

W tym momencie zaczął ją namiętnie całować.

Zakręciło jej się w głowie. Sądząc po przebiegu dotychczasowych spotkań, nie przypuszczała, że starosta da upust swojemu pożądaniu. Odchyliła głowę i otworzyła usta,

by krzyknąć.

Doliński prawą ręką zakrył usta Annie, a lewą objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

– Nie będziesz krzyczeć, Aniu, a nawet jeśli to zrobisz, nikt cię nie usłyszy. Postarałem się, żeby dzisiaj w tym budynku nikogo nie było.

Powoli odsunął dłoń, a ponieważ nawet nie próbowała krzyczeć, ponownie nachylił się do pocałunku.

– Trzymaj swoje brudne łapska przy sobie!

Anna starała się uwolnić, ale starosta mocno ją trzymał. Od zbyt dawna miał na nią chrapkę, by teraz ją wypuścić.

Kiedy obezwładnił jej ręce, zaczęła go kopać i pomimo grubej sukni kilkakrotnie trafiła. Instynktownie zaczęła wołać o pomoc.

Doliński wybuchnął śmiechem.

– Nikt cię nie usłyszy.

– Pożałujesz tego!

– Kto się o to postara? Twój mąż? Twój nieobecny mąż?

– Tak!

Jeszcze bardziej wzmocnił uchwyt, a z jego oczu na chwilę zniknęło pożądanie, a pojawiła się złość.

– Posłuchaj mnie, Anno, uważnie mnie posłuchaj! Jeśli powiesz Stelnickiemu cokolwiek o wolnomularzach, ściągniesz śmierć na całą rodzinę. – Ciężko dyszał. – Jeśli wspomnisz o dzisiejszym dniu, efekt będzie taki sam – dodał, przyciągając ją do siebie, żeby poczuła jego podniecenie.

– Są jeszcze wolnomularze...

– O czym ty mówisz?

– Jeśli oni się o tym dowiedzą...

– Nie dowiedzą się.

– A może jednak?

Doliński zamarł. Zastanawiał się nad jej groźbą. Najwyraźniej tradycyjna kara za gwałt – topór kata w razie

udowodnionej winy – nie robiła na nim wrażenia, powstrzymała go jednak myśl, jak zareagowałaby masoneria. Liczne zegary cicho tykały, odmierzając czas. Anna czuła, że podniecenie starosty słabnie.

Doliński zmierzył Annę pogardliwym wzrokiem, po czym ją puścił.

Ruszyła po swoją opończę, zaskoczona, że jej słowa jakimś cudem poskutkowały. Czy naprawdę może odejść? Zarzuciła pelerynę i odwróciła się w stronę starosty. Całkowicie zmienił podejście.

– Najlepiej będzie, jeśli zapomni waćpani o całym incydencie. Zrobi to pani?

Niemal przeproszał. Anna była przekonana, że znalazła sposób, by uchronić się przed starostą, przynajmniej na razie.

– Zabiorą pani Tadeusza, nim skończy sześć lat – powiedział. – Będzie waćpani musiała go oddać. Proszę nie popełniać głupstw. Jeśli uda się powołać do życia demokratyczną monarchię, a Tadeusz zostanie jej królem, zyska na tym i waćpani, i cała rodzina.

Hrabina Stelnicka słuchała Dolińskiego, starając się na niego nie patrzeć. Czy w taki właśnie sposób prosił ją o wybaczenie? Bez słowa odwróciła się i wyszła.

Wsiadając do sań, które miały zabrać ją do domu, przypomniała sobie czyjeś powiedzenie, że Polacy lubią dramatyczne zejścia ze sceny. Chociaż wciąż jeszcze odczuwała wstręt, wybuchnęła gorzkim śmiechem na wspomnienie zaskakującego zakończenia dramatu, w którym jeszcze przed chwilą brała udział.

łóżka i odpoczywał, korzystając z ciszy i spokoju. Tego dnia wysłał list. Co pomyśli Anna, gdy się dowie, że mąż wraca do domu? Czy przeczyta pismo dzieciom? Jan miał wyjechać za trzy dni.

Zdażył już zasnąć, gdy nagle drzwi się otwarły, a do środka wpadł podmuch mroźnego wiatru. Zrobiło się zimno, toteż Jan uniósł głowę i krzyknął:

– Zamknij te cholerne drzwi!

Drzwi trzasnęły, przeciąg ustał.

– Spiłeś się, Pawle? – spytał Jan, spoglądając na postać stojącą przy drzwiach.

Pokój był pogrążony w ciemności, którą rozjaśniał jedynie tłący się w piecu niewielki ogień, jednak Jan błyskawicznie się zorientował, że to nie Paweł. W mgnieniu oka poderwał się na nogi.

– Kto tu jest? – spytał, sięgając po szablę. – Kim, do diabła, jesteś?

Wyciągnął broń z pochwy, gotów do walki. Intruz zbliżył się do pieca.

– To ty, Janie?

Kiedy światło padło na twarz mężczyzny, Stelnicki opuścił broń.

– Mój Boże. Najmocniej przepraszam, sir!

Nocny gość nigdy nie odwiedzał Jana w tym pomieszczeniu, spotykali się jedynie na polu bitwy. Generał Dąbrowski zdjął kapelusz.

– Mogę zapalić lampkę, Janie? Chciałbym z tobą porozmawiać.

Janowi kręciło się w głowie.

– Oczywiście, panie generale.

– Tata wraca do domu! – oznajmiła Anna podczas kolacji.

W oczach Michałka pojawił się blask.

– Tatuś wraca?

Dziewięciolatek wstał z krzesła, podszedł do Anny i przytulił się do niej.

– Twoje modlitwy, mamusiu, zostały wysłuchane.

– To prawda! – przyznała, całując ciemne, kędzierzawe włosy synka. Odesłała go z powrotem na miejsce. – A ty, Tadziu? Wiem, że byłeś bardzo mały, gdy wyjeżdżał. Co ty na to?

– Tatuś?

– Tak, tatuś wraca!

Tadzio lekko wzruszył ramionami i niepewnie się uśmiech.

– Ciebie, Basiu, nie było wtedy jeszcze na świecie!

Trzyletnia Basia siedziała sztywno na podwyższonym krześle, dzięki czemu znajdowała się na poziomie stołu. Szarpnęła kosmyk jasnych włosków. W zielonych oczach, które odziedziczyła po matce, pojawiło się zaniepokojenie i radość, że dzieje się coś ważnego.

– Czy przyjedzie w mundurze? – spytał Tadzio.

– Nie wiem.

– Potem wróci na wojnę?

– Myślę, że nie. Dzięki Bogu.

– Nie lubisz wojny, mamusiu?

– Nie lubię, Tadziu.

Kiedy dzieci poszły spać, Anna usiadła w salonie i pograżyła się w rozmyślaniach. Jan wyjechał przed trzema laty. Od trzech lat sama zajmowała się rodziną. Od trzech lat żyła jak wdowa. Kiedy Jan wróci do domu, znów zaznają szczęścia, takiego, jakie było ich udziałem przez pewien czas po ślubie. W końcu położyła się do łóżka, nadal jednak marzyła o Janie, nic więc dziwnego, że nie mogła zasnąć.

Od tego czasu Anna myślała tylko o powrocie męża.

Wreszcie przyszła upragniona chwila. W końcu marca Jan podjechał pod dworek i ściągnął cugle swojego niewielkiego czarnego ogiera. Wszyscy wybiegli na ganek, by go powitać.

Miał na sobie niebiesko-czerwony mundur polskiego legionisty. Michałek podbiegł do niego, a mały Tadzio ruszył w ślad za starszym bratem. Jan uściskał obu chłopców, a potem podszedł do schodów, na których stała Anna. Basia kurczowo trzymała się fałdów matczynej spódnicy.

– Nie bój się, Basiu – powiedział Jan, schylając się i podnosząc córeczkę. – Jesteś śliczna, naprawdę!

Przez chwilę tulił małą, potem postawił ją na ziemi, przeniósł wzrok na żonę i zdjął czapkę z głowy.

Annie zapało dech w piersiach. Miała przed sobą mężczyznę, w którym zakochała się wiele lat temu. Był teraz nieco starszy – miał trzydzieści pięć lat – ale wciąż tak samo przystojny, obdarzony długimi, jasnymi włosami, regularnymi rysami i dołeczkiem w brodzie. Zauważyła, że ma wąsy przyprószone siwizną, a kobaltowe oczy zasnuwają łzy.

– Annowy szeptał, biorąc ją w ramiona.

Anna leżała obok śpiącego Jana i szczęście wypełniało jej serce. Znowu czuła się jak mężatka: miała obok siebie nagiego mężczyznę i wdychała jego zapach. Jeszcze przed chwilą odkrywali się nawzajem jak w noc poślubną. Tym razem nie potrzebowali wódki, by zakręciło im się w głowach. Miłość i pożądanie, pomimo długiej rozłąki, wcale nie osłabły, przeciwnie – przybrały na sile.

Anna przeżyła szok, ujrzawszy blizny na barkach, plecach i ramionach męża. Zauważyła również, że lekko utyka. Wieczorem oczarował chłopców, opowiadając im o szpiegowaniu, wypadach i potyczkach. Bez wdawania się w szczegóły odmalowywał bohaterstwo, chwałę i wojenne emocje. Tylko Anna wiedziała, ile odniósł ran. Tylko ona mogła docenić to, że żył... i wrócił do domu.

Wojna wcale nie była chwalebna – raczej odrażająca.

W końcu zasnęła. Nie słyszała, jak mąż wstawał bladym

świtem.

Nazajutrz serdecznie współczuła Michałkowi, który podczas podwieczorku siedział przy stole i grzebał w swoim talerzu. Chłopiec był zrozpaczony. Kiedy Jan wychodził wczesnym rankiem z domu, zabrał Tadzia, a Michałka zostawił.

W połowie posiłku do jadalni wpadł młodszy brat.

– Polowaliśmy! Polowaliśmy! – zapiszczał. Na ustach Anny pojawił się uśmiech.

– Upolowaliście coś? Tadeusz uniósł dwa paluszki.

– Dwa zające – dwa! I jelenia! Dużego! Anna dostrzegła łzy w oczach Michała. W jadalni pojawił się Jan.

– To był duży jelen, prawda, Tadziu?

Jan podszedł do Anny, pocałował ją w policzek, a potem usiadł i zaczął przygotowywać posiłek dla siebie i Tadeusza.

– Michał również chętnie wzięby udział w waszej przygodzie, Janie. Był nieszczęśliwy przez cały ranek.

Stelnicki spojrzał na Michała.

– Próbowałem cię rano obudzić, Michałku, naprawdę. Ani drgnąłeś.

Chłopiec zbladł.

– Wcale nie próbowałeś! – oświadczył.

– Próbowałem, ale potem uznałem, że może zbyt późno się położyłeś i potrzebujesz snu.

Michał z trudem powstrzymywał łzy.

– Poszedłbym z wami! – krzyknął. – Poszedłbym! – powtórzył, po czym wybiegł z pokoju.

Anna nie wiedziała, co powiedzieć. Chciałaby, żeby mąż pobiegł za chłopcem i spróbował go pocieszyć, ale Jan zajął się przygotowywaniem jedzenia dla Tadeusza.

– Michałek jest bardzo wrażliwym dzieckiem – powiedziała.

– Właśnie widzę.

Jan ugryzł kawałek chleba.

– Ma twarde sen, Janie. Czasami muszę go wyrzucać z łóżka. Może jutro go zabierzesz.

– Niestety, nie dam rady. Mam coś do załatwienia w Sochaczewie.

– To pojutrze.

– Nic z tego.

– Dlaczego?

Przerwał jedzenie i spojrzał na żonę.

– Muszę wracać.

Na chwilę zamarła, starając się zrozumieć jego słowa.

– Wracać? Do Włoch?

Przytaknął.

Była tak zaszokowana, że nie mogła znaleźć słów. Zdawała sobie sprawę, że mąż nie miał zamiaru jej o tym mówić przy stole, to jednak nie było w stanie zmniejszyć przejmującego bólu. Podobnie jak synek wybiegła z jadalni, żeby się nie rozplakać.

– Przepraszam, Aniu – powiedział Jan w sypialni. Wiedział, że wyświechtane słowa nie wystarczą. – Najmocniej przepraszam! Miałem zamiar wrócić do domu na stałe.

– I powinienesz to zrobić! Dlaczego bronisz francuskich interesów w Lombardii? Wytłumacz mi!

Anna odwróciła się plecami i zaczęła się rozbierać.

– Bo poprosił mnie o to generał Dąbrowski. Osobiście.

– Z tego, co wiem, kilkakrotnie ocaliłeś mu życie. To on jest twoim dłużnikiem, Janie, nie na odwrót!

– Aniu, pierwszy konsul zapewnił go, że gdy nadejdzie odpowiednia chwila, Francja ruszy przeciwko naszym wrogom. Jeśli jej pomożemy, odzyskamy nasz kraj.

– Kiedy, Janie? Kiedy to nastąpi? Ile jeszcze lat będziemy musieli spędzić z dala od siebie?

– Już niewiele, Aniu. Chciałbym odzyskać swój majątek... i zapewnić bezpieczeństwo twojemu.

– Bezpieczeństwo? – Anna odwróciła się w jego stronę. – Czy obecnie coś mu grozi? – Długo mu się przyglądała.

Jan natychmiast stracił rezon. Jak mógł dopuścić, by wymknęły mu się takie słowa? Czyżby coś podejrzewała?

– Oczywiście, masz rację, ale wciąż jesteśmy za pruskim kordonem.

– Wydawało mi się, że nie bardzo ufasz Napoleonowi.

– Bo mu nie ufam, ale dopóki istnieje choćby najmniejsza szansa na wyrzucenie stąd naszych wrogów, muszę próbować.

– Niezależnie od ceny, jaką będziemy musieli za to zapłacić?

Niechętnie przytaknął.

– Niezależnie.

Później próbował się z nią kochać, ale po raz pierwszy nie przyniosło im to satysfakcji. Jan leżał, udając, że śpi; był pewien, że Anna również nie może zasnąć. Zastanawiał się, czy jej nie powiedzieć, co ma do załatwienia w Sochaczewie. Że musi dopilnować, by ten drań, Doliński, nadal dostawał łapówki. Bez comiesięcznego haraczu rodzina Jana i Anny szybko dołączyłaby do rzeszy polskiej szlachty pozbawionej ziemi. Starosta zbijał fortunę kosztem rodaków.

Niestety, Jan nie mógł powiedzieć o tym żonie. Nie chciał, by żyła w poczuciu ciągłego zagrożenia. Modlił się, by pewnego dnia udało się przepędzić stąd Prusaków i uznać Dolińskiego za zdrajcę.

Dwa dni po wyjeździe Jana do Włoch pod dom zajechał powóz. Woźnica wręczył Annie liścik od starosty. Nadszedł czas.

Anna dostała godzinę na spakowanie kufra Tadzia i wysłanie chłopca do Dolińskiego, który z kolei miał go zawieźć do Szkoły Rycerskiej w Warszawie. Jak twierdził

starosta, próba przeciwstawienia się wolnomularzom oznaczałaby śmierć całej rodziny. Chociaż Anna niewiele wiedziała o tajnej organizacji, ani przez chwilę nie wątpiła w prawdziwość groźby.

– Dlaczego on ma wyjechać? – spytał Michałek. – Dlaczego Tadek? Jestem od niego starszy. Najpierw kolej na mnie!

– Niestety, nie wolno mi nic o tym mówić. Po prostu to musi być Tadzio.

– W takim razie pozwól mi jechać z nim. Jest taki mały. Będę się nim opiekował.

Anna potrząsnęła głową.

– Jesteś mi potrzebny tutaj, Michałku. Naprawdę.

– To znaczy, że oni chcą jego, nie mnie!

Anna nie mogła zaprzeczyć. Bolało ją serce. Wiedziała, że Michałek bardzo dobrze pamięta noc, kiedy lekarz opiekował się tylko Tadeuszem. Następny afront spotkał go zaledwie kilka dni temu, kiedy Jan zabrał młodszego syna na polowanie. Ciekawe, jak bardzo ojciec starał się wtedy obudzić Michałka. A teraz jeszcze to! Jak można wyjaśnić takie rzeczy dziecku? Co zrobić, żeby wszystko było tak, jak powinno?

Kufer został przymocowany do dachu powozu, a Jacob posadził Tadeusza na ławce w środku. Chłopiec miał na sobie najlepsze ubranie. W jego kobaltowo-niebieskich oczach widać było zdziwienie, ale nie łzy.

– Gotowe? – spytał woźnica.

Anna pocałowała palce i dotknęła nimi dłoni syna. Potem odsunęła się od powozu.

– Bądź dzielny, Tadzio, jak małemu mężczyźnie przystoi – powiedział Jacob, zamykając drzwiczki.

Powóz zawrócił i wyjechał na drogę wiodącą wśród topól. „Najpierw mąż, a teraz syn!” – pomyślała Anna. Kiedy wróciła do domu, znalazła Michałka w salonie.

– Zostaliśmy we troje, Michałku, ty, Basia i ja – powiedziała.

Spojrzał na nią ze złością. Przez chwilę Anna patrzyła w oczy jego ojca, swojego kuzyna, Waltera. Człowieka, który ją zgwałcił. Starła się zrozumieć synka.

– Michałku, wiem, że jesteś zły i urażony.

– Ja też chcę być żołnierzem! Anna wzięła głęboki wdech.

– Jesteś mi potrzebny, Michałku. Chcę, żebyś był moim żołnierzem.

Zauważyła, że w jego oczach zbierają się łzy. Nie chcąc, by matka je zobaczyła, wybiegł z pokoju. Anna przypomniała sobie, że sama też nigdy nie lubiła płakać przy innych.

Michałek był synem Waltera. Trudno było temu zaprzeczyć. Niemniej pewne cechy odziedziczył również po niej.

Czerwiec 1801

Anna weszła do gabinetu dyrektora Szkoły Rycerskiej – akademii wojskowej założonej przez króla Stanisława Poniatowskiego. Kapitan Spinek wstał. Był otyły i zachowywał się bardzo oficjalnie.

– Odwiedziła waćpani syna. Czy jest pani zadowolona? Czy wszystko jest zgodne z pani oczekiwaniami?

– Zauważyłam, że Tadeusz jest najmłodszym uczniem.

– Naprawdę? Być może, ale zapewniam waćpanią, że dobrze sobie radzi.

– Płakał, gdy wychodziłam.

– Nie sądzi pani, że to normalne?

– Mam do waćpana prośbę, panie kapitanie.

– Naprawdę? Jeśli tylko będę mógł, z całą pewnością ją spełnię.

– Tadek ma starszego brata, Jana Michała. Mówimy na niego Michał. Bardzo bym chciała, żeby również jego przyjął pan do akademii.

Mężczyzna teatralnie westchnął.

– Zamknęliśmy już listę uczniów. Jak to się mówi, palca nie ma gdzie wcisnąć. To wielki honor, jeśli do Szkoły Rycerskiej zostanie wybrane jedno dziecko z rodziny. Bardzo rzadko się zdarza, by dostał się drugi syn.

– Z wyjątkiem ludzi, którzy mają odpowiednie powiązania. Chłopców z rodów magnackich, prawda?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Coś takiego zdarza się tylko w wyjątkowych przypadkach.

– Jan Michał marzy, by tu się uczyć.

– Gdybyśmy spełniali marzenia wszystkich chłopców,

mością pani, armia składałaby się z samych oficerów, a zabrakłoby piechurów.

– Mówię o jednym chłopcu, panie kapitanie. Byłabym spokojniejsza, gdyby Jan Michał mógł się zaopiekować młodszym bratem.

– Dobrze waćpanią rozumiem, ale nic nie mogę zrobić.

– A gdybym postanowiła zabrać stąd Tadeusza? Twarz kapitana spochmurniała.

– Odradzam takie rozwiązanie.

Anna wzięła głęboki wdech, przygotowując się do wyjęcia asa z rękawa. Chociaż nic na to nie wskazywało, była przekonana, że kapitan jest masonem.

– Panie kapitanie, wiem, w jakim celu umieszczono mojego syna w pańskiej szkole.

Mężczyzna zbladł. Było dokładnie tak, jak Anna przypuszczała. Doliński tak bardzo starał się wyrzucić na niej wrażenie, że zdradził to, czego nie powinien. Bez namysłu odpowiedziała na pytanie, którego kapitan nie zdążył nawet zadać.

– Każda matka starałaby się dowiedzieć, dlaczego wzięto do akademii jej sześciolatniego syna, panie kapitanie.

– Rozumiem – powiedział Spinek.

Anna zastanawiała się, czy mówiąc o tym, wydała Dolińskiego rekinom na pożarcie. Miała nadzieję, że tak.

– Nie mam zamiaru urządzić sceny ani przedstawiać nikogo w złym świetle. W końcu, gdybym uderzyła w stół, kto wie, jakie nożyce mogłyby się odezwać!

Mężczyzna teatralnie odchrząknął.

– Czy dobrze waćpanią zrozumiałem? Grozi pani, że...?

– Panie kapitanie. Nie należę do osób, które posuwają się do gróźb. Chcę jedynie, by do akademii przyjęto mojego syna, brata Tadka. To wszystko.

Kapitan z trudem wstał i odsunął krzesło. Na jego twarzy

pojawił się fałszywy uśmiech.

– W porządku. Prośba waćpani zostanie spełniona.

Kiedy Anna wyszła z budynku, który konstrukcją przypominał zamek, kręciło jej się w głowie z powodu odniesionego zwycięstwa, a serce wciąż biło szybciej. Udało się! Michałek będzie zadowolony.

– Aniu! Aniu! – zawołał ktoś.

Uniosła głowę i ujrzała zatrzymujący się powóz. W oknie ukazała się Zofia.

– Witaj, Aniu! – zawołała kuzynka. – Co robisz w Warszawie?

– Przyjechałam zobaczyć się z Tadzkiem.

– Twój syn jest tutaj? W akademii? Mój Boże, przecież on ma zaledwie... ile? Sześć lat!

– Jeszcze nie skończył. – Na ustach Anny pojawił się ledwo widoczny uśmiech. – Powiadają, że żołnierzy nigdy nie jest za dużo.

– Taak. Wstydz się, Aniu! Nie miałaś zamiaru wpaść do mnie na chwilę! Nieważne, zabieram cię do siebie!

– Muszę wracać do Sochaczewa.

– Wrócisz... ale tym razem nie przyjmuję odmowy. Naprawdę. Zjemy razem kolację, tylko ty i ja.

Anna nie miała ochoty na kłótnię.

– A co z Izą?

– Och, Izabela zwykle jada wcześniej ze swoją guwernantką. Przecież znasz zwyczaje panujące w tym domu. Jedziemy.

Po dotarciu na Piwną Zofia pobiegła do sypialni i stanęła przed lustrem. Próbowała ocenić swój wygląd z odległości kilku kroków, przesuwając wzrok tam i z powrotem po całej sylwetce. W srebrzysto-różowej sukni było jej ładnie. Potem

podeszła bliżej i z niezwykłą uwagą obejrzała swoją twarz. Czy nie pojawiła się gdzieś jakaś nowa skaza, zapowiedź przyszłej, ledwie widocznej zmarszczki?

Anna wyglądała tak świeżo i cudownie, zwłaszcza gdy jej zielone oczy błyszczały w słońcu. Była zaledwie o rok młodsza od Zofii – miała dwadzieścia siedem lat – i sprawiała wrażenie, jakby ani odrobinę się nie postarzała w ciągu ostatnich pięciu czy sześciu lat. Czy to możliwe, że Anna niczym rak posuwała się w czasie do tyłu, a Zofia do przodu?

Czy widać, ile mam lat? Wokół oczu pojawiły się niewielkie zmarszczki. Co z nimi zrobić? Promienny uśmiech tylko pogarszał sprawę, więc Zofia próbowała przed lustrem uśmiechnąć się nieco powściągliwiej. „Tak już lepiej” – pomyślała. Doszła do wniosku, że w ogólnym rozrachunku całkiem nieźle się trzyma. Wciąż miała jeszcze przed sobą sporo lat – złotych dukatów, jak niegdyś mawiała.

Poszczypała policzki, żeby nabrać nieco kolorów, a potem zeszła na dół, by powitać Annę.

– Przyjechałaś, żeby odwiedzić Tadzia i zapisać do akademii Michałka? – spytała Zofia przy stole, wznosząc toast kieliszkiem wina. – Czyli zostaliście z Basią całkiem same.

– Wcale nie! – zaprotestowała Anna, sącząc wino.

– Och, wiem, masz Szraberów i służbę, ale z waszej pięcioosobowej rodziny zostaliście tylko we dwie.

Na twarzy Anny pojawił się blady uśmiech.

– Nie chciałam sprawić ci przykrości.

– I nie sprawiłaś. To tylko sytuacja przejściowa.

Rozmowa się rwała, więc zajęły się jedzeniem. Zofia opowiadała o innych rzeczach, ale przez cały czas myślała o „przejściowej sytuacji” Anny. W trakcie deseru znalazła rozwiązanie.

– Mam pomysł, Aniu! – oznajmiła. Anna spojrzała na nią znad szarlotki.

– Zamieszkać ze mną – zaproponowała Zofia.

Hrabina Stelnicka odłożyła widelec i zaskoczona zamrugła zielonymi oczami.

– Tutaj? Nie, Zofio, to niemożliwe.

– Ależ możliwe. Tobie i Basi dobrze by zrobił pobyt w dużym mieście. Basia jest tylko o dwa lata młodsza od Izabeli. Są kuzynkami! Powinny się poznać i zaprzyjaźnić, tak jak my.

– Ponury błysk w oczach Anny ostudził nieco zapał Zofii. – Och, wiem, Aniu, że nie zawsze postępowałam jak prawdziwa przyjaciółka. Przepraszam za wszystko. Stałam między tobą a Janem. – Zofia nie odrywała wzroku od oczu Anny. – Czy kiedykolwiek będziesz mogła mi to wybaczyć?

– Uratowałaś mi życie, Zofio. Nie mam innego wyjścia. Zofia uśmiechnęła się promiennie.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy, prawda?

– Ale to nie jest twój dom, tylko Pawła, dlatego czułabym się w nim...

Zofia nie pozwoliła jej skończyć.

– Możesz go traktować, jakby należał do mnie. Paweł chce, żebym była szczęśliwa, a będę szczęśliwa, jeśli ze mną zamieszkaasz. Naprawdę!

Anna potrząsnęła głową.

Zofia ponownie dostrzegła ponury cień w oczach kuzynki.

– Moje życie nie wygląda już tak jak za dawnych czasów, gdy mieszkałam na Pradze. Nie jestem tak lekkomyślna. Plotkarze nie mogą dzielić się między sobą żadnymi informacjami na mój temat. Być może uda mi się wyjść za mąż przed trzydziestką!

– Za Pawła?

– Nie. Paweł jest bardzo kochany i niezawodny, ale... szukam kogoś, kto wyniosłby mnie na szczyty. Widzę w twoich oczach drwinę. Och, zamieszkać ze mną, Aniu! Oddam wam do dyspozycji pierwsze piętro. Pozwól mi naprawić

dawne błędy. Zostańmy znów przyjaciółkami.

– Jesteśmy przyjaciółkami, Zofio, ale nie mogę przyjąć twojej propozycji. Przykro mi.

– Podaj mi chociaż jeden powód. Anna przez chwilę milczała.

– Michałek oddał Basi pod opiekę swojego psa, Borysa. Mała nie zostawi go w Sochaczewie.

– Wcale nie musi. Pies wniesie tu trochę życia. Izabela będzie zachwycona! Jeśli to największe z twoich zmartwień...

– Prawdę mówiąc, nie jest małe. To ogromny pies, Zofio.

– I co z tego?

– Nie zapominaj o Janie. – Anna zdobyła się na uśmiech. – Wkrótce wróci.

– Na stałe?

Uśmiech zniknął.

– Mam nadzieję.

– Obawiam się, że jesteś zbyt wielką optymistką. Twój mąż w niczym nie różni się od Pawła. Wiesz, co mi powiedział?

– Co takiego?

– Że odłoży broń dopiero wtedy, kiedy Polska będzie Polską. Wyobrażasz sobie? Szybciej stulecie dobiegnie końca, niż nasz kraj odzyska niepodległość.

Anna podniosła się z krzesła. Była blada jak ściana.

– Zofio, jestem ci bardzo wdzięczna za propozycję. Naprawdę, ale nie mogę jej przyjąć. Muszę już jechać.

Hrabina Grońska wstała.

– Przepraszam... za bardzo przyparłam cię do muru. Aniu, zrób dla mnie jedno: po powrocie do domu zastanów się nad moją propozycją. Życie w stolicy jest bardzo ciekawe, a Basia miałaby tu znacznie więcej do roboty niż na wsi i wiele mogłaby się nauczyć. Ty z kolei byłabyś blisko chłopców i mogłabyś ich częściej odwiedzać. Obiecuj mi, że się zastanowisz.

Anna westchnęła i uśmiechnęła się, by nie okazać, jak bardzo boli ją serce.

Część trzecia

Dwa koguty na jednych nie zgodzą się śmieciach.
(prysłowie polskie)

Październik 1805

Anna poprawiła przed lustrem bursztynowe grzebienie w podczesanych do góry kasztanowych włosach.

– Aniu! – zawołała Zofia z parteru. – Powóz czeka! Pospiesz się!

– Już idę! – odkrzyknęła Anna.

Ze zmarszczonym czołem przyjrzała się swojemu odbiciu, po czym wygładziła fałdy popielato-błękitnej sukni. Zarzuciła szal i ruszyła w stronę schodów. Siedząc w powozie, wyznała:

– Wolałabym, żebyś tak bardzo nie namawiała mnie na przyjęcie u Potockich, Zosiu.

– Och, nie bądź głupia!

– Nie jestem w stanie uprzejmię odnosić się do pruskiego komendanta. Prusacy są wrogami Polski.

– Czasami warto wykazać się choć odrobiną pragmatyzmu, kochanie. Nie martw się, nie będziesz musiała rozmawiać z generałem Kalkreuthem. Chociaż nie zaszkodziłoby. Ta znajomość kiedyś może ci się przydać: on rządzi Warszawą!

– Nic mnie to nie obchodzi! Powinnaś zabrać ze sobą Charlotte, nie mnie.

– Charlotte! O mój Boże, tylko nie to! Jest Francuzką. Poza tym na pewno powiedziałyby coś głupiego i wpakowały nas wszystkich do aresztu. Czasami potrafi być wyjątkowo bezmyślna.

Anna wybuchnęła śmiechem, po czym rozsiadła się wygodnie w powozie. Czekala je długa droga do Wilanowa, w którym przyjaciółka Zosi, księżna Anusia Potocka, spędzała każdą zimę wraz z mężem, Aleksandrem, i jego rodzicami. Anna zgodziła się na tę wyprawę, bo odkąd przyjechała z Basią do Warszawy, Zofia traktowała ją bardzo serdecznie i

wielkodusznie. Anna nagle zdała sobie sprawę, że mieszka z kuzynką od czterech lat. Cztery długie lata, a w tym czasie widziała Jana tylko raz! Jeden jedyny raz! Ogarnęły ją uczucia, o których zazwyczaj starała się nie myśleć: tęsknota i smutek.

Cztery lata! Dziesięć lat od ślubu i tak niewiele dni spędzonych z Janem! Małżeństwo nie spełniło jej oczekiwań. Jakiś gość na ich weselu powiedział, że mąż i żona przypominają dwa okna wpuszczające w głąb domu światło, które nieprzerwanie spaja, rozjaśnia i uświęca małżeństwo. Tymczasem w ich związku od dawna było tylko jedno okno. Nieustannie martwiła się, że Jan zostanie ranny albo zginie i już nigdy nie wróci.

Dwa tygodnie temu dostała od męża list.

– Obaj są zdrowi i właśnie wyruszają na następną misję – powiedziała Zofii, która ostatnio rzadziej otrzymywała wiadomości od Pawła.

– Jeśli ktoś raz zostanie żołnierzem – zawyrokowała Zofia – nigdy nie przestanie nim być.

Nie spytała, jaka to misja. Od jakiegoś czasu zawsze wygłaszała taki sam komentarz, który niezmiennie sprawiał Annie ogromny ból. Kuzynka najwyraźniej wcale nie tęskniła za Pawłem i nie starała się okazywać Ani współczucia z powodu nieobecności męża.

Niemniej przyjazd do Warszawy był dobrym pomysłem. Dzięki temu mogła częściej widywać synów i zapewnić córeczce ciekawsze życie. Basia i Izia kochały się jak siostry. Gdyby tak samo przed laty było między nią a Zofią...

– O czym myślisz, Anno?

– Że powinnam ci podziękować... za ściągnięcie mnie do Warszawy.

Zofia wbiła wzrok w Annę.

– Czasami nieźle potrafię ocenić sytuację. Anusia wywodzi

się z Tyszkiewiczów i jest krewną naszego byłego króla. Spójrz. Wjeżdżamy na podjazd. Szkoda, Aniu, że nie byłaś na jej ślubie! Wspaniała ceremonia. Mówiłam ci, że dawno temu Cyganka przepowiedziała jej małżeństwo z Potockim? Kto by wtedy w to uwierzył! Spróbuj się dzisiaj dobrze bawić.

– Dzięki Bogu, że w końcu jesteś, Zofio! – zawołała księżna Anusia Potocka, gdy Zofia i Anna wysiadły z powozu.
– Witaj, Aniu! Wchodźcie, wchodźcie!

Dom był ciepły, wypełniały go dźwięki muzyki, rozmów i wspaniałe zapachy. Anna spotkała księżną Potocką dwa lub trzy razy, jednak dopiero teraz została przedstawiona jej teściom i wujowi, księciu Józefowi Poniatowskiemu, bratankowi zmarłego króla. Łączyło ich nawet pewne podobieństwo, ale ksiązę był przystojniejszy i bardziej męski.

W ogromnej sali recepcyjnej rozmawiało dwudziestu gości skupionych w niewielkich grupkach. Generał Henryk Kalkreuth rozsiadł się wygodnie na wyściełanym krześle z wysokim oparciem i rozmawiał po niemiecku z kilkoma stojącymi w pobliżu pruskimi urzędnikami... i pochlebcami. Anna doszła do wniosku, że generał wcale nie wygląda na wojskowego. Z okrągłej twarzy i prostodusznego uśmiechu przypominał trochę podstarzałą ciotkę. Do tego wizerunku nie pasował tylko duży nos. Hrabina Stelnicka nie rozumiała, dlaczego gospodarze zaprosili komendanta i jego towarzyszy. Przecież ojciec księżnej Anusi Potockiej był zwolennikiem konstytucji, a wszyscy domownicy marzyli o wolnej Polsce.

We wschodniej części sali – z dala od Prusaków – siedział na krześle Rosjanin w mundurze. Patrzył na Annę.

– Kto to jest, Zofio?

Chociaż Zofia nigdy nie należała do osób, które chętnie obniżałyby głos, tym razem to zrobiła.

– Generał Bennigsen... jeden z pięciu zamachowców, którzy zamordowali cara Pawła.

– Cara Pawła?! – wybuchnęła Anna.

Zabójstwo cara Rosji – podobno dokonane rękami rosyjskich oficerów przekupionych przez brytyjskich agentów – w tysiąc osiemset pierwszym roku zaszokowało całą Europę.

– Ciii! Usłyszają cię!

Rosjanin odwrócił się, więc Anna mogła lepiej mu się przyjrzeć. Miał błyszczące, głęboko osadzone oczy, wystającą brodę i siwe, mocno przerzedzone włosy związane z tyłu głowy. Sprawiał wrażenie dystyngowanego.

– To Brytyjczycy namówili Rosjan do tego zamachu, prawda? – spytała Anna, zasłaniając twarz wachlarzem.

– Tak, a on chętnie ci wszystko opowie, jeśli go tylko zapytasz. Car odpierał całą piątkę z większym męstwem, niż się spodziewali. Jeśli chodzi o Bennigsena, jest dumny ze swojego udziału w morderstwie. Uważa się za współczesnego Brutusa. Znasz pewnie to przysłowie – dodała Zofia, machając ręką – że cnota i pokora nie ma miejsca u dwora. Król Stanisław też miał okazję się o tym przekonać.

Komentarz Zofii właściwie padł mimochodem, ale jej słowa prześladowały Annę, ilekroć myślała o planach wolnomularzy wobec Tadeusza.

W nieskończoność odwlekano podanie posiłku, bo okazało się, że jeszcze nie ma wszystkich gości.

– Na kogo czekamy, Zofio? – spytała Anna.

– Na księcia Adama Czartoryskiego.

– Tak?

– I niespodziewanego gościa.

– Kto to taki? Powiedz!

– Sama zobaczysz.

Na twarzy Zofii pojawił się zarozumiały uśmiezek.

Anna nie musiała długo czekać. Pół godziny później wszedł młody, przystojny mężczyzna w lśniącym rosyjskim mundurze, a za nim pojawił się książę Czartoryski i inni.

Głębokie ukłony świadczyły, że nie jest to zwykły oficer. Był to car Rosji, Aleksander!

Anna poczuła, że się rumieni. Zofia spletała jej psikusa. Hrabina Stelnicka z pewnością nie wybrałaby się na przyjęcie, gdyby wiedziała, że gościem będzie car. Pomimo upływu lat wciąż nienawidziła carycy Katarzyny i doskonale pamiętała Rosjan w Warszawie.

Teść Anusi, książę Stanisław Potocki, przedstawił cara gościom, a potem skierował go tam, gdzie stała Anna i Zofia. Anna, usiłując ukryć emocje, skłoniła się rosyjskiemu władcy. Zofia uśmiechnęła się i uwodzicielsko opuściła powieki.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt, że mogę poznać Waszą Cesarską Mość.

Zaskoczony Aleksander wymamrotał coś jak uczeń i poszedł dalej.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji Anna odciągnęła Zofię na bok.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bobyś nie przyjechała! Mam rację?

– Tak, ale decyzja powinna należeć do mnie. Wychodzę! Zofia chwyciła Annę za rękę.

– Nie możesz, Aniu! – szepnęła. – Anusia posadziła cię przy jego stole. Mógłby poczuć się urażony twoim zachowaniem.

– Pragnę ci przypomnieć, że Katarzyna nasłała legiony na Pragę i kazała wymordować wszystkich mieszkańców... Mogę również dodać, że przy okazji spalili twój dom. Czy nie mamy prawa czuć się z tego powodu urażone?

– Mamy prawo, Aniu. Zgadzam się z tobą, ale musimy myśleć o chwili obecnej.

– A co się dzieje w chwili obecnej, Zofio? – Anna uwolniła się od kuzynki. – Pruski komendant... i imperator Rosji pod jednym dachem!

Na ustach Zofii pojawił się uśmiech.

– Aleksander jest nawet przystojny, nie sądzisz?

– Owszem, chociaż trochę sztywny. Tylko co on tu robi?

– Próbowałam ci już to powiedzieć, kuzyneczko. W życiu trzeba zachować zdrowy rozsądek. Jak sama widzisz, polskie legiony walczą u boku Francuzów przeciwko naszym odwiecznym wrogom, tymczasem Adam Czartoryski znalazł sposób, by dotrzeć na rosyjski dwór. Powiadają, że Aleksander jest gotów oddać nam nasz kraj... pod warunkiem, iż on sam zostanie królem Polski.

Anna wzruszyła ramionami.

– Słyszałam coś na ten temat, ale wcale nie jestem zachwycona tym pomysłem. Jak w takim razie wyjaśnisz obecności Kalkreutha?

– W ten sposób Prusacy starają się zapewnić Aleksandrowi bezpieczeństwo. Nie pozwalają mu poruszać się po mieście bez eskorty w obawie, że ludziom spodoba się pomysł uznania go za króla. Lękają się przewrotu. Kalkreuth i jego świta mają dopilnować, by car cały i zdrowy wrócił za pruski kordon.

– Chyba Rosjanie nie są tym ucieszeni. Zofia przytaknęła.

– Oczywiście! Z drugiej strony Prusakom też nie jest łatwo, zwłaszcza że muszą radzić sobie jednocześnie z wyzwaniem ze wschodu i zagrożeniem, jakim jest Napoleon, z zachodu. Potrzebują jednak Aleksandra jako sojusznika.

Zaczął się podwieczorek. Ku zaskoczeniu Anny okazało się, że siedzi obok cara. On, najwyraźniej poirytowany, że po jego obu stronach zostawiono tak dużo wolnego miejsca, przesunął nieco swoje krzesło w prawo... w stronę Anny.

– Nie jestem chory, moja droga – wyjaśnił. – I nie gryzę.

Anna udała, że się uśmiecha. Dręczyły ją sprzeczne uczucia: ogromne rozgoryczenie, że Rosja zawsze tak źle traktowała Polskę... i zdziwienie, że siedzi obok władcy ogromnej Rosji. Ujmował ją urodą i bezceremonialnością.

Mówił i zachowywał się jak prostak, ale bez cienia arogancji czy pretensjonalności. Łatwo było zapomnieć, że jest carem. Na dodatek gadał dużo... i głośno, bo kiepsko słyszał.

Większość rozmów prowadzono po francusku, w języku, którego Anna nauczyła się w dzieciństwie i którego używała szlachta w całej Europie. Jakie to dziwne, że przy jednym stole siedzą Polacy, Prusacy i Rosjanie, posługując się językiem małego francuskiego generała, który nawet w tej chwili posuwał się na wschód i coraz bardziej zbliżał się do Polski.

– Była pani w Rosji? – spytał car, odwracając się do Anny.

– Nie – odparła. – Ale mój mąż miał posiadłość zaledwie kilka kilometrów na zachód od waszych granic, w pobliżu Halicza. Po rozbiorach Polski jego majątek znalazł się pod zaborem austriackim. Ten sam los spotkał ojcowiznę mojej kuzynki.

Zofia, która siedziała po przeciwnej stronie stołu, skrzywiła się, słysząc śmiały komentarz Anny, ale Aleksander albo nie rozumiał, o co chodzi, albo nie chciał rozumieć.

– Nie chciałyby pani zobaczyć ogromnych rosyjskich przestrzeni? – zapytał.

– A powinnam?

Kiedy opisywał uroki swojej krainy, Anna zerknęła na zebranych przy stole. Zauważyła, że generał Bennigsen ani na chwilę nie odrywa od niej wzroku, a na jego wargach igra delikatny uśmiezek. Odwróciła się do cara.

Aleksander ani słówkiem nie wspomniał o ciężkim losie rosyjskich chłopów, więc uznała, że może odegrać rolę adwokata diabła i przypomnieć polskie przysłowie: „Musi to na Rusi, a w Polsce jak kto chce”. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że Zofia przez cały czas bacznie śledzi jej *tête-à-tête* z carem. Chyba czytała w myślach Anny, bo rzuciła jej ostrzegawcze spojrzenie.

Prawdę mówiąc, hrabina Stelnicka sama nie wiedziała, skąd ma tyle odwagi. Przez chwilę zastanawiała się, czy Aleksander mógłby poruszyć w rozmowie z Austriakami temat straconych posiadłości. Przed posiłkiem teściowa Anusi zażartowała, że poprosi cara, by oddał Polakom ich ojczyznę, dodając szeptem, że nie można prosić monarchy o coś, czego sam nie zechciał już wcześniej łaskawie ofiarować.

Car zmęczył się zachwalaniem walorów Rosji, zwłaszcza że w odpowiedzi Anna jedynie uniosła brwi. Zamilkł i zajął się jedzeniem. Wkrótce przyłączył się do ogólnej rozmowy prowadzonej przy stole.

Podczas posiłku – ku rozczarowaniu wszystkich patriotów – Aleksander jedynie napomknął o swoich planach co do Polski. Na szczęście po kolacji podano w sali recepcyjnej wina i kordiały, które rozwiązały nieco języki generałom flirtującym z Polkami. Pytali oni swoje wybranki, jakie błyskotki mają im przywieźć z Paryża. Byli pewni, że wkrótce, po odniesieniu kilku zwycięstw, dotrą do głównej siedziby Napoleona.

– Cieszysz się, że pojechałaś? – spytała Zofia, gdy wracały do centrum stolicy. – Zawsze kochałaś politykę.

Anna bezmyślnie wsłuchiwała się w stukot kół na bruku.

– Interesuje mnie tylko to, co dotyczy Polski.

– Aniu, jestem ci wdzięczna, że wspomniałaś o moim majątku pod Haliczem. Co za odwaga... Czasami mnie zaskakujesz.

Anna wzruszyła ramionami.

– Jak sądzisz, czy... Aleksander ogłosi się królem Polski? Zofia machnęła ręką.

– Nie, jeśli Napoleon znajdzie sposób, by szybko dotrzeć do Warszawy, zwłaszcza że chyba ma podobne zamiary.

– Czyli będziemy nagrodą w walce między wschodem i

zachodem. – Anna podniosła głos. – Dlaczego władcy nie mogą poprzestać na tym, co mają? Czemu muszą wtrącać się w sprawę Polski?

– Przypuszczam, że po prostu tacy już są.

– Co sądzisz o Aleksandrze? – spytała Anna. Zofia uśmiechnęła się, a potem skrzywiła.

– Całkiem nieźle wygląda, ale jest zbyt elegancki... na mój gust. Bardziej rozkojarzony niż narowisty, jeśli wiesz, o co mi chodzi. Wolę, by przywódca... lepiej panował nad sytuacją. Chociaż był dla ciebie dość miły.

– Ci, którzy wydają się mili, nie zawsze są mili. Zofia wybuchnęła śmiechem.

– To prawda! Chociaż z drugiej strony Napoleon Bonaparte... Chciałabym poznać Napoleona.

– Dlaczego? – spytała Anna. – Co cię w nim intryguje? Jego nowy tytuł?

Zofia potrząsnęła głową.

– Władza, kuzyneczko – odparła, przeciągając głoski. – Jego władza.

Późną nocą Anna siedziała w fotelu przy oknie, które wychodziło na Piwną. Po raz drugi tego dnia próbowała podsumować lata spędzone w Warszawie. Kiedy Zofia zasugerowała przeprowadzkę do stolicy, Anna roześmiała się w duchu. Pomysł, by jak niegdyś zamieszkać z kuzynką, wydawał się nedorzeczny. Za bardzo się różniły.

Zmieniła zdanie jeszcze tego samego dnia, gdy jej powóz dojechał do Sochaczewa i został zatrzymany przez pruską straż, a ona ponownie znalazła się w wypełnionym zegarami gabinecie Dolińskiego.

Tym razem się nie narzucał, ale dziwnie się zachowywał. Odniosła wrażenie, że coś naruszyło istniejącą między nimi równowagę – a zawsze wierzyła swoim przeczuciom. Czy

uznał, że Jan już nigdy nie wróci? Czy przestał się bać, że masoneria może się zemścić, jeśli skrzywdzi matkę ewentualnego kandydata na króla? Tak czy inaczej wyczuła nadciągające niebezpieczeństwo, zwłaszcza gdy zaproponował, że tak jak poprzednio przyśle po nią karetę.

Właśnie wtedy postanowiła wyjechać z Sochaczewa. Następnego dnia spędziła na przygotowaniach. W środku nocy zapędziła Basię i Katarzynę do powozu, w którym już na nie czekał zadowolony owczarek i oblizywał każdego, kto wsiadał.

Anna sprawdziła, czy woźnica wie, jaką drogą jechać, by ominąć Sochaczew. Emma zaproponowała, że wybierze się z nią jako guwernantka Basi, ale Anna nie chciała rozłączać jej z mężem, który nadal musiał zarządzać majątkiem. W ostatnim momencie z domu wybiegła zasapana Lutisza ze zniszczonym kufrem.

– Nie może pani jechać beze mnie. Proszę mnie zabrać. Wiem, że jestem stara, ale jeszcze mogę się do czegoś przydać. Poza tym w pustym domu tylko będę czekać na śmierć.

Przekroczyła już siedemdziesiątkę, ostatnio straciła nieco na wadze, trochę się przygarbiła i robiła wszystko o wiele wolniej, mimo to była w ciągłym ruchu. Anna poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Skinęła głową i kazała Lutiszy wsiąść. Stara służąca należała do rodziny. Przy pożegnaniu wszyscy płakali, ale nikt nie przewidywał, że miną cztery lata... a Anna nadal nie będzie chciała wracać.

Listopad 1806

Generał Dąbrowski zapewniał Jana, że pokój zawarty w Luneville nie jest trwały, a Francja wkrótce ruszy przeciwko Austrii i innym krajom. Niestety, słowa generała nieprędko się sprawdziły. Napoleon Bonaparte długo nakłaniał w Paryżu francuski senat, żeby mianował go cesarzem Francji. Na ceremonię, która w końcu odbyła się w ubiegłym roku, przybył nawet papież i udzielił swojego błogosławieństwa. Jan zastanawiał się, jak makiawelicznymi metodami musiał się posłużyć mały Korsykanin, by postawić na swoim. Naród francuski wyraził zgodę, chociaż z mniejszym entuzjazmem podszedł do pomysłu odrodzenia się monarchii niż szybko rosnąca armia, która uważała Napoleona za idola.

Następnie imperator zaczął planować inwazję na Anglię, co zajęło mu dwa lata. Seria drobnych niepowodzeń zakończyła się totalną katastrofą, gdy francusko-hiszpańska armada spotkała się pod Trafalgarem z flotyllą angielską. Marzenie Napoleona, że trójkolorowa flaga będzie powiewała nad Londynem, rozplynęło się jak kostka cukru w gorącej angielskiej herbacie. Wówczas skierował znów uwagę na kontynent. Legioniści nabrali przekonania, że Polska – nazbyt długo odstawiona na boczny tor – zajmie miejsce, na które zasługuje. Jej odwieczni wrogowie – Austriacy i Rosjanie – sprzymierzyli się z Anglią przeciwko francuskiemu uzurpatorowi, a Prusy ogłosiły neutralność.

Jan i Paweł po raz pierwszy ujrzeli małego Korsykanina, gdy przybył do Lombardii i podczas niezwykle uroczystej ceremonii sam ukoronował się na cesarza Włoch.

– I to na razie tyle, jeśli chodzi o nowy egalitarny ład – skonkludował Jan.

Paweł parsknął śmiechem.

– Kartografowie będą teraz mieli dużo pracy. Granice zaczną się przesuwac jak węże wijące się na rozgrzanym piecu.

Janowi wcale nie było do śmiechu. Krążyły pogłoski, że imperator ma zamiar utworzyć królestwo dla każdego ze swoich braci. Hrabia Stelnicki obruszał się na tę myśl. Wmawiał sobie, że jego ojczyzna aż tak nie upadnie. Taki los może spotkać każdy kraj, tylko nie Polskę. Potem uświadomił sobie, że dla reszty świata Polska nie istnieje.

Pozostawiając legionistów daleko w tyle, Francuzi szybko najechali na Austrię i zajęli Wiedeń. Podczas gdy neutralni Prusacy nie wiedzieli, czy przyłączyć się do koalicji, Napoleon ze swoją rosnącą armią, która liczyła obecnie trzysta pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy, stoczył bitwę z rosyjsko-austriackimi siłami pod Austerlitz – wioską na wschód od Brna na Morawach. Podobnie jak wszyscy polscy legioniści w Lombardii Jan i Paweł byli urzeczeni opowieściami o waleczności i męstwie Napoleona, który zmusił władców Austrii i Rosji do odwrotu. Aleksander sprytnie wycofał swoje siły na tereny dawnej Polski i wysłał nawet do cesarza Francji pismo z gratulacjami. Jan przypomniał sobie list od Anny, która wiele miesięcy temu szczegółowo opisała mu przyjęcie u Potockich i aroganckie przechwałki generałów Aleksandra, obiecujących Polkom francuskie świecidełka. Był ciekaw, czy zatrzymali się w Warszawie choćby na chwilę, kiedy wracali – a raczej uciekali – po przegranej bitwie.

– Mały Korsykanin zawdzięcza wszystko szczęściu – powtarzał Pawłowi bardziej w żartach niż z prawdziwym przekonaniem. – Tylko szczęściu!

– Wykazuje niezwykły talent w dobieraniu sobie generałów – przekonywał Paweł. – Są to młodzi ludzie! Otrzymują szlify w zależności od zasług, Janie, od zasług! To nie dziecienniali

głupcy, uważani przez wrogów za generałów, starcy, którzy przez przypadek albo tchórzostwo wystarczająco długo zostali przy życiu, by tak wysoko awansować. Ani młodzieńcy z dobrych domów, chłopcy, którzy wciąż jeszcze mają mleko pod nosem.

Mówił tak, i mówił, aż w końcu Jan podniósł ręce, sygnalizując, że się poddaje.

Mapa Europy rzeczywiście się zmieniała i Jan musiał przyznać, że w tym względzie Paweł miał rację. Po Austerlitz cesarz zlikwidował Święte Cesarstwo Rzymskie, łącząc państwa centralne i księstwa w coś, co nazwał Związkiem Reńskim z siedzibą we Frankfurcie. Jan cieszył się, że odwieczni wrogowie Polski – Prusy, Austria i Rosja – nigdy nie pogodzą się z Francją, gdyż uzależnione od niej państwo – Związek Reński – tkwi między nimi jak pies podwórzowy. Dopóki Polska będzie trzymała się Francji, dopóty będzie istniała jakaś szansa, że odrodzi się jak feniks z popiołów.

Prusy poderwały się do walki. Przez pewien czas walczyły same, ale za każdym razem Napoleonowi udawało się je pokonać. Francuzi okupowali Berlin i rozpowszechniali wieści o wielkich zwycięstwach w dwóch bliźniaczych bitwach pod Jena i Auerstedt. Pomimo okupacji trzech czwartych terenów i zdziesiątkowania armii Prusy się nie poddawały. Królowa pruska, Luiza, oświadczyła, że walka będzie trwała nadal, i ze swoimi zwolennikami ruszyła na wschód, by połączyć się z Aleksandrem.

Podobno Francuzi chcieli, żeby Napoleon się wycofał, bo kontynuowanie wojny, związane z tym wydatki i ofiary w ludziach nie cieszyły się we Francji popularnością. Tymczasem mały generał słuchał wewnętrznego głosu i kontynuował marsz na wschód. W poszukiwaniu sojuszników łaskawym okiem spojrzał na Polskę.

Ta wieść podniosła na duchu Jana i Pawła. Obudziła w nich

nadzieję, że wkrótce przestaną bronić obcego królestwa, co od jakiegoś czasu było bardzo nudnym zajęciem. W dotychczasowym równaniu pojawił się nowy czynnik – Polska.

Mieli rację. Na początku listopada Dąbrowski przekazał swoim oddziałom najnowsze wiadomości. Jan i Paweł mieli towarzyszyć mu w drodze do Poznania, by przygotować miasto na przyjazd Napoleona Bonapartego.

Anna stała przy oknie przedpokoju sypialni, pomieszczenia, które służyło jej za salon od czasu, kiedy dostała do dyspozycji pierwsze piętro kamienicy Pawła. Patrzyła na ludzi, którzy wychodzili po porannej mszy z kościoła Świętego Marcina.

W mieście panował spokój. Zaledwie kilka dni temu jeszcze słychać było echo żołnierskich butów uderzających o bruk. To Rosjanie wycofywali się przed Napoleonem, dając mieszkańcom Warszawy chwilę wytchnienia. Anna chętnie sprawdziłaby, co się stało z nadętymi generałami Aleksandra: z pewnością ci, którzy przeżyli, uciekali w stronę Uralu mniej dumnym krokiem niż wtedy, gdy wędrowali na zachód.

Obserwowała wiernych, którzy po wyjściu z kościoła ciaśniej owijali się opończami, by chronić się przed lodowatym wiatrem. Był wtorek, ale Basia koniecznie chciała iść na mszę. Chociaż miała dopiero dziewięć lat, zachowywała się jak święta. Z wielkim przejęciem przystąpiła do pierwszej komunii, a teraz, korzystając z bliskości kościoła, niemal codziennie chodziła na mszę. Z prezentów na ostatnie imieniny najbardziej przypadła dziewczynce do gustu książeczka o jej patronce. Nie mogła się doczekać dwunastych urodzin i rozpoczęcia nauki w szkole prowadzonej przez siostry zakonne.

Anna uśmiechnęła się w duchu, przypomniawszy sobie, że

Jan wierzy w Boga, którego można znaleźć na łonie natury... Jak zareaguje na wieść, że jego córka jest tak ogromnie przywiązana do kościoła i kościelnego ceremoniału?

Zauważyła, że Basia zeszła po schodach w zapiętej od góry do dołu fioletowej opończy. Wiatr szarpnął biały szal i rozwiął jasne włosy dziewczynki, tak że z daleka wyglądały jak aureola.

Barbara nawet nie próbowała poprawiać szala, jedynie lekko się pochyliła i ruszyła w stronę domu. Szła po drugiej stronie ulicy i dopiero naprzeciwko drzwi postanowiła przejść. Anna właśnie miała zbiec na parter, gdy dostrzegła mężczyznę, który wyłonił się z pobliskiej bramy i zatrzymał Barbarę, jakby na nią czekał.

Dziewczynka początkowo wyglądała na zaskoczoną, potem się uśmiechnęła, gdy coś jej powiedział. Mężczyzna wskazał na dom i o coś zapytał. Przytaknęła. Wtedy padło następne pytanie. Tym razem mała potrząsnęła głową. Mężczyzna wciąż z nią rozmawiał.

Anna zbliżyła się do okna i starła szron, przez cały czas słysząc w głowie dzwonek ostrzegawczy. Nagle zrobiło jej się niedobrze. Chociaż większą część twarzy mężczyzny osłaniał kapelusz, a sylwetkę – opończa, Anna rozpoznała go po nosie i wąsiku... a także po sposobie poruszania się. Przycisnęła rękę do serca. Dobry Boże! Doliński!

Odwróciła się w stronę schodów. Jedną ręką trzymając fałdy spódnicy, drugą poręcz, niemal sfrunęła na parter. Podbiegła do drzwi i otworzyła je, bojąc się najgorszego – że córka zniknie.

– Mamusiu!

Barbara stała na progu, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Annie brakuje tchu.

Matka spojrzała na córkę, potem na pustą bramę naprzeciwko i znów na córkę.

– Co się stało, mamusiu?

Chwyliła Basię za rękę, wciągnęła do środka, jeszcze raz zerknęła na ulicę i zamknęła drzwi.

Hrabina Stelnicka przyłapała się na tym, że co chwila podchodzi do okna, by sprawdzić, czy w pobliżu domu nie ma Dolińskiego. Do wieczora była bardzo zdenerwowana. Od przyjazdu do Warszawy nie myślała o staroście, ale teraz sam o sobie przypomniał. Barbara potwierdziła, że nieznajomy miał chropawy głos. Dlaczego prześladował jej rodzinę? Dlaczego?

Czy z powodu Tadeusza? Anna nie wierzyła, by jej syn mógł objąć tron Polski, nawet gdyby kraj odzyskał wolność. To był pomysł innych ludzi; jej rodzina nigdy nie miała tak wysokich aspiracji. Prawdę mówiąc, Anna wcale nie chciała, by to się stało. W ciągu jej krótkiego życia wielu monarchów spotkało nieszczęście. Nawet obudzona w środku nocy od razu mogła wymienić ich imiona: Ludwik, Maria Antonina, mąż Katarzyny, Piotr, i jej syn Paweł, no i, oczywiście, Stanisław August Poniatowski. Cnota i pokora nie ma miejsca u dwora.

Marzyła tylko o jednym – żeby cała jej rodzina znów mogła być razem!

Wolnomularze postanowili wykształcić jej syna, zakładając, że pewnego dnia chłopiec może zostać królem. Posłuchała Dolińskiego i nikomu o tym nie powiedziała, nawet Janowi – nie tylko z powodu gróźb starosty, ale też dlatego, że nigdy nie wierzyła w taki scenariusz. Doliński pytał Basię, jak ma na imię, gdzie i z kim mieszka. Powiedział, że podobają mu się jej włosy i oczy. Myśl, że dziewczynka przypadła mu do gustu, zmroziła Annie krew w żyłach.

– To bardzo miły pan – oświadczyła Barbara, nie rozumiejąc obaw matki.

– Ten pan wcale nie jest miły, Basiu! – Anna chwyciła córkę za ramię i potrząsnęła nią. – Nie jest miły, słyszysz? Nie wolno ci więcej z nim rozmawiać... ani z żadnym innym obcym mężczyzną. Od tej pory będziesz uczestniczyć we mszy tylko wtedy, gdy ktoś z tobą pójdzie. Rozumiesz?

– Tak – powiedziała Barbara z wyraźnym zaskoczeniem w zielonych oczach.

Po wyjściu córeczki Anna znów podeszła do okna. Co to wszystko znaczy? Martwiła się, spoglądając z wysoka na ulicę i klnąc w duchu, że mąż jest tak daleko.

Jan nie był wcale zaskoczony przyjacielskim powitaniem tłumów, gdy polskie wojsko pod wodzą Dąbrowskiego wkraczało do Poznania. Ci, którzy wyszli na ulice, tak samo jak on mieli nadzieję, że Polska powstanie z popiołów. Francuskie szwadrony przybyły dwa dni wcześniej i przygotowania na przyjazd imperatora szły już pełną parą.

Polskie oddziały zakwaterowano w gospodach, domach i zabudowaniach gospodarczych w najbliższej okolicy. Jan i Paweł trafili do wyjątkowo miłego zajazdu.

Paweł rozejrzał się po jadalni z pięknym sklepieniem.

– Stawiam dziesięć do jednego, że gdy miasto zacznie się zapępiać, nasze pokoje przypadną w udziale wyższemu oficerom.

Jan wziął kieliszek z wódką.

– W takim razie, póki możemy, wznieśmy toast!

– Masz rację – przyznał Paweł, unosząc kieliszek. – W czasie wojny trzeba żyć chwilą obecną. Jakby każdy dzień miał być ostatnim. Za życie!

– Sto lat!

Paweł wybuchnął śmiechem.

– Szczęśliwy żołnierz, który dożywa setki.

Wypili kiepską wódkę, a Paweł poprosił karczmarcę, żeby

ponownie napełniła kieliszki.

Kilka dni później wyjechali poza miasto. Gdy stanęli nad urwiskiem, ujrzeni oddziały francuskiej piechoty. Prawdę mówiąc, była to dziwna armia. Chcąc uniknąć błotnistych dróg, żołnierze nie maszerowali oddziałami, tylko szli na azymut przez pola, szukając suchych ścieżek. Każdy inaczej niósł karabin, a opończe we wszystkich kolorach tęczy zamieniały krajobraz w barwny dywan.

Jednak gdy w zasięgu wzroku pojawił się Poznań, zaczęły bić bębny, a scena uległa przeobrażeniu. Piechurzy błyskawicznie zdjęli opończe, odsłaniając mundury, ustawili się w szyku, poprawili karabiny, wyprostowali na głowach pierogi. Jan i Paweł nie mogli się nadziwić. Wrócili do miasta, żeby zobaczyć wejście piechoty na rynek. Żołnierze, którzy od wielu dni kilometrami wlekli się noga za nogą, poustawiali karabiny na stojakach i zaczęli czyścić zabłocone buty. Było głośno, wesoło i przyjaźnie.

– Jakby przed chwilą wzięli udział w paradzie! – zdumiał się Jan.

Paweł potrząsnął głową.

– Dobry Boże, co za duch! Do ostatniego szeregowca!

– Nie zgodziłbym się zamienić konia na dodatkową parę butów, ale teraz rozumiem, dlaczego to właśnie piechota wygrywa wszystkie bitwy. Kawaleria wykorzystuje piechurów do swoich celów i często potem sobie przypisuje zasługi, ale tu widać, komu należy się prawdziwe uznanie.

Gdy Napoleon Bonaparte przekroczył dawną zachodnią granicę Polski, generał Dąbrowski i jego ludzie wyruszyli mu na powitanie. Cesarz wyznaczył legionistów, którzy mieli jechać przed i za jego powozem, wyraźnie dając dowód zaufania do Dąbrowskiego. Generał jechał na koniu obok powozu, a gdy na błotnistej drodze tempo pochodu spadło, rozmawiał z Napoleonem przez otwarte okno.

Z powodu bardzo późnego przyjazdu do Poznania musiało się obejść bez wielkich uroczystości powitalnych. Świta Napoleona została zakwaterowana w klasztorze jezuitów, gdzie zamieszkali również legioniści, po czterech w każdym pokoju. Przez trzy dni Napoleon zabierał ze sobą polskich legionistów – w tym Jana i Pawła – na rozpoznanie terenu. Wieczorami obaj przyjaciele wracali do przestronnych i wygodnych pokoi w zajeździe.

– Zachowuje się tak, jakby zwiedzał nasz kraj – zauważył Paweł trzeciego dnia, gdy czekali na cesarza, którego witano w pałacu w Kondrzewie.

– Podobno lubi dokładnie znać ukształtowanie terenu – odparł Jan. – Wszystkiemu się przygląda: każdemu polu, każdemu wiatrakowi. Zauważyłeś, że nigdy nie patrzy nikomu w oczy? Nie sądzisz, że to dziwne?

– Rzeczywiście dziwne. Nie spogląda na człowieka, a mimo to chce wszystko o nim wiedzieć! Pyta o rodowód, miejsce urodzenia, gdzie się uczył, jakie ma plany, jaki jest jego stosunek do chłopów i szlachty. Na Boga, rozmowa z nim jest niezwykle męcząca!

– Na pewno. – Jan spojrzął na pałacyk. – Być może właśnie przyparł do muru hrabinę Treskową.

– Hm – mruknął Paweł – sam powiedziałeś, że lubi dobrze poznać ukształtowanie terenu.

Jan zachichotał.

– Możliwe, że przeprowadza inwentaryzację polskich klejnotów. Podobno ma niesamowitą pamięć.

– Jeśli sugerujesz, że hrabina Treskową to jeden z naszych skarbów, zdradzę ci, iż dobrze jej się przyjrzałem i, jeśli o mnie chodzi, mały Korsykanin może w każdej chwili ją sobie zabrać.

– Cha, cha! Gdzie twoja rycerskość? – spytał Jan z udaną powagą. – Nie, dama, o którą chodzi, to sama Polska. Jej

ziemie i zamki.

– Pesymista!

Tego wieczoru zorganizowano bal na cześć cesarza. Salę wypełniał rozbawiony tłum, jakby nie było wojny. Pojawiły się piękne panie, które chciały rzucić okiem na słynnego zwycięzcę... i pokazać mu się z jak najlepszej strony. Jan z pewnym zaciekawieniem obserwował cesarza, który wędrował od grupki do grupki, uśmiechał się, kiwał głową i rozmawiał. Gdy Napoleon natknął się na jakąś wyjątkowo piękną kobietę, dłużej się przy niej zatrzymywał i zadawał niekończącą się litanię pytań. W ten sposób zdążył już zmęczyć dwie czy trzy Polki. Jedna z nich zemdląła. Cesarz poszedł spać koło północy; jego polska gwardia honorowa również udała się na spoczynek.

Czwartego dnia generał Dąbrowski wezwał Jana i Pawła do swojego tymczasowego gabinetu w pobliskim domu.

– Jak sądzisz, o co chodzi? – spytał Paweł.

– Przypuszczam, że będziemy musieli oddać nasze pokoje. Przez cały dzień zjeżdżały do Poznania kolejne legiony z Włoch. Mamy kwatery, w których mogliby się zatrzymać nawet generałowie. Mogę ci wymienić nazwiska czterech albo pięciu starych polskich wiarusów, którzy dzisiaj się pojawili.

– Może to tylko nowe rozkazy.

– Nie sądzę, bo na razie generał prowadzi pertraktacje z cesarzem.

Dziesięć minut później Henryk Dąbrowski wstał, obszedł biurko i przywitał obu przyjaciół.

– Muszę was pochwalić za służbę u imperatora. To tylko dzięki wam dwa dni temu ten człowiek nie stracił konia i nie wylądował w błocie.

– Ten człowiek... – Jan urwał i poprawił się: – Cesarz... całkiem nieźle sobie wówczas radził, generale. Za to cud, że nie utopiło się tam kilku naszych.

– Wiem, słyszałem! – potwierdził generał. – Ale wróćmy do rzeczy... Ten pomysł podsunął mi cesarz, choć muszę przyznać, że od jakiegoś czasu sam nad tym myślałem.

Minęła długa chwila. Generał Dąbrowski odchrząknął.

– Obaj jesteście doskonałymi *chefs d'escadron*.

– Dziękujemy, sir – odparli zgodnym chórem.

– Mam zamiar jutro awansować każdego z was do rangi majora.

Jan był tak dumny, że się zarumienił. Obaj z Pawłem niezbyt wyraźnie wygłosili formalne podziękowania.

Przed domem Jan i Paweł pogratulowali sobie nawzajem. Potem ich entuzjazm nieco zmalął i w milczeniu wrócili do zajazdu. Doskonale wiedzieli, że po otrzymaniu stopni oficerskich znajdą się w osobnych szwadronach, bo każdy szwadron miał swojego majora. Nie będą już jeździli strzemię w strzemię ani walczyli ramię w ramię. Co gorsza – ich szwadrony mogą być przyłączone do różnych legionów i odesłane w różne strony.

– Napijemy się? – spytał Jan, gdy weszli do gospody.

– Nie, dzięki – odparł Paweł. Jan objął Pawła.

– Tylko jednego. Na pożegnanie. Paweł gorzko się uśmiechnął.

Dwa dni później przyjechał z Warszawy ulubieniec Napoleona, książę Murat, i oznajmił, że miasto zostało zdobyte. Napoleon natychmiast rozpoczął przygotowania do wyjazdu do dawnej stolicy Rzeczypospolitej. Cesarz oznajmił Dąbrowskiemu, że tym razem nie będzie wjeżdżał do miasta nocą, więc spodziewa się entuzjastycznego powitania. Kiedy Napoleon wyruszał do Warszawy, legioniści przez godzinę towarzyszyli mu w drodze, po czym wrócili do Poznania, by czekać na dalsze rozkazy.

Grudzień 1806

Anna, schodząc na dół, zobaczyła, że Zofia szykuje się do wyjścia.

– Dostałam list od Jana – powiedziała. – Obaj z Pawłem są zdrowi.

– To chyba oczywiste. Za bardzo się martwisz, Aniu. Zofia owinęła się szalem i ruszyła w stronę drzwi.

– Pisz, że Napoleon wkrótce przyjedzie do Warszawy.

– Słyszałam o tym.

– Na tym nie koniec! – wybuchnęła Anna.

Zofia się odwróciła.

– Obaj awansowali do stopnia majora.

– To dobrze. Przypuszczam, że są z tego bardzo dumni, ale widzę, że ciebie to wcale nie cieszy.

Anna potrząsnęła przecząco głową.

– Boisz się, że Jan myśli o karierze wojskowej? Anna poczuła, że odpowiedź uwięzła jej w gardle. Zofia przymrużyła oczy.

– Ile lat już tam jest, kochanie? Dobrze wiesz, że obaj wpadli. Armia chwyciła ich w szpony i już nie puści.

Anna spojrzała na Zofię oczami pełnymi łez. Hrabina Grońska podeszła i otoczyła ją ramieniem.

– Dobrze, już dobrze. Gdzie się podział twój patriotyzm, Aniu? W końcu to ty organizowałaś w moim domu nielegalne spotkania, narażając nas wszystkich na niebezpieczeństwo, pamiętasz? To ty znalazłaś sposób, żeby dostać się na Zamek Królewski, i podałaś się za mnie, by móc tam wejść.

Anna nie wiedziała, czy kuzynka z niej nie żartuje. Ponieważ jednak Zofia mówiła prawdę, Anna odrzekła z uśmiechem:

– Przyznaję, że okazałam się dobrą aktorką. Zofia uwolniła Annę z objęć.

– Może jestem w błędzie, najdroższa. Miejmy nadzieję, że cesarz wszystko naprawi, a Jan i Paweł szybko wrócą do domu. Muszę już lecieć!

Pocałowała kuzynkę w oba policzki i wyszła. Anna wróciła na piętro i w swoim saloniku ponownie przeczytała list. Czy Jan ma zamiar zostać na zawsze w armii? Basia weszła do pokoju i stanęła obok matki.

– List od taty?

– Tak, kochanie.

– Co pisze?

– Że cię kocha.

– Co jeszcze?

– Że został majorem.

– Czy to dobrze?

– Tak, Basiu, dobrze. Awansował. Idź i przygotuj się do kolacji. Lutisza robi twoje ulubione danie.

– Knedle?

– Tak, knedle.

Po wyjściu Basi Anna pograżyła się w zadumie. W pewnej chwili złapała się na tym, że nie odrywa wzroku od kryształowej gołębiczy. Szklany ptak stał na stole w pobliżu okna, a nikły blask świecy padał na jego rozłożone skrzydła. Zofia przypomniała jej o okresie poprzedzającym najazd Rosjan na Warszawę w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Anna organizowała wtedy zebrania patriotów w domu Grońskich. Doszła do wniosku, że teraz, kiedy naciski ze strony Prus znacznie zmalały, mogłaby zacząć robić to samo. Natychmiast poprawił jej się nastrój. Potem jednak, gdy próbowała odtworzyć w myślach listę ludzi, z którymi wówczas się spotykała, zdała sobie sprawę, że większość ich albo zasiliła szeregi legionistów, albo wyprowadziła się z

Warszawy i kontakt się urwał. Niektórzy zginęli. Nie, nie da się rekonstruować tamtej grupy.

W dawnych czasach o wielu sprawach dowiadywała się od przyjaciół; obecnie też miała swoje źródła. Księżna Potocka polubiła Annę i często zapraszała ją samą lub z Zofią. Dom Potockich stał się czymś w rodzaju kwatery głównej, w której rozmawiano o polityce i goszczono przywódców. Anna nieraz znajdowała w „Monitorze” coś, o czym tydzień wcześniej słyszała u Potockich.

Wzrok hrabiny Stelnickiej padł na fragment, w którym Jan opisywał, jak księżę Joachim Murat przyjechał do Poznania i przywiózł wieści, że Prusacy zostali przepędzeni z Warszawy.

Na ustach Anny pojawił się uśmiech. Rzeczywiście, Warszawa była wolna. Prawdę mówiąc, Murat, księżę Bergu, tuż przed wyjazdem do Poznania był honorowym gościem Potockich.

Starając się odsunąć emocje wywołane wiadomościami od Jana, podeszła do biurka, wyjęła kartkę papieru i wzięła do ręki pióro, by odpowiedzieć na list męża. Najpierw pogratulowała mu awansu, a potem opisała, jak spokojnie Prusacy opuścili stolicę. Gdy Francuzi ruszyli w stronę Warszawy, generał Kalkreuth pozbierał wszystko, co mógł, i objuczony tobołami, bagażami i karabinami wyniósł się z miasta. Gdy się wycofywał, kobiety i dzieci żegnały go z okien miauczeniem. Dotychczasowy komendant przeprowadził się ze swoimi ludźmi przez Wisłę i połączył z resztą Rosjan. Francuzi pod wodzą Murata weszli do Warszawy dwudziestego pierwszego listopada. Wówczas zaczęła się wielka feta. Na ulicach poustawiano stoły z jedzeniem i piciem, wszędzie zapanowała iście karnawałowa atmosfera. Warszawiacy walczyli między sobą, chcąc zakwaterować u siebie piechurów, chociaż większość mieszczan nie znała francuskiego, a żołnierze – co oczywiste – nie znali polskiego!

Murat nie zgodził się na kwaterę w hotelu i zamieszkał u Potockich. To tam Anna poznała szwagra cesarza i generała jego armii, księcia Murata.

Nie przypadł jej do gustu. Był młody – miał dwadzieścia dwa lata – bezpośredni, elegancki i dobrze wychowany. Niestety, gadał jak papuga, ale w przeciwieństwie do niej w ogóle nie słuchał. Jego tyrady o wojnie czasem trwały nawet godzinę, co w mieszanym towarzystwie było bardzo nużące. Księżna Potocka uznała później, że Murat zachowywał się, jakby był władcą, zwłaszcza że w swoich opowieściach bez przerwy wspominał o Sobieskim. Anna była ciekawa, czy szwagier Napoleona nie przymierza się do roli króla Polski. Czyżby wiązał swoją przyszłość z naszym krajem? Właściwie trudno to wykluczyć – wieść gminna niosła, że jest ulubieńcem małego Korsykanina, który od jakiegoś czasu zdobywał albo tworzył królestwa dla swoich krewnych.

Anna spytała Jana, co sądzi o Muracie, i skończyła list, nie wdając się w komentarze ani nie zdradzając swoich obaw.

– No i? – spytała Zofia, nie czekając, aż Charlotte spokojnie rozsiądzie się w salonie.

Błękitne oczy Francuzki, mniejsze niż za dawnych czasów z powodu upodobania księżnej do słodyczy i związanej z tym sporej nadwagi, błysnęły z przekorą i radością.

– Rozmawiałam z kilkoma rodakami, którzy dość dobrze wiedzą, co w trawie piszczy – wyznała. – Dzięki temu jestem obecnie wiarygodnym źródłem informacji o miłosnym życiu Napoleona.

– Wiedziałam, że jeszcze do czegoś możesz mi się przydać.
– Zofia wybuchnęła śmiechem. – Proszę, to twoja herbata.

– *Merci...* O, kruche ciasteczka... jak miło! – Charlotte naląła sobie herbaty i wsypała do niej dwie łyżeczki cukru. – Gdy Bonaparte spotkał Józefinę, był zaręczony z jakąś

smarkulą młodszą od siebie o dziesięć lat. Skompromitował ją... a potem rzucił dla Józefiny.

Zofia otworzyła szeroko usta.

– I ożenił się z kobietą o dziesięć lat starszą od siebie?!

– Nie o dziesięć... o sześć, ale i tak go nie rozumiem.

– Może uznał, że jest egzotyczna. To Kreolka, prawda? Charlotte przytaknęła.

– Z Martyniki, ale gdzie jej tam do egzotycznej piękności! Na pewno w tym czasie była już przekwitłą różą. Podobno ma tak poczerniałe zęby, że nigdy nie odsłania ich w uśmiechu. Była już mężatką i ma dwoje dorosłych dzieci.

– Rozwiodła się?

Charlotte ze śmiechem starła okruchy ciasteczka z pomalowanych ust.

– Można tak to określić! Za pomocą ogromnego noża. Jej mąż podczas rewolucji zginął na szafocie. Pięć dni przed upadkiem Robespierre'a. Przypuszczam, że to zwykłe zrządzenie losu. Ona też była w więzieniu – gdzie na pewno wyleczono by ją z bólów głowy – ale dziesięć dni po przewrocie odzyskała wolność.

– Znów zrządzenie losu.

– Krążą pogłoski, że w więzieniu bardzo się udzielała... jeśli wiesz, co mam na myśli. Wydaje się, że w oczekiwaniu na wyrok arystokracji nieźle się bawili, nie chcąc przyjąć do wiadomości, co ich czeka, i w ten sposób próbując okazać pogardę dla nowego reżimu.

Zofia wzruszyła ramionami.

– To chyba zrozumiałe.

– Po wyjściu na wolność podobno uczepiła się Napoleona. Zależało jej na kimś potężnym i bogatym. Bonaparte dochodził dopiero do władzy i właściwie nic nie miał. Prawdę mówiąc, myślał, że Józefina jest zamożną kobietą z Martyniki. Ha! Był w błędzie! – Charlotte zachichotała. – Podobno na

noc poślubną wzięła do łóżka swojego pieska, który ugryzł małego kaprala! Chyba nie uwierzysz, piesek wabił się Fortuna!

Zofia również wybuchnęła śmiechem.

– Odpowiednie imię! Wielkie nieba, Char, nie przypuszczałam, że okażesz się tak świetnym detektywem! Doskonale się spisałaś.

– Och, to jeszcze nie koniec. Po ślubie Józefina skarżyła się przyjaciółkom, że Napoleon kiepsko spisuje się w łóżku. Powiedziała, że gdyby to była sztuka, miałyby tylko jeden akt!

Zofia przymrużyła oczy.

– Teraz przesadziłaś!

– Nie, słowo honoru!

– Czy ich małżeństwo jest aż takie złe?

– Jeszcze gorsze. Od początku żadne z nich nawet nie próbuje dochować drugiemu wierności. Wszyscy wiedzą o ogromnych potrzebach seksualnych Józefiny, a biorąc pod uwagę liczne i długie rozłąki, nie brakuje jej okazji, by je zaspokoić. Z kolei Napoleon szuka kobiet wszędzie, gdzie jest... albo *vice versa*. Podczas kampanii w Egipcie jego kochanką była żona porucznika. Rozbił małżeństwo, a potem oprowadzał tę kobietę – miała na imię Paulina – po Kairze, jakby była Kleopatram, a on Cezarem.

– Ile miała lat?

– Dwadzieścia.

– To po Józefinie pewna odmiana. Czy ich związek przetrwał?

– Jedynie do końca kampanii w Egipcie. Potem rzucił Paulinę, jakby była chora na cholere. Podobno Bonaparte bardzo źle traktuje kobiety – w słowach i czynach. Następnie związał się z włoską śpiewaczką operową, którą zabrał do Paryża i urządził jej dom. Ich romans dobiegł końca, gdy Włoszka poznała młodego muzyka i przez jakiś czas

próbowała balansować między dwoma kochankami. Napoleon wyrzucił ich oboje z miasta. Tak postępuje... wszędzie, gdzie się pojawia. Oczywiście, regularnie pisuje do Józefiny i ma szpiegów, którzy donoszą mu o jej zdradach.

– Ale sam też nie jest czysty.

– *Précisément!* Mimo to małżeństwo nadal trwa.

– Teraz pewnie bacznie przygląda się najpiękniejszym polskim kobietom.

Charlotte chciała coś powiedzieć, ale dostrzegła wymowne spojrzenie Zofii i zdała sobie sprawę, że nie musi się wysilać. Parsknęła śmiechem i sięgnęła po ostatnie ciasteczko.

Barbara i Izabela siedziały na sofie naprzeciwko Anny z oczami błyszczącymi z podniecenia. Nie mogły się opanować. Za oknami, na przekór wielogodzinnej ulewie, która potokami zalewała miasto, panował niecodzienny ruch. Przygotowywano fajerwerki, wznoszono łuki tryumfalne, a wszystkie drzwi i słupy ozdabiano wieńcami. Handlarze rozstawiali stragany, a uliczni artyści zajmowali miejsca na placu i pobliskich ulicach.

– Posłuchajcie mnie przez chwilę – powiedziała Anna, przenosząc wzrok z zielonych oczu córki na błękitne Izy. Kiedy ponownie spojrzała na córkę, zauważyła, że Basia ze zniecierpliwienia przewraca oczami. – Mówię poważnie, Basiu... i chcę, żebyście mnie wysłuchały!

– Och, mamusiu, jeśli jeszcze raz chcesz nas ostrzec...

– Owszem, ale musicie mnie wysłuchać! Jutro czeka nas wielkie święto. Prawdopodobnie Piwna będzie nie do przejścia, a połowa mieszkańców Warszawy upije się do nieprzytomności. Rozumiecie?

Dziewczynki przytaknęły.

– Nie mam zamiaru psuć wam zabawy ani zamykać w domu na czas wjazdu francuskiego cesarza, ale chcę, żebyście

ani na chwilę się nie rozłączały. Pod żadnym pozorem! Pójdzie z wami jedna ze służących!

– Jeśli chodzi ci o tego pana, mamusiu...

– Chodzi nie tylko o niego, ale gdybyście go spotkały, natychmiast wracajcie do domu. W takim zamieszaniu ktoś łatwo mógłby was skrzywdzić.

Basia podskoczyła i pocałowała Annę w policzek.

– Nie martw się, mamusiu. Będziemy uważać! – Pobieгла w stronę drzwi i zawołała Izę. – Chodź, Iziu, pomożesz mi wybrać coś ładnego, żeby cesarz mógł mnie zauważyć.

– Masz na to wielkie szanse! – zawołała Iza i wstała. Anna złapała córkę Zofii za rękę.

– Jesteś starsza, Iziu. Proszę, nie spuszczaј Basi z oka.

– Nie spuszczę, ciociu Aniu. Obiecuję.

Iza pochylała się i delikatnie pocałowała Annę.

Hrabina Stelnicka wiedziała, że Iza dotrzyma obietnicy. Jakie to dziwne – pomyślała, gdy została sama. Córka Zofii była rozsądna i poważna, w niczym nie przypominała swojej matki, tymczasem Basia miała w sobie coś z nieprzewidywalnej i nieujarzmionej natury ciotki.

Ostrzeżenia Anny okazały się zbędne, bo Napoleon Bonaparte przyjechał do Warszawy dziewiętnastego grudnia tysiąc osiemset szóstego roku o czwartej w nocy na grzbiecie marnego wierzchowca, którego dostał na stacji pocztowej. Powozy jego świty ugrzęzły na błotnistych drogach. W chwili, kiedy francuski mesjasz wkraczał do Warszawy, miasto spało; nawet wartownik zdrzemnął się w budce i cesarz musiał dobrze nim potrząsnąć, żeby go obudzić.

Gdyby rankiem pogoda się poprawiła, uroczystości uliczne trwałyby nadal, ale rozeszła się wieść, że Napoleon jest już w mieście i śpi smacznie na Zamku Królewskim, toteż nikomu się nie chciało zmagać z grudniowym deszczem i wiatrem.

Barbara i Izabela były zawiedzione.

Dwa dni później o siódmej wieczorem Anna przyjechała do domu Potockich w Wilanowie. Rankiem tego dnia księżna Anusia Potocka przysłała jej zaproszenie, które chętnie przyjęła, bo chciała zdobyć z pierwszej ręki informacje o cesarzu.

Teść Anusi wraz z innymi polskimi patriotami wybrał się tego wieczoru na spotkanie z Napoleonem na Zanku Królewskim, więc nie było go na kolacji.

Po posiłku niektórzy goście grali w karty, inni cicho rozmawiali. Wszyscy niecierpliwie czekali na księcia.

O dziesiątej Anna zaczęła się zastanawiać, czy nie wyruszyć w drogę powrotną do domu. W tym właśnie momencie książe Stanisław Potocki wrócił z rozmów z francuskim cesarzem. Usiadł w sali recepcyjnej, zmęczony i wyczerpany, a wszyscy zebrani przyciągnęli krzesła i otoczyli go ciasnym kręgiem, jak wnuki, którym obiecał przeczytać bajkę. Anna dostrzegła, że książe wcale nie wygląda na rozradowanego. Upił łyk wina, by nieco się odświeżyć przed rozpoczęciem opowieści, potem przyjrzał się zaniepokojonym twarzom.

– Powiedz nam, tato – błagała synowa – co z Polską? Co powiedział Napoleon?

– O Polsce, Anusiu? – westchnął. – Prawie nic. Najpierw opowiadał o tym, czego dokonał na terenie Prus. Mówił i mówił, krążąc przed nami z rękami w kieszeniach i pusząc się jak paw. Kiedy w końcu zatrzymał się na chwilę, by opróżnić kieliszek, przekazaliśmy mu naszą prośbę. Ja i książe Poniatowski namawialiśmy go na restytucję naszego państwa.

– I co? – spytała żona księcia.

– Oświadczył, że Francja nigdy nie uznała rozbiorów Polski. To, oczywiście, podniosło nas na duchu. Potem – co chwila sięgając do tabakierki – zaczął wyjaśniać, że za

niepodległość trzeba zapłacić, czasem nawet życiem. Nawoływał Polaków do jedności. Żądał, żebyśmy wykarmili jego armię, dali rekrutów i pieniądze na jej utrzymanie.

– A co obiecał w zamian? – wtrąciła Anna, zadając na głos pytanie, które dręczyło wszystkich zebranych.

Stanisław spojrział na nią i smutno się uśmiechnął.

– Niczego nam nie obiecał, Aniu. Niczego.

Przez długą chwilę nikt się nie odezwał. Księżę wzruszył ramionami.

– Mimo to większość naszej delegacji nie kryła entuzjazmu. Zapewniali cesarza, że są gotowi oddać nawet srebrne talerze ze swoich stołów, jeśli tylko poprosi.

– Był zadowolony? – spytał ktoś.

– Chyba tak. Tak. Gdy jednak zerknąłem na księcia Poniatowskiego, zdałem sobie sprawę, że nie tylko mnie nie usatysfakcjonowały słowa cesarza. Z ust Napoleona nie padła ani jedna sugestia, że nam pomoże.

Księżę upił spory łyk wina i przyjrzał się pełnym napięcia twarzom.

– Ale kto wie? – spytał. – Przecież wiemy od stuleci, a potwierdzają to obecne czasy, obietnice monarchów są tylko obietnicami.

Wkrótce śmietanka towarzyska Warszawy miała ujrzeć cesarza. Kiedy Anna przygotowywała się na przyjęcie na Zamku Królewskim, mimo woli przypomniała sobie swoją pierwszą wizytę, podczas której zobaczyła króla Stanisława... i drugą, w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku, kiedy bezskutecznie namawiała go, żeby powstrzymał powstanie przeciwko Rosjanom. Gzy wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby rebelianci zaczekali, aż siły Kościuszki uwolnią miasto w mniej krwawy sposób? Czy Polska by przetrwała? Czy tego wieczoru zabawialiby samozwańczego

cesarza w nadziei, że uda się odebrać ojczyznę jej trzem odwiecznym wrogom: Prusom, Austrii i Rosji?

Sznury powozów wjeżdżały z kilku kierunków pod łukowatą bramę prowadzącą na wielki dziedziniec.

– Wepchnij się między tamte karety! – zawołała Zofia do woźnicy.

Potem, wychylając się z okna, poprosiła stangreta najbliższego pojazdu, by ich wpuścił do kolejki. Mimo to czekały prawie pół godziny.

– Powinniśmy przyjść piechotą – orzekła Anna. – Mieszkamy zaledwie kilka kroków od zamku.

– Tylko co pomyśleliby ludzie, widząc, że brniemy przez śnieg?

– Za to z pewnością byłybyśmy już w środku i popijały szampana.

– Jasne! – wybuchnęła Zofia. – W mokrych butach i sukniach.

Anna była zaskoczona gwałtownością kuzynki. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że hrabina Grońska przez cały dzień dziwnie się zachowywała. Obie czekały w milczeniu, aż lokaj otworzy drzwi, żeby mogły wysiąść z powozu. Była prawie dziewiąta i Anna sądziła, że cesarz jest już wśród gości.

Obie panie musiały przejść między żołnierzami, którzy tworzyli szpaler ciągnący się od wejścia – gdzie odebrano od nich opończe – przez marmurowe schody aż do przedpokoju Sali Wielkiej. Żołnierze stali na baczność. Anna zauważyła, że wielu z nich ukradkiem zerka na piękne warszawianki; ona miała na sobie błękitną suknię, Zofia – czerwoną.

– Nie spieszmy się – zaproponowała. – Chciałabym trochę pospacerować, nim wejdziemy do Sali Wielkiej.

– Wspaniały pomysł, Aniu! Zobaczmy, kto postanowił wziąć udział w naszym drobnym *divertissement*.

Wnętrze Zamku Królewskiego nie zmieniło się od czasu,

kiedy Anna widziała je po raz ostami. Przeszły przez Pokój Marmurowy, w którym wisiały portrety ponad dwudziestu dawnych królów Polski. Anna głęboko westchnęła. Z bezbrzeżnym smutkiem pomyślała, że prawdopodobnie nie będzie już następnego polskiego króla.

Kiedy weszła do Sali Narodowej, ogarnęła ją jeszcze większa melancholia, zwłaszcza że był to prawdziwy panteon polskiej historii: ogromne płótna ukazywały najważniejsze sceny z okresu unii Polski z Litwą. Przechodząc przez Salę Tronową, przypominała sobie chwilę, kiedy król Stanisław zaskoczył ją i setki innych ludzi, nadając jej tytuł księżnej. Spojrzała na podwyższenie i setkę wyrzeźbionych orłów fruujących na tle czerwonego aksamitu nad baldachimem. Wyściełany – pusty i żalony – tron migotał w blasku dwudziestu cienkich świec z pszczelego wosku.

– Dobrze się czujesz, Aniu? – spytała Zofia.

– Co takiego? Tak, tak.

– Trochę zbladłaś. Gdzieś tu powinna być Charlotte. Pomóż mi ją znaleźć.

Zaproszeni zostali wszyscy ważniejsi mieszkańcy Warszawy i okolic, a sądząc po tłumach, nikt nie odmówił. Po około piętnastu minutach Anna i Zofia natknęły się w Sali Wielkiej na Potockich i zostały zaproszone do ich grona. Wszędzie słyhać było komplementy pod adresem kobiet. Annie szczególnie spodobała się czarna aksamitna suknia Anusi Potockiej i piękne brylanty Potockich.

– Jest Charlotte – powiedziała Zofia, machając ręką. Natychmiast przeprosiła i wtopiła się w tłum.

– Przyrowadź ją tutaj! – zawołała Anusia.

Trudno było jednak powiedzieć, czy Zofia ją usłyszała, bo chociaż ludzie mówili przyciszonymi, pełnymi oczekiwania głosami, panował spory hałas. Po kilku minutach rozległ się krzyk:

– Z drogi! Z drogi!

Na środku sali zrobiono szerokie przejście, a Anna ujrzała dziwnego dżentelmena.

– To monsieur de Talleyrand – szepnął książę Potocki, pokazując wielkiego szambelana i ministra spraw zagranicznych.

W tym momencie po sali przeszedł szmer:

– Cesarz!

Zebrani poczuli wyraźny dreszcz podniecenia, nikt nie pozostał bierny. Anna zbyt wiele słyszała i czytała o małym Korsykaninie, by też nie być pod wrażeniem.

Cesarz Napoleon Bonaparte wszedł sztywno na salę, zatrzymał się w dużym kręgu, który utworzyli zebrani, i stał w nim jak dumny byk w swojej zagrodzie. Ani się nie skłonił gościom, ani nie opuścił wzroku. Puszył się w paradnym mundurze, jakby chciał, żeby wszyscy dobrze mu się przyjrżeli. Nic dziwnego, że zyskał miano prestidigitatora.

Na chwilę zapomniano o obowiązującym protokole; ze wszystkich stron dobiegały jedynie sapnięcia. Potem jakby zbiorowa pamięć klepnęła każdego gościa w ramię, mężczyźni zaczęli się kłaniać, a kobiety dygać.

Annie zrobiło się smutno, bo pojawienie się obcokrajowca wypełniło salę, Zamek Królewski i gości podziwem i strachem, co nigdy się nie zdarzało za czasów łagodnego i nieśmiałego króla Stanisława.

Potem cesarz z kapeluszem w ręce zaczął krążyć po sali i rozmawiać krótko z poszczególnymi osobami lub grupkami. Nim zapoznał się z połową gości, powszechna euforia nieco zmaląła, a zebrani wrócili do sączenia wina, rozmów i śmiechu.

W pewnym momencie nowy Cezar podszedł do Potockich. Książę przedstawił Napoleona swojej grupce. Anna dygnęła. Gdy się podniosła, zdała sobie sprawę, że szare oczy Francuza

znajdują się mniej więcej na poziomie jej brody. Postrach całego kontynentu był od niej niższy.

Imperator przesunął wzrok z mężczyzn na Anusię, potem na jej teściową, a następnie na Annę i w jego oczach pojawił się blask.

– Co za piękne panie! – powiedział, odchodząc. – Słodkie jak brzoskwinie!

Były zadowolone, chociaż słyszały, że dokładnie te same komplementy prawił innym. Anusia nawet oblała się pąsem.

Po godzinie formalności dobiegły końca i goście zajęli się sobą. Anna rozejrzała się za Zofią. Dostrzegła ją po przeciwnej stronie pomieszczenia, w pobliżu tronu. Zofia i Charlotte rozmawiały z cesarzem. Ich rozmowa trwała dość długo.

– Mąż mojej kuzynki służy w polskich legionach – powiedziała Zofia Napoleonowi.

Była zadowolona z siebie. Cesarz rozmawiał z nią dłużej niż z innymi kobietami. Cała sztuka polegała na tym, żeby pozwolić mu kierować rozmową, a samej udzielać zwięzłych i dowcipnych odpowiedzi. Zadawał dużo pytań.

– Och, polskie legiony są nieocenione – przyznał Napoleon.
– Musi pani podziękować kuzynce, że odstąpiła mi męża. Legioniści są prawdziwymi bohaterami.

– Oczywiście – powiedziała Charlotte – tak jak wszyscy patrioci w tym mieście liczą na *quid pro quo*.

– Naprawdę, księżno?

Miejsce szczerego uśmiechu zajął fałszywy grymas twarzy, jakby Napoleon niczym aktor w ułamku sekundy zmienił maskę.

Niestety, Charlotte niczego nie zauważyła.

– Naprawdę. Marzą, że Wasza Cesarska Mość odda im państwo takie jak przed dziewięćdziesiątym piątym rokiem.

– Ciii... Charlotte – syknęła Zofia, usiłując zatuszować *faux pas* przyjaciółki. – Kobiety nie powinny zajmować się polityką. Wiesz, że tego nie znoszę.

– Przypuszczam, że księżna Sic jedynie wypowiedziała na głos to, o czym wszyscy tutaj dzisiaj myślą – burknął cesarz wyraźnie zniecierpliwiony. – Że jestem nowym mesjaszem, prawda? Lecz tylko ona jedna okazała się wystarczająco naiwna, żeby o tym wspomnieć.

Charlotte uświadomiła sobie, że uraziła cesarza, spojrzała na niego, potem na Zofię i oblała się pąsem.

– Najmocniej przepraszam, Panie. Próbowałam tylko podsunąć pewną myśl.

Cesarz odwrócił się do Charlotte.

– Sądzi pani, że skoro jest pani Francuzką, może mi pani mówić, czego chcą Polacy? Że ma pani prawo coś mi sugerować? Doradzać? Madame, lepiej by pani zrobiła, odpowiednio przygotowując się do oficjalnych przyjęć. Chociaż brylanty odwracają uwagę od pani tępoty, księżno Sic, złoty nie jest kolorem dla kobiet o pani figurze.

Zaszokowana Charlotte otworzyła usta. Baczenie przyjrzała się twarzy cesarza, myśląc, że żartuje. Nie żartował.

Zofia nie mogła się otrząsnąć, kompletnie zaskoczona przebiegiem rozmowy. Pogłoski, że imperator potrafi być okrutny wobec kobiet, potwierdziły się w całej pełni. Charlotte wydukała przeprosiny, niezgrabnie dygnęła i odeszła.

– Pani przyjaciółka być może jest Francuzką – warknął cesarz – ale na pewno nie szlachetnie urodzoną.

– W takim razie macie ze sobą coś wspólnego.

Zofia bez zastanowienia wyrzuciła z siebie ostre słowa w obronie Charlotte. Dopiero gdy je wypowiedziała, zdała sobie sprawę, jak bardzo uraziła cesarza Francji. Niestety, nie mogła już niczego cofnąć.

Patrzył na nią z wyraźnym zaskoczeniem. Wyglądał, jakby wymierzyła mu tęgi policzek. Zofia była pewna, że swym komentarzem zniweczyła wszelkie nadzieje na złapanie małego cesarza w sidła. Nagle pomysł, żeby go uwieść, wydał jej się głupi. Wiedziała, że powinna odejść, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zastygła w bezruchu. Cesarz cofnął się i zmierzył ją wzrokiem od pantofelków po szmaragdowe grzebienie. Czekala.

Kąciki jego cieniuchnych warg drgnęły, a potem... wybuchnął śmiechem. Śmiał się tak długo i głośno, że skupił uwagę stojących w pobliżu.

– A ja myślałem, że Polki są tylko ładne! – zawołał. – Są również odważne. Brawo!

Zofia nie wiedziała, jak zareagować. Poczula ulgę, że na nią nie napadł.

– Niech pani przeprosi w moim imieniu przyjaciółkę – powiedział Napoleon, delikatnie się kłaniając i machając ręką. – Jestem pewien, że kiedyś miała całkiem niezłą figurę. Proszę mi powiedzieć, pani Zofio, czy w innych sprawach też jest pani taka bezpośrednia?

Natychmiast zapomniała o obeldze pod adresem Charlotte.

– Dość dobrze znam Zamek Królewski, Wasza Cesarska Mość. Może zechce go Pan obejrzeć?

– Proponuje mi pani wycieczkę z przewodnikiem? Świetnie. Znała pani byłego króla?

Przytaknęła.

– Znałam Stanisława.

– Stanisława? Jak dobrze?

Zofia oblała się pąsem na tę insynuację, mimo to zdobyła się na uśmiech.

– Wasza Cesarska Mość wie, że Charlotte jest prawdziwą księżną.

Napoleon wzruszył ramionami.

– Sawantka z dawnej epoki nie jest w niczym lepsza od uzurpatorki.

Zofia ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć, iż on sam również jest uzurpatorem. To już z całą pewnością byłoby kuszenie losu. Zamiast tego spytała:

– Czy Wasza Cesarska Mość widział Salę Portretową?

– Nie, chyba nie.

– To mała salka, w której król lubił medytować i prowadzić bardzo delikatne negocjacje polityczne. Na jej ścianach wiszą portrety wszystkich władców Europy.

– Na pewno wszystkich?

– Rzeczywiście, może brakować jednego, bardzo ważnego.

– Na pewno!

Napoleon cicho się roześmiał i spojrzał na niewielki skrawek tiulu, który zakrywał piersi Zofii.

– Jestem przekonany, że wkrótce to się zmieni.

– Z ogromną przyjemnością pokażę Waszej Cesarskiej Mości tę salę. Jest tuż za Salą Tronową.

Napoleon uśmiechnął się porozumiewawczo.

– Nie teraz. – Najwyraźniej ta zabawa odpowiadała mu tak samo jak jej. – Może za godzinkę lub... powiedzmy – o północy?

Nim zdążyła odpowiedzieć, do cesarza podszedł monsieur de Talleyrand. Napoleon odwrócił się i bez słowa odszedł. Zofia poszła poszukać Charlotte.

– No więc, Aniu – spytała Anusia Potocka – co sądzisz o Napoleonie?

Anna przyjrzała się cesarzowi, który przechodził obok nich z Talleyrandem u boku.

– Uważam, że jest bardzo zarozumiały. Anusia wybuchnęła śmiechem.

– Niektórzy powiadają, że wielcy ludzie mają wielką dumę.
– Pewnie masz rację. Tylko duma nie wystarcza, Anusiu. Król Stanisław też był dumny, a dzisiaj w jego łóżu sypia Francuz.

– Czego mu brakowało, Aniu? Znałaś go.

– Chyba zdecydowania i determinacji, ale był dobrym człowiekiem.

– Ojciec mawiał, że jeden dobry człowiek znika w tłumie złych ludzi.

– Czy to samo dotyczy jednej dobrej kobiety? – spytała Zofia, wracając do grupki Potockich. – Czy przechodziła tędy Charlotte?

– Nie – odparła Anna. – Kiedy ją ostatnio widziałyśmy, obie rozmawiałyście z cesarzem.

– Palnęła jakąś głupotę, a on ją obraził. Przypuszczam, że wyszła.

Zofia przez chwilę z nimi rozmawiała, ale była dziwnie rozkojarzona. Po dwudziestu minutach przeprosiła; wcześniej jednak odciągnęła Annę na bok.

– Najdroższa, jeśli mnie nie znajdziesz, kiedy będziesz wychodzić – szepnęła – jedź beze mnie.

Zofia obudziła się zlna potem. W pomieszczeniu było bardzo gorąco. Uniosła głowę, odwróciła ją i ujrzała, że Napoleon dokłada dREW do paleniska. Po co on to robi? Czy powinna zaprotestować? Odwrócił się i podszedł do łóżka. Miał na sobie tylko rozpiętą koszulę.

– Jeszcze daleko do świtu, ale ja niewiele sypiam. Obudziłem cię, skarbie?

– Tu jest bardzo ciepło.

„Gorąco jak w piecu” – uściśliła w myślach.

– I tak powinno być. Sypialnia musi być dobrze ogrzana, tak jak każdy pokój, w którym przebywam!

Leżała na brzuchu. Kiedy zaczęła się odwracać i jednocześnie odkrywać, cesarz położył rękę na jej biodrze, żeby ją powstrzymać.

– Zostań w takiej pozycji, Zofio. Odrzucę nakrycie, jeśli jest ci za ciepło.

Posłuchała, zwłaszcza że małymi palcami zaczął muskać jej odsłonięte plecy i pośladki. Usiadł na skraju łóżka.

– Nie ma nic wspanialszego niż pupa kobiety, moja droga. Nic. Żaden artysta nie potrafi jej odmalować.

Jego palce coraz wolniej poruszały się w górę i w dół, w górę i w dół.

Starła się pokonać dreszcz.

– Dlaczego Wasza Cesarska Mość tak uważa? Nacisnął mocniej.

– Bo to prawda.

Nie odpowiedziała. Uznała, że to ekscentryczny komentarz. Nigdy nie słyszała czegoś takiego.

– Powiedz mi, jak dawno temu straciłaś dziewictwo – rzucił Napoleon.

– Co takiego?

– Przecież słyszałaś.
– Dżentelmen nie zadaje takich pytań.
– Jestem cesarzem, moja droga, nie dżentelmenem. Zofia zerknęła na niego. Napoleon rzeczywiście był dziwny, bardzo dziwny.

– I dlatego żądasz, Panie, odpowiedzi?
– Zdradzisz mi prawdę, jeśli powiem, że tak?
– Nie. Zarechotał.
– Tak myślałem. Nieważne. Rzeczywiście umiesz się poruszać po zamku, moja ptaszyno. Dobrze wiedziałaś, gdzie jest ustęp króla. Sypiałaś tutaj wcześniej! Nawet nie próbuj się wypierać.

Kiedy bez słowa wcisnęła głowę w poduszkę, Napoleon klepnął ją mocno w pupę. Tego się nie spodziewała. Bolało jak diabli! Nie chcąc wybuchnąć płaczem, odwróciła się na bok i próbowała naciągnąć przykrycie. Chwyił ją za nadgarstek.

– Sypiałaś, prawda?
– No i co? – Miała ochotę plunąć mu w twarz, ale zamiast tego powiedziała nonszalancko: – To było dawno.
– Ale Stanisław był już wtedy starym człowiekiem, prawda?

Wzruszyła ramionami.

– Miał nieco ponad sześćdziesiąt lat.
– Lubisz starszych panów? Byłaś wtedy zaledwie kilkunastolatka. Czy to nie dziwne?

Przypomniała sobie, jak ją wtedy cieszyło, że sprawia przyjemność królowi Polski.

– Nie dziwniejsze niż upodobanie do pup.
– *Touché*, moja lisiczko. Mówią, że stary kochanek jest jak stary piec: dużo dymu, mało pary. Co powiesz o starym królu?
Swój żart podkreślił śmiechem i następnym kłapsem. Zofia ukryła ból.

- Stanisław był delikatny.
- W przeciwieństwie do mnie?
- Mówią, że żona Waszej Cesarskiej Mości jest starsza.
- Co takiego?
- Mówią...
- Ani słowa o mojej żonie, słyszysz? Zamiast wykrzyknika, uszczypnął Zofię w ramię.
- Au! – zaskoczona syknęła z bólu.

Nagle przypomniała sobie, że poprzedniego wieczoru też ją uszczypnął, gdy zostawiła lekko uchylone drzwi. Krzyknął, że nie cierpi otwartych drzwi. Przestraszył ją. Co za dziwak! Oprócz kobiecych pośladków i buzujących płomieni lubi bić i szczypać. „No dobrze – pomyślała – gdy nadejdzie odpowiedni moment, odplacę mu pięknym za nadobne”.

W końcu zdołała się uwolnić i odwrócić na plecy. Spoglądał na nią z góry, a jego szare oczy nabrały nieco żywszej barwy. „Kobieta ma coś więcej niż pośladki” – chciała powiedzieć, ale tylko się uśmiechnęła, wyciągnęła ręce i przyciągnęła jego twarz do swojej.

Sprawiła, że na chwilę zapomniał o Józefinie. Na chwilę to ona była cesarzową.

Anna jadła śniadanie z Basią i Izią, kiedy rozległ się odgłos kołatki. Obie dziewczynki wybiegły na korytarz. Kobieta westchnęła. Wiedziały, że ktoś ze służby otworzy drzwi, ale dziecięca ciekawość wzięła górę.

Kiedy wróciły do stołu, Anna przypomniała im o dobrych manierach i odpowiednim zachowaniu. Dziewczynki pochyliły głowy, nieco zawstydzone. Wytłumaczyły, że się zapomniały. Uśmiechnęła się w duchu. Jeszcze niedawno sama postępowała tak samo – albo tak jej się tylko wydawało, bo lata szybko mijały.

- Nie jesteś ciekawa, mamusiu, kto to był? – spytała Basia.

- No dobrze, kto?
- Żołnierz! – odparła dziewczyna.
- I to bardzo przystojny! – dodała Izia.
- Żołnierz?

Anna w pierwszym momencie trochę się przestraszyła.

Poczuła przyspieszone bicie serca. Czyżby jakieś wieści o Janie?

- Jaki żołnierz?
- Nie powiedział, z jakiego jest oddziału – odparła Barbara.
- Oficer?
- Chyba nie – wyznała Izabela. – Nie miał żadnych medali ani szlifów, ale był bardzo przystojny.
- Czego chciał?
- Pytał o księżną Grońską – powiedziała Basia.
- Powiedziałyśmy mu, że nie ma jej w domu – zaświergotała Izabela. – Ciociu Aniu, gdzie jest mama?

Anna z uśmiechem udzieliła wcześniej przygotowanej odpowiedzi.

- Wczesnym rankiem wyszła na przymiarę do krawcowej. Wciąż nie umiała kłamać, nawet w takich sytuacjach.
- Zazwyczaj krawcowa przychodzi do nas do domu – zauważyła Izabela niezbyt przekonana.

Anna wróciła do gościa.

- Co powiedział ten żołnierz?
 - Pytał, ile mamy lat – zdradziła Basia.
 - Dlaczego go to interesowało?
- Sądząc po minach dziewczynek, nie miały pojęcia.
- Powiedziałyście mu prawdę? Nie udawałyście, że jesteście starsze niż w rzeczywistości? To jedna z twoich sztuczek, Basiu.
 - Powiedziałyśmy prawdę – zapewniła dziewczynka.
 - Tak. – Izabela westchnęła. – Nawet nie pomyślałyśmy, żeby dodawać sobie lat.

– Nigdy tego nie róbcie! – przestrzegła Anna.

Uznała, że to bardzo dziwne. Natychmiast ogarnął ją niepokój. O co mogło chodzić temu człowiekowi... i dlaczego pytał o wiek Basi i Izy? Czy ma coś wspólnego z Dolińskim?

– Zostawił kartę wizytową?

– Powiedział, że nie ma – wyjaśniła Iza.

Po chwili kołatka odezwała się ponownie. Dziewczynki poruszyły się na krzesłach, ale Anna wstała i obrzuciła je karcącym spojrzeniem, które przykuło obie do miejsc. Wyszła na korytarz, otworzyła drzwi i ujrzała młodego polskiego żołnierza. Przystojny, jasnowłosy piechur był wyraźnie zdenerwowany, przestępował z nogi na nogę i miał w ręku czapkę. Anna oceniła go na dwadzieścia siedem, dwadzieścia osiem lat.

– Najmocniej przepraszam, pani hrabino. Byłem tu przed chwilą i chciałem rozmawiać z księżną Grońską.

– Wciąż nie ma jej w domu – odparła Anna rzeczowo. Izabela i Barbara stanęły obok niej w drzwiach – jedna z jednej, druga z drugiej strony. Żołnierz oblał się pąsem.

– To samo powiedziały mi pani córki.

– Tylko ta jest moja – wyjaśniła Anna, obejmując Basię. – I może pewnego dnia zaczniesz mnie słuchać.

Żołnierz przeniósł wzrok na Izabelę, jakby czekał, aż Anna wyjaśni, kto to taki. Uznała to za dziwne... i nieodpowiednie. Postanowiła, że nie będzie udzielać dalszych informacji. Zaczekała, aż jego błękitne oczy wrócą do niej, i powiedziała:

– Czy mam coś przekazać hrabinie Grońskiej?

Opuścił głowę i wyjął z kieszeni maleńki złożony karteluszek. Podał go Annie, mówiąc:

– Nie mam karty wizytowej.

Anna wzięła kawałek papieru. Po rozmowie z dziewczynkami musiał gdzieś pójść i sam napisać albo poprosić kogoś o napisanie. Wątpiła, by umiał czytać. To ją

dziwnie wzruszyło. Może był nieszkodliwy?

Żołnierz stuknął obcasami, wyprostował się i uklonił.

– Życzę paniom miłego dnia!

Jego wzrok ponownie powędrował na Izę i zatrzymał się na niej dłużej, niż chciałaby Anna. Poczucie zagrożenia wróciło ze zdwojoną siłą.

– Ja panu również – powiedziała, zaganiając dziewczynki z powrotem do jadalni i zamykając drzwi.

Nim sama tam weszła, stanęła w oknie i przez chwilę obserwowała żołnierza idącego ulicą w stronę Świętego Marcina. Potem zerknęła na karteluszek.

Ujrzała tylko niezdarnie napisane imię: Jerzy.

Po dziesięciu minutach, w chwili, kiedy pozwoliła dziewczynkom wstać od stołu, kołatka odezwała się po raz trzeci. Westchnęła. Żołnierz o imieniu Jerzy był wyjątkowo uparty. Wstała i podeszła do drzwi.

W progu rzeczywiście stał żołnierz, ale tym razem wcale nie był to Jerzy. Na widok oficera Anna wstrzymała oddech.

– Paweł!

– Witaj, Aniu!

– Pukasz do własnego domu?

– Uznałem, że tak będzie lepiej. Nie chciałem was przestraszyć.

Zerknęła w górę i w dół ulicy.

– Jestem sam, Aniu. Bez Jana. Otrzymał inne rozkazy i znajduje się gdzie indziej.

Zdobyła się na uśmiech.

– Tak przypuszczałam. Wejdz, Pawle!

– Dziękuję.

Potecki przestąpił próg, objął Annę i pocałował ją w oba policzki.

– Jak to dobrze wrócić do domu... choćby tylko na kilka dni.

- Tak krótko?
- Tak. Czy zastałem Zofię?
- Nie. Wejdz do jadalni.

Prowadząc go, poczuła, że płoną jej policzki. Przed chwilą okłamała Izę, ale z Pawłem nie pójdzie jej tak łatwo. Co ma mu powiedzieć?

Kiedy usiadł, wyjęła talerz z kredensu i zaczęła przygotowywać mu jedzenie. Rozmawiali o błałych, przyziemnych sprawach: pogodzie, błotnistych drogach i trudach podróży.

Podawała mu gotowane jajka, kiełbasę i chleb żytni. Potem, kiedy usiadła, rozmowa toczyła się nadal, ale Paweł nie zapytał o Zofię.

Wyjaśnił, że towarzyszy posłańcowi, który przywiózł dla Napoleona mapy i dokumenty. Za tydzień odbiorą pisemne odpowiedzi cesarza i udadzą się w drogę powrotną. Przyszedł prosto z Zamku Królewskiego.

Anna poczuła, że znów się rumieni. Jeśli jej podejrzenia były słuszne, Zofia była tam w tym samym czasie, kiedy Paweł wykonywał swoje obowiązki.

– Dziwnie ucichłaś, Aniu. Wybacz, chyba za bardzo się rozgadałem, a ty pewnie cały czas myślisz o Janie.

– Jak on się miewa, Pawle?

– Kiedy go ostatnio widziałem, był zdrow jak ryba.

– Dzięki Bogu! Gratuluję wam awansu.

– Dziękuję... chociaż mieliśmy ochotę odmówić, bo to oznaczało, że zostaniemy przydzieleni do różnych szwadronów.

– Przecież nikt nie robi takich rzeczy.

– Nie odrzuca awansu? – Potrząsnął głową. – Żaden żołnierz nie zdobyłby się na taki krok.

– Gdzie jest Jan?

– Dwa dni temu wyruszył z korpusem ekspedycyjnym w

stronę Gdańska.

– To znaczy, że Napoleon spodziewa się oporu? Będą walczyć?

Twarz Pawła złagodniała. Żałował, że tak dużo powiedział.

– Możliwe, ale Jan potrafi zatroszczyć się o siebie.

– Wolałabym, abyście byli razem.

Uśmiechnął się, jakby się z nią zgadzał. Dokończył śniadanie i poprosił o drugą filiżankę kawy.

– To prawdziwa uczta! Jestem zmęczony herbatą, do tego wyjątkowo kiepską. Pyszna kawa! Jak wam się udało ją zdobyć?

– Przysłał ją teść Anusi Potockiej. Ma sporo najdziwniejszych powiązań. Nie uwierzyłbyś, kto bywa w jego domu!

– Och, uwierzyłbym: Stanisław Potocki stoi na czele grupki, która próbuje wyciągnąć od Napoleona jakieś zobowiązanie wobec Polski.

– Powiedz mi, Pawle, czy sądzisz, że naprawdę powinniśmy wiązać z małym Korsykaninem jakieś nadzieje?

Paweł wzruszył ramionami.

– Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że jestem bardziej skłonny w to uwierzyć niż Jan. Twój mąż to prawdziwy niewierny Tomasz. Chociaż, z drugiej strony, co się stanie, jeśli nie zaufamy Napoleonowi? To dla nas jedyna droga; nie mamy innego wyjścia.

– Tylko czy doprowadzi nas do wymarzonego celu: wolnej i niezależnej Polski?

– Wszyscy zadają sobie teraz takie pytanie.

Nagle w kuchni zrobiło się niewielkie zamieszanie, a po chwili Zofia wpadła przez wahadłowe drzwi do jadalni. Na widok Pawła stanęła jak wryta.

– Dobry Boże! – krzyknęła ucieszona. – Paweł!

Potecki wstał i objął Zofię. Anna zauważyła, że oczy

mężczyzny napełniają się łzami. Hrabina Grońska przyciągnęła krzesło, usiadła i zarzuciła Pawła pytaniami.

Po chwili Anna oświadczyła, że musi ich opuścić, by pozalać korespondencję. Nie dotarła jeszcze na podest, gdy usłyszała, że Zofia i Paweł kierują się w stronę sypialni, rozmawiając przyciszonymi, pełnymi czułości głosami.

Usiadła przy biurku, ale nie była w stanie niczego napisać. Nawet do Jana. Nie mogła przestać myśleć o Pawle i Zofii. Wygląd kuzynki wszystko zdradzał, zwłaszcza że wróciła do domu w sukni balowej, którą miała na sobie poprzedniego wieczoru, a jej włosy i makijaż były w nieładzie. Mimo to Paweł udał, że niczego nie dostrzega. Po prostu nie chciał widzieć nawet największych wad Zofii. Kochał ją... i to od dawna. Czy już wtedy, przed laty, pogodził się z myślą, że ani on, ani nikt inny nie zdoła jej zmienić? Chociaż, z drugiej strony, jak mógł zaakceptować jej postępowanie! Jej romanse! Czy aż tak nisko się cenił? A może jego miłość była tak wielka... tak bezwarunkowa, że akceptował Zofię taką, jaka jest? Czy na tym świecie jest możliwe takie uczucie, które przypomina miłość Boga?

Anna czasami dochodziła do wniosku, że jej kuzynka jest jednocześnie wężem i zaklinaczem węży.

Paweł i Zofia nie opuszczali sypialni przez kilka godzin, póki pukanie Izabeli nie skłoniło ich do przyjścia na posiłek. Podniecone przyjazdem Pawła dziewczynki – tak samo jak Anna – zupełnie zapomniały o jeszcze jednej porannej wizycie: piechura Jerzego.

Wigilia i Boże Narodzenie były wyjątkowo radosne, bo oprócz Pawła pojawili się w domu również Michał i Tadeusz, których wypuszczono na ferie. Brakowało tylko Jana; Annie bardzo dokuczała jego nieobecność. Dwudziestego szóstego chłopcy wrócili do akademii, Zofia i Paweł spędzali ze sobą

czas, który im jeszcze został, a hrabina Stelnicka wybrała się do Potockich w Wilanowie, gdzie zawsze serdecznie ją witano. Starsi państwo Potoccy co wieczór przyjmowali co najmniej kilku Francuzów, między innymi szwagrów cesarza: księcia Borghese i księcia Murata, a także Talleyranda. Napoleon, zajęty planami wojennymi, prawie cały tydzień spędził poza miastem, odwiedzając swoje wojska na wschodzie. Anna była pewna, że wcześniej czy później on również pojawi się w Wilanowie.

Pojawił się. W sylwestra, kiedy zaczynał się nowy, tysiąc osiemset siódmy rok. Anusia powitała Annę w drzwiach. Miała twarz zaróżowioną z podniecenia.

– Och, Aniu! On przyjeżdża!

– Naprawdę?

Anna nie musiała pytać, o kogo chodzi. Cieszyła się, że rodzina jej przyjaciółki będzie gościć cesarza Francji.

– Tak, i przywozi kilku członków swojej orkiestry. Będziemy mieli koncert!

– Wspaniale! – odparła Anna.

– Oczywiście, będzie to włoska muzyka. Napoleon tylko taką uznaje. Przywiózł z Paryża całą orkiestrę, wyobrażasz sobie? Szkoda, że nasza sala koncertowa nie jest większa; moglibyśmy potańczyć.

Cesarz skłonił się, gdy ponownie przedstawiono go Annie.

– Pamiętam hrabinę Stelnicką – powiedział. – Spotkaliśmy się na Zamku Królewskim.

Anna poczuła, że się rumieni. Uśmiechnęła się.

– Wasza Cesarska Mość ma bardzo dobrą pamięć.

– Zielonych oczu pani nie da się zapomnieć.

Kiedy poszedł dalej, Anna zastanawiała się, czy naprawdę wywarła na nim aż takie wrażenie. Bonaparte wiedział, jak się przypodobać.

Podczas koncertu Anusia rozpuściła pogłoskę, która

właśnie do niej dotarła. Podobno imperator wybrał Polkę, której postanowił złamać serce.

– Kto to taki? – szepnęła przy kolacji Anna do Anusi, która siedziała po jej prawej ręce.

Anusia uniosła serwetkę do ust, jakby się obawiała, że ktoś może coś odczytać z jej warg.

– Nikt nie wie... przynajmniej nikt z tutaj zgromadzonych, ale zawsze można zgadywać, nie sądzisz?

„Rzeczywiście można” – pomyślała Anna. Najpierw – co oczywiste – przyszło jej do głowy, że to Zofia wpadła cesarzowi w oko. Nie wątpiła w taką możliwość, nawet jeśli od kilku dni kuzynka była całkowicie pochłonięta wizytą Pawła. Jednak Potecki za dwa dni wyjeżdżał – to wystarczyło, żeby pobudzić ciekawość Anny.

Po kolacji rozstawiono stoliki do kart. Napoleon miał słabość do wista, a do gry zaprosił Anusię, Annę i teściową Anusi, księżnę Potocką. Nieco później Anna dowiedziała się, że cesarz zazwyczaj grywał z trzema kobietami, niezależnie od tego, czy były młode, czy stare. Ciekawe, czy dlatego, że na kwaterach i na polu bitwy otaczają go mężczyźni – zastanawiała się Anna. Napoleon chwilami zachowywał się tak, jakby obdarowywał partnerki swoją obecnością. Starsza pani Potocka grała słabo – zdaniem Anny robiła to z całą premedytacją – natomiast Anna i Anusia nie poddawały się; Anusia próbowała nawet podbijać stawkę, sugerując grę o jakieś pozbawione nazwy królestwo.

– Jakie królestwo? – naciskał Napoleon.

Anusia najwyraźniej czuła, że jeśli powie o Polsce, jedynie rozdrażni cesarza, który słynął z tego, że potrafi być bardzo wybuchowy, zwłaszcza jeśli postawi się go w niezręcznej sytuacji. Anna pospieszyła przyjaciółce z pomocą, proponując:

– Proszę nas zaskoczyć, Wasza Cesarska Mość. Polacy

uwielbiają niespodzianki.

– Naprawdę, pani hrabino? Wie pani, co ja uwielbiam?

– Co takiego?

– Śliczne i wesołe damy, które grają w karty... i nie próbują przegrywać, żeby sprawić przyjemność mężczyźnie!

– Nawet jeśli jest cesarzem? – spytała Anusia.

– Nawet. – Odwrócił się do teściowej Anusi ze złośliwym błyskiem w szarych oczach. – Co pani na to, księżno?

Księżna Potocka blado się uśmiechnęła, ale jej milczenie i nagły rumieniec zdradziły ją bardziej niż jakiegokolwiek słowa.

Paweł zrezygnował z balu, by udać się na spotkanie wolnomularzy w chacie myśliwskiej za miastem. Zauważył, że tym razem cała grupka stara się unikać wszystkiego, co mogłoby świadczyć o pruskich wpływach. Korzenie polskiego wolnomularstwa sięgały pruskich łóż, a ponieważ ostatnio Warszawa uwolniła się spod pruskiej okupacji, wszyscy mieli się na baczności, jeśli chodzi o sprawy, które nie dotyczyły Polski.

Wcale się nie zdziwił, że grupa nieco zmaląła. Kilku starszych członków zmarło albo zniedołężniało, a sporo młodych przyłączyło się – tak jak on – do polskich legionów u boku Napoleona. Mimo to na spotkaniu pojawiło się około dwudziestu osób w opończach i kapturach. Atmosfera była bardzo ożywiona. Właśnie wyszło na jaw, że jeden z ich członków – brat Fabian – był pruskim szpiegiem. Paweł doskonale pamiętał tego człowieka, bo od pierwszej chwili czuł do niego dziwną antypatię. Gdyby brat Fabian nie zgubił sakwy z dokumentami, nikt by go nie zdemaskował. Teraz martwiono się, jakie będą skutki ujawnienia tajemnicy wolnomularzy.

Kiedy zebrała się cała grupa, wielki mistrz poprosił o ciszę i zagaił:

– Nie ma sensu wpadać w panikę, nic nam to nie da. Po prostu musimy mieć się na baczności. Ponieważ Prusacy opuścili Warszawę i obecnie znajdujemy się pod skrzydłami Napoleona, myślę, że nic nam nie grozi. Informacje, które miał brat Fabian, są w tej chwili praktycznie bez wartości.

– A co z chatką? – spytał ktoś.

– Tak, tu rzeczywiście mamy problem – przyznał wielki mistrz. – W przyszłości będziemy musieli zbierać się gdzie indziej. To nasze ostatnie spotkanie tutaj. Ponieważ Kalkreuth odszedł, a Polacy stają po stronie silniejszego, możemy teraz spotykać się w Warszawie. Na pewno znajdzie się jakieś miejsce.

Myśl, że skończą się już dalekie podróże, wywołała powszechną aprobatę.

Nieco później Paweł odprowadził wielkiego mistrza na bok.

– Proszę powiedzieć, co z Tadeuszem Stelnickim – zagał z wyraźnym niepokojem.

– Tadeuszem? Uczy się w Szkole Rycerskiej. Ma teraz jedenaście lat i z tego, co słyszałem, dobrze sobie radzi. Jego brat również.

– Co z planami dotyczącymi jego... Wielki mistrz wzruszył ramionami.

– Plany się nie zmieniły... albo raczej nie zostały sprecyzowane. Nikt nie wie, jakie zamiary ma francuski cesarz względem Polski. W tej chwili chyba trochę się z nami bawi. Może sam jeszcze się nie zdecydował. Niezależnie od tego, jaką decyzję podejmie, może się okazać, że potrzebny nam będzie król. Tadeusz jest odpowiednim kandydatem – dobrze się uczy, dobrze sobie radzi z szablą.

– Niektórzy powiadają, że Napoleon może wyznaczyć na króla któregoś ze swoich szwagrów.

– Niech Bóg ma nas w swojej pieczy! Rzeczywiście

Bonaparte rozdaje królestwa jak cukierki. To smutne, że jesteśmy zdani na jego łaskę.

– Wracając do Tadeusza, wielki mistrzu, czy nic mu nie grozi? Brat Fabian znał nasze plany dotyczące chłopca.

Wielki mistrz pochylił nieco głowę, jakby się zgadzał... chociaż wcześniej o tym nie pomyślał. Lekko przygarbił plecy.

– To prawda, bracie Piotrze, i gdyby Kalkreuth nadal był komendantem Warszawy, byłbym bardzo niespokojny, ale Prusacy opuścili stolicę i przypuszczam, że ich szpieg powędrował z nimi.

– Tadeusz jest synem moich najbliższych przyjaciół, więc muszę się niepokoić, wielki mistrzu.

– Zapewniam, że w szkole chłopiec jest bezpieczny.

– To dobrze. Niezmiernie się cieszę. Wielki mistrzu, jedynie pan zna prawdziwe nazwiska braci. Czy może mi pan powiedzieć, kim jest brat Fabian?

– Chciałbym, ale gdybym znał jego prawdziwe nazwisko, wtedy nie byłby szpiegiem, prawda? Pojawił się u nas jako jeden z pozbawionych ziemi szlachciców z Opola. Kiedy zniknął po odkryciu sakwy, wysłaliśmy kogoś w tamte okolice, mając nadzieję, że ustalą miejsce jego pobytu. Wygląda jednak na to, że szlachcic, którego nazwisko podał mi brat Fabian, zmarł dwa lata temu w wieku osiemdziesięciu trzech lat.

– Widział pan jego twarz, gdy starał się dostać w nasze szeregi.

– Oczywiście, bracie Piotrze, ale nie jestem zbyt dobry w zapamiętywaniu twarzy ludzi, których widziałem jeden raz.

Paweł westchnął.

– Czyli moglibyśmy go zidentyfikować tylko po głosie.

– Po głosie? Paweł przytaknął.

– Tak, denerwująco chropawym głosem.

– Masz rację, przyjacielu. Brat Fabian mówił, jakby miał usta pełne kamyczków.

Wracając do Warszawy, Paweł zastanawiał się, czy powiedzieć o wszystkim Annie. Czy to rzeczywiście konieczne? Po co budzić strach, jeśli nie ma takiej potrzeby? Może wielki mistrz miał rację i Tadeuszowi nic nie grozi. Dzięki Napoleonowi Prusacy przestali interesować się Polską, a szpieg mógł powędrować za Kalkreuthem i Prusakami, gdy oddawali Warszawę Francuzom.

Ponieważ jednak nikt nie znał jego prawdziwego nazwiska, równie dobrze mógł zostać i nadal służyć pruskiej koronie. Brat Fabian mógł być wszędzie. Kiedy wielki mistrz wypytywał Pawła o Stelnickich, brat Fabian przerwał im rozmowę, dziwnie zainteresowany tym tematem. O co on wtedy pytał? Paweł nie mógł sobie przypomnieć, pamiętał jedynie, że zaskoczyła go wówczas nagła ciekawość tego człowieka. Wydawała mu się bardzo dziwna. „Lepiej dmuchać na zimne – pomyślał Paweł. – Warto ostrzec Annę”.

Styczeń 1807

Przez cały styczeń organizowano przyjęcia, spotkania i koncerty. Pierwszy uroczysty bal na cześć francuskiego cesarza odbył się w siedzibie de Talleyranda. Gdy pojawiła się tam Anna, orkiestra Napoleona już grała włoskie pieśni. Anusia machnęła do niej ręką.

– Chcę ci przedstawić moją przyjaciółkę, Aniu. To hrabina Maria Walewska.

– Miło mi panią poznać.

Anna uznała młodziutką dziewczynę za objawienie, tak pięknie wyglądała w białej muślinowej sukni. Zachowywała się nad wyraz skromnie.

– Anusia opowiadała mi o pani tyle dobrych rzeczy.

– Cieszę się, że zdążyłam przybyć, nim przeszła do złych – zażartowała Anna.

Pani Walewska miała miły głos i uroczo się śmiała. Jej jasne włosy opadały kaskadą loków, a alabastrowa cera uwydatniała błyszczące oczy w kolorze chabrów.

– Nie jest pani z Warszawy, prawda? – spytała Anna.

– Nie, mój mąż i ja mieszkamy w Walewicach, niedaleko stąd, ale w Warszawie mamy dom przy Bednarskiej.

– Aha, rozumiem – powiedziała Anna. – Powiedzcie mi teraz, czy dużo straciłam.

– Tylko widok Talleyranda, który postanowił dostarczyć Napoleonowi lemoniadę na złotej tacy – zażartowała Anusia.

– Udaje służącego, chociaż wszyscy wiedzą, że uważa Korsykanina za karierowicza. Mój teść powiada, że w młodości Talleyrand cieszył się dużym powodzeniem wśród kobiet, więc teraz jest rozgoryczony i zazdrosny.

– Och! A gdzie jest twój teść?

– Zarówno księżę Potocki, jak i mój mąż są na jakimś spotkaniu.

Porozumiewawcze kiwnięcie głową potwierdziło, że jest to spotkanie wolnomularzy. Anusia zaledwie tydzień temu wyznała Annie, że obaj panowie są członkami tajnej organizacji.

Po chwili urwały rozmowę, bo Napoleon podszedł do Anny.

– Och, jedna z moich ulubionych partnerek do wista! Czy wyświadczy mi pani przysługę i zatańczy ze mną, pani hrabino? Kazałem orkiestrze zagrać kadryla; w nim jestem najlepszy.

Anna dygnęła i przyjęła zaproszenie. Kiedy Napoleon prowadził ją na parkiet, myślała tylko o jednym: że jest wyższa od cesarza. Wiedziała, że przygląda się jej wiele par oczu, toteż uśmiechała się, usiłując jednocześnie prowadzić błahą rozmowę, taką, na jakiej bardzo zależało Napoleonowi. Cesarz wykonywał odpowiednie kroki, ale robił to mechanicznie i bez gracji. Zupełnie jakby uważał, że muzyka – podobnie jak żołnierze – powinna podążać za nim. Po kadrylu wrócili do Anusi i Marii.

– Patrzyłyście? – spytał Anusię. – Jak waszym zdaniem tańczy?

– Jak na wielkiego człowieka przystało, naprawdę bosko.

– Czy to komplement? – spytał cesarz nosowym głosem, unosząc brew. – Czy ukryta zniewaga?

Anusia oblała się pąsem.

– Komplement, Panie.

– To dobrze! – Odwrócił się do pani Walewskiej. – A kim jest pani małomówna sąsiadka?

Anusia dokonała prezentacji. Napoleon skłonił się pani Walewskiej.

– Czy milcząca dama wytrzyma ze mną jeden taniec? Tym

razem to pani Walewska się zarumieniła, po czym bez słowa przyjęła propozycję cesarza i podała mu rękę. Napoleon wprowadził ją na parkiet.

– Obserwowałam was podczas tańca, Aniu – powiedziała Anusia, zasłaniając usta wachlarzem. – *Ma chère*, ten człowiek tańczy jak nieboszczyk.

Anna wybuchnęła śmiechem.

– Kiedy kobieta słabo tańczy, zawsze może zwalić winę na suknię, mężczyzna nie...

Podobnie jak cała sala patrzyły na cesarza i Marię Walewską.

– Anusiu, nie wiedziałam, że Napoleon nie zna twojej przyjaciółki, Marii, inaczej przedstawiłabym ich sobie.

Anusia ponownie zasłoniła twarz wachlarzem i obniżyła głos.

– To tylko pozory, Aniu. Cesarz specjalnie urządził takie przedstawienie. Wiedział, kto to jest... i że będzie tu dziś wieczorem.

– Ale...

– Ciii... – syknęła Anusia, głośno składając wachlarz. – Porozmawiamy później. O, spójrz! Przyjechały Zofia i Charlotte.

Anusia pomachała im ręką.

Charlotte kluczyła między zebranymi, torując sobie drogę obfitym biustem – jak rzeźba zamocowana na dziobie hiszpańskiego galeonu. Zofia miała na sobie ametystową suknię z dużym dekoltem. Szła za Francuzką, ściągając na siebie pełen pożądania wzrok panów i chłodne, uprzejme, nieprzychylne spojrzenia kobiet.

Po powitaniach w sali balowej zaczęły się rozmowy o orkiestrze, gościach i strojach. Anna zauważyła, że ciemne oczy Zofii podążają za Napoleonem i Marią Walewską. Gdy skończył się taniec, para nie wróciła do towarzystwa, tylko

udała się do stołu z napojami, a potem usiadła po przeciwnej stronie sali.

W pewnej chwili, w środku wywodu Charlotte, Zofia straciła cierpliwość.

– Kim jest ta kobieta?

– Jaka kobieta? – spytała Anusia.

– Ta, która rozmawia z Napoleonem... i wygląda w bieli jak westalka! Kto to jest?

– Maria Walewska, hrabina z Walewic – wyjaśniła Anusia.

– Mój teść kazał mi ją zaprosić.

W tym momencie Talleyrand poprosił Anusię do tańca, więc nie zdążyła nic więcej powiedzieć. Anna i Charlotte usiłowały prowadzić dalszą rozmowę. Obie wiedziały, że Zofia jest oburzona na cesarza, który całą uwagę skupił na młodziutkiej dziewczynie. Tak, młodziutkiej dziewczynie, bo pani Walewska nią była – przynajmniej w ocenie Anny.

Anusia wytrzymała dwa tańce z Talleyrandem, po czym wróciła.

– Zapewniam was, że fatalny taniec tego pana ustępuje tylko jego oddechowi.

Jedynie Zofia nie wybuchnęła śmiechem. Wciąż nie odrywała wzroku od pary, która siedziała po przeciwnej stronie sali. Anna przechwyciła spojrzenie Charlotte. Francuzka również obserwowała Zofię. Patrząc sobie w oczy, Anna i Charlotte – które rzadko myślały w podobny sposób – podzieliły się złym przeczuciem. Żadna z nich nie wiedziała, co z tego wyniknie. Można jednak było odnieść wrażenie, że hrabina Grońska zmierza na skraj przepaści.

Serce Zofii waliło ze złości jak szalone. Tak wiele się spodziewała po tym balu! Fortuna uśmiechnęła się do niej, gdy Paweł oznajmił, że wychodzi na spotkanie i nie będzie mógł jej towarzyszyć. Dlatego przez cały dzień

przygotowywała się do kontynuowania – i utrwalenia – romansu z Napoleonem. Najwyraźniej jednak zajęło jej to zbyt dużo czasu. Celowo się spóźniła – chciała, żeby Napoleon zaczął wątpić, czy w ogóle przyjdzie. Tymczasem teraz patrzyła, jak francuski cesarz zarzucał niekończącą się litanią pytań kobietę, której Zofia nigdy wcześniej nie widziała. Cesarz, jak każdy mężczyzna, był cholernie przewidywalny!

Anna, Charlotte i Anusia kontynuowały błahą rozmowę, ale Zofia ich nie słuchała. Nie mogła oderwać wzroku od sceny, która się rozgrywała po drugiej stronie sali.

Wreszcie Napoleon wstał, ukłonił się pani Walewskiej i odszedł. Skręcił w lewo i zgubił się w tłumie. Złość i frustracja Zofii zaczęły maleć. Serce nieco się uspokoiło. Bonaparte tylko flirtował z panią Walewską, nic więcej; teraz została sama – nikt nie dotrzymywał jej towarzystwa.

Obok przeszedł lokaj z kieliszkami szampana. Zofia sięgnęła po jeden, odwróciła się do swojej grupki, by razem wznieść toast i przyłączyć się do komentarzy na temat osób, które właśnie tańczyły mazurka.

Po chwili kątem oka dostrzegła jakieś poruszenie, lekko się odwróciła i zerknęła na miejsce, gdzie siedziała pani Walewska. Przez gęstniejący tłum tylko chwilami było widać samotną kobietę. Nagle u jej boku znów pojawił się Napoleon. Zarzucił jej na ramiona szal.

Gdy ludzie wyszli na parkiet zatańczyć następnego kadryla, tłum nieco się przerzedził, a cesarz znów zniknął.

Zofia bardzo długo wpatrywała się w panią Walewską, ponownie czując przyspieszone bicie serca. Potem dumnym krokiem ruszyła przez salę, ignorując pytanie Charlotte. Stała przed panią Walewską.

– Przepraszam. Chciałabym się przedstawić. Jestem Zofia Grońska.

Kobieta uśmiechnęła się i wstała.

– A ja Maria Walewska.

– Jestem kuzynką Anny Stelnickiej.

– Och, przyjaciółki Anusi, Anny! Miło mi panią poznać. Zofia podeszła do pani Walewskiej w konkretnym celu, ale chwilowo odłożyła sprawę na bok i spytała o rodzinną posiadłość i rodowód.

Po chwili zabrakło jej pytań i cierpliwości. Zrobiła poważną minę.

– Muszę waćpani powiedzieć...

– Och, proszę mówić do mnie Mario.

– Muszę waćpani powiedzieć, że ma pani na ramionach mój szal.

– Co takiego?

Maria najpierw była zaskoczona, a potem zmieszana. Kiedy Zofia powtórzyła, pani Walewska zbladła.

– Widocznie nastąpiła jakaś pomyłka – wyjąkała.

– Z pewnością, i to nie z mojej strony.

– Nie... nie wiem, co powiedzieć. – Pani Walewska zachwiała się, jakby miała za chwilę zemdleć. – Dostałam go od...

– Widzę, Zofio, że... poznałaś przyjaciółkę Anusi! – zaświergotała Charlotte, przyłączając się do zaskoczonych pań. – Przedstawisz mnie?

– Nie... ale pojawiłaś się w samą porę. Czy możesz potwierdzić, że to jest mój szal?

Francuzka spojrzała na panią Walewską, potem na szal i Zofię, która oczami wyobraźni niemal widziała, jak pracują trybiki ukryte pod zmarszczonym czołem przyjaciółki.

– Jest rzeczywiście bardzo podobny do twojego.

– Nie jest podobny! To mój szal!

– Przepraszam panią – powiedziała Charlotte do Marii Walewskiej, ujęła Zofię za łokieć i odprowadziła nieco na bok.

– Co ty wyprawiasz? – spytała Zofia przez zaciśnięte zęby. Księżna, nie rozluźniając uchwytu, zaciągnęła przyjaciółkę w róg sali i dopiero tam ją uwolniła.

– Próbuję zapobiec scenie, którą masz zamiar urządzić.

– Niezależnie od wszystkiego to mój szal, Charlotte!

– Daj spokój, Zofio. Od kilku lat starasz się naprawić zszarganą niegdyś reputację. Nie narażaj jej z powodu głupiego szala. Maria to tylko dziewczyna.

– Dziewczyna?!

Urwała, bo zbliżał się Napoleon i Talleyrand. Obaj byli w dobrym humorze. Zofia odwróciła się do nich z uśmiechem i dygnęła. Monsieur de Talleyrand obdarzył ją niespiesznym, wyćwiczonym skinieniem głowy. Szare oczy Napoleona napotkały spojrzenie Zofii, ale cesarz nawet jej się nie uklonił, gdy wychodził z sali przez najbliższe drzwi.

Zofia patrzyła z niedowierzaniem.

– Zignorował mnie – powiedziała, odwracając się do Charlotte. – On mnie zignorował!

– Owszem. Jest znany z tego, że potrafi być nieokrzesany, niegrzeczny i gruboskórny, a do tego zmienny i nieprzewidywalny. Na dowód mogę ci opowiedzieć ze sto historyjek.

Hrabina Grońska milczała. Jak mężczyzna, z którym zaledwie kilka dni temu dzieliła łożę, mógł przejść obok niej i udać, że jej w ogóle nie zna? Niech go jasna cholera! Nigdy nikt nie rzucił jej w taki sposób. To ona zostawiała mężczyzn. Przypomniała sobie raptem kogoś, kto sam się od niej odsunął... wiele lat temu... w innym życiu. Jan Stelnicki. Zakończył znajomość, a potem, nim zdołała wszystko naprawić, pojawiła się Anna. Od tego czasu tak wiele się wydarzyło!

Starła się pozbierać myśli, a w tym czasie Charlotte opowiadała jedną z historyjek o cesarzu.

– Madame Regnault była śliczną i wesołą kobietą – mówiła. – Piękną i czarującą. Być może historia rozegrała się na sali balowej podobnej do tej. W obecności setek ludzi. Kiedy cesarz natknął się na madame Regnault, zatrzymał się i zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów. Miała piękną suknię i wyszukaną fryzurę, ale Bonaparte był w podłym nastroju. Kiedy orkiestra skończyła grać, powiedział: „Bardzo szybko się pani starzeje, madame Regnault”.

– A rzeczywiście tak szybko się starzała? – spytała Zofia, gotowa zlekceważyć anegdotę.

– Miała wówczas dwadzieścia osiem lat – powiedziała Charlotte.

Zofia wbiła wzrok w przyjaciółkę.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Żeby cię przekonać, że mały Korsykanin jest bardziej zmienny w nastrojach niż jakakolwiek kobieta, którą znam... i brakuje mu ogłady.

– W takim razie dlaczego dotarło do mnie całkiem inne przesłanie?

– Jakie, Zofio?

– Powiedziałaś, Charlotte, że starzejąca się madame Regnault miała dwadzieścia osiem lat. Doskonale wiesz, że ja mam trzydzieści trzy, a pani Walewska, jak słusznie zauważyłaś, jest dziewczyną. Uświadomiłaś mi różnicę wieku.

– Nie miałam takiego zamiaru. Wciąż jesteś bardzo piękna, Zofio.

– Naprawdę? Chyba na mnie już pora. Przepraszam w moim imieniu Annę i Anusię?

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i wyszła.

W domu natychmiast podeszła do szafy w swoim pokoju. Wieszkała opończę, gdy jej uwagę przykuł drewniany kufer, o którym od dawna nie myślała. Stał zamknięty – zrezygnowała

z rzeźbienia, gdy zdała sobie sprawę, że nie odpowiada jej życie rodzinne. Otworzyła kufer. W środku było parę rzeźb, które dostała od Jurka – łącznie z jej własną – i kilka, które wykonała sama. Wyjęła narzędzia i kawałek lipowego drewna, a potem usiadła i – nie zdejmując sukni balowej – zaczęła rzeźbić. Postanowiła, że wyrzeźbi Napoleona. Wyobraziła sobie drewnianą figurkę żołnierza w pierogu na głowie, z dużymi oczami, krótkimi nogami i okazałym brzuszkiem.

Usiadła do pracy. Nie zapomniała tego, czego nauczył ją Jerzy. Po jakimś czasie serce zaczęło bić wolniej, a Zofię ogarnął spokój, jakiego od dawna nie zaznała. Za pomocą dłuta mogła tworzyć dowolne postacie i robić z nimi wszystko, co chce. Wybuchnęła gromkim śmiechem. Dopiero potem pomyślała o szalu. Zostawiła go na Zamku Królewskim po nocy spędzonej z Napoleonem. Jakim cudem znalazł się w rezydencji Talleyranda? I dlaczego? To dziwne.

Nad ranem usłyszała, że wraca Paweł. Szybko schowała do skrzyni narzędzia i zaczęłą figurkę.

– Witaj, Pawle – powiedziała, gdy wszedł do sypialni. Z zaskoczeniem stwierdziła, że ucieszył ją jego widok.

Spotkanie Anny w akademii zostało wyznaczone na dwunastą w południe. Chociaż pojawiła się nieco wcześniej, dyrektor przyjął ją od razu. Kapitan Spinek był grubszy niż zwykle, ale zachowywał się mniej oficjalnie. Anna zastanawiała się, czyjego przyjacielski stosunek jest szczerzy.

– Zapewniam waćpanią, że Tadeusz... że obaj pani synowie... są u nas zupełnie bezpieczni. Wiem o zagrożeniu, jakie wiąże się z bratem Fabianem, ale zapewniam panią, że podjęliśmy odpowiednie działania.

Uśmiechnął się.

– Jakie działania?

– Proszę mi wierzyć, że robimy wszystko, co możemy.

Skąd waćpani ma te wieści?

– Obowiązuje mnie tajemnica. – Anna też umiała udzielać wymijających odpowiedzi. – Nie potraficie znaleźć tego pruskiego szpiega?

Kapitan wzruszył ramionami.

– Niestety, w takich przypadkach kodeks wolnomularzy zwraca się przeciwko nam. Robimy, co możemy. Prawdę mówiąc, niewielu członków naszej grupy poważnie potraktowało pomysł przygotowania dziecka do roli króla. Nie sądzę, by przejął się tym nasz Prusak.

– A pan, panie kapitanie?

– Ja?

Wiedziała, że jej rozmówca gra na zwłokę, chcąc uporządkować myśli.

– Tak. Czy zbytnio nie wziął pan sobie tego planu do serca? Poruszył się na krześle.

– Uważam, że w naszej historii zdarzały się dziwniejsze rzeczy, choć wątpię, by ten pomysł został zrealizowany.

Małe, częściowo przysłonięte powiekami oczka kapitana przewiercały Annę na wylot.

– Niemniej Tadeusz jest kształcony na przywódcę i wierzę, że pewnego dnia nim zostanie. Chociaż nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób do tego dojdzie.

Zdawała sobie sprawę, że kapitan celowo umniejsza znaczenie planów masonerii.

– Gdyby jednak Prusacy – naciskała – którym od dawna zależy, by Polska przestała istnieć, wiedzieli, że przygotowujecie, jak pan to ujął, przyszłego króla Polski, czyż wówczas nie próbowaliby położyć kresu takim działaniom?

Kapitan oblał się pąsem.

– Będziemy chronić Tadeusza.

– Niezależnie od tego, jakie środki waćpan przedsięwziął, by zwiększyć bezpieczeństwo moich synów, chcę, żeby je pan

wzmocnił.

– Zgoda.

Zamrugnęła powiekami, słysząc natychmiastową, pozytywną odpowiedź.

– Sprawdzę to podczas następnej wizyty.

– Jeśli się poskarżą, że mają trochę mniej swobody, będzie pani wiedziała, iż spełniłmy pani życzenie. Myślę, że Tadeusz będzie z tego mniej zadowolony, bo bardzo lubi przebywać poza murami uczelni, na łonie natury. Natomiast Jan Michał mógłby nie wychodzić z sali do szermierki. Anna uśmiechnęła się promiennie.

– Jak sobie radzą, panie kapitanie? Przez twarz dyrektora przemknął cień.

– Na ogół całkiem nieźle, tak jak powiedziałem kilka tygodni temu.

– Na ogół?

– Obaj są nieco popędliwi i przed paroma dniami wdali się w kłótnię, która skończyła się bójką. Trzeba ich było rozdzielić.

Anna zeszywniała.

– O co poszło?

– Nie chcą powiedzieć. Nawet pod groźbą kary utrzymywali, że to prywatna sprawa.

– Dlaczego mnie nie poinformowano?

– Tego typu przypadki czasami się zdarzają. Chłopcy bywają tak samo zazdrośni jak dziewczynki.

– Czy traktujecie Tadeusza nieco inaczej? Jako nadzieję Polski?

– Zdecydowanie nie. Chłopak nie wie, jakie mamy wobec niego zamiary. Pozwoli waćpani natomiast, że spytam, czy jednakowo są traktowani w domu.

– Oczywiście! Poza tym, jak sam waćpan wie, ich wizyty na łonie rodziny są bardzo rzadkie i krótkie.

– Nie martwiłbym się z tego powodu. Jan Michał jest opiekuńczy, dzięki czemu Tadeusz może mieć o sobie wyższe mniemanie – niezła to cecha u przywódcy – jednakże szuka aprobaty u starszego brata.

– A jak im idzie nauka?

– Jak pani wie, Tadeusz jest typem naukowca. Bardzo nam to odpowiada. Chłonie języki jak gąbka.

– A Jan Michał?

– Dla Michała ważniejsza jest sprawność ciała niż umysłu. Jest lepszym szermierzem niż koledzy starsi od niego o trzy, nawet cztery lata. Silny i zręczny, chętnie ryzykuje, ale po wcześniejszej dokładnej analizie sytuacji. Jeśli chodzi o książki, przywiązuje do nich niniejszą wagę niż do ćwiczeń fizycznych. Mimo to daje sobie radę.

– Porozmawiam z nim.

Nieco później Anna czekała w małym pokoju odwiedzin przy głównym wejściu do akademii. Nagle zdała sobie sprawę, że kiedy była mowa o zazdrości, natychmiast uznała, że okazał ją Michał. Czy tak było naprawdę? Czy żywił jakąś urazę z dawnych lat w Sochaczewie? Czy z jakichś powodów mógł wówczas uważać, że Jan bardziej kocha Tadzia? A może to ona dała mu powód do podejrzeń, że brat jest od niego bardziej kochany?

Chłopcy weszli do pokoju jak żołnierze: byli wysocy, wysportowani i pięknie się prezentowali w idealnie wyprasowanych niebieskich mundurach. Tylko oczy zdradzały całkiem nieżołnierskie zaskoczenie, że mają gościa w dzień powszedni.

– Mamusiu! – zawołał Tadeusz, przepychając się obok brata i podchodząc do Anny.

Anna wstała i pochyliła się, by odebrać pocałunek. Przytuliła mocno chłopca, równocześnie machając na Michała, który dziwnie się ociągał. Coraz wyraźniej było

widać, że jest o trzy lata starszy.

– Dzisiaj nie ma odwiedzin – powiedział.

– Zrobili wyjątek. Daj mi całusa!

Objęła Michałka prawą ręką i nie mogła się nadziwić, że nie musi się pochylać, by nadstawić policzek do pocałunku. Był tego samego wzrostu co ona... i o głowę wyższy od Tadka.

Chłopcy przez kilka sekund pozostali w jej objęciach.

– Jesteście tacy duzi! – powiedziała, gdy w końcu ich puściła.

Potem długo i z ożywieniem rozmawiali na różne tematy. Kiedy wspomniała o Napoleonie, obaj okazali jeszcze większe zainteresowanie.

– Poznałaś go? – spytał Tadek.

– Tańczyłam z nim i grałam w karty. Ucieszyła się, widząc zdziwienie obu chłopców.

– Niemożliwe! – zawyrokował Michał.

Zmienił mu się głos. Trzeciego maja skończy piętnaście lat. Stawał się mężczyzną.

– Możliwe, możliwe! – Kciukiem i palcem wskazującym wykręciła Michałowi nos. – Nie wierzysz matce?

– Jaki on jest? – spytał Tadek. – Nasi profesorowie mówią, że odda nam Polskę.

– Naprawdę? Michał przytaknął.

– Na zajęciach ze strategii poznajemy jego metody. Jest niepokonany!

– Chyba tak... przynajmniej tak mnie zapewniał. Szkoda tylko, że taki niski. Nawet ja patrzę na niego z wysoka.

Obaj chłopcy zaprotestowali, jednak Anna twardo obstawała przy swoim. Przez jakiś czas rozmawiali o francuskim cesarzu i perspektywach Polski. Momentami aż nie mogła uwierzyć, że toczy dyskusję z dwójką dzieci – jej synowie tak doskonale byli zorientowani w polityce.

Wyglądało na to, że są wychowywani na patriotów i że wpaja im się podziw dla cesarza.

– Spóźnię się na lekcję szwedzkiego – powiedział Tadeusz, gdy jego wzrok padł na zegar stojący na gzymsie nad kominkiem. – Będziemy w domu za dwa tygodnie, dobrze?

Wciąż miał piskliwy, chłopięcy głosik.

– Dobrze – odparła Anna, domagając się całusa, nim wybiegnie z pokoju.

Potem odwróciła się do Michała.

– A ty? Nie chodzisz na szwedzki? Wzruszył ramionami.

– Nie jestem taki dobry, jeśli chodzi o języki. Jakoś radzę sobie z rosyjskim, francuskim i niemieckim – to wszystko. Prawdę mówiąc, ciężko mi idą, ale są ważne.

– A co z litewskim? Pokręcił głową.

– On też byłby ważny, gdyby Rzeczpospolita miała się odrodzić. Jakie zajęcia lubisz najbardziej?

– Sermierkę i strategię. Została mi godzina do sermierki.

– Rozumiem. Musisz bardziej przyłożyć się do nauki... Michałku, kapitan powiedział, że czasami między tobą a Tadekiem dochodzi do kłótni i bijatyk.

Chłopak przygarbił się i wbił wzrok w podłogę.

– Czasami, ale to nic poważnego.

– Jesteś większy i znacznie silniejszy.

– Wiem.

– O co się bijecie?

– O nic. O drobiazgi.

– Drobiazgi?

Minęła długa chwila milczenia. Anna czekała.

– Po prostu... Tadek czasem myśli, że jest pępkiem świata.

– A ty próbujesz wybić mu to z głowy? Wzruszył ramionami.

– O co biliście się wtedy, kiedy musiano was rozdzielić?

– O nic... powiedział mi coś brzydkiego.

– Co?

– Nieważne.

– Ważne, Michałku. Co ci powiedział?

Chłopiec zacisnął usta.

Anna ujęła go za ramię.

– Powiedz mi, Janie Michale.

Skrzywił twarz, ale nie zdołał ukryć ogromnej złości.

– Bękart! – krzyknął. – Nazwał mnie bękartem!

Anna zacisnęła mocniej palce, ale Michałek uwolnił się z uchwytu. Ze łzami w oczach spojrzał na matkę.

– Czy jestem bękartem, mamó?

Czas ciągnął się w nieskończoność, gdy Anna szukała odpowiednich słów. Pokój i meble rozmyły się w jedną plamę. W końcu spytała:

– Skąd Tadekowi wpadł taki pomysł do głowy?

– Późną nocą podsłuchaliśmy dwóch nauczycieli... którzy szli korytarzem. Jeden z nich użył tego słowa.

– W odniesieniu do ciebie?

Przytaknął.

– Wiesz, co to znaczy?

– Oczywiście!

– A Tadek?

– Nie... chyba nie.

Uniosła rękę, by otrzeć łzy Michała, ale się cofnął i utkwiał w nią brązowe oczy – oczy Waltera.

– Jestem bękartem? – spytał.

Wiedziała, że pewnego dnia będzie musiała zmierzyć się z tym problemem, ale nie przypuszczała, że nastąpi to właśnie dzisiaj. Zwłaszcza w takich okolicznościach. Od dawna się zastanawiała, jak wyjaśnić chłopcu, skąd wziął się na świecie... lecz wszelkie przygotowane wcześniej odpowiedzi nagle gdzieś wyparowały. Minęła długa chwila.

Anna wzięła głęboki wdech i zaczęła mówić, nie mając

pojęcia, jaki efekt przyniosą jej słowa.

– Michałku, wiesz, że Jan nie jest twoim ojcem. Zawsze o tym wiedziałeś.

– Tak.

– Wiesz również, że kiedy się urodziłeś, byłam żoną Antoniego Grawlińskiego. Nie jesteś bękartem, słyszysz? Zanim Jan cię adoptował, nosiłeś nazwisko Grawliński.

– To on był moim ojcem?

Poczuła ucisk w żołądku. Musiała podjąć decyzję. Mogła powiedzieć, że tak, i sprawa byłaby załatwiona. Chłopak na chwilę by się uspokoił. Tylko co by się stało, gdyby w przyszłości prawda wyszła na jaw? Gdyby zaczął pytać o Antoniego. Jaki był? Czy jest do niego podobny? Czy zachowuje się jak on? Na samą myśl o upiększaniu wspomnień o Antonim Annie zrobiło się niedobrze. Jeśli teraz nie wyjawi Michałowi, kto jest jego prawdziwym ojcem, czy będzie w stanie żyć myślą, że okłamywała syna? Nabrała powietrza w płuca. Jak młody mężczyzna... jej pierworodny syn zareaguje na niezbyt miłą prawdę?

– Usiądź, Michałku, obok mnie. Tutaj, na sofie.

Gdy posłuchał, Anna odwróciła się bokiem do niego i zaczęła mówić ze wzrokiem wbitym w ścianę naprzeciwko. Nawet nie próbowała dotknąć syna.

– Gdy wychodziłam za mąż za Antoniego Grawlińskiego, nosiłam cię już pod sercem.

Michał napiął mięśnie.

– Pozwól, że opowiem ci wszystko od początku. Twoim ojcem był Walter Groński. Wiem, że mówisz do Zofii „ciociu”. Zofia jest moją kuzynką, a Walter był jej bratem.

– Czy on o tym wiedział?

– Antoni? – Anna przytaknęła i odwróciła się do syna. – Wiedział, że mogę być w ciąży, ale zależało mu tylko na moim majątku i pieniądzech.

Słyszając te słowa, Michał spojrział na matkę w dziwnie dorosły sposób.

– Dlaczego nie chciałaś wyjść za mąż za mojego ojca? – spytał po chwili.

Nie miała zamiaru wyjawiać wszystkich szczegółów z przeszłości, ale wiedziała, że... odpowiedzi na to pytanie nie zdoła uniknąć. Spojrzała na syna.

– Zostałaś poczęty... wbrew mojej woli.

Minęła długa chwila; Anna zauważyła, że oczy Michałka zasnuły się mgiełką.

– Rozumiesz?

– Zgwa... zgwałcił cię? – Słowa chłopca zabrzmiały dziwnie miękko w porównaniu z ich znaczeniem. Przez chwilę wpatrywał się w matkę. – To znaczy, że mnie nie chciałaś – wydusił w końcu. – Byłem dla ciebie ciężarem. Nie chciałaś mnie!

Anna sięgnęła po jego rękę, ale je wyrwał.

– Wysłuchaj mnie do końca, Janie Michale. Zadajesz dorosłe pytania, a ja staram się ci odpowiadać jak dorosłemu. Pragnęłam cię od pierwszej chwili, kiedy się zorientowałam, że noszę cię pod sercem. Naprawdę. Ciocia Zofia może to potwierdzić. Jesteś moim pierworodnym synem i ani przez moment nie przyszło mi na myśl, by kochać Tadka czy Basię bardziej niż ciebie. Nigdy! Wszystkich was kocham tak samo, słyszysz? – Anna chwyciła go za rękę i przyciągnęła ją do siebie. – Spójrz na mnie, Michałku!

Popatrzył na matkę z wyrazem przypominającym obrzydzenie.

– Jesteś moim synem. Wkrótce staniesz się mężczyzną. Kimś, z kogo będę dumna. Och, Michałku, tak cię kocham!

– Niemożliwe.

– Kocham cię! – Anna starła łzy z jego policzka. – Gdybym mogła jeszcze raz przeżyć tamte lata, niczego bym nie

zmieniła, Janie Michale. Uwierz mi.

– Co się stało... z moim ojcem?

– Był rosyjskim żołnierzem, najemnikiem. Zginął podczas ataku na Pragę.

Potrzebował kilku minut, żeby wszystko zrozumieć.

– Jestem do niego podobny? Anna przytaknęła.

– Tak... i coraz bardziej go przypominasz. Masz jego brązowe oczy, włosy, śniadą cerę. Podobno w jego żyłach płynęła tatarska krew.

– Jestem Tatarem?

Natychmiast pożałowała swojego wyznania. Na pewno w akademii nie opowiadano mu zbyt miłych rzeczy o dzikich plemionach z Dalekiego Wschodu.

– Może stąd twoje upodobanie do strategii – powiedziała ze śmiechem, próbując rozładować nieco sytuację, ale Michałek nie dostrzegł w tym nic śmiesznego. – Och, wielu Polaków na południu ma tatarską krew, Michale. Między innymi ciocia Zofia. Nie ma się czego wstydzić.

– Nie chcę, by w moich żyłach płynęła tatarska krew!

– Na takie rzeczy nie mamy żadnego wpływu. Rozmawiali jeszcze chwilę; Anna zaczęła mieć nadzieję, że Michał jakoś zdoła się pogodzić ze swoim rodowodem. Gdy nadeszła pora rozstania, wstała i uścisnęła syna.

– Jesteś starszy i silniejszy, Michałku. Chcę, żebyś opiekował się Tadkiem. Jest twoim bratem.

Patrzył przed siebie i milczał jak głaz.

– Michałku!

– Będę.

Zauważyła, że powiedział to bardzo niechętnie.

– Żadnych bójek? – naciskała.

– Żadnych.

– To dobrze. – Pocałowała go w oba policzki. – Idź, bo spóźnisz się na zajęcia.

W powozie zaczęła żałować, że pominęła pewne fragmenty historii. Chociaż, z drugiej strony, jak mogła powiedzieć synowi, że to ona zabiła jego ojca, Waltera?

Podczas pożegnania chłopak nie odpowiedział na jej uścisk. Na pewno potrzebuje czasu, żeby uporządkować myśli i uczucia. Jeśli w ogóle mu się to uda.

Kiedy powóz zbliżał się do domu Pawła na Pivnej, Anna pomyślała o całej rodzinie. Zaczynał się kolejny rok, który Jan spędzał w wojsku, tymczasem jej dwaj synowie powoli przeistaczali się w mężczyzn najwyraźniej również stworzonych do żołnierki. Została jej tylko Basia.

Słodki Jezu! Zupełnie inaczej wyobrażała sobie życie.

Luty 1807

Ciężkie chmury wisiały na porannym niebie, gdy Charlotte podjechała powozem na Piwną i wysiadła z niewielkim tobołkiem w ręce. Zofia obserwowała ją z okna sypialni. Po kilku minutach zapukała służąca i oznajmiła, że przyjechała księżna Sic.

Gdy hrabina Grońska weszła do salonu, Francuzka wciąż jeszcze stała.

– Co za niespodzianka, Char – powiedziała gospodyni, całując przyjaciółkę. – Myślałam, że zobaczymy się dopiero wieczorem.

– Chcia... chciałam najpierw z tobą porozmawiać.

– O czym? Jestem bardzo zajęta. Napoleon po przeglądzie wojsk wrócił do Warszawy, więc chcę jak najlepiej wyglądać. Na szczęście Paweł wyjechał.

– Gdzie Izabela? Nie widziałam jej od tygodnia.

– Jest w szkole prowadzonej przez zakonnice. Siostry próbują naprawić to, co zepsułaś. Bardzo ją rozpuszczasz. Co więcej, całkiem niepotrzebnie dałaś jej tę kameę. Teraz modłę się, żeby jej nie zgubiła.

– Uważam, że ktoś musi poświęcić jej choć odrobinę uwagi.

– Nie rozumiem. Iza zaczęła traktować cię jak babcię.

– Naprawdę? – Charlotte wyprostowała plecy.

– Zostaw ją mnie. No dobrze, zmieńmy temat. Co cię sprowadza o tej porze, najdroższa? – Zofia przyjrzała się baczniej tobołkowi, który Charlotte trzymała w rękach. – To coś dla mnie? Prezent?

– Nie, Zofio – powiedziała Charlotte, podając jej paczkę. – To nie prezent.

Młodsza z kobiet rozerwała opakowanie.

– Mój szal! – krzyknęła i spojrzała pytająco na przyjaciółkę.

Rozwinęła szal i odłożyła na bok, nawet nie sprawdzając jego stanu.

– Odebrałaś go tej idiotce... jak ona się nazywa?

– Maria Walewska.

– No właśnie. Wiedziałam, że to mój szal. Nie ma drugiego takiego... Powiedz mi, wróciła już do... do...

– Walewic.

Zofia zrobiła głupią minę.

– Na tę swoją prowincję! Tam, gdzie diabeł mówi dobranoc!

– Walewice to nie prowincja i z całą pewnością diabeł nie mówi tam dobranoc. Tak czy inaczej odzyskałaś szal.

– Do diabła z nim, Charlotte! – krzyknęła Zofia, wzięła szal i rzuciła go na podłogę.

– Wcale nie chodziło o niego, prawda?

– Ależ skąd! Szal jest nieistotny. Bardziej interesuje mnie, jakim cudem trafił z sypialni króla na Zamku Królewskim na plecy tej dziewczyny w siedzibie Talleyranda. Nie udało ci się rozwikłać tej drobnej tajemnicy, prawda?

Charlotte kiwnęła głową.

– Udało mi się. Usiądź.

– Czy to długo potrwa? Chcę się dobrze przygotować na dzisiejszy wieczór. Na razie nie zrezygnowałam z małego kaprała.

– Zależy, ile zadasz pytań. Usiądziemy?

Usadowiły się na krzesłach z wysokimi oparciami, twarzami do siebie.

– Wszystko wskazuje na to – zaczęła Charlotte – że pani Walewska znajdowała się w grupie sympatyków, którzy witali cesarza, gdy w sylwestra wracał do stolicy. Prawdę mówiąc,

Napoleon ofiarował jej jeden z bukietów, które wrzucono mu do powozu. Chociaż bardzo dobrze mówiła po francusku, uznał ją za wieśniaczkę.

Zofia prychnęła.

– Bez wątpienia na nią wygląda. Brakuje jej tylko spódnicy w kolorowe paski.

– Maria nie jest wieśniaczką. Tak czy inaczej zachwyciła go niewinnością i urodą, dlatego po powrocie do Warszawy kazał ją odszukać.

– Nie podoba mi się ta historia, Charlotte.

– Okazało się, że ma osiemnaście lat i od dwóch lat jest mężatką.

– No proszę!

– Żoną siedemdziesięciosiedmioletniego hrabiego.

– Dobry Boże! To mi się podoba.

– Któremu urodziła syna.

– Coraz lepiej... czyli wcale nie jest dziewczicą.

– Mimo to cesarz nie przestał się nią interesować. Dał do zrozumienia kilku panom, że chce, by pojawiła się na balu u Talleyranda. Ściślej: oświadczył, że nie przyjdzie, jeśli jej nie będzie. W Walewicach w dworku Walewskich pojawiła się delegacja patriotów, którym udało się namówić męża, jeszcze nim Maria wyraziła zgodę.

– Banda przekupniów.

– Długo trzeba ją było przekonywać. Koniec końców górę wziął patriotyzm.

– Proszę, tylko mi nie mów, że przyszła na bal z pobudek czysto patriotycznych!

– Owszem, to prawda. Widzisz, jej ojciec zginął u boku Kościuszki, gdy Suworow i jego żołnierze napadli na Pragę.

Zofia teatralnie westchnęła.

– Charlotte, byłam tam... i otarłam się o śmierć.

– Maria nienawidzi Rosjan i ma nadzieję, że Francja

pomoże odbudować Polskę.

Hrabina Grońska lekceważąco machnęła ręką.

– Mała Maria i jej patrioci! Wracając do mojego szala, pozwól, że zgadnę: Napoleon uznał, że przydałby mu się jakiś niepowtarzalny prezent, więc pod wpływem impulsu zabrał do Talleyranda mój szal i ofiarował go tej idiotce.

– Przypuszczalnie tak.

– Co było potem? Czy Maria wróciła do męża?

– Tak, ale to nie zraziło przyszłego cesarza Europy. Zaczął ją zasypywać namiętnymi listami i biżuterią.

– Co na to stary cap, czyli jej mąż? Charlotte wzruszyła ramionami.

– Historia zna mnóstwo takich przypadków. Romans z władcą przynosi profity całej rodzinie konkubiny. Pan Walewski muska piórka, zadowolony, że znalazł się w centrum uwagi. W niczym nie przypomina starego capa, raczej dumnego pawia.

– Chciałaś powiedzieć: głupiego rogacza... A ona... czy ona... wszystko przyjęła?

Charlotte przytaknęła. Zofia sapnęła.

– Co za idiotka!

– Napoleon chce ją zabrać do Paryża.

Młoda kobieta poczuła, że oblewa się pąsem.

– Rozumiem, typowy syndrom Cezara i Kleopatry. Ciekawe, jak zareaguje Józefina.

– Przykro mi, Zofio. Naprawdę.

– Dlaczego miałoby ci być przykro? – Ponownie machnęła ręką. – Nie chcę, żeby ktokolwiek mi współczuł: ani ty, ani nikt inny. Niech ich cholera weźmie!

– Wiem, jak człowiek się czuje w takich sytuacjach. Kiedy cię poznałam, jeszcze mogłam się poszczycić resztkami dawnej urody. Dzisiaj wszystko przepadło. Tylko moje brylanty błyszczą tak jak za dawnych, dobrych czasów w

Paryżu, nim hołota wywołała zamęt.

Zofia przekrzywiła głowę.

– Uważasz, że i mnie zostały już tylko resztki dawnej urody?

– Nie, dziecinko! Wciąż jesteś piękna, ale w tym roku skończysz trzydzieści cztery lata, prawda?

– Tak. Dziękuję, że mi przypomniałaś.

– A Maria ma osiemnaście.

– I jest głupią gąską.

– Ale patriotką. Dzięki temu zostanie „polską zdobyczą” Napoleona.

– Robi mi się niedobrze, Charlotte. To ja miałam być jego zdobyczą!

Charlotte położyła rękę na dłoni przyjaciółki.

– Nie, Zofio, Napoleon stał się twoją zdobyczą, a to duża różnica.

Hrabina Grońska pogрузyła się w myślach, a potem spojrzała na swoją wieloletnią przyjaciółkę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu. Francuzka miała rację. Zgubiła ją agresywność. I pożądanie. Najwyraźniej przez wszystkie minione lata nie doceniała inteligencji francuskiej księżnej.

– Paweł wciąż cię kocha – przypomniała Charlotte. – Nigdy nie mogłam tego pojąć.

– Rzeczywiście mnie kocha. I wiesz co? Ja też nie wiem, dlaczego.

– Nadal wybierasz się na dzisiejsze przyjęcie? Oczy Zofii zrobiły się zimne jak lód.

– Żeby zobaczyć tę idiotkę?

Długo się zastanawiała, czy warto zostawać w domu. W końcu wyprostowała plecy.

– Psiakrew! Dlaczego nie miałabym iść? Przecież oprócz napuszonego Cezara i jego ponętnej kurewki nie zabraknie innych mężczyzn. – Wybuchnęła śmiechem i spojrzała na

Charlotte. – Wyższych i gotowych poświęcić kobiecie w łóżku więcej niż pięć minut!

Chociaż Napoleon Bonaparte liczył, że jego romans z panią Marią Walewską pozostanie niezauważony w kraju, znanym jeszcze nie tak dawno jako Rzeczpospolita, Paweł na początku lutego, będąc z dala od Warszawy, dowiedział się o polskiej zdobyczy imperatora.

Mały Korsykanin musiał jednak zostawić ostatnią miłość i przyłączyć się do swoich sił, które zbierały się w pobliżu Iławy Pruskiej. Wyglądało na to, że Rosjanom nie przeszkadza sroga zima.

Polskie oddziały nie zostały włączone do francuskich formacji, niemniej ze względu na znajomość terenu Pawłowi i dwunastu żołnierzom z jego szwadronu przydzielono zadania specjalne i oddano pod rozkazy księcia Murata. To właśnie pod Iławą Pruską Paweł się przekonał, że Napoleon Bonaparte wcale nie jest niezwyciężony.

Rosyjski generał Bennigsen rozpoczął akcję zaczepną w okolicach polskich jezior i wyciągnął francuskiego cesarza z ciepłej sypialni na pole bitwy. Chociaż Bonaparte podejmował mądre decyzje, nie wchodziły one w życie z powodu niesprzyjających okoliczności: przechwytywano rozkazy, teren był grząski, bez przerwy padał śnieg i panowały niskie temperatury. Zabawa w kotka i myszkę z Bennigsenem trwała kilka dni; walkę przerywano dopiero wtedy, gdy zapadał zmierzch.

Siódmego lutego o drugiej po południu potyczka przerodziła się w bitwę i trwała osiem godzin. Wystrzały artylerii rozjaśniały ciemności. W nocy temperatura spadła do trzydziestu stopni poniżej zera, dlatego z czterech tysięcy francuskich rannych niewielu zostało przy życiu. Rankiem mimo nieustającej zadymki bitwa rozgorzała na nowo. Jeden z

francuskich korpusów wpadł w zacinającym śniegu na rosyjską baterię, która składała się z siedemdziesięciu dział, i został rozbity w pył. Kiedy w linii Francuzów utworzył się wyłom, Bennigsen wykorzystał sytuację i zaatakował sześcioma tysiącami Moskali. Przez dobrą chwilę Francuzi byli o włos od totalnej klęski, bo żołnierze wroga otoczyli miejsce, z którego Napoleon wydawał rozkazy. Gdyby nie jego osobista straż, wpadłby w ręce wroga.

Paweł towarzyszył księciu Muratowi i był świadkiem większości wydarzeń. Tuż przed dwunastą w południe kawaleria Murata uderzyła w środek sił rosyjskich, zdobyła działa i w końcu odepchnęła wroga. Mimo to walka trwała do dziesiątej wieczorem. Gdy blask księżyca oświetlił zasypany śniegiem teren, wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, widać było zabitych i rannych. Dziesiątki tysięcy. Paweł wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku.

Kilkudniowa bitwa nie przyniosła rozstrzygnięcia. Francuzi wycofali się spod Iławy Pruskiej. Nawet późniejsze zapewnienia cesarza nie wystarczały, by uznać tę potyczkę za zwycięstwo. Książę Murat odznaczył Pawła za wspaniałą postawę jego szwadronu ułanów, po czym Potecki wrócił pod rozkazy generała Dąbrowskiego. Stracił czterech ludzi.

Prawdziwym zwycięzcą – jak oświadczył Napoleon – był generał Zima.

Kilka dni później Paweł się dowiedział, że cesarz przeniósł kwaterę główną do Prus Wschodnich. Po latach krytycy – a będzie ich wielu – orzekną, że po bitwie pod Iławą Pruską mały Korsykanin na zawsze stracił pewność siebie. Tak czy inaczej Maria Walewska – *ma petite Marie*, jak nazywał ją Napoleon – przyłączyła się do cesarza, zamieszkała z nim na zamku Finkenstein i próbowała go pocieszać. Ich romans rozkwitał.

Jan Stelnicki żartował z Lucjanem, który pakował walizę. Lucjan był szczerym i lojalnym służącym, ale nie mógł zastąpić Pawła.

Kawaleria przygotowywała się do wymarszu. Kilka dni temu generał Dąbrowski wydał oficerom rozkazy. Ostatecznym celem było obleżenie trzymanego przez Prusaków Gdańska. Piechota wyruszyła spod Poznania, by przygotować wioski i miasta przy drodze do Gdańska. Błotniste trakty utrudniały podróż, więc dni mijały bardzo, bardzo wolno. Wieść gminna niosła, że Napoleon Bonaparte – wciąż cieszący się w zamku Finkenstein swoją polską zdobyczą – natknął się w Polsce na nową przeszkodę, która utrudniała realizację jego wspaniałych planów: błoto.

Kawaleria podążyła śladami piechoty przez Gąsawę, Bydgoszcz i Świecie, dogoniła piechurów w Gniewie, a potem skierowała się w stronę Tczewa, gdzie spodziewano się zdecydowanego oporu. Oddziały zatrzymały się w pewnej odległości, a Dąbrowski poinformował oficerów o planie ataku na Tczew, który był w pruskich rękach. Walka miała się zacząć wczesnym rankiem.

Wojsko rozlokowało się na noc. Domy na przedmieściach należały do Polaków, którzy zadbali o wyżywienie żołnierzy. Porozkładano plandeki, żeby nie spali na błocie. Rankiem szwadron Jana ruszył drogą między domami w stronę zabudowań znajdujących się bliżej Wisły. Raptem ujrzeli pruską husarię rozstawioną na pobliskich wzniesieniach. Trudno liczyć na umiejętności strzeleckie, gdy siedzi się na końskim grzbiecie, dlatego wiele strzałów z obu stron chybiło celu. W pewnej chwili Jan się zatrzymał, dokładnie wymierzył z karabinu i trafił jednego z pruskich husarzy, którzy znikali już za domami, by zaczekać tam na lepszą okazję.

Ludzie Jana zajęli pozycje po obu stronach bramy i

prowadzili ostrzał, czekając na zbliżających się piechurów i grenadierów. Domy pod samymi murami zajmowała pruska piechota. Nagle z wszystkich drzwi i okien huknęła salwa, siejąc spustoszenie wśród Polaków. Rany odniosło kilku piechurów, zginął oficer; w oddziale powstało zamieszanie, a kilku żołnierzy rzuciło się do ucieczki. Walka o każdy dom to najgorszy sposób prowadzenia wojny.

Jan widział, jak jego młody przyjaciel, porucznik Dezydery Chłapowski, stanął nad zwłokami swojego kompana i krzyknął do podkomendnych:

– Formować szyk! Nie cofać się! Za Polskę!

Młody człowiek miał prawdziwie polskie serce! Jego wysiłek nie poszedł na marne. Po kilku minutach na ulicy, która prowadziła do bramy, pojawił się francuski szwadron, ciągnąc ze sobą armatę.

Dodatkowi żołnierze, działo i zbliżający się batalion odnieśli skutek: druga salwa Prusaków nie padła. Pruska piechota, osłaniana przez kilku husarzy, wycofała się w rozsypce za mury miasta i zamknęła bramę.

W tym czasie, gdy ustawiano armatę, trwała wymiana ognia. Poległo kilku żołnierzy – Francuzów i Polaków. Po trzech strzałach z działa brama się zawaliła. Podniesiona na duchu piechota w towarzystwie ułanów Jana wpadła do Tczewa. Drugi batalion posłano do Bramy Młyńskiej, a dodatkowy oddział kawalerii do Bramy Gdańskiej, która – jak powiedział generał Dąbrowski – mogła stanowić drogę ucieczki. Wróg został rozgromiony; w ciągu godziny pruski dowódca, generał Roth, poddał się w kościele, w którym znalazł schronienie. Towarzyszyło mu ośmiuset ludzi. Sporo Prusaków próbowało uciec przez cienki lód na Wiśle, jednak większość ich utonęła.

Jan wyszedł z walki bez szwanku, ale zwycięstwo miało wysoką cenę. Zginęło stu pięćdziesięciu Polaków, w tym

sześciu z jego szwadronu. Tuż po bitwie Stelnicki się dowiedział, że generał Dąbrowski został ranny.

Dlatego, gdy wyruszyli z Tczewa, dowodził nimi generał Kosiński.

O północy sanie księżnej Charlotte Sic zatrzymały się przed kamienicą Pawła. Padał gęsty śnieg, więc woźnica pomógł Annie i Zofii wysiąść. Wszystkie trzy spędziły wieczór u Potockich i były w dobrym nastroju.

– Żegnajcie! – zawołała Charlotte, gdy sanie ruszały. Oprócz nich na Pivnej nie było nikogo.

– Żegnaj! – zawołała Anna.

Zofia zmierzała w stronę drzwi. Kiedy Anna odwróciła się, by pójść za jej przykładem, kątem oka dostrzegła jakiś ruch. Z pobliskiego zaułka wyjechały następne sanie. Gruba warstwa świeżego śniegu tłumiała stukot kopyt i odgłos płóz, dlatego poruszały się niemal bezgłośnie. Anna zamrugała powiekami, zaskoczona dziwnym widokiem. W saniach siedziało dwóch mężczyzn; woźnicy nie zobaczyła. Nagle pasażer odwrócił się w jej stronę: może chciał sprawdzić, czy ulica jest pusta, a może wyczuł czyjąś obecność. Na ułamek sekundy promienie księżycy i światło odbite od śniegu rozjaśniły jego twarz. Błyskawicznie odwrócił głowę, a sanie szybko zaczęły się oddalać i zniknęły w tumanach śniegu.

Annie wydawało się, że rozpoznała twarz mężczyzny. Czy to możliwe? Czy to mógł być on? Zaszło jej w ustach. Próbowwała zawołać kuzynkę, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu.

– O co chodzi, Aniu? Pospiesz się! Zamarzniesz na śmierć.

– Widziałaś, Zofio?

– Co miałam widzieć?

– Sanie.

– Jakie sanie? – Zofia cofnęła się o kilka kroków. – Sanie Charlotte?

– Nie, jakieś inne.

Hrabina Grońska spojrzała w górę i w dół ulicy.

– Nic nie widzę, tylko ścianę śniegu. Chodź do domu.

To, co Anna zobaczyła, było tak dziwne, że zrobiło jej się niedobrze. Czyjej się wydawało, czy w mijających ją saniach naprawdę siedział Doliński?

– Zofio, tamte sanie wyjechały z zaułka prowadzącego do wozowni.

– Wozowni Pawła? To niemożliwe, Aniu. Wejdz do środka. Anna weszła do holu, ale wciąż odczuwała jakiś dziwny niepokój. Nie rozbierając się, wbiegła na schody.

– Dokąd tak pędzisz?

– Do pokoju Basi! Zajrzyj do Izy.

– Dla... dlaczego?

Hrabina Stelnicka zatrzymała się w połowie schodów.

– Po prostu zrób, co ci każe! – krzyknęła, po czym pobiegła na pierwsze piętro.

Serce waliło jej jak młotem, gdy jednym pchnięciem otworzyła drzwi sypialni Barbary. W pokoju panowała nieprzejrzana ciemność. I chłód, bo nikt nie dołożył wieczorem do paleniska. Weszła do środka.

– Basiu? – szepnęła. – Basiu?

Znalazła świeczkę, która zawsze znajdowała się na stole przy łóżku, i zapaliła ją drżącą ręką.

– Jesteś tu, Basiu?

– To ty, mamusiu?

Słyszając zaspany głos, Anna poczuła ogromną ulgę. Barbara usiadła na łóżku.

– Och, mamusiu, zasnęłam. Kobieta usiadła na brzegu łóżka córki.

– To dobrze. Jest bardzo późno.

– Ale koniecznie chciałam zaczekać, aż wrócisz do domu! Basia całkiem oprzytomniała, a w jej głosie słychać było radość.

– Dlaczego, kochanie? Anna wzięła córkę za rękę.

– Bo oni są w domu!

– Kto taki?

Znów ogarnęło ją złe przeczucie.

– Chłopcy, mamusiu. Chłopcy wrócili do domu! – Basia cofnęła rękę i zeskokczyła z łóżka. – Pójdę po nich. Założę się, że jeszcze nie śpią.

– Nie, Basiu!

Jednak dziewczynka już wybiegła z pokoju i pędziła schodami na drugie piętro. Anna wzięła świeczkę i podążyła za córką. Na podeście schodów niemal zderzyła się z Zofią, która wędrowała z parteru.

– Sądząc po odgłosach, śpi jak kamień. Powiedz mi, skąd to zamieszanie.

– Basia mówi, że chłopcy są w domu!

– Spodziewałaś się ich?

– Nie!

Hrabina Stelnicka intuicyjnie wyczuła, że stało się coś złego. Zanim obie z Zofią dotarły schodami na drugie piętro, rozległ się krzyk Basi – długi, donośny krzyk z krótkimi przerwami. Anna spojrzała na Zofię i zorientowała się, że kuzynka również jest przerażona. Osłaniając świeczki, obie kobiety biegiem pokonały ostatnie stopnie.

Na drugim piętrze Basia kuciała w ciemności nad czymś, co leżało na podłodze, i histerycznie krzyczała.

Annę ogarniał coraz większy strach. Dopiero gdy obie z Zofią podeszły bliżej, zorientowały się, o co chodzi. Dziewczynka rozpaczała nad ciałem ukochanego owczarka, Borysa. Na podłodze obok psa widoczna była czerwona strużka. Anna nie przyglądała się psu ani nie próbowała pocieszać Basi. Wpadła do pokoju chłopców. Dlaczego krzyki siostry nie sprowadziły żadnego z nich? Kiedy otworzyła drzwi, ze wszystkich stron otoczyła ją ciemność. Po chwili nikły płomyk świecy rozjaśnił nieco łóżko Michała. Chłopiec

leżał nakryty łącznie z głową.

Anna pochyliła się, ściągnęła narzutę i gwałtownie nabrała powietrza w płuca. Michał był skrępowany szarfami i fularami, miał zakneblowane usta i z trudem oddychał.

– Michałku! – krzyknęła Anna.

Zofia, która też już była w pokoju, podeszła ze świeczką do drugiego łóżka. Anna próbowała rozsypać knebel Michałka, ale uniosła głowę, gdy płomyk świeczki Zofii rozjaśnił posłanie Tadeusza. Było puste.

– Psiakrew! – zaklęła Zosia.

Po niecałej godzinie Anna i Zofia siedziały szczelnie opatulone w saniach, którymi powoził Jan Michał.

– Jedź przez bramę zachodnią, Michale. I nie oszczędzaj koni.

– Nie będę – zapewnił.

Tonąc we łzach, opowiedział im, co się stało. Do akademii przyszedł liścik – rzekomo od Anny. Informowała w nim o jakiejś tragedii rodzinnej i żądała, by chłopcy jak najszybciej pojawili się w domu. Kiedy przyjechali na Piwną, powitała ich Basia i Iza. Wkrótce poszli do swojej sypialni, zabierając ze sobą owczarka. W pewnym momencie Borys zaczął drapać drzwi, jakby chciał wyjść. Przypuszczając, że pies chce spać z Basią, Michał otworzył drzwi i wypuścił zwierzę z pokoju. Po krótkiej chwili usłyszał warknięcie i odgłosy przepychanki, więc wyszedł na korytarz. Wówczas dostał czymś twardym w głowę i stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, leżał w swoim łóżku związany, zakneblowany i zakryty pościelą. Nasłuchiwał, co się dzieje w pokoju. Do jego uszu docierały stłumione protesty Tadeusza. Starszy z braci zorientował się, że w pokoju jest dwóch mężczyzn, którzy posługują się niemieckim. Chociaż nigdy nie lubił tego języka, zdołał ich zrozumieć. Napastnicy

otrzymali rozkaz, zgodnie z którym mieli zawieźć Tadeusza do jakiegoś pruskiego miasta, którego nazwy Michał w ogóle nie znał. Mężczyzna, który najwyraźniej pracował dla drugiego, bez przerwy dopytywał się o pieniądze, ale w odpowiedzi słyszał jedynie, żeby się zamknął. W pewnym momencie służący spytał, czy ma zabrać dla chłopca jakieś ubranie. Jego pracodawca zaprzeczył, powiedział, że tam, gdzie jada, Tadeusz nie będzie potrzebował odzieży. Konkluzja była oczywista zarówno dla Michała, jak i dla obu kobiet. Mężczyźni porwali Tadka, żeby dostarczyć go do Prus, gdzie chłopca niechybnie czekała śmierć.

Zofia potwornie zbladła.

– Dlaczego, u licha, ktoś chce skrzywdzić słodkiego, małego Tadzia?

Anna zdawała sobie sprawę, że to samo pytanie dręczy jej starszego syna.

– Niestety, są ku temu powody, Zofio, ale na razie musimy go odnaleźć.

– Jak? – spytał Jan Michał, ocierając łzę.

– Powiedz mi, Michałku – poprosiła Anna – czy któryś z mężczyzn zwracał się do drugiego po imieniu? – Usłyszawszy przeczącą odpowiedź, zadała kolejne pytanie: – Czy któryś z nich miał szorstki, chropawy głos?

– Tak, mamusiu! Ten, który wydawał rozkazy. Jego głos przypominał chrzęszczenie kamieni.

O tym właśnie pomyślała, gdy ujrzała sanie, które bezgłośnie wyjechały z zaułka prowadzącego do wozowni. Naprawdę widziała twarz Dolińskiego, kiedy na ułamek sekundy padło na nią światło księżyca. Niepotrzebnie bała się o Basię. Chodziło o Tadeusza. W znikających saniach znajdował się jej porwany syn, który teraz był całkowicie zdany na łaskę tego strasznego człowieka!

Przypomniała sobie ostrzeżenie Pawła. Doszła do wniosku,

że Doliński musiał mieć coś wspólnego z pruskim szpiegiem, który przeniknął do grupy, albo sam nim był!

Przejechali przez zachodnią bramę Warszawy.

– Niedługo będziemy musieli zdecydować, którą drogę wybrać, mamusiu! – zawołał Michał.

Anna wychyliła się w jego stronę.

– Jedź do Sochaczewa, Michałku!

Zastanawiała się, co dalej. We trójkę – obu kobietom towarzyszył czternastoletni Michał – siedzieli w środku nocy w saniach i ścigali kryminalistę, który z łatwością mógł ich wszystkich zabić. Anna oparła się o wyściełane siedzenie. W co myśmy się wpakowali? – pytała samą siebie.

Nie było jednak czasu, by opowiadać o wszystkim władzom, które prawdopodobnie uznałyby całą historię za zmyśloną. Nie było czasu, by szukać pomocy masonów, chociaż oni szybciej by jej uwierzyli, bo przecież interesowali się Tadeuszem. Na nic nie było czasu. Musiała działać. Chodziło o życie jej syna.

Z powodu śmierci psa Iza była tak samo zrozpaczona jak Basia, ale szybko się opanowała i zabrała córkę Anny na dół, by mogły razem spędzić resztę nocy. Ani Michał, ani Zofia nie chcieli zostać. Nie mogli. Anna zdawała sobie sprawę, że będą jej potrzebni. Przed wyjściem Michał zdjął ze ściany szablę swojego przodka, który używał jej pod Wiedniem, walcząc z Turkami u boku króla Jana Sobieskiego, za co otrzymał tytuł szlachecki. Zofia i Anna wzięły pistolety. Tylko Anna użyła kiedyś tej broni – dawno temu.

Bóg najwyraźniej im sprzyjał, gdyż śnieg przestał padać, a na niebie pojawił się okrągły, jasny księżyc, który błyszczał jak dukat. Mimo to Anna i Zofia musiały osłaniać twarze przed śniegiem i okruchami lodu, które pryskały spod końskich kopyt.

Co jakiś czas Michał wołał, że chyba widzi ślady sań i koni,

które nie tak dawno pokonywały tę samą drogę.

Po kilku godzinach dotarli do Sochaczewa. Świeży śnieg pokrył drogi idealnie białą i gładką warstwą, która przypominała narzutę na pościelonym przed chwilą łóżku. Nigdzie nie było żadnych śladów. Kiedy wjechali na rynek, Anna kazała Michałowi podjechać powoli pod niewielki kompleks budynków należących do starosty. W środku i na zewnątrz było ciemno. Żadnych śladów sań ani koni. Najmniejszych oznak życia.

Serce zamarło Annie w piersi. Czyżby się pomyliła? Zakładała, że obaj panowie nie zatrzymają się w gospodzie, ponieważ nie chcieli, by ktoś zobaczył ich jeńca. Jeśli jednak to zrobili? Albo bez zatrzymywania się pojechali dalej, prosto w stronę pruskiej granicy? Ta myśl ją przeraziła. Jak ich teraz odnaleźć?

– Co dalej? – naciskała Zofia. – Spodziewałaś się, że tu kogoś zastaniesz? Co mamy robić?

Michał obrócił się w ich stronę. Wyraz jego twarzy zdradzał, że dręczą go dokładnie takie same wątpliwości.

– Jedź drogą na północ, Michałku – zarządziła Anna. – To zaledwie kwadrans drogi stąd. Wypatruj wąskiego traktu, który odbija w prawo. Po obu stronach rosną wysokie drzewa iglaste.

Sanie ruszyły, a cała trójka pogrzyżyła się w milczeniu.

– Tutaj! – zawołała Anna ostrym głosem. – To te drzewa i ten trakt.

Sanie stanęły. Hrabina Stelnicka przyglądała się drodze, która prowadziła do skromnej rezydencji starosty. Wielokrotnie przejeżdżała obok, ale w środku była tylko raz: przyjechała wówczas z matką, która żądała, żeby Doliński wymierzył odpowiednią karę za zabójstwo jej męża. Nigdy się nie dowiedziała, czy morderca uciekł z winy starosty, czy nie.

Z tej odległości dom sprawiał wrażenie małego, a w oknach było ciemno. Nigdzie nie było również widać sań.

– Musimy podejść bliżej – powiedziała Anna.

Nikt nie zaprotestował. Michał pomógł Annie i Zofii wysiąść.

– Chodźmy – szepnęła Anna. – Powoli i bez słowa. W taką noc głos niesie się bardzo daleko.

– W takim razie zaczekaj chwileczkę – zaproponowała Zofia, kładąc dłoń na ramieniu Anny. – Uważam, że zarówno Michał, jak i ja mamy prawo wiedzieć, o co chodzi. Dlaczego człowiek, który tu mieszka, miałby porywać Tadeusza?

Anna westchnęła. Przyznała kuzynce rację. Powinni znać prawdę, by wiedzieć, co ryzykują i dlaczego. Obserwując ich twarze rozjaśniane światłem księżyca, w sporym skrócie opowiedziała o planach masonerii w stosunku do Tadeusza; mało prawdopodobnych planach – jak podkreśliła. W kilku słowach opisała też Dolińskiego jako człowieka, któremu wielką przyjemność sprawia krzywdzenie ich rodziny.

– Tadeusz miałby być... królem? – spytała Zofia, podkreślając ostatnie słowo. Była zaskoczona.

– Na pewno nie postawiłabym na to żadnych pieniędzy – odparła Anna. – Ani teraz, ani nigdy wcześniej.

Michał też był zdumiony, ale nie odezwał się ani słowem. Hrabina Stelnicka mogła się tylko domyślać, że chłopak dopiero teraz zrozumiał, czemu w akademii brata traktowano lepiej niż jego. Czy nauczyciele mogli postępować inaczej, wiedząc, że chłopiec pewnego dnia może zostać królem odrodzonej Rzeczypospolitej? Michał był wystarczająco spostrzegawczym dzieckiem, by wychwycić nawet najdrobniejsze różnice w podejściu do obu braci.

– Pójdę przodem – oznajmił. – Ty, mamusiu, i ciocia Zofia idźcie za mną.

„Jakim dzieckiem? – poprawiła się w myślach Anna, kiedy

szli gęsiego. – Michał to już mężczyzna”.

Po pokonaniu mniej więcej pięćdziesięciu kroków Zofia szepnęła, żeby się zatrzymali.

– O co chodzi? – spytała Anna.

– Światło. Na lewo od ganku.

Rzeczywiście. W oknach migotało bladożółte światło. Serce Anny забиło mocniej. Poczwała, że jest bliżej Tadeusza. I niebezpieczeństwa.

– Prowadź, Michałku.

Pokonali dwieście kroków, nie zatrzymując się i nie mówiąc; w całkowitej ciszy słychać było jedynie chrzęst śniegu pod butami. Michał podprowadził panie do krzaków w pobliżu oświetlonego okna.

– Pozwól mi zajrzeć – powiedziała Anna.

– Nie, mamó. Jestem wyższy, będzie mi łatwiej.

Niewiele ją przewyższał, ale Anna nie protestowała. Objęła Zofię i obserwowała, jak Michał podchodzi do białej fasady domu, a potem powoli kieruje się w stronę światła. Szydełkowe zazdrostki przesłaniały okno od góry i z boków, zatem do wnętrza można było zajrzeć tylko przez środkową część szyby. Michał bardzo długo wpatrywał się w okno.

Wreszcie wrócił do Anny i Zofii.

– Jest tam cały i zdrowy – powiedział, nie kryjąc złości. – Leży na kanapie. Związali go i zakneblowali, tak samo jak poprzednio mnie.

– A obaj panowie? – spytała Zosia, uprzedzając Annę.

– W pokoju jest tylko jeden.

– Doliński? Ten, którego nazwałeś szefem?

Michał wzruszył ramionami.

– Nie wiem.

„Oczywiście, skąd ma wiedzieć – pomyślała Anna. – Co prawda słyshał Dolińskiego, ale przecież go nie widział”.

– Zajrzę tam – oznajmiła. – Postaraj się poskromić złość,

dobrze? Obejdź dom i spróbuj zorientować się w sytuacji. Sprawdź stajnię. Jeśli tylko zdołasz, odszukaj drugiego mężczyznę. Potem wróć tutaj i, na litość boską, nie wyjmuj szabli z pochwy. Bądź ostrożny!

Michał zniknął.

– A ja? – spytała Zofia.

– Na razie czekaj.

– Mam czekać? Wybacz, ale nie zabrałam ze sobą robótki ani drutów. Masz jakiś plan, Aniu?

– Jeszcze nie. Będziemy mogli go opracować dopiero wtedy, gdy dowiemy się, gdzie są obaj mężczyźni.

– Oczywiście, jeśli jest ich tylko dwóch.

Na myśl, że przeciwników może być więcej, Annę przebiegł dreszcz.

– Nie ruszaj się stąd – powiedziała do Zofii.

Wyszła zza krzaków i zaczęła się skradać w stronę okna. Michał, o kilka centymetrów od niej wyższy, nie miał problemu z zajrzeniem do środka, natomiast Anna musiała stanąć na palcach i przytrzymać się parapetu. Modliła się, by nie stracić równowagi.

Nagle ujrzała Dolińskiego niecałe dwa kroki od szyby. Zamarła. Mężczyzna podszedł do drzwi i odwrócił się, jakby sprawdzał, czy Tadeusz jest dobrze związany. Kobieta zamknęła oczy i wstrzymała oddech, obawiając się, że starosta lekko odwróci głowę i dostrzeże jej twarz za oknem. Wtedy nikt z nich nie uszedłby z życiem. Nikomu nie pozwoliliby uciec.

Kiedy po chwili otworzyła oczy, zauważyła, że mężczyzna wyszedł z pokoju. Tadeusz był sam, przynajmniej na razie. Anna zeszywniała. Była pewna, że lada chwila drzwi wejściowe się otworzą i Doliński wpadnie prosto na nią.

Minęła minuta. Anna odsunęła się od okna i szybko wróciła na miejsce, w którym zostawiła kuzynkę, a Zofii tam nie było.

Hrabina Stelnicka nie miała odwagi jej zawołać. Stała przez chwilę w przenikliwym chłodzie, zastanawiając się, co zrobić.

W tym momencie ujrzała wyłaniającą się z ciemności postać, która zmierzała w jej stronę.

– Aniu! – szepnęła Zofia.

– Mówiłam ci, żebyś się stąd nie ruszała. Gdzie byłaś?

– Sprawdziłam drzwi wejściowe. Jak na kryminalistę wykazuje wyjątkową ufność: są otwarte.

– Dzięki Bogu dobra wiadomość!

Zofia położyła palec na ustach Anny i wskazała okno na pierwszym piętrze. Ktoś zapalił światło, a na szybę padł czyjś cień.

– Myślę, że to Doliński – wydusiła z siebie Anna. – Zostawił Tadeusza samego.

– W takim razie wejdźmy.

– Nie, ja pójdę. Ty zostań przy oknie. Przyłączysz się do mnie, gdy przywołam cię skinieniem ręki. Nie możemy wszyscy jednocześnie ryzykować, poza tym lepiej, jeśli tu będziesz, gdy wróci Michał.

Zofia się zgodziła. Wtedy Anna weszła na ganek, otworzyła drzwi i powoli ruszyła korytarzem. Przystanąła na chwilę, nasłuchując – dom był pogrążony w ciszy, jeśli nie liczyć ognia trzaskającego w kominku w pomieszczeniu, w którym leżał Tadeusz. Kobieta się odwróciła, uchyliła drzwi i zatrzymała się na progu. Miała przed sobą małą, brudną i zaniedbaną bibliotekę. Posuwała się po cichutku w stronę kanapy. Kiedy była mniej więcej dziesięć kroków od Tadeusza, podłoga skrzypnęła, a chłopiec otworzył oczy. Anna podziękowała w myślach Bogu. Tadzio był przytomny. Miała nadzieję, że po uwolnieniu z więzów będzie mógł samodzielnie iść.

Kiedy przyklęknęła obok kanapy, w niebieskich oczach syna ujrzała ulgę.

– Zabierzemy cię stąd, Tadziu. Tylko musisz być bardzo cicho, gdy cię odknebluję.

Jednak rozwiązywanie węzłów w słabym świetle nie było łatwe, zwłaszcza że ze zdenerwowania Annie trzęsły się ręce. Kiedy zdała sobie sprawę, że wszystko trwa zbyt długo, poddała się i zaczęła rozplątywać sznury krępujące nadgarstki chłopca.

Z tym radziła sobie lepiej. W pewnej chwili chłopiec gwałtownie uniósł głowę, a w jego oczach pojawił się strach... nie, ostrzeżenie! Anna usłyszała za sobą odgłos kroków.

Odwracając się, instynktownie odskoczyła w bok dokładnie w tej samej chwili, kiedy Doliński opuścił pogrzebacz, który zamiast w głowę trafił ją w ramię.

Anna upadła na bok i błyskawicznie odsunęła się do tyłu.

– Widzę, że mamy gościa, Tadeuszu – wychrypiął Doliński.
– To miłe, prawda? – Ani na chwilę nie puszczał z ręki pogrzebacza. – Cieszę się, że znów waćpanią widzę w Sochaczewie.

– Przyjechałam po syna – oznajmiła Anna.

– Naprawdę? W takim razie ma pani pecha. Ruszył w jej stronę z uniesionym pogrzebaczem.

– To pan ma pecha! – krzyknęła Zofia, wyłaniając się z cienia w pobliżu drzwi.

– O, widzę, że przywiozła waćpani ze sobą przyjaciółkę – powiedział Doliński, odwracając się.

Pomimo nadwagi miał imponującą sylwetkę, i nic nie wskazywało na to, że łatwo da się zastraszyć. Po chwili jednak zamilkł, widząc, że Zofia mierzy w niego z pistoletu.

– Puści pan chłopca wolno! – rozkazała Zofia. – Aniu, rozwiąż syna.

– Pośpiech jest niewskazany – odparł Doliński. – Tadeusz ma przed sobą świetlaną przyszłość. Wziąłem go pod opiekę na polecenie wolnomularzy.

– Kłamiesz! – wrzasnęła Zofia. – Stój tam, gdzie jesteś, draniu! Z przyjemnością cię zabiję.

Mężczyzna zrobił krok w jej stronę.

– Ilu ludzi ma pani na sumieniu? – spytał, postępując o kolejny krok.

Zofia uniosła pistolet.

Doliński się nie zatrzymywał. Nie wierzył groźbom hrabiny Grońskiej, w przeciwieństwie do Anny.

Zofia pociągnęła za spust.

Żadnej eksplozji, jedynie nieśmiałe stuknięcie kurka. Kobieta z przerażeniem spuściła drugi kurek.

Z takim samym efektem.

Pistolet był źle nabity. Doliński wybuchnął śmiechem i ruszył w jej kierunku z wysoko uniesionym pogrzebaczem.

Nagle rozległ się huk.

Starosta zatrzymał się w pół kroku, wypuścił pogrzebacz z ręki i odwrócił się w stronę Anny z wyrazem niedowierzania i bólu.

Kobieta stała gotowa do następnego strzału, ale mężczyzna zgiął się i upadł na podłogę.

Przez długą chwilę obie panie wpatrywały się w martwego starostę, po czym spojrzały na siebie.

– Dzięki Bogu, Aniu, że twój pistolet zadziałał – powiedziała Zofia.

Anna przyłożyła palec do ust, chcąc uciszyć kuzynkę. Odgłos wystrzału na pewno ściągnie kompana starosty.

W tej chwili drugie drzwi prowadzące do pokoju z tylnej części domu otwały się z hukiem, jakby podłożono pod nie bombę. Anna błyskawicznie się odwróciła i uniosła broń, gotowa do strzału. Już miała nacisnąć spust, gdy ujrzała na progu wysoką postać.

– Nie, Aniu! – krzyknęła Zofia. – Nie strzelaj! To Michał! Hrabina Stelnicka była tak przerażona i zaszokowana

morderstwem, które właśnie popełniła, że nie potrafiła logicznie myśleć. Nieco później doszła do wniosku, że krzyk Zofii przypuszczalnie uratował Michałowi życie, gdyż jej palec jakimś trafem znieruchomiał na spuście. Chłopak wszedł do biblioteki z wyciągniętą szablą i spojrzał na Dolińskiego.

– Znalazłeś jego kompana? – spytała Zofia niespokojnie. – Z pewnością słyszał strzał.

– Owszem – odparł Michał krótko. Jego twarz przypominała białą maskę. – Nie będzie nam już sprawiał kłopotów.

– Zabiłeś go? – spytał Tadeusz, nie kryjąc zdumienia. Sam rozwiązał resztę węzłów i wyjął knebel z ust, które w tej chwili tworzyły idealne „o”.

Anna spojrzała na szablę. Na jej lśniącem ostrzu widać było czerwone plamy.

Połowa marca 1807

Długi, wyczerpujący, zimowy marsz dobiegł końca. Wojska napoleońskie dotarły do Gdańska – ufortyfikowanego portu u ujścia Wisły do Bałtyku. To dobrze, bo wszyscy mieli już dość błotnistych dróg. Żeby zbliżyć się do przedmieść, szwadron Jana musiał przedzierać się przez wzgórza i pola, bo drogi prowadzące do miasta były zapchane francuską i polską piechotą. Jan i jego ludzie należeli do dywizji generała Dąbrowskiego, który wylizał się z ran i wrócił do swoich oddziałów. Opierając się na zdobytych podczas odpraw informacjach – i na tym, co widać było gołym okiem – Jan dokonał przeglądu maszerujących. Wspierająca francuskich *Chasseurs à Cheval* polska kawaleria obejmowała ułanów Dziewanowskiego, Legion Północny księcia Radziwiłła, kawalerię generała Sokolnickiego... Oprócz tego była jeszcze polska i francuska piechota, tak nieprzeliczona jak wiosenna trawa, która się jeszcze nie pojawiła.

Wokół roztaczał się niezwykły widok. Jan był ciekaw, czy wartownicy spoglądający z gdańskich wież drżą, widząc jak na dłoni zbliżające się siły. Wojsko rozbiło obóz na przedmieściach, poza zasięgiem dział. W nocy wybuchły pożary. To Prusacy podpalili budynki, które znajdowały się najbliżej murów, żeby nacierający nie mogli się za nimi ukryć. Domy płonęły do rana; było tak jasno, że Jan zdołał napisać list do Anny.

Gdańsk zajmował bardzo duży teren, ale w znacznej mierze jego granice wytyczała Wisła i obszary zalewowe. Chroniły go dwa forty: Góra Gradowa i Góra Biskupia; oba znajdowały się na południu miasta. To właśnie one stały się celem oblężenia. Gdyby udało się je zdobyć, miasto musiałoby się

poddać.

Rankiem szwadron Jana brał udział w potyczkach na przedmieściach, coraz bardziej zbliżając się do murów. Od czasu do czasu słychać było salwy z broni ręcznej – to wróg próbował walczyć, nie ruszając się z fortów. Przed południem Prusacy wycofali się za mury i otworzyli ogień ciężkiej artylerii. Ośmiu ludzi zostało rannych, dwóch zabitych. Jan pomógł zabrać z pola bitwy ciało Sylwestra Fiszera, którego rozerwała kula armatnia. Widok był okropny. O ironio, twarz jasnowłosego chłopca wyglądała tak, jakby drzemał! Jan poruszał się w czasie walki niemal automatycznie, jak dobrze naoliwiona maszyna, i dopiero takie chwile przypominały mu, jak wygląda wojna i śmierć. Sylwester miał dziewiętnaście lat!

Nadszedł rozkaz wycofania się poza zasięg artylerii i założenia obozowiska. Następnego dnia zaczęto robić okopy i przygotowywać się do oblężenia miasta. Francuskie wojska inżynieryjne oddelegowały do pracy saperów, którzy nocami robili podkopy, uwijając się przy tym jak mrówki. Pod osłoną ciemności wróg wysyłał z fortu patrole, które miały zlokalizować saperów, oświetlić ich racami i ostrzelać z karabinów. Jan i jego ludzie wstrzymywali Prusaków, umożliwiając prowadzenie prac oblężniczych.

Kilka dni później nieco w bok od szwadronu Jana kawaleria wroga o brzasku zorganizowała tak liczną grupę wypadową z Góry Gradowej, że udało jej się przepędzić Francuzów z okopów. Potem około dwustu kozaków z lancami zaatakowało polską i francuską piechotę. Do walki włączył się regiment lekkiej kawalerii, lecz szybko musiał się wycofać. Jan przypuszczał, że byli to żołnierze, którzy po raz pierwszy mieli do czynienia z legendarnymi kozakami.

Jan nie tylko widział ich już w akcji, ale i z nimi walczył. Byli równie dobrzy jak polscy ułani, a czasami nawet od nich lepsi. Od dziecka uczyli się władać bronią, zwłaszcza lancą.

Nie tworzyli żadnych formacji, za to świetnie prowadzili działania zaczepne, tak jak teraz atakując zaskoczony i rozproszony przeciwnika.

Akcja zakończyła się zgodnie z przewidywaniami Jana. Nim jego szwadron zdążył ruszyć do ataku, kozacy wycofali się wraz ze sporą liczbą wziętych do niewoli. Tak czy inaczej prace oblężnicze trwały; zaczął się montaż ciężkiej francuskiej armaty. Nadal nie brakowało nocnych wypadów, ale nie powodowały one większych strat; były raczej działaniami obronnymi i stawały się coraz radsze.

We francuskim obozie górę wzięła optymizm. Oficerowie i żołnierze zaciężni nabrali przekonania, że zwycięstwo jest bliskie.

Pod koniec marca żołnierze zamknięci w fortach zauważyli, że prace oblężnicze Francuzów nabrały tempa.

Pewnego dnia przed świtem szwadron Jana patrolował obszar, na którym robiono wykopy. Raptem został zaatakowany przez pruskich harcowników, którzy jakimś cudem dostali się na tyły. Szwadron dzielnie się bronił, umożliwiając ucieczkę francuskim saperom. Niebo wciąż było ciemne, ale całkiem niezłą widoczność zapewniał leżący jeszcze śnieg. Z obu stron padały strzały, które od czasu do czasu trafiały do celu, chociaż oddawano je z pędzących koni.

Nagle z Góry Gradowej wyszły regimenty piechoty.

– Zachować szyk! – krzyknął Jan do ułanów. – Pozostać w szeregu!

Najważniejsze było, by francuscy saperzy zdołali uciec. Potem, gdy niebo zaczęło się nieco rozjaśniać, z fortu wypadli kozacy z imponującymi lancami.

– Zewrzeć szyki! – zawołał Jan. – Zewrzeć szyki!

Szwadronowi kazał się wycofać, a sam z kilkoma ułanami osłaniał odwrót.

Niestety, zabrakło czasu. Kozacy podzieleni na trójki zaatakowali ich i rozerwali szyk. Jan bez specjalnego trudu unieszkodliwił dwóch jeźdźców, jednak w całym zamieszaniu niespodziewanie został odłączony od swoich ludzi. Natarło na niego trzech kozaków z opuszczonymi lancami i uniesionymi szablami. Z oszałamiającą prędkością zaczęli wokół niego krążyć.

Dookoła, dookoła. Jeszcze raz i jeszcze raz, jakby zależało im tylko na tym, żeby doprowadzić swoją ofiarę do szału.

Szabla Jana poruszała się z prędkością błyskawicy, jednego z napastników zranił w ramię, drugiego w plecy. Lewą ręką sięgnął po karabin.

Nagle – nie wiadomo skąd – otrzymał cios w szyję i cały świat zawirował mu przed oczami. Usłyszał, jak jego karabin uderza o grunt.

Potem upadło coś innego... cięższego. Po chwili zdał sobie sprawę, że to on.

Kiedy otworzył oczy, stwierdził, że znajduje się w środku... nie, na dnie trąby powietrznej. W obłokach kurzu, wśród świstu szabel i krzyków mężczyzn kozackie konie tańczyły wokół Jana. Swoje życie zawdzięczał tylko ich instynktowi.

Zaskoczony i unieruchomiony, czekał na śmiertelny cios. Konie i ludzie wciąż zataczali wokół niego kręgi. Na wschodzie pojawiły się pierwsze purpurowe promienie słońca. Jan zdążył jeszcze pomyśleć, że to jego ostatni brzask. Światło zgasło i znów zapłonęło.

Potem zapadła ciemność.

3 maja 1807

– Daj spokój, Aniu – powiedziała Zofia. – Nie masz się o co martwić. Oblężenie Gdańska trwa nadal. To, że nie masz wieści od Jana, jeszcze o niczym nie świadczy.

Przypuszczalnie nie ma czasu na włożenie do ust kawałka chleba, a tym bardziej na wzięcie do ręki gęsiego pióra i kartki papieru.

– Być może masz rację.

– Na pewno mam rację! Poza tym jak ma wysłać list z terenu, na którym toczą się działania wojenne?

Anna wzruszyła ramionami i próbowała się uśmiechnąć. Zofia zmieniła temat.

– Tylko popatrz, Aniu, my czekamy gotowe do wyjścia, a nasze córki wciąż zajmują się toaletą! Co o tym sądzisz?

Anna wybuchnęła śmiechem i zawołała Basię.

– Co one tam robią? – spytała Zofia. – Wybierają kapelusiki? Och, jaka szkoda, że Izabela nie ma za grosz wyczucia mody.

Po kilku minutach Basia i Iza pojawiły się na parterze. Wszystkie cztery panie wyszły na Piwną i wtopiły się w tłum zmierzający w stronę rynku. Był jasny, słoneczny wiosenny dzień. Ze względu na rocznicę historycznego wydarzenia tego dnia miała się odbyć parada polskich legionów. Konstytucja 3 maja z tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego pierwszego roku wprowadziła demokratyczne reformy w samym centrum Europy i wlała nadzieję w serca wielu Polaków. Niestety, miała krótki żywot. Sąsiadom Rzeczypospolitej nie podobało się, że demokracja została zasiana tak blisko ich granic.

Niewielka grupka dotarła na zatłoczony rynek.

– Trzymajcie się za ręce, dziewczęta – powiedziała Anna. – Nie oddalajcie się i nie traćcie nas z oczu.

– Spójrz! – zawołała Zofia. – Tam są kadeci z akademii! Anna wyciągnęła szyję i wyprostowała się, by zobaczyć, co się dzieje po przeciwnej stronie placu. Spora część uczniów Szkoły Rycerskiej zajęła miejsca honorowe w pobliżu podwyższenia. Tworzyli półokrąg złożony z trzech lub czterech rzędów chłopców. Hrabina Stelnicka, szukając

synów, przesuwając wzrokiem po jasnych, nieruchomych twarzach młodzieńców.

– Są tam! – pokazała Zofia. – Tam, na prawo.

Anna i dziewczynki też już ich wypatrzyły i zaczęły do nich machać. Anna zauważyła – albo tylko jej się wydawało – że Jan Michał je dostrzegł. Oczywiście musiał postąpić tak, jak na przyszłego wojskowego przystało. Stał więc jak drewniany żołnierz z młodszym bratem u boku.

Michał tego dnia obchodził piętnaste urodziny. Urodził się w pierwszą rocznicę podpisania konstytucji. Ludzie mówili, że to wyraźny znak. Dobry znak.

Arcybiskup Warszawy podszedł do prostego ołtarza na podwyższeniu i zaczął odprawiać mszę. Tłum zamilkł, jakby sam Bóg machnął ręką, nakazując ciszę. Anna doszła do wniosku, że łączenie Boga z patriotyzmem przyczynia się do wyrobienia silnej woli. Właśnie dzięki temu połączeniu Polacy są takim dumnym narodem i tak ogromną wagę przywiązują do chwały.

Podczas mszy Anna wróciła myślami do wydarzenia sprzed kilku tygodni w Sochaczewie. Cieszyła się, że jej obaj synowie tu są. Że przeżyli, chociaż mogło być inaczej.

Jednocześnie martwiła się i miała wyrzuty sumienia. Po raz drugi w życiu zabiła człowieka. Chociaż Doliński z pewnością zasłużył na swój los, nie mogła zapomnieć, że umarł na jej oczach... i oczach Tadka. Mimo woli zastanawiała się, co czują żołnierze, zmuszeni do zabijania.

Tamtego wieczoru opuściła dworek Dolińskiego, nie oglądając się za siebie. Chciała od razu zgłosić się do odpowiednich władz, ale Zofia odwiodła ją od tego pomysłu. Zbyt trudno byłoby wyjaśnić okoliczności zajścia – przekonywała. Zaczną się pytania, przesłuchania i oskarżenia, trzeba będzie tłumaczyć, jaką rolę i udział mieli w tym chłopcy. Czy to nie przekreśli ich przyszłości? Co z

sekretnymi planami masonerii? Czy trzeba będzie je ujawnić? Do jakiego stopnia? Na miejscu zdarzenia nie było żadnych świadków – przypomniała Zofia. Doliński osobiście dopilnował, żeby żaden służący niczego nie zobaczył. Był tylko on i jego pomocnik, a oni już niczego nie powiedzą.

Po śmierci Dolińskiego Anna, Zofia i chłopcy poszli do komendanta akademii, który – bez wątpienia ze względu na Tadeusza – poparł sugestię Zofii, żeby Anna niczego nie zgłaszała. Porozmawiał z chłopcami, pochwalił postawę matki i nakazał im, by nikomu o niczym nie mówili.

– Nawet ojcu? – spytał Tadeusz.

– Nikomu – powtórzył komendant.

Chłopcy złożyli przysięgę zgodną z kodeksem honorowym studentów akademii, a Anna wiedziała, że będą milczeli jak głąz.

Tak więc żaden z uczestników zajścia nikomu niczego nie wyjawiał. W ostatnich dniach w warszawskim „Monitorze” pojawił się krótki artykuł o dziwnej śmierci starosty Sochaczewa. Jeszcze nie udało się zidentyfikować zwłok wieśniaka, który zginął razem z nim.

Nagle Anna zdała sobie sprawę, że nadszedł czas na błogosławieństwo. W tym momencie wniesiono na plac uszyte przez Polki sztandary trzech legionów. Poczty sztandarowe zbliżyły się do podwyższenia, gdzie – zgodnie ze starodawnym obyczajem – każdy z przywódców narodu miał wbić gwóźdź w drzewce na znak niezachwianej lojalności wobec sprawy. Pierwszy zrobił to arcybiskup.

Potem długo i kwieciście przemawiał książę Poniatowski. Mówił o przeszłości, terażniejszości i przyszłości Polski, odmalowując przed słuchaczami obraz ojczyzny – ludzi wielkiego serca, ducha i honoru. Wiele osób miało łzy w oczach. Potem zwrócił się do matek, żon i sióstr, które wysłały albo wyślą swoich najbliższych na wojnę ze świadomością, że

wielu z nich nie wróci.

– Tym właśnie kobietom – zawołał ksiązę tubalnym głosem – Polska oddaje dziś cześć! W jej imieniu proszę, żeby wystąpiły z szeregu i osobiście wbiły gwoździe w drzewce sztandarów.

Wśród zebranych rozległ się szmer. To coś nowego. Potem utworzyła się długa kolejka, która wiła się i zawracała. Posuwała się do przodu wolniej niż sznur czekających na komunię, ale panowała w niej taka sama cisza i uroczysta powaga. Basia odwróciła się i spojrzała na Annę, jakby chciała spytać: Ja też? Anna kiwnęła głową i jej, i Izie, po czym ustawiła się w kolejce. Dziewczynki i Zofia poszły w jej ślady.

Stojąc w długim szeregu, Anna obserwowała bratanka byłego króla, księcia Poniatowskiego. Zawsze go podziwiała, ale teraz ujął ją za serce. Był przystojny, odważny, dalekowzroczny i pełen współczucia. Czy to nie wystarczający powód, żeby w razie przywrócenia monarchii wybrać go na króla?

Dlaczego więc wolnomularze widzieli kandydata w jej synu? To fakt, że król Stanisław – rządzący z ramienia carycy Katarzyny – nadał Annie tytuł księżnej. Rzadko o tym myślała, a nawet jeśli – nigdy nie umiała się z tego cieszyć. Prawdą również było to, że rodowód Berezowskich sięgał króla Jana Sobieskiego. Uważała jednak, że Tadeusz ma niewielkie szanse, by kiedykolwiek zostać królem. Żałowała, iż wolnomularzom przyszedł do głowy taki pomysł, zwłaszcza że nie przyniósł szczęścia jej rodzinie.

Dodatkowa część ceremonii zainicjowana przez księcia Poniatowskiego przedłużyła paradę. Uroczystość trwała ponad dwie godziny, jednak nikt się tym nie przejmował. Wszyscy wiedzieli, że ten dzień przejdzie do historii.

Kiedy kobiety wbiły gwoździe w drzewce, arcybiskup

odmówił końcową modlitwę, na placu słychać było szlochów i pociąganie nosem.

Wtedy ktoś zaintonował mocnym głosem:

Jeszcze Polska nie umarła,
Kiedy my żyjemy.

Tłum spontanicznie się przyłączył, a pieśń ze słowami Józefa Wybickiego wypełniła zgromadzonych na rynku ogromną nadzieją.

Potem zaczęto się rozchodzić; kadeci czwórkami wymaszerowali z placu. Anna po raz ostatni spojrzała na synów. Ogarnął ją smutek. Chłopcy mieli zaplanowane zajęcia, zatem władze akademii nie zwolnią Michałka, by mógł uczcić swoje urodziny.

Piętnaście lat. Kiedy minął ten czas? Ile lat jeszcze upłynie, nim Michałek zostanie wysłany na wojnę? Nim będzie chciał pójść na wojnę? Nim pójdzie na nią Tadeusz?

Anna żałowała, że nie urodziła samych córek.

Zofia poprowadziła całą grupkę w stronę Piwnej. Ceremonia bardzo podniosła ją na duchu. „Może częściej powinnam chodzić na mszę” – pomyślała, śmiejąc się z siebie w duchu.

Na rogu ulicy dostrzegła żołnierza, który chyba patrzył w ich stronę. Nie, naprawdę patrzył! Zofia odwróciła wzrok. Chętnie flirtowała z młodymi oficerami, ale nie miała zamiaru na ulicy kokietować piechura. Jednak w jego spojrzeniu było coś dziwnego. Odwróciła się. Wciąż z napięciem jej się przyglądał. Kąciki jego ust drgnęły, jakby nieśmiało się uśmiechnął. Czyżby go znała?

Ponownie się odwróciła i hardo uniosła głowę. Nie sprawi mu przyjemności i nie obejrzy się jeszcze raz.

– Co się stało? – spytała Anna.

– Nic... naprawdę.

Przeszły dziesięć, może dwanaście kroków. W polu widzenia pojawił się dom. Zofia walczyła z sobą. Były już blisko. Przypomniała sobie historyjkę o żonie Lota, której nie pozwolono oglądać się za siebie. Jej smutny los nie wpłynął na postępowanie Zofii. Głowa hrabiny Grońskiej odwróciła się wbrew woli właścicielki.

Przystojny żołnierz nadal stał na rogu i patrzył. Tym razem jednak zdjął czapkę. Popołudniowe słońce pozłociło jasne włosy. Błysnęły błękitne oczy.

Psiakrew! Zofia poczuła, że serce wali jej jak szalone. Czy to możliwe?

Uśmiechnął się, widząc, że go rozpoznała. Tuż przed wejściem do domu Zofia wsunęła wachlarz w rękaw zakiecziku.

– Muszę wrócić, Aniu. Zostawiłam na rynku wachlarz.

– Masz kilkanaście innych, Zofio. Nigdy go nie znajdziesz.

– Wiem, gdzie go położyłam. Należał do mamy, więc nie chcę go stracić.

– Pójdę z tobą. Zofia już się oddalała.

– Nie. Idź z dziewczynkami. Zaraz wracam.

Anna jeszcze coś zawołała, ale Zofia nie mogła zrozumieć słów, które utonęły w ulicznym hałasie. Przepychając się między ludźmi, szła w stronę rogu. Zastanawiała się, ile lat minęło. Ile?

„Jerzy – myślała. – Jurek!”

Paweł przyjechał do Warszawy dwa dni po paradzie. Zofia usiadła z nim przy stole i szczegółowo opisała mu uroczystość.

– Szkoda, że tego nie widziałem – powiedział. – Gdybym wiedział, może postarałbym się przyjechać wcześniej. Czy

Ania jest w domu?

– Nie... Pawle, gdzie byłeś i dlaczego opuściłeś swój szwadron?

– Moi ludzie w tej chwili towarzyszą Napoleonowi, a ja przyjechałem do Warszawy... z pewną misją.

– Gdzie jest teraz Napoleon? – spytała Zofia żartobliwie. – Nie dowodzi oblężeniem Gdańska?

– Nie, ale codziennie otrzymuje od generała Lefebvre'a szczegółowe relacje. Dowodzi na odległość.

– Gdzie jest? Czy to tajemnica państwowa? Mężczyzna wybuchnął śmiechem.

– Nie, od pierwszego kwietnia przebywa w zamku Finkenstein w Prusach Wschodnich. Gdzie jest Ania?

Zofia zignorowała jego pytanie.

– Czy jest z nim jakaś młoda kobieta?

Przytaknął.

– Przywiózł ją nocą krytym powozem. Bardzo niewiele osób kobietę widziało, a my nawet nie powinniśmy wiedzieć o jej istnieniu.

– Też mi coś! – zadrwiła Zofia. – Z pewnością słyszała już o tym cała Polska! Po co Napoleon robi z tego taką tajemnicę? To Maria Walewska, prawda – jego *petite Marie*?

– Hm... tak. Znasz ją?

– Kiedyś ją spotkałam.

– Coś mi się zdaje, że jej nie lubisz.

– To idiotka! – krzyknęła Zofia. – Jest mężatką i ma dziecko. Sporo w życiu zdołała osiągnąć jak na osiemnastolatkę.

– Chodzi ci o to, że sypia z mężczyzną, który uważa się za cesarza Europy?

– On naprawdę tak o sobie myśli? Widziałeś ją?

Nim zdążył odpowiedzieć, do pokoju weszła Anna. Przypomniawszy sobie o swojej misji, Paweł wstał. Chociaż

czuł przyspieszone bicie serca, podszedł, by ją pocałować.

– Co za niespodzianka, Pawle. – Uśmiechnęła się szczerze i promiennie. – Tak się cieszę, że cię widzę.

– A ja ciebie, Aniu! – wydukał. – Podobno ominęła mnie w niedzielę wspaniała uroczystość.

– Tak! Co cię sprowadza?

– Przybył z jakąś misją – wyjaśniła Zofia.

Pawłowi zrobiło się niedobrze. Próbował się uśmiechnąć... albo przynajmniej zrobić obojętną minę, ale czuł, że słowa same pchają mu się do gardła i przeciskają między wargami, jakby nie miał nad nimi władzy.

– Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym z ust kogoś innego, Aniu.

– O czym miałabym się dowiedzieć? – Anna zbladła, a Zofia głośno sapnęła. – O mój Boże! – zawołała hrabina Stelnicka. – Chodzi o Jana, prawda?

Potecki nabrał powietrza w płuca.

– Powiedz coś, Pawle! – rozkazała Zofia. – Powiedz, o co chodzi!

– Dotarły do mnie wieści – wydukał – że... że Jan zaginął.

– Zaginął? – szepnęła Anna. Zofia przyciągnęła krzesło.

– Zaginął? – powtórzyła. – Pod Gdańskiem?

– Tak. – Paweł pomógł Annie usiąść.

– Tam jest przecież oblężenie, prawda, Pawle? – spytała Zofia lekko drżącym głosem. – Jak można zaginąć podczas oblężenia?

Nie odrywał wzroku od Anny.

– Nocami wróg organizuje wypadki z tamtejszych fortec. Pewnej nocy Jan zniknął.

– Zniknął? – wymamrotała Anna.

– Dziesięć czy dwanaście dni temu spora grupka kozaków pokonała jego szwadron.

– Kozacy?! – krzyknęła Zofia, po czym zatkała ręką usta. –

O mój Boże!

Anna z niepokojem zerknęła na Zofię, potem odwróciła się do Pawła z pytającym wyrazem twarzy.

– Lepiej, żeby zginął?

– To fakt, że kozacy mają złą reputację, Aniu, ale raczej nie zabijają jeńców. Nie powinnaś tracić nadziei.

– Jan – szepnęła Anna. – Mój Jan w niewoli. – Sprawiała wrażenie oszołomionej. – U kozaków...

Zofia wstała, podeszła do bufetu, nalała mały kieliszek wódki i podała go kuzynce. Anna spojrzała bez wyrazu najpierw na Zofię, potem na Pawła. Uniosła rękę, przechyliła kieliszek i jednym haustem wypila zawartość.

Paweł przyglądał się Zofii, która siedziała przy toalecie, ale wciąż myślał o zaginionym przyjacielu i wiadomości, którą przekazał Annie.

– To znaczy, że od początku wiedziałeś o planach wolnomularzy? – Zofia rozpięła naszyjnik i zerknęła w lustrze na Pawła, który w ubraniu leżał na łóżku. – I nikomu o niczym nie powiedziałeś?

– Zabroniono mi komukolwiek o tym wspominać. Nawet Janowi.

– Dlaczego wybrali Tadeusza?

Zaczęła szcztokować włosy. Płomienie świec tańczyły przy każdym jej ruchu.

– Szukali kogoś, kogo od początku mogliby odpowiednio przygotować. Czy to cię dziwi?

– Nie... chociaż trudno mi sobie wyobrazić dziecko Anny w roli króla.

– Jesteś zazdrosna?

Zofia odwróciła się na taborecie.

– Nie. Przecież Anna to rodzina. Poza tym ja i Izabela znalazłybyśmy sobie miejsce na dworze króla Tadeusza.

Wybuchnął złowrogim śmiechem.

– Już knujesz spisek, moja droga?

– Nie, ale to chyba całkiem naturalne, że człowiek myśli o pewnych sprawach. Masz zamiar spać w mundurze? Zapomniałeś, że nie jesteś na polu walki?

Odwróciła się do lustra.

Gdy Paweł wstał i zaczął się rozbierać, zauważył, że Zofia go obserwuje.

– Powiedz mi, Pawle, czy jest szansa, że plany masonerii się powiodą.

– Między nami mówiąc, myślę, że nie. Wcześniej czy później o wszystkim zadecyduje Napoleon. Przyszłość Polski będzie w jego rękach, nie wolnomularzy.

– Ani Rosji?

– Nie.

– Sądysz... że zostanie cesarzem Europy?

– Gdyby to tylko od niego zależało, to tak, ale jeszcze wszystko może się zdarzyć. Potknął się pod Iławą Pruską i sędzę, że w jego sercu zakiełkowało ziarenko niepewności, ale może zdoła o tym zapomnieć.

– A my zdani na jego łaskę będziemy klaniać się u jego tronu... chociaż w obronie francuskiej sprawy popłynęło tyle polskiej krwi?

– To też jest polska sprawa.

– Jeszcze się okaże! Uważaj, bo wkrótce możemy się znaleźć pod władaniem francuskiego króla, Napoleona Wielkiego!

Nie odezwał się ani słowem. Jej żartobliwa przepowiednia mogła się sprawdzić.

Dłuższą chwilę oboje milczeli. Paweł położył się do łóżka. Zofia stała tyłem do niego; jej nastrój wyraźnie się zmienił.

– Jakie Jan ma szanse, Pawle?

Potecki uniósł się na łóżku. Czuł ucisk w gardle.

– Uważam... uważam, że jeszcze nic nie jest stracone, Zofio. To człowiek silny i zdeterminowany.

– Kozacy naprawdę nie zabijają jeńców?

– Może czasami, ale nigdy... się do tego nie przyznają. Większość umiera jednak z powodu warunków, w jakich są przetrzymywani.

– W takim razie nie powinnam chyba za bardzo podsycać nadziei Anny.

– Sam nie wiem. Lepiej, żeby miała jakąś nadzieję i żeby się za niego modliła.

– Nie wierzę w modlitwy, Pawle – oświadczyła, opuszczając halkę na podłogę. – Choć chciałabym.

Paweł bacznie jej się przyjrzał w migotliwym świetle świec. „Ma takie piękne ciało – pomyślał. – Wyjątkowo piękne”. Zofia jakiś czas stała w bezruchu.

– O co chodzi, Zofio?

Nagle zauważył, że jej ramiona lekko drżą. Po chwili zdmuchnęła świeczki, podeszła do łóżka i wsunęła się pod narzutę. Wziął ją w ramiona i dotknął palcem jej policzka.

– Płaczesz?

– To nic takiego.

– Chodzi o Jana?

Westchnęła, ale długo się nie odzywała.

– Zofio?

– Tak, lecz nie jedynie o niego. Nigdy go nie kochałam. Chociaż i jemu, i Annie przysporzyłam wielu kłopotów, nigdy naprawdę go nie kochałam. Chcę, żebyś to wiedział. Gdybym wierzyła w siłę modlitwy, prosiłabym Boga, żeby oddał Jana Annie. Płaczę nie tylko z jego powodu... ale również z powodu wszystkich poniesionych strat: mojego domu, majątku, matki i Bóg jeden raczy wiedzieć czego jeszcze. A także Polski! Często lekceważyłam fakt, że jesteśmy kartą przetargową Europy i z dnia na dzień budzimy się pod innym

panowaniem, ale naprawdę bardzo to przeżywam, Pawle. Nie wiem, ile jeszcze jestem w stanie znieść.

Znów zadrżała, a po jej policzkach popłynęły potoki łez, jakby gromadziła je od lat. Mocno przywarła do Pawła.

Kiedy ją przytulił, wydawała się krucha jak lalka. Gdy po cichu próbował ją pocieszać, zastanawiał się, gdzie zniknęła jej dotychczasowa siła. Bardzo chciałby móc ją zapewnić, że już nic więcej nie straci.

Bardzo chciałby móc ją spytać, czy któregoś dnia go pokocha.

Paweł otworzył oczy, gdy ktoś zaczął go poszturchiwać. Spojrzał w piękne, czarne, roześmiane oczy Zofii. Zdążyła się już ubrać i umalować.

– Pawle... straszny z ciebie śpioch! Przyjechałeś do Warszawy na jeden dzień. Masz zamiar go przespać? Po śniadaniu weźmiesz mnie na przejażdżkę. – Pochyliła się i lekko go pocałowała. – Wstawaj.

Objął ją i próbował wciągnąć do łóżka. Odsunęła się z uśmiechem.

– Przyjdzie czas i na to... pod warunkiem, że będziesz grzeczny.

W tym momencie zdał sobie sprawę, że wróciła dawna Zofia, i ogromnie się ucieszył.

Anna usiadła przy sekretarzyku, by napisać do Anusi Potockiej, że nie przyjdzie na kolację, gdy nagle ktoś zastukał do drzwi.

– To ja, Zofia. Mogę wejść?

– Oczywiście.

Weszła i starannie zamknęła za sobą drzwi. Anna uniosła głowę i zauważyła, że kuzynka ma dziwny wyraz twarzy.

– O co chodzi?

– Masz... gościa. – Chyba po raz pierwszy w życiu Zofii zabrakło słów. – Z Sochaczewa... Starostę.

– To chyba jakiś ponury żart. – Anna wstała. – Przecież on nie żyje, Zofio. Nie żyje!

– Nowego starostę. Przepraszam, powinnam od razu to powiedzieć.

Nic dziwnego, że Zofia była taka blada. Anna miała wrażenie, że lada chwila zemdleje. Nagle zaschło jej w ustach.

– Chodzi o... Dolińskiego?

– Tak, ale to wszystko, co mi powiedział.

– Słodki Jezu! – szepnęła Anna i opadła na krzesło. – Wiedzą! O wszystkim wiedzą!

– To niemożliwe – zapewniła Zofia, postępując o krok. – Musisz być silna, Aniu. Musisz.

– Co zrobimy?

– Nic. Nic nie zrobimy! Przecież o niczym nie wiemy... rozumiesz?

– Trzeba było wtedy komuś wszystko wyznać. Teraz to wygląda tak, jakbyśmy...

– Posłuchaj – przerwała jej hrabina Grońska. – To nie było morderstwo. – Chwyła Annę za ramiona. – Obie dobrze o tym wiemy, a oprócz nas jest jeszcze jedna osoba, która zna wydarzenia tamtej nocy. Pamiętaj!

- Chłopcy też wiedzą!
- Tak, dlatego jeśli nie chcesz myśleć o sobie, to przynajmniej pomyśl o nich i dla ich dobra niczego nie ujawniaj.
- Ale starosta... pewnie coś wie. Inaczej by tu nie przyjeżdżał, nie sądzisz?
- Wszystkiego się dowiemy, gdy zejdziemy na parter. Tylko nie możemy niczym się zdradzić, rozumiesz?
- Będiesz ze mną?
- Oczywiście. Uprzedziłam go, że ostatnio nie czujesz się najlepiej. Wykorzystaj to, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Anna zatrzymała się na chwilę przed wejściem do salonu, by nabrać odwagi. Nie musiała grać. Naprawdę kiepsko się czuła. Zofia wprowadziła ją i przedstawiła hrabiemu Bolesławowi Myszkiewiczowi.

– Najmocniej przepraszam, że panią nachodzę. Skłonił się i pocałował Annę w rękę.

– Och, nic się nie stało. Zawsze mi miło, gdy mogę porozmawiać z kimś z mojej rodzinnej miejscowości.

– Naprawdę?

– Oczywiście. Proszę usiąść.

Starosta wrócił na sofę, na której siedział, gdy weszła. Anna zajęła miejsce na wprost niego.

– Napije się waćpan herbaty?

– Już proponowałam – powiedziała Zofia.

Obeszła sofę i stanęła w pobliżu okna. Uznała, że to dobry punkt obserwacyjny, z którego łatwiej będzie dawać Annie jakieś znaki.

– A ja odmówiłem.

Anna wzięła głęboki wdech. Wyglądało na to, że formalności dobiegły końca. Pora, by wyjawiał cel swojej wizyty.

– Znała waćpani Grzegorza Dolińskiego, mojego poprzednika na stanowisku starosty?

– Tak, ale niezbyt dobrze.

– Słyszała pani, że ostatnio zmarł?

– Owszem, czytałam w „Monitorze”.

– Tragiczny wypadek – wtrąciła Zofia. – Naprawdę tragiczny.

– Rzeczywiście – przyznał starosta, kierując wzrok w jej stronę. – To był szok dla całego Sochaczewa.

– Przypuszczalnie szabrownicy – odpowiedziała Zofia.

– Prawdę mówiąc, nic nie zginęło.

Zanim zdążył odwrócić głowę i spojrzeć na Annę, Zofia rzuciła kuzynce ostrzegawcze spojrzenie. „Uważaj, Aniu – wydawała się mówić. – Nie spiesz się”.

– Powiedziała pani: niezbyt dobrze.

– Słucham?

– Że niezbyt dobrze go waćpani znała.

– Tak. To prawda.

– Mimo że tyle lat zajmował swój urząd?

– Pomimo to.

– Rozumiem.

– Sporo czasu spędzałam z dala od Sochaczewa.

Annie zaczęło robić się niedobrze. Ten człowiek wyraźnie usiłował się czegoś dowiedzieć.

– Anna mieszkała w moim rodzinnym dworku pod Haliczem – wtrąciła Zofia – a potem przez jakiś czas na Pradze.

Hrabina Stelnicka przytaknęła.

– Oczywiście, przed ostatnim rozbiorem.

– Opuściła waćpani Sochaczew wkrótce po śmierci ojca, prawda?

– Tak.

– Ojciec waćpani został zabity przez chłopca? Anna poczuła,

że ożywa w niej dawny gniew.

– Tak, a wkrótce potem mama zmarła z powodu depresji i złamanego serca. Na domiar złego straciła dziecko. Mojego brata.

– Przykro mi.

Anna była zaskoczona, jak nagle i z jaką siłą wrócił ból spowodowany dawną stratą.

– Może na dzisiaj wystarczy, panie starosto – oświadczyła Zofia, stając u boku Anny. – Jak powiedziałam, kuzynka nie czuje się najlepiej. Powinna wrócić do pokoju i odpocząć.

– Jeszcze chwileczkę, jeśli waćpani pozwoli. Muszę wykonać swój obowiązek.

„Jaki obowiązek?” – zastanawiała się Anna. Spojrzała na Zofię. Obie zbladły jak płótno.

– Czy pamięta waćpani – ciągnął starosta, nie odrywając od Anny swoich wyblakłych oczu – nazwisko mordercy ojca?

Nie takiego pytania oczekiwała. Wyprostowała się.

– Nigdy go nie zapomnę. To był Feliks Paduch.

– Tak.

Nagle odezwało się w niej dawne rozgoryczenie.

– Feliks Paduch zabił mojego ojca, a Doliński jakimś cudem pozwolił mordercy uciec.

Zofia błyskawicznie obeszła sofę i zajęła miejsce za plecami starosty. Na jej twarzy widać było strach... ale i przestrożę. Anna natychmiast sobie uświadomiła, że niepotrzebnie podsunęła staroście motyw śmierci Dolińskiego.

– Widzę, że waćpani wciąż bardzo cierpi z tego powodu – powiedział starosta zbyt troskliwym głosem; tak przynajmniej Annie się wydawało. – Doskonale to rozumiem.

– Jakoś... jakoś się z tym pogodziłam.

Wiedziała, że jej zapewnienia nie brzmią przekonująco. Zofia również zdawała sobie z tego sprawę, mimo to usiłowała uspokoić Annę. Jakże ten człowiek ma dowody?

Pozwól mu mówić – nakłaniało jej spojrzenie.

– Bardzo żałuję, że rozjątrzyłem stare rany, ale myślę, że będzie waćpani zadowolona, gdy powiem, z czym przyszedłem.

– Zadowolona?

Anna spojrzała na niego, potem na Zofię. Opuszczone powieki kuzynki wysyłały ostrzegawcze znaki. Zadowolona? Przytaknął i wychylił się nieco do przodu.

– Wszystko wskazuje na to, że chłop ze wsi pani ojca, Feliks Paduch, po ucieczce z więzienia zniknął na jakiś czas, po czym wrócił do Sochaczewa i tam mieszkał.

– Co takiego?

– To prawda.

Anna myślała, że zemdleje.

– Czy Doliński o tym wiedział?

– Wiedział. Przykro mi mówić, ale mój poprzednik był bardzo zdemoralizowany. Każdego dnia dowiadujemy się o jego kolejnych przewinieniach i jesteśmy zaszokowani.

– Pozwolił Paduchowi mieszkać w Sochaczewie? Wiedząc, co zrobił?

– Tak, podejrzewamy nawet, że w dziewięćdziesiątym pierwszym roku pomógł Paduchowi w ucieczce. Bardzo możliwe, że ktoś mu za to zapłacił. To była specjalność Dolińskiego – łapówki.

Anna otworzyła usta. W tym momencie przestała żałować, że zabiła poprzedniego starostę. Doszła do wniosku, że gdyby w tej chwili pojawił się w jej pokoju, zrobiłaby to raz jeszcze. Zofia głośno zaklęła.

– Co się stanie z Paduchem? – spytała Anna.

– Już się stało. To właśnie przyszedłem waćpani powiedzieć.

– Już się stało? Przytaknął.

– Z pewnością czytała pani, że oprócz Dolińskiego zginął

jeszcze jeden mężczyzna.

Anna natychmiast zrozumiała, dokąd zmierza Myszkiewicz, i zrobiło jej się słabo. Czy to było pytanie? Czy starosta czeka na odpowiedź?

– Czytałyśmy o tym – przyszła z pomocą Zofia.

– Tak, to prawda – potwierdziła Anna, próbując ukryć szok. Wiedziała, co starosta za chwilę powie.

– Jak się okazało, drugim człowiekiem, który zginął na terenie posiadłości Dolińskiego od ciosu szablą, był Feliks Paduch.

Anna miała wrażenie, że cały pokój wiruje wokół niej. Starosta mówił dalej: że Doliński wziął Paducha do siebie i dał mu dach nad głową. W zamian za to Paduch pracował we dworze i pomagał staroście w jego niecznych sprawkach. Wszystko wskazuje na to, że morderca hrabiego Berezowskiego nie wyzbył się skłonności do picia, pogrózek i przemocy.

Pokój wirował coraz szybciej. Anna odnotowała tylko, że starosta pożegnał się z nią, a przed wyjściem wspomniał coś o zamknięciu pewnego rozdziału w jej życiu.

– Dziękuję – odparła Anna jak we śnie. – Jeszcze raz dziękuję.

Zofia odprowadziła starostę. Po powrocie usiadła naprzeciwko Anny na miejscu opuszczonym przez Myszkiewicza. Obie długo na siebie patrzyły i bez wątpienia czuły to samo. Nie chodziło wcale o ulgę, że nikt się nie zorientował, co zrobiły owej pamiętnej nocy. Górę wzięło kompletne zaskoczenie i szok na wieść, że Feliks Paduch, morderca ojca Anny, zginął z ręki Michała, wnuka swojej ofiary.

Anna przypomniała sobie, co ich gość powiedział na pożegnanie, i swoją refleksją podzieliła się z Zofią:

– Starosta miał rację, rzeczywiście pewien rozdział został

zamknięty, nie wiedział jednak, jakie dziwne było to zakończenie, Zofio. Bardzo dziwne.

– I lepiej, żeby nigdy się nie dowiedział, Aniu – zaznaczyła Zofia. – Bogu niech będą dzięki! Dzisiaj dopisało nam szczęście!

Odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła gromkim śmiechem.

Jan zwymiotował do wiadra, które służyło do wszystkich możliwych celów. Statek kołysał się i podskakiwał, a dwustu polskich i francuskich więźniów pod pokładem kołysało się i podskakiwało razem z nim. Jan nigdy nie był na morzu, ale bardziej od kołysania przeszkadzał mu smród ludzkich wymiocin i odchodów, które od początku przyprawiły go o mdłości.

Był jednym z sześciu więźniów umieszczonych w maleńkiej klitce. Każdego ranka otrzymywali porcję śmierdzącego kleiku, a każdego popołudnia knuli spisak, jak przejąć statek. Mając bardzo ograniczone możliwości obserwacji, ustalili tylko, że załoga jest słaba. Nocami kilku rosyjskich marynarzy usadawiało się pod ich drzwiami, rozmawiało w jakimś rosyjskim dialekcie, piło wódkę i grało w kości. Jan znał trochę rosyjski, dzięki temu zorientował się, że mężczyźni mówią o bliskim podpisaniu traktatu pokojowego, a to – obok gorączki, dyzenterii i szkorbutu – znacznie hamowało ochotę jeńców do wzniesienia rewolty.

Statek, jeśli nie walczył ze sztormami i nawałnicami, to bez końca kołysał się na pełnym morzu. Minęły czterdzieści trzy dni. Dwunastu Polaków zmarło, a ich ciała wrzucono do morza jak zawartość wiader z odchodami.

Jan cały czas ciężko chorował. Nim okręt zacumował w Rydze, myślał, że nie przeżyje. Trafił do niewoli, zapadł na zdrowiu, a na dodatek znajdował się bardzo daleko od Warszawy. Wątpił, czy jeszcze kiedykolwiek ujrzy Polskę.

Medycy więzienni codziennie puszcza­li mu krew i ignorowali wszelkie prośby o pióro i papier, na który chciał przelać swoje ostatnie myśli i przekazać je Annie. Po każdym zabiegu popadał w delirium, śnił o żonie i żałował, że jej życie nie wyglądało inaczej. Że nie był takim mężem, o jakim marzyła.

– Jest pan bezczelny, majorze! – krzyknął generał Grouchy.

– Przepraszam, panie generale – powiedział Paweł. – Wcale nie chciałem być bezczelny. Próbowałem jedynie wyrazić swoją opinię.

– Nie chcę jej słuchać.

Paweł spoj­rzał w ciemniejące niebo. Na prawo ciągnęły się pola i lasy wokół Friedlandu, poprzecinane rzeką Alle. Wszędzie było widać mniejsze i większe błyski towarzyszące wybuchom pocisków dział i karabinów. Rankiem zaczęła się bitwa, którą Napoleon i jego generałowie prowadzili na kilku frontach. Ze swojego punktu obserwacyjnego tuż nad wioską Heinrichsdorf Paweł zobaczył, że dwadzieścia dwa szwadrony rosyjskiej kawalerii cofają się przed głównymi siłami Napoleona, spotykają w miejscu, w którym można przejść przez rzekę... i uciekają na jej drugi brzeg.

– Z całym szacunkiem, sir...

Wrogie spojrzenie generała i uniesiony palec przerwały wywód Pawła.

– Generał Dąbrowski odesłał pana pod moje rozkazy tylko dlatego, że dobrze zna pan teren. Proszę zatem mówić o jego ukształtowaniu, nie o taktyce!

Generał uniósł lunetę i zaczął oglądać teren sięgający aż do Friedlandu.

Paweł wiedział, że po upadku Gdańska Prusy nie stanowią już zagrożenia, Napoleon zaś uważał, że pod Friedlandem odniesie ostateczne zwycięstwo, które rzuci Rosję na kolana...

albo przynajmniej skłoni do rozpoczęcia rokowań. Mimo to kawaleria Grouchy'ego – czterdzieści dobrze uzbrojonych szwadronów – stała i patrzyła, jak Moskale przepływają się przez rzekę, za którą mają otwartą drogę ucieczki. Tymczasem można było ich zaskoczyć i bez trudu pokonać.

– Oczywiście – dodał generał – dodatkowym powodem pańskiej misji może być pański wspaniały francuski, a mój kiepski polski, prawda? – Zerknął na Pawła. – Och, wiem, o czym pan myśli.

Paweł nie odpowiedział. Ogarnęło go poczucie bezsilności.

– Myśli pan, że powinniśmy spaść na nich z góry jak szarańcza. Powiem panu, majorze Potecki, nie otrzymałem rozkazów, by ich atakować.

Emmanuel Grouchy nie był złym generałem. Potrafił być odważny i skuteczny. Udowodnił to nawet tego ranka, a także pod Iławą Pruską, gdzie na czele swoich dragonów spadł na rosyjską kawalerię jak tornado i rozerwał ją na strzępy. Kiedy zabito pod nim konia, dosiadł nowego i poprowadził drugi atak. Jednak krążyły o nim też inne opowieści: wspominało na przykład jego udział w nieudanej próbie podbicia Anglii w dziewięćdziesiątym pierwszym roku. Francuska flotylla dowodzona przez generała Lazare'a Hoche'a bezpiecznie dopłynęła do brzegów Anglii; nie dotarł tam tylko okręt, na którym znajdował się sam Hoche. Jego zastępca, Grouchy, trzy dni siedział na statku zamiast wysiąść na ląd. Potem rozpętał się sztorm i statki zawróciły przez kanał La Manche do Francji, a marzenia Napoleona o zdobyciu Anglii spełzły na niczym.

Paweł uznał, że fatalną wadą Grouchy'ego jest brak zdecydowania. Musiał mieć wyraźne rozkazy, inaczej po prostu nie wiedział, co robić. Pod Iławą Pruską miał w pobliżu Murata i wspaniale spisywał się pod jego dowództwem. „Murat! – westchnął Paweł w myślach. – Gdybyż tu był

Murat!”

Kilka dni później, gdy Paweł czekał na generała w jego namiocie, przypadkowo rzucił okiem na obszerny list skierowany przez Napoleona do Grouchy’ego. Epistoła dotyczyła działań pod Friedlandem. Napoleon nakazywał lewemu skrzydłu „wykonywanie takich manewrów, by spowodować jak największe straty po stronie wroga, jeśli będzie się cofał pod naporem prawego skrzydła sił francuskich”. To znaczy, że Grouchy miał rozkazy, i to całkiem wyraźne. Czy fakt, że Rosjanie byli w odwrocie, przekreślał – zdaniem generała – wcześniejsze ustalenia?

Koniec końców Friedland został wzięty, a Rosjanie pod wodzą generała Bennigsena zmuszeni do ucieczki. Wtedy Paweł miał do rozwiązania drugą zagadkę: dlaczego Napoleon nie ruszył w nocny pościg za zmęczonymi Moskalami i nie użył francuskiej kawalerii, która nie brała udziału w ciężkich walkach. Bez wątpienia w przeszłości Napoleon się przekonał, że dobrze czasami popędzić za pokonanym już wrogiem. Co go więc tym razem wstrzymało?

Paweł przypuszczał, że skoro traktat pokojowy jest bliski, cesarz Francji nie chce zrażać do siebie Aleksandra, całkowicie niszcząc siły Bennigsena, a tym samym zachęcając cara do kontynuowania wojny.

Potecki zdał sobie sprawę, że jest to swoista lekcja wykorzystania władzy. Nawet jeśli użyje jej się skutecznie, ale nie mądrze – może prowadzić do klęski.

Czerwiec 1807

Barbara zapukała i weszła do małego przedpokoju prowadzącego do sypialni Anny. Ujrzawszy siedzącą na sofie matkę, przymrużyła zielone oczy.

– Płakałaś, mamusiu?

Anna zaprzeczyła i z trudem przywołała uśmiech na usta.

– Chodzi o tatę, prawda?

– Usiądź, Basiu. Po prostu za nim tęsknię. Dziewczynka nie dała się zbyć.

– Słyszałam, jak ciocia Zofia mówiła madame Sic, że tata zaginął. Czemu mi o tym nie powiedziałaś?

Anna zagryzła dolną wargę.

Z oczu Basi popłynęły łzy, wargi jej zadrżały. Znała ojca tylko z listów i opowieści mamy, mimo to go kochała. Hrabina Stelnicka objęła córkę.

– Nie płacz – szepnęła. – Nie płacz. Tata wróci.

– Naprawdę tak myślisz, mamusiu? Anna ujęła twarz dziewczynki w dłonie.

– Musimy tak myśleć, Basiu. Musimy.

Siedziały chwilę w półmroku. Nagle Anna sobie uświadomiła, że zachęca córkę do wstrzymywania łez. Sama zawsze tak robiła: od dziecka nigdy nie płakała przy ludziach. Teraz już wiedziała, że połykanie łez wcale nie jest dobre, nic jednak nie mogła na to poradzić. Wiedziała, że powinna pozwolić Basi się wypłakać, ale wtedy żadna siła nie powstrzymałaby powodzi łez, również Anny.

Kiedy nadeszła wiadomość, że Gdańsk upadł i uwolniono wszystkich przetrzymywanych w mieście polskich i francuskich więźniów, Anna wmawiała sobie, że Jan jest wśród nich. Potem nadszedł list od Pawła, że nigdzie nie

natrafiono na ślad Stelnickiego. Potecki napisał, że część jeńców wywieziono statkiem, ale sformułował to tak, jakby stracił nadzieję na odnalezienie przyjaciela. Anna wątpiła, by ktoś spisywał nazwiska jeńców, którzy zmarli w niewoli.

List przyszedł w dniu, kiedy wybierała się w odwiedzinach do chłopców. Podczas wizyty siedziała wyprostowana i z uśmiechem odpowiadała na pytania Michała i Tadeusza o Jana.

– Jest cały i zdrowy – zapewniała. – Tylko, jak to na wojnie, nie ma czasu na pisanie listów. Wkrótce na pewno nadejdą od niego jakieś wieści.

Potem obaj synowie, posługując się gęsim piórem, na kartce papieru zademonstrowali jej, jak wyglądała bitwa o Gdańsk. Najwyraźniej oblężenie omawiano na lekcjach taktyki w akademii. Anna była przerażona.

Przytakiwała i uśmiechała się, słuchając ich wyjaśnień, ale cały czas zdawała sobie sprawę, iż chłopcy nie są naiwni, i przyjmują do wiadomości jej kłamstwa o Janie tylko dlatego, że nie chcą się z nią spierać.

W drodze powrotnej na Piwną poprosiła woźnicę, żeby się zatrzymał, wysiadła z powozu i zwymiotowała.

Było już całkiem ciemno, gdy Zofia wsunęła głowę w szparę w drzwiach.

– Wybierasz się dziś wieczorem do Potockich, prawda?

– Tak.

– To dobrze. Daję ci pół godziny! – ostrzegła i zniknęła.

Anna była zadowolona, bo dzięki przyjęciu Zofia nie będzie mogła zadawać jej zbyt wielu pytań. Wystarczyła ciekawość Basi.

Poza tym hrabina Stelnicka naprawdę miała ochotę na wyprawę do Wilanowa. Wkrótce po zwycięstwie pod Friedlandem podpisano traktat pokojowy w Tylży. Warto było

czegoś więcej się o tym dowiedzieć. Teść Anusi brał udział w negocjacjach, toteż Anna miała nadzieję, że usłyszy relacje z pierwszej ręki.

Anna i Zofia przyjechały punktualnie. Rezydencja Potockich była jasno oświetlona; wszędzie prowadzono mniej lub bardziej poważne rozmowy. Anna nie pamiętała tak ożywionego spotkania od lat.

– Co innego mógł zrobić Aleksander? – spytał książę Stanisław Potocki. Wszyscy zamarli w oczekiwaniu. – Po Friedlandzie musiał rozpocząć rokowania. Napoleon również o tym marzył, bo Austria lada chwila mogła zrezygnować z dotychczasowej neutralności i stanąć po stronie Rosjan.

Teść Anusi dokładnie wszystko opisał. Dwudziestego piątego czerwca dwaj władcy spotkali się na tratwie na środku Niemna. Dnie mijały na dyskusjach, a wieczory na kolacjach. W takich warunkach dopracowywano szczegóły projektu. Królowa pruska Luiza przybyła dopiero piątego lipca. Błagała i kokietowała, ale Napoleon nie mógł jej wybaczyć, że wcześniej tak bardzo się opierała. Kosztowała Francję więcej niż jej mąż Fryderyk Wilhelm. Teraz, gdy zobaczyła, że dwaj nawzajem podziwiający się władcy doprowadzili do tego, że Prusy skurczyły się do swoich granic sprzed tysiąc siedemset siedemdziesiątego drugiego roku, płakała z upokorzenia.

Słuchaczy Potockiego rozbawiła ta opowieść.

– To tylko deser – powiedział ktoś.

– Francuzi zostaną w Gdańsku – kontynuował książę Potocki – ale będzie to wolne miasto. Napoleon jest zadowolony. Dzięki francuskiej i rosyjskiej dominacji na Bałtyku Nemezis Napoleona – Anglia – poniesie znaczne szkody. Oczywiście, jeśli chodzi o Bałtyk, Anglia nigdy nie była tu decydującą siłą, ale teraz jej okręty handlowe znajdują się w jeszcze gorszej sytuacji.

Chociaż to były ważne ustalenia, słuchacze Potockiego

coraz bardziej się niecierpliwili, bo chcieli usłyszeć o sprawach bliższych ich sercom. Kiedy opowieść zwolniła nieco tempa, sędziwa ciotka Anusi wyjęła z ucha róg, dzięki któremu lepiej słyszała, i zawołała ze złością:

– Co z Polską, dobrodzieju?! Co z Polską?!

Przez salę przetoczyła się salwa śmiechu; potem jednak wszyscy poparli jej pytanie. Niektórzy wiedzieli coś o pokoju w Tylży, ale w napięciu oczekiwali na szczegóły od bezpośredniego świadka. Książę Potocki uśmiechnął się i uniósł rękę, by uciszyć słuchaczy. Wezwano go na konferencję, żeby zebrał w całość zainicjowane przez Francuzów poprawki do Konstytucji 3 maja.

– Konstytucja znów będzie obowiązywać! – zawołał z dumą.

Anna zobaczyła, że wszystkich ogarnia radość. Sama na tę wieść wyprostowała plecy i dostała gęziej skórki. Jej ojciec i ojciec Jana – obaj zdecydowani zwolennicy konstytucji – ogromnie by się ucieszyli! Nagle pomyślała o Janie. Jan! Tyle razy u boku Kościuszki ryzykował życie w obronie konstytucji. Czy jeszcze żyje? Czy zdążył usłyszeć tę wiadomość?

– A Polska?

To krótkie pytanie padło z ust byłego posła na Sejm Czteroletni, Walentego Sobolewskiego.

Książę zacisnął wargi i nieco się przygarbił.

– Przyznano nam sporą część naszych ziem, które straciliśmy na rzecz Prus dawno, dawno temu, podczas rozbioru w tysiąc siedemset siedemdziesiątym drugim roku. Niestety, nie wszystkie, tylko ich kawałek.

– A co z Litwą? – spytał kuzyn Radziwiłł.

– Cesarz nie chciał w ogóle rozmawiać o niezależności Litwy.

Zapadła cisza. Polacy próbowali wyobrazić sobie aktualny

zarys granic swojej okrojonej ojczyzny. Rzeczywistość docierała do nich powoli, wywołując szok za szokiem.

Nie będzie Rzeczypospolitej. Okrojono Polskę. Nie spełniono jej oczekiwań.

Anna wiedziała, że każdy z obecnych zastanawia się nad własną sytuacją. Jeden jedyny raz z twarzy Zofii można było odczytać wszystko jak ze świeżo zapisanej strony, zwłaszcza gdy uniosła ciemną brew. Jej parcela na Pradze była bezpieczna, ale majątek w Haliczu przepadł. Anna poczuła ulgę, że Sochaczew, tak jak Warszawa, będzie należał do Polski. Własność Stelnickich w Krakowie i Uściu Zielonym już nie.

– Czy to nie za mało, by nazwać ten skrawek ziemi Polską?

– spytał przyjaciel Potockiego.

Książę zrobił ponurą minę.

– Ten skrawek, jak powiedziałaś, nie będzie zwał się Polską, Marcinie.

– Co takiego?

Słuchacze nie kryli zaskoczenia.

– To prawda – powiedział książę. – Napoleon i Aleksander z całą premedytacją unikali słowa „Polska”.

Hrabia Sobolewski wyprostował się na krześle.

– Tylko pomyśleć, Stanisławie – wtrącił – że obu zabawiałeś niegdyś w tej sali!

– Wiem. Wiem, Walenty. Będziemy mieć księstwo.

– Księstwo?

To słowo przepłynęło przez salę jak fala.

– Tak, Księstwo Warszawskie – ciągnął Potocki.

– A kto będzie jego księciem? – spytała Zofia.

Zebrani odwrócili głowy w jej stronę, ale ona nie odrywała wzroku od księcia.

– Fryderyk August z Saksonii.

Słuchacze zamilkli zaszokowani. Przyszły książę nie był

Polakiem!

– Obecne ustalenia musimy potraktować jako punkt wyjściowy – ciągnął Potocki, próbując robić dobrą minę do złej gry. – Pozbyliśmy się naszych dręczycieli, Prusaków. Kilku patriotów ma jechać ze mną do Drezna. Będziemy reprezentować nowe księstwo. Dziewiętnastego tego miesiąca cesarz ma podyktować ostateczną wersję konstytucji i poumawiać się na spotkania.

– Śmiał twierdzić – wymamrotał Radziwiłł – że „podyktować” to wyjątkowo odpowiednie słowo.

– Dlaczego miejscem spotkania ma być Drezno? – spytał ktoś. – Nie Warszawa?

– Cesarz chce szybko wrócić do Paryża, a Drezno jest po drodze.

– Najpierw rozlano naszą krew, a teraz nas zlekceważono! – powiedział z goryczą hrabia Mdzewski.

Anna serdecznie współczuła przyjacielowi ojca. Książę Potocki dobrze wiedział, że jego goście będą niezadowoleni, bo mieli o wiele większe oczekiwania.

– Nie wracajmy do tego – zaproponował, z trudem zdobywając się na uśmiech. – Wznieśmy toast. To dopiero początek!

Zofia nachyliła się do Anny.

– Jestem gotowa się założyć, że polska zdobycz wojenna, Maria Walewska, nie zostanie lepiej potraktowana.

Anna, działając pod wpływem impulsu, wbiła wzrok w kuzynkę.

– Czy gdybyś miała szansę, zamieniłabyś się z Marią miejscami? – spytała.

– Anno! – Zofia odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem. Bez chwili zastanowienia odpowiedziała: – W ułamku sekundy, kuzynko. W ułamku sekundy!

Sierpień 1807

Tego dnia żar lał się z nieba. Anna wróciła ze szpitala, w którym ostatnio pracowała jako wolontariuszka. Zofia czekała na nią u podnóża schodów z dziwnie poważną miną.

– O co chodzi, Zofio?

– Mam wieści o Janie!

Anna zamarła, czując, że krew odpływa jej z twarzy.

Kuzynka w milczeniu ujęła ją pod ramię i wprowadziła do jadalni. Przy stole siedział Paweł, a obok niego Emma Szraber. Emma przyjechała z dwudniową wizytą. Oboje, ona i Paweł, też mieli poważne miny. Paweł wstał i podszedł do Anny, by ją pocałować.

Hrabina Stelnicka natychmiast pomyślała o najgorszym.

– Jan nie żyje! Nie żyje, prawda?

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Wszyscy na nią patrzyli; zrobiło jej się słabo. Potecki ujął ją za ramię.

– Mylisz się, Aniu – powiedział. – Żyje.

– Żyje?

– Tak – potwierdziła Zofia.

– Gdzie jest?

– W twojej sypialni – odparła kuzynka.

– Co takiego? W takim razie dlaczego robicie takie ponure miny? Żeby mnie przestraszyć?

Hrabina Stelnicka, szczęśliwa, uwolniła się z uchwytu Pawła i ruszyła w stronę schodów. Zofia ją zatrzymała. Anna odwróciła głowę. Nikt się nie uśmiechał.

– Musimy cię przygotować, Aniu – wyjaśniła Zofia. Emma przytaknęła.

– Zanim go zobaczysz.

– Jest ranny?! – wybuchnęła Anna. – Ma...?

Paweł najwyraźniej czytał w jej myślach.

– Jest w jednym kawałku, Aniu, i wszystkie rany, które

otrzymał, zdążyły się zagoić.

– Jednakże w niewoli przez cały czas chorował – wyjaśniła Zofia. – Kozacy puszczały mu krew, a to jedynie pogorszyło stan jego zdrowia. Sama nigdy nie wierzyłam w tę metodę.

– Jest wychudzony? – spytała Anna. Paweł przytaknął.

– I słaby. Bardzo, bardzo słaby. Zofia kiwnęła głową.

– Zsiadł z konia i upadł przed progiem.

– O mój Boże! – Anna nie zdawała sobie sprawy, że to jej słowa. Próbowała uwolnić się z uchwytu Zofii. – Puśćcie mnie do niego!

Emma wstała i obeszła stół.

– Aniu, musisz być silna. Chodzi o to, żebyś spróbowała zachowywać się tak, jakby nic się nie stało. – Po policzkach Emmy popłynęły łzy. – Musisz być silniejsza niż ja.

Anna miała wrażenie, że ktoś lodowatą dłonią usiłuje wycisnąć z niej resztki życia.

– Tylko ty, Aniu, możesz mu dać to wszystko, czego potrzebuje – powiedziała Zofia. – W tym cała nadzieja.

„Nadzieja? Czyżby Jan mógł umrzeć?”

– Rozumiem – powiedziała Anna.

W tym momencie poczuła przypływ jakiejś nieznannej energii, jakby ktoś podał jej błyskawicznie działające lekarstwo. Przez chwilę milczała. Pokonała ogarniającą ją panikę, przyjęła do wiadomości fakty i przetrwała je. Teraz mogła zacząć działać. Zebrała siły, tak jak Jan, Paweł i tysiące odważnych Polaków podczas każdej bitwy, i wypróbowała na trójce przyjaciół uśmiech, którym obdarzy męża.

Dostrzegli to i zgodzili się, by do niego poszła.

Ruszyła w stronę schodów.

Przed swoim małym apartamentem jeszcze raz zebrała siły. Nikt nie szedł za nią. Pokonała salonik i skierowała się w stronę otwartych drzwi sypialni. Lutisza, słysząc kroki Anny,

zostawiła chorego, zbliżyła się do pani i zwyczajowo dygnęła; tym razem jednak miała ponurą minę. Z brzytwą i miednicą w ręce wyszła z pokoju, nie podnosząc wzroku.

Anna wzięła głęboki wdech i zaczęła, aż jej oczy przyzwyczajają się do ciemności. Początkowo myślała, że osoba, która leży na łóżku, to nie Jan, tylko ktoś obcy.

Zrobiła parę kroków. Oblicze chorego zlewało się z białą poduszką... Jan skurczył się, a jego włosy – zwłaszcza wąsik – mocno posiwiały. Anna podeszła do łóżka.

W końcu ją usłyszał i z wyraźnym wysiłkiem odwrócił głowę. Uniósł powieki i skupił wzrok na Annie. Na szczęście jego kobaltowe oczy nie wyblakły! Uśmiechnął się, a ona miała nadzieję, że jej uśmiech jest tak samo szczerzy jak jego.

– Jak to dobrze, że Lutisza zdążyła mnie ogolić – powiedział. – Cieszę się... że cię widzę... Aniu.

– Ja też – zapewniła, sięgając po jego dłoń.

Była zaskoczona, że Jan ma takie chude ręce; przeraził ją jego słaby uścisk.

– Nie... nie udawaj – wychrypiał. – Wiem... że nie ma na co patrzeć...

Na ustach Anny pojawił się wymuszony uśmiech. Jeśli jego stać na smutny żart, ona może się postarać, żeby nie wybuchnąć płaczem. Nie będzie płakać.

Chude palce musnęły jej dłoń.

– Myślałem... Aniu... że już nigdy nie zobaczę... twoich oczu.

– Po podpisaniu pokoju – wyjaśniał Paweł Emmie i Zofii – uwolniono jeńców i każdemu dano trochę pieniędzy na drogę. Jan był o krok od śmierci. Leżał ledwo żywy na skraju rynku w Rydze, kiedy podszedł do niego jakiś kozak. Pamiętał Jana z obłączenia. Wsadził go na swojego jucznego konia i razem opuścili miasto, kierując się w stronę Ukrainy. W czasie

dłuższej podróży kozak troskliwie opiekował się Janem. Gdy dojechali do drogi prowadzącej do Warszawy, Jan uznał, że dzięki świeżemu powietrzu, słońcu i jedzeniu nabrał dość sił, by samodzielnie dotrzeć do celu. Kozak dał mu swojego konia.

– Naprawdę? – Zofia nie kryła zdumienia. Paweł skinął głową.

– Tak. Jan postanowił, że wyśle mu pieniądze za opiekę, lecz kiedy spytał, z jakiej miejscowości pochodzi, kozak tylko się uśmiechnął i klepnął konia Jana po zadzie, żeby ruszył w drogę.

– Bogu niech będą dzięki! – zawołała Emma. – Nawet na wojnie zdarzają się cuda.

– To prawda – przyznał Paweł. – Powiada się, że kozacy są niezdyscyplinowani, stosują przemoc i sieją terror w szeregach przeciwnika, ale podczas wojny potrafią być tak samo honorowi jak polscy ułani... Właśnie mieliśmy okazję się przekonać, że podczas pokoju również.

Godzinę później Lutisza weszła do sypialni ze szklanką ciepłego mleka i małym talerzykiem drobno posiekanych kaczych wątróbek. Annie zrobiło się niedobrze, ale przypomniała sobie, że kiedy przed laty została pobita i zgwałcona, Lutisza wmuszała w nią to samo danie. Dzięki niemu nabrała sił i uniknęła śmierci.

Zostawiwszy opiekę nad chorym mężem zaufanej służącej, Anna zeszła na parter do salonu, gdzie byli Paweł, Emma i Zofia. Stała na środku i powiedziała mechanicznie, jakby wygłaszała prolog do którejś ze sztuk Szekspira.

– Jan wyzdrowieje. – Naprawdę w to wierzyła. Chciała wierzyć. – Wrócimy do Sochaczewa. Chłopcy zamieszkają z nami. Koniec z żołnierką w naszej rodzinie.

Rozejrzała się po pokoju, zatrzymując wzrok na zebranych, jakby dzięki temu jej słowa miały nabrać jeszcze większego znaczenia.

– Koniec z wojną.

Część czwarta

Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.
(przysłowie polskie)

Marzec 1812

Paweł siedział samotnie przy małym stoliku w paryskiej gospodzie. Były to ostatnie dni pobytu legionistów w stolicy Francji, gdzie znaleźli wytchnienie po latach spędzonych w Hiszpanii i zimowej przeprawie przez Pireneje. Potecki, sącząc alkohol, myślał o koniu, dwóch jucznych mułach i polskim ułanie – towarzyszu broni – którego porwała lawina. Niesławny koniec niesławnej kampanii.

Próbował podsumować swoje życie. Przyszło mu do głowy, że Jezus zmarł, mając trzydzieści trzy lata, ale zdążył osiągnąć swój cel i dokonać wszystkiego, co było Mu pisane. „Dziwne” – pomyślał Paweł. Przypomniały mu się również niedawne słowa Napoleona: „W końcu czterdziestka to czterdziestka”.

Cesarz wkrótce skończy trzydzieści trzy lata, Paweł – czterdzieści cztery. Mimo to obaj wciąż parli do przodu, jakby nie dostrzegali, że z każdą kampanią, każdą nocą, każdym rokiem z dala od domu umyka im młodość. Po dwunastu godzinach spędzonych na koniu Paweł ledwo chodził. Za dawnych czasów nie miał takich problemów. Czy Napoleon rzeczywiście ma swoją gwiazdę, za którą podąża? „Czy ja – zastanawiał się Paweł – postępuję zgodnie ze swoim przeznaczeniem? Do jakiego celu zmierzam?”

Grupa hałaśliwych polskich żołnierzy przy barze zaczęła spontanicznie śpiewać:

Marsz, marsz Dąbrowski,
Do Polski z ziemi włoski,
Za twoim przewodem
Złączem się z narodem.

Do Pawła podeszła pulchna szynkarka.

– Jeszcze jednego sznapsa, sir?

Kiedy Paweł przytaknął, napełniła kieliszek i kiwnięciem głowy wskazała na pozostałych biesiadników.

– Dlaczego wydają wszystko, co mają? Polacy... nie są tacy skąpi jak Francuzi.

Paweł wybuchnął śmiechem.

– Raczej dlatego, madame, że po raz ostatni widzą Paryż i chcą to zapamiętać; Francuzi zawsze będą go mieli.

– To prawda – przyznała, odsłaniając resztkę zębów w zagadkowym uśmiechu – jeśli nie liczyć tych, którzy spoczywają na polach bitewnych całej Europy. Tamci już nie ujrzą Paryża, monsieur.

– *Touché!* – powiedział Potecki, unosząc kieliszek. Kobieta oddaliła się, zadowolona z siebie.

Jak większość polskich żołnierzy Paweł cieszył się, że wraca do kraju... i tak jak oni był zmęczony wojną. Pomysł, by opanować Półwysep Iberyjski, od początku był nierealny, między innymi dlatego, że Anglia przez cały czas udzielała wsparcia Hiszpanii. By osiągnąć sukces, potrzebna by była cała Wielka Armia, tymczasem większość sił francuskich walczyła gdzie indziej. Chociaż traktat pokojowy Aleksandra z Napoleonem zabraniał Rosji utrzymywania kontaktów handlowych z Anglią, był to warunek niemożliwy do spełnienia. Wszyscy wiedzieli, że car tego nie przestrzega, dlatego nad Europą ponownie zawisło widmo wojny ze wschodem. To fakt, że Paweł i jego polscy towarzysze broni znów zobaczą ojczyznę, ale Polska będzie tylko przystankiem na drodze francuskich sił zmierzających w stronę wschodnich krańców Europy... w stronę Rosji i wojny z Aleksandrem.

Zaledwie dzień wcześniej, dwudziestego drugiego marca tysiąc osiemset dwunastego roku, na Place du Caroussel polskie regimenty, które przybyły z Hiszpanii,

przemaszerowały przed obliczem siedzącego na koniu imperatora. Nowa żona Napoleona, Austriaczka Maria Luiza – a wraz z nią inne piękne kobiety – obserwowała paradę z balkonu. Cesarz rozwiódł się z Józefiną i zawarł małżeństwo z pobudek politycznych, licząc, że żona obdarzy go synem. Był to najważniejszy temat paryskich plotek i ploteczek. Polska kochanka cesarza, Maria Walewska, nadal przebywała w Paryżu... ale w odosobnieniu. Paweł słyszał, że nie jest zbyt zadowolona ze swojego statusu. Legiony długo stały na baczność. Potecki zastanawiał się, ilu żołnierzy miało żal do Napoleona, że na dwa lata zostawił Hiszpanię swoim podkomendnym, co przyniosło opłakane skutki. Cesarz jechał wzdłuż szeregu, tu zadał pytanie, tam rzucił komplement... a błysk w jego szarych oczach koniec końców wzbudził w ludziach entuzjazm, który potrafiło wywołać niewielu innych przywódców.

– Podziwiam was wszystkich! – zawołał cesarz. – Jesteście urodzonymi żołnierzami. Nie mogę uwierzyć, że udało się wam przeprowadzić tak wspaniałą kampanię przeciwko Hiszpanii! Brawo!

– Wspaniała kampania, też mi coś – mruknął Paweł pod nosem.

Mimo to Napoleon mówił i mówił, w sobie tylko znany sposób wzbudzając zachwyty żołnierzy. Był w tym względzie niezrównany. Jakimś cudem – mimo braku jakichkolwiek konkretnych obietnic – polscy żołnierze nabrali przekonania, że wojna z Aleksandrem na wschodzie jest zapowiedzią odrodzenia dawnej Polski. Dlatego donośnie, prosto z serca wołali: *Vive l'Empereur!* Napoleon był zadowolony, ale pod koniec uroczystości przyznał niewiele odznaczeń za czteroletnie nadstawianie głowy i poświęcenie.

Potem uznał, że żołnierze zdążyli już nabrać siły, i ustalił wcześniejszą datę wymarszu, skracając do minimum

wypoczynek w Paryżu.

Anna otworzyła oczy. Jan kręcił się po pokoju i chyba szukał po omacku butów.

– Co robisz, Janie?

– Obudziłem cię? Przepraszam.

– Chodź do mnie – powiedziała.

Nie wyjaśniała, że zazwyczaj nie śpi, kiedy mąż rano opuszcza sypialnię.

Podszedł i stanął obok łóżka.

– Pośpij jeszcze trochę.

Wzięła go za rękę i przyciągnęła do siebie.

– Zostań ze mną kilka minut.

Uśmiechnął się.

– Masz ochotę na poranne akrobacje?

– Nie, nie to miałam na myśli!

– Szkoda. Byłby to całkiem niezły początek dnia – zażartował.

– Chodź! – powtórzyła.

Jan położył się obok niej na narzucie. Nie miał na nogach butów, ale był już ubrany. Objął żonę i przygarnął do siebie.

– Tak dobrze?

– Tak.

– Chcesz, żebyśmy porozmawiali?

– Tak. Zapadła cisza.

– Ja mam zacząć? – spytał.

– Nie. Rzecz polega na tym, Janie, że nie zawsze czuję między nami bliskość.

– Przecież cię przytulam, Aniu. Jestem obok ciebie. Wczoraj wieczorem...

– Wiem, ale nie o taki rodzaj bliskości mi chodzi. Uważam, że małżonkowie powinni częściej rozmawiać o tym, co czują.

Czego się boją. Powinni dzielić się swoimi myślami. Wiem, że łączy nas namiętność, ale tęsknię za czymś więcej.

Udało się! Wreszcie mu to powiedziała. Czy Jan zechce ją zrozumieć? Długo milczał. Anna czekała. Jej słowa wykluczały żartobliwą odpowiedź.

– Dręczy mnie sporo obaw – przyznał w końcu. – Wolę jednak działać, Aniu. Przecież o tym wiesz. Poza tym na pewno znasz moje uczucia.

– Tak, Janie, ale nie umiem czytać w twoich myślach.

– Czytać? Jak w książce?

Uśmiechnęła się.

– W dobrej książce... lecz czasami... bardzo tajemniczej. Niekiedy bardzo trudno cię zrozumieć.

– Kocham cię. Przecież ci to mówię, prawda?

– Tak.

– Może jestem mniej skomplikowany, niż myślisz. Może nie jestem takim mężem, o jakim marzyłaś, będąc młodziutką dziewczyną.

– Jesteś lepszym mężem, niż przypuszczałam, Janie. O wiele lepszym.

Obrócił się na bok, wsparł głowę na dłoni i spojrzał na żonę. W pokoju powoli zaczynało się rozjaśniać. Anna bacznie przyglądała się mężowi. Jego twarz już się zaokrągliła po ciężkich przejściach w niewoli u kozaków. Chociaż wciąż lekko utykał, zwłaszcza podczas chłodów, odzyskał zdrowie i znów przypominał człowieka, który przed laty, leżąc na suchych liściach, po raz pierwszy wyznał jej miłość. Nie wszystkie przeżyte lata były szczęśliwe, ale minęły – zarówno te dobre, jak i złe. I to minęły bardzo szybko!

– Kocham cię, Aniu – powiedział, jakby znał jej myśli. Jakby i on cofnął się do tamtego jesiennego dnia w Haliczu. – Przykro mi, że czasami wszystko wygląda tak, jakbym się przed tobą zamknął.

– Bo się zamknąłeś.

– Jesteś moją miłością, Aniu, moją wielką miłością. Myślę też, że oboje martwimy się o to samo. O szare codzienne życie. O chłopców, Basię... i o to, jaką Polskę im zostawimy.

– Przyszłość należy do nich – przyznała Anna. Delikatnie ją pocałował.

– Nie spiesz się z odsyłaniem nas w przeszłość – zażartował.

– Jak zawsze skłonny do żartów! – odparła.

Jakby na przekór jej łagodnej przyganie pocałował żonę z namiętnością, która rozpałała ich oboje, i zaczął ją pieścić. Anna miała zamiar porozmawiać o jego utraconym majątku, o zbliżającej się wojnie, o roli ich synów w wojsku, lecz jej ciało zaczęło reagować na delikatny dotyk, mózg przestał pracować, a świat stał się światem barw, nie myśli. Nieco później, kiedy się kochali, a on gorąco ją całował, uchyliła powieki. Ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła, że Jan też ma otwarte oczy i swoim spojrzeniem wyznaje jej miłość.

Po jego wyjściu zaczęła się zastanawiać, czy mogłaby jeszcze urodzić dziecko. Skończyła trzydzieści osiem lat, ale to niczego nie przekreślało. Wciąż miała okresy regularnie jak w zegarku. Dzieci szybko rosły, dlatego czasami myślała, że chętnie zajęłaby się następnym maleństwem. Anusia Potocka właśnie powiła synka, i Anna jej zazdrościła. Bywały jednak chwile, kiedy miała wątpliwości, czyby to zniosła, bo czasami odnosiła wrażenie, że sama potrzebuje opieki i troski.

Ostatnio zdarzało się, że nie wiedziała, co ze sobą począć. Cztery lata temu, po powrocie Jana z Rygi, wszem i wobec oznajmiła, że cała rodzina wraca do Sochaczewa. Niestety, nie udało się zrealizować tego planu. Chłopcy zostali w Warszawie. Komendant akademii nie zgodził się na zwolnienie Tadeusza. Masoneria zbyt dużo w niego

zainwestowała. Anna usłyszała, że nawet jeśli istnieje niewielka szansa, by w przyszłości został królem, wolnomularze nie mają zamiaru rezygnować ze swoich planów. Mogą wypuścić Michała, ale to złamałoby mu serce, bo pokochał wojaczkę. Poza tym Anna chciała, żeby był blisko Tadeusza.

Jan, który wówczas po raz pierwszy usłyszał o machinacjach wolnomularzy, przyjął tę wiadomość spokojnie, nie wierząc, by takie plany mogły się urzeczywistnić... a po odwiedzinach u chłopców nie miał żadnych zastrzeżeń do wojskowych zamiłowań Tadka i Michała. To honorowa służba – powiedział Annie – a obaj chłopcy już się na nią zdecydowali. Całkiem normalna reakcja człowieka o żołnierskim sercu.

Basia przyjechała do Sochaczewa z Janem i Anną, ale szybko wróciła do Warszawy, by rozpocząć naukę w klasztorze Wniebowzięcia Matki Boskiej. Była tam już trzeci rok. Podczas krótkich wakacji często zatrzymywała się u Izabeli, która od czterech lat pobierała nauki w szkole prowadzonej przez zakonnice. Annie nie podobały się metody wychowawcze Zofii, ale chyba nie były takie złe, skoro Iza – również dzięki zakonnicom – wyrastała na prawdziwą damę i przyjaciółkę Basi.

Przed wyjazdem do Sochaczewa Anna i Jan dowiedzieli się, jak dwulicowy był Doliński. Paweł pamiętał go jako pruskiego szpiega w szeregach wolnomularzy; Anna widziała, jak blada twarz Jana oblewa się pąsem, gdy opowiedziała, co jej groziło ze strony starosty. Z kolei to ona była zaskoczona i zła, gdy mąż wyznał, że chcąc trzymać Prusaków z dala od majątku Anny, przez lata płacił Dolińskiemu spore łapówki.

Kiedy odarto Dolińskiego z wszystkich masek, Zofia z niepokojem spojrzała na Annę, jakby chciała spytać: „Masz zamiar mu powiedzieć?”. Rozmowa dotyczyła właśnie śmierci

starosty... i identyfikacji jego pomocnika. Anna najwyraźniej chciała zdradzić, że to ona zabiła pruskiego szpiega, a Michał wyprawiał na tamten świat mordercę swojego dziadka, ale Zofia, być może dostrzegając tę pokusę, długo się rozwodziła nad tym, że dwaj kryminaliści dostali to, co im się należało. Dzięki temu Anna miała czas na zastanowienie się... i potem już nic nie powiedziała.

Może gdyby ujawniła swój czyn o wiele wcześniej – pomyślała Anna – chłopcy w ostatecznym rozrachunku tylko by na tym zyskali. Gdyby usunięto ich z akademii, przestaliby być kadetami i nie mogli służyć jako mięso armatnie w kolejnych kampaniach Napoleona. Anna wyznałaby wówczas wszystko, gdyby nie Zofia i pogrożki komendanta, który nie życzył sobie żadnego skandalu. Wiedziała, że chłopcy nie przejęliby się samymi pogłoskami ani plotkami, jednak byłiby nieszczęśliwi, gdyby musieli opuścić szkołę i zrezygnować z możliwości walki o Polskę. Tego nigdy by jej nie wybaczyli.

Od lat żałowała, że o tych wydarzeniach nie powiedziała Janowi.

Na myśl o zbliżającej się wojnie zadrżała. Gdzie podziela się jej dawna pewność siebie? Opanowanie? Anna przypomniała sobie, na co było ją stać przed ostatnim – i ostatecznym – rozbiorem Polski. Chociaż Warszawa była okupowana przez wojska rosyjskie, organizowała spotkania patriotów w domu Grońskich, narażając wszystkich na ogromne niebezpieczeństwo. Podała się nawet za Zofię, chcąc ostrzec króla przed insurekcją w Warszawie. Na dodatek, gdy caryca Katarzyna przysłała swojego najbezwzględniejszego generała, by zemścił się za powstanie, a jego oddziały zaatakowały Pragę i mordowały cywilów, którzy stanęli im na drodze, Anna chwyciła za lejce i przejechała przez płonący most do Warszawy.

Hrabina Stelnicka marzyła o wolnej i niepodległej Polsce,

ale teraz, kiedy rozeszły się pogłoski o następnej wojnie, ogarniał ją coraz większy strach. Mogła myśleć tylko o mężu i synach. Codziennie jej się wydawało, że słyszy maszerujących żołnierzy – raz nadchodzących z zachodu, a raz ze wschodu.

Przypomniła sobie stwierdzenie Zofii, że kraje to jedynie granice, które co jakiś czas się przesuwają w zależności od kaprysu władców i wyniku wojen. Może to prawda. Pamiętała również o słowach cioci Stelli: „Aniu, kiedyś były kraje, teraz są rodziny”.

Przed południem Jan zrobił sobie przerwę i usiadł na powalonym pniu. Wrócił do dawnego zwyczaju rąbania drewna na skraju posiadłości, gdzie nikt nie mógł widzieć, że właściciel Topolowa wykonuje nieodpowiednie prace. Było dość zimno, a lodowaty marcowy wiatr hulał po nieobsianych polach pszenicy, ale przy rąbaniu drewna Jan się rozgrzał, toteż chłód wprowadził go w cudowny nastrój. Spojrzał na słońce, które powoli wspinało się po nieboskłonie.

Miał świadomość, że tego ranka dał Annie zadowolenie fizyczne... nic więcej. Zamiast bardziej się przed nią otworzyć wyłożył na stół kartę namiętności. Dlaczego tak postąpił? Co miał jej powiedzieć? Że życie w Sochaczewie potwornie go przytłacza? Nie uważał się za nieszczęśliwego. Nie, kochał żonę tak samo jak zawsze – teraz nawet mocniej! – ale czasami czuł się tak, jakby wiódł życie kogoś innego, nie swoje.

Dokonał wyboru. Poprosił o zwolnienie ze służby w legionach. Nigdy więcej nie pójdzie za Napoleonem... nigdy nie będzie dopatrywał się w słowach cesarza żadnych obietnic. Kościuszko już dawno przestał popierać małego Korsykanina.

Jednakże świat nie zapomniał o Polsce. Po pokoju, jaki Napoleon zawarł z Aleksandrem w tysiąc osiemset siódmym roku, powstało Księstwo Warszawskie. Znowu powiewała flaga

narodowa, a księżę Poniatowski – który zdaniem większości Polaków powinien zostać królem – zyskał miano głównodowodzącego. Napoleon przyznał parze miłych staruszków – królowi i królowej Saksonii – tytuł księcia i księżnej nowego księstwa. Niestety, nie byli Polakami. Chociaż z drugiej strony należało się cieszyć, że Księstwo Warszawskie nie przypadło w udziale francuskiemu marszałkowi Joachimowi Muratowi, który oglądałby je tylko przez lunetę, albo jednemu z braci Napoleona, kolekcjonujących kawałki Europy niczym żetony w grze w karty.

Rząd księstwa składał się z pięciu ministrów i premiera. Kilku ministrów, wiedząc o dawnym poparciu Jana dla Kościuszki i konstytucji, błagało Stelnickiego, żeby przyjął jakieś stanowisko w nowym rządzie. Odmówił, bo wkrótce wyszło na jaw, że rada może działać tylko pod nadzorem kogoś w rodzaju prokonsula – oczywiście Francuza – a jeśli pojawiłaby się jakaś poważna albo kontrowersyjna sprawa, rozstrzygnąć ją mógł jedynie sam Napoleon Bonaparte.

Księstwo Warszawskie było więc zabawką w rękach innych, a nie niezależnym państwem, o jakim marzył Jan.

Mimo to dwa lata po powstaniu Księstwa Warszawskiego nadzieje Jana nieco wzrosły. Austria wypowiedziała wojnę Francji, wychodząc z założenia, że armia Napoleona ma stałe zajęcie w Hiszpanii, a naród francuski stracił ochotę do prowadzenia ciągłych wojen. Wezwany przez cesarza księżę Poniatowski i jego sześćdziesięcioletnia armia spisali się świetnie, odbierając Austrii tereny, które należały niegdyś do Polski, czyli okolice Krakowa i Galicję. Przez jakiś czas wydawało się, że kamienica Stelnickiego w Krakowie, a także majątki Stelnickich i Grońskich pod Haliczem wrócą do dawnych właścicieli... Potem nagle Austria poprosiła o pokój, a cesarz Francji zrzekł się większości zdobytych ziem.

Wtedy Napoleon złamał serce Polski. I Jana. Księżę Poniatowski nie zniechęcał się i nadal toczył bitwy pod francuskimi sztandarami. Najlepszy przyjaciel Jana, Paweł, od lat walczył w Hiszpanii. Dlaczego? O co?

Jan wrócił myślami do Anny. W końcu dowiedziała się o łapówkach Dolińskiego, który obiecał przypilnować, by majątek nie przypadł jakiemuś Prusakowi. Zbladła na tę wieść i znów zaczęła przeklinać dawnego starostę z Sochaczewa. Na pewno nie płakała z powodu śmierci człowieka, który chciał zabić Tadeusza, jednak nie podniosło jej to zbytnio na duchu. Jan wiedział już, że jego żona potrafi znieść przykrą prawdę... mimo to nie wspomniał jej o ostatnich wymuszeniach, które nastąpiły już po śmierci Dolińskiego. Kiedy powstało Księstwo Warszawskie, Francuzi zażądali bardzo wysokiej opłaty za to, by Anna mogła pozostać właścicielką swojego rodzinnego majątku. Jan po cichu zapłacił, przeznaczając na ten cel większość tego, co ocalało z jego fortuny.

Takie właśnie sekrety, zmartwienia i niezadowolenie sprawiały, że nie mógł się do żony zbliżyć. Robił to, bo czuł się odpowiedzialny za nią i całą rodzinę. Dokonał świadomego wyboru, mimo to modlił się, by pewnego dnia zostać takim mężem, o jakim Anna marzy.

Uniósł głowę i ujrzał chłopca, który zabierał porąbane przez dziedzica drewno. „To już prawie mężczyzna – pomyślał Jan, gdy wieśniak się zbliżył. – Człowiek, który troszczy się o swoją rodzinę”.

Kiedy chłopiec pomachał ręką, południowe słońce oślepiło Jana. Przez chwilę wydawało mu się, że ma przed sobą piechura w niebiesko-czerwonym mundurze. Czy to przeczucie? Czy tak wygląda przyszłość każdego młodego Polaka?

Na początku czerwca Paweł dotarł do Poznania, gdzie

większość żołnierzy czekała na Napoleona. Potecki przeżywał swego rodzaju *déjà vu* na widok łuków tryumfalnych i sztucznych ogni, które witały Napoleona tak jak w tysiąc osiemset szóstym roku. Cesarz, który przybył wieczorem, ucieszył się na widok oświetlonej korony z wawrzynu na kościelnej wieży zegarowej i napisu *Napoleoni Magno Caesari et Victori!* Mieszkańcy miasta i poborowi najwyraźniej znów uwierzyli w dobrą gwiazdę małego Korsykanina. Jednak członkowie starej gwardii – weterani, którzy brali udział w kampanii w tysiąc osiemset szóstym roku – okazywali znacznie mniejszy entuzjazm. Przybyli do Poznania, bo byli żołnierzami i nie znali innego sposobu na życie. Paweł wiedział, że Jan też znalazłby się wśród milczącej mniejszości.

Potecki był optymistą, zawsze starał się widzieć w ludziach ich dobre cechy i nie dostrzegać wad. Poza tym nigdy nie krył, że pomimo upływu lat i wielu rozczarowań nie zdołał się jeszcze uodpornić na charyzmę cesarza.

Jan Michał i Tadeusz zostali wcieleni do armii. Jako młodzi gwardziści zostali przydzieleni do Piątego Korpusu, warszawskiego kontyngentu księcia Poniatowskiego.

Tuż przed wyjazdem synów Anna nie miała odwagi porozmawiać z Janem o ich udziale w zbliżającej się wojnie. Otrzymali rozkaz stawienia się w Poznaniu. Wiedziała, że teraz, zamiast martwić się o męża, będzie myślała o niebezpieczeństwach, które grożą jej synom. Wojna była pewna, a Napoleon tak bardzo podziwiał waleczność polskich żołnierzy, że często wysyłał ich na front w pierwszej kolejności. Jak wszystkich chłopców z akademii Michała i Tadeusza nauczono cenić... nie kochać – honor, brawurę i chwałę pól bitewnych. Marzyli o tym. Tak samo jak o wolnej, niepodległej Polsce.

Rozumiała, dlaczego Jan również nie chce poruszać tego tematu. Dlaczego jest smutny i cichy. Wiedziała, że mąż – podobnie jak Kościuszko – nie ufa Napoleonowi. Tylko komu Polacy mogli jeszcze ufać? Przecież nie Rosji. Nie Austrii. Nie Prusom. Skoro dobry książę Pepe – jak nazywano księcia Poniatowskiego – związał swój los z Korsykaninem albo – jak powiadają – obaj się ze sobą związali, może wyniknie z tego coś dobrego. Co prawda Księstwo Warszawskie miało sporo wad, ale istniało.

Anna i Jan stali na warszawskim rynku i oglądali paradę wojskową. Tym razem była to ceremonia krótsza niż ta, która odbyła się w tysiąc osiemset siódmym roku, a widzowie nie zostali zaproszeni do wbicia symbolicznych gwoździ w drzewce sztandarów. Zgodnie z tradycją czynność tę powierzono księciu Poniatowskiemu i kilku dygnitarzom. Anna była zadowolona, bo wcale nie miała ochoty tego robić.

Starzy żołnierze opowiadali o swoich zasługach i bohaterskich czynach podczas wygranych i przegranych bitew. Można było odnieść wrażenie, że nad placem unoszą się duchy tysięcy żołnierzy, którzy walczyli podczas rozbiorów i brali udział w wojnach Napoleona. Teraz do armii wstępowała następna generacja Polaków – młodzi chłopcy, prawdę mówiąc, niektórzy z policzkami gładkimi jak brzoskwinie. „Toż to jeszcze dzieci – pomyślała Anna. – Dzieci, które rwą się do walki i zabijania”. Jej synowie.

Słuchając mowy księcia, spojrzała na kolumnę Zygmunta. Nagle poczuła się tak, jakby znów miała pięć lat i po raz pierwszy u boku ojca zwiedzała Warszawę. Wyciągała szyję i była zachwycona widokiem. Posąg z brązu przedstawiał dawnego króla, który w jednej ręce trzymał krzyż, a w drugiej miecz – jak święty rycerz. Ojciec powiedział jej wtedy, że to właśnie król Zygmunt III Waza przeniósł stolicę Polski z Krakowa do Warszawy. Choć była małą dziewczynką,

zastanawiała się nad dziwnym zestawieniem symboli: krzyża i miecza. Po latach, kiedy Jan ryzykował życie w armii, a ona potajemnie pracowała na rzecz Kościuszki z grupką patriotów, często powtarzała przysłowie: Kto miecz trzyma, pokój miewa.

Przeniosła wzrok na podwyższenie. Ceremonia dobiegała końca. Jan wziął ją za rękę i odprowadził na bok, lekko ściskając jej palce. Albo wiedział, że lepiej nic nie mówić, albo nie mógł wydusić z siebie słowa. Tym razem była mu wdzięczna za milczenie. Nie chciała publicznie ronić łez.

Późnym wieczorem oboje wrócili do Sochaczewa. Przez większą część drogi Jan tulił żonę i rozmawiał z nią tylko o sprawach dotyczących majątku.

Przed drzwiami powitała ich Marta. Miała opuchnięte oczy i twarz mokrą od łez.

– Co się stało, Marto? – zaniepokoiła się Anna.

Dolna warga służącej drżała, chociaż kobieta usiłowała nad sobą zapanować.

– Chodzi o mamę, madame. Nie... nie żyje. Pomimo starań rozplakała się.

Anna wzięła służącą w ramiona; poczuła potworny ból serca.

– Gdzie ona jest, Marto? – spytał Jan. – Posłałaś po doktora?

– Posłałam, panie hrabio, ale nim przyszedł, mama umarła. Jest u nas. Lekarz powiedział, że to apopleksja.

– Apopleksja? – powtórzył Jan. – Rzeczywiście udar mózgu potrafi błyskawicznie wyprawić człowieka na tamten świat.

Marta uwolniła się z uścisku hrabiny; była zażenowana, ale i niezmiernie wdzięczna.

– Miała wielkie serce – powiedziała Anna.

Chociaż Lutisza była służącą, przez trzy przepisowe dni i noce rodzina oraz przyjaciele na zmianę czuwali przy jej zwłokach w salonie Stelnickich. Anna wybierała ostatnią zmianę i od północy do świtu siedziała – przez większość czasu sama – obok otwartej sosnowej trumny.

Lutisza była nie tylko bardzo dobrą służącą. Była również przyjaciółką Anny, a chwilami zastępowała jej matkę.

Wiele lat temu mało kto sądził, że Anna przeżyje okropny gwałt nad jeziorem, ale Lutisza nie odstępowała na krok jej łoża, dodawała otuchy i pielęgnowała, dzięki czemu uratowała ją od nieuchronnej śmierci. Jeśli było to konieczne, zmuszała Annę do jedzenia i dokładnie ją opatulała, żeby nie miały do niej przystępu – jak to mówiła – „opary nocy”.

Siedząc przy Lutiszy, Anna przypominała sobie dziecięcą modlitwę:

Aniele Boży, strózu mój,
Ty zawsze przy mnie stój.
Rano, wieczór, we dnie, w nocy,
Bądź mi zawsze ku pomocy!

Ożywały różne wspomnienia. Kiedy Anna po śmierci rodziców pojechała do Grońskich, do Halicza, Lutisza powitała ją z otwartymi ramionami i promiennym uśmiechem. Potem, gdy gwardzista królewski przyszedł do kamienicy na Pradze w poszukiwaniu skandalicznych zapisków Zofii... to właśnie Lutisza znalazła notatki i ukryła je w fałdach spódnicy. W ten sposób uratowała Zofię i z pewnością wszystkich domowników.

Podczas trzech porodów Anny pełniła funkcję akuszerki. Hrabina Stelnicka nie zrezygnowała jeszcze z myśli o następnym dziecku... Tylko jak je urodzi bez pomocy wiernej służącej? Kto zawiąże czerwony sznureczek na nadgarstku

noworodka, żeby chronić go przed urokami?

Czy to Bóg przyznał szlachectwo garstce ludzi, a resztę skazał na ciężki los wieśniaków? A może to tylko przypadek? Anna nie umiała odpowiedzieć na te pytania, ale jednego była pewna: Lutisza pomimo ograniczeń żyła pełnią życia, okazując innym więcej miłości, szacunku i lojalności niż większość możliwych tego świata.

Hrabina Stelnicka cieszyła się, że podczas trzech długich, bardzo długich nocy udało jej się otrząsnąć ze smutku i odsunąć od siebie okropne myśli związane z wyjazdem synów na wojnę. Także po śmierci Lutisza jej pomagała. Chwilami Anna dochodziła do wniosku, że stara służąca nawet wtedy, gdy zbliżała się do osiemdziesiątki, kochała życie, które – podobnie jak pory roku – stanowiło zamknięte koło.

Anna bała się śmierci od czasu, kiedy straciła niemal jednocześnie oboje rodziców i braciszka. Jednak teraz, po latach, zaczęła zdawać sobie sprawę, że smutek, który odczuwała po śmierci najbliższych, był przeciwwagą dla szczęścia i radości. Przypominał, że trzeba żyć chwilą i odłożyć na bok wszelkie obawy.

Koniec końców myśli kobiety wróciły do Michała, Tadeusza i innych chłopców, którzy w kwiecie wieku poszli na wojnę. Wielu z nich nigdy nie zobaczy, jak koło życia zamyka się w naturalny sposób.

Czerwiec 1812

– O mój Boże! – krzyknął Paweł. – Tadeu, jesteś niesamowicie podobny do ojca!

W chwili kiedy wypowiedział te słowa, zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Nawet jeśli liczył, że chłopcy nie zauważą jego gafy, wystarczyło spojrzeć na Michała – który miał typowe rysy Grońskich, ciemne włosy i śniadą cerę – by zrozumieć, iż dotarło to do jego świadomości. Chłopak oblał się pąsem, wyraźnie zażenowany. W jego brązowych oczach pojawił się ból i oburzenie. Tymczasem Tadeusz nie spostrzegł reakcji brata.

– Wszyscy tak mówią, prawda, Michałku?

– Tak – przyznał brat, starając się nadrabiać miną. – Chociaż na miejscu taty wołałbym tego nie słyszeć.

– Za to ty, Michale, tak jak Jan umiesz żartować w każdej sytuacji – powiedział Paweł, mając nadzieję, że załagodzi przykrość, jaką wyrządził starszemu bratu. Doszedł jednak do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli zmieni temat. – Normalnie mielibyście do czynienia z kwaterunkowym, ale postanowiłem osobiście zaprowadzić was na kwatery, a potem pokazać wam Poznań.

– Wspaniale! – ucieszył się Michał. – Czy pan się nas spodziewał?

– Tak, wasz ojciec napisał do mnie, prosząc, żebym miał na was oko.

– A cesarz? – naciskał Tadeusz. – Poznamy go?

Paweł wybuchnął śmiechem.

– Jeszcze nie ma go w Poznaniu.

– Kiedy przyjedzie? – dopytywał się Michał. – Będziemy mogli go poznać?

– Niczego nie obiecuję, panowie. Czy wszyscy członkowie młodej gwardii są zakochani w Napoleonie?

Chłopcy przytaknęli.

– Nigdy wcześniej nie było takiego stratega – oświadczył Michał.

– Nasi koledzy byliby gotowi nawet kogoś zabić, by móc go zobaczyć – dodał Tadeusz.

– I niewątpliwie będą musieli to zrobić – orzekł Paweł. – Proponuję, żebyśmy zanieśli ekwipunek na wasze kwatery.

– Nasze kwatery? – spytał Tadeusz. – Czy to gdzieś blisko?

– Bliżej, niż myślisz. Jako stary gwardzista dostałem pod opiekę kompanię młodej gwardii.

– Naszą kompanię? – spytał Tadeusz. Potecki przytaknął.

– Nie spodziewaliśmy się, że będziemy mieli opiekunkę do dzieci – mruknął Tadeusz.

Michał zmarszczył czoło, udając rozdrażnienie.

– Przypuszczam, że to sprawka naszego taty. Wyraźnie nie czuł się tak urażony jak brat.

– Jan tylko wspomniał w liście, że przyjeżdżacie – wyjaśnił Paweł. – Reszta to mój pomysł. Nie przejmujcie się. Przy kolegach zwracajcie się do mnie „panie majorze”, a ja postaram się trzymać od was z daleka. No dobrze, zmienmy temat. Na pewno jesteście głodni.

Chłopcy nawet nie próbowali zaprzeczać. Idąc w stronę kwater, skarżyli się na całodniową jazdę. Przy kolacji Paweł opowiedział im o sobie. Podczas kampanii w Hiszpanii czterdzieści osiem godzin spędził w siodle. Kiedy zsiadł z konia, nie mógł chodzić, a nogi miał tak spuchnięte, że musiał rozciąć wysokie buty, żeby je zdjąć. Przez dwa tygodnie dręczyła go wysoka gorączka, dlatego nie brał udziału w walkach. Potecki uznał, że nie zaszkodzi, jeśli obaj chłopcy – a właściwie młodzi mężczyźni – od początku będą wiedzieli, co ich czeka.

W pewnym momencie Michał i Tadeusz oświadczyli, że bardzo chcieliby zostać ułanami.

– Nie spieszcie się do tego – radził Paweł. – Najpierw odsłużcie swoje w kawalerii.

Napoleon pojawił się następnego dnia, robiąc wokół siebie dużo szumu. Jan Michał i Tadeusz nie uzyskali specjalnej audiencji, ale byli świadkami przeglądu polskich oddziałów dokonywanego przez cesarza i jego głośnych pochwał dla księcia Poniatowskiego.

Wielu uznało, że protekcyjnalne zachowanie Korsykanina kontrastowało z wrodzoną łagodnością polskiego księcia. Niemniej bracia Stelniccy – zgodnie z przewidywaniami – byli zauroczeni.

Kilka dni później Paweł ze swoją kompanią młodych gwardzistów i innymi oddziałami wyruszyli do Wilna. Po drodze mieli się zatrzymać w Toruniu. Teren był równy, więc nie wymagał od koni większego wysiłku. Szli przez godzinę, po czym robili postój, żeby się czegoś napić i trochę odpocząć; przez następne dwie godziny jechali cwałem, potem znów następował godzinny odpoczynek i tak na zmianę. Dzięki temu konie nie były zmęczone.

Paweł coraz lepiej poznawał dwóch wyjątkowych podopiecznych ze swojej kompanii. Obaj chłopcy byli gorącymi patriotami, ale Michał był rozważniejszy i bardziej praktyczny. Brakowało mu pewności siebie, potrzebował więc pochwał przełożonych. Tadeusz nie miał kompleksów, może dlatego że zawsze chroniły go opiekuńcze skrzydła starszego brata. Był bardziej wygadany i bystrzejszy, lecz z trudem panował nad emocjami, reagował nader impulsywnie, toteż major przez cały czas musiał mieć się na baczności.

Szkoła wpoila im miłość do wojaczki, ale przed pierwszą potyczką z wrogiem musieli poznać trudy forsownego marszu. Wszelkie problemy potęgowała ogromna liczebność Wielkiej

Armii Napoleona. Mały cesarz potrafił błyskawicznie przemieszczać się na czele stu tysięcy żołnierzy, jednak przemarsz sześciuset pięćdziesięciu tysięcy stanowił wyzwanie, jakiego Bonaparte się nie spodziewał. Drogi były zapchane przez Wirtenberczyków, Badeńczyków, Bawarczyków, Włochów, Polaków i Francuzów. Kiedy czerwcowe upały stały się nie do zniesienia, a racje żywnościowe znacznie zmalały, wielu żołnierzy zaczęło szukać pożywienia na własną rękę... i plądrować okolice. Napoleon i jego generałowie przymykali na to oko, nic więc dziwnego, że morale zaczęło spadać i było coraz więcej dezertersów. Szerzyły się też choroby: wojacy zapadali na tyfus, dyfteryt i dyzenterię.

Młoda gwardia, która maszerowała z Pawłem, od czasu do czasu natykała się na zwłoki maruderów i koni. W tej sytuacji Paweł mógł zrobić tylko jedno: pilnować swojej kompanii.

Dwudziestego pierwszego czerwca, kiedy już było wiadomo, że wkrótce rozpocznie się walka, Napoleon przemówił do czterdziestu tysięcy polskich żołnierzy.

– Żołnierze! Zaczęła się druga wojna polska. Pierwsza skończyła się na polach Friedlandu. W Tylży Rosja zawarła wieczne przymierze z Francją i poprzysięgła walkę z Anglią. Teraz łamie swoje obietnice. Przeznaczenie musi się spełnić.

Wciąż jesteśmy żołnierzami spod Austerlitz. Cóż to było za zwycięstwo! Sforsujemy Niemen i wzniesimy wojnę na terytorium wroga. Dla armii francuskiej druga wojna polska będzie równie wspaniała jak pierwsza. Tym razem nasze zwycięstwo zagwarantuje pokój przynajmniej na pięćdziesiąt lat!

Chociaż – jak zauważył Paweł – Napoleon ani słowem nie wspomniał o niepodległości Polski, Michała, Tadeusza i wszystkich młodych gwardzistów ogarnął taki zapał, że gotowi byli iść za małym Korsykaninem na kraniec świata.

– *Vive l'Empereur!* – krzyczeli, dopóki nie zachrypli.

Następnego dnia Wielka Armia – maszerująca wieża Babel – dotarła nad Niemen. Serca żołnierzy zabiły mocniej, bo przejście na drugi brzeg rzeki oznaczało wtargnięcie na terytorium Rosji. Zatrzymali się. Cesarz wysunął się nieco do przodu na swoim siwku i przez wojskową lunetę bacznie przyjrzał się rzece. On i jego zwolennicy najwyraźniej już zapomnieli, że wczesnym rankiem królik przebiegł pod nogami tego właśnie konia, a spłoszony wierzchowiec zrzucił cesarza Francji z grzbietu. Paweł pomyślał, czy nie jest to zły znak. Jego zdaniem wyprawa na wschód powinna się zacząć znacznie wcześniej, najlepiej z początkiem wiosny. Pory roku zmieniają się w Rosji szybko, a zimy są długie i surowe. Rozsądniej być daleko stąd, gdy rozległe przestrzenie pokryje śnieg.

Napoleon, chociaż zwykle bardzo przesądny, nie przejął się tym epizodem. Rozkazał żołnierzom wojsk inżynieryjnych generała Elbe'a natychmiast przystąpić do budowy trzech mostów pontonowych na Niemnie, ponieważ Rosjanie spalili istniejące drewniane. Musiało mu się jednak ogromnie spieszyć, bo kazał Polakom znaleźć bród na Wilii, dopływie Niemna. Kompania Pawła była jedną z kilku, które od razu wysłano na poszukiwania. Gdy młodzi gwardziści znaleźli się na brzegu rzeki, zaczęli krzyczeć i wiwatować, ucieszeni myślą, że pierwsi wkroczą na terytorium Rosji. Później utrzymywali, że widzieli po drugiej stronie kozaków, którzy z nich drwili, i dlatego zupełnie zapomnieli o ostrożności.

Rzeka na powierzchni była spokojna, ale nieco głębiej nie brakowało zdradzieckich prądów. Paweł widział, jak zanurzony konar mknie z prądem z szybkością kuli armatniej. Nagle ku swojemu przerażeniu zobaczył, że kilku kawalerzystów kieruje konie prosto w bystry nurt. Natychmiast wysunął się na czoło kompanii i rozkazał

chłopcom się zatrzymać.

– Stójcie! – krzyknął. – Tam jest niebezpiecznie! Niektórzy młodzi gwardziści stanęli i zebrali się wokół przywódcy niezadowoleni z jego rozkazu, ale reszta posuwała się do przodu. Paweł zobaczył Michała.

– Tadeusz... gdzie jest Tadeusz, Michale?

Michał wskazał ręką. Tadek siedział na koniu w grupce, która badała brzeg Niemna. Kilku jego kolegów ruszyło do przodu, wołając w euforii: *Vive l'Empereur!* Najwyraźniej Tadeusz miał ochotę zrobić to samo. Major zauważył, że gwardziści, którzy weszli głębiej, zaczynają mieć poważne kłopoty. Dno umykało spod kopyt zwierząt, a silny prąd zmywał jeźdźców z końskich grzbietów.

Potecki musiał natychmiast podjąć decyzję: albo sam ruszy po Tadeusza, albo pośle po niego Michała. Wiedział, że jeśli pojedzie sam, część młodych gwardzistów da się ponieść emocjom, nie posłucha rozkazu i spróbuje pokonać rzekę.

Odwrócił się do Michała.

– Ściągnij go, Michale! Natychmiast sprowadź go na brzeg! Przypomnij mu, że jest żołnierzem i musi wykonywać rozkazy! Albo wróci, albo w niesławie zostanie odesłany do domu.

Przed oczami Pawła roztaczał się coraz bardziej przerażający widok. Ani ludzie, ani konie nie byli w stanie przeciwstawić się potężnej rzece. Kilku porwała woda. Mimo to chłopcy nadal głupio wykrzykiwali: *Vive l'Empereur!*

Z bijącym sercem bezradnie obserwował scenę odgrywaną przy brzegu przez braci Stelnickich. Tadeusz nie chciał słuchać ani rozkazów, ani starszego brata. Odjechał nieco na bok i zaczął wchodzić do wody.

Michał nie odstępował go ani na krok... i Paweł przez chwilę się obawiał, że będzie musiał poinformować Jana i Annę o tym, w jak głupi sposób zginęli ich synowie.

– Wracaj, Tadeuszu! – zawołał, ale zagłuszył go piekielny hałas.

Najchętniej sam by po niego pojechał, lecz nie chciał stracić pozostałych chłopców ze swojej kompanii.

Widział, jak konie braci Stelnickich wchodzą w coraz głębszą wodę. Michał próbował chwycić lejce konia Tadeusza, ale młodszy brat wciąż się odsuwał. Michał krzyknął, aż ślina prysnęła mu z ust, i wskazał na środek rzeki, gdzie prąd unosił konia i jeźdźca. Najwyraźniej to przekonało Tadeusza, bo po chwili obaj bracia zmienili kierunek i zawstydzeni wyszli na brzeg.

Tego dnia zginęło dziesięciu zbyt gorliwych kadetów i prawie dwadzieścia koni.

Paweł odwrócił się i spojrzał na pagórek, z którego Napoleon wysłał wcześniejszy rozkaz. Cesarza nie było. *Vive l'Empereur!* – mruknął Potecki.

Po kilku godzinach, gdy zrobiono mosty pontonowe, wszyscy przeprawili się na drugą stronę rzeki. Napoleon zrezygnował z konia, którego wcześniej dosiadał – nazwanego Friedland dla uczczenia wspaniałego zwycięstwa nad Moskalami – i wskoczył na grzbiet świeżego wierzchowca o imieniu Moskwa. Żołnierze potraktowali to jak symbol. Marsz trwał.

Chociaż armia przez dwa tygodnie posuwała się do przodu w fatalnych warunkach, po dotarciu pod Wilno generałowie kazali żołnierzom chwycić za broń. Wśród młodych gwardzistów przebiegł dreszcz podniecenia. Michał i Tadeusz siedzieli na baczność w siodłach i niecierpliwie czekali. Za chwilę wkroczą do akcji! Niestety, lekka mżawka zamieniła się w istny potop. Napoleon nadjechał z tyłu na białym koniu. Miał na sobie szary strój do jazdy konnej, w jego szarych oczach widać było złość, a z tak charakterystycznego dla

cesarza kapelusza zwanego pierogiem spływały dwa wodospady. Zaklął na pogodę, próbując wypatrzeć leżące niżej miasto ukryte za szarą ścianą deszczu.

Po chwili rozeszła się wieść, że Wilno jest opustoszałe. Żołnierze, którzy wkroczyli do kulturalnego centrum Litwy, zastali palące się jeszcze piece kuchenne i porzucone rzeczy, bo Rosjanie dokonali błyskawicznej ewakuacji. To oznaczało, że tego dnia nie będzie bitwy.

Domy, w których zakwaterowano młodą gwardię, były brudne i zanieczyszczone ludzkimi odchodami.

Paweł czuł, że Rosjanie niczym pająk kuszą francuską armię, żeby weszła w głąb kraju, w sam środek pajęczyny – pajęczyny zimna, lodu i śniegu.

Lipiec 1812

Zofia siedziała pogrążona w zadumie w salonie księżnej Charlotte Sic, gdy pojawiła się pokojówka. Miała mroczną minę.

– Madame, księżna ma gościa.

– Charlotte jest zbyt chora, żeby kogokolwiek dzisiaj przyjąć. Kto to taki?

– Nie miałam odwagi spytać. Jakaś bardzo nieszczęśliwa i zapłakana dama.

– Wprowadź ją. Sama z nią porozmawiam.

Po kilku minutach pojawiła się młoda jasnowłosa kobieta w pięknej popielato-błękitnej sukni i eleganckim granatowym kapelusiku. Zofia wstała na widok zjawy. Natychmiast się zorientowała, że strój jest nowy i pochodzi z Paryża. Spod kapelusika wyglądała idealna kremoworóżowa twarz nosząca ślady łez.

– Przepraszam, że przychodzę bez zapowiedzi. Zapłakana dama zrobiła kilka kroków w głąb pokoju, spojrzała na Zofię i

zatrzymała się.

– Och! – sapnęła, rozglądając się po pomieszczeniu.

Na moment twarz zaskoczonej i bezradnej kobiety przeobraziła się w piękne oblicze nastolatki. Dopiero wtedy Zofia uświadomiła sobie, z kim ma do czynienia. Od ich ostatniego spotkania minęło kilka lat. Hrabina Grońska zastanawiała się, czy przybyła też ją poznaje. Elegantka oblała się pąsem.

– Przy... przyszedłam do księżnej Sic.

– Niestety, Charlotte jest chora i nie może dzisiaj nikogo przyjąć.

Zapadła długa, niezręczna cisza. Kobieta wyglądała jak ptaszyna gotowa lada chwila odfrunąć. Najwyraźniej postanowiła jednak pozostać, bo uśmiechnęła się i dygnęła.

– Jestem Maria Walewska. Zofia kiwnęła głową.

– Zofia Grońska – przedstawiła się.

– Wie... wiem.

– To znaczy, że mnie waćpani pamięta? Obawiam się, że podczas naszego poprzedniego spotkania niezbyt elegancko się zachowałam. Myślę, że niemiło mnie pani wspomina.

Pani Walewska uśmiechnęła się nieco promienniej, najwyraźniej traktując słowa Zofii jako swego rodzaju przeprosiny.

– To było dawno temu – machnęła ręką. – Charlotte oddała waćpani wtedy ten piękny szal, prawda?

– Tak.

Zofia zeszywniała i poczuła, że się rumieni. W głosie pani Walewskiej nie było ani cienia złości czy sarkazmu. Maria sprawiała wrażenie prostodusznej i naiwnej, co dodatkowo spotęgowało zażenowanie hrabiny Grońskiej z powodu incydentu sprzed lat. Wolałaby spotkać się z gniewem i ironią. Wtedy łatwiej by sobie poradziła.

– Przyjechała waćpani z Paryża?

– Tak, niedawno.

Przez twarz Marii przemknął cień, co wzbudziło zainteresowanie Zofii.

– Usiądzie pani?

– Nie, muszę już iść.

– Proszę przynajmniej napić się herbaty.

Zofia podprowadziła panią Walewską do sofy. Kobieta trochę zbladła.

– Dobrze się waćpani czuje?

– Tak, dziękuję.

Hrabina Grońska wyszła na chwilę poprosić o herbatę, potem usiadła naprzeciwko pani Walewskiej.

– Wygodnie pani?

– Tak.

– Proszę mi powiedzieć, czy Paryż jest taki, jak mówią. Naprawdę stanowi kulturalne centrum Europy?

– Jest śliczny, ale nie zamieniłabym Polski nawet na dwadzieścia Francji.

– Naprawdę?

Pani Walewska przytaknęła.

– Słowo daję.

Zofia była coraz ciekawsza, z czym Maria przyszła do Charlotte. Domyślała się, że panią Walewską miotają sprzeczne emocje.

– Myślałam, że... dzięki swojej pozycji wiedzy waćpani w Paryżu fascynujące życie. Na pewno mogła sobie pani pozwolić na wszelkie przyjemności i wygody.

Pani Walewska delikatnie uniosła brew, co wskazywało, że doskonale rozumie, o co Zofii chodzi: jako kochanka cesarza powinna mieć całe miasto u swych stóp. Mimo to najwyraźniej nie czuła się urażona.

– Czasami pozory mylą.

– Mimo to uważam, że w porównaniu z Paryżem Warszawa

jest straszną prowincją. Dlaczego waćpani wróciła?

Zofia była pewna, że zna odpowiedź. *Petite Marie* podążyła za cesarzem, który ruszył na wschód, by prowadzić tam wojnę. Czy mogło być coś bardziej oczywistego?

Ogromne oczy pani Walewskiej nagle zasnuły się smutkiem. Odwróciła głowę, przymknęła powieki, a po jej policzkach popłynęły łzy.

Weszła pokojówka z herbatą, postawiła tacę na stoliku, po czym Zofia ją odesłała.

– Tak mi przykro – tłumaczyła się. – Nie powinnam pytać. To nie moja sprawa.

Nalała herbatę dla gościa i dla siebie, coraz bardziej zaintrygowana.

Pani Walewska wzięła filiżankę, upiła łyczek i uniosła głowę.

Zofia zrobiła współczującą minę.

– Wybacz mi waćpani? – spytała.

Broda pani Walewskiej delikatnie zadrżała i znów popłynęły łzy; po chwili kochanka Napoleona wybuchnęła płaczem. Przygarbiła się, a filiżanka stuknęła o spodeczek.

Zofia natychmiast znalazła się obok niej, wzięła herbatę, objęła Marię i zaczęła ją pocieszać.

– Dobrze, już dobrze, niech się waćpani wypłacze, jeśli tylko ma pani na to ochotę. Może się waćpani spokojnie wypłakać... i wyrzucić z siebie wszystkie kłopoty.

Pani Walewska nie potrzebowała dodatkowej zachęty: jak na komendę zaniósła się szlochem. Opanowała się dopiero po kilku minutach. Uniosła głowę i spojrzała na Zofię.

– Najmocniej dziękuję. Nie wiem, co się ze mną dzieje. Proszę mówić do mnie Maria.

– Ty też, proszę, zwracaj się do mnie po imieniu. Maria pociągnęła nosem i zdobyła się na blady uśmiech.

– Przyszłam, Zofio, żeby wypłakać się na ramieniu

Charlotte, a koniec końców wyplakałam się na twoim. Dzięki, że mi pozwoliłaś.

– Nie ma za co.

– Kiedy Charlotte była w zimie w Paryżu, pomogła mi przebrnąć przez mnóstwo mniejszych i większych kryzysów. Udzielała mi rad – dobrych rad – jakie w normalnej sytuacji dałaby mi matka.

– Naprawdę? No cóż, z racji wieku nie mogłabym być twoją matką, ale obiecuję, że wszystko, co powiesz, zachowam dla siebie.

– Jestem tego pewna. Nie mogę porozmawiać z mamą i braćmi, bo wszyscy są przeciwko mnie.

Zofia czekała, mając nadzieję, że nie będzie musiała nakłaniać Marii do zwierzeń.

– Widzisz – ciągnęła pani Walewska – wróciłam do Warszawy, żeby załatwić rozwód.

Znów w jej oczach zakręciły się łzy.

Hrabina Grońska nie kryła zaskoczenia. Obecnie dzięki kodeksowi Napoleona znacznie łatwiej było dostać rozwód. Sama знаła kilka kobiet, które pomimo średniego wieku porzuciły mężów, żeby wziąć kochanków, ponownie wyjść za mąż albo po prostu się uniezależnić. Wydawało się jednak, że hrabia Walewski jest zadowolonym rogaczem i zrobił dosłownie wszystko, by wysłać różami ścieżkę Marii do Napoleona, jedynie nie odwiózł jej osobiście na spotkanie z cesarzem.

– Twoja rodzina jest temu przeciwna?

– Nie! – zawołała Maria, ocierając łzy. – Chcą, żebym rozwiodła się z Anastazym. Naprawdę!... Tylko że rozwód to sprzeciwianie się Bogu i Kościołowi, Zofio. Jest sprzeczny z moimi przekonaniem... i moim sumieniem.

– W takim razie... czemu chcesz go uzyskać?

– Bo on tego chce!

– Napoleon? Przecież nie tak dawno rozwiódł się z Józefiną i ożenił z Marią Luizą. Czyżby miał zamiar...?

– Nie, nigdy nie weźmie rozwodu, żeby się ze mną ożenić. Postawił sprawę jasno. Kiedy rozstał się z Józefiną, przez chwilę myślałam, że mam szansę na szczęście, ale szybko rozwiął moje nadzieje. Nie, dla Napoleona najważniejsza jest Francja, dlatego zależało mu na małżeństwie dynastycznym. Szukał... królewskiego łona, jak mi powiedział. Wyobrażasz sobie?

– W takim razie czemu namawia cię do rozwodu?

– Ze względu na mojego syna. Chodzi o jego dziedzictwo. Zofia wzięła głęboki wdech.

– Twój drugi syn jest jego dzieckiem, prawda? Napoleona?

– Tak, sędzę zresztą, że to żaden sekret. Ani tu, ani we Francji. Cesarz ma zamiar hojnie wyposażyć Aleksandra...

– Zaczekaj chwileczkę – sapnęła Zofia. – Twój syn – syn Napoleona – ma na imię Aleksander?!

Maria przytaknęła.

– To rodowe imię Walewskich.

„I imię rosyjskiego wroga Napoleona – cara Aleksandra” – pomyślała Zofia, ale nie powiedziała tego na głos. Jak pani Walewska mogła zrobić coś takiego? Maria szczegółowo omówiła obawy Napoleona dotyczące funduszy, które chciał zostawić swojemu synowi. Chodziło o to, że osiemdziesięcioletni mąż Marii był coraz słabszy na umyśle, ale nie przestał być dumny i rozrzutny – wydawał pieniądze w zatrważającym tempie. Wszystko, co mały Aleksander otrzyma od swojego prawdziwego ojca – cesarza – nie będzie bezpieczne, dopóki Maria nie uzyska rozwodu. Zofia położyła rękę na dłoni gościa.

– To znaczy, że właściwie nie masz wyboru, prawda?

– Chyba tak, ale się tego boję. Naprawdę. Żeby otrzymać rozwód, muszę przejść cywilne i kościelne procedury. Co

gorsza, muszę być miła dla Pradta. – Maria chwyciła Zofię za rękę. – Nie uwierzysz, Zofio, ale arcybiskup jest tak lubieżny, że dostaję gęsiej skórki, gdy znajduję się w tym samym pomieszczeniu co on!

– Widziałam go tylko z daleka. Jest niski, brzydki i pompatyczny jak Neron. Czyżby zachowywał się wobec ciebie niestosownie?

– Już samo jego spojrzenie jest niestosowne. W jego obecności staram się wyglądać jak zakonnica. Napoleon polecił mu, żeby mnie pilnował, a on wyobraża sobie, że w związku z tym wszystko mu wolno.

– Mimo to potrzebujesz jego pomocy?

Maria przytaknęła.

– Ponieważ jest mocno związany z cesarzem, zarówno sąd kościelny, jak i cywilny będzie się liczył z jego zdaniem.

– Co ma być podstawą do rozwodu?

– Członkowie mojej rodziny mają zamiar zeznać, że zmusili mnie do wyjścia za mąż za człowieka starszego ode mnie o pięćdziesiąt lat.

– A hrabia Walewski nie będzie protestował?

– Podpisał zgodę. – Maria lekko wzruszyła ramionami. – Prawda wygląda tak, Zofio, że mój mąż to zniedołężniały starzec.

– Rozumiem. Zastanawiam się, jakiej rady bym ci udzieliła, gdybym była na miejscu Charlotte. – Zofia uśmiechnęła się, że głęboko się zastanawia.

– Wystarczy, że mnie wysłuchałaś, Zofio. Hrabina Grońska nie zareagowała na jej słowa.

– Przede wszystkim – mówiła dalej – powinnaś pogodzić się z myślą o rozwodzie. Nawet jeśli Kościół cię nie zrozumie, Bóg na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu. Musisz myśleć o dziedzictwie Aleksandra. To bardzo ważne, że dałaś Napoleonowi pierwszego syna... i że cesarz go uznaje. Los

odmówił ci korony, ale dzięki Aleksandrowi masz coś, czego nie ma Józefina. Masz władzę, Mario.

– Tak sądzisz?

– Zdecydowanie!

Maria wyraźnie się rozpogodziła.

– Dziękuję, Zofio.

– Natomiast jeśli chodzi o wrednego arcybiskupa... gdy dostaniesz rozwód, nie będziesz musiała więcej go widywać.

– Nieprawda.

– Dlaczego?

– Cesarz chce, żebyśmy oboje zadbali o poparcie Polski dla wojny na wschodzie.

– Rozumiem. Ty dzięki patriotyzmowi, a on – katolicyzmowi.

– Coś w tym rodzaju.

– Pisał do ciebie?

– Kilka listów i zaproszeń. Większość ich jest całkiem nieszkodliwa.

– Dobrze. Pozwól mi pomyśleć o tym paskudnym, małym człowieczku, Mario – powiedziała Zofia. – Zobaczę, co uda mi się zrobić.

– Naprawdę? Tylko musisz uważać, żeby go nie zrazić.

– Wiem. Na szczęście ja też mam pewne wpływy. Maria wstała do wyjścia.

– Charlotte mówiła mi, że jesteś bardzo mądra.

– Naprawdę?

– Tak.

Hrabinę Grońską zdziwiła ta informacja. Zawsze traktowała Charlotte z pewną pogardą i często ją wykorzystywała, natomiast nigdy nie dostrzegała jej ogromnego serca.

– Cóż – powiedziała, próbując przerwać ciszę – rozwód to dobre wyjście, Mario. – Wstała. – Poza tym, kto wie, może jeszcze ponownie wyjdiesz za mąż?

– O nie! – Maria sapnęła. – Pomimo Marii Luizy jestem związana z Napoleonem... z powodu syna i Polski. I jednemu, i drugiemu muszę zapewnić cesarską opiekę.

Zofia była zaskoczona entuzjazmem hrabiny, ale nie próbowała rozwiać jej złudzeń, chociaż była święcie przekonana, że Maria Walewska, jej syn i Polska są jedynie pionkami w partii szachów rozgrywanych przez Napoleona na ogromnej planszy, jaką jest Europa.

Po wyjściu pani Walewskiej Zofia długo siedziała, sącząc herbatę. Rozpoczęła *tête-à-tête* z Marią od okazania fałszywej troski, by dowiedzieć się czegoś więcej o jej związku z Napoleonem. Miała zamiar udzielić złej rady głupiej gąsce, która zniweczyła jej własne plany wobec cesarza. Zrobiłaby to z prawdziwą przyjemnością.

Tymczasem Maria zwierzyła się Zofii jak prawdziwej przyjaciółce albo siostrze. W trakcie jej wynurzeń – nie wiadomo kiedy – stało się coś dziwnego. Słuchając żalów i skarg niewinnej i naiwnej istoty, Zofia poczuła, że coś chwyciło ją za serce... dlatego nie tylko odesłała Marię z dobrą radą, ale też była zdecydowana jej pomóc.

Pani Walewska w jakiś sposób przypominała młodzieńką Annę. Zofia skrzywiła się na wspomnienie nieszczęśliwego małżeństwa, do którego przed laty namówiła kuzynkę. Teraz bardzo tego żałowała. Zastanawiała się, czy Bóg istnieje i czy przysłał jej Marię, żeby ją sprawdzić. Zachichotała na tę myśl.

Zadzwoiła po pokojówkę, by zabrała tacę i przyniosła kordiał. Cały czas rozmyślała, jakie korzyści może jej przynieść przyjaźń z kochanką cesarza Europy.

Wieczorem Zofia weszła do sypialni Charlotte. Nie mogła się nadziwić szczupłości Francuzki, która ostatnio wciąż traciła na wadze.

– Nie sądzę, by udało mi się z tego wyjść, Zofio.

– Bzdura. Wylizesz się i wkrótce wybierzemy się do teatru. Będziemy plotkować na balkonie i śmiać się z ludzi na parterze.

Na ustach Charlotte pojawił się uśmiech.

– Zawsze mówiłaś, że do teatru chodzi się głównie ze względu na przerwy. Miałyśmy nieraz niezłą zabawę, prawda?

– Tak! – zawołała Zofia. – Drwiłyśmy ze starców, którzy mieli patykowate nogi i głupie, pudrowane peruki, a także z kobiet, które myślały, że róż i biżuteria są w stanie ukryć wszelkie grzeszki.

– Niestety, każdy się kiedyś starzeje, Zofio, a wtedy to Bóg z nas drwi.

– Nie! Do diabła z Bogiem i jego drwinami! Przeżyjesz, słyszysz?

– Sądzę, że nie. No dobrze, a teraz usiądź i zdradź, co powiedziała Maria.

Zofia dość dokładnie opisała przebieg rozmowy. Charlotte przejęła się problemami pani Walewskiej.

– Muszę się zastanowić, jak ukarać Pradta – oznajmiła po wysłuchaniu relacji – za to, że prześladowuje niewinną istotę. Uważam, że Napoleon nie powinien wybierać go na duszpasterza Polski, i od początku nie kryłam swojego zdania.

– Pewnie Bonaparte uznał, że dzięki arcybiskupowi polski Kościół poprze francuską wojnę z Rosją. Wie, jak bardzo katolicka jest Polska.

– W takim razie powinien wybrać kogoś naprawdę religijnego.

Charlotte wybuchnęła śmiechem.

– Problem w tym, że Napoleon nie rozpoznałby kogoś takiego, nawet gdyby się o niego potknął.

Zofia wybuchnęła gromkim śmiechem.

– To samo można powiedzieć o nas, Charlotte. No proszę! Na pewno nie jesteś umierająca, skoro trzymają się ciebie

takie żarty.

– Przynieś mi, Zofio, papier i gęsie pióro. Chcę podyktować list do Pradta.

– Nie, nie myśl o nim. Pozwól, że ja się tym zajmę.

– Nie skomplikujesz Marii życia?

– Nie. Nie mam do niej żalu, że pokonała mnie w walce o względy małego Korsykanina.

– Cieszę się. Masz dobre serce.

– Psiakrew! Nie robię tego z dobroci serca, więc nie zepsuj mi reputacji, rozpowiadając o moich planach; chcę dać mu nauczkę, bo to może być zabawnie.

– Maria zasługuje, żeby wyświadczyć jej przysługę.

– Potrzebuje, żeby ktoś poprowadził ją za rękę.

– Dlaczego tak mówisz?

– Jest okropnie naiwna. Wierzy w człowieka, który każe jej się tulać powozem po całej Europie w zależności od własnego widzimisie, a tymczasem sam bierze rozwód i z powodów politycznych żeni się z inną kobietą. Gdybym była na jej miejscu, udusiłabym tego karła podczas snu.

– Och, chyba podczas rozmowy z Marią przeoczyłaś coś niezmiernie ważnego... ona kocha Napoleona.

– Nie...

– Naprawdę go kocha. Jak to się mówi: beznadziejnie i bez wzajemności. – Charlotte uniosła się nieco na poduszce. – Zofio, dotychczas unikałaś miłości jak ognia. Może dlatego nie umiesz jej rozpoznać.

Bolesne słowa przyjaciółki odsunęły na bok uczucie zaskoczenia, że Maria wciąż kocha Napoleona. Dlaczego zrobiło jej się tak przykro?

Charlotte sięgnęła po rękę Zofii.

– To następna rzecz, z której śmiałyśmy się z balkonu, pamiętasz?

– Z miłości?

– Tak, kochanie, z miłości. Tutaj masz ją jak na dłoni.
Hrabina Grońska nie odpowiedziała.

Jan siedział samotnie na stopniach ganku i spoglądał na dopływ Wisły, który omijał łukiem dworek w Topolowie. Ania pojechała do Warszawy, by pomóc w organizowaniu szpitali i przygotowaniu miasta na spodziewany napływ rannych zza wschodniej granicy. Na jakiś czas zatrzymała się u Zofii. Jan żałował, że żona wyjechała; bardzo za nią tęsknił. Była jedyną gwiazdą w jego ciemnej konstelacji. Gdyby ją poprosił, na pewno by została, ale wiedział, że chciała pomóc w przygotowaniach do wojny. Dzięki temu miała przynajmniej jakiś cel i czuła, że choćby tylko w pośredni sposób pomaga synom. Jan się zastanawiał, gdzie się podziały jego cele.

– Przepraszam, panie hrabio – powiedział ktoś uniżenie. Kiedy Jan uniósł głowę, ujrzał syna Walka.

– Witaj, Tomku!

Hrabia Stelnicki wstał. Tomasz był wysoki i bardzo szczupły. Nigdy nie mówił za wiele, ale tym razem najwyraźniej nie mógł z siebie wydusić słowa. Był nieco starszy niż obaj synowie Jana; zanim chłopcy poszli do akademii, Tomek często się nimi opiekował.

– O co chodzi?

– Chciałbym... – wydukał, potem wziął głęboki wdech i zaczął jeszcze raz. – Chciałbym przyłączyć się do małego cesarza.

– Ile masz lat, Tomku?

– Dwadzieścia osiem, panie hrabio.

– Jesteś żonaty, prawda? Masz dwoje dzieci?

– Troje.

– Dlaczego chcesz iść?

– Jak pan wie, panie hrabio, tata walczył u Kościuszki. Spełnił swój obowiązek. Pan też. Teraz na wojnę poszli

pańscy synowie... Pora na mnie.

– Rozumiem cię, Tomku. Jesteś dobrym mężem i wspaniałym pracownikiem. Bez ciebie byłoby nam bardzo trudno. Tylu już poszło na tę wojnę. Dlaczego ty tak długo czekałeś?

– Moja żona się nie zgadzała... poza tym zbliżał się poród.

– A teraz?

– Muszę udowodnić, że jestem mężczyzną, panie hrabio. Że jestem Polakiem.

– Jesteś i jednym, i drugim, Tomku. Nie musisz nikomu tego udowadniać. Czy pomyślałeś o tym, że możesz nie wrócić?

– Tak, panie hrabio.

– Kto się zajmie twoją żoną... jeśli zginiesz?

Tomasz milczał; jakiś cień zasnuł jego twarz, jakby nie wziął pod uwagę takiej możliwości.

– Tomku, Napoleon ma sześćset pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Wiesz, ile to jest? Powiem ci... więcej niż źdźbeł trawy na tamtej łące. O wiele więcej!

Oczy wieśniaka zrobiły się okrągłe.

– Mały cesarz ma wystarczającą liczbę ludzi. Teraz wszystko zależy od tego, jak ich wykorzysta. Rozumiesz? Czy będzie mądry.

Chłopak przytaknął.

– Tu też masz obowiązki, Tomku. Polska cię potrzebuje; żebyś zebrał pszenicę, wychował dzieci i kontynuował polskie tradycje. Modlimy się, żeby wszyscy Polacy wrócili z Rosji, ale wiemy, iż będą straty, ogromne straty.

Twarz Tomasza się wydłużyła.

– Proszę, Tomku, zostań. Nie mogę się zgodzić na twój wyjazd.

Młody człowiek kiwnął głową i oblał się pasem.

– Dziękuję, panie hrabio.

Odszedł powoli z przygarbionymi plecami.

Kiedy Tomek wrócił do swojej chatki, Jan długo jeszcze siedział, wpatrując się w rzekę. Zapadał zmierzch, w pobliskich bagnach zaczęły kumkać żaby. Mężczyzna opuścił głowę i ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że wciąż trzyma w ręce numer warszawskiego „Monitora”. Ponownie – pomimo coraz słabszego światła – przeczytał mowę Napoleona. Cesarz powiedział, że wojna przeciw Rosji jest „drugą polską wojną”.

Co to oznaczało? Jan wiedział: miało sugerować, że Polacy będą walczyć o odzyskanie ojczyzny. Nigdzie jednak nie padło słowo „niepodległość”. Nie padło i prawdopodobnie nie padnie.

Jednakże wielu mężczyzn – w tym jego najlepszy przyjaciel i synowie – poszło, by walczyć i ginąć za francuskiego imperatora. Tymczasem Jan nie ruszał się z miejsca. Czy słusznie postąpił, pozwalając im iść, podczas gdy sam został w domu? Albo odrzucając prośbę Tomka?

„Powiniennem iść na wojnę razem z Pawłem i synami – pomyślał. – Czemu nie poszedłem? Wciąż jestem w stanie znieść trudy marszu... i walki”. Odżyła żądza krwi, którą od tak dawna odsuwał na bok. Doszedł do wniosku, że może wyjechać już następnego dnia i najpóźniej za tydzień w mundurze znaleźć się w obozie. Wyobrażał sobie, jak go powita Paweł i stara gwardia! Jak będą go witać synowie! Co mi tam Napoleon! Niech diabli wezmą karierowicza z Korsyki! Pójdę! Pójdę! Wstał, otrzepał ubranie z kurzu i różnym krokiem powędrował wzdłuż rzeki, zadowolony z podjętej decyzji.

Wrócił do domu o zmroku. Kiedy zbliżał się do oświetlonych okien jadalni, ujrzał w środku Martę, która nakrywała do kolacji. Nagle wyobraził sobie, że Anna siedzi przy stole i czeka... zła, że mąż się spóźnia, ale mimo to

uśmiechnięta. Gwałtownie się zatrzymał.

Na jedną oszłamiającą chwilę zapomniał o żonie. Wcześniejsze podniecenie opadło, szybko ochłonął. Nie mógł ponownie jej zostawić. Spojrzał na ciemniejące niebo. Wiedział, że synowie są gdzieś pod tym samym nieboskłonem i może właśnie grozi im jakieś niebezpieczeństwo. „Niech Bóg nad nimi czuwa – modlił się – bo ja nie mogę”.

Koła powozu Zofii stukały po bruku dziedzińca rokokowego pałacu Brühla, najpiękniejszej rezydencji w Warszawie. Bardzo trudno było otrzymać zaproszenie na któreś z przyjęć wydawanych przez Pradta, ale dzięki przyjaźni z Anusią Potocką Zofia dostała nawet miejsce przy stole arcybiskupa.

Najwyraźniej Pradt miał wobec Potockich ogromny dług wdzięczności. Kiedy przyjechał do Warszawy, aby objąć stanowisko, uznał, że wewnątrz pałacu jest nie do przyjęcia, dlatego kazał je całkowicie przerobić. Prace trwały kilka tygodni. Arcybiskup nie chciał zatrzymać się w hotelu ani wynająć apartamentu, by nie tracić nic ze swojego sporego wynagrodzenia w wysokości dwustu tysięcy franków. Skorzystał z polskiej gościnności Potockich, którzy zaproponowali, by na ten czas zamieszkał w ich domu.

Ponad sto osób zebranych w sali recepcyjnej rozmawiało w niewielkich grupkach, sącząc francuskie wino. Z tłumu wyłoniła się Anusia i podeszła do Zofii.

– Tak się cieszę, że przyszłaś, Zofio – powiedziała, całując przyjaciółkę w oba policzki. – Mam nadzieję, że przyjęcie będzie mniej nudne niż jego gospodarz.

– Aż tak źle?

– Prawdę mówiąc, dziękuję Bogu, że już się od nas wyprowadził. To niemiły człowiek, o czym sama się wkrótce przekonasz.

– Jest już Maria Walewska?

– Jeszcze nie. – Anusia zasłoniła twarz wachlarzem. – Kochanie, to on. Bądź grzeczna.

– Daj spokój, Anusiu, zawsze jestem grzeczna.

Nie zwracając uwagi na chichoczącą Anusię, Zofia patrzyła na podchodzącego arcybiskupa. Był naprawdę niski:

gdyby nie widziała stóp wystających spod sutanny, pomyślałaby, że Pradt idzie na kolanach. Anusia przedstawiła kapłana Zofii.

– Cieszę się, że waćpanią poznałem. Z każdym dniem coraz bardziej zachwyca mnie uroda Polek.

Zofia miała na sobie fioletową suknię z podniesioną talią i głębokim dekoltem. Oczy arcybiskupa przez długą chwilę nie odrywały się od odsłoniętych piersi.

– Dziękuję, Wasza Eminencjo – powiedziała Zofia, przyklekając.

Fałdy fioletowej sukni rozłożyły się wokół niej jak płatki peonii.

Pradt wysunął pierścień do pocałowania. Wstając, Zofia powiedziała:

– Nasi panowie długo ukrywali nas przed obcymi, ale teraz, gdy poszli walczyć za Francję, musimy zająć ich miejsce na scenie.

– Polacy wcale nie walczą za Francję. Walczą o to, by wasz kraj mógł się odrodzić.

– To wcale nie jest takie pewne, Wasza Eminencjo. Arcybiskup wyraźnie się obruszył, a jego małe, paciorkowate oczka stały się nieco większe.

– Lepiej, żeby waćpani uwierzyła moim słowom. Nie kłamię. Przyjdzie dzień, że Polacy będą ogromnie wdzięczni cesarzowi.

– Zarozumiały karzeł – szepnęła Zofia, gdy Pradt oddalił się dumnym krokiem w stronę najbliższej grupki.

– To prawda – powiedziała Anusia. – Podejmuje gości z ogromnym przepychem, chociaż jest zapobiegliwy jak wiewiórka. Wiesz, co ofiarował mojemu teściowi za to, że u nas mieszkał?

– Przypuszczam, że nie pieniądze.

– Obraz. Bardzo spodobały mu się zbiory dzieł sztuki księcia Potockiego, więc posłał do pałacu arcybiskupiego w Malines po coś, co nazwał „dziełem sztuki”. Znając jego gust, teść był pewien, że dar arcybiskupa zepsuje jego galerię.

– Dar, który bez wątpienia nic Pradta nie kosztował.

– Oczywiście. Pojawienie się malowidła potwierdziło obawy teścia. – Anusia sapnęła. – Zofio, to najzwyklejsza pod słońcem podobizna drania, który niegdyś był znany na tamtym terenie.

– Jednym słowem, niemile widziana ozdoba pałacu biskupa, więc się jej pozbył. Czy księżę Potocki umieścił ten obraz w swojej galerii?

– Szybciej przepłynąłby Bałtyk. – Anusia zachichotała. – Nie! Stworzył dla niego osobną galeryjkę. Na poddaszu rezydencji w Wilanowie.

Zofia uśmiechnęła się ironicznie. Doszła do wniosku, że z ogromną przyjemnością da nauczkę niewyrośniętemu pyszałkowi.

Maria Walewska przybyła tuż przed kolacją. Być może celowo spóźniła się na spacer arcybiskupa po sali recepcyjnej, by nie słuchać jego gadania. Paplał bez przerwy, nawet wtedy, gdy zasiadł do stołu. Trajkotał podczas całego posiłku, komentował każde danie, wychwalał pod niebiosa szefa kuchni, którego zostawił w Malines, narzekał na brak francuskich potraw. Głośno karciał służbę za najdrobniejsze uchybienie... czego nikt nigdy nie robi w polskich domach.

Posadził Marię Walewską po swojej prawej stronie, jakby była jego królową. Kończąc wypowiedź, zerkał w jej stronę;

posługując się lornion, przesuwiał wzrokiem po jej kształtnym ciele. Maria ubrała się bardzo skromnie, mimo to arcybiskup pożerał ją wzrokiem. Czasami, zwracając się do pani Walewskiej, kładł dłoń na jej ręce.

Widząc jego zachowanie, Zofia mimo woli sztywniała. Co więcej – pozostali zebrani również dostrzegali dziwne zauroczenie arcybiskupa Marią. Młode kobiety uśmiechały się ironicznie, ich matki cmokały z pogardą, a starsi panowie spoglądali wilkiem, jakby czuli się urażeni. Jedno nie ulegało wątpliwości: Pradt wcale nie był dobrym dyplomata.

– Grochówka przypomina mi pewną opowieść o madame de Pompadour – oznajmił nagle gospodarz. – Wszyscy wiedzą, że bardzo lubiła ozdabiać swoją piękną twarz muszkami, prawda? Któregoś razu zbuntowany sztuczny pieprzyk postanowił dać nura w jej talerz z zupą!

Arcybiskup urwał, czekając na reakcję. Słyszeli go wszyscy, ale wstęp do historii nie wywarł żadnego wrażenia.

– Nigdy nie zgadniecie, co zrobiła madame de Pompadour! – krzyknął. – Zamiast okazać zażenowanie wyłowiła łyżką muszkę, którą wypatrzyła w rosole, i zawołała: „Spójrzcie! Ale mam szczęście – znalazłam rodzyńka!”. I nim ktokolwiek zdążył się zorientować, zjadła ozdobę swojej twarzy.

Słuchacze Pradta udali zaskoczenie i wybuchnęli śmiechem, ale nie zdołali zagłuszyć brzydkiego rechotu gospodarza. Korzystając z powszechnej wesołości, Anusia nachyliła się w stronę Zofii.

– Ja bym zgadła – szepnęła. – Arcybiskup kilkanaście razy opowiadał tę historyjkę w Wilanowie. Możesz być pewna, że tego wieczoru usłyszymy jeszcze wiele opowiastek o Pompadour.

Rzeczywiście, usłyszały.

– Czy wiecie – spytał Pradt – że zdaniem madame de Pompadour piękna kobieta bardziej boi się końca młodości niż

śmierci? Sama zresztą tego dowiodła! Na łożu śmierci ostatkiem sił zawołała do Stwórcy: „Panie, zaczekaj jeszcze chwileczkę!”. Z trudem uniosła rękę, wzięła róż, namalowała na bladych, pozbawionych życia policzkach ciemnoczerwone kręgi... a potem umarła!

– Czy to nie dziwne – zastanawiała się na głos Anusia – że arcybiskup bez przerwy myśli i mówi o dawnej kurtyzanie?

– Chyba nie – odparła Zofia. – Spójrz tylko, jak pochłania wzrokiem biedną Marię. Co więcej, historyjki, którymi nas raczy, nie są zbyt pochlebne dla kobiet.

Podczas posiłku Pradt opowiedział dwie następne anegdotki o Pompadour.

– Wasza Eminencjo – odezwała się Zofia podczas kolejnej przerwy w rozmowie – czy to prawda, że madame de Pompadour przez większość życia rządziła Francją z za tronu Ludwika XV?

Na ustach Pradta pojawił się fałszywy uśmiech.

– Nie miała aż tak dużego wpływu, jak sądzono.

– Naprawdę? – Zofia obstawała przy swoim, nie odrywając wzroku od ofiary. – W Polsce powiada się nawet, że była ostatnią niekoronowaną królową Francji. Czyżby ktoś wprowadził nas w błąd?

Dolna warga Pradta lekko zadrżała.

– To, że ludzie tak mówią, wcale nie znaczy, iż mają rację. Zofia nie miała zamiaru ustąpić.

– Czy to nie Kato powiedział – spytała, przeciągając głoski – że Rzymianie rządzą światem, a kobiety Rzymianami?

Kobiety zebrane przy stole nieśmiało poparły Zofię i zaczęły pobrzękiwać srebrną zastawą. Anusia wbiła Zofii łokieć pod żebra.

– Zofio, za daleko się posuwasz.

Oliwkowa twarz arcybiskupa pokryła się rumieńcem. Zacisnął wargi.

– *Au contraire* – mruknęła Zofia. – Musi wiedzieć, że się nie przestraszę, gdy rzuci mi pełne złości spojrzenie.

– Tylko po co go denerwować? – szepnęła Anusia. Zofia zignorowała pytanie przyjaciółki i uniosła do ust łyżeczkę deseru.

– Muszę przyznać, Wasza Eminencjo – oświadczyła teatralnym głosem – że mus malinowy jest boski!

Po kolacji wystąpiła orkiestra kameralna. Anusia zdradziła, że podczas pierwszego przyjęcia arcybiskup chciał, by młodzież trochę potańczyła. Jakimś cudem nie zauważył, że wszyscy młodzi mężczyźni poszli na wojnę. Tego wieczoru też nikt nie tańczył.

– No proszę, hrabina Grońska – powiedział dziwny, cichy głos za plecami Zofii.

Natychmiast go rozpoznała i szybko się odwróciła.

– Wasza Eminencjo – odparła z lekkim skinieniem głowy.

– Czy zechciałaby waćpani obejrzeć jeden z moich obrazów?

– Chętnie.

Długo się zastanawiała, jak porozmawiać z arcybiskupem na osobności, tymczasem problem sam się rozwiązał. Pradt prowadził ją, opowiadając jak papuga o swoim zainteresowaniu sztuką. Podeszli do wysokich, białych, połączonych drzwi. Arcybiskup je otworzył i stanął z boku, by przepuścić przed sobą kobietę. Kiedy wchodziła, poczuła jego dłoń na talii. Dotyk trwał zaledwie chwileczkę, mimo to dostała gęsiej skórki. Potem arcybiskup zamknął drzwi.

– Widzę tylko jeden obraz – zdziwiła się Zofia, skinieniem głowy wskazując w stronę kominka.

– Ale warto go obejrzeć, moja droga. Proszę podejść. Ujął ją za rękę.

Zofia pozwoliła się prowadzić. Teraz już wiedziała, jak się

czuje Maria w obecności Francuza.

– To holenderski obraz marynistyczny. Podoba ci się, Zofio? Mogę tak do ciebie mówić?

– Skoro Wasza Eminencja nalega.

Kiedy stanęli przed obrazem, Zofia uwolniła rękę.

– No i? – spytał.

– Owszem – skłamała. – Jest śliczny.

– Możesz powiedzieć prawdę.

– Nie rozumiem.

– Widziałem twoją minę, gdy go ujrzałaś. Możesz powiedzieć, co rzeczywiście myślisz.

– W porządku... jest okropny. Wprost straszny. Arcybiskup wybuchnął śmiechem.

– Zgadzam się! Kiepska imitacja holenderskiego mistrza.

– Czyżby Wasza Eminencja poddawał mnie próbie? Chyba tak!

– Sprawiasz wrażenie stosunkowo niezależnej.

– Naprawdę? – spytała kokieteryjnie. – Anusia Potocka uznała, że przekroczyłam wszelkie dopuszczalne granice.

– Wcale nie.

Pradt nie odrywał wzroku od Zofii.

Hrabina Grońska wzięła głęboki wdech i odwróciła się twarzą do arcybiskupa. W oczach małego człowieka błyszczało światło. „Ponure światło” – pomyślała, mimo to zmusiła się do uśmiechu. Na jego twarzy dostrzegła lubieźność, z którą spotykała się wcześniej... ale nigdy u duchownego.

– Miło mi, że Wasza Eminencja udzielił mi prywatnej audiencji.

– Naprawdę? – spytał, uśmiechając się. – Możesz mówić do mnie Dominique. Nie musimy być tacy oficjalni.

– Chciałabym się zwierzyć.

– Zamieniam się w słuch, moja droga.

– Jestem pewna, że chociaż Wasza Eminencja od wielu lat zajmuje w Kościele wysokie stanowisko, nie przywykł do plotek. Nawet jeśli któraś z nich niebezpiecznie krąży wokół Waszej Eminencji.

– Plotka?

– Okropna, bezsensowna gadanina na temat Waszej Eminencji.

Arcybiskup lekko zbladł.

– Czego dotyczy?

– Nie cierpię przekazywać złych wiadomości.

– Musi mi waćpani po... musisz mi, Zofio, powiedzieć.

– Chodzi o Marię Walewską.

– Marię?

Zofia przytaknęła.

– I Waszą Eminencję. Pradt nie krył zdumienia.

– Nonsens. Nie ma powodu do żadnych plotek. Cesarz kazał mi jej pilnować. Osobiście mnie o to poprosił. Nazywa ją *swoją petite Marie*.

– Wiem... z pewnością nie ma żadnych podstaw. Jestem przekonana o niewinności Waszej Eminencji.

– Dziękuję.

– Co nie zmienia faktu... że plotka wciąż krąży. Jest dość paskudna.

– Nie wiedziałem.

– Gdyby wieści dotarły do cesarza...

– Nie ma żadnych podstaw do takich opowieści!

– Ja wiem, ale przecież są listy.

– Jakie listy?

– Listy od Waszej Eminencji do Marii. Przez pomyłkę je przeczytałam. Potem Maria palnęła mi niezłe kazanie, ale muszę powiedzieć, że gdyby cesarz zobaczył niektóre z nich... hm... co prawda są całkiem niewinne, jednak niektórzy mogliby spojrzeć na nie pod nieco innym kątem.

Pradt przymrużył oczy, a jego oblicze kolorem przypominało koloratkę.

– Doskonale cię rozumiem. Jesteś bardziej niezależna, niż przypuszczałem.

Zofia uśmiechnęła się.

– Niektórzy mówią, że niebezpieczna.

– Znasz cesarza?

– Tak.

– Dobrze?

– Bardzo dobrze, Wasza Eminencjo.

– Wyobrażam sobie.

Na jego ustach pojawił się ironiczny uśmiech. Kiedy Zofia odpowiedziała tym samym, Pradt z wyraźnym napięciem na twarzy odwrócił się do obrazu.

Przez minutę panowała cisza.

– Mogę – powiedział ponuro – obłożyć waćpanią klątwą.

– To prawda, ale z pewnością Wasza Eminencja zdaje sobie sprawę – odparła Zofia – że podobnie jak Wasza Eminencja nie jestem dobrą katoliczką.

Gwałtownie wciągnął powietrze, postanowiła więc dokończyć zaczęłą myśl.

– Czyż papież nie obłożył klątwą cesarza Francji? I jakoś mu to w niczym nie przeszkodziło.

– Maria zachowała listy? – Odwrócił się do Zofii, tym razem rezygnując z uwodzicielskiej postawy. – Niech waćpani na mnie spojrz.

Zofia z uśmiechem powoli skierowała się w jego stronę.

– Wcześniej byłam „Zofią”.

– Nieważne. Czy Maria zachowała listy?

– Tak.

– Co mam zrobić, żeby je odzyskać?

Zrezygnował z flirtu i próbował ubić interes. Widać taka postawa jest zaraźliwa.

– Zostawić Marię w świętym spokoju. To niewinna istota i nikt nie ma prawa jej kompromitować. Wasza Eminencja dobrze wie, że pani Walewska jest bardzo przywiązana do cesarza... a on do niej. – Zofia na chwilę urwała, a potem dodała poważnym tonem: – Na przyszłość żadnych listów, koniec z flirtami, dotykaniem jej dłoni i sadzaniem po prawej ręce.

– Ach tak!

Arcybiskup ponuro spojrział na obraz i wymamrotał stare przysłowie:

– Gdzie diabeł nie może, tam babę pośle. – Po chwili dodał nieco głośniejszym głosem: – Świetnie się rozumiemy.

Zofia uśmiechnęła się, patrząc na obraz. Była pewna, że arcybiskup często go używa, by odróżnić przyjaciela od pochlebcy. Na szczęście nie była ani jednym, ani drugim.

– Pałac Brühla jest w tej chwili bardzo piękny. Mam nadzieję, że Wasza Eminencja zostanie w Warszawie na długo.

Pradt odwrócił się do Zofii.

– *Ma chère!* Wygląda na to, że w mgnieniu oka potrafi waćpani przeistoczyć się z cudownie prostodusznej istoty w najgorszą sekutnicę, i odwrotnie.

Zofia zachichotała.

– Czy Wasza Eminencja zna powiedzenie Pompadour dotyczące jeża?

– Nie, chyba nie.

– Madame de Pompadour mawiała, że jeż zrzuci kolce dopiero wtedy, gdy wilk straci zęby.

Po wykonaniu wszystkich obowiązków Anna, Anusia Potocka i Maria Walewska przygotowywały się do wyjścia ze szpitala.

– Nie zawiedziesz mnie, Aniu? – zapytała Maria. – Przyjdiesz dziś wieczorem? Będzie zabawnie, jeśli obie pojawicie się na przyjęciu u Pradta.

– Zabawnie mogłoby być tylko na pogrzebie tego groteskowego człowieczka! – zaśmiała się Anusia. – Będziemy, Marysiu, stanowić twoją straż przyboczną, a Ania nie odważy się nie przyjść. Dostała specjalne zaproszenie od Pradta. Jak on to napisał, Aniu?

Anna wzruszyła ramionami.

– Że ma śmiałość żądać mojej obecności.

– Może przestał interesować się Marią – zauważyła Anusia.

– Dobry Boże, byłabym bardzo szczęśliwa! – zawołała Maria.

– Rzeczywiście to trochę dziwne – powiedziała Anna, kiedy przestały się śmiać – ale nie mogę się doczekać wieści z wyprawy Napoleona na wschód.

– Przyjęcie na cześć króla Hieronima powinno być ciekawsze od wszystkich pozostałych – wtrąciła Anusia z błyskiem w oku. – Tyle opowieści poprzedziło jego przyjazd do Warszawy!

Przed rozpoczęciem przygotowań na królewskie przyjęcie Anna poszła odwiedzić chorą księżną Charlotte Sic. U podstawy schodów natknęła się na Izabelę, która zbiegała z góry. Dziewczyna miała oczy zaczerwienione od łez.

– Iziu! Tak się cieszę, że cię widzę!

Córka Zofii z trudem zdobyła się na uśmiech.

– Twoja mama mówi, że księżna jest ciężko chora –

szepnęła Anna.

Iza przytaknęła. Anna otoczyła ją ramieniem. Dziewczyna znów zaczęła szlochać.

– Tylko nie płacz przy niej, ciociu Aniu. Ja jakoś się trzymałam, przestałam nad sobą panować dopiero za drzwiami.

– To dobrze – pochwaliła ją Anna.

Po chwili odsunęła dziewczynę od siebie, by się jej przyjrzeć. Iza miała szesnaście lat i powoli przeobrażała się w urodziwą kobietę. Nie odziedziczyła po matce tatarskich cech. Z tego powodu Zofia czasami powtarzała, że jej córka to podrzutek albo odmieniec. Anna niezmiennie krzyczała na kuzynkę, że mówi tak w obecności dziecka. Dziewczyna miała ciemne włosy Zofii, lecz rysy twarzy, jasną cerę i niebieskie oczy pewnie odziedziczyła po ojcu. Anna dawniej często się zastanawiała, kto jest ojcem Izy, ale gadatliwa zazwyczaj kuzynka nigdy nie chciała poruszać tego tematu. Teraz było jasne, że Iza przestaje być niezgrabnym dzieckiem i wyrasta na prawdziwą piękność. W ciągu kilku miesięcy nastąpił cud i poczwarka przeobraziła się w motyla.

Dziewczyna otarła łzy.

– Przepraszam – wydukała. – Jestem głupia.

– Wcale nie, Iziu. Po prostu masz czułe serce, więc nie przepraszaj.

– Dziękuję, ciociu Aniu – powiedziała, pociągając nosem.

– Po powrocie do domu przypomnij Basi, że obiecała jutro pomóc nam w szpitalu.

– Dobrze. Może ja też wybrałabym się z wami?

– To nieciekawe zajęcie. Puszczanie krwi i przygotowywanie bandaży... tego typu rzeczy.

– Chętnie pomogę.

– W takim razie bądź gotowa punktualnie o szóstej.

Anna najpierw wzięła głęboki wdech, a potem weszła do pokoju francuskiej księżnej. Nie widziała jej przynajmniej od roku i chociaż Zofia twierdziła, że Charlotte nie pożyje długo, wygląd chorej zaszokował Annę. Francuzka, niegdyś pulchna i zdrowa jak ryba, teraz była bardzo słaba i chuda.

– Witaj, Aniu!

Charlotte z niekłamaną radością uniosła się nieco na poduszkach.

Nie okazując zaskoczenia, Anna podeszła i pocałowała przyjaciółkę Zofii w oba policzki.

– Minęłaś się z Izą!

– Spotkałam ją na parterze.

– Mam nadzieję, że dobrze się czuła. Ogromnie się wszystkim przejmuję. Usiądź, kochanie.

– Tak mi przykro, że jesteś chora, Charlotte – powiedziała Anna, zajmując krzesło obok łóżka.

– Dziękuję, kochanie. Masz jakieś wieści od chłopców?

– Nie.

Francuzka ujęła rękę Anny.

– Pewnie się o nich bardzo martwisz.

– Próbuję znajdować sobie dodatkowe zajęcia. Powiedz, jak się miewasz.

– Teraz nieco lepiej, chyba tylko dlatego, że nie pozwałam, by lekarz puszczał mi krew. Mam wodę w sercu... więc jakież pożytek może przynieść taki zabieg? Na litość boską, powinni ściągać mi wodę, nie krew.

Anna przez jakiś czas opowiadała o tym i o owym, ale gdy zauważyła, że Charlotte jest zmęczona, wstała i zaczęła szykować się do wyjścia.

Wtedy Francuzka odezwała się, jakby chciała jeszcze trochę zatrzymać Annę.

– Iza przeobraża się w piękną, młodą kobietę, prawda?

Wkrótce zaczniesz konkurować z matką.

Anna wybuchnęła śmiechem.

– Zofia z pewnością nie traktuje jej jak rywalki.

– Może nie – poddała się Charlotte. – Proszę, Aniu, usiądź jeszcze na kilka minut.

– Dobrze – zgodziła się Anna.

– Iza mówi do mnie *grand-mère*. – Charlotte westchnęła i przez dłuższą chwilę nad czymś się zastanawiała. – Czy słyszałaś kiedykolwiek, by Zofia mówiła do Izy inaczej niż Izabela?

– Nie.

– Jest w tym coś dziwnego, nie sądzisz? Próbowałam przelać na dziewczynkę swoje uczucia, chcąc wynagrodzić jej brak matczynego ciepła, ale teraz się martwię.

– Zofia ją kocha, Charlotte. W głębi duszy... na pewno.

– Może na swój sposób.

– Nie martw się o Izę. Będę częściej przebywać w stolicy, gdy – Boże dopomóż! – szpitale zaczną zapełniać się rannymi. Zatroszczę się o nią.

– O, jak dobrze! Proszę, zrób to, Aniu. Wiesz, że Zofia ma wobec niej pewne plany. Mażeńskie.

Anna wzięła głęboki wdech.

– Planu mażeńskie? Charlotte przytaknęła.

– Chce ją wydać za magnata.

– Nie sadzę, Charlotte. Moja kuzynka sama się kiedyś zbuntowała, gdy rodzice chcieli ją wydać za Antoniego Grawlińskiego. Nie przypuszczam...

– Widzisz, często ludzie szybko zapominają, co przeżyli w dzieciństwie. Dlatego ktoś, kto dostawał od rodziców różgą brzozową, po latach będzie się starał za jej pomocą wychowywać własną pociechę.

Anna długo milczała. W końcu spytała:

– O jakiego magnata chodzi?

- Adama Czartoryskiego.
- Chyba nie mówisz poważnie, Charlotte!
- Dlaczego? Dlatego że sama niegdyś z nim romansowała... i jej nie wyszło? Z nim, z księciem Podolskim i kilkunastoma innymi! Twoja kuzynka nie zastanawia się nad tym, co dobre dla Izy, Aniu. Chce się wżenić w ród magnacki, choćby tylko *per procura*. Jej czas dobiega końca. Między nami mówiąc, już dobiegł. Sam cesarz powiedział, że czterdziestka to czterdziestka, prawda?
- Czy Zofia rozpoczęła już... kampanię?
- Tak, chociaż nie wiem, z jakim skutkiem. Księżę nie powinien dłużej unikać małżeństwa... a Iza może być smakowitym kąskiem dla mężczyzny w średnim wieku.
- Co wcale nie znaczy, że w przyszłości go nie pokocha.
- Nie znaczy, ale powiedz mi, ile miałaś lat, gdy zakochałaś się w Stelnickim. Osiemnaście?
- Siedemnaście.
- W porządku, siedemnaście. Czy wyobrażasz sobie, że mogłaś wtedy zakochać się w kimś w wieku twojego ojca?
- To była przerażająca myśl. Anna musiała przyznać, że nie mogłaby.
- Sama widzisz – ciągnęła Charlotte. – Aniu, musisz wybić to swojej kuzynce z głowy. Zrobić wszystko, żeby Iza była szczęśliwa... a ja też dołożę wszelkich starań.
- Spróbuję – obiecała Anna, całując Charlotte.
- W jej oczach zaczęły się zbierać łzy, więc postanowiła wyjść, nim popłyną.
- Do zobaczenia, Charlotte. Jesteś dobrą... bardzo dobrą przyjaciółką Zofii.
- Gdy Anna szła Piwną, uprzedni smutek i niespodziewany szacunek do Charlotte ustąpiły miejsca rozważaniom o planowanym małżeństwie Izy.
- Przypomniała sobie ostatnie słowa Charlotte: „Ja też dołożę

wszelkich starań”. Hrabina Stelnicka zastanawiała się, co miała na myśli umierająca Francuzka.

Anna usiadła na dalekim końcu długiego stołu arcybiskupa Pradta, z jednej strony mając Marię Walewską, z drugiej Anusię Potocką. Anusia wychyliła się do przodu i po cichutku rozmawiała z Marią.

– Co się stało, że nie siedzisz po prawej ręce arcybiskupa? Maria wzruszyła ramionami. Zasłoniła twarz wachlarzem i powiedziała:

– Oznajmiłam Pradtowi, że chciałabym usiąść z przyjaciółkami... i ku mojemu zaskoczeniu wyraził zgodę. Chyba jakaś opiekująca się mną dobra wróżka zmniejszyła płomień jego pożądania do wolnego ognia.

– Naprawdę? – spytała Anusia. – Ten człowiek wywołuje u mnie dreszcze.

Weszli służący, niosąc pierwsze z wielu dań. Zaczęła się kolacja. Anna od czasu do czasu zerknęła na króla Westfalii, który siedział na lewo od arcybiskupa. Hieronim wszedł z wielką pompą. Jako marszałek Napoleona miał prawo wybrać dla siebie mundur, stworzył więc pomysłowy, krzykliwy czerwono-zielony uniform. Doskonale odzwierciedlał on charakter człowieka, który chodził dumny jak paw. Dwudziestoosmioletni brat Napoleona otrzymał królestwo, w którego skład wchodziły: Hesja-Kassel, Brunszwik, zachodnie prowincje dawnych Prus, część Hanoweru i inne małe kawałki. Tak jak pozostałe rodzeństwo Napoleona cieszył się opinią pyszałka, aroganta i człowieka ekstrawaganckiego. Chociaż stać go było na niezwykłą odwagę, uważał się za młodego geniusza i dlatego często okazywał niezwykłą głupotę.

Na przyjęciu nie było Katarzyny Wirtemberskiej, która dzięki Napoleonowi została żoną Hieronima, więc brat cesarza

bez przerwy uwodził panie i sycił wzrok ogromną liczbą Polek pozbawionych męskiego towarzystwa. Najwyraźniej małżeństwo nie zmniejszyło jego apetytu na ładne kobiety – panie, o których często mówił: „słodkie brzoskwinki” albo „jędrne truskaweczki”.

– Od jak dawna Hieronim jest w Warszawie? – Anna spytała przyjaciółki. – Od tygodnia? Najwyraźniej nie spieszy mu się na wschód, żeby dogonić Wielką Armię.

– Rzeczywiście od tygodnia. Od przyjazdu chodzi do opery i uczestniczy w różnych kolacjach oraz przyjęciach – powiedziała Maria.

– Wyjeżdża jutro o świcie – oznajmiła Anusia. – Wiem to od teścia. Dzisiaj kurier przywiózł wiadomości od cesarza, wśród nich rozkaz, żeby brat natychmiast przyprowadził ze sobą korpusy rezerwistów. Napoleon jest na niego zły.

Obecni na przyjęciu, w tym również przyjaciele Anusi, byli przekonani, że jeśli Napoleon stworzy nową Polskę, odda tron Hieronimowi, co psuło uroczysty nastrój.

– Czy to pani hrabina Stelnicka?

Anna, nie kryjąc zaskoczenia, odwróciła się twarzą do bohatera wieczoru. Przed kolacją została przedstawiona królowi, ale była to oficjalna, sztywna ceremonia; teraz brat Napoleona starał się najwyraźniej nieco złagodzić niezbyt miłe pierwsze wrażenie.

– Tak – odparła, siląc się na uśmiech.

On też się uśmiechnął, przy okazji przesuwając wzrok z ramion Anny na jej piersi.

– Z tego, co wiem, ma waćpani dwóch synów.

– Tak, obaj służą w młodej gwardii, Wasza Królewska Mość.

– Przypuszczam, że dobrze sobie radzą.

– Mam nadzieję. Na szczęście przyjaciel rodziny ze starej

gwardii wziął ich pod swoje skrzydła. Poza tym starszy syn, Jan Michał, pilnuje młodszego brata.

– Ile lat ma Tadeusz?

Anna zamrugała, zaskoczona. Skąd Hieronim zna jego imię?

– Siedemnaście – usłyszała własną odpowiedź i poczuła, że robi jej się słabo.

– Piękny wiek! – powiedział król. – Człowiek ma wrażenie, że odkrywa świat, a wojaczka pozwala poznać tyle nowych miejsc!

Król Hieronim mówił o zbliżającej się wojnie z Rosją i wielkim przeznaczeniu rodziny Napoleona. Anna udawała, że słucha, i od czasu do czasu przytakiwała, chociaż była zaprzątnięta swoimi myślami. Hieronim znał imię Tadka! Skąd?

Kto mu powiedział? Może wytłumaczenie jest proste: ktoś przez przypadek wspomniał imię chłopca albo zrobiła to osoba, która powiedziała królowi, że Anna ma synów w wojsku.

Jednak szósty zmysł podpowiadał jej, że brat Napoleona spytał o to z jakiegoś konkretnego powodu. Pomimo lubieżnych spojrzeń Hieronima była przekonana, że nie dlatego zwrócił na nią uwagę. Był o dziesięć lat młodszy od niej... a na przyjęciu nie brakowało pięknych kobiet.

– Jak Tadeusz czuje się w korpusie Poniatowskiego? – spytał król.

Powrót do rozmowy o młodszym synu jedynie potwierdził podejrzenia Anny, że król Westfalii interesuje się Tadeuszem nie bez przyczyny.

– Stał się żołnierzem. Chce w przyszłości zostać ułanem. Anna mówiła bez entuzjazmu; czuła się tak, jakby słuchała kogoś, kto na scenie wygłasza swoją kwestię. Pokój zaczął się kołysać, a potem wirować wokół niej. Jej ciało przeniknął

chłód, który przypominał lodowaty wiatr wiejący od strony Rosji.

– Nie wiem, co mój brat zrobiłby bez polskich ułanów, pani hrabino. Są nieocenieni... ale na pewno waćpani o tym wie.

Bezwiednie przytaknęła. Potem król życzył jej wszystkiego dobrego i sztywno się skłonił. Ku swojemu zaskoczeniu zauważyła na jego pasku rysunek cyrkla i kątownika – symbole, którymi posługiwał się król Stanisław... i wolnomularze.

Kiedy Hieronim się oddalił, a czerwono-zielony mundur zlał się z pozostałymi strojami, Annę przeraziła następna myśl. Czy król Hieronim może być związany z pruskimi masonami? Czy ta sama grupa wolnomularzy zapłaciła Dolińskiemu za porwanie Tadeusza i skazała chłopca na pewną śmierć? Czy uważa, że Tadeusz może mu przeszkodzić w objęciu polskiego tronu? Czy ma nadzieję, że chłopak nie przeżyje wojny na wschodzie? Czy jeśli Tadek przeżyje, będzie mu grozić jakieś niebezpieczeństwo?

Czy może w tej chwili coś mu grozi?

17 sierpnia 1812

O zmierzchu Paweł stanął na wzgórzu i spojrzał na Smoleńsk – miasto na wschodniej granicy dawnej Polski. Leżało na lewym brzegu Dniepru, stanowiło zatem ważny punkt na drodze Francuzów zmierzających w głąb Rosji. Za murami miasta ukrywała się silna armia. Mniejsze oddziały zajmowały zabudowania na zewnątrz. Po dwóch dniach frontального ataku i potyczek o każdy dom Francuzom udało się zająć przedmieścia. Trzy wielkie pożary, jak się wydaje wzniesione przez wroga, trawiły drewniane budynki i stare wieże.

Kiedy Paweł się odwrócił, zobaczył Napoleona, który

podjeżdżał kłusem, by zorientować się w sytuacji. Towarzyszyło mu tylko dwóch oficerów. Trójka jeźdźców za bardzo zbliżyła się do miasta otoczonego grubym na cztery i pół metra murem, który patrolowali Moskale. Ogromnie ryzykowali, ale Paweł wiedział, że cesarz często kusi los.

Rosjanie ponieśli znaczne straty i nie wytrzymają długo – pomyślał, ale po stronie Francuzów też było dziesięć tysięcy zabitych i rannych. Zginęło dwóch chłopców z jego kompanii. Później będzie musiał wypełnić smutne zadanie i napisać do ich rodziców.

Od początku wyprawy na Rosję aż do tej chwili jego kompania sześciokrotnie brała udział w akcji, nie ponosząc strat, lecz z szeregów Wielkiej Armii codziennie ubywało pięć tysięcy ludzi z powodu chorób i dezercji. Mimo to gorący entuzjazm młodych Polaków ani nie zmalął, ani się nie zachwiał.

Rano, kiedy stało się jasne, że Moskale opuścili Smoleńsk, wojska francuskie weszły do miasta. Nieznośny smród oraz leżące wszędzie zwłoki żołnierzy i cywilów, rzucone na stos jak towar na straganie handlarza ryb, wywoływały u młodych gwardzistów mdłości; również Paweł i starzy gwardziści fatalnie to znosili. Chociaż Napoleon był znany z wrażliwego powonienia, zachowywał się, jakby niczego nie czuł. Podobno przejął powiedzenie rzymskich cesarzy: „Ciała wrogów zawsze miło pachną”.

Po południu Tadeusz poprosił Pawła, żeby poszedł z nim do małego, kamiennego domku zburzonego przez artylerię. W największej izbie Michał stał nad rosyjskim żołnierzem.

– On jeszcze żyje – oznajmił.

Paweł zauważył, że leżący na podłodze Rosjanin jest młodszy od Tadka. Nie miał na policzku nawet meszku.

– Jest przytomny? – spytał Paweł.

– Chwilami odzyskuje przytomność – odparł Michał.

– Jak się nazywasz? – spytał po rosyjsku Paweł.

Ranny otworzył oczy. Widać w nich było ból, ale nie strach.

– Czapajew – odparł.

– Co mamy z nim zrobić? – spytał Tadeusz błagalnie. Paweł spojrzał na braci Stelnickich. Michał i Tadeusz brali już udział w kilku bitwach i potyczkach, w których poczynali sobie z zapałem i brawurą typową dla młokosów, teraz jednak w ich oczach widać było ponure pytanie i... lęk, bo gdy spoglądali w twarz umierającego rosyjskiego chłopca, czuli się tak, jakby patrzyli w lustro.

– Trzeba go zanieść do naszego szpitala polowego, Tadku. Tak nakazuje wojenny kodeks honorowy. Wystawiamy sobie świadectwo nie tylko tym, jak walczymy... ale też jak traktujemy jeńców.

Chłopcy bez słowa przenieśli wzrok z majora na rannego. Paweł przyklęknął obok Rosjanina.

– Zabierzemy cię stąd – powiedział – i oddamy pod opiekę naszego lekarza.

– Za późno – wyrzucił z siebie chłopak. – Dla mnie nie ma już szans. – Spojrzał na zwycięzców i wykrzesał z siebie resztki sił. – Wasz car musi być diabłem, skoro próbuje podbić Świętą Matuszkę Rosję! Wszyscy jesteście diabłami! Nie wygracie wojny na naszej uświęconej ziemi. Będziecie stąd uciekać jak ranne wilki.

– Michale – rozkazał Paweł – weź go pod pachy. Tadziu, chwyć go za stopy. Ruszamy!

Idąc za nimi, Paweł podziwiał odwagę śmiertelnie rannego Rosjanina. Jednocześnie dostrzegał w tym wyraźne ostrzeżenie: Jeśli miliony rosyjskich chłopów, którzy zamieszkują niezmiernie przestrzenie, ma taki sam zapał, cesarz popełnia niewybaczalny błąd. Rosja nie podda się łatwo.

Kiedy wieczorem bracia Stelnicy zameldowali się u Pawła, byli bardzo bladzi. Chłopak zmarł na stole operacyjnym.

– Co robiliście w tej ruderze? – spytał Potecki. – Płądrowali?

Chłopcy, zawstydzeni, wbili wzrok w ziemię.

– Zostawcie to innym, dobrze? Myślcie tylko o tym, jak przetransportować swoje tyłki w głąb Rosji i z powrotem. Widywałem żołnierzy, którzy próbowali wywieźć bogactwa z podbitego kraju. W wielu przypadkach przypłacili to życiem. Rozumiecie? Polski żołnierz walczy o niepodległość. Nie o ruble ani srebrne kielichy. Spróbujcie przysporzyć matce i ojcu powodu do dumy, zgoda? Spójrzcie na mnie!

Chłopcy wciąż milczeli i tkwili w miejscu, jakby zapuścili korzenie, obaj jednak popatrzyli Pawłowi w oczy.

– Chociaż – dodał – gdybyście natrafili gdzieś na futrzane czapy, rękawice albo płaszcze, które mogłyby uchronić was przed odmrożeniami na tych zapomnianych przez Boga i ludzi przestrzeniach, pamiętajcie o Pawle, starym przyjacielu rodziny, dobrze?

Dopiero ta żartobliwa, krótka przemowa wywołała uśmiech na bladych twarzach braci. Paweł przyciągnął ich do siebie w niedźwiedzim uścisku.

Mimo że to głównie dzięki polskiej piechocie wspieranej przez dwa działa udało się zdobyć Smoleńsk, w wysłanym do Paryża przez Warszawę „Bulletin de la Grande Armée” Napoleon przypisał zwycięstwo francuskim żołnierzom. Kłamstwo cesarza rozsierdziło Pawła, toteż pisząc do rodziców dwóch poległych żołnierzy, przekazał im prawdę.

Wojsko przez cały tydzień stało pod Smoleńskiem. Paweł przypuszczał, że Napoleon daje Aleksandrowi czas do namysłu. Ponieważ Francuzi nie stoczyli jeszcze z Rosjanami

decydującej walki, Potecki wątpił, by Aleksander miał zamiar się ugiąć. Dlatego uważał ten tydzień za stracony. Z drugiej strony wymarsz w dalszą drogę mógł być jeszcze gorszym rozwiązaniem. Prawie wszyscy marszałkowie Napoleona uważali, że najlepiej by było przezimować w Smoleńsku, zbliżała się bowiem surowa rosyjska zima.

Bonaparte chyba jednak nie chciał przebywać zbyt długo z dala od Paryża, w którym znów zaczęli podnosić głowy jego przeciwnicy. Postanowił więc podążać za swoją gwiazdą i powędrować w głąb Rosji. Dwudziestego piątego sierpnia Wielka Armia opuściła Smoleńsk i ruszyła na Moskwę.

Wrzesień 1812

– Byłaś kiedyś zakochana, Zofio?

– Słucham?

W sypialni panował mrok; Zofia myślała, że Charlotte śpi. Zachrypnięty, z trudem wydobywany głos zaskoczył ją tak samo jak pytanie.

– Czy byłaś zakochana? – powtórzyła Charlotte. – Naprawdę zakochana!

– Nie wiem. Chyba tak. A ty?

– O tak! Przeżyłam wielką miłość... nim cię poznałam. Przed wyjazdem z Francji.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś.

– Prawdziwa dama powinna mieć swoje tajemnice. Opowiadanie o tym sprawiłoby mi wielki ból.

– A teraz, po latach? Kim on był?

– Księciem. Miał na imię Aubrey.

– Niezwykłe imię.

– Oznacza: jasnowłosy władca.

– Kochał cię?

„Jakie to dziwne – pomyślała Zofia – że ta rozmowa odbywa się w ciemności. I że Charlotte nigdy wcześniej o tym nie wspomniała”.

– Tak.

– Co się stało, Charlotte?

– Ożenił się z inną. Zgodnie z życzeniem rodziny. Ja nie miałam wtedy jeszcze tytułu, a dla nich tylko to się liczyło.

– Rozumiem. Kochałaś tylko raz?

– Tak.

– Co się z nim stało?

– Zginął na szafocie. Jak wielu innych. A ty, Zofio?

Kochałaś Jana Stelnickiego?

Zofia długo myślała.

– Nie, chyba nie.

– W takim razie kogo?

– Kogoś, kogo nigdy nie poznałaś.

– Ojca Izy?

– Jesteś wyjątkowo wścibska, Charlotte. Powinnaś odpocząć.

– Kochałaś go, prawda?

– Był młodziutkim chłopcem.

– Ale czułaś... że jest inaczej?

– Tak... Był taki niewinny! Nauczył mnie rzeźbić głupie figurki z lipowego drewna. Chwilami myślałam nawet o tym, żeby zostać w jego maleńkiej, żalösnej chatce... i żyć jak wieśniaczka. – Zofia wybuchnęła sztucznym śmiechem. – Był wieśniakiem. Prawda, że to głupota?

– Może tak. Może nie. Jak miał na imię?

– Jerzy.

– I nigdy więcej go nie widziałaś?

– Widziałam. Raz. Kilka lat temu podczas parady wojskowej. Zaciągnął się do piechoty Poniatowskiego.

– Zmienił się czy wciąż był niewinny?

– Wciąż był niewinny, ale mimo wszystko się zmienił. Stał się mężczyzną.

– I?

Zofia westchnęła.

– Pożegnałam go jak mężczyznę. Charlotte czekała na więcej.

– Nigdy go już nie widziałam.

– Wiedział o Izie?

– Tak. Miał zamiar po kampanii wrócić do Warszawy, żeby ją poznać. Chciał... Och, to było niemożliwe. Powiedziałam mu o tym.

- I?
- Prawdopodobnie zginął na wojnie. Zazwyczaj największe straty ponosi piechota.
- Co powiedziałaś Izie?
- Że był szlachcicem i zginął, walcząc pod wodzą Kościuszki.
- Rozumiem.
- Wiesz, Charlotte, zламаłam wiele serc. – Roześmiała się.
- Może nawet więcej niż ty!
- To prawda.
- Na litość boską, przespałam się z królem Stanisławem i małym francuskim cesarzem! Tymczasem co noc myślę o jasnowłosym wieśniaku. Czyż to nie dziwne?
- Charlotte poruszyła się na łóżku, a potem ujęła Zofię za rękę.
- Wcale nie – zaprzeczyła księżna. – Wcale.
- Uniosła dłoń Zofii do ust. Wówczas hrabina Grońska zdała sobie sprawę, że Charlotte płacze.

Piętnastego września trzon Wielkiej Armii liczący sto tysięcy żołnierzy dotarł do Moskwy. Paweł i członkowie młodej gwardii byli zachwyceni widokiem egzotycznego miasta, a zwłaszcza setek złotych wież kościelnych i kolorowych, cebulastych kopuł, które wznosiły się nad lśniącymi pałacami i niezliczonymi dachami drewnianych budynków. Paweł długo patrzył na katedrę z dziewięcioma pokrytymi miedzią dzwonicami. Najwyższa z nich podtrzymywała srebrny krzyż Iwana Groźnego. Po kilku dniach nadszedł rozkaz, żeby okazały krzyż i wspaniałe orły z kremlowskich wież zdjąć, a potem jako zdobycz wojenną przetransportować do Paryża. Zajmujący się demontażem stolarze i robotnicy niemal przyplacili życiem, gdy ikony runęły na ziemię. Koniec końców okazało się, że łup jest zbyt

ciężki, by załadować go na wozy.

Żołnierze nie mogli uwierzyć, że są w Moskwie. Marsz ze Smoleńska był bardzo forsowny; Paweł przeżył coś takiego po raz pierwszy. Temperatura zmieniała się z godziny na godzinę: popołudniami dawał się we znaki nieznośny upał, a nocami było poniżej zera. Silne wiatry przynosiły kurz, który zmuszał żołnierzy do zasłaniania twarzy różnymi szmatami. Woda była fatalna albo w ogóle jej nie było; brakowało żywności, a podstawową rację stanowiło mięso końskie i ziarno.

Żołnierze musieli walczyć z żywiołami i staczać zacięte potyczki. Rosła liczba ofiar i maruderów – rany, głód i choroby zbierały obfite żniwo. Bitwa, która odepchnęła na wschód rosyjską armię i umożliwiła Francuzom wkroczenie do Moskwy, rozegrała się pod wioską Borodino. Zwycięstwo nie przyszło łatwo, bo Moskale walczyli dzielnie i parli do przodu jak mechaniczni żołnierze, których – według cesarza – „mogą zniszczyć tylko armaty”. Po stronie rosyjskiej było około czterdziestu pięciu tysięcy zabitych i rannych, po stronie francuskiej – trzydzieści pięć tysięcy.

Przed opuszczeniem Moskwy jej gubernator, książę Rostopczyn, zabrał sprzęt do gaszenia pożarów i rozpuścił po mieście setki podpalaczy. W rezultacie ogień trawił miasto przez pięć dni, niszcząc pałace, kościoły, domy i warsztaty, gdyż zabudowania Moskwy przeważnie były drewniane. Dzielnica żydowska spłonęła doszczętnie. Na szczęście Kreml ocalał. Paweł nie mógł sobie nawet wyobrazić, by Polacy spalili Warszawę, a Francuzi Paryż tylko po to, żeby opóźnić marsz wroga w głąb kraju. To było barbarzyństwo! Podobno wściekły Napoleon napisał do cara Aleksandra, że Moskwa przestała istnieć i że zastrzelono czterystu podpalaczy Rostopczyna.

Piąty Korpus Poniatowskiego razem z kawalerią Murata

stanął obozem pod Woronowem – niewielką opuszczoną wioską nieco na południowy zachód od Moskwy. Paweł dopilnował, by młodzi gwardziści zostali zakwaterowani w małych drewnianych chatach krytych strzechą. Przypomniawszym swoim ludziom, by niczego nie niszczyli i nie zabierali oprócz pożywienia, koców i ciepłej odzieży. Młodzi gwardziści posłuchali. Trzon francuskiej armii pozostał w Moskwie. Plądrowanie płonącego miasta trwało kilka dni. Żołnierze zabierali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, nie myśląc o tym, że będą musieli wieźć to ze sobą, gdy ruszą w długą drogę powrotną. Widocznie przestali mieć wyrzuty sumienia, gdy się okazało, że ogień w mieście podłożyli sami Rosjanie.

„Cała armia powinna być zakwaterowana poza miastem” – pomyślał Paweł, ale pokusa, jaką stanowił prawdziwy dach nad głową, piec i łóżko, była zbyt wielka. Dlatego najwyraźniej część generałów zdołała przekonać Napoleona.

Pierwszego ranka w Woronowie Paweł wszedł do małej chaty, którą zajmowali bracia Stelniccy.

– Czołem, żołnierze! – zawołał.

Obaj chłopcy spali. Poderwali się na nogi.

– Co wy robicie o tej porze w łóżkach? – spytał Paweł ze śmiechem. – Można by pomyśleć, że macie za sobą forsowny marsz!

Chłopcy uśmiechnęli się i przetarli oczy.

– Ubierajcie się, a ja dorzucę drew do pieca.

Chwilę później siedzieli przy maleńkim stole i jedli sarninę, którą upiekł Paweł.

– Co dalej, majorze? – spytał Jan Michał. Paweł wzruszył ramionami.

– Wszystko zależy od Napoleona.

– I cara – dodał Tadeusz.

– Masz rację, Tadziu.

– Poprosi o pokój? – spytał Jan Michał. Major prychnął.
– Kto to może wiedzieć? – Pociągnął łyk grzanego miodu.
– Moim zdaniem nie zadaliśmy mu decydującej klęski, ale zobaczymy.

W oczach Tadka błysnął ogień.

– Pod Borodinem powinniśmy popędzić za Kutuzowem zamiast pozwalać mu uciec pod osłoną nocy! Potrzebny byłby frontalny atak.

– Może tego nie zauważyłeś, Tadziu, ale wykorzystaliśmy nasze siły do granic możliwości – poprawił go Michał. – Poza tym frontalne ataki czasami bywają zgubne. Prawda, majorze?

Paweł przytaknął.

– Czasami tak, Michałku. – Upił następny łyk. – A wracając do Napoleona, przypuszczam, że zaczeka i zobaczy, co z tego wyniknie.

– Jak pan sądzi, będziemy tu zimować? – spytał Tadeusz.

– Jeśli jeszcze trochę zaczekamy, nie będziemy mieli innego wyjścia – wtrącił Michał. – Prawda, majorze?

Paweł przytaknął.

– Widzę, że lekcje taktyki nie poszły na marne. Zima na tych terenach jest nieubłagana. Jak wam smakuje mięso?

Gdy obaj chłopcy pochwalili Pawła, roześmiał się i powiedział, że kłamią.

– Jest twarde i słone... ale w porównaniu z tym, co ostatnio jadaliśmy, chyba nie możemy się skarżyć.

– Co to? – spytał Tadeusz, natężając słuch i rozglądając się w prawo i lewo.

– Co takiego? – mruknął Michał.

– Nic nie słyszałem – powiedział Paweł.

– O, znów! – zawołał Tadeusz.

– Tym razem też chyba coś usłyszałem, majorze – poparł brata Michał.

– Niestety, prawdopodobnie artyleria osłabiła mi słuch –

wyznał Paweł ze śmiechem.

– Koza? – zasugerował Michał. – Czy kot?

Tadeusz wstał i podszedł do drzwi. Wysunął głowę i zerknął przed chatę. Po chwili wrócił do stołu.

– Nic? – spytał Jan Michał.

– Nic.

Wtedy znów dobiegł do nich dziwny hałas.

– Tym razem słyszałem – oświadczył Paweł. – To niemowlę!

Wsluchiwali się w milczeniu, kompletnie zaskoczeni. Znów rozległo się kwilenie, ale bardziej stłumione. Wszyscy trzej jak na komendę wstali i wbili wzrok w sufit.

– Jest tam strych? – spytał Paweł.

– Nawet bardzo duży – zapewnił Michał. – Dla zwierząt, na wypadek chłodów.

– Które często się zdarzają w tej zapomnianej przez Boga i ludzi krainie – zauważył Paweł. – Gdzie jest wejście? Na zewnątrz?

– Nie – odparł Tadeusz. – Za kuchnią jest rampa. Paweł wyjął pistolet.

– Sprawdzaliście?

– Wsadziłem tam głowę – zameldował Tadeusz. – Mnóstwo siana, ale za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć.

Bez słowa wszyscy trzej podeszli do wejścia... i nasłuchiwali. Cisza.

– Schodź! – zawołał Paweł rozkazującym tonem, wyciągając pistolet. – Schodź, i to natychmiast, bo inaczej cię zastrzelę!

Usłyszeli ciche szuranie. Potem ktoś zaczął stąpać po deskach, a na pochylni pojawił się czerwony but.

– Zejdź na dół! – rozkazał Paweł. – Jeśli masz broń, rzuć ją albo cię zastrzelę!

– Nie mam broni.

Ledwo usłyszeli drżący głos. Potem ujrzeni drugi czerwony but i brązowy obrábek płóciennej spódnicy. To była kobieta. Z ogromnym wahaniem zeszła po pochylni, niosąc maleńki tobołek z krzykaczem, który zdradził jej kryjówkę. Była młodziutka, młodsza od Michała, niewiele starsza od Tadka.

– Co tu robisz? – spytał Paweł po rosyjsku.

– To mój dom – odparła po polsku.

Major starał się ukryć zaskoczenie.

– Jest tam jeszcze ktoś?

– Nikogo nie ma.

– Rozejrzyj się, Michale.

– Ja pójdę, majorze! – zawołał Tadeusz.

– Powiedziałem, że ma tam zajrzeć Michał – warknął Paweł, dając wyraźnie do zrozumienia, że to rozkaz.

Tadek oblał się pasem. Michał ruszył w stronę rampy.

– Cholera jasna, Michale! – krzyknął Paweł, zatrzymując chłopca w połowie drogi. – Zabierz pistolet!

Tym razem to Michał się zawstydził. Wrócił po pistolet, a potem wdrapał się po pochylni. Słyszeli, jak chodzi nad ich głowami. Jak to się stało, że wcześniej nie usłyszeli kobiety ani dziecka?

– Puściuteńko! – zawołał Jan Michał.

– W porządku, schodź! – rozkazał Paweł.

Kobieta wyglądała, jakby lada chwila miała zemdleć. Niemowlę zaczęło płakać.

– Usiądź – powiedział Paweł.

Usiadła; mężczyźni zajęli miejsca wokół niej. Płacz niemowlęcia przybrał na sile.

– Twoje dziecko jest głodne? – spytał Paweł. – Nakarm je. Oblała się pasem, osłoniła się kocami i zaczęła karmić maleństwo.

– Jesteś Polką?

Przytaknęła.

– Skąd się tu wzięłaś?

– Mój mąż jest Rosjaninem.

– W armii cara?

– Tak.

– Dlaczego nie uciekłaś do lasu z resztą mieszkańców wioski?

Skrzywiła się, a w jej oczach pojawiły się łzy.

– Boję się ich. To Rosjanie. Nie jestem akceptowana. Zabiliby mnie. Na pewno by mnie zabili.

Paweł jej wierzył.

– Co z nią zrobimy? – zastanawiał się Michał.

– Mogę zostać? – spytała.

Paweł spojrzał na ładną chłopską madonnę i jej dziecko.

– To twój dom, a żołnierze są tylko twoimi gośćmi.

– Mogę im gotować – zaproponowała. – Mam na imię Metody.

– Umowa stoi! – krzyknął Paweł, odwracając się do zaszokowanych braci. – Oni będą się tobą opiekować, a ty będziesz ich kucharką.

– Ale, majorze... – zaczął Tadeusz.

– Przypuszczam – przerwał mu Paweł – że o wiele lepiej spisie się przy piecu niż ja czy którykolwiek z was.

Tadeusz wiedział, że nie powinien zadawać dalszych pytań.

Paweł zmrużył oczy i przyjrzał się swoim podkomendnym.

– Michale, jeśli wstajesz od stołu, zabieraj pistolet, niezależnie od tego, czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo, czy nie, i następnym razem, przyjaciele, dokładniej sprawdzajcie swoje kwatery. Musicie wiedzieć o każdej pluskwie! Wróg mógł wam poderżnąć gardła podczas snu. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – powiedzieli zgodnie bracia.

Październik 1812

Anna siedziała z Anusią Potocką i Marią Walewską w salonie kamienicy Charlotte Sic. Przyszły godzinę temu po ochotniczej pracy w szpitalu, żeby odwiedzić francuską księżną i pomóc Zofii, która nie odstępowała od łóżka chorej. Po krótkiej wizycie w sypialni Charlotte zeszły na parter. Służący obszedł salon i pozapalał świece, by rozproszyć coraz większy mrok. Malowany porcelanowy zegar gdański głośno tykał na gzymsie.

Panie długo siedziały w milczeniu, zaszokowane wyglądem Charlotte i jej głośnym, ciężkim oddechem. Anna zauważyła, że nie tylko ona zerka w stronę sufitu, jakby próbowała zobaczyć dramat rozgrywający się piętro wyżej.

– Marysiu – odezwała się w końcu Anusia – czy w ostatnim pakiecie z paryskim biuletynem cesarza nie przyszedł do ciebie jakiś list?

W przeciwieństwie do ponurego nastroju panującego w salonie najnowsze wydanie „Bulletins de la Grande Armee” Napoleona – przekazane do Warszawy na ręce arcybiskupa Pradta, który miał przesłać je do Paryża – było pełne optymizmu. Wielka Armia ścigała Rosjan, prześladowała wroga, który wciąż się cofał, uciekał i walczył tylko wtedy, gdy został przyparty do muru, a potem znów się wycofywał. Udało się zdobyć Moskwę. W Warszawie przyjmowano cesarskie biuletyny wielkimi ochami i achami. Anna była chyba jedną z niewielu osób – a może jedyną – które uważały, że napoleońskie ciasto ma zbyt grubą warstwę lukru.

Maria nie spieszyła się z odpowiedzią.

– Rzeczywiście dostałam list – powiedziała w końcu z westchnieniem. – Cesarz nie proponuje, żebym przyjechała do

Moskwy.

– Och – westchnęła Anna. – Widocznie ma jakiś powód. Może przewiduje, że nie zatrzyma się tam na dłużej.

– Może – przyznała Maria.

– Chociaż – wtrąciła Anusia – zdaniem mojego teścia Bonaparte nie ma wyboru. Skoro zabrnął tak daleko, będzie musiał zostać.

W tym momencie zdała sobie sprawę, że jej uwaga nie poprawi nastroju Marii, więc szybko dodała:

– Jestem pewna, że nim pojawi się następny biuletyn, będziemy znali plany Napoleona. Jeśli postanowi zostać, na pewno po ciebie przyśle.

Maria z trudem zdobyła się na uśmiech. Anna wiedziała, że pani Walewska marzy o powtórce szczęśliwej zimy, którą spędziła z Napoleonem w zamku Finkenstein. „Trudne jest życie metresy, która naprawdę kocha żonatego mężczyznę” – pomyślała hrabina Stelnicka. Nie miała wątpliwości, że Maria kocha cesarza. Pytanie tylko, czy on odwzajemnia jej uczucie.

Wraz z ostatnią pocztą do Anny i Jana dotarły bardziej uspokajające wieści. Jak zwykle Paweł dołączył list, w którym napisał, że Tadeusz i Michał mają bezpieczną kwaterę w wiosce pod Moskwą. Zdaniem Poteckiego świetnie się spisywali w Wielkiej Armii. Anna przestała się bać o Tadka, dowiedziawszy się, że kiedy król Hieronim wreszcie dołączył do sił francuskich, Napoleon odebrał mu dowództwo prawego skrzydła i skierował pod rozkazy generała Davouta. Młody samozwańczy król-geniusz wpadł w szal, a na znak protestu zrezygnował i wrócił do Westfalii.

Anna wielokrotnie czytała list, zastanawiając się, czy Potecki – podobnie jak Napoleon – nie odmalowuje marszu na wschód pędzlem zanurzonym w kolorach, które nie oddają rzeczywistości. Przyłapała się na tym, że przyjmuje doniesienia przyjaciela tak, jak Warszawa przyjmuje biuletyny

cesarza: z zachwytem. I pragnieniem, żeby jego wieści były prawdziwe.

Nagle rozległ się jakiś hałas na schodach, potem z korytarza dobiegły przytłumione głosy. W końcu Zofia zamknęła drzwi za doktorem i weszła do salonu.

– Dziękuję, że zaczekałyście – powiedziała do przyjaciółek.

Jej twarz przypominała białą maskę. Nie musiała mówić, że właśnie zmarła francuska księżna, która przed laty uniknęła śmierci na gilotynie.

– Odeszła spokojnie? – spytała Anna.

Hrabina Grońska przytaknęła, stanęła przy oknie i wyjrzała w mrok.

– Kiedyś spytałam Char, czy się boi, powiedziała mi najdziwniejszą rzecz, jaką w życiu słyszałam. Że gdy myśli się o dniu wczorajszym bez żalu, a o dniu jutrzejszym bez strachu, człowiek jest niemal całkowicie zadowolony.

Kiedy Zofia odwróciła się do Anny i Anusi, miała w oczach łzy – coś, co bardzo rzadko jej się zdarzało.

Dni w Moskwie mijały wolno. Wszystkim się wydawało, że car Aleksander zrezygnował ze swojego ruchu w tej partii szachów: nie miał zamiaru prosić o pokój. Żołnierze i oficerowie spekulowali, co zrobi Napoleon. Niektórzy sądzili, że wkrótce zacznie szukać Kutuzowa, by zadać mu ostateczną klęskę, a potem pomaszeruje na Ukrainę, gdzie jest lepsza pogoda. Inni uważali, że powinien wycofać się do Smoleńska, ale to oznaczało pięćdziesięciodniową podróż w mundurach, które nie chroniły przed mroźnymi podmuchami wiatru. Konie, które przetrwały dotychczasową kampanię, nie miały podków na zimę. Wiele osób opowiadało się za pozostaniem w Moskwie, bo tu było odpowiednie schronienie i zapasy żywności na sześć miesięcy. Jednak taka decyzja wiązałaby się z dużym ryzykiem. W tym czasie Rosjanie mogliby

podnieść głowy, zebrać armię i przystąpić do zimowej rozprawy, natomiast Francuzi aż do wiosny nie mieli co liczyć na żadne posiłki.

Paweł wiedział, dlaczego cesarz się waha. Potecki chciał, żeby Napoleon przerwał czytanie powieści – co podobno ostatnio zajmowało mu większość czasu – ale cieszył się, że decyzja nie należy do niego. Z drugiej strony, pomimo ciężkiej, groźnej sytuacji, miał świadomość, że Polska może być dla Napoleona kluczem do sukcesu. Wystarczyłoby, gdyby cesarz ogłosił, że Rzeczpospolita jest wolna i niezależna, a potem posłał Piąty Korpus Poniatowskiego na południowy wschód do Mińska, by wesprzeć polskie siły, które pomagały Austriakom na południowym skrzydle sił francuskich. Poniatowski, Dąbrowski i Bronikowski mogliby wraz z Austriakami ruszyć przeciwko Trzeciej Zachodniej Armii Rosyjskiej i Rosyjskiej Armii Naddunajskiej. Wtedy Polacy, którzy wątpili w Napoleona, zasililiby osłabioną armię. Wystarczyłoby...

Być może jednak Bonaparte uważał, że ogłoszenie niepodległości Polski wywołałoby w Rosji zbyt wielkie wzburzenie. Aleksandrowi – tak jak niegdyś Katarzynie – nie przypadłoby do gustu, że tuż za jego zachodnią granicą mieszkają wolni ludzie, a ich podstawowym aktem prawnym jest demokratyczna konstytucja. Najwyraźniej Napoleon wciąż miał nadzieję, że uda mu się zawrzeć pokój z carem. „To urojenie” – pomyślał Paweł.

Łączność z oddziałami francuskimi pozostawionymi w Smoleńsku zaczęła się urywać, gdy do walki włączyli się rosyjscy partyzanci, którzy stosowali tak okrutne metody, że zdemoralizowani francuscy żołnierze woleli zginąć na polu bitwy niż dostać się do niewoli. Rosjanie przechwytywali meldunki i „Bulletins de la Grande Armee”. Ponieważ w

Paryżu zrobiło się niespokojnie, siedemnastego października Napoleon podjął decyzję o odwrocie. Rozkazał, by wojska w ciągu dwóch dni wycofały się z Moskwy i ruszyły w stronę Niemna.

Następnego dnia, gdy Paweł pilnował, by młoda gwardia zebrała odpowiednie zapasy i spakowała się, do Woronowa nadeszły wieści, że w sąsiednim Winkowie Rosjanie zaatakowali generała Murata. Poniatowski zmobilizował Piąty Korpus i ruszył na pomoc, ale nie obeszło się bez dwóch i pół tysiąca ofiar. Był to zły znak dla rozpoczynającego się odwrotu.

O trzeciej w nocy Paweł z dużym niepokojem wszedł do chaty Michała i Tadeusza. Obserwował Michała w ogniu walki. Chłopak świetnie sobie radził, ale nigdzie nie było widać Tadeusza. W pomieszczeniu płonęły tylko dwie świece i Potecki musiał przez chwilę przyzwyczajać wzrok do ciemności. Chatę wypełniał zapach gorącego oleju. Dwie ciemne postacie stały nad trzecią, leżącą na pryczy.

– Panie majorze!

Paweł westchnął z ulgą, gdy zobaczył salutującego Tadeusza. Potem przeniósł wzrok na młodą kobietę, która oczyszczała ranę na ramieniu Michała.

Starszy brat próbował wstać, ale Metody pchnęła go z powrotem na pryczę i powiedziała coś przykrego, więc jedynie zsalutował na leżąco i serdecznie przeprosił.

– W porządku – powiedział Paweł. – Jak rana?

– Powierzchnowa – zapewnił Michał. – Błahostka.

– Sięga do kości – zaoponowała Metody.

– Tylko dlatego, że jestem „skóra i kości” – jak mawiała mama. To naprawdę nic groźnego.

– Leż spokojnie! – rozkazała Metody. Tadeusz wybuchnął śmiechem.

– Jest dobra, prawda, panie majorze?

Paweł przytaknął, potem zwrócił się do dziewczyny:

– Widzę, że już wcześniej przyżęgałaś rany. Metody wzruszyła ramionami.

– Konwój z rannymi już wyruszył – powiedział Paweł do Michała – ale spróbuję jakoś cię do nich podesłać.

– Nie, panie majorze... błagam! Dosiądę konia. Nic mi nie będzie, naprawdę!

– Zobaczymy.

– Ale, panie majorze...

– Żadnych kłótni, Michale! Zobaczymy, jak się będziesz czuł jutro. Mam świeże wieści.

– Daliśmy im łupnia! – krzyknął Tadeusz. – Czy może być lepsza wiadomość? Ich straż związała jak banda pijanych kozaków!

– Wcześniej jednak nieźle dali się nam we znaki, czego przykładem jest Jan Michał. Pamiętaj o tym, Tadku. Podczas wojny wszyscy tracą. I nigdy nie lekceważ kozaków.

– Tak jest, panie majorze!

– Posłuchajcie, z czym przyszedłem. Młoda gwardia zostaje z marszałkiem Mortierem, by wysadzić Kreml i jego arsenał. Znajduje się tam sześćdziesiąt tysięcy rosyjskich karabinów, których nie chcemy zostawić Rosjanom, bo mogliby użyć ich przeciwko nam.

– Dobry Boże! – Tadeusz gwizdnął. – Kreml... Czeka nas świetna zabawa!

– To obowiązek, Tadziu.

– Tak jest, sir. Obowiązek i przyjemność.

– Kiedy zadanie zostanie wykonane, młoda gwardia dogoni resztę i będzie stanowić tylną straż.

Metody wzięła miednicę i z ponurą miną poszła do małej kuchni, by zająć się dzieckiem. Paweł widział ostatnio, że popłakiwała po kątach, i zaczął coś podejrzewać.

– Michale – spytał – nie... nie zakochałeś się? – Skinieniem

głowy wskazał na Metody.

– Nie – zapewnił Michał. – Absolutnie! Paweł spojrzał pytająco na Tadeusza.

– A ty?

– Nie. – Chłopak wybuchnął śmiechem. – Jest dla mnie za stara, poza tym ma męża.

– W takim razie skąd te łzy?

– Boi się – wyjaśnił Tadeusz.

– Bliższe prawdy byłoby stwierdzenie, że jest przerażona, panie majorze – uściślił Michał. – Przy nas czuje się bezpieczna, ale jest przekonana, że kiedy opuścimy wieś, zginie wraz z dzieckiem, jeśli nie z ręki kozaków albo rosyjskich żołnierzy, to wieśniaków, którzy już wcześniej... uważali ją za przybłędę.

Paweł chętnie powiedziałby, że to niemożliwe... ale nie mógł: Metody rzeczywiście znalazła się w niebezpiecznej sytuacji. Patrzył, jak młoda kobieta wyjmuje niemowlę z grubo ciosanej kołyski.

– Chce jechać z nami.

– Do Polski?

Jan Michał przytaknął.

– A co z jej mężem?

– Wszystko wskazuje na to, że nie żyje. Metody bardziej myśli w tej chwili o swoim dziecku, majorze.

Paweł przez chwilę się zastanawiał.

– Może uda się nam umieścić ją na jakimś wozie. Jest dobrą kucharką i pielęgniarką, więc powinna się przydać. – Oblicza obu chłopców wyraźnie się rozjaśniły. – Czy – spytał Paweł, mrugając okiem – zaproponujecie mi jakąś wódkę? Dopiero po drugim kieliszku wyjawiał pozostałe nowiny.

– Od jutra nie będę już dowodził młodą gwardią – powiedział.

Chłopcy byli zaskoczeni.

– Na czas odwrotu sił Napoleona przydzielono mnie do przedniej straży.

Paweł zauważył, że chłopcy nie byli z tego zadowoleni, obaj jednak szybko pogodzili się z sytuacją. Jak to w wojsku.

– Przechodźcie pod rozkazy majora Mortiera. Michał spokojnie skinął głową, Tadeusz zaś powiedział:

– Tak jest, sir!

Zmienili temat rozmowy, udając, że nic się nie stało. Po trzecim kieliszku wódki Paweł opuścił chatę. W drodze powrotnej do swojej kwatery ze smutkiem myślał o tym, że zawiódł Jana i Annę. Starał się zachować dotychczasową pozycję, ale Poniatowski powiedział mu, że sam Napoleon ucieszył się, gdy ujrzał nazwisko Pawła na liście proponowanych dowódców. Przypomniawszy sobie podkomendnego z czasów, kiedy Jan i Paweł pokazywali mu okolice Poznania. Rzeczywiście cesarz miał zdumiewającą pamięć.

Potecki wmawiał sobie, że obaj chłopcy wyrosli na dobrych i dzielnych żołnierzach. Stopniowo przekazywał im swoją wiedzę, a oni szybko się uczyli. Udało mu się skutecznie wykorzystywać zmysł taktyczny Michała, nieco gorzej radził sobie z porywczością Tadka. Nie mógł jednak być aniołem stróżem do końca ich kariery wojskowej. Walcząc o niepodległą Polskę, podążali za marzeniami Jana i Anny sprzed dwudziestu lat. Z pewnością obaj dorośli do tego wyzwania. Nadszedł czas, by sokoły wypuścić na wolność – a stanie się tak na żądanie samego cesarza.

Boże, pozwól im zaznać chwały na polu walki i długiego życia!

– Brak wieści to dobre wieści – powtarzał arcybiskup Pradt gościom, którzy pytali, czy ma jakieś informacje z frontu. –

Jesteśmy tu, żeby tańczyć... i miło spędzać czas!

– Znow nie ma nic do powiedzenia – szepnęła Anusia Potocka, gdy z Anną czekały na swoją kolej w szeregu gości.

– Przynajmniej się do tego przyznaje – odparła Anna. – Musisz to przyznać.

– Czemu bierzemy udział w jego przyjęciach?

– W nadziei, że w końcu nadejdą jakieś wieści.

– Wiem, wiem. Och, Aniu, oboje z Janem musicie odchodzić od zmysłów.

Chociaż od wielu tygodni do Warszawy nie docierały żadne meldunki, arcybiskup wciąż organizował wystawne przyjęcia. Czyżby Napoleon zaczął wysyłać swoje biuletyny bezpośrednio do Paryża? A może ginęły po drodze? Większość ludzi wierzyła w tę drugą możliwość. Krążyły plotki o torturowaniu i mordowaniu kurierów.

Anna i Anusia podeszły bliżej.

– Co się stało? – spytał arcybiskup z udanym przerażeniem, witając Anusię. – Księżno, dlaczego ubrała się pani na przyjęcie w czerń? Czy zebraliśmy się tu, by czuwać przy zwłokach? Albo wziąć udział w pogrzebie?

Anusia przywołała na usta wymuszony uśmiech.

– To moja ulubiona suknia.

– Ratują panią diamenty – powiedział, po czym skupił uwagę na Annie. – Twoja zielona suknia, hrabino, też jest ciemna, chociaż pięknie się mieni.

Anna dygnęła. Jej niechęć do małego arcybiskupa już jakiś czas temu przerodziła się w antypatię.

– Czy jest z wami Maria? – spytał Pradt.

– Nie – odparła Anna. – Źle się czuje.

– Idę o zakład, że za dużo czasu spędza w szpitalu. Z tego, co słyszałem, wy też.

– Niech Wasza Eminencja nie wierzy plotkom – odparła Anna, niezadowolona, że arcybiskup wykazuje taki brak

wrażliwości. – Proszę przyjść i osobiście sprawdzić.

Anna i Anusia się oddaliły, a arcybiskup z kwaśną miną witał następnych gości.

– Niech Bóg cię błogosławi, Aniu – szepnęła Anusia. – Nie zaszkodziłoby, gdyby wlał w serca rannych choć odrobinę swojego fałszywego entuzjazmu. Usiądźmy tutaj. Sądysz, że dziś wieczorem ktoś będzie tańczył?

– Wątpię, chyba że przywiozą pacjentów ze szpitala. Poza tym nikt nie ma ochoty na zabawę.

Warszawę spowiła ciemność ponura jak czarna krepa. Szpitale zapełnili ranni pod Wilna, Smoleńska i Borodina. W ciągu dnia byli zdumiewająco twardzi i odważni, jednak przez sen głośno krzyczeli, oplakując zabitych oraz rannych towarzyszy broni, którzy zostali na polach bitew. Ze słów żołnierzy wynikało, że obfitsze żniwo od wszelkich walk i potyczek zbierały choroby. I bunt rosyjskich wieśniaków – nie Kozaków, lecz zwykłych chłopów od pokoleń bezwzględnie wyzyskiwanych przez swoich władców, a teraz dodatkowo rozdrażnionych niebywałym zamętem, jaki wywołały przemieszczające się armie. Dlatego bezlitośnie mordowali żołnierzy. Wyłupiali im oczy. Wrzucali do kotłów z wrzącą wodą albo miażdżyli kręgosłupy.

Kiedy przestały nadchodzić biuletyny Napoleona, Warszawa i cała Polska wstrzymały oddech. Wraz z obawami o losy ojców, braci i synów pojawiły się obawy o przyszłość ojczyzny; szerzyły się także różne plotki i spekulacje. Polska wyobraźnia nie znała granic. „Brak wiadomości wcale nie jest dobrą wiadomością” – pomyślała Anna, słuchając dźwięków poloneza. W ostatnim liście do Marii Napoleon napisał, że nie chce, by przyjeżdżała do Moskwy. Anna doszła do wniosku, że to jedynie potwierdza powszechną opinię, iż Francuzi są w odwrocie. I że wisi nad nimi widmo klęski.

Obok Anny i Anusi pojawiła się Zofia. Miała na sobie

śliczną, ciemnoczerwoną atłasową suknię z dużym dekoltem.

– Witaj, Aniu! Anusiu, cieszę się, że cię widzę. Od dłuższego czasu nie bywałam na przyjęciach Pradta.

Po chwili wszystkie trzy panie ze zdumieniem obserwowały, jak jakiś osiemdziesięciolatek wprowadza na parkiet młodą kobietę.

– Pradt bez wątpienia przez cały czas trzyma ich na muszce – zauważyła Anusia.

– Och, ten Pradt! – burknęła Zosia. – Ma chyba nocnik zamiast głowy!

Anusia wybuchnęła śmiechem, lekkim skinieniem wskazując dziwną parę na parkiecie.

– Wątpię, czy ten stary cap utrzyma się na nogach do końca tańca.

– Ciii... – syknęła Anna. – To mąż Marii.

– Były mąż Marii – poprawiła ją Zofia.

– Mój Boże! Masz rację, Aniu! – zawołała Anusia, zasłaniając ręką usta. – Tylko spójrzcie na jego chude nogi.

Po jakimś czasie Zofia zaczęła się niecierpliwić. Pożegnała się ze wszystkimi – oprócz Pradta – i wyszła z przyjęcia.

– Po raz pierwszy widzę Zofię od pogrzebu – powiedziała Anusia. – Bardzo ciężko przeżyła śmierć Charlotte. Dziś wieczór ani razu się nie roześmiała, nawet się nie uśmiechnęła.

– Na tym nie koniec, Anusiu.

Anna natychmiast pożałowała własnych słów. Od lat starała się uważać na to, co mówi, jednak od czasu do czasu zdarzało jej się powiedzieć więcej, niż chciała.

– Co się stało? – naciskała Anusia. – Co miałaś na myśli? Powiedz!

– Pod warunkiem, że zachowasz to w tajemnicy. Jeśli Zofii będzie zależało, żebyś o tym wiedziała, sama ci powie.

Anusia przyrzekła milczenie i Anna wyjaśniła:

– Dzisiaj w obecności Zofii odczytano testament Charlotte. Anusia gwałtownie nabrała powietrza w płuca.

– Ach!?!... Nie dostała żadnych diamentów, prawda? Anna potrząsnęła przecząco głową, po czym dodała:

– Ani *château* w Bretanii.

– Co w takim razie dostała?

– Nic.

Anusia oniemiała.

– Nic? Dobry Boże, wydawało mi się, że Charlotte nie ma na świecie nikogo oprócz Zofii.

Anna nie mogła dłużej trzymać przyjaciółki w niepewności.

– Miała osobę, którą traktowała jak wnuczkę. Anusia natychmiast zrozumiała i westchnęła z ulgą.

– Izabelę?! Anna przytaknęła.

– Wszystko przypadło Izie.

– Wszystko? – Anusia nie kryła zaskoczenia. Nabrała tchu i orzekła: – Cóż, przynajmniej fortuna zostaje w rodzinie, ale Zofia pewnie czuje się, jakby ktoś wbił jej nóż w plecy.

– Na razie tak to wygląda. Można powiedzieć, że to broń obosieczna.

– Co masz na myśli? – spytała Anusia.

– Wcześniej należałoby odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Charlotte zostawiła takie właśnie dyspozycje.

– Zamieniam się w słuch.

– Zofia chciała wydać Izę za księcia Adama Czartoryskiego.

– Przecież on mógłby być jej ojcem... poza tym sama kiedyś próbowała doprowadzić go do ołtarza, prawda?

– Owszem, próbowała, wiele lat temu – odparła Anna. – Problem w tym, że chociaż książę jest zatwardziałym kawalerem, podobnie jak większość mężczyzn o jego statusie, chciałby zostawić po sobie potomstwo. W tej sytuacji piękna Iza – młodziutka dziewczyna o ciemnych włosach, niebieskich

oczach i alabastrowej cerze – miałyby duże szanse zawrócić mu w głowie.

– W porządku, przyjmijmy, że to prawda. Co w takim razie chciała osiągnąć Charlotte?

– Nie rozumiesz? Nie chciała, żeby Zofia decydowała o przyszłości swojej córki. Dzięki fortunie odziedziczonej po Charlotte Iza nie będzie musiała zawierać małżeństwa zaaranżowanego przez matkę.

– Teraz rozumiem! – Anusia westchnęła. – Charlotte posłużyła się niezłą sztuczką, na dodatek z za grobu. Wszyscy zawsze sądzili, że Zofia jest bardzo sprytna. Musi być zła jak osa.

– Mam nadzieję, że to minie – powiedziała Anna. – Powinna wiedzieć, jak niebezpieczne są małżeństwa zaaranżowane przez rodziców.

Anusia wzruszyła ramionami.

– Wyszłam za mąż za człowieka, którego wybrała dla mnie rodzina, i wcale się nie skarzę.

– Moje pierwsze małżeństwo też zostało zawarte w taki sposób, ale ułożyło się bardzo źle, wręcz fatalnie! Tylko proszę, Anusiu, nie daj po sobie poznać, że coś o tym wiesz.

– Obiecuję. Ja również muszę ci zdradzić pewien sekret. Któregoś razu Zofia po kieliszku wygadała się, że nigdy nie wybaczy królowi Stanisławowi Poniatowskiemu, iż przyznał ci tytuł księżnej. Na pewno wiesz, że miała romans z królem. Przypuszczam, że zabiegała o względy Czartoryskiego, bo była zazdrosna o twój tytuł. Gdyby udało jej się doprowadzić go do ołtarza, też byłaby księżną! Uważam, iż teraz jesteśmy kwita. Sekret za sekret. Nie sądzisz, że pora stąd wyjść?

– Masz rację.

Anna wstała, nie mówiąc przyjaciółce, że zazdrość Zofii nie była dla niej żadną tajemnicą.

Listopad 1812

Michał obserwował Metody, która zajmowała się dzieckiem, kiedy usłyszał zgiełk na zewnątrz chaty. Gdy stwierdził, że jeden z dwóch podniesionych głosów należy do Tadka, wyszedł zorientować się w sytuacji.

– Zrobisz to! Zrobisz to! – krzyczał Tadeusz po rosyjsku. Miał rozpaloną twarz.

Brodaty Rosjanin mocował brezent, który przykrywał zawartość wozu. Mężczyzna mógł mieć około pięćdziesiątki.

– Za nic w świecie – powiedział, odpychając Tadeusza na bok jak uprzykrzoną muchę.

– Musisz – nalegał Tadeusz. – To rozkaz!

Michał zauważył, że Tadeusz sięga po szablę, więc podszedł szybkim krokiem i położył dłoń na ramieniu brata, chcąc go powstrzymać.

– O co chodzi? – spytał, rzucając bratu ostrzegawcze spojrzenie.

– O nic – odparł Rosjanin, podchodząc do obu braci. – Nikt nie pojedzie moim wozem.

Mężczyzna był potężnie zbudowany i o głowę wyższy od Michała.

– Nie chce zabrać Metody i dziecka – wyjaśnił Tadeusz.

– Tadziu, rozejrzyj się wokół. Wszędzie stoją wozy.

– Tak, ale we wszystkich są już pasażerowie!

– Rozumiem – powiedział Michał, oceniając sytuację. – Tadziu, Metody przydałaby się twoja pomoc.

– Nie chrzań, dobrze? Nie mam zamiaru...

– Tadziu! – Michał obniżył głos i przeszedł na polski. – Pozwól, że ja się tym zajmę.

Tadeusz próbował dalej się kłócić, ale Michał rzucił mu

ostrzegawcze spojrzenie, które od razu uciszyło brata. Zerknął na chłopca i zrezygnował z próby zmuszenia go do posłuszeństwa. Ponownie popatrzył na brata, westchnął i poszedł w stronę chaty.

Michał obdarzył Rosjanina wymuszonym uśmiechem.

– Mój brat jest czasami w gorącej wodzie kąpany.

Nie posługiwał się rosyjskim tak dobrze jak Tadek, ale bez kłopotów mógł się nim porozumieć.

Mężczyzna wzruszył ramionami i nadal patrzył wilkiem, mimo to Michał nie dawał za wygraną.

– Widzę, że ma pan dwa silne konie – powiedział. Rosjanin burknął pod nosem coś, czego Michał nie zrozumiał.

– Ilu będzie pan miał pasażerów?

– Jednego.

– Czyli siebie?

– Tak.

– To dobrze. Mamy tutaj młodą matkę z dzieckiem. Nie zajmą dużo miejsca.

– W moim wozie na pewno.

– Jak masz na imię?

– Oleg.

– Oleg, piękne imię. Ja jestem Jan. Czy mój brat, Tadek, wyjaśnił ci rozkazy cesarza?

– Wasz cesarz nie jest moim cesarzem. – Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo. – Nie słucham jego rozkazów.

– Rozumiem. Co wiesz?

– To moja sprawa.

Michał obszedł wóz, unosząc gdzieś tam brezent i zaglądając do środka. Zobaczył pozłacane francuskie biurko i inne meble, a także malowidła, futra i brokaty.

– To wszystko z twojego domu? Mężczyzna szedł krok w krok za nim.

– Być może.

- Widać jesteś bardzo bogaty.
- To moja sprawa.
- Co oznacza numer 142 namalowany na boku?
- Wszystkim wozom namalowano numery.
- To znaczy, że jesteś obecnie pod auspicjami Francuzów?
- Auspicjami?
- Pod opieką.

Mężczyzna stanął. Jego twarz niczego nie wyrażała.

– Mój brat usiłował ci powiedzieć, że według rozkazu Napoleona każdy pojazd musi zabrać przynajmniej dwóch cywilów lub rannych.

Kiedy Oleg nie reagował, Michał dokończył:

– Może nie zdążył ci przekazać, że pojazd, który nie zastosuje się do tego rozkazu, natychmiast zostanie spalony. Kiedy spojrzysz na stojące tu wozy, zobaczysz, że w każdym są jacyś pasażerowie. Jeśli naprawdę zależy ci na tych pięknych przedmiotach, zabierzesz jutro kobietę i dziecko.

Mężczyzna przygryzł dolną wargę. Został zapędzony w kozi róg i zdawał sobie z tego sprawę. Po długiej chwili niemal niedostrzegalnie kiwnął głową.

– Wspaniale! Zatem umowa stoi. Rosjanin ponownie niechętnie przytaknął.

– Masz się dobrze opiekować tą dwójką. Jeśli dowiemy się, że z twojego powodu przydarzyło im się coś złego, przyjacielu, znajdziemy cię obaj z bratem i pokażemy, co potrafi polska lanca. – Michał wyszczerzył zęby w promiennym uśmiechu. – Wtedy na własnej skórze się przekonasz, jak czuje się świnia, nim ktoś przerobi ją na kiełbasę.

Tym razem mężczyzna był wyraźnie zaszokowany.

– Tak jest, żołnierzu!

Michał z uśmiechem skierował się w stronę chaty. Widocznie groźba nawet po przetłumaczeniu na rosyjski nie

straciła na sile.

Nazajutrz, dziewiętnastego października, trzon armii francuskiej opuścił Moskwę. Paweł wiedział, że słowo „odwrót” stanowi tabu. Plan przewidywał połączenie się ze znacznymi siłami pozostawionymi w Smoleńsku. Panowały tam dobre warunki, jedzenia nie brakowało, była więc szansa, że Napoleonowi uda się w następnym z „Bulletins de la Grande Armee” wysmażyć z nędznych ochłapów, z którymi wracali, smakowitą pieczeń. Co dziwne, Bonaparte nie kazał swoim żołnierzom redukować bagażu, więc wojska wyruszyły, dźwigając tyle łupów, ile dało się zabrać. Armia bardziej przypominała Izraelitów uciekających z Egiptu niż żołnierzy.

Trasę przemarszu do Smoleńska trzymano w tajemnicy. Paweł przypuszczał, że wybiorą szlak południowy, żeby nie wracać drogą, która wcześniej została ogołocona z wszelkich zapasów. Byłby to mądrzejszy wybór.

Wielka Armia poruszała się niczym wielki żółw. Dwudziestego trzeciego października generał Kutuzow odważnie ruszył za Francuzami i zagroził im drogę pod Małojarsławcem. Następnego dnia Rosjanie i Francuzi stoczyli krwawą bitwę, podczas której kontrola nad miastem siedmiokrotnie przechodziła z rąk do rąk. Według Pawła było to jedno z najbardziej krwawych starć całej kampanii. Koniec końców włoskie korpusy pokonały Rosjan. W czasie kiedy Francuzi lizali rany, Napoleon spotkał się ze swoimi dowódcami. W rezultacie generalicja zdecydowała się na północną, pozbawioną zapasów trasę do Smoleńska, co niesłychanie zaskoczyło Pawła. Nie mógł tego zrozumieć. Żywność w tamtych okolicach dawno się skończyła, a zapasy armii były na wyczerpaniu. Dotychczas żołnierze dzielili się swoimi racjami i dodawali mąkę do wspólnej zupy, teraz

jednak każdy zaczął gromadzić najmniejszą nawet odrobinę mąki, ryżu, sucharów czy ziemniaków. Zupa składała się więc tylko z końskiego mięsa, które stanowiło jedyne dostępne pożywienie.

Rosyjskie składy amunicji i wojskowe baraki wyleciały w powietrze. Michał i Tadeusz pomagali zakładać lonty i teraz byli zachwyceni rezultatami swojej pracy. Zniszczono tysiące karabinów, których rosyjscy możnowładcy nie ośmielili się oddać w ręce pospólstwa w słusznej obawie, że biedota skieruje je przeciwko szlachcie, która uciskała ją od pokoleń.

– Co dalej? – spytał Tadek.

– Otrzymaliśmy rozkaz: mamy szukać zapasów.

Bracia znajdowali się na jednej z ulic, których nie strawił pożar. Wszędzie widać było młodych gwardzistów, którzy wykonywali to samo zadanie.

– Zostały nam jeszcze zabudowania Kremla – jęknął Tadeusz. – Wiesz równie dobrze jak ja, że one także miały wylecieć w powietrze.

– Też tak mi się wydawało. Widocznie plany uległy zmianie.

– Nieprawda. Słyszałeś, co mówił Paweł przed odjazdem? Młoda gwardia została wyznaczona przez cesarza do zniszczenia Kremla.

– Jesteś rozczarowany? – spytał Michał.

– Do licha, oczywiście! Nie mogłem się doczekać, kiedy ujrzę popioły i zgliszczą. Pożar, który zaćmi słońce. Nie sądzę, by Napoleon wycofał rozkaz.

– Myślisz, że to sprawka generała Mortiera?

– Tak.

– Uważasz, że z całą premedytacją łamie rozkaz cesarza? Dlaczego miałyby to robić? Sam przyznasz, że potrzebne nam zapasy na długą wędrówkę do Smoleńska czy do miejsca, w

którym będziemy zimować.

– Zgadzam się. Uważam jednak, że możemy i zgromadzić zapasy, i wysadzić pałac w powietrze. Posłuchaj: może byśmy tam podjechali i założyli materiały wybuchowe? Zróbmy to, Michałku. To nasza szansa!

– Zaczekaj! – Michał zorientował się, że brat nie żartuje. – Tadziu, kto ucierpi, jeśli zniszczymy Kreml?

– Jak to kto? Rosjanie.

– Owszem, ale nie przywódcy narodu. Ani wojskowi. Pomyśl chwilę. Ucierpi lud: zapłaci za to podatkami i plecami przygiętymi do ziemi.

– Kto by się tym przejmował!

Tadek ruszył ulicą, która prowadziła w stronę Kremla. Michał musiał przyspieszyć kroku, żeby dogonić brata.

– Łamiesz rozkazy!

– Nie cesarza, a tylko one się liczą. Nie zdajesz sobie sprawy, że być może jedynie my dwaj o nich wiemy? Dlatego do nas należy wysadzenie Kremla. Gdyby Paweł nas w to nie wtajemniczył...

– Zatrzymaj się! – krzyknął Michał, chwytając brata za ramię. – I posłuchaj. Pamiętasz, co mama opowiadała nam o masakrze i zniszczeniu Pragi w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku?

– Oczywiście; jeszcze jeden powód, żeby to zrobić.

– Wcale nie. Warszawa ocalała. Zamek Królewski wciąż stoi na swoim miejscu, Kolumna Zygmunta również! Rosjanie mogli zniszczyć miasto. Kiedy potem Warszawę opuszczali Prusacy, też zostawili ją niezniszczoną. Czasami może się wydawać, że wojna nie zna granic, Tadku, ale to nieprawda. Nieprawda!

Tadek długo myślał, wpatrując się nieruchomo w brązowe oczy Michała.

Wtedy Michał zadał decydujący cios.

– Co zrobiłaby mama, Tadziu?

Chłopak dał się zaskoczyć. Zamrugał powiekami, a na jego twarzy pojawiło się napięcie.

– Do licha, Michale, nie mieszaj jej do tego!

– Dlaczego? Czy po fakcie opowiedziałbyś jej z dumą o swoim czynie? Jesteś tego pewien? Myślisz, że ucieszyłaby się na wieść o zniszczeniu wspaniałego zabytkowego kompleksu budynków?

Tadeusz cofnął się.

– Sama podpaliłaby lonty.

– Nieprawda!

Młodszy brat wybuchnął śmiechem.

– Masz rację, ale uważam, że wciąganie w to mamy było ciosem poniżej pasa, dlatego musiałem jakoś skontrolować. W porządku, Michale, wygrałeś. Chodźmy po te cholerne zapasy.

Michał uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Tamten budynek wygląda, jakby jeszcze nikt go nie przeszukiwał. Zajrzyjmy do niego.

– W porządku, ale muszę powiedzieć, że mama nie pochwaliłaby cię za tych trzech kozaków, z którymi rozprawiałeś się kilka dni temu.

– Jesteś w błędzie. Gdyby była mężczyzną, służyłaby w przedniej straży.

Tadeusz ponownie głośno się roześmiał i otoczył brata ramieniem.

– Czyż armia króla Zygmunta nie zajęła Moskwy?

– Owszem, podbiła ją w tysiąc sześćset dziesiątym roku i przez dwa lata trzymała miasto w swoich rękach.

– Spisała się lepiej niż Napoleon. Michał przytaknął.

– Jednakże Rosja to twardy orzech do zgryzienia.

Dwudziestego trzeciego października młoda gwardia wycofała się z Moskwy, zostawiając Kreml nietknięty.

Wioząc spore zapasy żywności, ruszyła trasą przetartą przez Wielką Armię. Nie mogli zbłądzić, bo drogi i pola były zasłane porozbijanymi wozami i porzuconymi łupami, wśród których nie brakowało obrazów, książek i sreber, zbyt ciężkich do dźwigania. Mortier oświadczył, że każdy żołnierz przyłapany na gromadzeniu łupów zostanie rozstrzelany. Michał kazał Tadcowi wypatrywać porzuconego wozu z numerem 142, jednak nigdzie nie było go widać. Starszy z braci modlił się, by Metody i jej dziecko ocaleli.

Młoda gwardia połączyła się z głównymi siłami w Małojarostawcu dwa dni po bitwie. Żołnierze byli zaskoczeni widokiem siedmiu tysięcy poległych towarzyszy broni i niemal tyluż zamordowanych żołnierzy wroga w pobliżu miasta. Szkarłatne plamy znaczyły ich mundury, pozbawione życia twarze, a nawet ziemię.

Młoda gwardia nie mogła sobie ani generałowi Mortierowi darować spóźnienia. Napoleon ucieszył się na ich widok. Michał nigdy się nie dowiedział, czy Mortier poinformował Napoleona, że oszczędził Kreml.

Późną nocą Michał wrócił do obozu młodej gwardii.

– Znalazłeś Metody? – spytał Tadeusz.

– Dzięki Bogu, tak. Wóz jest w niezłym stanie. Oleg wyraźnie zredukował swój ładunek, ale wydaje się, że całkiem poważnie potraktował moje groźby. Metody miewa się dobrze. Zostawiłem im tyle jedzenia, ile miałem przy sobie, głównie suchary. – Westchnął. – Jednak była przygnębiona, gdy zauważyła, że ona i dziecko mają wszy.

– Dobry Boże, wyobrażam to sobie! W jej chatce wszystko lśniło jak złote guziki na generalskim mundurze.

– Możliwe, że złapali robactwo od Rosjanina; to straszny brudas.

Michał długo otulał się kocem. Myślał, że Tadek zasnął, ale

po chwili padło pytanie:

– Lubisz ją, Michałku, prawda?

Michał spojrział na bezchmurne niebo, pokryte tysiącem gwiazd.

– Tak.

– Bardzo?

– Bardzo, Tadek.

Potem żaden z nich już się nie odezwał. Wkrótce Tadek zaczął spokojnie oddychać, co świadczyło, iż zmorzył go sen. Michał nie mógł zasnąć. Martwił się, że kiedy rankiem Wielka Armia wyruszy w drogę, ogromna masa wozów i ich pasażerów – wśród nich Metody – zostanie daleko w tyle. Zastanawiał się, czy jeszcze kiedyś ją zobaczy.

Wielka Armia zwiększyła tempo marszu i w ciągu zaledwie dwóch dni pokonała osiemdziesiąt kilometrów dzielących ją od Możajska. Następnego dnia trasa przemarszu wiodła przez Borodino. Paweł nie mógł zrozumieć, dlaczego wybrano trasę oczyszczoną z zapasów, ale wręcz osłupiał, gdy się zorientował, że nie pomyślano o tym, by ominąć pola bitwy pod Borodinem. Zniszczenia wojenne pozostawione przez armię, która zaledwie kilka tygodni temu wędrowała tędy w stronę Moskwy, szokowały podczas odwrotu; nikt nie był w stanie oderwać od nich wzroku. Widok i fetor trzydziestu tysięcy ciał porozrywanych przez wilki i kruki łamały ducha w szeregach armii. Mimo to Potecki był zadowolony, że młoda gwardia może na własne oczy się przekonać, iż wojna to nie tylko odwaga i chwała. Wygłodniała i obdarta armia posuwała się do przodu; szła przez Gżack, a pod koniec października dotarła do Wiążmy. Podczas przeglądu okazało się, że z dziewięćdziesięciu sześciu tysięcy żołnierzy, którzy dotarli do Małojarostławca, zostało sześćdziesiąt pięć tysięcy.

Nie ustawały ataki partyzanckie kozaków i band chłopskich

na wlokących się w tyle maruderów, ale armia rosyjska pozwalała Wielkiej Armii Napoleona posuwać się na zachód. Jednocześnie na ich spotkanie wyruszyła inna potęga. Piątego listopada, zanim wojska francuskie dotarły do Smoleńska, zaczął prószyć śnieg. „Dał o sobie znać generał Zima” – jak powiedział Napoleon. Dwa dni później rozpętała się burza śnieżna, a drogi pokryły się lodem.

Tysiące koni bez zimowych podków ślizgało się i przewracało, inne padały z głodu, wyczerpania i zimna. Na wielokilometrowej trasie prowadzącej do Smoleńska żołnierze i maruderzy utrzymywali się przy życiu dzięki końskiemu mięsu i zupie z krwi.

Dziewiątego listopada, kilka godzin po wkroczeniu do Smoleńska, Paweł wybrał się na poszukiwanie Michała i Tadeusza. Młoda gwardia została zakwaterowana w przepelnionej stodole. Tadeusz był wychudzony i miał ziemistą cerę.

– Jadłeś już coś, Tadku?

– Tak, zaraz po przybyciu.

– Co wam dano?

Tadeusz zdobył się na blady uśmiech.

– Końską wątrobę, a do picia śnieg.

Paweł odpowiedział takim samym uśmiechem.

– To przynajmniej pozwoli wam utrzymać się na nogach, prawda? Gdzie jest Michał?

– Szuka Metody. Majorze, czy będziemy tu zimować?

– Poprzednio było to całkiem możliwe, ale w tej chwili wydaje się nierealne. Zapasy w mieście zostały znacznie uszczuplone, a właśnie dostaliśmy informację, że Rosjanie nie zostawią nas w spokoju. Liczebność ich armii wciąż się zwiększa, podczas gdy nasza... sam widziałeś efekty przemarszu: coraz mniej ludzi i niemal całkowity brak dyscypliny.

– Jak długo tu zostaniemy?

– Najwyżej dwa, trzy dni. Wywiad donosi, że wróg ma zamiar zaatakować nas podczas przeprawy przez Dniepr i Berezynę.

Niektórym wozom podążającym śladem wojska udało się dotrzymać kroku armii. Michał odnalazł Metody w pobliżu bramy miejskiej. Siedziała oparta o zniszczoną, walącą się ścianę.

– To ty, Metody?

Gdyby nie miała na rękach dziecka, nie zwróciłby na nią uwagi, tak bardzo zmienił się jej wygląd. Była śmiertelnie chora.

– Metody! – zawołał ponownie.

Uniosła głowę, ale chyba go nie poznała. Jej urocza niegdyś twarz przypominała czaszkę obciągniętą skórą. Michał przykleknął obok niej.

– Zabiorę cię do szpitala, Metody. Słyszysz? Zachowywała się tak, jakby go nie widziała. Podciągnęła kolana i mocniej objęła dziecko. Opatulony szkrab nie wydał żadnego odgłosu ani się nie poruszył.

– Czy Nelek dobrze się czuje? – spytał Michał. Próbował odsunąć rożek koca, który okrywał twarz malca.

Metody się cofnęła, ale Michał zaczął ją uspokajać i nalegać, żeby pozwoliła mu zobaczyć dziecko.

Było tak, jak się obawiał: maleństwo nie żyło; Michał aż cofnął się na jego widok. Ciemna, niemal granatowa skóra była pokryta wrzodami. Chłopczyk zamarł z uniesioną piąstką, jakby złorzeczył losowi. Metody tuliła dziecko, które zmarło chyba już kilka dni temu.

Michał nie próbował odbierać Metody synka, jedynie chciał postawić ją na nogi. Kiedy się broniła, rozchylił się kawałek

futra, który okrywał stopę – była częściowo odmrożona.

– Musimy iść do szpitala, Metody.

Młoda kobieta odmówiła i stawiała opór z zaskakującą siłą. Przestał się więc z nią szarpać. Spojrzał na nią... a ona na niego. W tym momencie nabrał pewności, że go rozpoznała i wszystko zrozumiała. Położyła się jednak na boku i zwinęła w kłębek, przytulając do piersi martwe dziecko. Poddawała się przeznaczeniu.

Powiadano, że śmierć przez zamrożenie jest spokojna:

po prostu człowiek zasypia. Wydaje się nawet niemal przyjemna. Michał odwrócił się i pobiegł po pomoc. Sporo czasu zajęło mu znalezienie szpitala i przekonanie sanitariusza, żeby poszedł z nim do chorej. Zanim we dwóch dotarli na miejsce, Metody zapadła w sen i nie można jej już było obudzić. Ktoś ukradł okrycie z jej nóg.

– Za późno – oznajmił sanitariusz.

– Nieprawda! – krzyknął Jan Michał. – Zabierzmy ją do szpitala!

Sanitariusz z dużym wahaniem pomógł Michałowi zawinąć dziewczynę w koc, który ze sobą przynieśli.

W szpitalu panował chaos. Michał wywalczył miejsce dla Metody. Przydzielono mu wąski kawałek podłogi pod ścianą. Sanitariusz miał rację, bo Metody nie była jedyną osobą, którą widział w takim stanie. Michał siedział obok niej i od czasu do czasu próbował ją obudzić, ale wczesnym rankiem dziewczyna zmarła.

– Za murami jest rów – usłyszał od lekarza. – Proszę zanieść tam jej ciało. Francuscy żołnierze wykopali go przed wyruszeniem na Moskwę. Nie wiedzieli, jakim celem będzie służył.

Michał znalazł rów, który miał kilkaset metrów długości i do połowy był wypełniony ciałami zamrożonymi w przedziwnych pozach. Chłopak złożył martwą dziewczynę, po

czym dał jej z powrotem dziecko na ręce i owinał oboje skradzionym szpitalnym kocem. Zmówił krótką modlitwę i wyszedł z rowu. Pracownik miejski zapewnił go, że nim nastanie zmrok, ciała leżące na wierzchu zostaną przykryte wapnem i ziemią.

– Jest pan pewien? – naciskał Michał, obawiając się, by zwłoki Metody i jej synka nie padły ofiarą kanibalizmu.

– Jestem pewien, żołnierzu.

Michał kiwnął głową i wsunął w dłoń pracownika kilka monet.

– Proszę zasypać ich ciała już teraz.

Kiedy dwunastego listopada po trzydniowym postoju Wielka Armia opuściła Smoleńsk, liczyła zaledwie czterdzieści jeden tysięcy żołnierzy. Zmagając się z zamiecią i oblodzoną drogą, Michał zdał sobie sprawę, że nie może bez przerwy myśleć o Metody, gdy wokół jest tyle zmarłych i umierających. Żeby ujść z życiem, będą musieli obaj z bratem wykazać się niezwykłą wytrwałością, sprytem i determinacją.

Młoda gwardia maszerowała teraz jako straż przednia. Michał i Tadeusz często zsiadali z przemęczonych i niedożywionych koni, by dać im odpocząć. Dzięki temu kawaleria utrzymywała zwierzęta przy życiu znacznie dłużej, podczas gdy większość koni ciągnących wozy i jaszczke zdechła lub została zabita na mięso.

Siedemnastego listopada dziewięćdziesięciotysięczna armia rosyjska przypuściła atak na drodze do Krasnego, rozdzielając Wielką Armię na dwie części i poważnie zagrażając korpusom Beauharnais'go. Napoleon wysłał młodą gwardię na tyły, by odparła atak. Michał i Tadeusz trzymali się blisko siebie, gdy ze wszystkich stron otoczył ich wir walki. Młodzi ludzie znaleźli nagle w sobie ogromne rezerwy energii i męstwa, wydobyli je z miejsc, które jeszcze kilka minut temu wydawały się puste. Wszyscy, podobnie jak Michał i Tadeusz, tęsknili za Polską, chcieli znów objąć matki i siostry. Tęsknili za zwykłym, spokojnym życiem.

Młoda gwardia wjechała na otwarty, zasypany śniegiem teren, na którym leżało mnóstwo Rosjan, najwyraźniej rannych lub martwych. Na umówiony sygnał leżący poderwali się i otworzyli ogień do młodej gwardii, która musiała zawrócić, by otoczyć strzelających. Polacy słyszeli już o takim podstępie Moskali, więc kiedy padli jego ofiarą, z tym większym zapalem rzucili się do walki. W końcu wróg został

pokonany, jednak w potyczce zginęło wielu członków młodej gwardii, przyjaciół Michała i Tadeusza. Ledwo zdążyli ogłosić zwycięstwo, zobaczyli, że stara gwardia, szesnaście tysięcy „nieśmiertelnych”, pędzi na pomoc siłom Davouta zaatakowanym w innym miejscu. Michał odmówił szybką modlitwę za Pawła.

Stara gwardia nie zawiodła, rozbiła Rosjan i – tak jak młodzi – sprostała oczekiwaniom. Następnie armia powlokła się pod Dubrowno, potem dalej na zachód. Ogromną radość wywołało odkrycie, że mosty na Dnieprze nie zostały zniszczone. Po bezpiecznym przekroczeniu rzeki żołnierze Napoleona dotarli do Orszy.

Jedna trzecia armii została w tyle – byli to zmarli lub umierający.

Paweł odnalazł Michała i Tadeusza w dużej stajni, w której zakwaterowano również wielu innych członków młodej gwardii. Wszyscy byli zadowoleni z powodu zwycięstwa nad Rosjanami, wyczuwalnej w powietrzu odwilży i przyzwoitych racji żywnościowych, które obejmowały także odrobinę brandy i wódki.

– Wkraczamy na spokojne tereny Litwy – powiedział Paweł, wznosząc toast w grupie dziesięciu czy dwunastu młodzieńców. – Zostawiamy za sobą Rosjan. Koniec z pałającymi gniewem partyzantami, którzy czyhali na nasze głowy, nie mogąc dorwać się do swoich możnowładców.

Chłopcy wyraźnie się ucieszyli. W czasie marszu mijali francuskich maruderów, którzy leżąc przy drodze, błagali, by skrócić ich cierpienia, zanim dostaną się w ręce ludzkich hien. Rzadko spełniali te prośby.

– A co z kozakami, majorze? – spytał ktoś.

– Ich lance będą nas kłuły nieco dłużej.

– Na szczęście przy takich temperaturach można spać w

nocy bez obawy, że rankiem człowiek już się nie obudzi – zażartował Tadeusz.

Kilku żołnierzy przyznało mu rację.

– Odwilż wcale nie jest taka dobra – powiedział Paweł. – Mieszkańcy Orszy twierdzą, że Berezyna, która zazwyczaj o tej porze jest zamarznięta, odtajała. Jeszcze tydzień temu mogliśmy bezpiecznie przejść po lodzie.

– A co z mostami w Borysowie, majorze? – spytał Michał.

– Nasz wywiad twierdzi, iż Rosjanie dotrą tam przed nami.

– I wtedy je zniszczą – mruknął Michał z ponurą miną. Potecki nie zaprzeczył. Było mu przykro, że przez niego optymizm młodej gwardii znacznie zmalał. Nie powiedział jednak, że są otoczeni przez trzy duże rosyjskie armie, które spychają ich w stronę wzburzonej rzeki. Wkrótce się o tym dowiedzą.

Na przekór wszystkiemu zarządzono długi, męczący marsz do Borysowa – trasa prowadziła przez Tołoczyn i Bóbr. Wielka Armia wędrowała przez gęste brzozowe lasy wyłożoną sosnowymi balami wysoką groblą, którą było widać pomimo śniegu. Wszystko wskazywało na to, że podążają w stronę samozagłady. Napoleon, który jechał kilkanaście kilometrów przed wojskiem, nakazał spalenie wszelkich dokumentów i francuskich trójkolorowych kokard. Podobno wódz uznał, że opuściła go szczęśliwa gwiazda. „To możliwe” – pomyślał Paweł. Bardziej jednak martwił go fakt, że najwyraźniej taktyczny geniusz cesarza rozwiął się w rosyjskim ostrym, lodowatym powietrzu, w obliczu generała Zimy.

Michał i Tadeusz, nieśmiało ponaglając konie i co jakiś czas idąc obok nich, mijali tysiące francuskich żołnierzy – głównie piechurów – wlokących się noga za nogą z pokrytymi szronem twarzami i ubraniami. Drogę coraz bardziej blokowały unieruchomione wozy i zdychające konie. Wojsko

posuwało się coraz wolniej, mimo że temperatura spadła i od północy zaczął wiać lodowaty wiatr. Młoda gwardia została w tyle i była o ponad dzień marszu za legionem Pawła.

– Może powinniśmy odpocząć – powiedział Tadeusz, wskazując grupki mężczyzn, którzy obozowali pod brzoźami, dorzucali do ognisk drewno z połamanych wozów i piekli końskie mięso.

– Nie! – warknął Michał, obawiając się, że ulegnie pokusie.

Miał świadomość, że wielu spośród biwakujących żołnierzy po rozgrzaniu się i napełnieniu żołądków położy się na śniegu i zaśnie, by już nigdy się nie obudzić. Tadeusz spojrział z utęsknieniem na ogniska, ale zgodził się z bratem. Wiedział, że ma rację.

Po dotarciu do Borysowa Paweł się dowiedział, że francuskim żołnierzom pod wodzą generała Dąbrowskiego kazano zrezygnować z obrony przyczółka. Wpadł on w ręce rosyjskiego generała, Polaka Cziczagowa. Napoleon rozkazał wojskom generała Oudinota odbić most, ale wróg, pomimo poniesionej klęski, zdążył go jeszcze podpalić.

Mimo wszystko szczęście jeszcze raz uśmiechnęło się do małego cesarza – tym razem sprzyjający los miał postać notatki, która dotarła dwudziestego trzeciego listopada. Generał Corbineau, dowódca wojsk, które przybyły od zachodu – z Wilna – na odsiecz Napoleonowi, przekupił jednego z wieśniaków, a ten wskazał żołnierzom sekretny bród, który umożliwił przekroczenie Berezyny w pobliżu wsi Studzianka. Wykorzystując łut szczęścia, Napoleon ponownie udowodnił swój geniusz. Rozkazał czterystu żołnierzom z wojsk inżynieryjnych generała Elbe'a zbudować dwa mosty w miejscu, którego szerokość wynosiła niecałe siedemdziesiąt metrów. Konstrukcje miały być gotowe na dwudziesty szósty listopada. Potem mydlił Rosjanom oczy, kazał żołnierzom wykonywać dziwne manewry, których celem było

zdezorientowanie przeciwnika.

Kiedy dwudziestego szóstego ukończono jeden z mostów, pierwszy przekroczył go ósmy pułk polskich ułanów, zmuszając kozaków Cziczagowa do ucieczki. Potem na drugą stronę rzeki przeszły oddziały generała Oudinota i generała Ney, które miały osłaniać przepływających się żołnierzy przed znajdującą się na lewym brzegu rzeki armią rosyjską pod dowództwem generała Cziczagowa. Tego samego dnia po południu ukończono drugi, szerszy most, który umożliwił przejście artylerii. Wojska Napoleona przekraczały rzekę cały dzień i całą noc.

Wczesnym popołudniem dwudziestego siódmego listopada Paweł wraz z Poniatowskim i starą gwardią przeprowił się przez Berezynę, po czym z wysokiego lewego brzegu obserwował przejazd eskortowanego przez Gwardię Cesarską zniszczonego powozu Napoleona; za nimi podążała młoda gwardia. Paweł westchnął z ulgą, gdy dostrzegł Michała i Tadeusza. Szli chwiejnym krokiem, prowadząc konie; Potecki ucieszył się na ich widok.

Rankiem dwudziestego ósmego listopada, kiedy Cziczagow przejrzał zamiary Francuzów, wydał ostatnią bitwę tej kampanii, atakując raz za razem francuskie siły zgromadzone na lewym brzegu. Walka rozgorzała również na prawym brzegu, gdzie tylna straż generała Victora już drugi dzień odpierała ataki nieprzyjaciela, by umożliwić reszcie wojsk przekroczenie rzeki. Szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to na drugą stronę; walka trwała aż do zmierzchu, kiedy to Cziczagow wycofał swoje wojska. Napoleon ogłosił zwycięstwo, chociaż Francuzi stracili kilka tysięcy żołnierzy.

Paweł nigdy nie liczył zabitych przez siebie żołnierzy wroga, mimo wszystko na myśl o zwycięstwie poczuł przyspieszone bicie serca. Cieszył się, że wyszedł z opresji bez zadrąśnięcia, chociaż dostrzegał gorzką ironię w fakcie, że

Polacy, którym udało się przeżyć odwrót, zjednoczyli siły, by pokonać oddziały nieprzyjaciela dowodzone przez polskiego generała. Major Potecki uznał, że sprawiedliwość należy również oddać Francuzom, a zwłaszcza kirasjerom generała Ney, którzy zabili dwa tysiące rosyjskich żołnierzy, ale bez Polaków, którzy tego dnia walczyli i ginęli, odwrót armii Napoleona zakończyłby się porażką. Generałowie Dąbrowski, Kniaziewicz i Zajączek odnieśli rany: Zajączkowi nawet amputowano nogę. Książę Poniatowski również został ranny w nogę i musiał oddać przywództwo marszałkowi Neyowi.

Po zmroku Paweł udał się na poszukiwanie członków młodej gwardii. Wiedział, że ponieśli duże straty, był więc przygotowany na złe wieści.

W końcu udało mu się odnaleźć kilku chłopców, których pamiętał z wieczoru spędzonego w stajni w Orszy. Żaden z nich nic nie wiedział o braciach Stelnickich. Wszystko wskazywało na to, że obawy Pawła są uzasadnione.

Udał się więc na wzniesienie nad rzeką, gdzie układano rannych jak publiczność w amfiteatrze. Wśród tysiąca ofiar ostatnich walk kręciła się garstka chirurgów i sanitariuszy. Major długo kluczył między ułożonymi najwyżej, następnie zszedł w dół i cierpliwie przyglądał się twarzom nieprzytomnych i cierpiących.

Nagle rozległo się wołanie:

– Majorze Potecki!

Natychmiast rozpoznał głos Michała i bardzo się ucieszył, bo to oznaczało, że starszy z braci żyje. Z ciemności wyłoniła się machająca ręką postać; major zrobił jeszcze piętnaście kroków, po czym zszedł niżej, mijając po drodze dwa rzędy rannych.

– Witaj, Michałku!

Pod wpływem impulsu mocno uścisnął chłopca, ale zaraz odsunął go na odległość ramienia, przestraszony, czy nie

spowodował dodatkowych obrażeń.

– Nic mi nie jest – zapewnił Michał, bez problemów czytając w myślach Pawła. – Jestem tylko trochę poobijany, bo spadłem z konia.

– Bogu niech będą dzięki! – zawołał Paweł. – A co z Tadkiem?

– Jest tutaj – powiedział Michał, pokazując niemal pod nogi.

Tadeusz leżał na ziemi. W ciemnościach jego twarz była biała jak śnieg.

– Mam nadzieję, że ze mną również w końcu się pan przywita, majorze. – Z trudem się roześmiał.

– Tadziu! – Paweł padł na kolana. – Co się stało?

– Jestem ranny w nogę – odparł Tadeusz. – To nic takiego.

– Nic takiego? – spytał Michał. – „Nic” to pojęcie względne: został postrzelony w łydkę.

– Czy chirurg już go widział?

– Na razie tylko pielęgniarz – odpowiedział Michał. – Tadek jest czwarty czy piąty w kolejce do chirurga.

– Kiedy wyjmą mi kulę, będę zdrow jak ryba. – Tadek na chwilę zapomniał o bólu. – Pokonaliśmy go, prawda? To znaczy Cziczagowa.

– Tak!

– Byłem bardzo blisko niego – powiedział Tadeusz, wyciągając ręce na boki. – Tak blisko... i wtedy zostałem postrzelony. Mogłem zabić tego zdrajcę!

Paweł zachichotał.

– Po prostu miałeś pecha, Tadku. Zapomnij o nim.

– Zdradził swój kraj. To... to niemoralne.

– Na wojnie nie ma moralności, Tadziu. Liczy się tylko to, czy zabijesz, czy dasz się zabić.

– Z przyjemnością wyprawiłbym go na tamten świat!

– Jutro ruszamy dalej. W tej chwili mosty przekracza tylna

straż. Dość gadania – Paweł wstał. – Michale, nie pozwól chirurgowi nic robić, póki nie wrócę.

– Tak jest. – Zdziwione spojrzenie starszego brata wyrażało pytanie, którego chłopak nie zadał.

– Idę po butelkę brandy, którą udało mi się schować. Jest bardzo dobra!

– Majorze – odezwał się Tadeusz zbolalym głosem. – Jutro wsiadę na konia. Nic mi nie będzie. Nie chcę jechać na wozach z rannymi.

Paweł się uśmiechnął.

– Zobaczymy, jak się będziesz czuł, przyjacielu. Odchodząc, modlił się, by rano Tadek był zdolny do jazdy.

Wiedział, że nie ma wozów z rannymi, a przez kołyszące się mosty przepuszczono tylko jeszcze i powóz Napoleona.

Wszystkie inne pojazdy porzucono i spalono. Paweł nawet nie chciał myśleć o tysiącach rannych i maruderów, którzy zostali z tyłu. Nie uwzględniono ich w żadnych planach; zostawiono na pastwę kozaków. Jak powiedział Tadekowi – na wojnie nie ma moralności.

Następnego ranka Michał pomógł Tadeuszowi wsiąść na konia.

– Wszystko w porządku, Tadek?

– Tak, dam radę... jak daleko stąd do Wilna?

– Mniej więcej dwieście sześćdziesiąt kilometrów. Tadeusz skrzywił się, ale nic nie powiedział.

– Kiedy spałeś, był tu major. Powiedziałem mu, że sobie poradzimy.

– Już pojechał? Kiedy nadeszły rozkazy?

– W nocy. Od tego czasu w drogę wyruszają poszczególne formacje.

– A młoda gwardia?

- Już pojechała. Przynajmniej ci, którzy przeżyli bitwę.
- Dlaczego pozwoliłeś mi spać?
- Potrzebowałeś snu, Tadziu.
- Psiakrew! Teraz będziemy wlekli się w ogonie?
- Nie, jeśli od razu wyruszymy.

Michał i Tadeusz dołączyli do niedobitków Wielkiej Armii, która oddalała się od Berezyny, posuwając się po drewnianej drodze, która szeroką groblą prowadziła przez rozległe bagna. Gdzieś trzeba było przerzucić tymczasowy most, wszyscy jednak uważali za cud, że Rosjanie nie zniszczyli grobli. Zdaniem Michała, gdyby to zrobili, wojska Napoleona nie miałyby szans na ucieczkę.

Tadeusz milczał przez dłuższy czas. Michał wiedział, że brat odczuwa skutki operacji i brandy. Po zabiegu lekarz odciągnął starszego brata na bok i powiedział, że nie udało mu się usunąć całego szrapnela z nogi Tadeusza. Radził, żeby możliwie szybko skorzystali z usług dobrego chirurga. Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, Michał będzie musiał przekazać tę wiadomość bratu.

Sam ostatniej nocy nie zmrużył oka. Martwiła go nie tylko operacja Tadka. Siedząc obok niego, widział, jak nad ranem most przekroczyła tylna straż generała Victora. Poprzedniego dnia dzięki geniuszowi Napoleona zwyciężyli, ale ponieśli ogromne straty.

W nocy wiał tak mocny wiatr, że Michał słyszał, jak na przeciwległym brzegu generał Elbę ponagla maruderów i rannych, którzy mogli chodzić, by jak najszybciej przekroczyli rzekę, gdyż wkrótce mosty zostaną wysadzone. Wielka Armia nie miała zamiaru pozwolić Rosjanom na pościg.

Rankiem okazało się jednak, iż większość maruderów pogrążonych w apatii i ośpieniu nie porzuciła ognisk i zignorowała rady generała Elbe'a. Dopiero gdy o dziewiątej rozległy się wybuchy, wielotysięczne tłumy rzuciły się w

stronę mostów. Sporo osób splonęło żywcem, znacznie więcej utonęło, gdy mosty jeden po drugim waliły się do rzeki z głośnym sykiem niczym rozżarzone narzędzia kowalskie zanurzane w wodzie.

Trzydzieści tysięcy maruderów pozostało na drugim brzegu. Byli zdani na łaskę – i lance – kozaków. Nic nie można już było dla nich zrobić. Michał pokonał mdłości, po czym odwrócił się, by tego nie widzieć.

Przeprawa przez tereny pokryte grubą warstwą śniegu była uciążliwa i powolna, zwłaszcza że teraz kilka wozów, które pierwotnie służyły do transportu amunicji, wiozło ciężko rannych. Michał słyszał, jak niektórzy proszą o skrócenie ich męki. Rzeczywiście musieli cierpieć potworne katusze i mieli niewielkie szanse na przeżycie. Miejsce odwilży zajął znów generał Zima. Temperatura zarówno w ciągu dnia, jak i w nocy nie przekraczała zera. Purpurowe słońce nie dawało ciepła. Na poboczach drogi leżały zamarzniete ciała. W pobliżu Zembina Michał i Tadeusz zatrzymali się, by podsyćć dogasające ognisko rozpalone przez ośmiu żołnierzy, którzy zasnęli... i zamarzli na śmierć. Kilku z nich już okradziono z butów i płaszczy. Michał musiał zepchnąć na bok kilka ciał, by wraz z bratem i końmi zbliżyć się do ognia.

Zdjęcie Tadeusza z końskiego grzbietu i ponowne wsadzenie go w siodło było dla obu chłopców tak uciążliwe, że Michał postanowił ograniczyć to do minimum. Postój trwał bardzo krótko również ze względu na konie, osłabione z powodu zimna i głodu. Wystarczyło czasu tylko na to, by Michał stopił w znalezionym garnku trochę śniegu, dodał do niego pokruszonego suchara i odrobinę suszonego końskiego mięsa. Niestety, nie udało się znaleźć żadnego pożywienia dla koni.

Gdy ruszyli w dalszą drogę, bracia byli jedyną parą wśród

małych grupek żołnierzy, którzy zachowali zimną krew podczas przeprawy przez Berezynę.

Mniej więcej trzydzieści godzin po wyruszeniu znad Berezyny udało im się dotrzeć do Pleszczanic... czyli pokonać zaledwie czterdzieści kilometrów. Żaden z braci nie komentował tempa, w jakim się posuwali. Tutaj przynajmniej udało im się znaleźć schronienie w chacie wieśniaków i pożywienie dla siebie oraz koni – oczywiście za odpowiednią opłatą.

Kiedy się posilili, Michał gdzieś wyszedł, a po godzinie wrócił z parą kul.

– Dla kogo je, do diabła, przyniosłeś? – spytał Tadeusz z oburzeniem.

– Raczej nie dla siebie.

– Nie są mi potrzebne. Jeśli zacznę ich używać, stanę się jednym z maruderów.

– W tej chwili niewiele się od nich różnimy.

– Naprawdę? Pewnie wszystko z mojej winy? Może więc pojedziesz dalej sam?

– Posłuchaj, Tadziu. Z moją pomocą całkiem nieźle skaczesz na jednej nodze, ale to sprawia ci ból. Kule mogą ci się przydać.

– Ból minie.

– Chirurg powiedział, że nie udało mu się usunąć wszystkiego. Będziesz musiał się poddać jeszcze jednej operacji.

Tadek zbladł.

– Długo musiałeś się namyślać, żeby mi to powiedzieć. Michał wzruszył ramionami.

– Gdybyś nie był taki uparty, dowiedziałbyś się o wszystkim dopiero w Wilnie. Poćwicz chodzenie z kulami, dopóki nie ruszymy dalej.

– Cholera! – zaklął Tadeusz przez zaciśnięte zęby.

Podniósł się i wziął kule. Michał odstawił krzesło do kąta, żeby zrobić bratu miejsce; bezwiednie dotknął palca, szukając złotej obrączki, którą dostał od matki na pierwszą komunię, a teraz wymienił na kule.

W nocy Michał ciągle zrywał się z łóżka, bo prześladował go sen, w którym on i Tadek położyli się na śniegu i... zasnęli na zawsze.

Rankiem bracia ruszyli w dalszą podróż, dołączając do tych, którzy spędzili noc w tej samej wiosce. Gdy jednak znaleźli się na drodze, stwierdzili, że ich szeregi coraz bardziej się przerzedzają. Większość maruderów pokonał generał Zima, a niektórzy zginęli z rąk posuwających się za nimi kozaków.

Następnego dnia o zmierzchu znaleźli się w pobliżu liii. Widzieli już wieżę kościelną, gdy padł koń Michała: po prostu przewrócił się na ziemię i zdechł. Michał nie był wcale zaskoczony, szybko zrobił to, co należało: mechanicznymi ruchami poodcinał udźce czworonoga, wykrawając porcje mięsa, które miały służyć za pożywienie dla niego i Tadeka, a także jako środek płatniczy w miasteczku, do którego się zbliżali. Złapał do menażki tyle krwi, ile zdołał, a gdy skończył oprawianie zwierzęcia, pomógł Tadeuszowi zejść na dno wąwozu i na zostawionym przez kogoś ogniu przyrządził zupę, która składała się z krwi i końskiego mięsa.

Nim znów wyszli na drogę, sporo końskiej krwi wsiąkło w śnieg i zamarzło. Bracia powycinali bryłki zabarwionego na czerwono lodu i umieścili je w sakwach. Później będą mogli je possać, by się trochę pożywić.

Michał nie chciał myśleć o koniu, którego kochał i bardzo oszczędzał, ani o maruderach, którzy leżeli wzdłuż drogi i słabymi głosami prosili o pomoc. Prowadził konia Tadeusza i tak jak brat patrzył przed siebie, jakby nie widział umierających i nie słyszał skarg, które docierały do uszu

zakrytych futrzanymi czapkami.

W liii Michał nalegał, by Tadeusz poćwiczył chodzenie o kulach. Młodszy brat niechętnie się zgodził. Rankiem zasugerował, żeby obaj jechali na jego koniu. Michał odmówił, uparł się, że pójdzie na piechotę. Zastanawiał się, jak długo wytrzyma koń Tadka.

Dwa dni później dotarli do Mołodeczna, po drodze przystając tylko po to, by się załatwić. Tadeusz był tak zdętwiały z zimna i bólu, że ledwo trzymał się na nogach, gdy Michał zсадził go z konia. Starszy brat też nie czuł nóg; zaczął się obawiać, że je odmroził.

– Jesteśmy w połowie drogi do Wilna? – spytał Tadeusz. Jan Michał wzruszył ramionami.

– Mniej więcej – odparł wyraźnie przygnębiony. „Zaledwie połowa drogi!” – pomyślał.

Dostali pokój w chałupie starszego małżeństwa mieszkającego na skraju miasta. Nocował tam również ranny francuski żołnierz, który opowiedział im, jak kozacy zaatakowali tylną straż, gdy niedobitki Wielkiej Armii wlokły się tą drogą.

– Kiedy to było? – spytał Jan Michał.

– Dwa dni temu – odpowiedział żołnierz po francusku. Bracia spojrzeli na siebie bez słów. Uświadomili sobie, jak daleko zostali w tyle za głównymi siłami. Obaj doskonale wiedzieli, że dla maruderów kozacy stanowią jeszcze większe zagrożenie. Mimo to wytargowali cenę za nocleg i zostali w chacie. Potrzebowali odpoczynku.

Rano chłopcy gorzko żalowali swojej decyzji. Siedzieli przy małym stole, a staruszka przy piecu mieszała kleik i piekła kukurydzę, gdy nagle do domku wpadł jej mąż, wpuszczając do środka lodowaty wiatr. Mężczyzna prawie nie mógł mówić.

– Po tysiącokroć przepraszam! – krzyknął. – Chryste na

niebie, po tysiącokroć przepraszam!

– O co chodzi? – spytał Michał, chociaż przypuszczał, co się stało.

– Wasz koń, szlachetni panowie. Wasz koń!

– Zdechł? – spytał Tadeusz.

– Nie – powiedział staruszek, nie kryjąc przerażenia. – Nie ma go. Zniknął.

– Ktoś go ukradł? – spytał poblady Tadeusz.

Michał poczuł, że kręci mu się w głowie. Stracił apetyt. Miał do siebie pretensję o to, co się stało – powinien spędzić noc w nędznej, małej stajni wraz z koniem. Głupio zaryzykował. Chociaż staruszek zamknął stajnię, zapewniając, że koń będzie bezpieczny, bo karą za kradzież konia jest śmierć – Michał wiedział, że podczas wojny nikt nie przestrzega prawa. Otrzymali niezłą naukę, bo czymże w tych dniach była kara śmierci? Niczym. Dla wielu śmierć oznaczała jedynie skrócenie pasma cierpień.

Tadeusz próbował wstać.

– Musimy znaleźć złodzieja, Michale, i zastrzelić go! Michał usadził brata z powrotem na krześle.

– Tadku, mamy za mało sił, by je trwonić. Co nam to da? Koń zniknął dawno temu i albo jest w drodze, albo ktoś właśnie smaży sobie jego udziec na patelni.

Tadek przygarbił plecy.

– Oby sam zdechł!

– Jest na to spora szansa. My jednak nie umrzemy! Tadek przytaknął. Michał odwrócił się do starszego mężczyzny.

– Czy w Mołodecznie są jakieś konie na sprzedaż? Staruszek potrząsnął głową.

– Ani jednego.

Jego żona z ponurą miną podeszła do stołu i wlała kleik do misek obu braci, potem wróciła do pieca po kukurydzę. Michał zmusił się do jedzenia.

– Muszę przyznać, że dobrze zrobiłeś, okradając jakiegoś łązęgę z tych cholernych kul – powiedział Tadeusz, biorąc do ręki łyżkę.

Po posiłku bracia przygotowali swój dobytek do drogi. Michał dostał od gospodarza solidny kawał skóry, którym zawinał chorą nogę Tadeusza. Wyruszyli wczesnym przedpołudniem i dołączyli do grupy siedmiu maruderów. Minęli kilku żołnierzy z tylnej straży. Kiedy przechodzili obok nich, jeden z wojskowych powiedział:

– Tylko spójrzcie na tych maruderów! Wynośmy się stąd, do diabła, nim do nich dołączymy.

„Jesteśmy teraz maruderami – pomyślał Michał. – Godnymi pożałowania biedakami, których posuwająca się do przodu armia nie chce widzieć ani słyszeć!”

Kiedy znaleźli się na drodze, Tadeusz odwrócił się do Michała, z trudem manewrując kulami w śniegu.

– Myślisz, że ten staruszek nas okłamał, Michale? Chłopak brał pod uwagę taką możliwość. Wieśniak mógł sprzedać konia. Bóg jeden raczy wiedzieć, ile był wart pomimo fatalnego stanu. Mógł też ukryć zwierzę w lesie.

– Nie sądzę, Tadziu. Sprawiał wrażenie naprawdę przerażonego.

Tadeusz chrząknął i poddał się.

– Też tak uważam.

Michał skupił się na trasie, która ich czekała. Jeśli byli w połowie drogi do Wilna, mieli jeszcze do pokonania około stu trzydziestu kilometrów. Na piechotę.

Nie chciał myśleć o Wilnie... na razie celem było Smorgonie...

Mijały godziny, a żaden z braci się nie odzywał. Gdy zapadał zmierzch, zauważyli, że dwie osoby z grupy zostały w tyle. Zatrzymali się na chwilę i obejrzelili za siebie. Dwie

postacie wyglądały jak ciemne kropki na śniegu. Znajdowały się o półtora kilometra od nich. Pozostała siódemka bez słowa odwróciła się z powrotem na północny zachód i ruszyła przed siebie. Maruderzy nie mogą czekać na innych maruderów, bo ryzykowałiby życie. Nad ranem, kiedy ponownie powitało ich purpurowe niebo, brakowało następnych dwóch osób.

W południe grupka się zatrzymała, żeby załatwić potrzeby naturalne. Gdy Michał wyszedł z za drzew rosnących przy drodze, Tadeusz siedział na pieńku.

- Nie mogę dalej iść – oznajmił.
- Dlaczego, Tadziu? Świetnie sobie radzisz.
- Noga... za bardzo mnie boli.
- Masz szczęście, że ją czujesz! Pokaż mija.

Michał odwinął skórę, a potem opatrunki, których nie zmieniali od dwóch dni. Zobaczył najwyraźniej zakażoną otwartą ranę i pociemniałą tkankę dookoła.

– Widzisz? – spytał Tadeusz, naciągając wełnianą płachtę, która chroniła jego twarz i uszy; Michał zauważył, że brat ma wypieki i gorączkę. – Oni ruszają, Michałku! – Tadeusz wskazał głową trójkę, która powoli zaczynała się oddalać.

- No to co? – spytał Michał.

Robił wszystko, by jego umysłu nie wypełniła biała pustka podobna do śniegu, który otaczał ich ze wszystkich stron. Gdzieś widać było wzgórze – z pewnością szczątki ludzi, którzy usiedli, gdyż nie mogli lub nie chcieli już iść.

– Musisz iść dalej, Michale. Nie chcę, żebyś zatrzymywał się z mojego powodu.

– Mam iść? Jak potem wytłumaczę mamie, że zostawiłem cię na drodze do Wilna? Pozwoliłem, żebyś zamarzył na śmierć?

Tadeusz dostał napadu szału jak za dawnych lat, ale w jego oczach pokazały się łzy.

- Nie zgrywaj cholernego bohatera! Nic tu po tobie,

Michale. Ty przynajmniej masz szansę! Więc ją, do diabła, wykorzystaj !

– Nie zostawię cię! – krzyknął Michał.

– Nie będę sam – zapewnił Tadeusz, wskazując pagórek w pobliskim rowie. – Musisz ratować własne życie!

Michał postawił Tadeusza na nogi, przytrzymał go, sięgnął po kule i na siłę wcisnął je bratu pod pachy. Potem owinał wełnianą płachtą jego twarz, zostawiając tylko szparkę na oczy, i ostrożnie wsadził mu na głowę futrzaną czapkę.

Tadeusz ustąpił i ruszył przed siebie. Nie uszli nawet pięćdziesięciu kroków, gdy upadł i nie miał siły iść dalej.

– Do diabła, będę cię niósł! – oświadczył Michał, delikatnie poklepując brata po zawiniętej twarzy. – Słyszysz? Nie zasypiaj!

Michał przypiął pasem kule, potem postawił brata na nogi i wziął go na plecy. Tadeusz był zbyt słaby, by objąć brata, więc Michał chwycił go za ręce i przerzucił je sobie przez barki. W takiej pozycji zaczął powoli się posuwać. Zrobił jeden krok, potem drugi, a po chwili, gdy ciężar dobrze rozłożył się na jego plecach, zdołał trochę przyspieszyć i zyskał pewność ruchów.

– Nie śpij, Tadeuszu. Nie wolno ci zasnąć, słyszysz? Będziemy śpiewać, dobrze? Zgadzasz się?

Tadeusz burknął coś pod nosem.

Michał zaczął śpiewać jedyną piosenkę, która przychodziła mu w tej chwili do głowy.

Wojenko, wojenko,
Cóżes ty za pani,
Że za tobą idą, że za tobą idą
Chłopcy malowani!

Co chwila Michał potrząsał bratem, nakłaniając go do

śpiewu. W ten sposób upłynęło kilka godzin. Oczywiście pozostali trzej maruderzy dawno zniknęli im z pola widzenia.

Przed nimi pojawiło się wzniesienie. Gdy Michał je zobaczył, na chwilę zabrakło mu sił i ducha. Przestał śpiewać. Nie wiedział, czy zdoła... czy mu się uda...

„Dobry Boże – modlił się – jak daleko stąd do Smorgoni? Ile jeszcze kilometrów?” Błagał, by miasto znajdowało się tuż za wzniesieniem, żeby nogi nie odmówiły mu posłuszeństwa. Poruszały się jak elementy maszynierii.

– No, Tadziu! – zawołał. – Śpiewamy! Tadeusz wykonał polecenie i z trudem wychrypiał:

Wojenko, wojenko, Cóżes ty za pani, Że za tobą idą, że za tobą idą Chłopcy malowani!

Kiedy dotarli na szczyt wzniesienia, okazało się, że droga ciągnie się daleko, daleko... Rozsądek podpowiadał, że do Smorgoni wciąż jest jeszcze wiele kilometrów.

– Tadziu, odpoczniemy chwilę.

Michał delikatnie posadził brata na drodze obok zwalonego drzewa.

Tadek chwilami majaczył. Gdy odzyskiwał przytomność, niezmiennie szeptał:

– Idź, Michałku. Idź.

Michał wiedział, co brat ma na myśli, dlatego nawet gdy się załatwiał, nie odszedł daleko w obawie, że Tadek spróbuje odebrać sobie życie, by nie być dla niego ciężarem.

Michał wrócił, usiadł na powalonym drzewie obok Tadka i zmusił go, żeby zaśpiewał z nim jeszcze raz. Nie jedli od dwunastu godzin, ale nawet o tym nie pomyśleli.

Być może upłynęła godzina. Temperatura spadła, zerwał się wiatr.

Michał zaczął tracić nadzieję. Umrą jako maruderzy – tak widać było im pisane. Przestał o tym myśleć, gdy nagle poczuł, że brat chwyta go za rękę. Uniósł głowę i dostrzegł

strach w niebieskich oczach Tadka. Potem odwrócił się i zobaczył, co przykuło uwagę młodszego brata.

W oddali na zasypanej śniegiem drodze dostrzegł dwa, może trzy ciemne punkty. Trzy ruchome punkty, które przesuwały się w ich stronę.

– Kozacy! – syknął Tadeusz, nie poruszając wargami. – Kozacy!

Michała również ogarnął strach. Wstał.

– Ukryję cię w rowie, szybko!

– Michałku, zobacz, że się poruszamy.

– A nie zobaczą nas, gdy będziemy siedzieli przy drodze? Wstawaj, do licha!

Michał wepchnął brata w niewielkie zagłębienie, ukrył go za maleńkim pagórkiem, który utworzył śnieg, przysypując czyjeś ciało, i przyprószył białym puchem.

– Nie ruszaj się, słyszysz?

Nagle przypomniał sobie o kulach. Leżały tam, gdzie rzucił je w panice, czyli na środku drogi. Nie było już czasu, by je przynieść. Kucnął w zagłębieniu. Nie widział jeźdźców, słyszał jednak, jak kopyta uderzają o skutą mrozem ziemię. Skulił się, mając nadzieję, że on także zostanie uznany za zmarłego.

Czas ciągnął się bez końca; konie były coraz bliżej. Michał zaciskał dłoń na rękojeści szabli. Będzie walczyć. Jeśli pisane im było w gwiazdach, że tego dnia obaj z bratem umrą, chciał zginąć jak żołnierz – z honorem. Wolał taką śmierć niż zamarznięcie.

Konie zwolniły kroku, widocznie kozacy dostrzegli kule i zwiększyli czujność. Mimo to wciąż nie było słyhać żadnych głosów.

Konie zatrzymały się dokładnie nad nimi. Nie było ucieczki. Michał usłyszał skrzypienie butów na śniegu i zbliżające się kroki. Ręka bolała go od ściskania szabli,

wstrzymał oddech, czekając, aż kozacy krzykną i wskoczą do rowu z lancami w dłoniach. Cóż, na pewno uda mu się zabrać ze sobą na tamten świat przynajmniej jednego z nich.

Minęła długa, bardzo długa minuta. Michał słyszał głośnie oddechy i parskanie dwóch koni.

Powoli odwrócił głowę i spojrzał w stronę drogi. Ujrzał dziwną, żywą wycinankę: sylwetkę wysokiego mężczyzny na tle resztek dziennego światła. Za nim było coś, co przypominało drewniany bok sań.

Mężczyzna miał pochyloną głowę i patrzył w stronę rowu, dokładnie tam, gdzie był Michał.

Chłopak wstał, gotując się na śmierć.

W tym samym momencie usłyszał głęboki, dźwięczny głos mężczyzny.

– To ty, Michałku?

Uniósł głowę, czując, że przenika go dreszcz.

– Major Potecki?

Sanie pod osłoną nocy powoli kierowały się na północny zachód. Tadeusz leżał otulony futrami w pojeździe, który przypominał trumnę. Początkowo Michał jechał z przodu obok Pawła, który nie mógł się nadziwić, że udało mu się odnaleźć obu chłopców. Gdyby nie kule zostawione na drodze, nie mieliby szans na przeżycie. Czy był to jedynie zbieg okoliczności? Potecki uważał, że we wszechświecie istnieje określony porządek rzeczy – a to wydarzenie zdawało się potwierdzać jego przekonanie. Czy kierował nim Bóg? Przeznaczenie? Siła modlitw rodziców chłopców?

– Jak to możliwe – spytał Michał – że udało się panu porzucić służbę i wrócić po nas?

– Chociaż kozacy wciąż nas atakują jak natrętne muchy, kampania została wstrzymana.

– Na całą zimę? Czy w ogóle?

– To zależy od tego, jak powiedzie się Napoleonowi w Paryżu. Wczoraj wyjechał saniami ze Smorgoni.

Michał nachylił opatuloną głowę w stronę Pawła.

– Wyjechał? Opuścił Wielką Armię? Uciekł do Paryża?

Paweł wskazał na polanę, na której znajdowało się niewielkie obozowisko. Chociaż większość ofiar, które widzieli po drodze, stanowili ranni i maruderzy wlokący się za armią, zamarznięci tu mężczyźni – przypominający lodowe rzeźby – byli żołnierzami francuskiej piechoty.

– Ta armia przestała być wielka – powiedział.

– Czy Napoleon wróci?

– W Paryżu próbowano dokonać przewrotu, jednak nie wątpię, że gdy mały Korsykanin go stłumi, przybędzie z nową armią.

– Wciąż pan w niego wierzy.

– Tak. Czy mam wybór? Twój brat potrzebuje pomocy lekarskiej, i to jak naj szybciej.

– Ma pan na myśli Wilno?

– Za daleko. Za długo byśmy tam jechali.

– Smorgonie? Jest tam jakiś chirurg?

– Tamtejszy szpitalik jest przepełniony, do tego brudny i szerzy się w nim tyfus. Nie zabrałbym tam Tadka... ale znam kogoś innego.

– Kogo, majorze?

– Mężczyznę, który w ciągu dwóch wieczorów pomógł kilku naszym ludziom.

– Lekarza?

– Pogromcę niedźwiedzi.

Michał nabrał powietrza w płuca i wybuchnął gromkim śmiechem.

– Pogromcę niedźwiedzi!?

– Nie brakuje ich w tej okolicy.

– Niedźwiedzi czy pogromców?

– I jednych, i drugich. Ten człowiek dobrze radzi sobie z ranami. Za pomocą niedźwiedziego sadła usuwa odłamki szrapneli. Pomagałem mu przy operacji. Niemal zemdlałem, ale jest dobry, Michale. Wierzę w niego.

– Tak jak w Napoleona?

– *Touché!* Taak, sędzę, że wiara jest wiarą. Decyzja należy jednak do ciebie i Tadeusza. Obaj jesteście już mężczyznami.

– Mój brat nie jest w stanie podjąć żadnej decyzji, a ja nie mam wyboru. Niech będzie pogromca niedźwiedzi.

– Któregoś dnia będziecie mieli o czym opowiadać – stwierdził Paweł.

Michał wybuchnął śmiechem.

– Powinien pan przedstawić swojego pogromcę Napoleonowi, nim po raz trzeci ruszy na polowanie na rosyjskiego niedźwiedzia.

Paweł również się roześmiał.

Uwagę Michała przykuł niewielki ruch na prawo od drogi. Mijali trzech znajomych maruderów, którzy ich zostawili. Siedzieli na zaśnieżonej polanie zbici wokół małego ogniska.

Jeden z mężczyzn spojrzał na przejeżdżające drogą sanie, ale był zbyt słaby, by krzyknąć.

Grudzień 1812

– Bardzo późno się obudziłeś, Marku – szepnęła Anna. – Jest północ. Czujesz się dziś trochę lepiej?

– Troszeczkę, pani hrabino.

Nawet półmrok panujący na oddziale nie był w stanie ukryć rumieńców na policzkach rannego.

Anna wybuchnęła śmiechem. Dwudziestoczteroletni żołnierz piechoty patrzył na nią jak na Madonnę. Przypuszczała, że nigdy wcześniej nie rozmawiał ze szlachcianką.

– Wkrótce wrócisz do domu.

Przytaknął i wbił wzrok w jakiś niewidoczny punkt. Anna miała wrażenie, że bez trudu czyta w jego myślach. Była pewna, że żołnierz wyobraża sobie swój powrót do wsi pod Poznaniem. Zastanawia się – i boi – jak jego żona i dwaj synowie przyjmą fakt, że stracił rękę. Hrabina Stelnicka delikatnie dotknęła jego czoła i poszła dalej.

Marek trafił do szpitala z konwoju, który – podobnie jak wiele innych transportów – przywiózł rannych z najwcześniejszych bitew rosyjskiej kampanii Napoleona: pod Wilnem i Smoleńskiem. W miarę jak szpitale zapełniały się pacjentami, zaczęto wątpić w prawdziwość optymistycznych informacji zawartych w „Bulletins de la Grande Armee” – zaprzeczała im liczba rannych i ich relacje.

Anna wróciła do małego drewnianego stolika, pełniącego funkcję biurka na oddziale, który liczył pięćdziesiąt łóżek. Prawdę mówiąc, zgłosiła się na nocną zmianę, bo cierpiała na bezsenność. Gdyby została w kamienicy na Piwnej, na pewno nie udałoby jej się zasnąć. Bezustannie martwiła się o Michała i Tadeusza. Od wielu miesięcy nie dostała od nich listu, nie

miała też wieści od Pawła, od czasu do czasu przychodziły jedynie biuletyny ze wschodu. Czy oni jeszcze żyją?

Od wielu miesięcy nie była również w domu w Sochaczewie, nie widziała się z Janem i bardzo za nim tęskniła. Domyślała się, że mąż przeżywa własny koszmar. Tyle lat służył w wojsku, musiało więc mu być trudno, zwłaszcza że wysłał synów na wojnę, której nie popierał. Całą sprawę komplikował fakt, że chłopców miał pilnować jego najlepszy przyjaciel, Paweł. Jan chętnie zrobiłby to sam, gdyby wcześniej nie stracił wiary w Napoleona.

Nie chcąc dłużej oddawać się niespokojnym myślom, Anna wstała i zaczęła spacerować po oddziale. W pewnym momencie podeszła do łóżka, które zwolniło się poprzedniej nocy, bo zajmujący je ranny żołnierz zmarł, i ujrzała nową twarz. Mężczyzna miał otwarte oczy i przyglądał się Annie.

– Potrzebujesz czegoś, żołnierzu?

Potrząsnął przecząco głową. Przez chwilę przyglądała się młodemu, jasnowłosemu mężczyźnie, który dziwnie na nią patrzył.

– Co ci dolega? – spytała.

– Mam na tyłku ranę po lancy – zażartował.

– Może w takim razie nie powinnam jej oglądać – odparła beztrąsko.

Komentarz Anny wywołał uśmiech na twarzy rannego. Co dziwne, uśmiechnął się łagodnie, jakby dobrze wiedział, z kim rozmawia. Postawiła świeczkę na małym stoliku obok łóżka i korzystając z lepszego światła, bacznie przyjrzała się żołnierzowi. Miał niebieskie oczy. Czyżby go skądś znała?

– Nie możesz zasnąć? – Spojrzała na kartkę przyklepioną do ściany. – Jerzy?

Żołnierz na chwilę znieruchomiał, po czym skinął głową.

– Powiedz mi, Jurku, czy wiesz, kim jestem? Popatrzył na nią, przymrużył oczy i zrobił poważną minę.

Przez krótką chwilę Anna sądziła, że ranny ją rozpoznał i za moment wszystko wyjaśni. Potem na jego oblicze powrócił promienny i beztroski uśmiech.

– Królową Marią Luizą, ostatnią miłością cesarza?

– Bardzo śmieszne!

Wróciła do biurka i zaczęła grzebać w pamięci. Czuła, że zna tego mężczyznę i że on również ją rozpoznał. Po półgodzinie poddała się i przestała o nim myśleć.

O pierwszej w nocy usłyszała głosy w odległej części oddziału. Na salę weszło czterech mężczyzn, którzy najwyraźniej czegoś szukali. Gdy ujrzeli Annę przy stole, na którym stała jedyna świeczka rozjaśniająca całe pogrążone w mroku pomieszczenie, skierowali się w jej stronę. Stukot ciężkich butów odbijał się echem po oddziale. Sądząc po ich postawie, Anna doszła do wniosku, że trzech z nich – ubrani w zakurzone białe opończe z kapturami – to francuscy oficerowie. Czwarty miał na sobie podbitą futrem opończę z zielonego aksamitu z eleganckimi złotymi kłamrami. Sobolowa czapka ocieniała jego twarz.

Jeden z oficerów przedstawił pozostałych – wszyscy mieli francuskie nazwiska. Wyjaśnił, że elegancko ubrany mężczyzna jest jego sekretarzem. Po dopełnieniu wszelkich formalności powiedział:

– Pani hrabino, służąca w kamienicy państwa Walewskich powiedziała nam, że znajdziemy tu panią Marię Walewską.

Anna starała się ukryć zaskoczenie.

– Była na wczorajszym dyżurze, ale wyszła dwie godziny temu.

– Gdzie jest teraz? – spytał władczo mężczyzna w zielonym aksamicie.

Nagle Anna uświadomiła sobie, że człowiek ten wcale nie jest sekretarzem, a pozostali trzech oficerowie to jego podkomendni. Poczowała przyspieszone bicie serca. Dostrzegła

szare oczy ukryte w cieniu nakrycia głowy i natychmiast rozpoznała przybysza.

Dygnęła.

– No cóż, teraz już pani wie, kim jestem! – powiedział Napoleon Bonaparte, zdając sobie sprawę, że został rozpoznany. Zdjął nakrycie głowy i lekko się skłonił. – Jakiś czas temu graliśmy w wista, pani hrabino, prawda?

– Owszem, Wasza Cesarska Mość. I tańczyliśmy.

– Bez wątpienia kiepsko tańczyłem i równie kiepsko grałem w karty. Liczę, że nie ma mi waćpani tego za złe. Powiedz mi, moja droga... gdzie jest Maria?

– Obawiam się, że pojechała do Walewic.

– Cholera! – Napoleon wpadł w złość. – Do Walewic? Nie do swojej kamienicy? Może minęliśmy się po drodze.

– Wczoraj wieczorem dostała wiadomość, że syn jest chory.

– Aleksander? – Gniew cesarza zmienił się w szczerą troskę. – Czy to coś poważnego?

– Nie, Wasza Cesarska Mość, tylko przeziębienie, nic więcej.

Jej zapewnienia wyraźnie go uspokoiły. „Łatwo zrozumieć troskę – pomyślała Anna. – W końcu Aleksander był jego pierworodnym synem”.

Między czterema mężczyznami doszło do krótkiej wymiany zdań. Rozmawiali, jakby byli sami. Z szybko wypowiedzanych francuskich słów Anna zrozumiała tylko tyle, że chcą jechać do Paryża przez Drezno, a Napoleon ma zamiar nadłożyć nieco drogi i wstąpić do dworku Marii. Pozostała trójka była temu zdecydowanie przeciwna. Anna rozpoznała generała Caulaincourta, jednego z bliskich współpracowników cesarza. To on oświadczył bez ogródek, że nie mogą sobie pozwolić na taką stratę czasu, a odwiedziny u Marii w chwili tak ważnej dla Polski nie przysporzą cesarzowi przyjaciół.

– Mam wystarczającą liczbę przyjaciół! – rzucił Napoleon.

– Brakuje mi tylko armii!

Jednak cesarz skrzywił się, widząc, że został przegłosowany.

Potem odwrócił się i ucałował dłoń Anny.

– Pani hrabino, proszę pozdrowić ode mnie panią Walewską i powiedziec jej, że... wkrótce do niej napiszę.

Anna dygnęła.

– Przekażę, Wasza Cesarska Mość – zapewniła bez entuzjazmu.

Napoleon blado się uśmiechnął.

– Proszę nie mówić nikomu o mojej wizycie oprócz Marii, dobrze?

Hrabina Stelnicka skinęła głową. Po krótkim pożegnaniu cała czwórka ruszyła do wyjścia. Anna długo stała, a w uszach dźwięczały jej słowa cesarza: „Brakuje mi tylko armii!”.

Nagle ogarnął ją okropny gniew, który wywołał rumieńce na jej twarzy. Napoleon troszczył się o syna! „A gdzie są moi synowie? – chciała za nim krzyknąć. – Chłopcy, których zabrał pan na wojnę, a teraz opuścił... Gdzie oni teraz są? Brną przez pokryte śniegiem rozległe przestrzenie? A może gryzą ziemię?”

Przez chwilę stała zaszokowana, póki nie usłyszała, że ktoś na oddziale bez końca powtarza dwa słowa:

– Jezu Chryste! Jezu Chryste!

Zabrała świeczkę i skierowała się w stronę głosu. Cieszyła się, że coś oderwało ją od ponurych myśli.

– To był Napoleon! – powiedział zaszokowany głos.

– Tak, Jerzy, to był Napoleon.

– Jezu Chryste!

Anna podeszła bliżej. Nagle przypomniała sobie... dzień, kiedy w drzwiach kamienicy Pawła ujrzała poważną twarz.

– Jurku, znasz hrabinę Zofię, prawda?

– Kogo? Nie, nie znam – zapewnił zbyt szybko,

najwyraźniej całkowicie zapominając o Napoleonie.

– Hrabinę Zofię Grońską, moją kuzynkę. Kiedyś przyszedłeś na Piwną... i pytałeś o nią.

– Nie, pani hrabino. Musiała się pani pomylić.

– To było wiele lat temu. – Żołnierz potrząsnął głową. – Nie przypominasz sobie?

– To musiał być ktoś inny.

– Jesteś pewien?

– Tak, pani hrabino.

– Rozumiem.

Anna była święcie przekonana, że Jerzy kłamie.

Kiedy wróciła na Piwną, z kościoła Świętego Marcina wychodzili uczestnicy porannej mszy. Po lekkim śniadaniu skreśliła szybko liścik do Anusi Potockiej, zapowiadając na wieczór swoją wizytę w Wilanowie. Wiedziała, że jest tam zawsze mile widziana. Jeśli do Warszawy docierały jakieś nowe wieści, często właśnie tam można je było usłyszeć najwcześniej, nierzadko z ust bohaterów omawianych wydarzeń. Skoro Napoleon incognito pojawił się w Warszawie, z pewnością będą jakieś nowe wieści.

– Bardzo się ucieszyłam, gdy dostałam twój liścik, Aniu – zapewniła Anusia, wprowadzając ją do domu. – Powinnaś odwiedzać mnie częściej. Nie musisz czekać na zaproszenie.

Anna obdarzyła przyjaciółkę uśmiechem.

– Dziękuję. Bardzo mi miło.

Wchodząc do środka, spodziewała się, że ujrzy gości zbitych w grupki, pogrążonych w rozmowie, ze zmarszczonymi czołami.

Nic z tego. W domu panowała cisza niczym w klasztorze. Nikogo nie było.

– Masz jakieś wieści od męża z Wilna? – spytała Anna.

– Nie – odparła Anusia. – Dzisiaj nie będzie wielkiej

kolacji, tylko my dwie. Teściowa jest przeziębiona i leży w łóżku, a teść wyszedł. Ostatnio jest bardzo przygnębiony, bo niewiele wiemy o toczącej się wojnie, a to, co do nas dociera, nie wróży nic dobrego. Wezwano go do pałacu ambasadora.

– Czy Pradt nadal jest w Warszawie? Słyszałam, że kilka miesięcy temu spakował swoje rzeczy i czeka na złe wieści.

– Na pewno jest gotów do ucieczki, ale możesz być pewna, że nie zrobi niczego bez rozkazu Napoleona. Tymczasem wiesz równie dobrze jak ja, że od wielu tygodni do Warszawy nie dotarł żaden biuletyn.

Anna nabrała powietrza w płuca. Czy mogła nie podzielić się swoją wiedzą z dobrą przyjaciółką? Zachować w tajemnicy fakt, że Napoleon we własnej osobie biega po Warszawie w zielonej aksamitnej opończy i futrzanej czapie jak pretensjonalny Ozryk z *Hamleta*!

– Jak minęła noc w szpitalu? – spytała Anusia. – Wyglądasz na zmęczoną, Aniu.

– Bo jestem. Próbowałam zdrzemnąć się po powrocie, ale nie mogłam.

– W takim razie postaram się szybko wysłać cię do domu.

Rzeczywiście dwie godziny po kolacji Anusia chciała wyprawić gościa w drogę powrotną, ale Anna zaprotestowała. Była pewna, że teść przyjaciółki wróci do domu z ważnymi wiadomościami.

Książę Stanisław Potocki pojawił się o dziesiątej wieczorem. Anna była zaskoczona jego dobrym nastrojem.

– Usiądźcie obydwie – powiedział książę. – Nigdy nie zgadniecie, kto był u ambasadora.

– Chyba jednak wiem – wtrąciła Anna, zapominając się na chwilę.

– Naprawdę? – spytał zaskoczony Potocki. – W takim razie powiedz, Aniu.

– Napoleon Bonaparte, cesarz Francji – wyrecytowała,

uśmiechając się tryumfalnie.

Książę Potocki nie krył zaskoczenia, potem jednak wybuchnął śmiechem.

– Nie przypuszczałem, że taka z ciebie czarownica! Wiem, że żartowałaś, Aniu, ale wcale się nie pomyliłaś. Naprawdę był tam Napoleon.

Anusia gwałtownie nabrała powietrza w płuca.

– Jest w Warszawie? Armia wraca do domu?

Anna знаła odpowiedź i na to pytanie, ale tym razem zaczekała, co powie książę i jakie poda szczegóły.

– Z armii nie zostało zbyt wiele. – Iskierki w oczach Potockiego przygasły. – W tym względzie cesarz był szczery aż do bólu. Mówił o stu dwudziestu tysiącach żołnierzy, ale z innych źródeł wiemy, że ta liczba jest niższa. Znacznie niższa.

Anusia była przerażona.

– Przecież na wyprawę do Rosji zabrał pół miliona ludzi!

– Zgadza się – potwierdził Potocki. – Na razie wrócił do Warszawy z trzema oficerami. Ci, którzy przeżyli odwrót z Moskwy, z trudem starają się dotrzeć do Wilna.

Wiadomość ta przestraszyła Anusię, której mąż Aleksander dowodził w tym mieście.

– Kiedy Aleks po raz ostatni pisał, w mieście panował potworny bałagan, bo musieli sobie radzić z żołnierzami, którzy zostali ranni w drodze do Moskwy, nie wspominając o ogromnych rzeszach francuskich dezertersów.

Potocki blade się uśmiechnął.

– Modłę się, by sytuacja uległa poprawie. – Zwrócił się do Anny. – Modłę się również za twoich synów, Aniu. Pewnie bardzo się o nich martwisz. Oby bezpiecznie dotarli do Wilna.

– Najmocniej dziękuję.

Książę przekazał szczegóły raportu, który Napoleon złożył Radzie Księżstwa. Relacja wyglądała na obiektywną. Cesarz dokładnie poinformował o komplikacjach, porażkach i

poniesionych stratach, o śmierci setek tysięcy żołnierzy, i zrobił to bez cienia romantyzmu czy prób ukrywania rozmiaru katastrofy. Bo tym właśnie okazała się kampania rosyjska – katastrofą. Jak sam powiedział: „Wzniosłość od śmieszności dzieli zaledwie jeden krok”.

Anna spojrzała księciu prosto w oczy.

– Czy cesarz bierze na siebie odpowiedzialność? Potocki wzruszył ramionami.

– Przyznaje się do błędów. Twierdzi, że opuściła go słynna szczęśliwa gwiazda, dlatego pokonała go aura, czy jak sam to określa: generał Zima.

– Szczęśliwa gwiazda?! – zawołała Anna. – Generał Zima? Tak ma wyglądać przyznanie się do błędów?!

Książę Potocki spojrzał na nią zaskoczony.

– Co dalej? – naciskała.

– No właśnie, chyba nie uwierzysz, Aniu. Przegrana kampania wcale go nie załamała. Przedstawił Radzie dokładny obraz aktualnej sytuacji politycznej w Europie i zaprezentował jasny plan. Jest w nim miejsce dla niepodległej Polski. Powiedział, że powinien dopilnować tego wcześniej i że to mogłoby pomóc sprawie. Na razie ruszył do Paryża, by zebrać nową armię.

– Nową armię – powtórzyła Anna bezmyślnie.

– Jak zareagowała Rada? – spytała Anusia.

– Większość członków uległa jego urokowi. Bez przerwy powtarzał, że kto nie ryzykuje, nie wygrywa.

Hrabina Stelnicka była oburzona, bo odniosła wrażenie, że książę najwyraźniej również dał się oczarować Napoleonowi. Myślała tylko o jednym: albo Polacy nigdy nie tracą nadziei, albo... są naiwni i łatwowierni jak nikt na świecie.

Kiedy książę udał się na spoczynek, podzieliła się ostatnią refleksją z Anusią.

– Cesarz jest przebiegły jak lis. Wystarczy, jeśli pomacha

Polakom przed oczami niepodległością i zaczeka, co będzie się działo. Pójdą za nim w ogień. Jak stado baranów.

– Gdybyśmy tam były, Aniu, przypuszczalnie nas również zdołałby przekonać.

– Cóż, jest pewien drobiazg, Anusiu. Nas tam nie było – podkreśliła Anna. – I na pewno nie było tam również żadnej innej kobiety.

Jan stanął w korytarzu kamienicy Pawła przy Piwnej, strząsnął z siebie śnieg i przez chwilę obserwował schodzącą z góry córkę. Była wyższa i piękniejsza, niż pamiętał. Zbliżał się wieczór, a na zewnątrz zimowe ciemności otulały wszystko jak ciężka kurtyna.

– Witaj, tatusiu! Przyjechałeś!

Rzuciła mu się w ramiona, całkowicie zapominając o zasadach obowiązujących młode damy wpajanych jej przez zakonnice.

– Tak się cieszę – szepnęła mu do ucha. – Mama jest zrozpaczona. Stara się nadrabiać miną, ale to tylko pozory. Powinieneś na jakiś czas zabrać ją do Sochaczewa.

Jan odsunął córkę na odległość ramienia i spojrzał na nią z niemym pytaniem.

– Złe wieści – powiedziała Basia. Odruchowo wzmocnił uścisk.

– To znaczy? Mama wie coś... o chłopcach?

Chwila oczekiwania na odpowiedź córki zdawała się ciągnąć w nieskończoność.

– Nie, nie to miałam na myśli! – zawołała dziewczyna. – Chodziło mi o wiadomości... z frontu.

– Rozumiem. – Przez moment Jan spodziewał się najgorszego. Zdołał się jednak opanować i puścił córkę. – Te same informacje docierają również do Sochaczewa.

– Wiem, ale mama bardzo dużo pracuje w szpitalu... wydaje mi się, że to ją przytłacza. Tymczasem powiadają, że w Rosji zamarzło czterech na pięciu polskich żołnierzy. – Jej oczy napęłniły się łzami. – Czyli mniej więcej osiemdziesiąt tysięcy młodych ludzi!

Przykro było słyszeć takie słowa z ust córki.

– Nasi chłopcy wrócą do domu. Nie wolno ci myśleć

inaczej, Basiu, słyszysz?

– Tak – powiedziała, lekko pociągając nosem.

– Gdzie mama?

– Śpi. O północy idzie do szpitala.

– A ty? Macie ferie?

– Nie, poprosiłam o wolny dzień... poza tym zbliża się Wigilia i Nowy Rok. Chociaż ostatnio nikt o takich rzeczach nie myśli.

– Niezależnie od wszystkiego będziemy obchodzić Boże Narodzenie i Nowy Rok jak zawsze – zapewnił Jan. – Tego możesz być pewna. – Pocałował córkę w czoło. – Pójdę na górę.

– Dobrze, tato – powiedziała, rozumiejąc, że ojciec chce iść tam sam.

Jan zostawił buty w przedpokoju i wszedł do sypialni, niosąc świeczkę, która rozjaśniła nieco ciemny, cichy pokój. Zamknął za sobą drzwi, zatrzymał się w bezruchu i zaczął nasłuchiwać. Na palenisku zarzyło się kilka szczap, od czasu do czasu wyrzucając snopy iskier; w pokoju było ciepło. Dopiero po dłuższej chwili usłyszał delikatny, regularny oddech żony. Nagle uświadomił sobie, jak bardzo za nią tęsknił i jak bardzo ją kocha.

Chciał ją obudzić, wiedział jednak, że nie powinien tego robić, bo Anna potrzebuje snu. Wzięła na siebie zbyt wiele obowiązków, za ciężko pracowała. Bóg jeden raczy wiedzieć, jakie okropności każdego dnia widywała w szpitalu. Powinna się przespać.

Zabrakło mu jednak sił, by opuścić pomieszczenie. Podszedł bezszelestnie do łóżka. Zauważył, że Anna leży po lewej stronie, w miejscu, które zawsze zajmowała, jakby w każdej chwili spodziewała się wizyty męża. Czy zostawiając dla niego miejsce, pragnęła mieć go przy sobie choćby tylko

duchem? W domu w Sochaczewie robiła dokładnie to samo, jednak dopiero w tej chwili zdał sobie z tego sprawę.

Odsunął narzuty, zdjął koszulę i bryczesy, po czym ostrożnie położył się do łóżka. Puchowy materac był delikatniejszy niż w Sochaczewie, a kołdra przyjemniejsza. Położył się po swojej stronie, twarzą do Anny, która była odwrócona do niego plecami.

Poruszyła się delikatnie i znalazła się bliżej niego. Promieniujące od niej ciepło obudziło w nim pożądanie.

Choć minęło pół godziny, nie mógł zasnąć... i to nie tylko z powodu pożądania. Odtwarzał w myślach historię ich znajomości: pierwsze spotkanie i potajemne randki; małżeństwo, dzieci; okruchy szczęścia znajdowane pomimo zamętu, wojny i rozłąki. Zbyt wiele czasu spędzili z dala do siebie. Życie nie szczędziło Annie ciężkich ciosów, od przedwczesnej śmierci rodziców poczynając, poprzez gwałt i późniejszą ciążę, a na małżeństwie z mężczyzną, którego interesował tylko jej majątek i który próbował pozbawić ją życia – kończąc. Mimo to jakoś z wszystkiego wychodziła obronną ręką. Jak ona to robiła? Każdy mężczyzna mógłby jej pozazdrościć siły i wytrwałości.

Jan klął na siebie w duchu. Kiedy wzięli ślub, miał nadzieję, że będzie Annę chronił i zawsze stał u jej boku. Tymczasem zostawił ją – i to wielokrotnie – by wieść żołnierski żywot. Opuścił ją na wiele lat. Czas spędzony na czekaniu i zastanawianiu się, czy mąż kiedykolwiek wróci... musiał być dla niej trudniejszy niż wszelkie kampanie i potyczki, w których on brał udział.

Anna odwróciła się na plecy i dotknęła boku Jana. Zaskoczona otworzyła oczy, przez moment patrzyła na sufit, jakby sobie nie dowierzała, a potem przerażona spojrzała w jego stronę. Wydawało mu się, że dostrzega zieleń jej oczu; ona tymczasem się cofnęła, odwróciła na bok i wsparła głowę

na dłoni.

– To ty, Janie?! – wychrypiała, pokonując strach.

– Przepraszam, Aniu. Nie chciałem cię przestraszyć.

– Jak... jak długo tu jesteś?

– Mniej więcej pół godziny. – Cicho się roześmiał. –

Przepraszam, że cię przeraziłem.

Uśmiechnęła się.

– Nigdy... nigdy nie przeżyłam tak radosnej chwili grozy.

– To prawda – przyznał, wsuwając ramię pod jej rękę i przyciągając Annę do siebie.

Położyła głowę na jego piersi.

– Janie, tak się cieszę, że przyjechałeś.

Przez chwilę bawił się jej włosami, po czym pocałował ją w czubek głowy.

– Powinnam wrócić do domu, Janie. Przepraszam.

– Nie, Aniu, to ja powinienem przyjechać tu znacznie wcześniej. Twoja praca tutaj jest o wiele ważniejsza niż to, co tam robię.

Uniosła głowę i spojrzała na męża.

– Ale mogłabym...

Uciszył ją, dotykając palcem jej warg.

– Czyżbyś miała ochotę na kłótnię? – Delikatnie ją pocałował. – Jeśli tak, zostaw ją na później.

Ponownie ją pocałował, tym razem... o wiele mocniej. Potem długo jeszcze wspominał, jak kochali się tego wieczoru.

Kilka dni później w sobotni wieczór Jan i Anna przyjechali do Potockich do Wilanowa. Mieli wziąć udział w skromnej kolacji na cześć wuja Anusi, księcia Poniatowskiego, który parę dni temu wrócił do Warszawy z rosyjskiej kampanii. Generał podczas bitwy paskudnie skręcił nogę i wciąż

odczuwał ból; rodzina Potockich udzieliła mu gościny na czas rekonwalescencji.

Jan był bardzo rozczarowany Napoleonem, nie wierzył również w jego obietnice przywrócenia Polsce niepodległości, dlatego z mieszanymi uczuciami skłonił głowę przed półleżącym Poniatowskim, który poprowadził na Moskwę tylu młodych Polaków. Nie było szans, by uczucia Jana w stosunku do Napoleona uległy zmianie, jednak w obecności wielkiego patrioty hrabia Stelnicki odnosił wrażenie, że to on sam zawiódł ojczyznę. Zawiódł również synów, którzy poszli za głosem serca wzywającym ich do służby Polsce.

Księżę był niezwykle uprzejmy.

– Janie i Anno, cieszę się, że was widzę i że życie nadal się toczy.

Jan dostrzegł w oczach generała ból, którego przyczyną wcale nie były fizyczne dolegliwości. Na twarzy księcia odbijała się mroźna, sroga rosyjska zima, oblicza żołnierzy Piątego Korpusu i bitwy okupione ogromną liczbą zabitych i rannych.

Generał najwyraźniej dostrzegł niepokój w oczach Anny, dlatego od razu skierował rozmowę na interesujący ją temat.

– Drodzy przyjaciele – zaczął, nabierając powietrza. – Byłbym szczęśliwy, mogąc wam coś powiedzieć o waszych synach.

– Nie ma żadnych wieści? Ani dobrych, ani złych? – spytała Anna.

– Niestety nie, Anno. Mogę tylko zapewnić, że kiedy opuszczaliśmy Moskwę, waszych synów nie było na liście poległych.

– Czyli wyjechali stamtąd cali i zdrowi? – naciskała Anna. Generał przymrużył oczy i lekko się zgarbił.

Jan ścisnął dłoń Anny, mając nadzieję, że żona nie będzie zadawać dalszych pytań.

– Dziękujemy za wszystko, panie generale – powiedział. – Podtrzymał nas pan na duchu.

Jeszcze przed posiłkiem kilku gości poprosiło księcia, by powiedział coś więcej o zakończonej niepowodzeniem kampanii. Poniatowski odpowiadał szczerze, tak jakby zapomniał, że w salonie są Jan i Anna.

– Bardzo wielu żołnierzy zginęło – wyznał. – Francuzów, Włochów, Saksończyków i Polaków. Francuski cesarz tym razem zawiódł, i to na całej linii. Przestał nas zadziwiać swoimi instynktownymi decyzjami. Zastanawiał się, wahał, a potem wybierał najgorszą możliwość. Armia po kolejnych bitwach coraz bardziej malała. Przez cały czas żądni krwi kozacy i rozwścieczeni chłopci atakowali nas i kasałi jak okrutne wilki. Sporo żołnierzy przetrwało te ataki, by potem umrzeć z głodu, zimna lub na tyfus – tacy dzielni ludzie! Musieli być bardzo rozczarowani, że nie giną w walce. – Książę przerwał, jakby te słowa przeszyły jego serce niczym ostrze szabli. Po chwili głęboko westchnął. – Nie zostanę długo w Warszawie. Może trudno wam w to uwierzyć, ale wkrótce ma powstać nowa polska armia, a ja ponownie stanę na jej czele.

Zapadła cisza, tylko kilka osób głośno sapnęło.

– Czy uwierzycie – kontynuował generał – że pomimo potwornego chaosu i braku dyscypliny w Moskwie, gdy całe jednostki rzucały się na poszukiwanie łupów, ani jeden – powtarzam: ani jeden! – z moich żołnierzy nie opuścił posterunku?

Zrządzeniem losu w tym właśnie momencie książę Potocki zakomunikował Poniatowskiemu, że do Warszawy dotarła grupa żołnierzy, którzy chcieliby się z nim spotkać w sali recepcyjnej.

Książę Poniatowski natychmiast wstał, krzywiąc się z bólu. Idąc o kulach, minął podwójne drzwi prowadzące do

obszerne przedpokoju. Książę Potocki machnął ręką, żeby pozostali goście poszli za księciem.

Jan i Anna również przyłączyli się do tłumu. Janowi serce zabiło szybciej. Czy istnieje szansa – choćby tylko cień szansy – że wśród przybyłych jest Michał i Tadeusz? Na twarzy Anny widać było niepokój. Najwyraźniej pomyślała o tym samym. Jan mocniej objął żonę. Czuł, że cała drży.

Chociaż Stelnicki był doświadczonym żołnierzem, doznał szoku na widok wychudzonych, obszarpanych ludzi, którzy godzinę temu dotarli z Wilna do Warszawy. Zaledwie kilku z nich miało na sobie resztki dumnych, kolorowych mundurów, w których opuszczali stolicę. Wszyscy przypominali szkielety w brudnych łachmanach i postrzępionych futrach. Jan żałował, że nie mógł oszczędzić Annie tego widoku, ona jednak wcale nie wyglądała na zszokowaną. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jego żona od wielu tygodni spotyka podobnych mężczyzn przybywających lub przynoszonych do szpitala, dlatego nic jej nie dziwi. Bez wątpienia widywała gorsze rzeczy. Oboje z nadzieją przyjrzeni się twarzom przybyłych raz, potem drugi. W tej grupie nie było ich synów. Ani Anna, ani Jan nie odezwali się słowem, chociaż byli bardzo rozczarowani.

Kilku spośród tuzina żołnierzy wystąpiło i złożyło u stóp generała orły swoich pułków. Mimo że Napoleon kazał zniszczyć proporce, flagi i polskie orły, by nie wpadły w ręce wroga, ci ludzie ukryli żołnierskie symbole. Książę Poniatowski bacznie im się przyjrzał, a jego oczy napęłniły się łzami.

– Brakuje... – powiedział – brakuje tylko jednego. Zasalutował żołnierzom, nie zważając na łzy płynące mu po policzkach.

– Nie brakuje, panie generale, jest tutaj – powiedział jeden z żołnierzy. – Ma go Kazimierz, tylko się wstydzi, bo jego

orzeł nie zachował się w całości.

Wypchnięto do przodu młodego żołnierza. Wychudzony i przestraszony młodzieniec – właściwie chłopiec – położył ostatni symbol przed swoim dowódcą.

Jan zerknął generałowi przez ramię i zauważył, że orzeł nie ma głowy.

Żołnierz oblał się pąsem i spojrzał na księcia Poniatowskiego.

– Kula utraciła mu głowę. Generał oniemiał.

– Niech was Bóg błogosławi – powiedział w końcu. Potem powtórzył głośniejszym głosem: – Niech Bóg was wszystkich błogosławi!

Obdarta grupka towarzyszy broni stanęła na baczność i krzyknęła:

– Niech żyje Polska! Niech żyje Polska!

Jan wiedział, że na zawsze zapamięta ten moment – wymianę zdań między generałem a jego podkomendnymi, rozmowę, która tak wiele mówiła o Polsce i duchu tego kraju.

– Książę! – zawołał generał. – Czy możemy nakarmić tych młodych patriotów?

– Oczywiście, generale! – odparł Potocki bez zastanowienia. – Oczywiście.

Po kolacji książę Poniatowski podszedł do Anny i Jana.

– Moi ludzie przywieźli ze sobą pocztę. Jest wśród nich list do was od Pawła. – Książę wręczył Janowi kopertę i lekko skinął głową. – Mam nadzieję, że zawiera dobre wieści.

Potem się oddalił, zostawiając ich samych.

Jan podał list Annie. Nie odrywała zielonych, nakrapianych bursztynowo oczu od twarzy Jana. W jej spojrzeniu widać było ogromną nadzieję... i ogromny strach.

– Otwórz, Aniu – wyszeptał Jan.

Przełamała pieczęć, otworzyła list i szybko przebiegła wzrokiem kilka linijek.

– Och, Janie, Tadek został ranny w nogę!

Anna przycisnęła na chwilę list do serca, a potem z wypiekami na twarzy czytała dalej.

– No i co, Aniu?

– Był trzykrotnie operowany. Po raz ostatni w Wilnie.

– Czyli wrócili do Rzeczypospolitej! Nagle zamarła i potwornie zbladła.

– Co dalej? – naciskał Jan.

– Gangrena – powiedziała śmiertelnie blada Anna. Przez chwilę do Jana nie docierało znaczenie tego słowa.

Widział tylko skierowane na siebie szmaragdowe oczy żony. Nigdy w jej spojrzeniu nie widział takiej pustki.

– O co chodzi, Aniu?

– On nie żyje, Janie – powiedziała ledwo słyszalnym szeptem. – Nie żyje!

Zachwiała się. Jan był pewien, że zaraz będzie musiał ją przytrzymać, by nie upadła. Ona jednak stała w milczeniu. Nie uroniła ani jednej łzy.

W pierwszej chwili Jan pomyślał o żonie, a nie o zmarłym synu. Objął Annę, żeby mogła w jego ramionach pożegnać Tadka. Długo stali w takiej pozycji, powoli oswajając się z tragiczną informacją. W końcu Jan spytał:

– A Michał? Kiedy wraca do domu?

Odsunął Annę na odległość ramienia, by móc spojrzeć na jej twarz.

Anna potrząsnęła przecząco głową.

– Nie wraca, Janie. Jego jednostka rusza do Torunia, a potem do Poznania.

Zofia zaczekała, aż Anna wyjdzie do szpitala, dopiero potem zapukała do saloniku na pierwszym piętrze.

– Proszę – rozległ się głos Jana. Zofia weszła.

– Mam nadzieję, Janie, że nie przeszkadzam.

Pokój był dobrze oświetlony, paliło się w nim tuzin świec.

Jan wstał.

– To twój dom, Zofio.

Usiadła na krześle naprzeciwko niego. W wyrazie jego twarzy i głosie wyczuła zjadliwą ironię, której w stosunku do niej nigdy się nie pozbył. Nie wybaczył jej grzeszków, które popełniła przed laty, krzywdząc jego i Annę. Nie miała do niego o to żalu.

– To nie jest mój dom, Janie. Należy do Pawła, a ty jako jego dobry przyjaciel zawsze jesteś tu mile widziany.

Usiadł.

– A jako mąż twojej kuzynki?

– Tak samo.

Jan z lekką przesadą pokiwał głową.

– Czy zawsze będziesz mną tak pogardzał? Był wyraźnie zaskoczony.

– Jesteśmy powinowatymi – powiedział, siląc się na żart. – Nie musimy być przyjaciółmi.

– Mam nadzieję, że pewnego dnia nam się to uda. Z całego serca przepraszam za dawne... przewinienia.

– Przeprosiny przypominają czyszczenie plam, Zofio... jakaś część zawsze pozostaje. Nie mam ochoty kontynuować rozmowy na ten temat. Po co przyszłaś?

– Chciałam powiedzieć, że jest mi bardzo przykro z powodu Tadka.

– Dziękuję za kondolencje. Zofia odchrząknęła.

– Przyszłam porozmawiać z tobą w imieniu Anny.

– Co takiego? Dlaczego moja żona miałaby...?

– Och, zapewniam cię, że Anna o niczym nie wie.

– W takim razie o co chodzi?

– Przyszłam prosić, żebyś nie jechał z Poniatowskim do Krakowa. Twoje miejsce jest u boku Anny.

– Słucham? Skąd to wiesz, Zofio?

– Chcesz z powrotem zaciągnąć się pod sztandary

Napoleona. Dołączyć do Pawła i Michała.

– Nic takiego nie powiedziałem Annie!

– Ja również z nią o tym nie rozmawiałam. Jednak wiem... a skoro ja wiem, możesz być pewien, że twoja żona również zdaje sobie z tego sprawę.

– Zostałaś jasnowidzem...? Czy może to ja jestem taki przewidywalny?

– Wszystko dlatego, że dobry z ciebie człowiek, Janie Stelnicki, ale do szpiku kości przesiąknięty patriotyzmem. Bądź dobrym mężem dla Anny. Nie jedź, Janie.

– Nic się nie zmieniasz, Zofio. Wciąż próbujesz wpływać na życie innych. Kiedy przestaniesz traktować ludzi jak pionki na szachownicy? Kiedy?

– Przyznaję się do winy, ale moja prośba nie wynika z chęci manipulowania kimkolwiek. Zginęło już dość Polaków, młodych i starych. Tylko po co? Żeby zaspokoić próżność małego Francuza?

– Nie mam zamiaru robić tego dla niego. Chodzi o Michała.

– Syna Anny.

– Michał jest również moim synem.

– Janie, nie chcę patrzeć, jak Anna cię traci. Francuz jest skazany na niepowodzenie. Myślę, że Poniatowski zdaje sobie z tego sprawę. Ty również. Sam Napoleon czuje, że wisi nad nim jakieś fatum.

Jan wzruszył ramionami.

– Każdy wojownik któregoś dnia musi zmierzyć się z porażką.

– Jest takie powiedzenie: „Dzięki męstwu można wygrać wojnę, dzięki męstwu można przegrać”. Pokazałeś już, że jesteś odważny. Pomyśl teraz o żonie. Czy nie zdobyłbyś się na większą odwagę, zostając w domu?

– Dziękuję za radę, Zofio.

Jan wstał, jakby chciał odprowadzić ją do drzwi.

Zrozumiała jego intencje i podniosła się z krzesła. Kiedy znalazła się na korytarzu, przyszło jej na myśl, że mąż Anny chyba nieco zmienił się w stosunku do niej. Przynajmniej przez chwilę w jego głosie nie było słychać ironii.

Zeszła na parter i usiadła w salonie, który powoli pogrążał się w ciemności. „Oczywiście, Jan miał rację” – pomyślała. To prawda, że próbowała kierować życiem innych ludzi. Usłyszała to również od Charlotte, która chcąc zapewnić Izabeli niezależność, zostawiła jej ogromny spadek. Zofia ze śmiechem przypomniawszy sobie, jak ją to wtedy zdenerwowało. Nie chodziło o to, że straciła majątek i ziemię na rzecz córki – była zła, że nie może decydować o przyszłości Izabeli. Jednak po jakimś czasie złość minęła.

Pomyślała o ojcu Izabeli. Od dawna go nie widziała. Nie wierzyła, by Jurek zdołał przeżyć. Piechota zawsze ponosiła największe straty. „Co za marnotrawstwo – denerwowała się w duchu. – Był taki młody, taki przystojny, tyle mógł zdziałać”. Często wspominała jego niewinność i przywiązanie. W takich chwilach dochodziła do wniosku, że mogłaby go pokochać... gdyby nie dzieląca ich przepaść społeczna. Często jej się śnił.

Kilka dni wcześniej Anna jej powiedziała, że na oddziale leży młody żołnierz piechoty o imieniu Jerzy. Jej zdaniem to właśnie on przed laty dopytywał się o hrabinę Grońską – chociaż teraz gorąco temu zaprzeczał. Usłyszawszy to, Zofia szybko poszła do szpitala. Było to jednak następnego dnia. Gdy dotarła na miejsce, żołnierza już wypisano. Czy rzeczywiście był to Jurek? Zofia sama nie mogła uwierzyć, że tak bardzo się tym przejęła. Myśl o nim obudziła silne emocje. Hrabina Grońska przypomniawszy sobie pobyt w chacie prostych wieśniaków i własne pragnienie, by być zwykłą wiejską dziewczyną zaręczoną z przystojnym Jurkiem. Nagle doszła do wniosku, że dawne marzenie – pomimo swojej śmieszności

– wcale nie umarło.

Połowa marca 1813

Anna weszła do znajdującej się na piętrze sypialni, którą zajmowała jako dziecko.

– Często siadywałam w tym oknie – powiedziała Basi – z podciągniętymi nogami, dokładnie tak jak ty.

Wyjrzała przez okno na długą, krętą drogę dojazdową ciągnącą się wśród topól.

Kiedy w lutym tysiąc osiemset trzynastego roku Rosjanie rozpoczęli okupację Warszawy, ustanawiając w Księstwie carski protektorat, Anna zabrała córkę do Sochaczewa. W stolicy zapanowała cisza i spokój, jakby miasto czekało na egzekucję. Trzynastego marca Prusy wypowiedziały Francji wojnę. Wszystkie znaki na niebie i na ziemi przemawiały przeciwko Napoleonowi, a sytuacja mogła się jeszcze pogorszyć. Zadawano sobie pytanie, czy do sojuszu przeciwko Francji przyłączy się Austria rządzona przez teścia Napoleona.

– O czym myślisz? – spytała Barbara.

– Słucham?

– Przez chwilę wpatrywałam się w przestrzeń, mamusiu.

– Naprawdę? Patrząc na podjazd, przypomniałam sobie chwilę, kiedy z tego okna zobaczyłam, że chłopci przywieźli na wozie ciało mojego ojca. To był okropny dzień. Pierwszy spośród wielu okropnych dni.

– Obiecałaś kiedyś, że jak dorosnę, wszystko mi opowiesz. Czy jestem już wystarczająco dorosła? Możesz mi wszystko opowiedzieć, mamusiu?

Anna westchnęła.

– Tak, Basiu, mogę.

Anna usiadła w oknie wykuszowym naprzeciwko córki i niemal przez godzinę opowiadała jej o śmierci rodziców,

gwałcie, zaaranżowanym przez rodzinę małżeństwie z mężczyzną, który próbował ją zabić... i o wieloletniej miłości do Jana Stelnickiego.

– To znaczy, że zawsze kochałaś tatę?

– Zawsze.

– To piękna historia, mamusiu.

– Piękna? Tak, chyba masz rację, ale nie zawsze szczęśliwa. Basiu, on znów poszedł... na wojnę.

– Ale wróci... sama tak mówiłaś! Nie wierzysz w to?

– Wierzę, wierzę, kochanie.

– Wróci... Michał również!

Basia podbiegła do Anny, przytuliła ją i pocałowała w czoło. Na chwilę przejęła rolę matki. Potem drugą ręką delikatnie pogłaskała Annę po zaokrąglonym brzuchu.

– Z tego również się cieszysz, prawda?

Anna wstała.

– Tak, Basiu.

– Co wolałabyś: chłopca czy dziewczynkę?

– Dziewczynkę – odparła Anna, pieszczotliwie skubiąc policzek córki. – Dokładnie taką jak ty.

Usłyszały szelest na dachu.

– Czy to...?-spytała Basia.

– Tak! – Anna wybuchnęła śmiechem. – Bociany wróciły do domu!

Tego samego dnia, kiedy zrobiło się ciemno, a ogień w kominku w salonie ogrzewał chłodne wieczorne powietrze, Anna siedziała na krześle i przyglądała się rodzinnej kolekcji broni na ścianie nad kominkiem. Zdumiewał ją pewien paradoks – podobne zbiory broni wojennej oraz niewielkie biblioteki były symbolami każdego szlacheckiego dworku.

Mimo to Anna naprawdę wolałaby urodzić dziewczynkę. Poświęciła już jednego chłopca nienasyconej machinie

wojennej. Poprzysięgła sobie, że prędzej pójdzie do piekła, niż odda do wojska następnego syna.

Pomyślała o Tadziu, pięknym niemowlęciu, które tak bardzo przypominało Jana. Kiedy rósł, jego błękitne oczy z ciekawością spoglądały na świat. Nie inaczej było, gdy razem z Michałem opuszczali Warszawę, pełni wiary w Napoleona i jego mgliste obietnice przywrócenia niepodległości dawnej Rzeczypospolitej.

Byli jeszcze dziećmi – cóż mogli wiedzieć? Zresztą, czy ktokolwiek mógł coś wtedy przewidzieć? Wszelkie nadzieje, jakie masoneria pokładała w Tadeuszu, przepadły, zmyte jak życzenia spisane na piasku. Anna nigdy nie wierzyła, by plany wolnomularzy mogły nabrać realnych kształtów, dlatego opłakiwała nie ewentualnego króla Polski, lecz swojego syna, Tada.

Chociaż Polacy byli niezadowoleni z niewielkiego Księstwa Warszawskiego, obecnie wspomina się je z ogromną melancholią. Kiedy armia rosyjska posuwała się do przodu, książę Poniatowski zabrał swoich ludzi do Krakowa. Hrabia Potocki zdradził, że car Rosji zaproponował Poniatowskiemu przejście na stronę Rosjan i objęcie tronu Polski uzależnionej od Rosji. To było więcej niż trzydzieści srebrników, jednak za mało, by książę splamił swój honor i złamał dyscyplinę wojskową. Tylko Napoleon podjął walkę z odwiecznymi wrogami Polski, a Poniatowski na dobre i na złe związał się z Wielką Armią Bonapartego. On i jego podkomendni zostali przy małym cesarzu. Postąpili zgodnie z polskimi zasadami.

Anna nie protestowała, gdy mąż powiedział, że znów zaciągnął się do wojska. Wiedziała, że nie zdoła go zatrzymać. W dniu wyjazdu Jan pokazał żonie dokumenty dotyczące jej majątku. Anna postanowiła je od razu przejrzeć. Szybko się zorientowała, jak wiele zapłacił hrabia Stelnicki francuskiemu cesarstwu, by utrzymać Topolowo.

– Twój rodzinny majątek, Janie! – krzyknęła. – Wydałeś go w całości?

– Nie do końca – odparł. – Poza tym teraz Topolowo jest naszym majątkiem rodzinnym, Aniu.

Przytaknęła.

– Zawsze należało do ciebie. Nigdy nie wspomniałeś o tym ani słowa!

– Przepraszam, Aniu. Mąż i żona nie powinni mieć przed sobą tajemnic.

Anna pomyślała, że serce jej pęknie z powodu tajemnic, które dotychczas on miał przed nią, i sekretu, którego ona wciąż mu nie wyjawiała.

– Płaczesz, Aniu? Przepraszam, że wcześniej ci o tym nie mówiłem.

Anna potrząsnęła głową.

– Nie, nie chodzi o to, Janie. Ja również nie powiedziałam ci wszystkiego.

– Czego?

– Że to ja, Janie... zabiłam Dolińskiego. Naprawdę! Jan ujął jej twarz w dłonie i blado się uśmiechnął.

– Wiem – powiedział.

– Wiesz?! Przytaknął.

– Wiem również, że Michał zabił Feliksa Paducha, mordercę twojego ojca.

– Skąd... się o tym dowiedziałeś?

– Od Michała.

– Od Michała? Zwierzył ci się?

– Owszem, dlaczego miałby tego nie zrobić? W końcu jestem jego ojcem, prawda?

– Tak – przyznała Anna, czując dziwne oszołomienie. Nie wiedziała, co powiedzieć. W tym momencie rozwiąła się odwieczna obawa... wręcz strach, że Jan nigdy nie uznał do końca Michała za swojego syna.

– Nie martw się, Aniu – szepnął jej do ucha, obejmując ją w pasie. – Przywiozę Michałka do domu.

– Przywieź go, Janie – odpowiedziała Anna, całując męża.
– I wróc do mnie. Wróc do mnie, słyszysz?!

Kiedy wyjeżdżał, Anna nie płakała, a na jej twarzy widać było szczery uśmiech.

Kwiecień 1813

– Mój Boże, Janie – powiedział Paweł. – Znów włożyłeś mundur! Nie wierzę własnym oczom!

Jan wybuchnął śmiechem. Dostrzegł zaskoczenie na twarzy Pawła, poczuł je w niedźwiedzim uścisku.

– Tylko nie myśl, że zmieniłem zdanie o małym Korsykaninie.

– Tego akurat się nie spodziewałem. Wiem, że jesteś tu ze względu na Michała.

– Owszem, ale też z powodu Tadzia. Muszę uczcić jego pamięć, wysadzając kilku wrogów z siodła.

– Wciąż masz w sobie żołnierskiego ducha. Witaj w Norymberdze, przyjacielu!

Jan wzruszył ramionami.

– Kto raz zostanie żołnierzem, już zawsze nim będzie. Czyż nie tak brzmi powiedzenie?

– Jest w nim sporo prawdy. Przybyłeś z Krakowa z Poniatowskim? Były jakieś starcia po drodze?

– Nie... ani jednej potyczki. Czy Napoleon wrócił z Francji?

– Spodziewamy się go lada dzień.

– Jak miewa się Michał?

– Dobrze! Bardzo się ucieszy na twój widok. – Twarz Pawła spochmurniała. – Nie wyobrażasz sobie, przez co przeszli z Tadkiem podczas odwrotu z Moskwy. Michał nie opuszczał brata ani na krok, temperatura rzadko wzrastała

powyżej zera. Niewiele brakowało, a Tadek wyszedłby z tego obronną ręką, Janie. Pod koniec, kiedy w Wilnie wiedział już, co go czeka... mój Boże, przeklinał fakt, iż umiera w szpitalu, a nie na polu walki.

– Musiał być załamany.

– I był. Wciąż przypominałem mu, że przecież ranę odniósł w walce. Tysiące takich jak on po prostu zamarzało na śmierć lub umierało na tyfus. Dopilnowałem, by dostał krzyż Legii Honorowej za odwagę. Uparł się, że chce podczas ceremonii siedzieć na łóżku, mimo że zostało mu zaledwie kilka godzin życia. Potem spokojnie rozstał się z tym światem, Janie.

– Zmarł jak na mężczyznę przystało – powiedział Jan, ocierając oczy.

– To prawda.

– Gdzie jest Michał?

Kilka minut później Jan szedł do obozu młodej gwardii. Cieszył się, że znów ma na sobie mundur. Krew szybciej krążyła mu w żyłach. Poniatowski przyjął powrót Stelnickiego pod swoje znaki z prawdziwą radością i entuzjazmem. Jan przywiózł sto dwa konie ze swojej stadniny w Sochaczewie. Hodowane w Polsce zwierzęta były mniejsze i zwrotniejsze od koni służących w Wielkiej Armii. Bardzo się przydały, bo Napoleon szybciej uporał się z brakiem ludzi niż wierzchowców.

Poniatowski miał uformować oddziały z resztek Piątego Korpusu i kilku innych legionów, a potem dołączyć do Ósmego Korpusu. Książę był niegdyś austriackim generałem, otrzymywał odznaczenia od Prusaków i pełnił funkcję ministra wojny w Polsce kontrolowanej przez Rosję. Jeśli wiązał przyszłość Polski z Francją i odrzucił łapówkę Aleksandra w postaci korony – Jan nie mógł postąpić inaczej.

Dostrzegł Michała, który stał w małej, z ożywieniem rozmawiającej grupce młodych gwardzistów.

– Cześć, Michale! – zawołał Jan i pomachał mu ręką. Chłopak gwałtownie uniósł głowę, przerywając w połowie jakąś opowieść czy żart. Przymrużył oczy i lekko rozchylił usta. Potem opuścił towarzyszy i przebiegł trzydzieści kroków, które dzieliły go od ojczyma.

Przez chwilę stali naprzeciw siebie w milczeniu. Zaskoczenie Michała ustąpiło miejsca zakłopotaniu. W końcu, nie wiedząc, co zrobić, zasalutował ojcu. Jan odrzucił na bok wojskowe formalności, roześmiał się i wziął syna w ramiona.

Po chwili poczuł, że Michał drży.

– Tato, starałem się opiekować Tadkiem – powiedział. – Naprawdę się starałem.

Czując na szyi łzy Michała, przez moment myślał, że serce mu pęknie. Robił wszystko, żeby się nie rozplakać – bez skutku.

– Wiem, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś, Michale.

Ostatniego kwietnia Napoleon przyłączył się do Wielkiej Armii. Paweł dowiedział się, że cesarz ma zamiar ruszyć na Lipsk przez Drezno, odzyskać Gdańsk i odepchnąć wroga za linię Wisły. Już pierwszego maja odniósł zwycięstwo w bitwie pod Weissenfels. Niestety, w tym starciu poległ wieloletni towarzysz broni Napoleona, marszałek Bessieres, co bardzo przygnębiło cesarza.

Następnego dnia rozgorzała walka pod Lützen. Cesarz wystawił świeżo upieczonych rekrutów przeciwko rosyjskim weteranom. Wczesnym popołudniem sytuacja Francuzów tak kiepsko wyglądała, że Bonaparte zuchwale wyjechał na pierwszą linię i zaczął wykrzykiwać rozkazy, korygować plany, zagrzewać żołnierzy do walki. Po kilku manewrach koło fortuny się odwróciło: wówczas wysłano do walki połączone młodą i starą gwardię. Dzięki temu udało się przerwać linię sprzymierzonych wojsk prusko-rosyjskich.

Niedobór koni we francuskiej armii uniemożliwił pełne zwycięstwo, niemniej było to zwycięstwo i Napoleon ponownie został uznany za genialnego taktyka.

Francuzi nie tracili czasu na ściganie wycofującej się kawalerii i artylerii nieprzyjaciela. Podczas marszu na Drezno Paweł widział ciągłe potyczki między przednią strażą Francuzów a tylną strażą wroga. Siły Napoleona dotarły do Drezna ósmego maja, a osiemnastego ruszyły w stronę Budziszyna, gdzie znalazły się jeszcze tego samego dnia. Wtedy do armii dotarła wieść, że król Saksonii przestał się wahać, stanął po stronie Francji i dostarczył Bonapartemu nowych żołnierzy. Dwudziestego maja Napoleon rzucił swoje siły przeciwko pruskim i rosyjskim wojskom stacjonującym w Budziszynie, a o zmierzchu przejął kontrolę nad miastem.

Następnego dnia okazało się jednak, że sprzymierzeni walczą z czymś, co Napoleon nazywał fanatyzmem. Bitwa ciągnęła się cały dzień i była wyjątkowo brutalna. Dopiero gdy wieczorem wysłał do boju resztki swojej gwardii, wojska sprzymierzonych wycofały się z pola walki. Francuzi stracili dwadzieścia tysięcy żołnierzy, podobnie jak alianci.

Nazajutrz Francuzi ruszyli w pościg za wrogiem, a w starciu pod Reichenbachem zginął następny człowiek, którego Napoleon kochał i darzył zaufaniem. Najlepszy przyjaciel cesarza, generał Christophe Duroc, został trafiony odłamkiem kuli armatniej. Zmarł otoczony przez bezradnych lekarzy, przeprasząc czuwającego przy nim całą noc cesarza, że jego służba właśnie dobiegła końca.

– Napoleon stracił większość swoich najlepszych generałów – powiedział Paweł Janowi. – Zostali mu tylko trzej najgorsi: Macdonald, Soult i Ney, którzy często nie rozumieją albo po prostu nie słuchają rozkazów.

Napoleon przerwał pościg za aliantami i zgodził się, by Austria rozpoczęła negocjacje z Rosją. Ogłoszono rozejm.

Ponieważ żona Napoleona i francuska regentka, Maria Luiza, była Austriaczką, Bonaparte wierzył w neutralność mediatora. Był przekonany, że ojciec nie wystąpi przeciw córce, która w imieniu męża rządziła Francją.

Mimo to, gdy cesarz nie mógł tego słyszeć, oficerowie żywo dyskutowali na ten temat. Wielu z nich, między innymi Jan i Paweł, uważało, że siły, jakimi dysponuje Francja, dorównują siłom koalicji zgrupowanej wokół Rosji. Jednak gdyby Austria zrezygnowała z neutralności i wsparła którąś z walczących stron, sytuacja mogła się diametralnie zmienić.

Kilka dni po zawarciu rozejmu Jan dowiedział się, że jego dawny przyjaciel i wieloletni ułan, Dezydery Chłapowski, poprosił o zwolnienie ze służby. Stelnicki poszedł do namiotu Dezyderego, który właśnie przygotowywał się do wyjazdu.

– Co się stało? To do ciebie niepodobne!

Mężczyzna usiadł na pryczy. Nie uniósł głowy znad dokumentów, które porządkował, ani nie udzielił żadnej odpowiedzi. Sprawiał wrażenie załamane.

– Niepokoisz się o rodzinę w Poznaniu? – naciskał Jan. – O to chodzi?

Dezydery wzruszył ramionami.

– Nie.

– W takim razie co się stało? Dlaczego nie możesz mi powiedzieć?

– To sprawa, która musi pozostać w tajemnicy.

– I pozostanie. Przysięgam na Matkę Boską Częstochowską.

– W porządku. Towarzyszyłem generałowi Caulaincourtowi podczas negocjacji w sprawie obecnego rozejmu. Kiedy rozmawiał z przedstawicielami aliantów, sekretarz cesarza, baron Fain, pokazał mi warunki stawiane przez Napoleona.

– Dlaczego to zrobił?

– Od tylu lat widuje mnie jako członka gwardii, że stałem się dla niego bardziej Francuzem niż Polakiem.

– Rozumiem. Jak wyglądały te warunki?

Dezydery po raz pierwszy spojrzał Janowi prosto w oczy. Zarumienił się i zniżył głos.

– Na początku listy ustępstw, na które Napoleon był gotów iść – na samym początku! – znajdowało się Księstwo Warszawskie.

– Dobry Boże! Jesteś tego pewien?

– Widziałem na własne oczy, Janie! To my pierwsi zostaniemy wystawieni do wiatru!

Stelnicki patrzył z niedowierzaniem, jak jego przyjaciel składa dokumenty i listy, po czym chowa je do torby.

– Zacząłem służyć u Napoleona jeszcze jako chłopiec – powiedział Dezydery cichym, łamiącym się głosem. – To było całe moje życie. Naprawdę całe! Teraz nagle dowiaduję się, że nie miało żadnej wartości. Żadnej!

– Co masz zamiar zrobić, przyjacielu? Poznań jest okupowany.

Dezydery wstał.

– Pojadę do Paryża... a potem może do Anglii. Wiem tylko tyle, że wolę kopać rowy niż oglądać oblicze tego człowieka. Powiadają, że miał wielkie plany dotyczące Europy. Prawda wygląda tak, że nie miał żadnych planów. Jest dobry wyłącznie w taktyce, ot co!

Jan podszedł i objął przyjaciela.

– Szczęśliwej drogi, Dezydery. Obyśmy pewnego dnia jeszcze się spotkali.

Dezydery odsunął się od Jana.

– A co z tobą, Janie? Co zrobisz teraz, wiedząc o wszystkim?

– Co ze mną? – spytał Jan z bladym, wymuszonym

uśmiechem. – Jestem w nieco innej sytuacji. Od lat nie wierzę w małego Korsykanina. Chyba nigdy w niego nie wierzyłem.

Hrabia Stelnicki wyszedł z namiotu z opuszczoną głową. Ponieważ złożył przysięgę, musiał zachować te wiadomości dla siebie. Nie mógł powiedzieć nawet Pawłowi, który służył na północ od Lipska, w oddziale Dąbrowskiego. „Co by to dało?” – pomyślał Jan. Paweł zbyt długo traktował Napoleona jak półboga.

Wkrótce rozeszła się wieść, iż rokowania pokojowe zostały zerwane. Co gorsza, Austria wypowiedziała Francji wojnę. Kości zostały rzucone.

W pamięci tych, którym udało się przeżyć, wydarzenia poprzedzające bitwę pod Lipskiem rozmazały się w jedną plamę. Napoleon dążył do rozstrzygającej bitwy, tymczasem jego wrogowie grali z nim w berka, drażniąc go i prześladowając, prowokując do przemieszczania wojsk z jednego miejsca na drugie, żeby zmęczyć jego żołnierzy. Nieustanne potyczki stały się codziennością. Armia Napoleona była wyczerpana i głodna, żołnierze chodzili w podartych mundurach, czasem nawet bez butów.

Do obozu docierały coraz gorsze wieści. Bawaria uwolniła się spod wpływów Francji i przyłączyła do wojsk sprzymierzonych. W Hiszpanii Anglicy pod wodzą Wellingtona pokonali francuskie wojska. Wyglądało na to, iż cała Europa zjednoczyła się przeciwko małemu cesarzowi. Mimo to Napoleon nadal utrzymywał, że wprowadza nowy porządek, który stawia na pierwszym miejscu równouprawnienie w przeciwieństwie do starego porządku, zapewniającego uprzywilejowaną pozycję garstce wybranych. Ze słów Bonapartego wynikało, że wystarczy mu jedna wielka bitwa, by zmienić bieg historii.

Książę Murat rozlokował Ósmy Korpus Poniatowskiego i

oddziały generałów Victora i Lauristona na południowych i południowowschodnich obrzeżach Lipska. Czternastego października siły rosyjskie pod wodzą generała Wittgensteina sześciokrotnie przypuszczały szturm na francuskie pozycje. Dzięki odważnym szarżom kawalerii za każdym razem udawało się odeprzeć atak. Pomimo swoich lat Jan poczynął sobie jak za dawnych czasów, trzymając się blisko syna, ale tak, żeby nie rzucać się w oczy. Tadek dzięki jasnym oczom i cerze był bardzo podobny do ojca. Michał, mając po ojcu domieszkę krwi tatarskiej, która płynęła w żyłach rodziny Grońskich, różnił się od ojczyma i brata, ale jego wigor, umiejętności jeździeckie i prawdziwy talent w posługiwaniu się szablą sprawiały, że Jan widział w nim siebie z dawnych lat.

Ani po tej bitwie, ani po innych starciach, w których brali razem udział, nie rozmawiali o zabitych przez siebie żołnierzach wroga. Nie liczyli ofiar ani się nie przechwalali. Poszczególne przypadki zachowywali w pamięci i niechętnie je wspominali. Jan był zadowolony, że udało im się przeżyć jeszcze jeden dzień.

Bitwa pod Lipskiem nie została jeszcze zakończona, ale tego dnia Ósmy Korpus swoją walecznością zrobił wielkie wrażenie na Napoleonie. Podczas zorganizowanej naprędce ceremonii, która odbywała się na pokrytym ciałami poległych polu bitwy, cesarz wręczył księciu Józefowi Poniatowskiemu laskę marszałkowską. Przywódca Polaków był jedynym oficerem spoza Francji, który kiedykolwiek dostąpił takiego zaszczytu. Serca zdrowych i rannych Polaków wezbrały dumą, a w oczach pojawiła się wilgoć. Nawet Jan – który miał swoje zdanie na temat wojny, zabijania i Napoleona – złapał się na tym, iż ociera łzy.

Wczesnym rankiem szesnastego października rozpoczęła

się decydująca bitwa. Siły sprzymierzonych zaatakowały Francuzów z zamiarem otoczenia prawego skrzydła armii Napoleona, bronionego przez księcia Murata oraz generałów Victora, Lauristona i Poniatowskiego. Dwieście dział wroga i olbrzymie masy żołnierzy sześciokrotnie przypuszczały atak, ale Muratowi za każdym razem udawało się go odeprzeć. Sprzymierzeni ponosili dziesięciokrotnie większe straty niż Francuzi. Wieczorem Jan usłyszał, że Francuzi utrzymali się również na innych pozycjach, lecz stracili dwadzieścia pięć tysięcy ludzi.

Siedemnastego października nie było walk. Siły francuskie zostały wzmocnione małym oddziałem z Saksonii i siedemnastoma tysiącami żołnierzy pod wodzą generała Bernadotte'a, jednak do obozu Rosjan również zaczęły docierać posiłki; na początek Bennigsen przyprowadził czterdzieści tysięcy żołnierzy. Osiemnastego października wróg ponownie przypuścił atak na prawe skrzydło. Wykorzystując niemal całą francuską artylerię, generałowie Murata odparli siły sprzymierzone, pod koniec dnia odnosząc zwycięstwo. Późnym wieczorem rozeszła się pogłoska, że wiktoria miała wysoką cenę: zużyto dwieście dwadzieścia tysięcy pocisków armatnich; zostało zaledwie szesnaście tysięcy, czyli zapas wystarczający na dwugodziną bitwę. Napoleon zarządził natychmiastowy odwrót na zachód w kierunku najbliższego składu amunicji w Erfurcie.

Aby dotrzeć do Lindenau, pierwszego miasta na trasie odwrotu, wojska francuskie musiały przekroczyć sześć mostów, co zmuszało żołnierzy do marszu wąskim strumieniem. Mimo to wczesnym rankiem dziewiętnastego października dwie trzecie Wielkiej Armii opuściło Lipsk. Generałowie Macdonald, Lauriston i Poniatowski stanowili tylną straż.

Kiedy światło poranka zdradziło zamiary Napoleona, siły

sprzymierzone przypuściły zmasowany atak na tylną straż Francuzów. Jan nie spuszczał Michała z oka, gdy kawaleria stanęła do walki z kawalerią. Oddziały Poniatowskiego celowo oddawały pole, a tymczasem Wielka Armia zmierzała w stronę najważniejszego mostu między Lipskiem a Lindenau. Jan wiedział, że poprzedniej nocy został on zaminowany, i gdy ostatni żołnierze tylnej straży przejdą przez rzekę, saperzy Napoleona wysadzą most w powietrze, zostawiając nieprzyjaciela na przeciwnym brzegu Elstery.

Przeprawa wciąż trwała, gdy Jan usłyszał tak potężny wybuch, że na moment się zawahał i dopiero w ostatniej chwili odparował pchnięcie rosyjskiej szabli. Po rozprawieniu się z wrogiem odwrócił się. Wiedział, co zobaczy.

Most został zniszczony, chociaż na przeprawę wciąż czekało przynajmniej dziesięć tysięcy żołnierzy i setki wozów. Dlaczego wysadzono go tak wcześnie? Nieszczęśnicy, którym nie udało się przekroczyć rzeki, z pewnością zostaną rozszarpani na strzępy.

Kiedy żołnierze Napoleona zorientowali się w sytuacji i ruszyli w stronę rzeki, zapanował chaos. Siły sprzymierzone nie dały Francuzom chwili wytchnienia, otaczając ich i bezlitośnie mordując.

Jan znalazł Michała przy rzece. Obydwaj szybko ocenili sytuację. Brzeg był stromy i śliski, trudny do pokonania dla koni. Elstera wprawdzie nie była szeroka, ale bystra. Wzburzone wody miały drewnianymi belkami mostu, wyłamywały je i porywały z nurtem rzeki. Jan rozejrzał się w poszukiwaniu Poniatowskiego, lecz w panującym zamieszaniu nigdzie nie było widać generała. Ojciec i syn doskonale wiedzieli, jaki mają wybór. Jeśli zostaną na brzegu i będą dalej walczyć, czeka ich niechybna śmierć. Jeżeli złożą broń, być może wróg daruje im życie, ale resztę wojny spędzą w niewoli. Mieli jeszcze trzecią możliwość: zaryzykować

przeprawę przez rzekę.

Setki ich towarzyszy podjęło już decyzję, wybierając nurty rzeki. Konie i ludzie zsuwali się z brzegu do wody. Z tego, co było widać, na każdego przepływającego się przez rzekę konnego lub piechura przypadał inny żołnierz, którego porывała woda. Jeden słabszy koń mógł pociągnąć ze sobą kilka innych zwierząt i ludzi.

Jan widział napierających nieprzyjaciół, którzy posuwając się do przodu, zabijali każdego, kogo napotkali na drodze. Zdał sobie sprawę, że nie mogą się dłużej wahać. Michał skinął głową. Najwyraźniej doszli do tego samego wniosku i nie potrzebowali słów. Równocześnie skierowali konie w dół, do lodowatej rzeki.

Po chwili woda zaczęła spływać po końskich grzywach.

– Trzymaj się mocno konia, Michale! – zawołał Jan. – Pochyl głowę i patrz przed siebie. Tylko przed siebie!

Nagle Jan poczuł ukłucie. Dotknął ręką szyi i zobaczył na dłoni krew. Został postrzelony. Chociaż odniósł wcześniej wiele ran, zawsze były to rany zadane lancą lub szablą. „Jakiemuś głupiemu Rosjaninowi dopisało szczęście – pomyślał – bo strzelając z końskiego grzbietu, trudno trafić do celu”.

– Tato!

Michał był przerażony, widząc ranę ojca.

– Tato! – zawołał ponownie, wyciągając do Jana rękę. – Oddaj mi lejce.

– Nie! – krzyknął Jan. – Nic mi nie będzie! Naprzód, Michale. Naprzód. Zobaczysz, że będę na brzegu pierwszy!

Jednak jak na wyścig ich przeprawa była koszmarnie wolna; utrudniał ją nie tylko silny prąd, lecz również porwane przez nurt ciała koni i żołnierzy. Wydawało się, że upłynęło pół godziny. Po raz pierwszy w życiu Jan marzył, by dosiadać większego konia.

Jakiś mężczyzna, chcąc się uratować, chwycił wierzchowca Jana za szyję. Tym razem hrabia Stelnicki nie mógł mu pomóc. Sam coraz bardziej opadał z sił, wiedział, że traci dużo krwi. Nie miał innego wyjścia – zmusił mężczyznę, by rozluźnił chwyt. Żołnierz wpadł do wody i zniknął w spienionych falach.

Znajdowali się na środku rzeki, w miejscu, gdzie było najgłębiej. Jan przytulił się do końskiej szyi, tak jak w dzieciństwie chwycił wierzchowca za grzywę i szeptem go zachęcał, by parł do przodu.

Wtem poczuł kolejne ukłucie; tym razem kula trafiła go w prawe ramię. Przez chwilę wpatrywał się w otaczającą go ze wszystkich stron wodę czerwoną od krwi. Był święcie przekonany, że żołnierze wojsk sprzymierzonych zdążyli już posiadać z koni i teraz strzelają do przepływających się przez rzekę jak do kaczek.

Jakaś zbłąkana kula trafiła również konia Jana. Zwierzę zaczęło słabnąć i tracić grunt pod kopytami. Hrabia Stelnicki natychmiast uwolnił nogi ze strzemion, żeby nie znaleźć się pod koniem lub nie popłynąć razem z nim. Ledwo zdążył to zrobić, wartki nurt porwał wierzchowca. Stelnicki starał się utrzymać na powierzchni i unikać ciał, które nieustannie płynęły w jego stronę.

Po jakimś czasie zabrakło mu sił. Wtedy zaczął się modlić, lecz nie o własne życie, bo zdążył się już pogodzić ze śmiercią. Modlił się za Michała. Za to, by udało mu się przeżyć i wrócić do matki do Sochaczewa.

„Anno – pomyślał – moja piękna Anno Mario! Wybacz mi!”

Dzień wcześniej, osiemnastego października, Paweł wraz z oddziałami Dąbrowskiego znajdował się na północ od Lipska. Mieli utrzymać przedmieścia Halle. Było to miejsce tak samo

ważne jak most na Elsterze, bo stanowiło wąskie przejście dla wycofującej się spod Lipska Wielkiej Armii. Pomimo doskonałej reputacji, jaką cieszył się Dąbrowski, zadanie było nad wyraz trudne, bo jego oddział stopniał do garstki kawalerzystów, tysiąca sześciuset piechurów i sześciu dział.

O dziewiątej rano siły pruskie przypuściły atak; godzinę później dołączyli do nich Rosjanie. Paweł ustalał z Dąbrowskim taktykę, gdy podjechał do nich Gourgaud, jeden z adiutantów Napoleona, pytając o obronę bramy. Dąbrowski szorstko odpowiedział, że każdy z Polaków prędzej zginie, niż odda wrogowi bramę Halle, po czym odjechał.

Gourgaud spojrzał pytająco na Pawła. Potecki wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chyba twoje pytanie rozzłościło Dąbrowskiego. Jak widzisz, Polacy to dumny naród.

– Hm... jakie macie szanse, Pawle?

– Bramy pilnuje niewielki oddział Francuzów – odparł. – Bez posiłków przypada dwóch wrogów na jednego naszego człowieka, więc wątpię, czy zdołamy się utrzymać.

Gourgaud zacisnął wargi, podziękował Pawłowi i odjechał.

Godzinę później przysłano dwie dywizje. Przy ich znaczącym wsparciu Polacy zdołali utrzymać pozycję do zapadnięcia zmroku i zakończenia bitwy.

Dopiero późnym wieczorem dziewiętnastego października Paweł dowiedział się o tragicznych wydarzeniach nad Elsterą.

Saperzy Napoleona zaminowali most, żeby móc go wysadzić po wycofaniu się tylnej straży. Odpowiedzialnością za przedwczesny rozkaz odpalenia ładunków cesarz obarczył jakiegoś pułkownika, który z kolei przekazał to zadanie swojemu kapralowi. Kiedy wałka między siłami sprzymierzonymi a francuską tylną strażą coraz bardziej zbliżała się do mostu, na widok panującego chaosu kapral wpadł w panikę i rozkazał podpalić lonty.

Po drugiej stronie rzeki zostały wozy z zaopatrzeniem dla wojska i rannymi, a także dwanaście tysięcy żołnierzy. Nie chcąc dostać się do niewoli, wielu z nich utonęło lub zostało zastrzelonych.

Ze łzami w oczach Dąbrowski przekazał Pawłowi najgorszą wiadomość: wśród poległych był książę Józef Poniatowski. Kiedy Paweł to usłyszał, ogarnęła go dziwna słabość.

– Próbował przepłynąć Elsterę – powiedział Dąbrowski. – Nieprzyjaciel bez litości strzelał do tych, którzy usiłowali przepłynąć się na drugi brzeg. Jeden z ludzi księcia powiedział, że nim Poniatowski wjechał do rzeki, odmówił poddania się, wspominał o obowiązku i honorze, po czym zapewnił, że nie boi się śmierci. – Generał na chwilę przerwał. – Kiedy znajdował się na środku rzeki, został zasypany gradem kul. Zsunął się z konia w wartkie wody Elstery.

– Niech spoczywa w pokoju – powiedział Paweł.

– Słyszałem, iż kiedyś na Węgrzech Cyganka powiedziała mu, żeby unikał srok.

Paweł poczuł, że dreszcz przebiega mu po kręgosłupie. *Elster* to po niemiecku właśnie sroka. Nie miał jednak czasu zastanawiać się nad losem Poniatowskiego. Coś innego ciążyło mu na sercu. Był pewien, że Jan i Michał również próbowali przepływać się przez rzekę. Szepcząc słowa modlitwy, ruszył szukać ich wśród tych, którzy przeżyli.

Zofia siedziała nieruchomo w krytym powozie i z natężeniem wpatrywała się w krajobraz, który przesuwał się za oknem. Niemal przez cały ranek jechała wyboistym traktem, który biegł wzdłuż wschodniego brzegu Wisły. Woźnica posłusznie wykonywał polecenia, gdy chciała, żeby zwolnił lub stanął, by mogła lepiej przyjrzeć się niewielkiej osadzie lub konkretnej chacie. W ciągu trzech godzin uciążliwej podróży nie zauważyła niczego znajomego. Zaczął padać deszcz.

– Zatrzymaj się! – zawołała, napinając mięśnie i mrużąc oczy.

Powóz stanął. Sto kroków przed nimi znajdował się domek, którego szukała. Co odróżniało go od tysięcy innych chłopskich chat? Może topola, która stała nieco z boku jak wartownik? Tego Zofia nie była pewna, wiedziała jednak, że to właśnie w tej chacie wracała do zdrowia po długiej kąpieli w lodowatej Wiśle.

Czas mijał. Hrabina Grońska cofnęła się o dziewiętnaście lat, do kilku miesięcy, które tu spędziła. Z zadziwiającą dokładnością przypominała sobie starszego mężczyznę i jego córkę. Potem pojawiła się też twarz Jerzego. Zofia nigdy jej nie zapomniała. W pewnym sensie Jurek zawsze był przy niej. Czy dlatego, że Izabela bardzo przypominała ojca? Tak, z pewnością. Córka stanowiła więź z przeszłością. Była też jednak niewidoczna, bardzo mocna nić, którą tworzyły zagmatwane emocje.

Grupka dzieci zauważyła stojący powóz. Rzadko w tej okolicy pojawiała się szlachecka kareta. Malcy przez chwilę szeptali między sobą i przyglądali się jej z nieskrywanym zdumieniem, potem zbliżyli się o kilka kroków.

Co po tylu latach przyciągnęło Zofię w to miejsce? Jerzy.

Przypomniała sobie jego młodość i niewinność. Z łatwością zdołała go wtedy uwieść. Bez zastanowienia oddał jej serce, a ona je wzięła, marząc przez chwilę, by być wiejską dziewczyną i móc spędzić z nim życie – chociaż doskonale wiedziała, że to niemożliwe.

Romansowała z wieloma mężczyznami. Dlaczego nigdy nie zapomniała właśnie tego? Jurka? Nie miał żadnego tytułu, pieniędzy ani władzy. Po latach, już jako piechur, odwiedził ją w Warszawie i spędzili ze sobą gorące popołudnie. Wydorósł, zrobił się przystojnym mężczyzną, mimo to gdzieś w głębi duszy pozostał niewinnym chłopcem. Nie miało znaczenia, że Zofia była trochę starsza od niego, niestety, dzieliło ich sporo innych rzeczy.

Uśmiechnęła się na myśl, że tylko Jerzemu pozwalała używać swojego zdrobnienia: „Zosia”. Wtedy w Warszawie spędzili razem tylko jedno popołudnie, a potem wysłała Jurka na wojnę, ani słowem nie wspominając, że mogliby się jeszcze kiedyś spotkać; do niczego go nie zachęcała. Mimo to... od chwili gdy Anna powiedziała, że to chyba Jerzy leżał w szpitalu, Zofia nie mogła przestać o nim myśleć. Chciała sprawdzić, czy to on był na oddziale Anny. Czy wrócił do domu, do swojego życia. Czy...

Dzieci pytały woźnicę, czego szuka i kto znajduje się w powozie.

– Z drogi! – krzyknął. – Zjeżdżajcie stąd, urwisy!

W tym momencie z chaty wyszła jakaś kobieta, jednak nie Danuta. Miała około trzydziestu lat, była ładna i zgrabna pomimo workowatej, pozbawionej koloru sukni z płótna. Z zainteresowaniem spojrzała na powóz. Zofia natychmiast odsunęła się od okna, ale nie przestała patrzeć.

Kobieta przyłożyła rękę do ust i zawołała:

– Zosiu!

Hrabinę Grońską przeniknął dziwny dreszcz. Jak to

możliwe, że obca kobieta wołała ją, używając zdrobnienia? Na tę myśl Zofia poczuła zawroty głowy.

– Zosiu! – powtórzyła kobieta, tym razem bardziej zdecydowanie.

Odpowiedział jej piskliwy głosik:

– Już idę, mamusiu!

Zagadka została rozwiązana. Od grupki dzieci odłączyła się mała dziewczynka i podbiegła do kobiety. To ona miała na imię Zosia.

Na czas trwania tej sceny ustała wymiana zdań między woźnicą a grupką dzieci, po chwili jednak malcy wrócili do zadawania pytań. Zofia widziała, jak młoda kobieta przepytuje córeczkę i co chwila zerka w stronę powozu. Mżawka ustąpiła miejsca deszczykowi.

Hrabina Grońska nie wiedziała, co robić: jechać dalej czy wysiąść z powozu i podejść do kobiety?

Za chaty wyszedł mężczyzna i skierował się w stronę matki i dziecka. Zofia poczuła, że serce zamiera jej w piersi.

Dziewczynka zawołała coś do mężczyzny i rzuciła mu się w ramiona. Uniósł ją wysoko nad głowę, jakby była lekka niczym piórko. Wtedy z głowy młodego wieśniaka spadł kapelusz, który nosił podczas pracy w polu.

Jerzy.

Zofia już wcześniej była pewna, że to on, zwłaszcza gdy zobaczyła, jak idzie długim, zdecydowanym krokiem. Kobieta zaczęła coś wyjaśniać, a dziewczynka wskazała na powóz. Mężczyzna osłonił oczy przed deszczem i patrzył na karetę.

Zofia z bijącym sercem odsunęła się od okna. Kiedy odważyła się ponownie zerknąć, zauważyła, że Jurek postawił córeczkę na ziemi i podniósł kapelusz. Coraz mocniej padało; gdy zaczęło grzmieć, dzieci rozbiegły się do domów.

Jerzy kazał kobiecie zabrać dziecko do domu. Kiedy obie zniknęły, spojrzął na stojący powóz i ruszył w jego stronę z

twarzą moką od deszczu.

Zofię wypełniło dziwne uczucie. Przesunęła się na drugą stronę, uniosła zasłonkę i zawołała do woźnicy:

– Ruszaj! Na co czekasz? W drogę!

Konie natychmiast wyrwały się do przodu i pojazd zaczął podskakiwać na wyboistej drodze. Hrabina Grońska nie obejrzała się za siebie. Nie chciała, by Jerzy odgadł, że to ona była pasażerką. Wyobrażała sobie jednak jego piękną twarz i niebieskie oczy skierowane w stronę znikającego powozu – twarz tak podobną do zalanego deszczem oblicza świętego w jednej z przydrożnych kapliczek.

Po chwili kazała woźnicy zawrócić i ruszyć z powrotem do Warszawy. Kiedy ponownie przejeżdżali obok małej chatki, odważyła się unieść zasłonkę. Nie dostrzegła żadnego ruchu. Wszędzie widać było coraz większe kałuże. Ulewny deszcz zapędził ludzi i zwierzęta pod dach. W świetle błyskawic chatka wyglądała bardzo nędznie, tylko dym unoszący się z komina łagodził to wrażenie. W środku przy palenisku siedziały trzy osoby. Wkrótce zaczną jeść skromny posiłek.

„Jerzy ułożył sobie życie – pomyślała Zofia. – Psiakrew! Nic tu po mnie”.

Tej nocy przez wiele godzin leżała z otwartymi oczami, a jej myśli wirowały niczym koło młyńskie napędzane wodą z bystrego strumienia. Wyprawa na wieś była głupim pomysłem. Zofia zastanawiała się, czemu to zrobiła, ale niczego nie żałowała. Nie wiedziała, co to żal.

Miała czterdzieści lat. Co powiedział Napoleon o czterdziestce? Coś enigmatycznego. Po chwili zdołała sobie przypomnieć: „Czterdziestka to czterdziestka”. Kiedy minęły te wszystkie lata? Zniknęły jak bąbelki szampana. Zofia wciąż czuła się jak wtedy, gdy jako szesnastoletnia dziewczyna mieszkała w Haliczu. Niestety, to już przeszłość. Starzała się.

Nie udało jej się poślubić magnata. Radziwiłłowie, Czartoryscy, Poniatowscy i pół tuzina innych chętnie przebywali w jej towarzystwie, ale nie chcieli słyszeć o ślubie. Nie powiodły się też jej plany co do Izabeli. Zofia pozwoliła myślom swobodnie płynąć. Być może ma przed sobą następne czterdzieści lat. Jak powinna je spędzić? Czy w samotności?

W jej życiu było niewiele stałych elementów. Wśród nich Izabela i Anna. Izabela wkrótce się usamodzielni, Anna zaś ma rodzinę – i spodziewa się następnego dziecka.

Był jeszcze Paweł. Kochany Paweł. Jak to się stało, że tak długo ją znosił? Parsknęła śmiechem. Czyżby aż tak ją kochał? Musi być świętym.

Może się do niej przywiązał z powodu długich lat spędzonych na wojnie, a wieloletnie rozstania pogłębiły jego uczucie.

Paweł wróci. Nigdy w to nie wątpiła. Wkrótce jakaś wielka katastrofa pogrzebie marzenia Napoleona, wtedy Paweł wróci i będą mogli ułożyć sobie życie. Zofia była zaskoczona, że tak bardzo ucieszyła się na tę myśl.

Gdy Paweł pojawi się w domu, ona postara się dać mu szczęście. Od lat jej nie pytał, czy wyjdzie za niego za mąż. Wyobraziła sobie jego minę, gdy to ona go spyta, czy chce się z nią ożenić.

Będzie żyć tak, jak sugerowała Charlotte: bez żalu i bez strachu. Zofia wyobraziła sobie, że w końcu udaje jej się znaleźć szczęście.

Anna położyła dłonie na okrągłym brzuchu. Dziecko powinno przyjść na świat najpóźniej za miesiąc. Nie mogła się tego doczekać.

Był drugi listopada, Dzień Zaduszny. Mimo woli przypomniawszy sobie to samo święto w tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Wtedy właśnie, tuż przed zniszczeniem Pragi przez Rosjan, zmarła jej ciotka. Nawet teraz, po tylu latach, Annę przenikał dreszcz na myśl o tysiącach niewinnych ludzi, którzy zginęli w tamtej masakrze. Potem nastąpił ostatni rozbiór i Polska przestała istnieć. Księstwo Warszawskie, które powstało po latach, niemal nikogo nie zadowoliło, Polacy jednak wiązali wielkie nadzieje z Napoleonem.

Po odwróceniu z Rosji nadzieje te znacznie zmalowały. Ostatnio, na wieść o śmierci księcia Poniatowskiego, duch w Polakach osłabł. Podobnie jak wielu rodaków Anna pokochała księcia, który bardziej cenił honor i składane obietnice niż władzę i tytuły. Gdyby stanął po stronie Rosjan, zostałby mianowany przez Aleksandra królem Polski. Tylu innych zmieniło przekonania i... dobrze im się wiodło. Książę Józef Poniatowski mógł uchronić wuja przed mianem ostatniego króla Polski. Jednakże koniec końców górę wzięła honor.

Tak nakazywały polskie zasady.

Myśli Anny wróciły do męża i syna. Co się z nimi stało? Czy oni również próbowali przekroczyć Elsterę? Czy przeżyli przeprawę? A może zostali na brzegu i wzięto ich do niewoli? W głębi duszy wiedziała, iż raczej zdecydowali się na przeprawę niż niewolę u Rosjan.

Czy udało im się dostać na drugi brzeg? Dlaczego nie ma od nich żadnych wieści?

Straciła już jednego członka rodziny – kochanego Tadzia.

Modliła się, by Bóg nie zabierał jej nikogo więcej.

– Pozwól, Panie, przeżyć mojemu mężowi i Michałowi – szepnęła.

Godzinę później Barbara zawołała ją do swojej sypialni.

– Mamusiu, chodź tutaj! Szybko!

W jej głosie słyhać było przerażenie. Anna z trudem wstała z krzesła, niełatwo jej też było szybko się poruszać, mimo to po małej chwili była w swojej dawnej sypialni.

– O co chodzi? – spytała. – Co się stało, Basiu? Basia miała otwarte usta.

– W oddali widać wóz... o, właśnie skręca w nasz podjazd!

Anna podeszła do okna. Przez minutę bez słowa patrzyły, jak wóz toczy się drogą prowadzącą między szpalerem topól. Anna poczuła pulsowanie w skroniach, gdy przypomniła sobie, że w podobnych okolicznościach przywieziono do domu ciało jej ojca.

– Na koźle siedzi tylko jeden człowiek, mamusiu.

– Widzę. – Anna poczuła, że serce zaczyna walić jej w piersiach. – Czy to żołnierz? Możesz go rozpoznać? Masz lepszy wzrok niż ja.

– Nic nie mogę powiedzieć. Wygląda, jakby był ubrany w łachmany – powiedziała Basia. – Co to za pojazd?

– To jaszcz, Basiu.

– Co to takiego?

– Wóz wojskowy. Używa się go do przewożenia broni... lub zmarłych.

Patrzyły bez słowa, dopóki nie rozpoznały woźnicy. Kiedy jaszcz zbliżył się do dworku, obie panie ujrzały, że przywiózł... ciało żołnierza.

Anna wyprostowała się i ujęła córkę za rękę. Na bladej twarzy Basi widać było udrękę i strach.

– Chodźmy na dół, Basiu. Pomóż mi zejść ze schodów. Jednak gdy pokonywały stopnie, to raczej Anna sprowadzała

na parter roztrzęsioną córkę.

Kiedy wyszły przed ganek, wóz właśnie podjeżdżał pod dom.

– Mamusiu! – zawołał Michał, zatrzymując jaszczkę. Zeskoczył z kozła i jego oczy momentalnie wypełniły się łzami. Wpadł w ramiona Anny, a Basia objęła ich oboje.

Czas się zatrzymał. Wszyscy zachowywali się tak, jakby nagle odebrało im mowę. Po chwili Anna odsunęła się i podeszła do wozu.

– Nic mu nie będzie, mamusiu. Popatrzyła na syna, nie rozumiejąc jego słów.

– Zasnął pół godziny temu – wyjaśnił Michał. – Bardzo bronił się przed snem.

Z niedowierzaniem zajrzała do wozu. Jan leżał nieruchomo i był bardzo blady, ale gdy Anna ujęła jego dłoń, stwierdziła, że jest ciepła.

– Janie – szepnęła. – Janie!

Stelnicki na dźwięk swojego imienia otworzył oczy. Odwrócił głowę i najpierw spojrzał na ręce żony, a potem na jej twarz. Miał zakrwawione opatrunki i był poobijany, ale błękit jego oczu przypominał letnie niebo, tak jak wtedy, gdy spotkali się na łące.

– Anno, czy to naprawdę ty? – zapytał. – A może śnię?

– To ja, Janie. Nie sen.

– Dobry Boże, Michale! – krzyknął nagle Jan, podnosząc się. – Pozwoliłeś mi przespać przyjazd do domu.

– Doktor powiedział, że potrzebujesz snu!

– Gdyby nie to, że wyciągnąłeś mnie z tej przeklętej rzeki, sprawiłbym ci niezłe lanie! Teraz pomóż mi się wygramolić z tej trumny. Na Boga, jeszcze nie nadszedł mój czas!

Michał i Anna pomogli mu wysiąść; Basia podbiegła, by go ucałować.

– Możesz mnie również objąć, Basiu – powiedział Jan,

otaczając córkę ramieniem. – Nic mi się nie stanie. Mam trzy dziury po rosyjskich kulach, ale lekarze przysięgli, że przeżyję.

Kiedy Jan uwolnił się z uścisku córki, ponownie spojrzął na Annę. Pogłaskał ją delikatnie po brzuchu.

– Wróciłem, Aniu – powiedział. – Wróciłem.

Nie zważając na to, że łzy płyną jej po policzkach, Anna przyciągnęła twarz męża i pocałowała go. Był to pocałunek, który przeniósł ich wiele lat wstecz na jesienną łąkę pod Haliczem; pocałunek, który pomógł Annie przetrwać trudne dni.

Epilog

Kto wiele chce, ten mało ma.
(przysłowie polskie)

3 maja 1814

Kochana Zofio!

Mam nadzieję, że Tobie i Izie dobrze się wiedzie. Kocham Was obie.

Przekaż, proszę, Annie i Janowi najserdeczniejsze gratulacje z powodu narodzin synka, Józefa. Księżę byłby dumny, że ma imiennika.

Na pewno słyszałaś o porażkach, jakie ponieśliśmy. Straciliśmy nawet Francję. Cesarz abdykował i do władzy wrócili Burbonowie. Zwyciężył stary porządek.

Piszesz, że dni Księstwa Warszawskiego są policzone. Wszystko jest względne, nie sądzisz? Chociaż płakaliśmy po kolejnych rozbiorach Polski, a potem narzekaliśmy na Księstwo, myślę, że teraz, niezależnie od tego, co zrobią z nami sprzymierzeni, będziemy wspominać je z łezką w oku.

W poprzednim liście pisałaś o swojej miłości, a ja zabrałem Twoje wyznania w wir walki. W najcięższych chwilach podnosiły mnie na duchu. Ja też Cię kocham i zawsze kochałem. Nigdy nie chciałem sprawić Ci bólu.

Dzisiaj dotarliśmy na Elbę, maleńkie królestwo łaskawie podarowane Napoleonowi przez aliantów. Wygląda na to, że Bonaparte zdążył już zjednać sobie dwanaście tysięcy tutejszych mieszkańców, którzy żyją z rybołówstwa oraz wydobywania ołowiu, granitu i żelaza.

To żałośnie mała wysepka, która w niczym nie przypomina wymarzonej przez cesarza zjednoczonej Europy. To się nazywa upadek!

Niemniej nie mogę pozbyć się wrażenia, że alianci okazali się zbyt pobłażliwi. Elba szybko znudzi się cesarzowi, który jeszcze nie tak dawno miał znacznie, znacznie więcej. Przywiózł ze sobą swoich szefów kuchni, muzyków i dwóch ulubionych śpiewaków, ale nie będzie tu szczęśliwy.

Tak wygląda sytuacja. Mimo to nie wracam do domu – przynajmniej na razie.

Spytasz zapewne, dlaczego postanowiłem towarzyszyć mu na wygnaniu. Będziesz robić mi wymówki, podobnie jak księciu Poniatowskiemu, gdy poszedł za Napoleonem, odrzucając koronę, którą proponował mu Aleksander. Nazwiesz to samobójczym męstwem... lub wisielczym poczuciem humoru, tak typowym dla Polaków. Potrafię to zrozumieć.

Problem w tym, że cesarzowi pozwolono zabrać ze sobą na wygnanie gwardię liczącą około sześćdziesięciu żołnierzy. Napoleon wybrał polskich ułanów. Wielu się nie zgodziło i w tej chwili są w drodze do domu. Ja jednak nie mogłem odmówić... chociaż słyszę, jak klniesz na mnie na przeciwległym krańcu kontynentu.

Nie mogłem odmówić.

Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz, ukochana.

Paweł